

SARAH J. MAAS

ZABÓJCZYNI

*Szklany Tron*

OPOWIEŚCI



Copyright © Sarah Maas 2013

This translation of *The Assassin* is published by Grupa  
Wydawnicza Foksal Sp. z o.o. by arrangement with Bloomsbury Publishing Inc.

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation of *The Assassin* by Marcin Mortka,

MMXVI

Wydanie I

Warszawa

# Spis treści

## Mapa

### Zabójczyni i Władca piratów

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

### Zabójczyni i Uzdrowicielka

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

### Zabójczni i Czerwona Pustynia

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Zabójczyni i podziemny świat](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Zabójczyni i imperium Adarlanu](#)

[Później](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

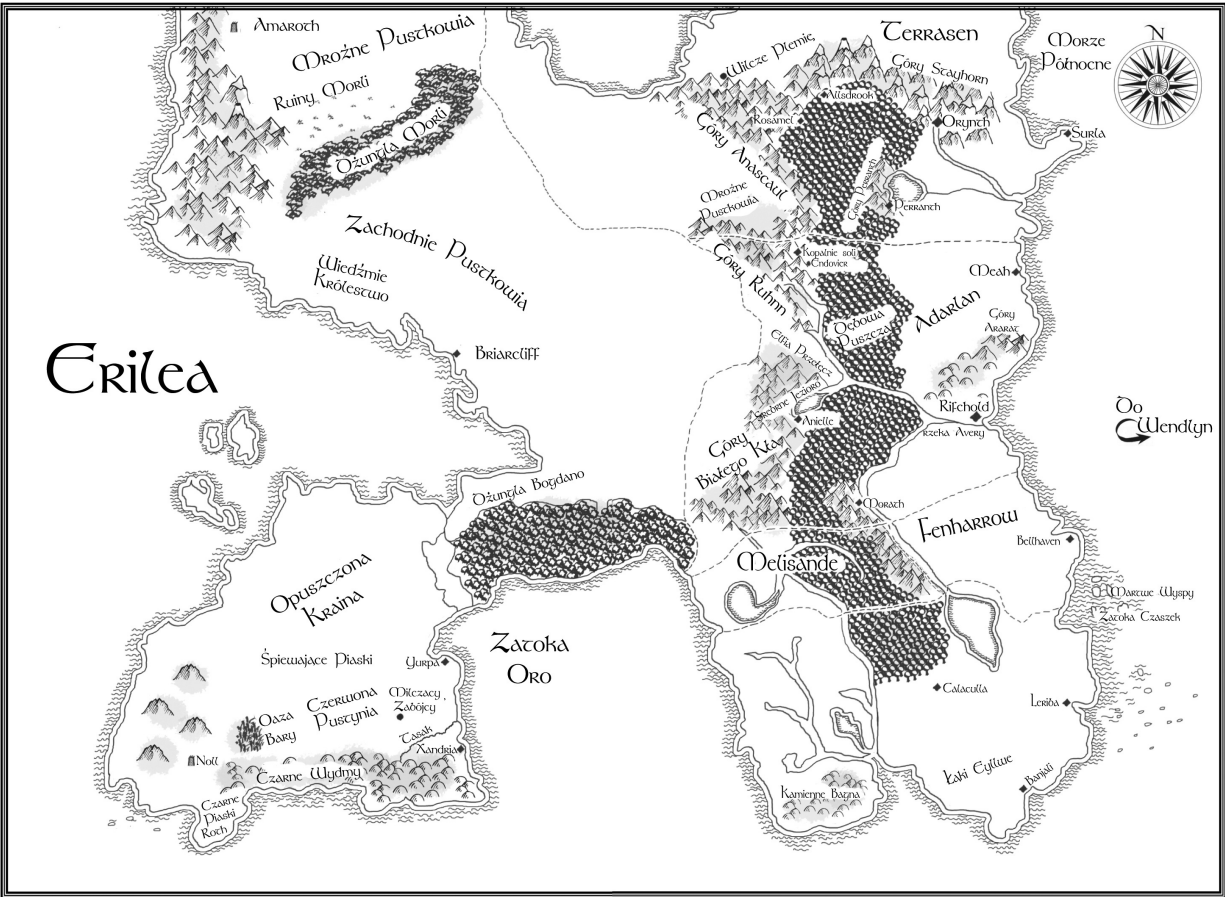
[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Później](#)

[Początek](#)

Zabójczyni i Księżniczka  
Zabójczyni i Kapitan



Map © Kelly de Groot





SARAH J. MAAS

ZABÓJCZYNI

*i Władca  
piratów*

SZKLANY TRON  
OPowieść

I







Sarah J. Maas

# ZABÓJCZYNI I WŁADCA PIRATÓW

przełożył Marcin Mortka



## Rozdział pierwszy

Celaena Sardothien rozparła się na krześle w sali narad Twierdzy Zabójców.

– Jest czwarta nad ranem – powiedziała, układając fałdy karmazynowej koszuli nocnej, po czym założyła nogę na nogę pod blatem drewnianego stołu. – Mam nadzieję, że to coś ważnego.

– Gdybyś nie ślęczała tyle nad książką, nie byłabyś teraz taka zmęczona – parsknął młody człowiek, który siedział na przeciwko niej.

Celaena zignorowała go i przyjrzała się pozostałym osobom zgromadzonym w podziemnej komnacie.

To byli mężczyźni dużo starsi od niej. Żaden z nich nie patrzył jej w oczy. Po plecach dziewczyny przeszedł dreszcz, który nie miał nic wspólnego z przeciągami. Skubiąc wypielęgnowane paznokcie, przybrała obojętny wyraz twarzy. Pięciu zabójców, zgromadzonych przy długim stole, należało do grupy siedmiu najbardziej zaufanych towarzyszy Arobynna Hamela. Ona również się w niej znajdowała.

Spotkanie bez wątpienia było ważne. Celaena wiedziała o tym już w chwili, gdy służąca załomotała do jej drzwi i poprosiła, aby jak najszybciej zeszła na dół, nie kłopotząc się ubraniem. Gdy Arobynn chciał się z kimś zobaczyć, zwlekanie było wielkim błędem. Na szczęście jej koszula nocna była równie elegancka, jak szaty, które nosiła za dnia, i kosztowała prawie tyle samo. Mimo to świadomość, że ma szesnaście lat i znajduje się w komnacie pełnej mężczyzn, sprawiła, iż zakryła nieco dekolt. Uroda, którą starannie pielęgnowała, była jej bronią, ale mogła również okazać się słabością.

Arobynn Hamel, Król Zabójców, rozsiadł się na honorowym miejscu. Jego kasztanowe włosy lśniły w blasku szklanego kandelabru. Celaena spojrzała prosto w szare oczy mężczyzny, a on zmarszczył czoło. Dziewczyna odniosła wrażenie, że był bledszy niż zwykle, choć można to było zrzucić na karb późnej pory. Mimo to niespodziewanie poczuła skurcz żołądka.

– Gregori został pojmany – powiedział w końcu Arobynn. Cóż, to wyjaśniało nieobecność jednego z jego przybocznych. – Jego zadanie

okazało się pułapką. Przetrzymują go w królewskich lochach.

Celaena wypuściła powietrze przez nos. A więc obudzono ją tylko z tego powodu? Postukała stopą obutą w pantofelek o marmurową podłogę.

– No to go zabij – rzuciła.

Nigdy nie przepadała za Gregorim. Gdy miała dziesięć lat, nakarmiła jego konia słodyczami. Mężczyzna wściekł się i rzucił w nią nożem, celując w głowę. Oczywiście złapała ostrze w locie i cisnęła nim prosto w zabójcę. Na pamiątkę po tym zdarzeniu nosił bliznę na policzku.

– Zabić Gregoriego? – spytał ostro Sam, młody człowiek siedzący po lewicy Arobynna. Miejsce to zajmował zazwyczaj Ben, zastępca Króla.

Celaena dobrze wiedziała, co Sam Cortland o niej myśli. Wiedziała to od chwili, gdy Arobynn przygarnął ją i ogłosił swoją protegowaną oraz dziedziczką. Wybrał ją, a nie jego. Chłopak na każdym kroku usiłował podważyć jej pozycję. Miał teraz siedemnaście lat i był o rok od niej starszy, ale ani na moment nie zapomniał, że stoi niżej w hierarchii.

Dziewczyna aż się zjeżyła, widząc Sama na miejscu Bena. Wiedziała, że ten pewnie udusi chłopaka, gdy dowie się o wszystkim po powrocie. Z drugiej strony mogła mu oszczędzić wysiłku i ukarać go sama.

Spojrzała na Arobynna.

„Dlaczego nie ofuknął Sama za to, że usiadł nie na swoim miejscu?”  
– pomyślała.

Twarz Arobynna Hamela, wciąż przystojna pomimo siwizny, która zaczynała przyprószać jego włosy, nadal była obojętna. Celaena nienawidziła tej nieprzeniknionej maski, tym bardziej że jej samej panowanie nad własnymi emocjami – a zwłaszcza temperamentem – nie przychodziło tak łatwo.

– Skoro Gregori został pojmany – powiedziała wolno, odsuwając długi kosmyk złocistych włosów z twarzy – wszyscy wiemy, co należy zrobić. Zasady są jasne. Trzeba posłać kogoś z adeptów, aby dorzucił mu coś do jedzenia. Coś, co nie wywołuje cierpienia – dodała, gdy spostrzegła, że mężczyźni wokół zeszywnieli. – Byleby nas nie sypnął.

W królewskich lochach mało kto był w stanie zachować milczenie.

Niewielu przestępców wychodziło z powrotem na wolność, a ci, którym się to udało, nie przypominali już siebie.

Lokalizacja Twierdzy Zabójców była pilnie strzeżonym sekretem i każdego z adeptów szkolono, że za żadną cenę nie może go zdradzić. Zresztą gdyby prawda wyszła na jaw, i tak nikt by nie uwierzył, że piękna kamienica przy jednej z najlepszych ulic miasta Rifthold mieści siedzibę najgroźniejszych zabójców świata. Czy istniało lepsze miejsce na kryjówkę niż samo centrum stolicy?

– A jeśli już sypnął? – zapytał wyzywająco Sam.

– Jeśli zmusili go do gadania – odpowiedziała dziewczyna – należy zabić wszystkich, którzy go słuchali.

Obdarzyła Sama lekkim uśmiechem, którego nie znosił. Brązowe oczy młodzieńca rozbłysły, ale zabójczyni już patrzyła z powrotem na Arobynna.

– Nie musiałeś nas tu ściągać, aby podjąć taką decyzję. Już wydałeś odpowiednie rozkazy, prawda?

Arobynn pokiwał głową. Jego zaciśnięte mocno usta tworzyły cienką linię. Sam zdusił w sobie ochotę, aby zaprotestować, i spojrzał na ogień trzaskający w kominku. Na jego przystojnym, gładkim obliczu zagościł cień. Celaena wiedziała, że gdyby poszedł w ślady matki, mógłby dzięki swej twarzy zarobić fortunę, ale ta przed śmiercią zdecydowała, że zostawi go u zabójców, a nie u kurtyzan.

Zapadła cisza, która aż kłuła w uszy. Arobynn nabrał powietrza. Coś było nie tak.

– Co jeszcze się wydarzyło? – Dziewczyna wychyliła się do przodu. Pozostali zabójcy wbili spojrzenia w stół. A więc wiedzieli o wszystkim. Dlaczego nie usłyszała o tym jako pierwsza?

Srebrne oczy Arobynna zalśniły niczym stal.

– Ben został zabity.

Celaena zacisnęła dłonie na poręczach fotela.

– Co takiego? – zapytała z niedowierzaniem.

Ben? Ben, ów wiecznie uśmiechnięty zabójca, który trenował ją równie często, jak Arobynn. Ben, który opatrzył kiedyś jej strzaskaną prawą dłoń. Ben, siódmy i ostatni członek kręgu zaufanych Króla. Miał zaledwie trzydzieści lat.

Celaena odsłoniła zęby.

– Jak to „został zabity?” – spytała. – Co masz na myśli?

Arobynn zmierzył ją przeciągłym spojrzeniem, a przez jego twarz przemknął grymas smutku. Liczył sobie zaledwie pięć lat więcej od Bena. Dorastali i trenowali razem, a Ben dokładał wszelkich starań, aby jego przyjaciel mógł się czuć pewnie jako Król Zabójców i aby nikt nie zagrażał jego pozycji. Nigdy też nie narzekał na to, że jest jego podwładnym. Celaena poczuła ucisk w gardle.

– To miało być zadanie Gregoriego – powiedział cicho Arobynn. – Nie wiem, dlaczego Ben został do niego wciągnięty. Nie mam pojęcia, kto ich zdradził. Znalezione jego ciało niedaleko bram miasta.

– Przyniesiono je tutaj? – zapytała.

Musiała go zobaczyć. Musiała go ujrzeć po raz ostatni. Musiała się dowiedzieć, jak zginął i ile ran odniósł, zanim rozstał się z życiem.

– Nie.

– A dlaczego nie, do cholery? – Dziewczyna zaciskała i rozprostowywała pięści.

– Bo roiło się tam od strażników i żołnierzy! – wybuchnął Sam. Celaena gwałtownie odwróciła ku niemu głowę. – A skąd, twoim zdaniem, dowiedzieliśmy się o wszystkim?

A więc Arobynn wysłał Sama, aby odszukał Bena i Gregoriego? Sama Cortlanda?

– Gdybyśmy zabrali jego ciało – ciągnął chłopak, bez trudu wytrzymując jej wściekłe spojrzenie – wskazalibyśmy im drogę do Twierdzy.

– Jesteś zabójcą! – warknęła. – Powinieneś umieć odzyskać ciało tak, by cię nikt nie zauważył.

– Gdybyś tam była, podjęłabyś taką samą decyzję.

Celaena wstała tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się z hukiem na ziemię.

– Gdybym tam była, pozabijałabym ich wszystkich, aby tylko odzyskać ciało Bena! – zawołała i uderzyła dłońmi w stół. Szklanki i kieliszki zadrżały.

Sam również się zerwał, a jego dłoń opadła na rękojeść miecza.

– Posłuchaj sama siebie! Pouczasz nas, jakbyś to ty rządziła Gildią Zabójców! Póki co nie ty tu jesteś szefem! – Pokręcił głową i dodał: – Póki co.

– Dość tego! – Arobynn podniósł się z krzesła.

Celaena i Sam ani drgnęli. Pozostali zabójcy nie odezwali się

słowem, choć każdy z nich chwycił za broń. Dziewczyna widziała na własne oczy niejedną walkę stoczoną w Twierdzy i wiedziała, że każdemu w równym stopniu zależało na własnym bezpieczeństwie oraz na tym, aby Sam i Celaena nie zrobili sobie krzywdy.

– Dość!

Gdyby Sam zrobił choć krok, a klinga jego miecza by drgnęła, sztylet ukryty w fałdach jej szaty wbiłby mu się w szyję.

Arobynn złapał podbródek chłopaka dłonią i zmusił go, aby na niego spojrzał.

– Uspokój się, chłopcze, albo zaraz ja cię uspokoję – mruknął. – Tylko idiota mógłby chcieć rzucić jej teraz wyzwanie.

Celaena zdusiła ripostę. Dałaby sobie radę z Samem zarówno tej nocy, jak i każdej innej. W walce zawsze go pokonywała.

Chłopak puścił rękojeść miecza, a Arobynn po chwili uwolnił jego podbródek, ale nie cofnął się. Sam wbił spojrzenie w podłogę i oparł się o przeciwległą ścianę. Wystarczyłby jeden ruch nadgarstka i z jego gardła buchnęłaby krew.

– Celaena... – odezwał się Arobynn. Jego głos odbił się echem po komnacie.

Tej nocy przelano już wystarczająco dużo krwi. Nie potrzebowali kolejnej wyrwy we własnych szeregach.

Ben.

Ben nie żył. Już nigdy nie wpadnie na niego w korytarzach Twierdzy. Jego spokojne, zręczne dłonie już nigdy nie będą opatrywać niczyich ran, a żarty i sprośne anegdoty nigdy nie wywołają jej śmiechu.

– Celaena... – ostrzegł ją ponownie Arobynn.

– Już wszystko w porządku – parsknęła. Rozprostowała napięte mięśnie szyi i przeczesła dłonią złociste włosy. Ruszyła ku drzwiom, ale zatrzymała się na progu. – Jeszcze jedno – rzuciła do wszystkich, ale patrzyła na Sama. – Mam zamiar odzyskać ciało Bena.

Na twarzy chłopaka zadrżał jeden mięsień, lecz młodzieniec rozsądnie nawet na nią nie spojrzał.

– Ale nie spodziewajcie się po mnie podobnej uprzejmości, gdy wybije wasza godzina – dodała.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła po spiralnych schodach do pokoi na górze. Nikt jej nie zatrzymywał, gdy piętnaście minut później

wyszła przez główną bramę i znalazła się na cichych ulicach miasta.



## Rozdział drugi

**D**wa miesiące, trzy dni i około ośmiu godzin później zegar stojący na kominku wybił południe. Kapitan Rolfe, Władca Piratów, spóźnił się. Celaena i Sam również nie dotarli na czas, ale Rolfe, który miał się pojawić już dwie godziny temu, nie miał żadnej wymówki. Przecież spotkanie miało mieć miejsce w jego biurze.

Ich własne spóźnienie nie było od nich zależne. Celaena nie miała wpływu na podmuchy wiatru i przypuszczała, że ci tchórzliwi żeglarze raczej się nie spieszyli, płynąc przez archipelag Martwych Wysp. Nie chciała nawet myśleć o tym, ile Arobynn musiał im zapłacić, aby wpłynęli w samo serce pirackiego terytorium, ale Zatoka Czaszek znajdowała się na wyspie i zabójcy nie mieli wyboru. Musieli dostać się tam statkiem.

Celaena miała na sobie tunikę oraz nieco zbyt obszerny płaszcz, a twarz ukryła za maską z hebanu. Podniosła się z krzesła stojącego przed biurkiem Władcy Piratów. Dlaczego kazał jej czekać? Co za bezczelność! Przecież doskonale wiedział, dlaczego tu przybyli. Niedawno znaleziono ciała trzech zabójców zamordowanych przez piratów i Arobynn mianował ją osobistą emisariuszką. Ich śmierć pociągała za sobą straty dla Gildii i Celaena miała domagać się od Rolfe'a odszkodowania, najlepiej w postaci złota.

– Za każdą minutę oczekiwania dołożę mu dziesięć sztuk złota – powiedziała do Sama. Maską wyciszała i zniekształcała jej słowa.

Chłopak, który nie zakrył swej przystojnej twarzy, skrzyżował ręce na piersiach i skrzywił się.

– Nie ma mowy. List od Arobynna został zapieczętowany i takim pozostanie. – Jego brązowe oczy zmrużyły się, gdy patrzył na nią.

Żadne z nich nie było szczególnie zadowolone, gdy Arobynn oznajmił, że Sam będzie towarzyszył Celaenie w drodze na Martwe Wyspy, tym bardziej że ciało Bena – które dziewczynie w istocie udało się odzyskać – spoczywało w ziemi dopiero od dwóch miesięcy. Zabójczyni wciąż odczuwała żal na myśl o stracie towarzysza.

Sam oficjalnie miał być jej ochroniarzem, ale Celaena wiedziała, że

ich mentorowi przyświecał inny pomysł. Młodzieniec miał pilnować, aby dziewczyna nie zrobiła niczego głupiego. Ona jednakże nie miała zamiaru poważyć się na żaden nieodpowiedzialny czyn podczas spotkania z Władcą Piratów Erilei. Wiedziała, że kolejna szansa na spotkanie z nim długo się jej nie trafi, choć niewielka, górzysta wysepka i podupadły port jak dotąd nie zrobiły na niej wielkiego wrażenia.

Spodziewała się ujrzeć wystawną kamienicę przypominającą Twierdzę Zabójców lub przynajmniej stary, ale wciąż mocny zamek, lecz Władca Piratów wybrał na swą siedzibę piętro dość podejrzanej tawerny. Sufit znajdował się nisko, drewniane podłogi skrzypiały z każdym krokiem, a w pomieszczeniu brakowało okien. Na zewnątrz panował upał typowy dla południowych wysp i duchota w środku była nie do zniesienia. Grubo ubrana Celaena pocila się niemiłosiernie, ale nie żałowała swoich decyzji w kwestii ubioru. Gdy szli przez Zatokę Czaszek, ludzie oglądali się za nią. Powiewająca czarna peleryna, wytworny czarny strój oraz maska zamieniły ją w tajemniczą wysłanniczkę ciemności. W rozmowie z kimś takim człowiek tracił nieco pewności siebie, co zawsze mogło pomóc.

Celaena podeszła do drewnianego biurka i dłońmi w czarnych rękawiczkach podniosła jakiś dokument. Odwróciła go, aby zapoznać się z treścią. Raport pogodowy. Ale nuda.

– Co robisz?

Dziewczyna podniosła kolejny papier.

– Jeśli jego Pirackiej Mości nie chciało się tu dla nas posprzątać, nie widzę powodu, dla którego nie mogę się przyjrzeć jego dokumentom.

– Będzie tu lada chwila – syknął chłopak.

Celaena ujęła rozłożoną mapę w dłonie i przyjrzała się kropkom ciągnącym się wzdłuż linii brzegowej kontynentu oraz ich opisom. Coś niewielkiego i okrągłego zalśniło pod mapą. Dziewczyna wsunęła to do kieszeni, zanim Sam zdołał cokolwiek zauważyć.

– Och, cicho bądź – powiedziała i otworzyła skrzynię stojącą przy ścianie niedaleko biurka. – Podłoga tak trzeszczy, że usłyszymy go, gdy będzie w odległości kilometra.

Skrzynia była pełna zwojów, piór oraz dziwacznych monet. Zabójczyni zauważyła również butelkę niezwykle starej, wyglądającej na drogą brandy. Wyciągnęła ją i w promieniach słońca, wpadających

przez niewielkie okno, przyjrzała się rozkołysanemu, bursztynowemu płynowi.

– Chcesz łyka?

– Nie! – warknął Sam i odwrócił się nieco na krześle, aby mieć oko na drzwi. – Odłóż to. Natychmiast!

Dziewczyna przechyliła głowę, zakręciła zawartością kryształowej butelki i odłożyła ją na miejsce. Sam westchnął. Maską Celaeny skrywała jej szeroki uśmiech.

– Nie wydaje mi się, aby ten Rolfe był wielkim władcą – powiedziała – skoro tak prezentuje się jego osobiste biuro.

Sam wydał z siebie stłumiony jęk zgrozy, gdy dziewczyna rozsiadła się na wielkim fotelu za biurkiem, zaczęła otwierać księgi i przyglądać się dokumentom. Pirat miał mało wyraźny, niemal nieczytelny charakter pisma, a na jego podpis składało się kilka pętli i ostrych zawijasów.

Nie wiedziała, czego szuka. Uniosła nieco brwi na widok fioletowej, skropionej perfumami kartki podpisanej imieniem Jacqueline. Rozparła się w fotelu, ułożyła nogi na blacie i przeczytała treść.

– Cholera, Celaeno!

Uniosła brwi, ale uświadomiła sobie, że niczego nie widzi. Maską oraz strój były niezbędnym środkiem ostrożności, dzięki którym łatwiej było jej ukryć to, kim jest. Co więcej, wszyscy zabójcy Arobynna poprzysięgli, że nie ujawnią jej tożsamości nawet w obliczu niekończących się tortur lub śmierci.

Dziewczyna sapnęła, choć przez to pod maską zrobiło się jeszcze goręcej. Świat nie wiedział o Celaenie Sardothien, Zabójczynie Adarlanu, nic poza tym, że była płci żeńskiej, a ona sama bardzo chciała ten stan utrzymać. Czy w innej sytuacji mogłaby spacerować po szerokich alejach Rifthold lub zakradać się na wspaniałe przyjęcia, na których podawała się za zamorską szlachciankę? Co prawda wolałaby, aby Rolfe mógł podziwiać jej piękną twarz, ale musiała przyznać, że dzięki przebraniu wydawała się groźniejsza i robiła większe wrażenie, tym bardziej że przez maskę jej głos brzmiało chryple i zgrzytliwie.

– Wracaj na miejsce! – Sam sięgnął po miecz, ale przypomniał sobie, że oddali oręż strażnikom przy wejściu. Oczywiście żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z tego, że nawet rozbrojeni Sam i Celaena byli

niezwykle niebezpieczni. Nie potrzebowali noży, aby zabić Rolfe'a. Mogliby równie dobrze odebrać mu życie gołymi rękami.

– Chcesz ze mną walczyć? – Dziewczyna rzuciła list miłosny na biurko. – Nie wydaje mi się, abyśmy zrobili w ten sposób dobre wrażenie na naszych nowych znajomych.

Założyła ręce na piersi i spojrzała na turkusowe morze, widoczne między podupadłymi budowlami Zatoki Czaszek.

Sam podniósł się nieco z krzesła.

– Wracaj na miejsce, dobra?

Celaena przewróciła oczami, choć chłopak nie mógł tego dostrzec.

– Spędziłam dziesięć dni na morzu. Dlaczego mam teraz siedzieć na niewygodnym krześle, skoro ten fotel o wiele bardziej pasuje do mojego stylu?

Sam warknął głucho, ale zanim się odezwał, drzwi otworzyły się. Do środka wszedł kapitan Rolfe, Władca Piratów. Młodzieniec zamarł, ale Celaena powitała przybysza skinieniem głowy.

– Cieszę się, że się rozgościliście – rzekł pirat i zamknął za sobą drzwi, co było dość śmiałym posunięciem, zważywszy na to, kto przebywał w jego biurze. Był wysokim mężczyzną o ciemnych włosach.

Dziewczyna nie ruszyła się z fotela. Cóż, pirat zdecydowanie wyglądał inaczej, niż sobie go wyobrażała. Rzadko kiedy coś ją naprawdę zaskakiwało, ale spodziewała się, że ujrzy kogoś nieco bardziej zapuszczonego i odzianego w barwniejsze, bardziej krzykliwe szaty. Słyszała wiele historii o dzikich wyczynach Rolfe'a i trudno było jej uwierzyć, że ma przed sobą legendarnego pirata. Przybysz był bowiem człowiekiem szczupłym, lecz nie żylastym, ubranym dobrze, ale bez przepychu, i liczył sobie najwyżej trzydzieści lat. Być może on również ukrywał swą tożsamość przed wrogami.

Sam wstał i pochylił lekko głowę.

– Jestem Sam Cortland – rzekł.

Rolfe wyciągnął rękę na powitanie. Celaena przyglądała się jego wytatuowanym palcom, ściskającym szeroką, silną rękę chłopaka. Mapa... To była owa mityczna mapa, za którą sprzedał duszę! Miał ją wytatuowaną na dłoniach! Była to mapa wszystkich oceanów świata, która zmieniała się, aby pokazać sztormy, wrogów oraz... skarby.

– Rozumiem, że ty nie musisz się przedstawiać. – Rolfe odwrócił się do niej.

– Nie. – Celaena rozsiadła się wygodniej w fotelu. – Nie muszę.

Pirat zachichotał. Na jego opalonej twarzy pojawił się krzywy uśmiech. Podszedł do skrzyni, dzięki czemu dziewczyna mogła mu się lepiej przyjrzeć. Mężczyzna miał szerokie ramiona, trzymał głowę wysoko, a w jego ruchach krył się swobodny wdzięk, który brał się ze świadomości, że dzierżył w tym miejscu absolutną władzę. Nie nosił też broni. Było to kolejne śmiałe, a także mądre posunięcie, gdyż zabójcy mogli wykorzystać ją przeciwko niemu.

– Brandy? – zapytał.

– Nie, dziękujemy – rzekł Sam.

Celaena czuła na sobie wściekły wzrok chłopaka. Chciał ją zmusić, aby zdjęła nogi z biurka żeglarza.

– Nosząc taką maskę, i tak nie byłabyś w stanie się napić. – Rolfe zamyślił się. Nalał sobie brandy i pociągnął długi łyk. – Pewnie jest ci gorąco w tym stroju – powiedział.

Celaena opuściła stopy na podłogę i przesunęła dłońmi wzdłuż wygiętej krawędzi biurka, rozprostowując ramiona.

– Jestem przyzwyczajona.

Rolfe znów upił łyk i zerknął na nią znad kieliszka. Miał oczy równie lśniące i zielone, jak morską wodą wzdłuż nabrzeża, ciągnącego się kilka ulic dalej. Opuścił naczynie i stanął przy biurku.

– Nie wiem, jak rozwiązujecie problemy na północy, ale my tutaj lubimy wiedzieć, z kim rozmawiamy.

Dziewczyna przechyliła głowę.

– Jak sam powiedziałaś, nie trzeba mnie przedstawiać. Chodzi ci zapewne o przywilej ujrzenia mojej pięknej twarzy? Obawiam się, że niewielu mężczyzn dotąd sobie na niego zasłużyło.

Wytatuowane palce Rolfe'a zacisnęły się mocniej na kieliszku.

– Złaz z mojego fotela.

Sam napiął mięśnie. Celaena jednakże przyjrzała się raz jeszcze rzeczom rozrzuconym na biurku Rolfe'a i pokręciła głową z dezaprobatą.

– Powinieneś wziąć się za ten bałagan.

Wyczuła, że pirat chce ją złapać za ramię. Zerwała się, zanim jego palce zdołały musnąć czarną wełnę jej peleryny. Był wyższy od niej o głowę.

– Nie robiłabym tego na twoim miejscu – oznajmiła.

W oczach Rolfe'a błysnęła ochota do podjęcia wyzwania.

– Jesteś w moim mieście, na mojej wyspie – powiedział. Dzieliły ich zaledwie centymetry. – Nie ty wydajesz tu polecenia.

Sam odkasznął, ale Celaena wpatrywała się w oczy Rolfe'a. Pirat wbił wzrok w czerń kryjącą się pod kapturem jej peleryny. Gładka, czarna maska oraz cienie maskowały jej rysy twarzy.

– Celaeno – ostrzegł ją Sam, odkasznawszy ponownie.

– W porządku. – Dziewczyna westchnęła głośno i obesła pirata, jakby był zawadzającym jej meblem. Opadła na krzesło obok Sama, który zmierzył ją spojrzeniem tak wściekłym, że mogłoby stopić całe Mroźne Pustkowie.

Celaena czuła, że Rolfe śledzi każdy jej ruch, ale zanim usiadła, poprawiła jeszcze poły tuniki. Zapadła cisza, przerywana krzykiem mew krążących nad miastem i nawoływaniem piratów na brudnych ulicach.

– No i? – Rolfe oparł przedramiona na biurku.

Sam spojrzał na swoją towarzyszkę. Nadeszła jej chwila.

– Dobrze wiesz, dlaczego się tu znaleźliśmy – powiedziała Celaena.

– Ale niewykluczone, że od tej brandy pomieszało ci się w głowie. Mam ci odświeżyć pamięć?

Rolfe machnął pokrytą zielonymi, niebieskimi i czarnymi tatużami dłonią, jakby był królem siedzącym na tronie i słuchającym skarg motłochu.

„Osioł”.

– W Bellhaven odnaleziono ciała trzech zabójców z naszej Gildii. Ten, któremu udało się uciec, powiedział, że zostali zaatakowani przez piratów – rzekła Celaena i założyła ramię za oparcie krzesła. – Przez twoich piratów.

– A skąd ów człowiek wiedział, że to byli moi ludzie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Może to przez te tatuże?

Wszyscy podwładni Rolfe'a nosili bowiem ten sam znak – była to barwna dłoń.

Mężczyzna otworzył szufladę, wyciągnął jakiś dokument i zapoznał się z jego treścią.

– Gdy uświadomiłem sobie, że Arobynn Hamel może chcieć obarczyć mnie winą, kazałem mistrzowi stoczni w Bellhaven przysłać mi te

dokumenty. Wynika z nich, że incydent miał miejsce o trzeciej nad ranem w dokach.

Tym razem odezwał się Sam:

– To prawda – rzekł.

Rolfe złożył papier i uniósł wzrok ku niebu.

– A więc do incydentu doszło o trzeciej nad ranem w dokach, gdzie nie ma żadnych lamp ulicznych. Wiecie o tym, prawda?

Celaena nie miała o tym bladego pojęcia.

– Jak zatem wasi zabójcy mieli ujrzeć owe tatuaże?

Dziewczyna skrzywiła się, choć maska ukryła grymas.

– Bo do morderstwa doszło trzy tygodnie temu, podczas pełni.

– Aha, jasne. Ale przecież to wczesna wiosna. Nawet w mieście położonym tak daleko na północ jak Bellhaven noce są nadal zimne. Nawet gdyby moi ludzie nie założyli kurtek...

– Dość – parsknęła Celaena. – Przypuszczam, że na tym świstku masz jeszcze dziesięć beznadziejnych wymówek chroniących twoich ludzi.

Podniosła sakwę z podłogi i wyjęła z niej dwa zapieczętowane dokumenty.

– To dla ciebie – rzekła i rzuciła mu je na biurko. – Od naszego mistrza.

Na twarzy Rolfe'a pojawił się uśmiech, ale przyciągnął dokumenty do siebie i przyjrzał się pieczęciom. Obejrzał je pod światło.

– Jestem zdziwiony, że nikt nie próbował jeszcze ich zdjąć – powiedział.

Jego oczy rozbłysły, jakby planował psotę. Celaena wyczuwała, że siedzący obok niej Sam aż promienieje zadowoleniem z siebie.

Rolfe wyciągnął nożyk i rozciął obie koperty dwoma zręcznymi ruchami. Jak to możliwe, że nie zauważyła tej broni? Koszmarny błąd.

Znów zapadła cisza. Pirat czytał listy z uwagą, a jego jedyną reakcją było bębnienie palców na drewnianym biurku. Upał narastał i po plecach Celaeny spływał pot. Mieli zatrzymać się w Zatoce Czaszek na trzy dni. Rolfe przez ten czas miał zgromadzić pieniądze, które był im winien. Sądząc po pogłębiającej się zmarszczce na czole pirata, było ich całkiem sporo.

Skończywszy czytać, Rolfe wypuścił powietrze z płuc i ułożył listy obok siebie.

– Wasz mistrz stawia ostre warunki – rzekł, patrząc to na Celaenę, to na Sama. – Niemniej jednak nie są one nieuczciwe. Być może powinniście byli przeczytać te listy, zanim zaczęliście obrzucać oskarżeniami mnie i moich ludzi. Nie będzie żadnej rekompensaty za tych martwych zabójców. Wasz mistrz zgadza się, że ich śmierć nie była w żadnym wypadku moją winą. Wygląda na to, że ten człowiek ma nieco zdrowego rozsądku.

Celaena zdusiła w sobie ochotę, aby wychylić się do przodu. Skoro Arobynn nie domagał się zapłaty za śmierć owych zabójców, co oni tu właściwie robili? Na jej policzki wypłynął płonący rumieniec. Zrobiła z siebie idiotkę, nieprawdaż? Jeśli na twarzy Sama pojawi się choćby cień uśmiechu...

Rolfe ponownie zabębnił po stole wytatuowanymi palcami i przecesał dłonią ciemne, sięgające ramion włosy.

– A co do zaproponowanej przez niego umowy handlowej... Poproszę moich księgowych, aby podliczyli niezbędne wydatki, ale będziecie musieli powiedzieć Arobynnowi, że może się spodziewać pierwszych zysków dopiero podczas drugiej dostawy, choć nie ma co do tego pewności. Osobiście obstawiałbym trzecią. Jeśli ma z tym jakiś problem, będzie musiał pofatygować się tu sam, aby mi o tym powiedzieć.

Zyski? Dostawa? Celaena po raz pierwszy w życiu naprawdę cieszyła się, że ma na twarzy maskę. Wyglądało bowiem na to, że wysłano ich z propozycją jakiejś inwestycji handlowej. Zerknęła na Sama, który kiwał głową, słuchając Rolfe'a. Wyglądało na to, że dokładnie wie, o czym mówi Władca Piratów.

– Kiedy mamy się spodziewać pierwszej dostawy? – spytał. – Co mamy przekazać Arobynnowi?

Rolfe wepchnął listy do szuflady w biurku i zamknął ją na klucz.

– Niewolnicy dotrą tu za dwa dni. Będą gotowi na wasz wyjazd trzeciego dnia. Mogę nawet pożyczyć wam okręt. Będziecie mogli powiedzieć tym trzęsącym się ze strachu nieborakom, którzy was tu przywieźli, że mogą wracać do Rifthold choćby i dziś, jeśli mają na to ochotę.

Celaena wpatrywała się w pirata. Arobynn wysłał ich tu w sprawie... W sprawie niewolników? Czyżby upadł aż tak nisko? I dlaczego zataił przed nią prawdziwy cel misji? Jej nozdrza rozszerzyły



się. Sam wiedział o wszystkim, ale jakoś nie raczył jej o tym wspomnieć, choć spędzili razem dziesięć dni na morzu. Gdy tylko znajdą się na osobności, dołoży wszelkich starań, aby tego pożałował. Ale póki co nie mogła pozwolić na to, by Rolfe złapał ją na niewiedzy.

– Lepiej tego nie schrzań – ostrzegła Władcę Piratów. – Arobynn nie będzie zadowolony, jeśli coś pójdzie nie tak.

Rolfe zachichotał.

– Masz moje słowo, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Nie bez powodu jestem Władcą Piratów.

Celaena pochyliła się ku niemu.

– Od jak dawna handlujesz niewolnikami? – spytała. Usiłowała mówić w sposób pozbawiony emocji, niczym partner handlowy omawiający szczegóły kontraktu.

Z pewnością działalność ta nie trwała długo. Adarlan zaczął łapać i sprzedawać niewolników około dwóch lat temu. Większość z nich była jeńcami wojennymi z terytoriów, które ośmieliły się przeciwstawić adarlańskim podbojom. Wielu pochodziło z Eyllwe, ale zdarzali się również więźniowie z Melisande oraz Finntierland, a także z plemienia zamieszkującego Góry Białego Kłosa. Większość trafiała do Calaculli lub Endovier, największych i owianych najgorszą sławą obozów pracy, gdzie wydobywali sól oraz cenne metale, ale coraz więcej z nich trafiało na dwory adarlańskiej szlachty. Celaena nigdy by się nie spodziewała, że Arobynn zajmie się tak brudnymi umowami. Z pewnością kiepsko to wpłynie na reputację Gildii Zabójców.

– Uwierz mi. – Rolfe skrzyżował ramiona. – Mam wystarczająco dużo doświadczenia. Powinnaś raczej martwić się o swego mistrza. Inwestycje w handel niewolnikami to gwarantowany zysk, ale będzie musiał postarać się bardziej, niż myśli, jeśli nie chce, aby wieść o jego działalności dotarła do niewłaściwych uszu.

Dziewczyna poczuła chłód w żołądku, ale najlepiej jak umiała, udała brak zainteresowania, gdy odpowiadała:

– Arobynn to doświadczony człowiek interesu. Zrobi dobry użytek ze wszystkiego, co tylko zdołasz dostarczyć.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. Nie chciałbym narazić swojej reputacji – rzekł Rolfe i wstał. Celaena i Sam zrobili to samo. – Jutro otrzymacie podpisane dokumenty, a teraz przygotuję dla was dwa

pokoje. – Wystarczy jeden – przerwała mu dziewczyna.

Rolfe znacząco uniósł brwi.

Twarz zabójczynie znów zapłonęła rumieńcem, a Sam parsknął śmiechem.

– Jeden pokój, ale dwa łóżka!

Rolfe zachichotał, podszedł do drzwi i otworzył je przed nimi.

– Jak sobie życzycie. Każę również przygotować dla was kąpiel.

Zabójcy wyszli w ślad za piratem na ciemny, wąski korytarz.

– Choć w sumie moglibyście się wykąpać w jednej balii – dodał i mrugnął.

Celaena musiała wyteńczyć całą siłę woli, aby powstrzymać się przed uderzeniem go poniżej pasa.

## Rozdział trzeci

**P**okoik był ciasny i po pięciu minutach mieli już pewność, że w ścianach nie ukryto dziur do podglądania ani pułapek. Zabójcy podnieśli oprawione w ramki obrazki na ścianach wyłożonych drewnianą boazerią, ostukali drewniane płytki na podłodze, zatkali szczelinę między progiem a drzwiami i zasłonili okno czarnym, wyświechtanym płaszczem Sama. Gdy Celaena miała już pewność, że nikt jej nie zobaczy ani nie usłyszy, zerwała kaptur, odwiązała maskę i odwróciła się gwałtownie ku towarzyszowi.

Sam, który siedział na niewielkim, przypominającym koję łóżku, uniósł dłonie w obronnym geście.

– Pozwól mi coś powiedzieć, zanim odgryziesz mi głowę – rzekł. Na wszelki wypadek mówił przyciszonym głosem. – Gdy podejmowałem się tego zadania, wiedziałem równie mało, co ty.

Dziewczyna zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, ciesząc się podmuchem świeżego powietrza na lepkiej od potu twarzy.

– Doprawdy?

– Nie tylko ty opanowałaś sztukę improwizacji. – Sam zrzucił buty i rozsiadł się na łóżku. – Ten człowiek jest zachwycony sobą w tym samym stopniu co ty. Nie chcemy, aby doszedł do wniosku, że ma w tym przedsięwzięciu przewagę.

Celaena wbiła paznokcie w skórę dłoni.

– Dlaczego Arobynn miałby nas tu przysłać, nie zdradzając prawdziwych powodów? Mielibyśmy udzielić Rolfe’owi reprimendy za przestępstwo, którego nie popełnił? A może Rolfe nas okłamał i list miał zupełnie inną treść? – Wyprostowała się. – Tak, to może być...

– Nie okłamał nas w tej kwestii, Celaeno – rzekł Sam. – Po co miałby to robić? Ma o wiele ważniejsze sprawy na głowie.

Zabójczynie wymruczała kilka wściekłych przekleństw pod nosem i zaczęła się przechadzać po pokoju. Jej czarne buty stukały na nierównych płytkach.

„Władca Piratów... Też mi władca! Naprawdę nie mógł nas ulokować w lepszym pokoju? Przecież jestem Zabójczynią Adarlanu,

prawą ręką samego Arobyinna Hamela, a nie byle ulicznicą!”

– Ponadto Arobyinn ma istotne powody. – Sam wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy.

– Niewolnicy! – Celaena wypowiedziała to słowo z pogardą. Chciała przeczesać dłonią włosy, ale palce utknęły jej w warkoczu. – Dlaczego Arobyinn miałby chcieć angażować się w handel niewolnikami? Przecież nie upadliśmy aż tak nisko! Nie potrzebujemy tych pieniędzy!

Chyba że Arobyinn kłamał i nie miał już czym płacić za rozrzutny styl życia. Dziewczyna zawsze uważała, że jej mentor dysponuje niezmiernym bogactwem. Przecież wydał fortunę, aby ją wychować i wykształcić. Sama garderoba kosztowała majątek. Gdyby podliczyć cenę futer, jedwabów, diamentów i cotygodniowych zabiegów kosmetycznych... Oczywiście od początku wiedziała, że będzie musiała te pieniądze zwrócić, i od pewnego czasu oddawała mu część zarobków, ale...

A może Arobyinn po prostu chciał powiększyć swój majątek. Gdyby Ben żył, na pewno by się na to nie zgodził. Byłby zdegustowany takim pomysłem. Zabijanie skorumpowanych urzędników rządowych to jedno, ale przechwytywanie jeńców wojennych, odbieranie im chęci do walki i skazywanie na dożywotnią niewolę?

Sam otworzył jedno oko.

– Masz zamiar się wykapać czy mogę pójść pierwszy?

Celaena cisnęła w niego płaszczem. Sam złapał go jedną ręką i rzucił na ziemię.

– Ja pójde pierwsza – zdecydowała.

– A jakże by inaczej.

Obrzuciła go wrogim spojrzeniem i wpadła do łazienki, zatraskując za sobą drzwi.

Ze wszystkich obiadów, w których uczestniczyła, ten był zdecydowanie najgorszy. Nie chodziło bynajmniej o towarzystwo, które – jak z niechęcią przyznała – wydawało się dość ciekawe, ani też o jedzenie wyglądające i pachnące znakomicie. Problemem było to, że nie mogła niczego zjeść ze względu na maskę. Sam, oczywiście, nakładał sobie dodatkową porcję każdej potrawy tylko po to, aby sobie z niej zadrwić, i Celaena, która siedziała po lewicy Rolfe’a, zaczynała mieć nadzieję, że jedzenie zostało zatrute. Chłopak jednakże częstował

się tylko tymi daniami, których wcześniej próbował pirat, więc istniała niewielka szansa, że jej marzenie się spełni.

– Panno Sardothien – rzekł Rolfe, unosząc wysoko brwi. – Z pewnością burczy pani w brzuchu. Czyżby moje jedzenie nie było wystarczająco wykwintne dla twego wyrafinowanego podniebienia?

Celaenie, która nadal miała na sobie pelerynę, płaszcz oraz ciemną tunikę, nie tylko burczało w brzuchu, lecz także było gorąco. Ponadto była spragniona oraz zmęczona, co w połączeniu z jej wybuchowym temperamentem zazwyczaj dawało niebezpieczną mieszankę. Oczywiście nikt z obecnych nie miał o tym pojęcia.

– Dziękuję, niczego nie potrzebuję – skłamała, obracając pucharek w dłoni. Woda omywała brzegi naczyń, drażniąc ją z każdym obrotem. Odstawiła je.

– Może gdybyś zdjęła maskę, łatwiej byłoby ci jeść – rzekł Rolfe i ugryzł kawałek pieczeni z dzika. – Chyba że to, co się pod nią kryje, odbierze nam wszystkim apetyt.

Przy stole siedziało pięciu innych piratów, którzy byli kapitanami we flocie Rolfe'a. Słyszając słowa swego zwierzchnika, zachichotali. Dziewczyna wyprostowała się.

– Jeszcze jedno słowo – złapała puchar za nóżkę – a sam będziesz miał powód, aby nosić maskę.

Sam kopnął ją pod stołem. Odwzajemniła się tym samym, trafiając go prosto w goleń, tak mocno, że aż zakrztusił się wodą.

Kilku piratów spoważniało, ale Rolfe tylko się zaśmiał. Dziewczyna oparła dłoń w rękawiczce na poplamionym stole. Na blacie widać było liczne szczyrby i wypalone ślady, co oznaczało, że uczestniczył w niejednej burdzie. Czyżby Rolfe nie czuł żadnego pociągu do luksusu? Może nie radził sobie aż tak dobrze, skoro brał się do handlu niewolnikami. Ale Arobynn... Przecież Arobynn był bogaty niczym król Adarlanu! Dlaczego chciał upaść tak nisko?

Zielone niczym morze oczy Rolfe'a zwróciły się ku Samowi, który znów marszczył brwi.

– Widziałeś ją bez maski?

Ku jej zdumieniu chłopak skrzywił się.

– Raz – odpowiedział. Ostrzegawcze spojrzenie, którym obrzucił dziewczynę, było aż nader czytelne. – I wystarczyło.

Rolfe przyglądał się Samowi przez moment, a potem znów ugryzł

mięso.

– A więc skoro nie chcesz nam pokazać swej twarzy, może zaszczybisz nas opowieścią o tym, jak stałaś się protegowaną Arobynna Hamela?

– ćwicyłam – odparła dziewczyna obojętnym głosem. – Długie lata. Nie każdy człowiek jest w czepku urodzony i ma magiczną mapę wytatuowaną na dłoniach. Niektórzy muszą się piąć na szczyt własnymi siłami.

Rolfe zeszywniał, a pozostali kamracy przerwali jedzenie. Władca Piratów wpatrywał się w dziewczynę tak długo, aż zaczęła się wiercić pod jego spojrzeniem, a w końcu odłożył widelec. Sam przysunął się nieco do Celaeny, ale ona uświadomiła sobie, że chodziło mu nie tyle o jej bezpieczeństwo, co o ręce Rolfe'a. Pirat odwrócił je dłońmi do góry i ułożył na blacie stołu, tak by wszyscy mogli je obejrzeć.

Mapa na jego połączonych dłoniach utworzyła zarys kontynentu i... nic ponad to.

– Od ośmiu lat nawet nie drgnęła – powiedział ochryłym szeptem.

Po plecach dziewczyny przeszedł dreszcz. Osiem lat. Wtedy wypędzono lub zniszczono istoty Fae, Adarlan podbił resztę kontynentu, a magia przestała istnieć.

– Nie myśl sobie – ciągnął Rolfe, chowając dłonie – że ja nie musiałem wyrąbać sobie drogi na szczyt. Kosztowało mnie to tyle samo trudu co ciebie.

Skoro miał prawie trzydzieści lat, przypuszczalnie zabił o wiele więcej ludzi od niej. Blizny na dłoniach i twarzy świadczyły o tym, że wyrąbywanie drogi na szczyt sporo go kosztowało.

– Dobrze wiedzieć, że jesteśmy bratnimi duszami – powiedziała.

Rolfe nie miał oporów przed ubrudzeniem sobie rąk, a więc nic dziwnego, że radził sobie z handlem niewolnikami. Niemniej jednak był brudnym, krwawym piratem, a oni byli zabójcami Arobynna Hamela, ludźmi wykształconymi, zamożnymi i eleganckimi. Handel niewolnikami był poniżej ich godności.

Rolfe obdarzył ją krzywym uśmiechem.

– Zachowujesz się w ten sposób dlatego, że leży to w twojej naturze, czy może po prostu boisz się nawiązywać kontakty z ludźmi?

– Jestem najlepszą zabójczynią świata. – Celaena uniosła podbródek. – Nie boję się niczego.

– Naprawdę? – spytał Rolfe. – Bo ja jestem najlepszym piratem świata i boję się wielu ludzi. To dlatego wciąż pozostaję przy życiu.

Nie odpowiedziała.

„Jesteś świnią handlującą ludźmi” – pomyślała.

Rolfe pokręcił głową i obdarzył ją uśmiechem, który dobrze znała. Uśmiechała się w ten sposób do Sama, gdy chciała go zdenerwować.

– Dziwię się, że Arobynn nie poskromił twojej arogancji – rzekł pirat. – Twój towarzysz najwyraźniej wie, kiedy trzymać język za zębami.

Sam zakaszłał głośno i wychylił się do przodu.

– A więc może pora na ciebie, Rolfe? Opowiedz nam, jak zostałeś Władcą Piratów.

Mężczyzna przesunął palcem po długiej szczerbie wrytej w drewnianym blacie stołu.

– Zabiłem każdego pirata, który był lepszy ode mnie.

Pozostali kapitanowie, starsi, bardziej zahartowani i o wiele mniej przystojni od niego, parsknęli, ale żaden nie zaprzeczył.

– Zabiłem każdego aroganckiego drania, któremu się wydawało, że nie może przegrać z młodym człowiekiem, który ma raptem jeden statek i naprędce skleconą załogę. Pokonałem ich wszystkich, jednego po drugim. Zdobyłem w ten sposób taką sławę, że ludzie sami zaczęli do mnie ściągać. – Rolfe patrzył to na Sama, to na Celaenę. – Chcesz mojej rady? – spytał dziewczynę.

– Nie.

– Na twoim miejscu nie spuszczałbym oka z Sama. Może i jesteś najlepsza, Sardothien, ale zawsze ktoś gdzieś czeka na twoje spotkanie.

Kapitanowie wybuchnęli śmiechem, a Sam nawet nie ukrył swojego uśmiešku.

„Ty dwulicowy łajdaku” – pomyślała dziewczyna i wbiła spojrzenie w Rolfe’a. Jej żołądek aż się skręcał z głodu.

„Zjem coś później – postanowiła. – Zgarnę coś z kuchni”.

– A ty chcesz mojej rady? – spytała.

Pirat wykonał dłonią gest, który miał ją zachęcić.

– Pilnuj własnych spraw.

Rolfe uśmiechnął się leniwie.

– Nie mam nic do Rolfe’a – powiedział Sam, wpatrując się w

ciemność w ich pokoju.

Celaena, która pierwsza objęła wartość, spojrzała z niechęcią pod przeciwną ścianę, gdzie stało jego łóżko.

– Pewnie, że nie – burknęła, ciesząc się, że wreszcie mogła zdjąć maskę. Siedziała oparta o ścianę i wyskubywała nitki z koca. – W końcu zachęcał cię, abys mnie zamordował.

– Mądra rada! – Sam zaśmiał się.

Dziewczyna podwinęła rękawy tuniki. W tym przeklętym miejscu nawet w nocy panował upał.

– Zastanów się więc, czy mądrze będzie położyć się spać.

Materac Sama zatrzeszczał, gdy młodzieniec obrócił się.

– Daj spokój. Nie jesteś w stanie znieść nawet odrobiny kpiny?

– Grożenie mi śmiercią to kpiny?

– Uwierz mi, że gdybym wrócił do domu bez ciebie, Arobynn żywcem obdarłby mnie ze skóry – parsknął Sam. – Nie przesadzam. Jeśli kiedyś rzeczywiście będę chciał cię zabić, Celaeno, wybiorę sobie moment, w którym ujdzie mi to na sucho.

– Jestem ci wdzięczna. – Dziewczyna skrzywiła się.

Wachlowała dłonią spoconą twarz. Sprzedałaby duszę hordzie demonów za chłodny powiew wiatru, ale musieli zakryć okno. Nie życzyła sobie, aby jakiś wścibski łotr dowiedział się, jak wygląda. Choć z drugiej strony chciałyby ujrzeć zdumione oblicze Rolfe'a w chwili, gdy ten poznałby prawdę. Wielu ludzi akceptowało fakt, że jest młodą kobietą, ale gdyby pirat wiedział, że układa się z szesnastolatką, jego duma mocno by ucierpiała.

Mieli tu pozostać jedynie przez trzy noce. Musieli za wszelką cenę ocalić życie oraz ukryć prawdziwą tożsamość Celaeny. Krótszy sen nie był więc zbyt wielkim poświęceniem.

– Celaeno? – odezwał się Sam. – Czy naprawdę pójdzie spać to w moim przypadku wielki błąd?

Dziewczyna zamrugła, a potem roześmiała się cicho. A więc Sam brał jej groźby na poważnie. Szkoda, że z Rolfe'em było inaczej.

– Nie – odparła. – Nie dziś.

– A więc kiedy indziej – mruknął, a kilka minut później już spał.

Celaena oparła głowę o drewnianą ścianę i słuchała jego równego oddechu. Długie nocne godziny upływały jedna za drugą.



## Rozdział czwarty

Celaena nie mogła zasnąć nawet po tym, jak Sam przejął wartę. Spośród myśli tłoczących się w jej głowie na pierwszy plan wybił się pewien złożony dylemat.

Niewolnicy.

Być może gdyby Arobynn wysłał kogoś innego i zawarł umowę za jej plecami, a ona dowiedziała się o wszystkim później, nie byłaby aż tak poruszona. Ale jak mógł wysłać ją, aby odebrała ładunek niewolników, ludzi, którzy nie zrobili niczego złego, a jedynie ośmielili się walczyć o wolność i bezpieczeństwo swych rodzin?

Czy Arobynn naprawdę spodziewał się, że wypełni jego wolę? Gdyby Ben nadal żył, przypuszczalnie stanąłby po jej stronie. Pomimo swego powołania był najbardziej współczującym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznała. Z jego śmiercią w sercu dziewczyny pojawiła się pustka, której nie sposób było zapełnić.

Pociła się tak intensywnie, że prześcieradło pod nią było wilgotne, a spała tak krótko, że gdy nadszedł świt, czuła się tak, jakby stratowało ją stado dzikich koni z równin Eyllwe.

Sam w końcu szturchnął ją mało delikatnie ręką miecza. Przyjrzał się jej i stwierdził:

– Wyglądasz paskudnie.

Słyszając te słowa, Celaena uznała, że towarzysz nie zasługuje na życzliwość z jej strony. Podniosła się, weszła do łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi. Odświeżyła się najlepiej, jak umiała, mając do dyspozycji jedynie umywalkę oraz własne dłonie, a gdy po kilku minutach wróciła do pokoju, nie miała już najmniejszych wątpliwości co do jednej kwestii.

Nic na świecie ani w Piekło nie było w stanie zmusić jej do zabrania tych niewolników do Rifthold. Nie obchodziło jej, co pocnie z nimi Rolfe, ale ona nie miała zamiaru przywieźć ich do stolicy.

Oznaczało to, że miała jedynie dwa dni na zniweczenie układu Arobynna z Rolfe'em.

I znalezienie sposobu, aby ujść z życiem.

Zarzuciła pelerynę na ramiona. Żałowała, że zakrywa w ten sposób swą piękną, czarną tunikę, a zwłaszcza delikatny, złoty haft, ale peleryna również była bardzo elegancka, choć nieco przybrudziła się w podróży.

Sam leżał na łóżku i czyścił paznokcie sztyletem.

– Dokąd się wybierasz? – spytał, siadając.

„Sam z pewnością w niczym mi nie pomoże – uznała. – Będę musiała sama znaleźć sposób na wyrwanie się z tego układu”.

– Chcę zadać Rolfe’owi kilka pytań na osobności – powiedziała, po czym założyła maskę i podeszła do drzwi. – Chcę, żeby czekało tu na mnie śniadanie.

Chłopak zeszywniał i zacisnął usta.

– Co takiego?

Celaena wskazała korytarz prowadzący do kuchni.

– Śniadanie – powtórzyła powoli. – Jestem głodna.

Sam otworzył usta. Dziewczyna czekała na jego ripostę, ale zamiast tego młodzieniec uklonił się głęboko i rzekł:

– Jak sobie życzysz.

Pożegnali się kilkoma obelżywymi gestami i Celaena wyszła na korytarz.

Na ulicy roiło się od brudnych kałuż, wymiocin i innych nieczystości, których natury Celaena nie miała zamiaru dociekać. Usiłowała ominąć każdą z nich, przez co nadążenie za idącym prędko Rolfe’em nastrecało jej nieco trudności. Nad ich głowami gęstniały deszczowe chmury i wielu ludzi – obszarpanych, zataczających się piratów, prostytutek powłóczących nogami po długiej nocy i płaczących się pod nogami, bosonogich sierot – kierowało się do chylących się ku upadkowi domów.

Miasto Zatoka Czaszek nigdy nie słynęło z urody, a wiele z rozsypujących się budowli zostało najwyraźniej postawionych przy użyciu jedynie desek i gwoździ. Miejsce to słynęło głównie ze swoich mieszkańców oraz Niszczyciela Statków, ogromnego łańcucha, który wisiał w poprzek wejścia do przypominającej podkowę zatoki.

Strzegł on podejścia do Zatoki Czaszek od wieków i zgodnie ze swą nazwą mógł złamać maszt każdego statku, który w niego uderzył. Zaprojektowano go głównie po to, aby wybić potencjalnym agresorom z głowy myśl o ataku, ale z drugiej strony uniemożliwiał również

próby wymknięcia się z zatoki. Resztę wyspy pokrywały wysokie góry i kapitanom statków trudno było tu znaleźć wygodne miejsce do rzucenia kotwicy. Każda jednostka, która chciała wejść do zatoki lub ją opuścić, musiała poczekać na opuszczenie łańcucha i oczywiście przygotować się na uiszczenie wysokiej opłaty.

– Jeszcze trzy przecznice – rzekł Rolfe. – Pytaj.

Czy on umyślnie idzie tak szybko? Celaena okiełznała narastającą złość i skupiła się na podziwianiu poszarpanych, pokrytych zielenią gór, które wznosiły się nad miastem. Patrzyła na złocistą tafłę zatoki i rozkoszowała się zapachem powietrza. Złapała Rolfe'a, gdy wychodził z tawerny na jakieś spotkanie w interesach. Zgodził się, aby go odprowadziła i wypytała o wszystko po drodze.

– Czy będę miała okazję przyjrzeć się niewolnikom, gdy ci przybędą na miejsce, czy może mam ci zaufać, że przekazujesz nam dobry transport? – zapytała, siląc się na niechęć.

Było to bezczelne pytanie i pirat aż pokręcił głową. Celaena przeskoczyła nad nogami jakiegoś nieprzytomnego – a może martwego? – pijaka leżącego na ulicy.

– Przybędą tu jutro po południu. Chciałem obejrzeć ich sam, ale skoro martwisz się jakością towaru, pozwolę ci wziąć w tym udział. Potraktuj to jako przywilej.

– Gdzie? – parsknęła dziewczyna. – Na twoim okręcie?

Wiedziała, że należy przede wszystkim poznać jak najwięcej szczegółów, a potem zabrać się do układania planu. Musiała poznać zwyczaje piratów, gdyż mogły one podsunąć jej pomysł na zniweczenie układu i wykaraskanie się z całej tej sytuacji.

– Przekształciłem wielką stajnię na drugim końcu miasta w magazyn. Zazwyczaj badam niewolników właśnie tam, ale skoro wyjeżdżacie jutro rano, przyjrzymy się waszym na statku.

Cmoknęła głośno, tak by to usłyszał.

– A jak długo to potrwa?

– A masz coś lepszego do roboty? – Rolfe uniósł brew.

– Odpowiedz na moje pytanie.

Z oddali dobiegł pomruk pioruna. Dotarli do doków, które zdecydowanie zasługiwały na miano najbardziej imponującej części miasta. Statki najrozmaitszych kształtów i rozmiarów kołysały się przy drewnianych molach, a na pokładach uwijali się piraci,

przygotowując takielunek przed burzą. Widać też było samotną wieżę, strzegącą północnego wejścia do zatoki. Jej załoga opuszczała i podnosiła wielki łańcuch. Na horyzoncie poniżej wieży migotały już pierwsze błyskawice. Podczas jednego z rozbłysków Celaena zauważyła dwie katapulty przy wieży. Gdyby Niszczyciel Statków nie zdołał zgładzić intruza, katapulty miały dokończyć zadanie.

– Niech się pani nie martwi, panno Sardothien – rzekł Rolf, mijając tawerny i gospody, ciągnące się wzdłuż doków. Zostały im dwie przecznice. – Opłaca się zbadać niewolników, choć obejrzenie całej setki potrwa chwilę.

Stu niewolników na jednym statku? Jak oni się mieli tam pomieścić?

– Uznam, że dobrze spędziłam ten czas, jeśli nie będziesz próbował mnie wystrychnąć na dudka – parsknęła.

– Dobrze. Nie chcę ci dawać powodów do narzekań, a wiem, że dołożysz wszelkich starań, aby jakieś znaleźć, a zatem umówmy się tak. Dziś przybywa kolejny transport, który wieczorem będzie sprawdzany w magazynie. Chcesz mi towarzyszyć? Będziesz mogła porównać obie partie.

Znakomity pomysł. Być może będzie mogła ogłosić, że jej partia jest w gorszym stanie, odmówić jej przejęcia i po prostu wyjechać. Co prawda, wciąż będzie musiała stawić czoło Samowi, a później Arobynnowi, ale na razie nie musiała się tym przejmować.

Wzruszyła ramionami i machnęła dłonią.

– W porządku, w porządku. Wyślij po mnie kogoś, gdy nadejdzie pora. – Powietrze było niezwykle gęste i wilgotne. Celaena miała wrażenie, że nie idzie, ale płynie przez miasto. – A co nastąpi po sprawdzeniu niewolników Arobynna? – Każda, nawet najmniej istotna informacja mogła jej się przydać jako broń przeciwko Rolfe'owi. – Ja mam się nimi zajmować na statku czy zadanie to przypadnie twoim ludziom? Twoi piraci mogą sobie przecież pomyśleć, że wolno im zatrzymać część towaru.

Rolfe zacisnął dłoń na rękojeści miecza, która błysnęła mimo ciemniejącego szybko nieba. Celaena przyjrzała się baczniej jego broni – bez wątpienia był to wspaniały oręż z rękojeścią zwieńczoną głową morskiego smoka.

– Jeśli wydam rozkaz, że nikomu nie wolno tknąć twoich

niewolników, nikt ich nie tknie – wycodził przez zęby.

Jego rozdrażnienie nieoczekiwanie sprawiło jej przyjemność.

– Ale przydzielę ci kilku strażników, jeśli miałabyś dzięki temu spać lepiej. Nie chcę, aby Arobynn pomyślał, że nie traktuję jego inwestycji z należytą powagą.

Dotarli do tawerny o ścianach pomalowanych na niebiesko. Przed wejściem czekało kilku mężczyzn w ciemnych tunikach. Na widok Rolfe'a wyprostowali się i powitali go z szacunkiem.

„Czyżby to byli jego strażnicy? – pomyślała Celaena. – Dlaczego nikt nie ochrania go na ulicach miasta?”

– W porządku – powiedziała oschle. – Nie chcę spędzić tu ani chwili dłużej, niż jest to konieczne.

– Bez wątpienia nie możesz się doczekać powrotu do swych klientów w Rifthold.

Rolfe zatrzymał się przed spłowiałymi drzwiami. Na szyldzie, kołyszącym się na coraz silniejszym wietrze, widniał napis: „Morski Smok”. Identyczną nazwę nosił jego osławiony okręt, który cumował tuż za nimi, ale nie robił wielkiego wrażenia. Być może właśnie w tej tawernie mieściła się kwatery główna Władcy Piratów. Niewykluczone, że kazał Celaenie i Samowi pozostać w miejscu położonym bardziej na uboczu, gdyż ufał im w tym samym stopniu, jak oni ufali jemu.

– Myślę, że bardziej zależy mi na powrocie do cywilizowanego społeczeństwa – powiedziała ze słodkim uśmiechem.

Rolfe warknął głucho i otworzył drzwi tawerny. W środku dziewczyna dostrzegła jedynie cienie. Dobiegały stamtąd stłumione rozmowy i smród stęchłego piwa.

– Któregoś dnia – powiedział pirat cicho – ktoś zmusi cię, byś zapłaciła za swą arogancję. – W blasku błyskawicy jego oczy zalśniły zielenią. – Mam nadzieję, że będę mógł na to patrzeć.

Zatrzasnął drzwi tuż przed jej nosem.

Celaena uśmiechnęła się. W chwili gdy pierwsze, okazałe krople deszczu uderzyły w ziemię barwy rdzy, chłodząc duszne powietrze, jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

Poszło zadziwiająco łatwo.

– Czy to aby nie jest zatrute? – spytała Sama i klapnęła na łóżko. W sekundę później uderzenie pioruna zatrzęsło tawerną aż po

fundamenty. Filizanka herbaty zadrżała na spodeczku. Dziewczyna wciągnęła zapach świeżo pieczonego chleba, kiełbasy i owsianki, a potem ściągnęła kaptur i zdjęła maskę.

– Przeze mnie czy przez nich? – Sam siedział na podłodze i opierał się plecami o łóżko.

Celaena miała ochotę nieco się z nim podroczyć. Obwąchała jedzenie i spytała:

– Czy ja tu czuję belladone?

Chłopak obdarzył ją pustym spojrzeniem. Dziewczyna uśmiechnęła się lekko i oderwała kawałek chleba. Przez moment słychać było jedynie zgrzyt sztućców na wyszczerbionych naczyniach, szum ulewy za oknem i pomruki burzy.

– A więc – odezwał się Sam, gdy zabójczyni popijała herbatę. – Powiesz mi, co knujesz, czy może mam ostrzec Rolfe’a, aby spodziewał się najgorszego?

Celaena upiła kolejny łyk.

– Nie mam bladego pojęcia o czym mówisz, Samie Cortland.

– Jakie pytania mu zadałaś?

Deszcz siekł okiennice i stłumił cichy szcęk filizanki odstawianej na spodek.

– Uprzejme.

– Serio? Nie wiedziałem, że znasz znaczenie tego słowa.

– Potrafię być uprzejma, gdy mam na to ochotę.

– Chciałaś powiedzieć: „kiedy zyskuję w ten sposób to, czego chcę”.

A zatem czego chcesz od Rolfe’a?

Zabójczyni przyjrzała się towarzyszowi. Bez wątpienia nie miał żadnych moralnych dylematów związanych z umową. Nie ufał piratowi, ale nie obchodziło go, że stu niewinnych ludzi zostaje właśnie sprzedanych niczym bydło.

– Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o tej jego mapie na rękach.

– Do cholery, Celaeno! – Sam uderzył pięścią o drewnianą podłogę.  
– Nie kłam!

– Dlaczego? – Dziewczyna wydeła usta. – A skąd wiesz, że kłamię!?

Sam zerwał się i zaczął krążyć po ich małym pokoju. Odpiął górny guzik koszuli, odsłaniając skórę. Celaena niespodziewanie odniosła wrażenie, że przekroczył w ten sposób pewną granicę intymności, i odwróciła wzrok.

– Wychowywaliśmy się wspólnie! – Chłopak zatrzymał się przy jej łóżku. – Myślisz, że nie wiem, kiedy coś knujesz? Czego chcesz od Rolfe’a?

Gdyby wyznała mu prawdę, zrobiłby wszystko, co w jego mocy, aby powstrzymać ją przed zerwaniem umowy. Nie obmyśliła jeszcze całego planu, a więc musiała zataić zamiary przed Samem. Poza tym gdyby sprawdził się najgorszy scenariusz, Rolfe mógłby zabić chłopaka za współludzia. Albo za to, że ją znał.

– Może po prostu nie jestem w stanie oprzeć się jego urokowi – oznajmiła.

Sam zeszywniał.

– Ten facet jest dwanaście lat starszy od ciebie.

– No i? – spytała.

„Czy on naprawdę w to uwierzył?”

Zmierzył ją spojrzeniem tak zjadliwym, że mogło zamienić w kamień, a potem podszedł do okna i zerwał zasłaniający je płaszcz.

– Co ty robisz?

Sam otworzył szeroko drewniane okiennice, odsłaniając strugi deszczu i rozwidlone błyskawice.

– Mam już dość duchoty – oznajmił. – A Rolfe i tak kiedyś ujrzy twoją twarz, skoro jesteś nim zainteresowana. Po co więc mamy tu skwierczeć z gorąca?

– Zamknij okno! – Celaena założyła ramiona na piersi. – Zamknij je! – warknęła.

Sam ani drgnął. Dziewczyna zerwała się na równe nogi, strącając tacę z jedzeniem na materac, i odepchnęła go tak mocno, że musiał zrobić krok w tył. Starając się ukryć twarz, zatrzasnęła okno oraz okiennice, a potem zakryła je peleryną chłopaka.

– Ty idioto! – syknęła ze złością. – Co w ciebie wstąpiło?

Sam podszedł bliżej. Czuła jego gorący oddech na twarzy.

– Mam już dość tego melodramatyzmu i wszystkich bzdur, które zaczynają się dziać za każdym razem, gdy zakładasz tę kretyńską maskę. A jeszcze bardziej mam dość tego, że bez przerwy wydajesz mi polecenia!

„Aha, więc o to ci chodzi?”

– Przyzwyczaj się do tego.

Chciała wrócić na łóżko, ale Sam złapał ją za nadgarstek.

– Nie wiem, co knujesz. Nie mam pojęcia, w jaką intrygę chcesz mnie wciągnąć, ale pamiętaj, że to nie ty stoisz na czele Gildii Zabójców. Odpowiadasz przed Arobynnem!

Dziewczyna wywróciła oczami i wyrwała nadgarstek z jego dłoni.

– Dotknij mnie raz jeszcze, a urżnę ci rękę – powiedziała i podeszła do łóżka, aby pozbierać jedzenie.

Po tym incydencie w pokoju zapadła cisza.



## Rozdział piąty

**O**biad z Samem upłynął w ciszy, a o ósmej pojawił się Rolfe, aby zabrać ich do magazynu więziennego. Chłopak nawet nie pytał, dokąd się udają. Zachowywał się, jakby wiedział o wszystkim.

Na widok magazynu, który okazał się ogromnym, drewnianym budynkiem, w sercu Celaeny z niejasnego powodu obudziły się złe przecucia. Instynkt ponaglał ją do ucieczki. Gdy otwarto przed nimi drzwi, ze środka buchnął ostry smród niemytych ciał. Blask pochodni oraz prymitywnych świeczników oślepił ją na moment. Dziewczyna zamrugała kilkakrotnie i dopiero po kilku uderzeniach serca uświadomiła sobie, na co patrzy.

Rolfe, który kroczył przed nimi, nie okazywał żadnych emocji. Szedł przed siebie, mijając cele pełne niewolników. Zmierzał w stronę otwartej przestrzeni na tyłach magazynu, gdzie czterech piratów otaczało człowieka z Eyllwe o skórze barwy orzecha.

Idący obok Celaeny Sam wypuścił powietrze z ust. Jego twarz była blada. Smród był doprawdy okropny, ale widok ludzi w celach, trzymających się kurczowo krat, kulących się pod ścianami lub ściskających swe dzieci – tak, dzieci! – rozdzierał jej serce na strzępy.

Nie licząc rzadkich, stłumionych szlochów, pochodzący z wielu stron świata niewolnicy zachowywali ciszę. Niektórzy otwierali szeroko oczy na jej widok. Dziewczyna zapomniała o swoim wyglądzie – więźniowie widzieli przecież pozbawioną twarzy, strojną w powiewający płaszcz istotę, która mijała ich niczym sama Śmierć. Niektórzy nawet kreślili w powietrzu niewidzialne znaki, odpędzające zło.

Celaena przyglądała się zamkom do celi i liczyła ludzi stłoczonych w środku. Najprawdopodobniej pochodzili ze wszystkich królestw na kontynencie. Dostrzegła nawet członków górskich klanów z szarymi oczami i pomarańczowymi włosami, dzikich ludzi, którzy śledzili każdy jej krok. Widziała też kobiety oraz dziewczyny niewiele starsze od niej. Czy one również były wojowniczkami, czy może po prostu znalazły się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze?

Serce zabójczynie biło coraz szybciej. Minęło tyle lat, a ludzie nadal

usiłowali się przeciwstawić podbojom Adarlanu. Kto jednak dał Adarlanowi – bądź ludziom takim jak Rolfe – prawo, aby traktować innych w ten sposób? Nie, Adarlan nie poprzestał na samym podboju. Musiał złamać tych ludzi.

Z tego co słyszała, królestwo Eyllwe ucierpiało najbardziej. Choć ich władca już dawno przekazał władzę w ręce króla Adarlanu, żołnierze Eyllwe tu i ówdzie nadal dręczyli armie najeźdźców. Kraina ta była zbyt cenna, aby można było z niej zrezygnować. W jej obrębie leżały dwa najbogatsze miasta kontynentu, a ziemie, obfitujące w tereny rolnicze, rzeki oraz lasy, stanowiły ważny element w krwiobiegach handlowym. Wyglądało na to, że Adarlan postanowił dodatkowo zarobić na obywatelach podbitego królestwa.

Piraci pilnujący niewolników z Eyllwe rozstąpili się na widok Rolfe'a i pokłonili mu się. Celaena rozpoznała dwóch mężczyzn, których poznała na wczorajszym obiedzie – niskiego, łysiego kapitana Fairview oraz jednookiego, olbrzymiego kapitana Blackgold. Celaena i Sam zatrzymali się obok Rolfe'a. Obok stał niewolnik z Eyllwe. Mężczyzna został obdarty z odzienia, a jego szczupłe, żylaste ciało pokryte było sińcami i krwią.

– Ten tu próbował się odgryzać – rzekł Fairview.

Na ciele niewolnika połyskiwał pot, ale dumnie unosił głowę, wpatrzony w jakiś odległy, niewidoczny punkt. Miał około dwudziestu lat. Czy posiadał jakąś rodzinę?

– Zakujemy go w kajdany, a wyciągniemy za niego niezły grosz – ciągnął Fairview i wytarł twarz w rękaw karmazynowej tuniki. Złocisty haft był postrzępiony, a tkanina, która zapewne jakiś czas temu przyciągała uwagę intensywnym kolorem, była spłowiała i poplamiona. – Posłałbym go na rynek w Bellhaven. Wielu bogaczy potrzebuje tam silnych ludzi na budowie. Kobietom zaś marzą się silni mężczyźni do innych celów.

Mrugnął przy tych słowach do Celaeny.

Furia wezbrała w jej sercu z taką gwałtownością, że dziewczynie zaparło dech. Nawet nie zauważyła, że jej dłoń opadła na rękojeść miecza, ale Sam w porę zacisnął rękę na jej nadgarstku. Był to mało zauważalny, zwyczajny gest i każdy, kto by go dostrzegł, uznałby go za dowód sympatii. Sam jednakże ścisnął jej rękę na tyle mocno, że Celaena natychmiast się wszystkiego domyśliła.

„Wie, co mi przyszło do głowy”.

– Ilu z tych niewolników zostanie uznanych za użytecznych? – zapytał chłopak, rozluźniając zaciśniętą dłoń w rękawiczce. – Nasi idą w całości do Rifthold, ale to ty rozdzielasz partie, jak rozumiem?

– Sądzisz, że wasz mistrz dobił ze mną targu jako pierwszy? – spytał Rolfe. – Mamy już innych odbiorców w pozostałych miastach. Moi partnerzy handlowi w Bellhaven przekazują mi, czego poszukują bogacze, a ja dostarczam odpowiednich niewolników. Jeśli nie przychodzi mi do głowy żadne miejsce, w którym mogę ich sprzedać, wysyłam ich do Calaculli. Jeśli waszemu mistrzowi zostaną jakieś resztki, niech przekaże ich do Endovier. Adarlan nie płaci wiele za niewolników sprzedawanych do kopalni soli, ale lepszy rydz niż nic.

„A więc Adarlan nie poprzestaje na braniu ludzi do niewoli na polach bitew i wyrywaniu ich z domów rodzinnych – pomyślała Celaena. – Król kupuje ludzi również do pracy w kopalniach soli w Endovier”.

– A dzieci? – spytała, dokładając wszelkich starań, aby jej głos zabrzmiał jak najbardziej beznamiętnie. – Gdzie one trafiają?

Oczy Rolfe’a pociemniały nieco. W jego spojrzeniu pojawiło się tyle winy, że dziewczyna zapytała się w myślach, czy handel ludźmi nie był dla niego ostatnią szansą.

– Staramy się zostawiać je przy matkach – powiedział cicho. – Ale podczas aukcji nie jesteśmy w stanie nad tym zapanować.

Celaena miała ciętą odpowiedź na końcu języka, ale opanowała się i ciągnęła:

– Rozumiem. Trudno je sprzedać? Ilu dzieci możemy się spodziewać w naszej partii?

– Mamy ich tu około dziesięciorga – rzekł Rolfe. – W waszej partii nie powinno być ich więcej. A odpowiedź na twoje pierwsze pytanie brzmi: nie. Łatwo je sprzedać, jeśli wiesz, gdzie to zrobić.

– Gdzie? – dociekał Sam.

– W niektórych bogatych domach potrzeba pomocy kuchennej bądź stajennych – mówił Rolfe. Jego głos nawet nie zadrżał, ale wzrok błędził po podłodze. – Bywa, że na aukcji pojawi się jakaś burdelmama.

Twarz Sama pobladła z wściekłości. Celaena wiedziała, że istniała tylko jedna rzecz, która mogła uwolnić furię młodzieńca, a Rolfe

właśnie o tym wspomniał.

Matka Sama została sprzedana do burdelu wiele lat temu i przez całe swe zbyt krótkie dwudziestoosmioletnie życie pięła się w górę, aby z byle sieroty stać się jedną z najlepszych kurtyzan w Rifthold. Chłopak miał zaledwie sześć lat, gdy rozstała się z życiem, zamordowana przez zazdrosnego klienta. Zgromadziła nieco pieniędzy, ale nie wystarczyłoby to, aby uwolnić się z burdelu czy zapewnić Samowi dostatnie życie. Zawsze jednak była faworytą Arobynna, a ten przyjął jej syna na naukę, gdy tylko dowiedział się, że takie było jej życzenie.

– Weźmiemy to pod uwagę – rzekł ostro Sam.

Celaena zrozumiała, że nie chodzi jej już tylko o to, aby umowa między Arobynnem i Rolfe'em obróciła się wniwecz. Nie, teraz zależało jej na czymś więcej. Trzymano tu zbyt wielu niewolników. Krew dudniła jej w skroniach. Śmierć przychodziła szybko, zwłaszcza gdy sama ją zadawała, ale niewolnictwo oznaczało niekończące się cierpienie.

– Dobrze – rzekła, unosząc podbródek. Musiała się stąd wydostać i wyciągnąć ze sobą Sama, zanim ten straci panowanie nad sobą. W oczach towarzysza widziała już śmiercionośny błysk. – Z przyjemnością przyjrzę się naszej partii jutro wieczorem. A ci tutaj? – Wskazała skinieniem głowy zagrody za sobą. – Kiedy zostaną wysłani?

Było to kolejne niemądre, niebezpieczne pytanie.

Rolfe spojrział na kapitana Fairview, który potarł dłonią brudne czoło.

– Ta banda? Trza ich podzielić, a jutro pewno trafią na nowy statek. Wypłyną mniej więcej w tym samym czasie co wy. Musimy zebrać załogi.

Zaczął rozmawiać z Rolfe'em na temat obsadzenia statków, a Celaena wykorzystała ten moment, aby wyjść. Obrzuciła niewolników ostatnim spojrzeniem i opuściła magazyn cuchnący strachem i śmiercią.

– Celaeno, zaczekaj! – zawołał Sam. Szedł za nią, posapując.

Nie, nie mogła poczekać. Szła przed siebie, na ślepo, aż znalazła się na pustej plaży z dala od świateł Zatoki Czaszek. Mimo to nie zatrzymywała się, aż weszła w fale. Niedaleko wznosiła się wieża

strażnicza, a Niszczyciel Statków wisiał nad taflą, strzegąc zatoki. Księżyc w pełni opromieniał piaski i zamieniał spokojne morze w srebrzyste lustro.

Zdjęła maskę i wyrzuciła ją za siebie, a potem zerwała z siebie płaszcz i uwolniła się od butów oraz tuniki. Wilgotny wiatr muskał jej nagą skórę i szarpał biały podkoszulek z delikatnego materiału.

– Celaeno!

Ciepłe fale obmywały jej kostki. Szła naprzód, ale zanim zamoczyła kolana, Sam złapał ją za ramię.

– Co ty wyprawiasz? – spytał ostro.

Szarpnęła, ale trzymał mocno.

Odwróciła się płynnie i zaatakowała go drugą ręką, ale chłopak znał ten manewr. ćwiczył go wraz z nią od wielu lat i bez trudu unieruchomił drugie ramię.

– Przestań – powiedział, ale wtedy Celaena kopnęła go pod kolano i przewróciła na plecy. Padający Sam nie puścił jej i oboje upadli w fale. Woda i piasek wystrzeliły pod ich ciężarem.

Dziewczyna znalazła się na górze, ale Sam nie dał się zaskoczyć. Zanim Celaena zdołała grzmotnąć go łokciem w twarz, uderzył ją i wybił jej powietrze z płuc. Stracił przeciwniczkę z siebie i rzucił się do ataku, ale ona już zdołała się poderwać i kopnęła go w żołądek. Chłopak zaklął i padł na kolana. W tej samej chwili natarła na niego fala, opryskując go srebrnym deszczem.

Dziewczyna napięła mięśnie i skoczyła na niego, aż piasek zaszemrał pod jej stopami, ale Sam był już gotów. Zrobił unik, złapał ją za ramiona i rzucił na ziemię.

Wiedziała, że przegrała starcie, zanim zderzyła się z ziemią. Chłopak unieruchomił jej nadgarstki i przygniótł kolanami uda.

– Dość!

Jego palce, zaciskające się na jej nadgarstkach, sprawiały ból. Przemoczyła ich kolejna fala. Celaena rzucała się i usiłowała rozorać dłonie towarzysza paznokciami, ale nie była w stanie go dosięgnąć. Piasek, na którym leżała, był wilgotny i miękki. Nie mogła znaleźć na nim oparcia, aby zrzucić z siebie Sama, a on dobrze znał jej nawyki i od razu wiedział, którą sztuczkę pragnie wykorzystać.

– Przestań – powiedział, oddychając chrapliwie. – Proszę. – W

blasku księżycyca jego twarz wyglądała na znękaną. Oczy miał szeroko otwarte. – Proszę – powtarzał ochryple.

Rozpacz i świadomość przegranej w jego głosie sprawiły, że przestała stawiać mu opór. Tarczę księżycyca przesłoniła cienka chmura, opromieniając jego wyraziste kości policzkowe i usta, niezwykle piękne rysy, dzięki którym jego matka zyskała tak wielką sławę. Wysoko nad jego głową migotały blade gwiazdy, niemalże niewidoczne w blasku księżycyca.

– Nie puszczę cię, póki mi nie obiecasz, że nie będziesz już mnie atakować – rzekł Sam. Ich twarze dzieliły zaledwie centymetry i Celaena czuła na ustach jego oddech z każdym wypowiedzianym słowem.

Dygocząc, dwukrotnie nabrała tchu. Nie miała powodu, aby atakować Sama. Przecież gdyby nie on, sama rzuciłaby się na tego pirata w magazynie. Przecież on też ledwie się opanował, gdy usłyszał o dzieciach sprzedawanych do burdeli. Jej nogi drżały z bólu.

– Obiecuję – wymamrotała.

– Przysięgnij.

– Przysięgam na moje życie.

Przyglądał się jej jeszcze przez sekundę, a potem powoli ją uwolnił. Czekala do chwili, gdy wstanie, a potem sama się podniosła. Byli przemoczeni i oblepieni mokrym piaskiem, a dziewczyna była ponadto przeświadczona, że jej warkocz częściowo się rozplótł i wygląda, jakby postradała zmysły.

– A więc – zaczął Sam, zrzucając buty i zostawiając je na piasku za sobą – wytłumaczysz mi teraz to wszystko?

Podwinął nogawki spodni i wkroczył w fale. Celaena ruszyła za nim, brodząc przez wodę.

– Ja po prostu... – zaczęła, ale machnęła ręką i pokręciła gwałtownie głową.

– Co takiego? – spytał Sam. Jego słowa niemalże utonęły w huku fal.

Dziewczyna odwróciła się, aby na niego spojrzeć.

– Jak ty możesz patrzeć na tych ludzi i nawet palcem nie kiwnąć?

– Masz na myśli niewolników?

Celaena znów ruszyła przed siebie.

– Niedobrze mi się robi. Budzi się we mnie... Budzi się we mnie taki

szał, że mogłabym...

Nie dokończyła myśli.

– Mogłabyś co? – Sam brodził w jej kierunku, rozbryzgując wodę.

Celaena spojrzała na niego przez ramię. Młodzieniec skrzyżował ramiona, szykując się na atak.

– Mogłabyś na przykład zrobić coś tak skrajnie głupiego, jak wszczęcie walki z Rolfe'em i jego ludźmi w ich własnym magazynie?

Dziewczyna zrozumiała, że nadeszła decydująca chwila. Nie miała ochoty wciągać chłopaka do swego planu, ale ten nagle uległ zmianie. Teraz potrzebowała jego pomocy.

– Mogłabym zrobić coś tak skrajnie głupiego, jak uwolnienie więźniów – powiedziała.

Sam znieruchomiał i ucichł. Przez moment wyglądał jak posąg.

– Wiedziałem, że coś knujesz, ale uwolnienie ich...

– Zrobię to tak czy owak, bez względu na to, czy mi pomożesz, czy nie.

Z początku zamierzała jedynie doprowadzić do fiaska układy między Arobynnem i Rolfe'em, ale z chwilą gdy weszła do magazynu, wiedziała, że nie zostawi tam tych ludzi.

– Rolfe cię zabije – rzekł Sam. – A jeśli mu się nie uda, zrobi to Arobynn.

– Muszę spróbować.

– Dlaczego? – spytał chłopak. Stał tak blisko, że musiała przechylić głowę, aby spojrzeć mu w twarz. – Jesteśmy zabójcami. My zabijamy ludzi! Codziennie odbieramy życie!

– Mamy wybór – szepnęła. – Przynajmniej teraz. Gdy byliśmy dziećmi, Arobynn uratował nas od śmierci, ale teraz możemy decydować. Możemy podejmować decyzje, Sam! Ci niewolnicy zostali po prostu złapani do niewoli! Może walczyli o wolność, może po prostu mieszkali zbyt blisko pola bitewnego, a może jacyś najemnicy przechodzili przez ich miasto i wywlekli ich z domów. To niewinni ludzie!

– A my byliśmy inni?

Przez jej umysł przemknęło wspomnienie, budząc chłód w jej sercu.

– My zabijamy skorumpowanych urzędników oraz cudzołożników. Wykonujemy robotę czysto i szybko, a ci handlarze rozdzielają całe rodziny! Przecież każdy z tych ludzi miał kiedyś swoje życie!

Oczy Sama płonęły.

– Nie chodzi o to, że się z tobą nie zgadzam. Mnie też się to nie podoba. Nie chodzi mi nawet o niewolników, ale o to, że Arobynn się w to wmieszał. A te dzieci... – Podrapał się w nos. – Ale nas jest tylko dwoje, a wszędzie dookoła czyhają piraci Rolfe'a.

Dziewczyna obdarzyła go krzywym uśmiechem.

– No to całe szczęście, że jesteśmy najlepsi – powiedziała, a potem dodała: – No i całe szczęście, że zadałam mu tyle pytań co do następnych dni.

Sam zamrugał.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że to największe szaleństwo, na jakie się kiedykolwiek poważyliśmy?

– Niewykluczone. Ale z drugiej strony nigdy też nie próbowaliśmy zrobić niczego, co miałoby większe znaczenie.

Sam wpatrywał się w Celaenę tak długo i tak intensywnie, że na jej policzki wypłynął gorący rumieniec. Miała wrażenie, że jest w stanie zajrzeć do jej serca i ujrzeć wszystko, co się w nim kryje. Zaskoczyło ją, że się nie odwrócił. Krew znów zaczęła dudnić jej w żyłach.

– Myślę, że jeśli nie wyjdziemy z tego żywi, to przynajmniej zginiemy za szlachetną sprawę – powiedział.

Celaena parsknęła i wykorzystała okazję, aby się od niego odsunąć.

– Wyjdziemy z tego żywi. O ile, rzecz jasna, będziesz trzymać się mojego planu.

– Ty już masz plan? – Sam jęknął.

Dziewczyna uśmiechnęła się, a potem opowiedziała mu o wszystkim. Gdy skończyła, młodzieniec podrapał się po głowie.

– Cóż – rzekł, siadając na piasku. – To może zadziałać. Będziemy musieli zgrać nasze działania, ale...

– Ale to może się udać. – Zabójczyni usiadła obok niego.

– Gdy Arobynn dowie się o wszystkim...

– Pozostaw to mnie. Znajdę jakiś sposób, aby rozwiązać ten problem.

– Moglibyśmy... Cóż, moglibyśmy nie wracać do Rifthold – zaproponował Sam.

– Co takiego? Chciałbyś uciec?

Chłopak wzruszył ramionami. Nie spuszczał wzroku z fal, ale dziewczyna mogłaby się założyć, że się zarumienił.



- Arobynn może nas zabić.
- Gdybyśmy uciekli, polowałyby na nas do końca życia. Znalazłby nas wszędzie, nawet gdybyśmy przybrali inne imiona! – zaprotestowała Celaena.
- „Przecież nie mogę zostawić swego dotychczasowego życia!” – pomyślała.
- Zainwestował w nas zbyt wiele pieniędzy, a my jak dotąd nie spłaciliśmy całego długu – dodała. – Uzna to za złą inwestycję.
- Sam spojrział ku północy, jak gdyby był w stanie ujrzeć rozległą stolicę i górujący nad nią szklany zamek.
- Myślę, że tu chodzi o coś więcej niż tylko układ handlowy.
- Co masz na myśli?
- Sam rysował kółka na piasku.
- Po pierwsze, zastanawia mnie, dlaczego wysłał naszą dwójkę. Prawdziwy powód naszej wyprawy okazał się kłamstwem. Nie jesteśmy mu potrzebni do zrealizowania tej umowy. Przecież mógł wysłać dwóch innych zabójców, którzy nie skaczą sobie do gardeł przez cały czas.
- Co ty sugerujesz?
- Może Arobynn po prostu chciał się nas pozbyć z Rifthold. Może chciał, żebyśmy na miesiąc opuścili miasto.
- Celaenę przeszedł dreszcz.
- Arobynn nie zrobiłby czegoś takiego – powiedziała.
- Nie? – spytał Sam. – A czy dowiedzieliśmy się w ogóle, co Ben robił w terenie tej nocy, kiedy złapano Gregoriego?
- Jeśli chcesz dać mi do zrozumienia, że Arobynn wystawił Bena...
- Niczego nie chcę ci dać do zrozumienia. Po prostu niektóre szczegóły mi się nie zgadzają. Poza tym wciąż mam kilka pytań bez odpowiedzi.
- Nie wolno nam kwestionować woli Arobynna – szepnęła zabójczyni.
- A od kiedy niby przestrzegasz jakichkolwiek zasad?
- Celaena wstała.
- Najpierw przeżyjmy kilka następnych dni, a potem zastanowimy się nad twoimi teoriami spiskowymi.
- Sam podniósł się w okamgnieniu.
- Nie mam żadnych teorii. Mam jedynie pytania, które ty również

powinnaś sobie zadać. Dlaczego chciał, żebyśmy wyjechali właśnie w tym tygodniu?

– Możemy ufać Arobynnowi – rzekła, ale natychmiast poczuła się głupio, że w ogóle wypowiedziała te słowa.

Sam nachylił się, aby podnieść buty.

– Wracam do tawerny. Idziesz ze mną?

– Nie. Zostanę tu jeszcze przez moment.

Chłopak otaksował ją spojrzeniem, ale skinął głową.

– Mamy przyrzeć się niewolnikom Arobynna na statku jutro o czwartej po południu. Nie siedź tu przez całą noc. Musimy odpocząć, ile tylko się da.

Nie odpowiedziała i odwróciła się. Nie patrzyła, jak odchodzi ku złocistym światłom Zatoki Czaszek.

Szła wzdłuż wygiętej w łuk plaży aż do samotnej wieży strażniczej. Stojąc w ciemnościach, przyjrzała się jej uważnie, a zwłaszcza dwóm katapultom blisko szczytu oraz wielkiemu łańcuchowi nad nimi, a potem ruszyła przed siebie. Szła, aż całym jej światem stał się szmer fal, ciche westchnienia piasku pod stopami oraz błysk księżyca na wodzie. Szła, aż owionął ją zaskakująco chłodny wiatr. Wtedy się zatrzymała.

Powoli zwróciła się ku północy, skąd nadciągnął wiatr. Wyczuła w nim zapach kraju, którego nie widziała od ośmiu lat. Kryła się w nim woń świerków i śniegu, woń miasta w objęciach zimy. Oddychała głęboko i patrzyła daleko nad falami pustego, czarnego oceanu. Jakimś cudem widziała owo odległe miasto, które wieki temu było jej domem. Wiatr wyłuskiwał kosmyki włosów z jej warkocza i smagał ją nimi po twarzy. Orynth. Miasto światła i muzyki, strzeżone przez alabastrowy zamek z wieżą zbudowaną z opali, tak wysoką, że widać ją było z oddali.

Księżyc skrył się za gęstą chmurą. Nagle nastąpiły ciemności, a gwiazdy zapłonęły jaśniej. Celaena знаła wszystkie konstelacje i odruchowo odnalazła Jelenia, Władcę Północy oraz nieruchomą gwiazdę, która wisiała nad jego głową niczym korona. Wtedy, wiele lat temu, nie miała żadnego wyboru. Gdyby odrzuciła propozycję Arobynna, czekałaby ją śmierć. Ale teraz...

Drżąc, nabrała tchu. Nie, w chwili obecnej miała tyle samo opcji co wtedy, gdy była zaledwie ośmiolatką. Nie widziała żadnej różnicy.

Była Zabójczynią Adarlanu, protegowaną i dziedziczką Arobynna Hamela i nic nie mogło tego zmienić.

Droga powrotna do tawerny zabrała jej dużo czasu.

## Rozdział szósty

**D**ruga noc okazała się równie gorąca i trudna do zniesienia jak pierwsza i Celaena prawie nie zmrużyła oka. Spędziła dzień, spacerując z Samem ulicami Zatoki Czaszek. Nie spieszyli się. Zatrzymywali się przy straganach ulicznych sprzedawców i zaglądali do mijanych sklepów, ale przez cały czas uzgadniali szczegóły planu, który musiał być perfekcyjnie dopracowany.

Od rybaków w dokach dowiedzieli się, że łodzie wiosłowe przycumowane do pirsu właściwie nie należały do nikogo, a jutrzejszy przyływ poranny zaczynał się tuż po wschodzie słońca. Nie dawało im to wielkiej przewagi, ale zawsze to lepiej, niż gdyby miał miejsce w południe.

Flirtując z dziewczkami na głównej ulicy, Sam dowiedział się, że raz na jakiś czas Rolfe urządzał wielką biesiadę i pokrywał wszystkie wydatki swoich piratów. Pijaństwo trwało wówczas długie dni. Chłopak dowiedział się jeszcze kilku innych rzeczy, ale o nich nie zamierzał mówić Celaenie.

Od pijanego pirata, usiłującego się pozbierać w bocznej uliczce, dziewczyna dowiedziała się, ilu ludzi pilnuje statków niewolniczych, jaką noszą broń i gdzie trzymany jest towar.

Gdy zegar wybił czwartą, oboje pojawili się na statku obiecany im przez Rolfe'a. Przyglądali się niewolnikom, z wolna wytaczającym się na szeroki pokład, i liczyli ich. W transporcie było dziewięćdziesięcioro troje dorosłych, głównie młodych mężczyzn. Wśród kobiet zdarzały się większe różnice wieku, a dzieci było niewiele, zgodnie z obietnicą Rolfe'a.

– Czy ten widok zaspokaja twój wyrafinowany gust? – spytał pirat, podchodząc do Celaeny.

– Miało być ich więcej – odpowiedziała chłodno, przyglądając się skutym łańcuchami niewolnikom.

– Miała być setka, ale siedmioro umarło podczas rejsu.

Zabójczyni zdusiła w sobie gniew. Sam, który znał ją o wiele lepiej, niż sobie tego życzyła, wtrącił się:

– A ilu trupów możemy się spodziewać w drodze do Rifthold?

Jego twarz była stosunkowo obojętna, choć brązowe oczy połyskiwały gniewem. Dobrze, a więc był dobrym kłamcą. Może równie dobrym, jak ona.

Rolfe przeczesał dłonią ciemne włosy.

– Czy wy kiedykolwiek przestajecie coś kwestionować? Nikt nie wie, ilu ludzi umrze podczas rejsu! Dawajcie im jeść i pić! To wszystko.

Celaena warknęła cicho, ale Rolfe odszedł już w stronę grupy strażników. Udali się za nim, przyglądając się ostatnim niewolnikom wypychanym na pokład.

– A gdzie są ci z wczoraj? – spytał Sam.

– Większość jest już na tamtym statku. – Rolfe machnął ręką w kierunku kotwiczącej nieopodal jednostki. – Jutro ruszą w drogę.

Nakazał jednemu z poganiaczy, aby rozpoczął inspekcję. Sam i Celaena przyjrzeni się kilkorgu niewolnikom, skomentowali ich stan i zastanawiali się głośno, ile za nich dostaną w Rifthold. Każde słowo smakowało gorzej od poprzedniego.

– Czy możesz zapewnić dobrą ochronę naszemu transportowi? – spytała dziewczyna.

Władca Piratów westchnął i pokiwał głową.

– A ta wieża na drugim brzegu zatoki? – ciągnęła zabójczyni. – Jej załoga również czuwa nad bezpieczeństwem tego statku, tak?

– Tak! – parsknął Rolfe. Celaena znów otworzyła usta, ale tym razem pirat jej przerwał: – A zanim zadasz kolejne pytanie, chciałem cię zapewnić, że zmiana wart następuje tuż przedświtem.

A więc będą musieli zająć się poranną wartą, żeby uniknąć wszczęcia alarmu o świcie. Wtedy będzie najwyższa woda. Stanowiło to pewną przeszkodę w jej planie, ale bez trudu mogli się z tym uporać.

– Ilu niewolników posługuje się naszym językiem? – spytała.

– Dlaczego pytasz? – Rolfe uniósł brew.

Czuła, że stojący obok niej Sam napiął mięśnie, ale tylko wzruszyła ramionami.

– To może zwiększyć ich wartość.

Rolfe przyjrzał się jej bacznie, ale odwrócił się ku najbliższej niewolnicy i spytał:

– Mówisz wspólnym?

Kobieta otworzyła szeroko oczy i rozejrzała się niepewnie, zakrywając ciało resztkami odzienia z futra i wełny, które z pewnością miały ją ochronić przed zimnem podczas wędrówki po lodowatych przełęczach Gór Białego Kła.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? – spytał ostro pirat.

Kobieta uniosła dłonie skute kajdanami. Skóra przy obręczach była czerwona i poraniona.

– Myślę, że to oznacza „nie” – stwierdził Sam.

Rolfe zmierzył go niechętnym spojrzeniem i ruszył wzdłuż szeregu pojmanych.

– Czy ktoś z was zna wspólny?

Powtórzył pytanie i już miał się odwrócić, gdy z szeregu wystąpił starszy mężczyzna z Eyllwe, chudy jak patyk człowiek z ciałem pokrytym sińcami i ranami.

– Ja znam – rzekł.

– Tylko ty? – warknął Rolfe na resztę. – Tylko ty i nikt inny?

Celaena podeszła do starszego mężczyzny, żeby zapamiętać jego rysy. Ten cofnął się, widząc jej maskę oraz płaszcz.

– Cóż, przynajmniej za tego uzyskamy lepszą cenę – rzuciła zabójczyni przez ramię do Rolfe’a.

Sam przywołał pirata do siebie i zaczął wypytywać go o niewolnicę z gór. Dziewczyna wykorzystała sytuację i odezwała się do starca z Eyllwe.

– Jak się nazywasz?

Jego długie, delikatne palce zadrżały.

– Dia.

– Dobrze mówisz we wspólnym?

Zapytany pokiwał głową.

– Moja... moja matka pochodziła z Bellhaven. Ojciec zaś był kupcem z Banjali. Wychowałem się, mówiąc w obu językach.

„I przypuszczalnie nie przepracowałeś ani dnia w życiu – pomyślała dziewczyna. Jak trafiłeś w sam środek tego bałaganu?”

Pozostali niewolnicy na pokładzie cofnęli się i trwożliwie zbili w grupkę, nawet lepiej zbudowani mężczyźni i kobiety z bliznami wojowników. Byli to jeńcy wojenni. Czyżby przebywali w niewoli tak długo, że utracili ducha walki? Dla ich własnego dobra miała nadzieję, że nie.

– Dobrze – powiedziała i odeszła.

Kilka godzin później dwie zamaskowane postacie wślizgnęły się do dwóch łodzi i zaczęły wiosłować w kierunku statków niewolniczych kotwiczących kilkaset metrów od brzegu. Nawet jeśli ktoś to zauważył, nie zwrócił na nich większej uwagi. Ogromne jednostki oświetlone były zaledwie kilkoma latarniami, ale księżyc świecił jasno i Celaena szybko zauważyła nazwę „Złoty Wilk”. Podpłynęła bliżej.

Na prawo od niej Sam kierował swą łódź najciszej, jak mógł, w kierunku „Oziębłego”, gdzie trzymano niewolników, których widzieli poprzedniego dnia. Ich jedynym sprzymierzeńcem była cisza i zaskoczenie, choć miasto za ich plecami pogrążone już było w pijaństwie. Wiadomość o tym, że zabójcy Arobyna Hamela płacą za wszystko w tawernie, powoli rozchodziła się po ulicach i na pierwsze grupki skorych do zabawy piratów natknęli się już w drodze do portu.

Celaena sapała przez maskę. Mięśnie ramion bolały ją z każdym pociągnięciem wiosła. Nie martwiła się o miasto, ale o samotną wieżę strażniczą górującą po lewej stronie. Na jej nadkruszonym, poszarpanym szczycie płonął ogień, opromieniając bladym blaskiem katapulty oraz starożytny łańcuch przeciągnięty przez wąskie wejście do zatoki. Gdyby coś poszło nie tak, załoga wieży wszczałaby alarm jako pierwsza.

Ucieczka przysłaby im teraz z łatwością. Mogliby pozabijać piratów strzegących wieży, zająć statki z niewolnikami i postawić żagle, ale łańcuch był dopiero pierwszą linią obrony. Żegluga w nocy wśród Martwych Wysp oznaczała samobójstwo, zwłaszcza przy niskiej wodzie. Po kilku milach z pewnością utknęliby na rafie czy ławicy.

Celaena pokonała siłą rozpędu ostatnie metry dzielące ją od burty „Złotego Wilka” i złapała drewniany szczebel drabinki, tak by łódź nie uderzyła zbyt mocno o kadłub. Musieli być gotowi, aby wyruszyć o brzasku, gdy piraci będą zbyt pijani bądź nieprzytomni, żeby cokolwiek zauważyć. Ponadto przy wysokiej wodzie ucieczka wydawała się najłatwiejsza.

Sam błysnął lusterkiem, co oznaczało, że dotarł do „Oziębłego”. Celaena odpowiedziała takim samym sygnałem, a potem błysnęła dwukrotnie, aby dać znać, że jest gotowa. Po chwili na tle czarnej burty „Oziębłego” ujrzała dwa identyczne błyski. Sam również był w gotowości.

Teraz albo nigdy.



## Rozdział siódmy

Celaena, zręczna niczym kot i gibka jak wąż, wspięła się po szczeblach drewnianej drabiny wbudowanej w burtę statku.

Pierwszy strażnik zdał sobie sprawę z jej obecności dopiero, gdy złapała go za gardło i ucisnęła wrażliwe punkty. Była przecież zabójczynią, a nie bezwzględną morderczynią. Mężczyzna natychmiast stracił przytomność i osunął się na pokład, a dziewczyna złapała go za brudną tunikę, aby załagodzić upadek. Nadal była cicha niczym mysz, niczym wiatr, niczym śmierć.

Drugi strażnik, który stał przy sterze, zobaczył, jak dziewczyna wbiega po schodach. Zdołał wydać z siebie stłumiony okrzyk, ale przerwało go uderzenie rękojeści sztyletu w czoło i pirat padł na pokład. Tym razem poszło gorzej. Mężczyzna upadł z łoskotem, który zaalarmował trzeciego strażnika, który pilnował dziobu. Ten odwrócił się błyskawicznie w stronę źródła dźwięku.

Tymczasem wszędzie zalegały cienie, a dziób od rufy dzieliło wiele metrów. Celaena uklękła, skuliła się i zakryła ciało strażnika płaszczem.

– Jon?! – zawołał pirat pilnujący dziobu.

Dziewczyna skrzywiła się. Na pobliskim „Oziębłym” panowała cisza.

Nieprzytomny mężczyzna straszliwie cuchnął.

– Jon? – powtórzył pirat, a potem rozległy się jego kroki. Był coraz bliżej.

„Zaraz ujrzy tego pierwszego”.

Trzy... Dwa... Jeden...

– O jasna cholera! – Pirat potknął się o nieruchome ciało kompana.

Celaena zerwała się.

Przeskoczyła nad relingiem z taką szybkością, że strażnik zauważył ją dopiero w chwili, gdy wylądowała obok niego. Wystarczył pojedynczy cios w głowę, aby pozbawić mężczyznę przytomności. Celaena złapała go i ułożyła na ciele kompana. Jej serce biło jak szalone. Zerwała się do biegu. W okamgnieniu znalazła się na dziobie

i błysnęła trzykrotnie lusterkiem.

„Powaliłam wszystkich trzech”.

Nie było odpowiedzi.

– Nie żartuj sobie, Sam – szepnęła i powtórzyła sygnał.

Odpowiedź nadeszła o wiele uderzeń serca za późno. Zabójczyni wypuściła powietrze z płuc. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że wstrzymywała oddech. A więc strażnicy na „Oziębłym” również zostali wyeliminowani.

Błysnęła raz. Wieża strażnicza nadal milczała. Jeśli ktoś pełnił wartę tam na górze, jeszcze niczego nie zauważył. Musieli więc działać szybko, zanim ktoś się spostrzeże, że statki niewolnicze nie są już chronione.

Strażnik pilnujący kajuty kapitańskiej wyrznął w ścianę z hukiem, który mógłby obudzić martwego, a gdy Celaena wtargnęła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi, kapitan Fairview aż zapiszczał ze strachu.

Gdy został zakneblowany, związany i poinformowany o tym, że jego życie oraz życie załogi zależy tylko i wyłącznie od gotowości do współpracy, dziewczyna przekradła się do ładowni. Przy drzwiach czuwało dwóch strażników, których znokautowała, zanim spostrzegli jej obecność. Bezszelestnie złapała za lampę zwisającą z haka i otworzyła drzwi.

Sufit wisiał tak nisko, że niemalże dotykała go głową. Wokół siedzieli niewolnicy, przykuci łańcuchami do podłogi. Nigdzie nie było latryn, nie mieli jedzenia, wody ani też źródła światła. Na jej widok zaczęli szeptać i mrużyć oczy przed oślepiającym blaskiem latarni.

Celaena zacisnęła palce na kluczach zabranych z kajuty kapitańskiej i wkroczyła do środka.

– Gdzie jest Dia? – zapytała.

Niewolnicy nie odpowiedzieli. Trudno było stwierdzić, czy powodowała nimi solidarność, czy po prostu jej nie zrozumieli.

Dziewczyna westchnęła i weszła głębiej w tłum. Kilku górali o dzikich oczach zaczęło szeptać do siebie. Ludzie z Gór Białego Kła dopiero niedawno wypowiedzieli Adarlanowi wojnę, ale od zawsze słynęli z gwałtowności i zamiłowania do agresji. Jeśli ktoś mógł jej przysporzyć kłopotów, to byli właśnie oni.

– Gdzie jest Dia? – spytała głośniejszym głosem.

– Tu – rozległ się drżący głos, dobiegający gdzieś z tyłu ładowni.

Celaena wyteńczyła wzrok i ujrzała wąską, urodziwą twarz starszego mężczyzny.

– Tu jestem – powtórzył.

Zabójczynie kroczyła ostrożnie wśród niewolników ledwie widocznych w ciemnościach. Byli tak blisko siebie, że trudno im było oddychać, nie mówiąc o poruszaniu się. Nic dziwnego, że siedmioro z nich umarło podczas rejsu.

Zabranym kapitanowi kluczem Celaena otworzyła kajdany najpierw na kostkach, a potem na nadgarstkach jeńca. Następnie podała mu rękę.

– Przetłumaczysz moje słowa – rzekła. Górale i reszta, która nie mówiła ani wspólnym, ani eyllwe, i tak się domyśla, o co chodzi.

Dia potarł krwawiące nadgarstki i spytał:

– Kim jesteś?

Celaena zdjęła łańcuchy wychudzonej kobiecie siedzącej obok Dii, a potem wyciągnęła w jej stronę klucze.

– Sprzymierzeńcem – oznajmiła. – Każ jej uwolnić wszystkich, ale powiedz, że nie wolno im wychodzić z ładowni.

Dia pokiwał głową i przemówił w eyllwe. Kobieta otworzyła szeroko usta, spojrzała na Celaenę i wzięła klucze. Bez słowa zaczęła uwalniać towarzyszy. Mężczyzna tłumaczył słowa zabójczynie. Jego głos był łagodny, ale mocny.

– Strażnicy są nieprzytomni, a kapitan zamknięty w kajucie. Jutro, o ile zgodzicie się współpracować, przeprowadzi statek przez Martwe Wyspy i poprowadzi was ku wolności. Wie, że karą za wprowadzenie mnie w błąd będzie śmierć.

Oczy Dii z każdą chwilą robiły się coraz większe. Jeden z górali na tyłach ładowni zaczął przekładać jej słowa pobratymcom. Ktoś inny tłumaczył je na mowę melisande, a jeszcze inny na język, którego nie rozpoznawała. Czy postąpili mądrze, gdy nie odezwali się wczoraj, kiedy szukała osób znających wspólny? A może to było zwykłe tchórzostwo?

– Gdy przedstawię wam plan działania – mówiła, a jej ręce zadrżały lekko, gdyż niespodziewanie przypomniała sobie, co znajdowało się przed nimi – będziecie mogli opuścić to pomieszczenie, ale nie wolno wam postawić stopy na pokładzie. Zarówno na wieży, jak i na lądzie znajdują się strażnicy. Gdy zobaczą kogoś obcego, natychmiast

podniosą alarm. – Pozwoliła Dii i reszcie na dokończenie tłumaczenia, a potem wyjaśniła: – Mój towarzysz dotarł na „Oziębłego”, drugi statek niewolniczy, który ma jutro postawić żagle. – Z trudem przełknęła ślinę. – Gdy zrobimy wszystko, co mamy tu do zrobienia, wrócimy na ląd i wywołamy takie zamieszanie, że z nastaniem świtu będziecie w stanie wypłynąć z portu. Musicie opuścić Martwe Wyspy przed zapadnięciem zmroku, bo w przeciwnym razie zgubicie się w archipelagu.

Gdy Dia zakończył tłumaczenie, rozległ się kobiecy głos. Mężczyzna z Eyllwe zmarszczył brwi, ale odwrócił się do Celaeny.

– Ta kobieta ma dwa pytania. Po pierwsze, co z łańcuchem przegradzającym zatokę? Po drugie, jak mamy poprowadzić statek?

Celaena pokiwała głową.

– Łańcuch pozostawcie nam. Zanurzy się w wodzie, zanim do niego dopłyniecie.

Gdy przetłumaczono jej słowa, znów rozległy się głosy. Co chwila na podłogę z hukiem spadały kolejne okowy.

– A co do żeglowania – ciągnęła, usiłując przekrzyczeć zgiełk. – Czy ktoś z was jest może żeglarzem? Albo rybakiem?

Podniosło się kilka rąk.

– Kapitan Fairview udzieli wam dokładnych informacji, ale będziecie musieli wiosłować, aby wyprowadzić statek z zatoki. Wszyscy, którym zostało choć trochę sił, będą potrzebni przy wiosłach. W przeciwnym razie nie macie szans na prześcignięcie statków Rolfe’a.

– A co z jego flotą? – spytał inny człowiek.

– Zostawcie to mnie.

Sam przypuszczalnie wiosłował już w stronę burty „Złotego Wilka”. Musieli jak najszybciej znaleźć się na lądzie.

– Bez względu na to, co się będzie działo w mieście, i to, czy łańcuch będzie wisiał nad wodą, z pierwszymi promieniami słońca macie wiosłować jak szaleni!

Kilka osób zaczęło wyrażać sprzeciw, gdy Dia przełożył jej słowa. Mężczyzna z Eyllwe uciszył protestujących kilkoma ostrymi słowami, a potem odwrócił się ku zabójcy.

– Szczegóły uzgodnimy we własnym gronie – rzekł.

Dziewczyna uniosła podbródek.

– Omówcie wszystko. Od tej pory sami decydujecie o własnym losie, ale ja tak czy owak opuszczę ten łańcuch i spróbuję kupić dla was możliwie najwięcej czasu o świcie.

Pochyliła głowę i wyszła z ładowni, dając Dii gestem znać, aby udał się w ślad za nią. Za ich plecami rozpoczęły się rozmowy, na szczęście przyciszone.

Gdy znaleźli się w korytarzu, Celaena spostrzegła, jak bardzo niewolnik był brudny i wynędzniały. Wskazała mu kierunek i rzekła:

– Tam znajdziesz kapitana Fairview. Wyciągnij go stamtąd przed świtem i nie wahaj się utoczyć mu trochę krwi, jeśli nie będzie chciał gadać. Na pokładzie jest trzech nieprzytomnych strażników, kolejny przed kajutą kapitańską oraz dwóch tutaj. Zróbcie z nimi to, co uznacie za stosowne.

– Każę komuś zanieść ich do kajuty – rzekł szybko Dia i potarł zarost na policzku. – Ile będziemy mieli czasu na ucieczkę? Kiedy piraci zauważą, że coś jest nie tak?

– Nie wiem. Spróbuję unieszkodliwić ich statki, co zapewne trochę ich spowolni.

Dotarli do schodów prowadzących na górny pokład.

– Chciałabym prosić cię o jeszcze jedno – ciągnęła Celaena. Mężczyzna spojrzał na nią błyszczącymi oczyma. – Mój towarzysz nie zna eyllwe. Wsiądź do łodzi i udaj się na drugi statek. Przekaż znajdującym się tam niewolnikom wszystko to, czego dowiedziałeś się ode mnie. Pomóż im też zdjąć kajdany. My musimy już wracać na brzeg, a więc zajmiesz się tym sam.

Dia wciągnął powietrze, ale pokiwał głową.

– Dobrze.

Powiedział swoim towarzyszom, aby zaciągnęli nieprzytomnych piratów do kajuty kapitańskiej, a potem wyszedł w ślad za Celaeną na pusty pokład. Wzdrygnął się na widok ciał piratów, ale nie zaprotestował, gdy dziewczyna narzuciła mu płaszcz Jona na ramiona i zakryła fałdami jego twarz. Nie wzbraniał się również przed przyjęciem miecza i sztyletu, które poprzednio należały do pirata.

Sam już czekał przy burcie, niewidoczny dla strażników z wieży. Pomógł Dii wejść do pierwszej łodzi, a sam usiadł w drugiej i zaczął na Celaenę.

Na jego ciemnej tunice połyskiwała krew, ale na szczęście

spakowali rzeczy na zmianę. Chłopak w milczeniu złapał za wiosła, ale zabójczynie odkaszlnęła cicho. Dia odwrócił się ku niej.

– Pamiętaj – powiedziała i wskazała ruchem głowy wyjście z zatoki majaczące na wschodzie. – Musicie zacząć wiosłować o świcie, nawet jeśli łańcuch nadal będzie podniesiony. Każda chwila zwłoki może was kosztować utratę korzystnego pływu.

Dia złapał za wiosła.

– Będziemy gotowi.

– A więc powodzenia – rzuciła.

Nie mówiąc ani słowa, mężczyzna zaczął wiosłować w kierunku drugiego statku. Jak na jej gust robił za dużo hałasu, ale nie był na tyle głośny, aby wzbudzić czyjeś podejrzenia.

Sam również napał na wiosła. Opłynął dziób statku i powoli, nie wzbudzając podejrzeń, ruszył w stronę doków.

– Denerwujesz się? – spytał cicho. Rytmiczny plusk roztrącanej wody na spokojnej tafli niemalże zagłuszył jego słowa.

– Nie – skłamała.

– Ja też nie.

Mieli przed sobą złociste światła Zatoki Czaszek. Nad wodą niosły się wrzaski i wiwaty. Najwidoczniej wieści o darmowym piwie już się rozeszły.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Przygotuj się. Niedługo rozpętamy tu piekło.

## Rozdział ósmy

Choć dokoła ryczeli pijani piraci, Rolfe i Sam z przymkniętymi oczami koncentrowali się na trzymany w ręku kuflach. Ich grdyki unosiły się w górę i w dół, a kolejne łyki zimnego piwa trafiały prosto do żołądków. Celaena, która przyglądała się im zza maski, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Nietrudno było Samowi udawać, że jest pijany. Oboje bawili się jak nigdy, gdyż chłopak znakomicie odgrywał swoją rolę.

Rolfe z trzaskiem odstawił kufel na stół, westchnął z zadowoleniem i otarł rękawem wilgotne usta. Zebrani dokoła kompani wiwatowali. Celaena zachichotała, choć jej zakryta maską twarz była wilgotna od potu. W tawernie, jak wszędzie na wyspie, było nieprawdopodobnie duszno, a w powietrzu unosił się odór piwa i niemytych ciał.

Speluna była wypchana po brzegi. Przy palenisku siedziało trzech grajków z akordeonem, skrzypcami i tamburynem, głośno przygrywając towarzystwu. Piraci wymieniali się opowieściami i co chwila domagali się ulubionych pieśni. Zwykli robotnicy i typy spod ciemnej gwiazdy upijali się do nieprzytomności i oddawali hazardowi. Przez tłum przeciskały się dziwki, tu i ówdzie siadając któremuś z biesiadników na kolanach.

Rolfe uśmiechnął się z tryumfem, patrząc, jak Sam dopija resztkę piwa. Nie zauważył fortelu. Goście tawerny bez przerwy coś rozlewali i przewracali, dzięki czemu nikt nie zwrócił uwagi na kałużę wokół kufła chłopaka. Dziurka, którą wywiercił w kuflu, była zbyt mała, aby ktoś ją spostrzegł.

Tłum zaczął się rozchodzić. Celaena zaśmiała się i uniosła rękę.

– Jeszcze rundka, panowie? – zawołała i skinęła na barmankę.

– Cóż – rzekł Rolfe. – Muszę przyznać, że zabawa w twoim towarzystwie jest o wiele przyjemniejsza niż dobijanie interesów.

Sam pochylił się z uśmiechem spiskowca na twarzy.

– Och, ja również tak sądzę. Ta dziewczucha jest na ogół niezłe irytująca.

Celaena kopnęła go mocno, świadoma, że to nie było do końca

kłamstwo. Sam jęknął, a Rolfe zaśmiał się. Dziewczyna rzuciła barmance miedziaka, a ta napełniła kufle piratowi i zabójcy.

– Czy ujrzę kiedyś twarz legendarnej Celaeny Sardothien? – Rolfe oparł łokcie na mokrym stole.

Zegar za barem wskazywał trzecią trzydzieści. Zostało im niewiele czasu. Tawernę nadal przeppełniał tłum, wielu piratów było pijanych do nieprzytomności i trudno było uwierzyć, że w mieście pozostało jeszcze jakieś piwo. Jeśli Arobynn i Rolfe nie zabiją jej za uwolnienie niewolników, Władca Piratów zrobi to, gdy Celaenie zabraknie pieniędzy na wyrównanie rachunku w knajpie.

Pochyliła się w stronę Rolfe'a.

– Jeśli dzięki tobie ja i mój mistrz zarobimy tyle pieniędzy, ile nam obiecujesz, pokażę ci twarz.

Władca Piratów zerknął odruchowo na mapę wytatuowaną na dłoniach.

– Naprawdę sprzedałeś za to duszę? – spytała Celaena.

– Jeśli pokażesz mi twarz, wyznam ci prawdę.

– Zgoda. – Zabójczyni wyciągnęła rękę, a mężczyzna uściskał jej dłoń. Sam uniósł kufel, z którego już wyciekło nieco piwa przez dziurkę w dnie, i wychylił toast w intencji zakładu. Dziewczyna zaś wyłowila z kieszeni talię kart.

– Zagramy w królów? – spytała.

– Jeśli po tej hulance pozostaną ci jeszcze jakieś pieniądze – rzekł Rolfe – to po kilku partiach ze mną pozbędziesz się ich co do grosza.

Zabójczyni cmoknęła z zachwytem.

– Och, szczerze w to wątpię – oznajmiła, przetasowała trzykrotnie karty i rozdała.

Mijała minuta za minutą. Kufle i kielichy zderzały się ze sobą, karty padały na stół, rozlegał się śpiew i płynęły opowieści o odległych krainach. Niekończąca się muzyka zagłuszyła bicie zegara i Celaena zorientowała się, że leży oparta o ramię Sama i śmieje się, słuchając głupawej historyjki Rofe'a o żonie gospodarza i jej ogierach.

Walnęła pięścią w stół, wyjąc głośno. Nie do końca była to gra. Gdy Sam otoczył ją ramieniem, dziewczynę przeszył gorący dreszcz. Zapytała się w myślach, czy on też nadal udaje.

Okazało się, że chłopak ograł w kartach ich oboje i zgarnął całą pulę. Gdy wskazówka zbliżyła się do piątej, Rolfe stracił dobry humor.



Niestety, tej nocy nie miał już szans go odzyskać. Sam skinął na Celaenę, a ta podstawiała nogę mijającemu ją piratowi. Mężczyzna potknął się i wylał piwo na innego klienta, który był już w wojowniczym nastroju. Odwrócił się i chciał grzotnąć winowajcę w twarz, ale zamiast niego trafił w sąsiada. W tej samej chwili jakimś szulerowi wysunęła się karta z rękawa, a jedna z dziwek uderzyła piracką oblubienicę. W tawernie wybuchła bijatyka.

Ludzie szamotali się i przewracali na ziemię, niektórzy piraci złapali za miecze i sztylety, aby wyrąbać sobie drogę na zewnątrz. Inni skakali z balkonu na półpiętrze, żeby dołączyć do bijatyki. Niektórzy próbowali lądować na stołach, podczas gdy inni chybiali, zamierzając złapać żelazny zyrandol.

Muzykanci nadal grali, ale wcisnęli się głębiej w kąt. Rolfe podniósł się nieco i położył dłoń na rękojeści miecza. Celaena skinęła mu głową, a potem wyszarpnęła własne ostrze i rzuciła się w tłum walczących.

Sprawnie wymachując mieczem, rozcięła komuś ramię i rozchlastała innemu nogę, ale nikogo nie zabiła. Zależało jej tylko na tym, aby walka nie ustawała, ale rozprzestrzeniła się na tyle, żeby przyciągnąć uwagę wszystkich mieszkańców miasta.

Właśnie chciała się przekraść w stronę wyjścia, ale ktoś złapał ją wpół i pchnął na drewniany słup z taką siłą, iż wiedziała, że będzie miała wielkie sińce. Skrzywiła się, gdy czerwony na gębie pirat ścisnął ją mocno. Od jego oddechu zrobiło jej się niedobrze. Wyswobodziła rękę na tyle, aby móc wbić rękojeść sztyletu między jego nogi. Osunął się na ziemię twardo niczym kamień.

Celaenie nie udało się nawet zrobić kroku, gdy jakaś włochata pięść grzotnęła ją w szczękę. Ból oślepił ją jak błyskawica i poczuła smak krwi w ustach. Szybko złapała maskę, aby się upewnić, że nadal się trzyma i nie pękła.

Uniknęła kolejnego ciosu i podcięła swego przeciwnika, który wpadł w sam środek grupy piszczących nierządnic. Dziewczyna nie widziała nigdzie Sama, ale jeśli trzymał się planu, nie musiała się o niego martwić. Przemykając się między grupkami walczących między sobą piratów, skierowała się ku wyjściu, po drodze odbijając ostrza kilku niedoświadczonym szermierzom.

Jakiś pirat z postrzępioną przepaską na oku uniósł ramię, chcąc ją uderzyć, ale jego ruchy były niezgrabne i dziewczyna bez trudu

złapała go za rękę i kopnęła w żołądek. Jednooki wpadł na innego pirata i obaj huknęli w stół, po czym zaczęli walczyć między sobą.

„Jak zwierzęta” – pomyślała zabójczyni i wypadła na zewnątrz.

Ku jej zachwytowi na ulicach również trwała zacięta walka. Piraci fechtowali się, tłukli po gębach lub tarzali po ziemi. Wyglądało na to, że nie ona jedna miała ochotę na potyczkę. Ucieszona zamieszaniem, popędziła w kierunku miejsca, gdzie miała spotkać się z Samem, gdy w nocnym powietrzu poniósł się ryk Rolfe’a:

– Dość tego!

Walczący wypuszczali miecze, kufle, garście włosów przeciwnika czy inne rzeczy, na których zaciskali dłonie, a potem wstawali i salutowali przywódcy.

A później natychmiast wracali do walki. Czego się Rolfe spodziewał?

Celaena popędziła ulicą, śmiejąc się do siebie. Sam czekał w umówionym miejscu. Z jego nosa ciekła krew, ale oczy błyszczały.

– Poszło nieźle – stwierdził.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Nie miałam pojęcia, że tak dobrze grasz w karty! – Otaksowała go spojrzeniem i odkryła, że się nie zatacza. – Nie wiedziałam też, że tak dobrze pijesz.

– Mam wiele sekretów, Celaeno Sardothien. – Młodzieniec wyszczerzył zęby i złapał ją za ramię. Nagle znalazł się za blisko jak na jej gust.

– Gotowa? – spytał.

Skinęła głową. Jej serce zabiło żywiej, gdy spojrzała na jaśniejące niebo.

– No to do roboty!

Wyrwała się z uścisku, ściągnęła rękawiczki i wepchnęła je do kieszeni.

– Na wieży zapewne doszło już do zmiany warty. Do świtu zostało niewiele czasu, a trzeba opuścić łańcuch i unieszkodliwić katapulty.

Gdy układali plan, długo zastanawiali się, czy nie lepiej zablokować łańcuch przy przeciwnym końcu, gdzie nie było żadnej wieży, ale uznali, że powinni również wyłączyć z użytku katapulty. Trzeba więc było zaryzykować kolejne starcie z piratami.

Sam przyglądał się jej jeszcze przez moment.

– Jeśli uda nam się to przeżyć, Celaeno – powiedział, idąc ku bocznej uliczce wiodącej w stronę doków – przypomnij mi, żebym nauczył cię porządnie grać w karty.

Zakłęła tak siarczyście, że młodzieniec wybuchnął śmiechem. Oboje rzucili się do biegu.

Skreśli w cichą uliczkę, gdy ktoś wyszedł z cienia i zastąpił im drogę.

– Wybieracie się gdzieś?

Był to Rolfe.

## Rozdział dziewiąty

Ulica opadała w dół i z miejsca, w którym stała Celaena, doskonale było widać dwa statki niewolnicze kotwiczące na wodach zatoki. Żaden z nich się nie ruszał. Łańcuch zdolny złamać najgrubszy maszt wisiał tuż przy nich. Niestety, Rolfe widział to samo.

Niebo szarzało. Nadchodził świt.

Dziewczyna pochyliła głowę przed Władcą Piratów.

– Wolałabym nie ubrudzić sobie rąk w tym bałaganie.

Rolfe zacisnął mocno usta.

– Zabawne. Przecież bijatyka wybuchła po tym, jak podłożyłaś nogę jakiemuś człowiekowi.

Sam zmierzył ją wściekłym spojrzeniem. Do licha, przecież starała się zachować dyskrecję!

Rolfe dobył miecza. Oczy smoka błysnęły w blasku rodzącego się dnia.

– Zabawne jest również to, że dopraszasz się walki od chwili, gdy tu przybyłaś, a potem postanawiasz się ulotnić, gdy wszyscy są zajęci czymś innym.

– Nie chcemy żadnych kłopotów. – Sam uniósł ręce.

Rolfe zachichotał, ale był to śmiech pozbawiony wesołości.

– Mów za siebie, Samie Cortland. Ona wręcz prosi o to. – Mężczyzna podszedł do zabójczyni. – Prosi się o kłopoty od chwili, gdy postawiła nogę na wyspie. O co ci właściwie chodzi? Chcesz ukraść moje złoto? Szukasz informacji?

Kątem oka Celaena zauważyła, że coś zaczęło się dziać na statkach. Z burt wysunęły się rzędy wiosł, dzięki czemu jednostki przypominały ptaki zrywające się do lotu. Niewolnicy byli gotowi, a łańcuch nadal wisiał.

„Nie odwracaj się. Nie odwracaj się...”

Rolfe odwrócił się i przyjrzał statkom. Oddech zamarł zabójczyni na ustach. Sam napiął mięśnie i ugiął lekko nogi w kolanach.

– Zabiję cię, Celaeno Sardothien – szepnął pirat. Nie była to czcza pogróżka.

Palce dziewczyny stwardniały na rękojeści miecza. Rolfe otworzył usta i nabrał powietrza, aby wykrzyczeć ostrzeżenie.

Istniał tylko jeden sposób, żeby go zaskoczyć.

Jej maska upadła z trzaskiem na ziemię. Dziewczyna strząsnęła kaptur. Jej złociste włosy zalśniły w blasku świtu.

Rolfe zamarł.

– Ty... Ty jesteś... Co to za sztuczka?

Wiosła drgnęły i wzburzyły wodę. Statki ruszyły w stronę łańcucha i kryjącej się za nim wolności.

– Biegnij – szepnęła do Sama. – Nie wahaj się.

Chłopak skinął głową i rzucił się do biegu. Zabójczyni została sama z piratem.

– Celaena Sardothien, do usług – rzekła, unosząc miecz.

Pirat nadal nie spuszczał z niej wzroku. Był blady z wściekłości.

– Jak śmiesz mnie oszukiwać?

Dziewczyna zamarkowała ukłon.

– Oszukiwać? Nawet mi to do głowy nie przyszło. Powiedziałam ci przecież, że jestem piękna.

Zanim zdołała go powstrzymać, Rolfe krzyknął:

– Złodzieje! Usiłują ukraść nasze statki! Do łodzi! Do wieży!

Zewsząd dobiegł ryk piratów. Celaena pomodliła się w duchu, aby Sam zdołał dotrzeć do wieży przed ludźmi Rolfe'a i zaczęła okrążyć Władcę Piratów. Ten podjął wyzwanie. Nie był w ogóle pijany.

– Ile ty masz lat? – spytał. Starannie stawiał każdy krok, ale zauważyła, że starał się zwracać do niej lewym bokiem.

– Szesnaście – odparła. Już nie próbowała mówić cicho ani ochryple. Rolfe zaklął.

– Arobynn przysłał do mnie szesnastolatkę na rozmowy handlowe?

– Przysłał najlepszą z najlepszych. Uznaj to za zaszczyt.

Władca Piratów warknął i rzucił się do ataku.

Odkoczyła tanecznym ruchem i uniosła miecz, aby zablokować cios, który miał przeciąć jej gardło. Nie musiała natychmiast zabijać przeciwnika. Wystarczyło odwracać jego uwagę tak długo, żeby nie mógł stanąć na czele swoich ludzi. Musiała również odciągnąć jego uwagę od statków i dać Samowi czas, aby zdołał opuścić łańcuch i unieszkodliwić katapulty. Jednostki już zawracały w stronę wyjścia z zatoki.

Rolfe znów zaatakował. Celaena przyjęła dwa ciosy na klingę, a potem uchyliła się przed trzecim i wpadła na pirata. Mężczyzna zatoczył się, a zabójczyni płynnym ruchem wyciągnęła długi myśliwski nóż i cięła go przez pierś. Ostrze, zamiast rozchlastać jego skórę, naruszyło jedynie niebieską tkaninę, z której uszyto tunikę.

Rolfe wpadł na ścianę budynku za sobą, ale odzyskał równowagę i uniknął ciosu, który odciąłby mu głowę. Miecz Celaeny uderzył o kamienną ścianę. Jej ramię zdrętwiało, ale nie wypuściła oręża.

– O co ci chodzi? – dyszał mężczyzna. Ryk piratów biegnących w stronę doków niemalże zagłuszył jego słowa. – Chciałaś porwać moich niewolników i zgarnąć zysk?

Zaśmiała się i cięła go w prawy bok, jednocześnie usiłując wbić sztylet w lewy. Ku jej zaskoczeniu pirat sprawnie sparował oba ciosy.

– Chcę ich uwolnić – powiedziała.

Chmury, wiszące za łańcuchem i wejściem do zatoki, zaczęły różowieć.

– Idiotka! – parsknął Rolfe.

Tym razem uderzył tak sprawnie, że nawet Celaena nie zdołała uniknąć jego ciosu. Rozcięty rękaw czarnej tuniki zaczął nasiąkać krwią. Syknęła i odskoczyła. Głupi błąd!

– Myślisz, że uwolnienie dwustu ludzi będzie miało jakiegokolwiek znaczenie?

Mężczyzna posłał w nią kopnięciem zapomnianą butelkę. Dziewczyna odbiła ją płazem miecza, ale ranne ramię eksplodowało wściekłym bólem. Butelka roztrzaskała się gdzieś nieopodal.

– Przecież Adarlan trzyma tysiące niewolników! Masz zamiar wkroczyć do Calaculli i Endovier i uwolnić również tamtych?

Wiosła rytmicznie pracowały na wodach zatoki. Statki zmierzały w stronę łańcucha. Sam musiał się spieszyć.

– Idiotka! – powtórzył Rolfe i pokręcił głową. – Twój mistrz cię zabije, chyba że ja go ubiegnę.

Celaena nie dała żadnego ostrzeżenia i po prostu rzuciła się na niego. Zanurkowała i zawirowała w ostatnim momencie. Mężczyzna zdołał się odwrócić, ale dziewczyna wbiła mu rękojeść miecza w tył głowy.

Władca Piratów osunął się na ziemię. W sekundę później zza rogu wyłoniła się zgraja brudnych, zakrwawionych piratów. Zabójczyni

zdążyła jedynie narzucić kaptur na głowę w nadziei, że ukryje w ten sposób oblicze, a potem rzuciła się do biegu.

Zgubienie pijanych, żądnych walki mężczyzn nie było wielkim wyzwaniem. Wystarczyło skręcić w kilka wąskich uliczek, aby pozbyć się prześladowców. Zabójczyni biegła w stronę wieży, ale rana odbierała jej siły. Sam znacznie ją wyprzedził. Opuszczenie łańcucha spoczywało teraz na jego głowie.

Piraci szaleli wzdłuż nabrzeża, szukając jednostki, którą można by wypłynąć na morze. Nie było to proste zadanie, gdyż Celaena zajęła się nimi w nocy zaraz po zejściu na ląd. Zniszczyła ster na każdym statku łącznie z „Morskim Smokiem” Rolfe’a, którego strzeżono tak nieudolnie, że wręcz się prosił o taki los. Niektórzy piraci odnaleźli jednakże sprawne łodzie wiosłowe i tłumnie do nich włązili, wymachując bronią i wykrzykując bezbożne przekleństwa. Celaena biegła, aż podupadłe zabudowania zaczęły jej się rozmywać przed oczami. Oddychała z trudem, a bezsenna noc zaczynała dawać się jej we znaki. Mimo to bez przeszkód minęła piratów na nabrzeżu, zbyt zajętych przeklinaniem śmiałka, który uszkodził ich statki, aby w ogóle zwrócić na nią uwagę.

Niewolnicy wiosłowali, jakby ścigały ich demony z Piekła.

Celaena popędziła drogą w stronę skraju miasta. Trakt opadał w dół i dziewczyna widziała wyprzedzającego ją Sama oraz grupę doganiających go piratów. Rana na ramieniu pulsowała bólem, ale zmusiła się do większego wysiłku.

Chłopak miał zaledwie kilka minut na opuszczenie łańcucha. Jeśli nie zdąży, uciekające statki czeka zagłada. Nawet gdyby niewolnicy zdołali je zatrzymać przed zderzeniem, nie daliby sobie rady z dziesiątkami łodzi wiosłowych, które już zmierzały w ich stronę. Piraci dysponowali pełnym orężem, a niewolnicy byli uzbrojeni jedynie w to, co znaleźli na zdobytych jednostkach, nawet jeśli wielu z nich kiedyś było wojownikami bądź buntownikami.

W zrujnowanej części wieży wszczęło się jakieś zamieszanie. Błysnęła stal, a potem pojawił się Sam, biegnący po schodach wijących się po zewnętrznej stronie budowli.

Dwóch piratów z mieczami skoczyło mu na spotkanie. Chłopak uniknął ciosu pierwszego napastnika i posłał go na ziemię szybkim uderzeniem w kręgosłup. Zanim zdążył paść na ziemię, Sam zdążył

już przeciąć jego towarzysza.

Ale wciąż musiał unieszkodliwić Niszczyciela Statków oraz obie katapulty, a co gorsza goniący go piraci dotarli już do wieży.

Celaena zaklęła. Wciąż znajdowała się za daleko. Nie miała szansy opuścić łańcucha na czas. Statki czekało fatalne w skutkach zderzenie.

Nie myślał już o bólu ramienia i skupiła się na oddychaniu. Biegła jak szalona, bojąc się spuścić wieżę z oczu choćby na chwilę. Sam, który z tej odległości wciąż wydawał się drobną istotką, dotarł już na samą górę, gdzie znajdowała się kotwica łańcucha. Zabójczyni nawet z tej odległości widziała, że łańcuch był niespotykanych rozmiarów. Sam obiegił go, tnąc tu i ówdzie i szarpiąc za ogromną dźwignię, a wtedy oboje zdali sobie sprawę z przerażającego faktu, z jedynej rzeczy, którą przeoczyli – otóż jeden człowiek nie był w stanie opuścić łańcucha.

Statki niewolnicze były już blisko, tak blisko, że zatrzymanie ich... Zatrzymanie ich było już niemożliwe.

Nic ich nie mogło ocalić.

Mimo to nie przestawali wiosłować.

Około tuzina piratów pięło się po schodach. Sam był dobrze wyszkolony i potrafił stawić czoło wielu przeciwnikom jednocześnie, ale dwunastu piratów? Niech szlag trafi Rolfe'a i jego ludzi! Dlaczego zabrali jej tyle czasu?

Chłopak zerknął ku schodom. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie jest w wieży sam.

Od celu dzieliło Celaenę jeszcze pół kilometra i widziała teraz wszystko tak wyraźnie, że mało nie postradała zmysłów. Sam pozostał na szczycie wieży. Tuż pod nim, na przedłużeniu sięgającym nad morskie fale, znajdowały się dwie katapulty. Na wodach zatoki z coraz większą prędkością szły na wiosłach dwa statki. Niewolnicy mieli przed sobą tylko dwa wyjścia – wolność lub śmierć.

Chłopak zeskoczył na niższy poziom. Celaena potknęła się, widząc, jak przypada do obrotowej platformy, na której znajdowały się katapulty, i pcha ze wszystkich sił, aż maszyny zaczęły się poruszać. Obracał je nie ku morzu, ale ku wieży. Celował w miejsce, w którym zamocowano łańcuch.

Dziewczyna bała się stracić choćby sekundę z pasjonującego



widowiska. Sam wreszcie ustawił katapultę w odpowiedniej pozycji. W jej łyżce spoczywał już ciężki głaz. W blasku wschodzącego słońca zabójczyni widziała napięte liny.

Piratów dzieliło zaledwie kilka kroków od wtargnięcia na poziom katapult. Oba statki płynęły coraz szybciej. Były już tak blisko, że padał na nie cień łańcucha.

Celaena wstrzymała powietrze, gdy morscy rozbójnicy runęli na Sama z obnażoną bronią.

Zabójca uniósł miecz, który zapłonął niczym gwiazda, gdy odbiły się od niego promienie słońca.

Jeden z piratów cisnął w niego sztyletem. Z ust Celaeny wyrwał się ostrzegawczy okrzyk.

Sam przeciął mieczem najbliższą linę i skulił się. Łyżka wystrzeliła tak szybko, że dziewczyna ledwie to zauważyła. Głaz uderzył w wieżę, druzgocząc jej ścianę. Buchnęły kłęby pyłu, posypały się ciężkie kamienie.

A wtedy łańcuch zwałił się z hukiem, który poniósł się echem po całej zatoce. Spadając, pociągnął za sobą fragment wieży. Gruzy spadły tam, gdzie jeszcze przed momentem stał młody zabójca.

Celaena, która wreszcie dotarła do wieży, zatrzymała się, żeby spojrzeć na białe żagle, które rozkwitły nad pokładami statków niewolniczych. W promieniach wschodzącego słońca wydawały się lśnić złotem. Uciekinierzy mieli pomyślny wiatr i uprowadzone jednostki pomknęły w kierunku otwartego morza. Nie było wątpliwości, że znikną za horyzontem na długo, zanim piraci naprawią swe statki.

Celaena pomodliła się za uciekinierów, życząc im, aby jak najszybciej zdołali znaleźć bezpieczną przystań. Wiatr uniósł słowa jej modlitwy.

Obok niej roztrzaskał się kawałek ściany. Serce zabójczyni ścisnął lęk. Sam!

Na pewno nie zginął. Niby co miałyby go zabić? Sztylet? Tuzin piratów? Katapulta? Nie, chłopak bez wątpienia nie był głupcem i nie pozwoliłby się zabić.

„Jeśli zginął, to ja... To ja go chyba zabiję”.

Zignorowała ból w ramieniu i wyciągnęła miecz z zamiarem wspięcia się po schodach osypującej się wieży. Zamarła, gdy

niespodziewanie poczuła stal przy szyi.

– A ty dokąd? – szepnął jej prosto do ucha Rolfe.

## Rozdział dziesiąty

**J**eden ruch, a wykroję ci drugi uśmiech – syknął Rolfe. Wolną ręką wyrwał sztylet dziewczyny i rzucił go w krzaki, a potem odebrał jej miecz.

– A dlaczego po prostu mnie nie zabijesz?

Pirat zaśmiał się chrapliwie. Jego oddech łaskotał ją w ucho.

– Ponieważ chcę, by twoja śmierć trwała długo i sprawiła mi wiele radości.

Dziewczyna wbiła wzrok w zniszczoną częściowo wieżę, którą nadal spowijały kłęby pyłu. Czy Sam mógł to przeżyć?

– Czy zdajesz sobie sprawę, ile kosztowała mnie twoja zabawa w bohaterkę? – Rolfe przycisnął sztylet do jej szyi. Zapiekło, gdy rozciął jej skórę. – Dwustu niewolników, dwa utracone statki oraz siedem uszkodzonych w porcie, nie licząc wielu zabitych!

– Nie zapomnij o rachunku do uiszczenia w knajpie – parsknęła dziewczyna.

Rolfe przesunął nieco sztylet i Celaena wbrew sobie skrzywiła się z bólu.

– Zapłacisz mi również za to, nie martw się.

– Jak mnie znalazłeś? – spytała. Potrzebowała czasu. Musiała go czymś zająć. Gdyby wykonała choć jeden fałszywy ruch, skończyłaby z poderżniętym gardłem.

– Wiedziałem, że podążysz za Samem. Tak bardzo zależało ci na uratowaniu niewolników, że z pewnością nie pozwoliłabyś, aby twój kompan zginął w samotności. Choć obawiam się, że się nieco spóźniłaś.

W gęstej dżungli na powrót rozległy się krzyki ptaków i zwierząt, ale na wieży panowała cisza, przerywana jedynie stukotem kruszących się kamieni.

– Wrócisz ze mną – powiedział Rolfe. – Gdy z tobą skończę, skontaktuję się z twoim mistrzem. Niech sam przybędzie po transport.

Następnie zrobił krok do przodu, chcąc pchnąć ją z powrotem w

stronę miasta, ale dziewczyna była już gotowa.

Uderzyła plecami w klatkę piersiową pirata i zahaczyła stopą jego nogę. Rolfe zachwiał się i stracił równowagę. Naraz przypomniał sobie, że obiecał poderznąć jej gardło, ale dziewczyna była szybsza i zdołała złapać za ostrze.

Krew z rozciętej dłoni zbryzgała tunikę, ale Celaena odepchnęła od siebie ból i wbiła łokieć w żołądek pirata. Rolfe nie mógł złapać tchu. Zgiął się wpół, a wtedy dziewczyna uderzyła go kolanem w twarz. Rozległ się trzask łamanego nosa. Zabójczyni rzuciła mężczyznę na ziemię i ujrzała krew na nogawce. Tym razem była to krew napastnika.

Podniosła upuszczony sztylet, a Władca Piratów sięgnął po miecz. Dźwignął się na kolana i chciał się podnieść, ale Celaena nadepnęła na jego ostrze, które z brzękiem uderzyło o ziemię. Rolfe uniósł głowę tylko po to, żeby przyjąć kolejne potężne kopnięcie, po którym znalazł się na plecach. Dziewczyna usiadła na jego piersi i przytknęła mu sztylet do szyi.

– Cóż, tego się chyba nie spodziewałeś, prawda? – spytała.

Nasłuchiwała przez moment, aby mieć pewność, że drogą nie nadciągają kolejni piraci. Tymczasem wśród drzew nadal wrzeszczały ptaki, a w powietrzu bzyczały owady. Byli sami. Większość ludzi Rolfe'a pewnie nadal rozbijała się w mieście.

Dłoń Celaeny pulsowała bólem. Kapała z niej krew, gdy złapała pirata za poły koszuli i przyciągnęła do siebie jego twarz.

– A więc posłuchaj – powiedziała. Jej uśmiech pogłębił się, gdy ujrzała jego zakrwawiony nos. – Powiem ci, co się zaraz wydarzy.

Puściła koszulę mężczyzny i wyciągnęła zza pazuchy dwa dokumenty. Ból dłoni był tak przeszywający, że zgoła nie pamiętała już o pulsującej tępo ranie na ramieniu.

– Podpiszesz te dwa papiery i przyłożysz do nich pieczęć.

– Nie ma mowy – syknął Rolfe.

– Nie wiesz nawet, co jest w nich napisane – powiedziała dziewczyna i oparła czubek ostrza o jego gardło. – Pozwól więc, że ci wyjaśnię. Jeden z tych listów jest przeznaczony do rąk mego mistrza. Piszesz w nim, że umowa zostaje rozwiązana i że nie wyślesz mu żadnego transportu, a jeśli dowiesz się, że nabywa niewolników od innego kupca, pošlesz całą armadę, aby go ukarać.

– Jesteś szalona. – Rolfe zakaszłał.

– Może. Ale poczekaj, to jeszcze nie koniec – powiedziała i wyciągnęła drugi list. – Ten tutaj napisałam za ciebie. Dołożyłam wszelkich starań, aby oddać w nim twój ton i sposób bycia, ale wybacz, jeśli mimo moich prób okaże się on zbyt subtelny i elegancki jak na ciebie.

Rolfe usiłował ją zrzucić, ale zabójczynie przycisnęła ostrze mocniej do jego gardła i mężczyzna znieruchomiał.

– W liście owym stoi – ciągnęła, wzdychając dramatycznie – że ty, kapitan Rolfe, właściciel magicznej mapy wytatuowanej na dłoniach, nigdy, przenigdy nie sprzedasz już niewolnika. Deklarujesz również, że jeśli złapiesz jakiegokolwiek pirata na sprzedaży lub przewożeniu niewolników, osobiście go powieszysz albo spalisz lub zatopisz jego statek. Co więcej, Zatoka Czaszek będzie od tej pory po wsze czasy bezpieczną przystanią dla każdego niewolnika, który ucieka przed Adarlanem.

Z uszu Rolfe’a niemalże buchnęła para.

– Nie podpiszę żadnego z tych papierów, głupia dziewucho! Czy nie wiesz, kim ja jestem?

– W porządku! – Celaena przesunęła sztylet tak, by łatwiej wbić go w gardło pirata. – Zapamiętałam sobie twój podpis, gdy kazałeś nam czekać w biurze pierwszego dnia pobytu. Nietrudno będzie go podrobić. A co do pierścienia z twą pieczęcią...

Wyciągnęła coś z kieszeni.

– Zabrałam go sobie z twojego biura na wszelki wypadek. Okazuje się, że nie był to zły pomysł.

Rolfe zachrypiał ze złości, widząc przedmiot, który zabójczynie trzymała w wolnej dłoni. Granat pierścienia błysnął w słońcu.

– Myślę, że mogę wrócić do miasta i powiedzieć twoim kumplom, że postanowiłeś popłynąć w ślad za niewolnikami i wrócisz za jakieś... Nie wiem, sześć miesięcy? Rok? W każdym razie nie będzie cię na tyle długo, że nie zauważą grobu, który wykopię ci przy drodze. W końcu widziałeś moją twarz, a więc powinieneś zostać zabity. Uznaj to jednak za życzliwość z mojej strony oraz obietnicę, że jeśli nie będziesz mnie słuchał, zmienię zdanie i zabiję cię.

Rolfe’owi zwężyły się oczy, przypominały teraz wąskie szparki.

– Dlaczego?

– Więcej precyzji poproszę.

Pirat nabrał tchu.

– Dlaczego zadałaś sobie tyle trudu, aby uwolnić tych niewolników?

– Ponieważ jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy mogą się za nimi wstawić – odparła i wyciągnęła pióro z kieszeni. – Podpisuj.

Rolfe uniósł brew.

– A skąd będziesz wiedzieć, że dotrzymam słowa?

Celaena cofnęła sztylet, którym mu groziła, i odsunęła mu z czoła kosmyk ciemnych włosów.

– Mam swoje źródła. Jeśli się dowiem, że handlujesz niewolnikami, dopadnę cię i zabiję. Pokonałam cię już dwukrotnie, a za trzecim razem nie będę tak łaskawa. Przysięgam na mój honor. Mam prawie siedemnaście lat, a już potrafię cię załatwić. Wyobraź sobie, do czego będę zdolna za kilka lat. – Pokręciła głową. – Na pewno nie miałbyś ochoty ponownie stawić mi czoło. Tym bardziej nie będziesz miał na to ochoty za kilka lat.

Rolfe wpatrywał się w nią przez kilka uderzeń serca.

– Jeśli kiedykolwiek postawisz stopę na moim terytorium, możesz pożegnać się z życiem – powiedział, a potem mruknął: – Niech bogowie mają Arobynna w swojej opiece. – Wziął do ręki pióro. – Jeszcze jakieś prośby?

Celaena zeszła z niego, ale nie wypuściła sztyletu.

– W sumie to tak – powiedziała. – Przydałby mi się statek.

Rolfe wbił w nią wściekle spojrzenie, a następnie podpisał dokumenty. Gdy oddał je zabójczyni, ta ponownie pozbawiła go przytomności. Wystarczyło uderzyć w dwa miejsca na szyi, aby zyskać wystarczająco dużo czasu na odnalezienie Sama.

Pędziła po osypujących się schodach wieży, przeskakiwała nad ciałami i kawałkami gruzów, nie zatrzymywała się, póki nie natknęła się na zmiażdżone ciała tuzina piratów, którzy w chwili wystrzału znajdowali się najbliżej Sama oraz zniszczonych katapult. Wszędzie widać było krew, poszarpane ciała i połamane kości. Nie miała ochoty się temu dłużej przyglądać.

– Sam! – krzyknęła, ześlizgując się ze sterty gruzów. Uniosła drewnianą belkę i odrzuciła ją na bok, szukając jakichkolwiek śladów chłopaka. – Sam!

Jej ręka znów zaczęła krwawić. Zostawiała ślady na każdym

przewróconym kamieniu i odsuniętej desce. Gdzież on był?

Przecież to ona wymyśliła ten plan. Ona! Jeśli któreś z nich musiało zapłacić własnym życiem, powinna to być ona! Ona, a nie on!

Dotarła do drugiej katapuły, która pękła na pół, przygnieciona spadającymi głazami. Tam go widziała po raz ostatni. Teraz w tym miejscu spoczywał ciężki głaz, który bez trudu mógł rozgnieść człowieka.

Naparła na niego, chcąc go przewrócić. Pchała ze wszystkich sił, ale jej stopy ślizgały się, a głaz nawet nie drgnął.

Sapiąc i parskając, napierała coraz mocniej, lecz głaz był zbyt wielki.

Przeklinając, uderzyła pięścią w szarą powierzchnię. Ręka eksplodowała wściekłym bólem, który uwolnił w niej falę emocji. Tłukła w głaz jak szalona i zaciskała zęby, powstrzymując dziki wrzask narastający w jej sercu.

– Mam wrażenie, że w ten sposób głazu się raczej nie poruszy – powiedział ktoś.

Celaena odwróciła się.

Na przeciwnym końcu platformy stał Sam. Od stóp do głowy był pokryty pyłem, a z rany na czole ściekała mu krew, ale żył...

Dziewczyna uniosła podbródek.

– Wołałam cię!

Sam wzruszył ramionami i podszedł do niej wolnym krokiem.

– Pomyślałem sobie, że możesz chwilę poczekać, bo to przecież ja ocaliłem twój pomysł przed klęską i w ogóle.

Uniósł brwi na pokrytej popiołem twarzy.

– Ale z ciebie bohater – parsknęła dziewczyna i pokazała mu ruiny wieży. – Nigdy nie widziałam większego partactwa.

Sam uśmiechnął się. Wyglądał tak jak zawsze – jego oczy migotały łobuzersko, w jego pozie dało się wyczuć lekką irytację, ale emanował dobrocią i życzliwością, dzięki której zawsze, absolutnie zawsze miał być kimś lepszym od niej.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Celaena zarzuciła mu rękę na szyję i przytuliła się do niego.

Sam zeszywniał, ale po chwili odwzajemnił uścisk. Dziewczyna wdychała zapach jego potu, metaliczną woń krwi oraz pokrywającego go pyłu. Chłopak oparł policzek na jej głowie. Nie pamiętała – nie

miała wręcz pojęcia! – kiedy ktoś tulił ją po raz ostatni. Nie, zaraz, pamiętała taką chwilę. Wydarzyło się to rok temu, kiedy wróciła z misji dwie godziny za późno ze zwichniętą kostką. Ben, który miał ją odebrać, bardzo się martwił, a ona – ledwie uniknąwszy pojmania przez królewską straż – była przerażona i wstrząśnięta.

Tulenie się do Sama było jednak innym doznaniem. Zapragnęła wtopić się w jego ciepło i przez jedną krótką chwilę nie przejmować się nikim oraz niczym.

– Sam – wymamrotała z twarzą opartą o jego klatkę piersiową.

– Hmm?

Odsunęła się nieco i wyswobodziła z jego ramion.

– Jeśli kiedykolwiek powiesz komuś, że się tuliliśmy do siebie, wypruję ci flaki.

Chłopak wbił w nią zaskoczone spojrzenie, a potem odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak długo, aż zakrztusił się pyłem i zaczął kaszleć. Celaena czekała, aż skończy. Sytuacja wcale jej nie rozbawiła.

Gdy Sam na powrót mógł złapać oddech, odkaszlnął, zarzucił rękę jej na ramiona i powiedział:

– Chodź już, Sardothien. Jeśli zmęczyłaś się ratowaniem niewolników i niszczeniem pirackich miast, pora wrócić do domu.

Celaena zerknęła na niego z ukosa i uśmiechnęła się szeroko.



SARAH J. MAAS

ZABÓJCZYNI

*i*  
*uzdrowicielka*



Sarah J. Maas

# ZABÓJCZYNI I UZDROWICIELKA

przełożył Marcin Mortka



## Rozdział pierwszy

**D**ziwna kobieta mieszkała w gospodzie Pod Białą Świnią od dwóch dni, ale nie rozmawiała właściwie z nikim z wyjątkiem Nolana. Właścicielowi tego przybytku wystarczyło jedno spojrzenie na wspaniałe, ciemne niczym noc szaty nieznajomej, aby zdecydować, że ugości ją najlepiej, jak potrafi.

Przydzielił jej najdroższy pokój w gospodzie – przewidziany dla gości, których miał zamiar pozbawić dużej ilości pieniędzy – i nie wydawał się w ogóle zaniepokojony faktem, że kobieta zakrywała twarz ciężkim kapturem, a także nosiła przy sobie ogromny arsenał broni połyskującej na jej smukłym, szczupłym ciele. Wystarczyło, by dłoń w rękawiczce rzuciła mu zręcznie złotą monetę. Wystarczyło, że dostrzegł starannie wykonaną złotą broszkę z rubinem wielkości jajka gila.

Nolan właściwie nie bał się nikogo i niczego, no chyba że trafiał mu się gość, który nie miał zamiaru zapłacić, ale nawet wówczas gniew i chciwość wygrywały z lękiem.

Yrene Towers przyglądała się nowo przybyłej z zacisznego kącika izby głównej. Nie mogła oderwać od niej wzroku, choćby dlatego, że dziewczyna zjawiała się bez towarzystwa i sama jedna zajęła miejsce przy stole. Siedziała zaś tak nieruchomo, że niemożliwością było nie spoglądać na nią. Niemożliwością było ją zignorować.

Yrene nie dostrzegła jeszcze rysów twarzy nieznajomej, choć w półmroku kaptura raz po raz błyskał złoty warkocz. W każdym innym mieście lokal Pod Białą Świnią w kategorii wygody i czystości zostałby oceniony bardzo nisko, ale tu, w Innish, mieście portowym tak małym, że zaznaczano je tylko na najlepszych mapach, uchodził za najlepszą gospodę w okolicy.

Dziewczyna spojrzała na kufel, który właśnie myła, i powstrzymała grymas obrzydzenia. Robiła wszystko, co w jej mocy, żeby za barem i w izbie głównej panował porządek, a gości – głównie żeglarzy, kupców i najemników, którzy nierzadko myśleli, że ona również jest na sprzedaż – obsługiwała z uśmiechem. Jednakże Nolan uparcie

rozcieńczał wino, prał pościel tylko wtedy, gdy pojawiały się wszy i pchły, a do serwowanych codziennie obiadów używał obojętnie jakiego mięsa, które udało mu się kupić w ciemnej uliczce.

Yrene pracowała tu już od roku – jedenaście miesięcy dłużej, niż zamierzała – ale wciąż brzydziło ją to miejsce. Źle to świadczyło o gospodzie Pod Białą Świnia, biorąc pod uwagę fakt, że dziewczyna była w stanie znieść właściwie wszystko (z tego właśnie względu Nolan i Jessa domagali się, żeby to ona sprzątała najgorszy bałagan pozostawiony przez gości).

Nieznajoma siedząca na tyłach izby uniosła głowę i skinęła dłonią w rękawiczce, dając znać Yrene, by przyniosła jej kolejne piwo. Jak na kogoś, kto raczej nie ukończył jeszcze dwudziestu lat, nieznajoma dziewczyna piła oszałamiająco dużo – piwa, wina i wszelkich innych trunków, które Nolan kazał jej nosić – ale nie wyglądała na nietrzeźwą. Zakrywała twarz wielkim kapturem i trudno było cokolwiek stwierdzić, ale gdy nadchodziła noc, wstawiała i odchodziła do pokoju z kocim wdziękiem. Bynajmniej nie potykała się o własne nogi jak większość gości po ostatnim zamówieniu.

Yrene pospiesznie nalała piwa w wytarty przed chwilą kufel i postawiła go na tacy. Do zamówienia dołączyła szklankę wody i nieco chleba, gdyż nieznajoma nie zjadła mięsnej potrawy, którą podano jej na obiad. Nawet jej nie tknęła. Mądra babka.

Dziewczyna prześlizgnęła się przez zatłoczoną izbę, wymijając próbując ją obmacać łapska. W połowie drogi przechwyciła spojrzenie Nolana, który siedział przy drzwiach. Skinął jej, a powiększająca się łysina błysnęła w nikłym świetle.

„Tak, niech pije – przekazywał jej bezgłośnie. – Niech zamawia coraz więcej”.

Yrene opanowała chęć, by wywrócić oczyma. Nolan był przecież osobą, dzięki której nie wystawała na ulicach wraz z innymi młodymi kobietami z Innish. Jakiś rok temu dał się przekonać, że potrzebuje pomocy na parterze gospody, choć zgodził się dopiero, gdy uświadomił sobie, że naprawdę mu się to opłaci.

Yrene miała wtedy osiemnaście lat i serce pełne rozpacz. Z radością przyjęła pracę w zamian za kilka miedziaków i nędzne łóżko w komórce na miotły pod schodami. Większość jej zarobku pochodziła z napiwków, ale Nolan zatrzymywał połowę sumy, a Jessa,

druga barmanka, żądała dla siebie dwóch trzecich tego, co zostawało. Twierdziła, że napiwki to jej zasługa. Rzekomo to jej piękna twarz sprawiała, że mężczyźni tak chętnie rozstawali się ze swoimi pieniędzmi.

Dziewczyna zerknęła w kąt sali i przekonała się, że właścicielka owej „pięknej twarzy” zasiada na kolanach pewnego brodatego żeglarza, chichocząc i odrzucając do tyłu brązowe loki. Yrene westchnęła cicho, ale z jej ust nie dobyło się ani jedno słowo skargi, bo Jessa była faworytą Nolana, a ona sama naprawdę nie miała dokąd się udać. Jej domem było teraz Innish, a Pod Białą Świnia stało się jej przystanią. Świat na zewnątrz był zbyt wielki, przepełniony strzaskanymi marzeniami oraz rozdeptany przez armie, które miażdżyły i paliły wszystko, co Yrene ceniła i kochała.

W końcu dotarła do stołu nieznajomej i zauważyła, że ta wpatruje się w nią.

– Przyniosłam ci też trochę wody i chleba – bąknęła.

Postawiła piwo przed dziewczyną, ale potem się zawahała.

– Dziękuję – odparła młoda nieznajoma. Jej głos był niski i chłodny. Jego właścicielka z całą pewnością była osobą obytą w świecie i wykształconą, a także... zupełnie niezainteresowaną Yrene.

W sumie nie było się czemu dziwić. W barmance nie było w końcu nic, co mogłoby choć na chwilę zainteresować nieznajomą. Wełniana, tkana ręcznie sukienka nie uwydatniała atutów jej nazbyt szczupłej figury. Podobnie jak większość ludzi pochodzących z południa Fenharrow, Yrene miała złocistą, opaloną skórę i zwyczajne, brązowe włosy, była też przeciętnego wzrostu. Tylko jej oczy – lśniące, brązowożłote – mogły być powodem do dumy. Jednakże mało kto je widział. Dziewczyna starała się przemieszczać z pochyloną głową, nie chcąc nikogo zachęcać do nawiązania rozmowy ani ściągać na siebie niepożądaną uwagę.

Postawiła teraz chleb i wodę, a potem zabrała pusty kufel, odepchnięty przez klientkę na środek stołu. Ciekawość okazała się zbyt silna i barmanka zerknęła pod kaptur nieznajomej. Ujrzała tam tylko cienie, błysk złotego kosmyka włosów i fragment bladej skóry. W głowie kłębiło jej się wiele, tak wiele pytań...

„Kim jesteś? Skąd pochodzisz? Dokąd zmierzasz? Umiesz posługiwać się tymi wszystkimi ostrzami?”

Nolan przyglądał się jej przez cały czas, więc Yrene dygnęła i ruszyła za bar, znów przedzierając się przez gąszcz obmacujących ją rąk. Szła ze spuszczonego wzrokiem, a na jej ustach zastygł odległy uśmiech.

\*\*\*

Celaena Sardothien siedziała przy stole w najpodlejszej gospodzie świata i zastanawiała się, jakim sposobem jej życie tak szybko legło w gruzach.

Nienawidziła Innish. Nienawidziła smrodu, brudu i śmieci, nienawidziła gęstej mgły, która spowijała miasto dniami i nocami, nienawidziła drobnych kupców, najemników i całej reszty żalonych ludzi, którzy tu mieszkali.

Nikt nie wiedział, kim jest i dlaczego tu przybyła. Nikt nie miał pojęcia, że dziewczyna w kapturze to Celaena Sardothien, owiana najgorszą sławą zabójczynie. Jednakże ona wcale nie chciała, by ktoś się o tym dowiedział. Ba, ci ludzie nie mogli poznać prawdy! Nie chciała też, by ktokolwiek wiedział, że za tydzień skończy siedemnaście lat.

Tkwiła tu już od dwóch dni. Przesiadywała w swoim obrzydliwym pokoju, który bijący przed nią pokłony gospodarz miał tupet nazwać „apartamentem”, lub w izbie głównej, cuchnącej piwem, potem i ludźmi, którzy nie przepadali za kąpielą.

Wyjechałaby stąd, gdyby miała jakiś wybór, ale utknęła tu na dobre za sprawą swego przełożonego, Arobyna Hamela, Króla Zabójców. Zawsze była dumna ze statusu jego przyszłej następczyni i nie przestawała się tym chełpić, ale teraz... Ta podróż była karą za zrujnowanie jego ohydnej umowy z handlarzem niewolników i Władcą Piratów z Zatoki Czaszek. Celaenie nie w smak była wędrówka przez Dżunglę Bogdano, zabójcze ziemie, za którymi leżała Opuszczona Kraina, więc jedyną opcją pozostawała żegluga po Zatoce Oro. Póki co musiała siedzieć w tej dziurze i czekać na statek, który zabierze ją do Yurpy.

Westchnęła i pociągnęła długi łyk piwa. O mało co nie wypluła go na ziemię. Obrzydliwość. Piwo tu było obraźliwie tanie i nędzne, jak zresztą całe to miejsce. Jak obiad, którego nawet nie tknęła. Mięso, które ugotowano, na pewno nie pochodziło od żadnego zwierzęcia

wartego zjedzenia. Pozostał jej chleb i ser.

Zabójczyni rozparła się, wodząc wzrokiem za barmanką o brązowozłoty włosach, przemykającą przez labirynt stołów i krzeseł. Dziewczyna zręcznie uskoczyła przed typem, który próbował ją pochwycić, nie wypuszczając niesionej w ręku tacy. Była szybka i zręczna, a do tego miała doskonały zmysł równowagi i piękne, inteligentne oczy. Szkoda jej dla takiej dziury. Co więcej, nie była głupia. Celaena zdołała zaobserwować, jak barmanka przygląda się krytycznym wzrokiem izbie i gościom, tak jak i ona sama. Cóż za potworne nieszczęście zmusiło ją do pracy w tym miejscu?

Właściwie nie interesowało jej to zbyt. Zadawała sobie podobne pytania tylko po to, by odpędzić nudę. Już pochłonęła trzy książki, które zabrała ze sobą z Rifthold, a w żadnym ze sklepów w Innish nie znalazła niczego do czytania. Sprzedawano tu tylko przyprawy, rybę, niemodne ubrania i morski ekwipunek. Żałosny asortyment jak na morski port. Królestwo Melisande borykało się jednak z wielkimi trudnościami od ponad ośmiu lat, odkąd król Adarlanu podbił cały kontynent i skierował handel przez Eyllwe, ignorując wschodnie porty.

Cały świat borykał się z trudnościami. Celaena również.

Opanowała pokusę, by dotknąć własnej twarzy. Opuchlizna po laniu, jakie spuścił jej Arobynn, już zeszła, ale pozostały sińce. Unikała lustra stojącego na jej komodzie, gdyż wiedziała, co w nim ujrzy – fioletowe, niebieskie i żółte plamy na kościach policzkowych, ciemny siniec pod okiem i wciąż gojącą się rozciętą wargę.

Była to pamiątka po tym, co Arobynn zrobił z nią po powrocie z Zatoki Czaszek, dowód na to, jak bardzo go zdradziła, ratując dwustu niewolników przed okrutnym losem. Doprowadziła do tego, że Władca Piratów stał się jej potężnym wrogiem, i była przekonana, że zdołała również zepsuć swoje układy z Arobynnem, ale racja była po jej stronie. Powtarzała sobie, że się opłacało. Takie akcje zawsze będą się opłacać.

Nawet jeśli czasami była tak wściekła, że nie potrafiła logicznie myśleć. Nawet jeśli wdała się nie w jedną, nie w dwie, ale w trzy bójkę w knajpach w ciągu dwutygodniowej podróży z Rifthold na Czerwoną Pustynię. Miała moralne prawo wszczać jedną z nich – człowieka, z którym grała w karty, zaczął oszukiwać – ale pozostałe...

Nie potrafiła się tym specjalnie przejmować, bo w chwilach, gdy biła się w knajpie, czuła się na powrót sobą. Znów była największą zabójczynią w Adarlanie i dziedziczką Arobynna Hamela.

Nawet jeśli jej przeciwnicy byli pijakami niewyszkolonymi w walce. Nawet jeśli powinna się dwa razy zastanowić przed rozpoczęciem każdej bójki.

Barmanka znalazła się za bezpiecznym barem, a Celaena ponownie rozejrzała się po knajpie. Karczmarz nadal nie spuszczał z niej oczu. Obserwował ją od dwóch dni, bez wątpienia zastanawiając się, ile pieniędzy zdoła jeszcze z niej wyciągnąć. Przyglądało jej się jeszcze kilku mężczyzn. Część z nich spostrzegła już poprzedniego wieczoru, ale teraz przypatrzyła się uważnie kilku nowym. Dlaczego trzymali się z dala? Powstrzymywał ich lęk czy może po prostu miała szczęście?

Celaena nie kryła się z tym, że podróżowała ze sporą ilością pieniędzy. Ubranie i broń również świadczyły o jej bogactwie. Nosząc samą tylko broszkę z rubinem, wręcz prosiła się o kłopoty, co zresztą było powodem, dla którego w ogóle jej nie zdejmowała. Dostała ją od Arobynna na szesnaste urodziny i miała wielką nadzieję, że ktoś spróbuje ją ukraść. Jeśli złodziej okazałby się dobry, była gotowa mu na to pozwolić. Pierwsza próba kradzieży była tylko kwestią czasu.

Poza tym miała już dość walki na pięści i kopniaki. Zerknęła na miecz połyskujący matowo w blasku gospody.

Jutro o świcie miała wyruszyć w dalszą drogę. Czekala ją żegluga do Opuszczonej Krainy, skąd miała powędrować ku Czerwonej Pustyni, by spotkać się z Niemym Mistrzem i Milczącymi Zabójcami. Miała ćwiczyć z nim przez miesiąc, co stanowiło ciąg dalszy kary za jej zdradę, choć szczerze powiedziawszy, zaczynała powoli zastanawiać się nad tym, czy jest sens w ogóle jechać na Czerwoną Pustynię.

Kusiło ją, by wsiąść na statek płynący gdzie indziej – choćby na południowy kontynent – i rozpocząć tam nowe życie. Mogłaby zostawić za sobą Arobynna Hamela, Gildię Zabójców, miasto Rifthold i całe to przekłete imperium Adarlanu. Nic jej nie zatrzymywało poza świadomością, że Arobynn będzie ją ścigał bez względu na to, jak daleko uda jej się uciec. Pozostawał jeszcze Sam. Cóż, nie miała pojęcia, co się stało z jej towarzyszem owej nocy, gdy ich świat szlag trafił, ale... nieznane ją kusiło. Czuła w sobie dziką furie, która domagała się, by zrzuciła ostatnie łańcuchy narzucone jej przez



Arobynna i popłynęła gdzieś, gdzie mogłaby założyć własną Gildię Zabójców. To byłoby takie proste.

Nawet gdyby zrezygnowała z rejsu do Yurpy i zamiast tego postanowiła udać się na południowy kontynent, wciąż musiałaby spędzić jeszcze jedną noc w tej paskudnej gospodzie. Kolejną bezsenną noc, podczas której słyszałaby tylko huk własnej furii pulsującej w jej żyłach.

Gdyby była sprytna i opanowana, uniknęłaby konfrontacji i opuściłaby Innish w spokoju.

Nie miała jednak ochoty silić się ani na spryt, ani na opanowanie, tym bardziej że mijała godzina za godziną, a powietrze, którym oddychała w gospodzie, powoli przeistaczało ją w dziką, wygłodniałą istotę, która domagała się krwi.

## Rozdział drugi

Yrene nie miała pojęcia, kiedy to się stało ani jak do tego doszło, ale atmosfera w gospodzie Pod Białą Świnia uległa zmianie. Zupełnie jakby wszyscy zebrani tu ludzie na coś czekali. Nieznajoma dziewczyna nadal siedziała przy swoim stole pogrążona w myślach, ale bębniła palcami po poznaczonym wieloma bruzdami drewnianym blacie. Co chwila poprawiała też kaptur, by rozejrzeć się dookoła.

Yrene nie mogła wyjść z gospody, nawet gdyby chciała. Ostatnie zamówienia miała zebrać dopiero za czterdzieści minut, a potem musiała jeszcze zostać przez godzinę, żeby posprzątać i wyprowadzić pijanych za drzwi. Nie dbała o to, co się z nimi działo, gdy już przeszli przez próg, i nie zmartwiłaby się specjalnie, jeśli któryś wylądowałby głową naprzód w rowie z wodą. Chodziło jej tylko o to, by się ich pozbyć.

Nolan znikł chwilę wcześniej, by ratować własną skórę lub, być może, załatwić kolejny ciemny interes na ulicy. Jessa nadal chichotała w objęciach żeglarza, nieświadoma zmian, które zaszły w karczmie.

Yrene nie spuszczała wzroku z nieznajomej w kapturze, podobnie jak kilku innych klientów. Czy czekali, aż się podniesie? Rozpoznała w ich gronie złodziei, którzy krążyli dookoła niczym sępy, próbując się domyślić, czy dziewczyna potrafi się posługiwać noszoną bronią. Wszyscy wiedzieli, że wyjeżdża o świcie, więc jeśli chcieli odebrać jej pieniądze, biżuterię, broń lub poważyc się na czyn o wiele mroczniejszy, to była ich ostatnia szansa.

Yrene przygryzła wargę i napełniła kufle czterem najemnikom grającym w króli. Powinna ją ostrzec. Powinna jej powiedzieć, że czas się stąd wymknąć. Czas uciekać na statek, bo w przeciwnym razie skończy z poderżniętym gardłem.

Nolan wyrzuciłby ją jednak na ulicę, gdyby się dowiedział, że ostrzegła nieznajomą, tym bardziej że wielu spośród zgromadzonych tu zbirów należało do jego ukochanych klientów, którzy chętnie dzielili się z nim łupami. Yrene nie miała wątpliwości, że jeśli zdradzi karczmarza, ten pośle za nią właśnie tych ludzi. Jak to się stało, że

tak bardzo się do nich przyzwyczaiła? W którym momencie praca i życie w gospodzie Pod Białą Świnią stały się czymś, o co gotowa była desperacko zabiegać?

Z trudem przełknęła ślinę, nalewając kolejne piwo. Jej matka na pewno ostrzegłaby nowo przybyłą.

Jej matka była dobrą kobietą, która nigdy się nie wahała i nigdy nie przepędziła chorego ani rannego spod drzwi ich chaty w południowym Fenharrow. Nigdy. Przyjmowała nawet tych najuboższych.

Jako uzdrowicielka, pobłogosławiona przez bogów i obdarzona wielką mocą, matka zawsze mawiała, że nie wypada brać pieniędzy za to, co Silba, Bogini Uzdrawiania, dawała za darmo. Tylko raz widziała, by matka się zawahała. Działo się to owego dnia, gdy ich chatę otoczyli adarlańscy żołnierze, uzbrojeni po zęby i trzymający pochodnie.

Nie zrobiło to na nich wrażenia, gdy wyjaśniała, że jej moc – podobnie jak moc Yrene – znikła wiele miesięcy temu, tak jak inne przejawy magii, ani gdy tłumaczyła, że zostały porzucone przez bogów.

Nie słuchali jej wyjaśnień. Ani słowa. Zagubieni bogowie, do których obie uzdrowicielki modliły się z prośbą o ocalenie, również ich nie wysłuchali.

Wtedy jej matka po raz pierwszy i ostatni odebrała komuś życie.

Yrene po dziś dzień widziała błysk sztyletu, który jej matka nosiła w rękawie. Po dziś dzień czuła krew tryskającą na jej boscie stopy. Po dziś dzień słyszała krzyk matki nakazującej jej ucieczkę. Po dziś dzień pamiętała zapach dymu, gdy żołnierze palili jej matkę żywcem, a ona chodziła, szlochając, po skraju Dębowej Puszczy.

To po matce Yrene odziedziczyła wytrzymały żołądek i żelazne nerwy, ale nigdy nie przypuszczała, że dzięki nim wyląduje w tym chlewie, przyzwyczai się do niego i nazwie go domem.

Myśli i wspomnienia pochłonęły ją tak bardzo, że zauważyła obecność nieznajomego mężczyzny dopiero wtedy, gdy ten położył szeroką dłoń na jej talii.

– Przyda nam się piękna buzia przy tym stole – rzekł, obdarzając ją wilczym uśmiechem.

Yrene cofnęła się, ale klient gospody trzymał ją mocno, próbując zmusić, żeby usiadła mu na kolanie.

– Mam robotę – powiedziała, siląc się na obojętność. Tysiące razy wyslizgiwała się z podobnych opresji. Już dawno się nie bała tego rodzaju sytuacji.

– Ale mogłabyś zająć się mną – rzucił jeden z najemników, wysoki mężczyzna z wysłużonym ostrzem przytroczonym do pleców.

Dziewczyna ze spokojem zdjęła dłonie nieznajomego ze swej talii.

– Ostatnie zamówienia za czterdzieści minut – rzekła uprzejmie i cofnęła się poza zasięg całej czwórki, szczerzącej zęby niczym dzikie psy. – Mam wam podać coś jeszcze?

– A co robisz po pracy? – spytał kolejny.

– Wracam do męża – skłamała.

Wszyscy spojrzeli na palec, na którym znajdowała się obrączka mogąca uchodzić za ślubną. Należała do jej matki, a wcześniej do babki, prababki i wielu innych wspaniałych kobiet, bez wyjątku znakomitych uzdrowicielek, co do jednej zapomnianych przez ludzkość.

Mężczyźni się skrzywili. Yrene wykorzystała okazję i czmychnęła za bar. Nie ostrzegła nieznajomej. Nie poważyła się na wyprawę przez zatłoczoną izbę, pełną ludzi przypominających wygłodniałą sforę wilków.

Czterdzieści minut. Tylko czterdzieści minut i ich wszystkich stąd wykopie.

Potem posprząta i zwali się do łóżka, zakończywszy kolejny dzień w tym piekle na ziemi, który jakimś dziwnym trafem był jej przyszłością.

\*\*\*

Celaena poczuła się nieco urażona, że żaden z obecnych w knajpie mężczyzn nie próbował jej obłapić ani też nie sięgnął po jej pieniądze, broń czy broszkę, gdy wreszcie wstała i ruszyła między stołami. Barmanka właśnie uderzyła w dzwon, by ogłosić ostatnie zamówienie. Zabójczyni nie była w ogóle zmęczona, ale miała już dość oczekiwania na bójkę, rozmowę czy cokolwiek, co zajmie jej czas.

Mogła pójść na górę i przeczytać raz jeszcze jedną z kupionych książek. Minęła bar, rzuciła srebrną monetę ciemnowłosej barmance i zadała sobie w myślach pytanie, czy zamiast tego nie powinna wyjść na ulicę i poszukać jakiejś przygody.

Sam powiedziałby, że jest nierozważna i głupia, ale Sama tu nie było. Nie miała pojęcia, czy nadal żyje i czy nie został pobity do nieprzytomności przez Arobynna. Nie miała wątpliwości, że został surowo ukarany za rolę, jaką odegrał w uwolnieniu niewolników z Zatoki Czaszek.

Nie chciała o tym myśleć. Miała wrażenie, że Sam stał się jej przyjacielem. Nigdy wcześniej nie miała przyjaciela i nie zabiegała szczególnie o niczyją przyjaźń, ale chłopak był dobrym towarzyszem, choć nie wahał się mówić, co sądzi o jej zdolnościach, planach czy wreszcie o niej samej.

Ciekawe, co by pomyślał, gdyby odpłynęła w nieznaną, nigdy nie dotarła na Czerwoną Pustynię i nigdy nie wróciła do Rifthold? Miałyby na pewno powód do świętowania, zwłaszcza jeśli Arobynn wyznaczyłby go na swojego następcę. A może mogłaby go później wytropić? Przecież to on zaproponował ucieczkę, jeszcze gdy byli w Zatoce Czaszek. A więc gdyby znalazła sobie nowy dom i osiągnęła pozycję najlepszej zabójczynie w przybranej ojczyźnie, mogłaby go poprosić, by do niej przystał. Nigdy więcej nie musieliby cierpieć kar ani upokorzenia. Cóż za wspaniały pomysł! Jaka wielka pokusa!

Celaena wspięła się z trudem po wąskich stopniach, nasłuchując, czy na piętrze nie czekają na nią złodzieje lub zbiry pragnące poderżnąć jej gardło. Ku jej rozczarowaniu korytarz przed nią był ciemny i pusty.

Wzdychając, wślizgnęła się do swego pokoju i zaryglowała drzwi. Po chwili zabarykadowała je również starą komodą. Bynajmniej nie kierowała się względami bezpieczeństwa, skądże znowu. Chciała w ten sposób uchronić idiotę, który mógł poważić się na włamanie. Z chwilą przekroczenia progu zostałyby rozchlastany od czoła aż po pas tylko dlatego, że pewna wędrowna zabójczynie się nudziła.

Krażyła po pokoju przez kwadrans, a potem odepchnęła mebel na miejsce i wyszła. Poszła szukać guza. Guza, przygody lub czegokolwiek, co pomoże jej zapomnieć o sińcach na twarzy – karze wymierzonej przez Arobynna – oraz o pokusie, by zapomnieć o zobowiązaniach i popłynąć w siną dal.

\*\*\*

Yrene wyniosła ostatni z kubłów wypełnionych śmieciami na

zamgloną uliczkę za gospodą. Bolały ją plecy i ramiona. To był długi dzień, dłuższy niż inne.

Dzięki bogom nie doszło do bójki. Wprawdzie dziewczyna nadal nie potrafiła ukoić nerwów ani też pozbyć się przeświadczenia, że coś było nie w porządku, ale cieszyła się – cieszyła jak głupia! – że nie wybuchła żadna awantura. Nie miała najmniejszej ochoty spędzić całej nocy na szorowaniu plam po krwi i wymiocinach i wynoszeniu resztek połamanych stołów. Po oddzwonieniu ostatniego zamówienia goście dopili piwo, narzekając i śmiejąc się, a potem wyszli, nie ociągając się zbytnio.

Jessa znikła wraz z owym żeglarzem, co bynajmniej nikogo nie zdziwiło, a że uliczka za gospodą wydawała się pusta, należało uznać, że udali się gdzieś razem. Yrene znów będzie musiała sama wszystko posprzątać.

Wysypała nadające się do spożycia resztki na stos piętrzący się pod ścianą. Nie było tego dużo – trochę czerstwego chleba i pozostałości z obiadu, które na pewno znikną do rana, rozchwywane przez półdzikich uliczników.

Co by powiedziała jej matka, gdyby zobaczyła, jak skończyła jej córka?

Yrene miała zaledwie jedenaście lat, gdy żołnierze spalili jej matkę za uprawianie magii. Przez sześć i pół roku mieszkała u kuzynostwa matki w innej wsi w Fenharrow, udając odległą krewną pozbawioną jakiegokolwiek talentu. Nie było to trudne zadanie, bo jej moce znikły bez śladu, ale trwały czasy terroru i sąsiedzi często zwracali się przeciwko sobie, donosząc na dawnych użytkowników magii na najbliższych posterunkach. Na szczęście nikt nie przyglądał się uważnie małej Yrene, a dziewczynka pomagała przybranej rodzinie wrócić do normalności po szaleństwie, jakie niosły ze sobą siły Adarlanu.

Mimo to nie przestawała marzyć o zostaniu uzdrowicielką, jak jej matka i babka. Nie odstępowała matki od chwili, gdy nauczyła się mówić. Przyglądała się jej pracy i uczyła się powoli, jak większość tradycyjnych uzdrowicieli. Przez lata spędzone na gospodarstwie, które okazały się stosunkowo spokojne – żeby nie powiedzieć nużące i nudne – nie zapomniała tego, czego nauczyła się przez pierwszych jedenaście lat życia. Nie zapomniała również o swym marzeniu, by

pójść w ślady matki. Jej kuzyni okazali się dobrymi, gościnnymi ludźmi, ale Yrene nie zbudowała z nimi szczególnie serdecznych stosunków – żadna ze stron nie starała się przewyciężyć różnic zrodzonych przez odległość, strach i wojnę. Nikt się nie sprzeciwiał, gdy zebrała swe oszczędności i wyruszyła w drogę kilka miesięcy przed ukończeniem osiemnastego roku życia.

Zmierzała do miasta noszącego nazwę Antica, słynnego ośrodka naukowego na południowym kontynencie, które jak dotąd uniknęło agresji Adarlanu. Jeśli wierzyć plotkom, magia nadal była tam silna. Yrene zawędrowała pieszo z Fenharrow przez góry do Melisande, pokonała Dębową Puszcę i wreszcie dotarła do Innish, gdzie podobno można było wsiąść na okręt płynący na południowy kontynent. I dokładnie tam skończyły jej się pieniądze.

Z tego właśnie powodu podjęła pracę w gospodzie. Z początku miała nadzieję, że to tylko tymczasowe zatrudnienie, które pozwoli jej zgromadzić środki potrzebne na rejs. Potem zaczęła się martwić tym, że nie będzie miała za co się utrzymać, gdy już dotrze na miejsce, i że nie będzie miała czym zapłacić za naukę w Torre Cesme, wielkiej akademii uzdrowicieli i lekarzy. Pracowała więc dalej. Tygodnie zmieniły się w miesiące, a marzenie o wypłynięciu i studiach w Torre Cesme zaczęło być coraz bardziej odległe. Tym bardziej że Nolan żądał coraz więcej pieniędzy za wikt i opierunek i znajdował coraz to nowsze sposoby, by obniżyć jej pensję. Tym bardziej że wytrzymały żołądek i żelazne nerwy uzdrowicielki pomogły jej przyzwyczać się do koszmarnej pracy.

Yrene westchnęła przez nos. Proszę bardzo. Barmanka w jakiejś zapadłej dziurze z dwoma miedziakami w kieszeni i bez żadnych perspektyw.

Nagle rozległ się chrzęst butów na bruku. Yrene spojrzała na ulicę. Gdyby Nolan przyłapał uliczników na wyjadaniu starego chleba, wściekłyby się na nią. Powiedziałby, że prowadzi gospodę, a nie garkuchnię dla bezdomnych, i znów zmniejszyłby jej pensję. Już raz to zrobił i od tej pory dziewczyna musiała przeganiać uliczników, besztać ich i przypominać, że mają poczekać do północy. Dopiero wtedy mogą dobrać się do wyłożonych przez nią resztek.

– Przecież mówiłam, że macie poczekać do... – zaczęła, ale przerwała, gdy pojawiły się przed nią cztery postacie.

Mężczyźni. Najemnicy, z którymi wcześniej rozmawiała.

Ruszyła w stronę wejścia, ale byli szybcy, szybsi od niej.

Jeden zablokował wejście, a drugi zaszedł ją od tyłu, złapał mocno i przyciągnął do swego ogromnego cielska.

– Zaczynij tylko wrzeszczeć, a poderżnę ci gardło – szepnął jej do ucha. Jego oddech był gorący i cuchnął piwem. – Widziałem, jak zbierasz pokaźne napiwki, mała. Gdzie one są?

Yrene nie wiedziała, co ma zrobić – walczyć, płakać, prosić o litość czy może rzeczywiście wrzeszczeć. Nie musiała jednak podejmować tej decyzji.

Najemnik stojący najdalej od niej został niespodziewanie wciągnięty w mgłę ze stłumionym okrzykiem.

Ten, który ją trzymał, odwrócił się ku niewidocznemu przeciwnikowi, ciągnąc Yrene za sobą. Załopotało czyjeś ubranie, potem rozległ się głuchy łoskot. Nastąpiła cisza.

– Ven?! – zawołał mężczyzna blokujący drzwi.

Nic.

Trzeci z najemników, stojący między Yrene i mgłą, wyciągnął krótki miecz. Dziewczyna nie zdążyła nawet krzyknąć, gdy z mgły wypełzła ciemna postać i pochwyciła go. Intrygujące było to, że nieznajoma postać zaszła najemnika nie od przodu, lecz z boku, jakby naprawdę pojawiła się znikąd.

Najemnik trzymający Yrene rzucił ją na ziemię i wyciągnął miecz przytoczony do pleców. Broń miała szerokie, paskudnie wyglądające ostrze. Tymczasem jego towarzysz nie zdążył nawet krzyknąć. Znowu rozległa się cisza.

– Wyłaż, przekłety tchórze – warknął przywódca gangu. – Staw nam czoła, jak na wojownika przystało!

W odpowiedzi rozległ się cichy śmiech.

Krew Yrene zamieniła się w lód.

„Silbo, chroń ją!” – pomyślała.

Rozpoznała ten śmiech. Rozpoznała chłodny głos wykształconej osoby.

– A przystoi wojownikom osaczać bezbronną dziewczynę w ciemnej uliczce?

W tej samej chwili nieznajoma wyszła z mgły. W obu dłoniach ścisnęła długie sztylety, których ostrza ociekały ciemną krwią.



## Rozdział trzeci

**B**ogowie. Och, na bogów”.

Yrene oddychała szybko, patrząc, jak dziewczyna zbliża się do dwóch pozostałych napastników. Ten, który ją wcześniej trzymał, parsknął śmiechem, ale jego towarzysz stojący przy drzwiach wybałuszył oczy. Barmanka wycofywała się powoli, powolutku.

– To ty pozabijałaś moich ludzi? – spytał przywódca, unosząc wysoko ostrze.

Nieznajoma przesunęła jeden ze sztyletów tak, jakby zachęcała najemnika, by przebił ją mieczem.

– Powiedzmy, że twoi ludzie dostali to, na co zasłużyli.

Mężczyzna ruszył do ataku, ale dziewczyna czekała w gotowości. Yrene wiedziała, że powinna rzucić się do ucieczki. Powinna biec jak szalona i nie oglądać się za siebie, ale nieznajoma z tawerny była uzbrojona jedynie w dwa sztylety, a najemnik był ogromnym mężczyzną. Niemniej...

Niemniej wszystko się skończyło, zanim się właściwie zaczęło. Najemnik zadał dwa ciosy, ale dziewczyna sparowała oba paskudnie wyglądającymi sztyletami, po czym pozbawiła go przytomności szybkim uderzeniem w głowę. Poruszała się z niewiarygodną prędkością i gracją niczym upiór prześlizgujący się przez mgłę. Najemnik osunął się na ziemię, a jego ciało zniknęło w oparach. Dziewczyna natychmiast skoczyła tam, gdzie upadł.

Wtedy Yrene odwróciła głowę w kierunku napastnika stojącego na progu. Otworzyła usta, by krzyknąć i ostrzec wybawczynię, ale mężczyzna uciekał już w te pędy uliczką. Barmanka zastanawiała się, czy nie zrobić tego samego, gdy nieznajoma wyskoczyła z mgły. Nadal trzymała obnażone, choć już czyste sztylety. Nadal była gotowa do działania.

– Proszę, nie zabijaj mnie – szepnęła Yrene. Chciała już błagać o litość, chciała ofiarować wszystko w zamian za swe bezużyteczne, zmarnowane życie, ale nieznajoma roześmiała się jedynie i rzekła:

– Mam cię zabić? To po co cię ratowałam?

\*\*\*

Celaena nie planowała ratować barmanki.

Tylko i wyłącznie łut szczęścia zdecydował o tym, że zauważyła czterech najemników przekradających się ulicą. Wyglądali na takich, którzy również szukają guza, a więc udała się za nimi i odkryła, że chcą skrzywdzić niewinną dziewczynę w niewybaczalny sposób.

Walka zakończyła się zbyt szybko. Nie przyniosła jej satysfakcji, nie ukoiliła również jej temperamentu. Nie wiedziała, czy w ogóle można było to nazwać walką.

Czwarty napastnik uciekł, ale Celaena nie miała ochoty go gonić. Stała przecież przed nią owa nieszczęsna barmanka, która trzęsała się jak osika. Gdyby rzuciła sztyletem za uciekinierem, dziewczyna na pewno zaczęłaby wrzeszczeć ze strachu. Albo zemdłałaby, co... Co by wszystko skomplikowało.

Barmanka nie wrzeszczała jednak ani nie mdlała, lecz w zamian uniosła drżącą dłoń i wskazała ramię Celaeny.

– Ty... Ty krwawisz!

– Najwyraźniej tak – odpowiedziała zabójczyni, mrużąc oczy i zerkając na niewielką, lśniącą plamkę krwi na rękawie.

Cóż za błąd. Cóż za nieostrożność. Gdyby nie gruba tunika, zarobiłaby kłopotliwą ranę. Tak czy owak musiała oczyścić skaleczenie. Za tydzień czy dwa nie będzie już po nim śladu. Chciała się odwrócić i odejść, by poszukać innej rozrywki, ale wtedy dziewczyna odezwała się ponownie:

– Ja... Ja mogłabym to opatrzyć.

Celaena chciała się uwolnić od barmanki z wielu powodów. Najważniejszym było to, że dziewczyna drżała ze strachu i na nic nie mogła się jej przydać. Po drugie, okazała się na tyle głupia, by wyjść na uliczkę w środku nocy. Zabójczyni nie chciało się wymyślać kolejnych powodów, gdyż była na to zbyt rozgniewana.

– Sama mogę opatrzyć to skaleczenie – rzekła i ruszyła ku drzwiom prowadzącym do kuchni gospody. Już dawno rozejrzała się po okolicy i była w stanie poruszać się tu z zawiązanymi oczyma.

– Silba jedna wie, co było na tym ostrzu – rzuciła barmanka.

Celaena zatrzymała się, usłyszawszy imię Bogini Uzdrawiania. Mało kto ją wzywał, chyba że...

– Moja matka była uzdrowicielką i nauczyła mnie paru rzeczy –

wyjąkała dziewczyna. – Mogłabym... mogłabym... Proszę, pozwól mi spłacić dług. Zawdzięczam ci życie.

– Nic nie byłabyś mi winna, gdybyś kierowała się zdrowym rozsądkiem.

Dziewczyna drgnęła, jakby Celaena ją uderzyła, co rozzłościło zabójczynię jeszcze bardziej. Wszystko ją denerwowało – to miasto, to królestwo, ten przeklęty świat.

– Przykro mi – powiedziała barmanka cicho.

– Za co mnie przepraszasz? Po co w ogóle to robisz? Ci ludzie zasłużyli sobie na swój los, ale ty też powinnaś być mądrzejsza w taką noc jak ta! Postawiłabym wszystkie moje pieniądze na to, że wyczułaś agresję w tej przeklętej, brudnej tawernie.

Musiała sobie przypomnieć, że nie była to wina dziewczyny. Przecież trudno ją było winić o to, że nie umiała walczyć.

Barmanka ukryła twarz w dłoniach i się zgarbiła. Celaena odliczała sekundy do chwili, kiedy ta wybuchnie płaczem i załamie się do reszty. Łzy się jednak nie pojawiły. Pracownica gospody kilkakrotnie odetchnęła głęboko, a potem opuściła dłonie.

– Chciałabym oczyścić twoją ranę – odezwała się głosem, który zabrzmiał inaczej niż dotychczas. Był czystszy i silniejszy. – Jeśli tego nie zrobię, pożegnasz się z tym ramieniem.

Nieoczekiwana zmiana w postawie dziewczyny wydała się Celaenie na tyle intrygująca, że postanowiła wejść za nią do środka.

Trzema ciałami na ulicy nie przejmowała się wcale. Miała przeczucie, że w tym mieście trupy przyciągają uwagę jedynie szczurów i padlinożerców.

## Rozdział czwarty

Yrene zabrała dziewczynę do swego pokoju pod schodami, gdyż nadal obawiała się, że ostatni najemnik będzie na nich czekał na górze. Miała wprawdzie wytrzymały żołądek i żelazne nerwy, ale nie chciała już oglądać kolejnej walki, zabijania i krwi.

Co więcej, nie miała też ochoty na przebywanie z nieznajomą sam na sam w jej apartamencie.

Kazała jej usiąść na swym zarwanym łóżku i udała się do kuchni po dwie miski z wodą oraz kilka czystych bandaży. Nolan z pewnością potrąci ich koszt z jej pensji, gdy się zorientuje, ale Yrene się tym nie przejmowała. Liczyło się tylko to, że nieznajoma uratowała jej życie. Przynajmniej w ten sposób mogła się odwdziżyć.

Gdy wróciła, o mało nie upuściła misek. Nieznajoma zdjęła bowiem kaptur, płaszcz i tunikę. Yrene nie miała pojęcia, co zdziwiło ją bardziej – to, że dziewczyna była młoda, być może nawet dwa, trzy lata młodsza od niej, a mimo to wydawała się stara, czy może fakt, że była piękna. Jej złote włosy i błękitne oczy połyskiwały w blasku gwiazd. A może zaskoczyło ją to, że dziewczyna mogłaby wyglądać jeszcze piękniej, gdyby nie mozaika okropnych siniaków na twarzy. Nieznajoma miała również ciemną plamę pod okiem, które z pewnością do niedawna było tak spuchnięte, że nie można go było otworzyć.

Dziewczyna wpatrywała się w nią. Była cicha i nieruchoma niczym kot.

Yrene wiedziała, że nie powinna zadawać pytań, tym bardziej że jej towarzyszka w ciągu kilku sekund rozprawiła się z trzema uzbrojonymi najemnikami. Bogowie dawno ją opuścili, ale ona sama wciąż w nich wierzyła. Nadal była przekonana, że patrzyli na nią z góry. Musiała w to wierzyć. Jak w przeciwnym razie wytłumaczyć fakt, że właśnie została uratowana? Nie mogłaby też znieść myśli, że została sama, naprawdę sama, zwłaszcza teraz, gdy zmarnowała już tyle życia.

Woda plusnęła w miskach, gdy Yrene postawiła obie na niewielkim

stoliku obok łóżka, usiłując uspokoić drżące dłonie. Nieznajoma nie odzywała się, gdy barmanka przyglądała się dokładnie nacięciu na jej przedramieniu. Było to szczupłe ramię, ale nabite mięśniami. Co więcej, dziewczyna wszędzie miała blizny, duże i małe. Nie powiedziała ani słowa na ich usprawiedliwienie, ale Yrene odniosła wrażenie, że obnosi się z nimi jak inne kobiety z biżuterią.

Może i nie miała więcej niż siedemnaście lat, ale... Ale potęga Adarlanu sprawiała, że wszyscy dorastali szybko. Zbyt szybko.

Barmanka przystąpiła do oczyszczania nacięcia, a nieznajoma syknęła cicho.

– Przepraszam – powiedziała szybko Yrene. – Przyłożyłam kilka ziół, by odkazić ranę. Powinnam była cię ostrzec.

Trzymała niewielki zapas ziół, o których opowiadała jej matka. Na wszelki wypadek. Nawet teraz nie mogła przejść obojętnie obok chorego żebraka na ulicy i zawsze przyciągał ją czyjś kaszel.

– Wierz mi, bywałam w gorszych opalach.

– Wierzę – rzekła Yrene. – Bez dwóch zdań.

Blizny i siniaki na twarzy mówiły za siebie. Barmanka rozumiała już, dlaczego nieznajoma nosi kaptur. Ale czy zasłaniała się nim z próżności, czy może zależało jej na przetrwaniu?

– Jak masz na imię?

– To nie ma znaczenia i nie powinno cię obchodzić.

Yrene przygryzła język. Oczywiście, że nie była to jej sprawa. Nolanowi nieznajoma również się nie przedstawiła. A więc podróżowała w sekrecie.

– Ja nazywam się Yrene – rzekła. – Yrene Towers.

Nieznajoma zdawkowo kiwnęła głową. Oczywiście w ogóle jej to nie interesowało.

– Co córka uzdrowicielki robi na takim zadupiu? – spytała nieoczekiwanie. Nie było w jej głosie uprzejmości ani współczucia, tylko mało subtelna ciekawość, przypuszczalnie wywołana nudą.

– Zmierzałam do Antiki, by wstąpić do akademii uzdrowicieli, ale skończyły mi się pieniądze – odpowiedziała Yrene, po czym zanurzyła szmatkę w wodzie, wyżeła ją i wróciła do oczyszczania płytkiej rany. – Podjęłam tu pracę, by zapłacić za miejsce na statku... I cóż, nigdy nie wypłynęłam. Chyba łatwiej było pozostać tutaj. Wygodniej.

– Tutaj? – parsknęła nieznajoma. – Na pewno łatwiej, ale czy

wygodniej? Wolałabym chyba głodować na ulicach Antiki niż żyć tutaj.

Yrene się zarumieniła.

– To... Ja...

Nie znalazła żadnej wymówki.

Oczy nieznajomej rozbłysły. Jej źrenice obwodziło złoto. Nawet z tymi siniakami wyglądała czarująco. Przypominała dziki ogień lub letnią burzę, która przetaczała się nad wodami Zatoki Oro.

– Udzielę ci rady – powiedziała gorzko – jak jedna ciężko pracująca dziewczyna drugiej. Życie nie jest łatwe, bez względu na to, gdzie się znajdziesz. Będziesz podejmować decyzje, które uznasz za właściwe, a potem będziesz ich żałować. – Jej wspaniałe oczy zamigotały. – Jeśli masz zamiar rozczulać się nad sobą, możesz równie dobrze udać się do Antiki i robić to w cieniu Torre Cesme.

Nie dość, że była wykształcona, to jeszcze знаła świat. Pamiętała nazwę akademii uzdrowicieli i wymówiła ją bezbłędnie.

Yrene wzruszyła ramionami. Nie miała odwagi wygłosić żadnego z tuzina dręczących ją pytań, więc zamiast tego powiedziała:

– I tak nie mam pieniędzy, żeby przepłynąć zatokę.

Jej słowa zabrzmiały ostrzej, niż zaplanowała. Ostrzej, niż nakazywałyby rozsądek, zważywszy na to, jak niebezpiecznym przeciwnikiem była dziewczyna. Yrene nie próbowała nawet odgadnąć, o jakiej pracy mówiła jej rozmówczyni. Może była najemnikiem? Bardziej złowieszczej profesji nie znała.

– No to ukradnij te pieniądze i odpłyn stąd. Twój szef z pewnością zasługuje na to, by ktoś odchudził jego sakiewkę.

– Nie jestem złodziejką. – Yrene się cofnęła.

Nieznajoma odpowiedziała jej zbójckim uśmiechem.

– Jeśli czegoś pragniesz, po prostu to weź.

Ta dziewczyna nie przypominała dzikiego ognia. Ona nim była. Była zabójcza i niemożliwa do opanowania. I trochę nienormalna.

– Coraz więcej ludzi działa ostatnio według tej zasady – odważyła się powiedzieć Yrene. Jak choćby Adarlan. Jak ci najemnicy. – Nie chcę być jednym z nich.

Uśmiech dziewczyny przygasł.

– Wolisz zatem zgnieć tu z czystym sumieniem?

Yrene nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc nie odpowiedziała nic. Odłożyła szmatkę i wyciągnęła niewielką tubkę maści. Trzymała ją

dla siebie i stosowała na rozmaite rozcięcia i skaleczenia, których nabawiała się w pracy, ale ranka nieznanym była niewielka, dlatego mogła się podzielić odrobiną. Najdelikatniej, jak umiała, wtarła nieco maści w ranę. Nieznajoma tym razem nawet nie drgnęła.

– Kiedy straciłaś matkę? – spytała po chwili.

– Ponad osiem lat temu. – Yrene była skupiona na ranie.

– To były ciężkie czasy dla utalentowanych uzdrowicieli, zwłaszcza w Fenharrow. Król Adarlanu zdiesiątkował ludność i nie oszczędził nikogo z rodziny królewskiej.

Yrene uniosła wzrok. Dziki ogień w oczach dziewczyny zamienił się w niszczycielski, błękitny płomień.

„Cóż za nienawiść! – pomyślała, czując dreszcz. – Kipiąca nienawiść... Przez co ona przeszła? Skąd się biorą te emocje?”

Oczywiście o nic nie pytała. Nie zapytała nawet o to, skąd młoda nieznanym wie o jej pochodzeniu. Wystarczyło przecież spojrzeć na jej złocistą skórę oraz brązowe włosy, by wiedzieć, że pochodziła z Fenharrow, nawet jeśli wcześniej nie zdradziłby jej akcent.

– Gdyby udało ci się dostać na nauki do Torre Cesme – ciągnęła nieznanym. Jej gniew osłabł, jakby wepchnęła go głębiej wewnątrz siebie – co poczujesz później?

Yrene podniosła jeden ze świeżych bandaży i zaczęła owijać ramię dziewczyny. Marzyła o tym od lat i roztaczała przed sobą najrozmaitsze wizje przyszłości, myjąc brudne kufle i zamiatając podłogę.

– Wróciłabym. Nie tutaj, ale na kontynent. Do Fenharrow. Jest tam wielu ludzi, którzy potrzebują teraz dobrych uzdrowicieli.

Ostatnie słowa wypowiedziała cicho. Nieznajoma mogła przecież popierać króla Adarlanu i donieść straży miejskiej, że barmanka źle wypowiada się o władcy. Yrene niejednokrotnie była już świadkiem takich scen.

Nieznajoma wpatrywała się jednak w drzwi z zaimprovizowaną zasuwą, którą barmanka założyła własnoręcznie. Rozejrzała się po klitce, którą ta nazywała pokojem, spojrzała na podszyty wiatrem płaszcz przewieszony przez przegniłe krzesło, a potem przeniosła wzrok na nią. Yrene wykorzystała chwilę, by uważnie przyjrzeć się jej twarzy. Zważywszy na to, jak łatwo poradziła sobie z owymi najemnikami, ten, który ją skrzywdził, musiał być zaiste strasznym

człowiekiem.

– Naprawdę wróciłabyś na kontynent? Do imperium? – W głosie nieznajomej pojawiło się ciche zaskoczenie, tak wielkie, że Yrene spojrzała jej prosto w oczy.

– Tak należy – rzekła. Żadna inna odpowiedź nie przyszła jej do głowy.

Dziewczyna milczała. Yrene nadal obwiązywała jej ramię, a gdy skończyła, przybyszka narzuciła na siebie koszulę i tunikę, oceniła stan ramienia i się podniosła. W ciasnej izdebce barmanki czuła się o wiele drobniejsza od niej, choć nie różniły się wiele od siebie.

Wzięła płaszcz, ale nie włożyła go. Zrobiła krok w kierunku zamkniętych drzwi.

– Mogłabym znaleźć coś na twoją twarz – wypaliła niespodziewanie Yrene.

Nieznajoma zatrzymała się z dłonią na klamce i spojrzała przez ramię.

– Te sińce mają być pamiątką.

– Czego? I... I dla kogo? – Yrene wiedziała, że nie wolno jej wściubiać nosa w nie swoje sprawy. Nie powinna w ogóle o nic pytać.

– Dla mnie. – Dziewczyna uśmiechnęła się gorzko.

Yrene przypomniały się blizny, które widziała na jej ciele, i zadała sobie w myślach pytanie, czy one również mają być pamiątką.

Nieznajoma znów zwróciła się w stronę drzwi, ale nie otwierała ich.

– Bez względu na to, czy tu zostaniesz, czy też udasz się do Antyki, ukończysz szkolenie w Torre Cesme i wrócisz, by zbawić świat – powiedziała zamyślona. – Powinnaś przypuszczalnie nauczyć się bronić.

Yrene spojrzała na sztylety u pasa przybyszki i miecz, którego nawet nie musiała wyciągać. W rękojeść wprawiono prawdziwe klejnoty, które połyskiwały w blasku świec. Dziewczyna była nieprawdopodobnie bogata. Yrene nie miała pojęcia, że ktoś może dysponować takim majątkiem.

– Nie stać mnie na broń – rzuciła.

Nieznajoma parsknęła śmiechem.

– Jeśli nauczysz się kilku prostych sztuczek, nie będziesz potrzebowała broni.



\*\*\*

Celaena zaciągnęła barmankę do zaułka, gdyż nie chciała ryzykować i budzić pozostałych gości, bo przypuszczalnie skończyłoby się to kolejną bójką. Nie miała pojęcia, dlaczego zaproponowała, że nauczy tę dziewczynę sztuki samoobrony. Gdy ostatnim razem postanowiła, że komuś pomoże, los spuścił jej niezłe lanie, zarówno w przenośni, jak i dosłownie.

Lecz ta barmanka – Yrene – mówiła tak szczerze o pomaganiu innym ludziom. O marzeniu, żeby być uzdrowicielką.

Torre Cesme... Każdy szanujący się uzdrowiciel wiedział o akademii w Antice, gdzie nauki pobierali najlepsi i najzdolniejsi, bez względu na swą pozycję społeczną. Kiedyś Celaena sama marzyła o tym, że zamieszka wśród osławionych jasnych wież Torre Cesme i będzie spacerować po wąskich, krętych uliczkach miasta pełnego cudów, których nigdy nie widziała na oczy. Było to jednak bardzo dawno temu. Była wówczas inną osobą. To marzenie dawno się rozwiało. Jeśli Yrene pozostanie w tym przeklętym, opuszczonym przez bogów mieście, prędzej czy później napadnie ją ktoś inny. Celaena przeklęła więc swe sumienie i wyprowadziła barmankę na zamgloną uliczkę.

Ciała trzech najemników nadal tam leżały. Zabójczynie zauważyła, że Yrene skrzywiła się, słysząc ciche popiskiwanie i szelest szczurzych łapek. Gryzonie nie traciły czasu.

Złapała dziewczynę za nadgarstek i uniosła jej rękę do góry.

– Mężczyźni zazwyczaj nie polują na kobiety, które mogłyby stawić im czoła. Wybierają na swoje ofiary takie, które wydają się bezbronne lub pełne współczucia. Przypuszczalnie zechcą zaciągnąć cię tam, gdzie nie będą musieli przejmować się tym, że ktoś im przeszkodzi.

Yrene otworzyła szeroko oczy. W świetle pochodni, którą Celaena upuściła przed tylnymi drzwiami, widać było jej pobladłą twarz. Była bezbronna. Jak się czuje ktoś, kto nie potrafi się bronić? Zabójczynię przeszył dreszcz, który nie miał nic wspólnego ze szczurami dobierającymi się do zwłok.

– Pod żadnym pozorem nie pozwól, aby cię gdzieś zaciągnęli – rzekła, powtarzając lekcję, którą kiedyś przekazał jej Ben, zastępcy Arobynna. Opanowała sztukę samoobrony, na długo zanim nauczyła się, jak atakować drugą osobę. Co więcej, zaczynała od walki bez

broni. – Walcz z nimi, jak najdłużej zdołasz. Muszą uznać, że jesteś zbyt oporna. Że się nie opłaca. Poza tym, rób jak najwięcej hałasu. Na takim zadupiu nikt z pewnością nie przyjdzie ci z pomocą, ale powinnaś wrzeszczeć ze wszystkich sił o pożarze. Nie o gwałcicielach czy złodziejach, bo przed nimi ci tchórze chętnie by się tylko schowali. Jeśli to ich nie zniechęci, powinnaś znać kilka sztuczek, by drani przechytryć. Po kilku z nich zwałą się nieprzytomni na ziemię, inne wyłączą ich z akcji tylko na chwilę, ale jak tylko cię puszczą, powinnaś wiać. Rozumiesz mnie? Nie ma nic ważniejszego. Gdy poczujesz luz, zerwij się i uciekaj.

Yrene pokiwała głową. Nadal patrzyła w osłupieniu, gdy Celaena wzięła ją za rękę i pokazała, w jaki sposób wyłupić komuś oczy własnymi kciukami. Nie dokończyła tej demonstracji, gdyż za bardzo ceniła własny wzrok, ale Yrene po kilku próbach opanowała technikę i perfekcyjnie reagowała, gdy Celaena łapała ją od tyłu.

Potem pokazała jej, jak ogłuszyć mężczyznę uderzeniem w ucho, jak uszczypnąć go w udo tak, by wrzasnął, w którą część stopy najlepiej uderzyć butem, a w które słabe punkty dobrze jest walnąć łokciem. Uzdrowicielka uderzyła ją przy tym tak mocno w gardło, że Celaena krztusiła się przez dobrą minutę. Potem kazała jej atakować krocze, najdelikatniejsze miejsce z istniejących.

Gdy księżyc chylił się ku zachodowi, zabójczyni była już przekonana, że Yrene mogłaby sobie poradzić z napastnikiem. W końcu trening dobiegł końca. Dziewczyna stała wyprostowana, a jej policzki płonęły.

– Jeśli jutro będą cię nadal dręczyć o pieniądze – Celaena wskazała ruchem głowy zwalone na stos ciała najemników – chwyć jakieś monety, rzuć nimi jak najdalej i uciekaj w przeciwnym kierunku. Takie typy z reguły zabierają się za szukanie pieniędzy i są tym tak zafrapowane, że masz sporą szansę na ucieczkę.

Yrene pokiwała głową.

– Ja chyba... Ja chyba powinnam przekazać to wszystko Jessie.

Celaena nie miała pojęcia, kim była Jessa, i zupełnie jej to nie obchodziło, ale powiedziała:

– Jeśli będziesz miała możliwość, ucz tych sztuczek każdą napotkaną kobietę, która zechce cię słuchać.

Zapadła cisza. Tyle jeszcze musiała się nauczyć. Tyle jeszcze trzeba

było jej przekazać. Niemniej za dwie godziny miał nastąć świt i Celaena przypuszczalnie powinna już być w swoim pokoju, choćby po to, by się spakować i szykować do wyjazdu. Wyjechać zaś musiała nie dlatego, że taki dostała rozkaz, czy też dlatego, że wreszcie pogodziła się ze swoją karą, ale dlatego, że tak należało. Musiała dotrzeć na Czerwoną Pustynię.

Nawet jeśli tylko po to, by przekonać się, co Wyrd dla niej szykował. Nie miała ochoty na uciezkę do innego kraju przed własnym przeznaczeniem. Nie chciała być taka jak Yrene. Nie chciała być żyjącym wspomnieniem własnej straty i zdeptanych marzeń. Nie, uznała, że pojedzie na Czerwoną Pustynię, nawet jeśli jej duma miałaby na tym ucierpieć.

– Czy... – Yrene odkasznęła. – Czy ty kiedyś musiałaś skorzystać z tych sztuczek? Nie chcę wściubiać nosa w nie swoje sprawy. Jeśli nie chcesz odpowiadać...

– Tak, skorzystałam z nich. Ale nie dlatego, że byłam zagrożona. Ja... – Wiedziała, że nie powinna tego mówić, ale przemogła się. – Zazwyczaj to ja ścigam i poluję.

Ku jej zdumieniu Yrene pokiwała głową, choć z lekkim smutkiem.

„Cóż za ironia losu, że przyszło nam pracować razem – pomyślała Celaena. – Ja jestem zabójczynią, a ona uzdrowicielką. Jesteśmy dwiema stronami tej samej monety”.

Yrene otuliła się ramionami.

– Jak mam ci się odwdzińczyć za...?

Celaena uniosła dłoń. Uliczka była pusta, ale słyszała ich. Słyszała, jak przesuwa się mgła, a szczury umykają. Słyszała nadciągającą ciszę.

Spojrzała Yrene w oczy i wskazała jej wzrokiem tylne drzwi. Barmanka pobladła. Przecwiczyla serię sztuczek, ale nigdy z nich nie korzystała. W sytuacji zagrożenia tylko by przeszkadzała. Celaena wskazała więc drzwi ruchem podbródka. Rozkaz był wyraźny.

Było ich przynajmniej pięciu. Dwóch zbliżało się z jednej strony uliczki, dwóch z przeciwnej, a jeden stał na straży na skrzyżowaniu z główną ulicą.

Yrene znikła w środku w chwili, gdy zabójczyni wyciągnęła miecz.

## Rozdział piąty

**W** kuchni było ciemno. Yrene przywarła plecami do drzwi, kładąc dłoń na walącym dziko sercu. Przysłuchiwała się odgłosom starcia z zewnątrz. Wcześniej dziewczyna miała po swojej stronie element zaskoczenia, ale czy da sobie radę tym razem?

Ręce uzdrowicielki drżały, gdy słuchała szczęku oręża i pokrzykiwań walczących przez szczelinę pod drzwiami. Łoskot, stęknienia, powarkiwanie. Co tam się działo?

Nie mogła już znieść napięcia. Nie mogła znieść tego, że nie wie, co się dzieje z nieznajomą. Przewyciężyła instynkt, który zabraniał jej otwierania drzwi, i wyjrzała na zewnątrz.

Zatkało ją.

Najemnik, który uciekł, powrócił z kilkoma kompanami, o wiele sprawniejszymi w walce. Dwóch już leżało na bruku, a wokół ich głów rosły kałuże krwi, ale pozostali zwarli się w walce z dziewczyną, która...

Na bogów! Nieznajoma poruszała się niczym czarny wiatr! W jej ruchach kryła się śmiertcionośna gracia i...

Niespodziewanie czyjaś dłoń zatkała usta Yrene, a ktoś za jej plecami przystawił zimną, ostrą stal do jej szyi. Był jeszcze jeden napastnik, który wszedł przez gospodę.

– Idź – szepnął jej do ucha. Jego głos był ochryply, słowo zabrzmiało z cudzoziemska. Barmanka nie widziała go, ale wyczuwała, że miał twarde ciało i ostrą brodę. Ciało cuchnęło. Doprowadził Yrene do drzwi, otworzył je szeroko i wyszedł na uliczkę.

Młoda nieznajoma przerwała walkę. Tymczasem zdołała zabić trzeciego przeciwnika. Dwóch pozostałych celowało w nią ostrzami.

– Rzuć broń – nakazał mężczyzna.

Yrene chciała pokręcić głową i błagać dziewczynę, by nie przerywała walki, ale obcy trzymał sztylet tak blisko jej szyi, że każdy ruch głowy groził rozcięciem skóry.

Zabójczyni przyjrzała się najpierw pozostałemu napastnikom, potem temu, który złapał Yrene, a na końcu jej samej. Z absolutnym

spokojem obnażyła zęby i obdarzyła najemników dzikim, zabójczym uśmiechem.

– No to chodź tu i rozbrój mnie.

Yrene zrobiło się zimno. Wystarczyłby drobny ruch i nieznajomy rozplątałby jej gardło! Nie była gotowa na śmierć. Jeszcze nie teraz i na pewno nie tu, w Innish.

Trzymający ją mężczyzna zachichotał.

– Odważne, ale głupie słowa, dziewczyno – oznajmił i przycisnął mocniej sztylet do szyi Yrene. Uzdrowicielka skrzywiła się i poczuła wilgoć swej krwi. Uświadomiła sobie, że najemnik naciął już jej skórę.

„Silbo, chroń mnie”.

Nieznajoma wpatrywała się w Yrene. Jej oczy zwęziły się nieco. Rzuciła jej wyzwanie. Dawała rozkaz.

„Staw mu czoła. Walcz o swe żalosne życie”.

Dwaj najemnicy podeszli bliżej, ale zabójczyni nadal nie opuszczała ostrza.

– Rzuć broń, bo ją rozpruję! – warknął napastnik trzymający Yrene.  
– Zapłacisz nam za śmierć towarzyszy, ale gdy już z tobą skończymy, może pozwolimy jej żyć!

Ścisnął Yrene mocniej, ale młoda nieznajoma nie spuszczała z niego oczu.

– Rzuć broń – syknął najemnik.

Nie posłuchała.

„Na bogów, czy ona chce mojej śmierci?”.

Yrene nie mogła tak umrzeć. Nie mogła zginąć tu jako zapomniana barmanka w samym środku tego okropnego miejsca. Jej matka zginęła w walce. Zabiła jakiegoś żołnierza, by dziewczyna mogła uciec i zrobić coś pożytecznego ze swoim życiem. Przynieść światu nieco dobra.

Nie mogła tak umrzeć.

Ogarnęła ją wściekłość tak oszałamiająca, że Yrene ledwie mogła coś przez nią dostrzec. Myślała tylko o roku spędzonym w Innish, o przyszłości, która była poza jej zasięgiem i o swoim życiu, z którym nie chciała się rozstać.

Bez ostrzeżenia wbiła obcas w stopę najemnika. Ten drgnął i zawył z bólu, a Yrene wyrzuciła ramiona w górę, odepchnęła dłoń ze sztyletem od ramienia i wbiła łokieć w brzuch napastnika. Płonąca

w niej furia wzmocniła jej siły.

Najemnik jęknął, zwijając się wpół, a dziewczyna walnęła go łokciem w skroń tak, jak ją nauczyła nieznajoma. Mężczyzna opadł na kolana, a Yrene rzuciła się do biegu, nie wiedząc, czy chce uciec, czy może poszukać pomocy.

Na jej drodze stanęła nieznajoma, uśmiechając się szeroko. Za jej plecami leżały nieruchomo dwa ciała, a mężczyzna na kolanach... Yrene uskokzyła, gdy zabójczyni złapała go i powlokła za sobą w ciemną mgłę. Rozległ się stłumiony wrzask, po czym łoskot padającego ciała.

W żyłach Yrene płynęła krew uzdrowicielki, po matce odziedziczyła również wytrzymały żołądek i żelazne nerwy, ale zrobiła dwa kroki i zwymiotowała.

Gdy już było po wszystkim, uniosła głowę i ujrzała młodą kobietę, która przyglądała się jej z lekkim uśmiechem.

– Szybko się uczysz – rzuciła.

Jej wspaniałe ubranie łącznie z migoczącą rubinowym mrokiem broszą zbryzgane było krwią. Yrene zauważyła z ulgą, że była to krew napastników, nie jej własna.

– Serio chcesz być uzdrowicielką?

Barmanka otarła usta fartuchem. Nie chciała wiedzieć, jaką miała alternatywę ani też kim naprawdę była ta dziewczyna. Nie, teraz chciała tylko jej przyłożyć, i to mocno.

– Mogłaś poradzić sobie z nimi beze mnie! Ale pozwoliłaś temu mężczyźnie przytknąć mi nóż do gardła! Pozwoliłaś mu na to! Oszalałaś?

Uśmiech dziewczyny nie pozostawiał cienia wątpliwości. Była szalona i dobrze o tym wiedziała. Mimo to odparła:

– Ci tutaj to kpina, a nie wojownicy. Chciałam, żebyś zyskała doświadczenie w kontrolowanej sytuacji.

– Ty to nazywasz kontrolowaną sytuacją?! – Yrene nie była w stanie opanować krzyku. Dotknęła dłonią krzepnącego skaleczenia na szyi. Wiedziała, że rana zagoi się szybko, ale może pozostawić bliznę. Będzie musiała szybko się nią zająć.

– Spójrz na to z innej strony, Yrene Towers. Teraz wiesz, na co cię stać. Ten mężczyzna był dwa razy większy od ciebie i trzymał ci nóż na gardle, ale załatwiłaś go w kilka sekund.

– Nazwałaś ich kpiną.

– Bo byli kpiną – odparła nieznajoma z diabelskim uśmiechem. – Dla mnie.

Krew Yrene zamieniła się w lód.

– Ja... Ja już chyba mam dosyć na dzisiaj. Chyba muszę się położyć.

Nieznajoma ukłoniła się jej.

– Ja zaś przypuszczalnie muszę już wyruszyć w drogę. Przyjmij jeszcze jedną radę. Zmyj krew z ubrania i nie mów nikomu o tym, czego świadkiem byłaś tej nocy. Ci ludzie mogą mieć przyjaciół, a teraz wygląda to tak, jakby po prostu zostali obrabowani.

Uniosła ciężką skórzaną sakiewkę pełną monet i weszła do gospody.

Yrene spojrzała na trupy. Poczowała, że robi jej się ciężko na żołądku, odwróciła się więc i weszła w ślad za dziewczyną do środka. Wciąż była na nią wściekła, wciąż drżała z przerażenia i rozpacz. Dlatego nie pożegnała się ze śmiercionośną nieznajomą, gdy ta ruszyła w dalszą drogę.

## Rozdział szósty

Yrene postąpiła tak, jak przykazała jej zabójczyni. Przebrała się w inną sukienkę i założyła nowy fartuch, po czym udała się do kuchni, by sprać krew. Dłonie drżały jej tak mocno, że pranie zabrało jej więcej czasu niż zwykle, a gdy skończyła, przez kuchenne okno wkradało się już blade światło świtu.

Nie zmrużyła tej nocy oka. Jęknęła i poczłapała do swego pokoju, by rozwiesić mokre rzeczy. Gdyby ktoś zauważył jej ubrania, suszące się na sznurku na zewnątrz, mógłby nabrać podejrzeń. Czuła, że będzie też musiała udawać, że znalazła ciała. Na bogów, co za bajzel.

Krzywiąc się na myśl o długim dniu, który ją czekał, i próbując poukładać sobie w głowie wydarzenia z nocy, Yrene weszła do swego pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi. Gdyby powiedziała o tym komukolwiek, przypuszczalnie nikt by jej nie uwierzył. Dopiero gdy rozwiesiła pranie na hakach wkręconych w ścianę, zauważyła skórzaną sakwę na łóżku i przyczepioną do niej kartkę.

Wiedziała, co znajdzie w środku. Rozmaite wybrzuszenia, niektóre ostre, zdradziły to natychmiast. Oddech uwiązł jej w gardle. Ujęła kartkę i odczytała eleganckie kobiece pismo:

*To na Twoją podróż – obojętnie dokąd się udasz – i jeszcze trochę.  
Temu światu przydadzą się kolejne uzdrowicielki.*

Nie było imienia ani daty. Wpatrując się w kartkę, Yrene mogła sobie wręcz wyobrazić dziki uśmiech dziewczyny i zaciekły upór w jej oczach. Ten króciutki list był wyzwaniem.

Znów zatrzęśły jej się ręce, gdy wysypała zawartość sakwy. Zamigotały złote monety, a Yrene cofnęła się i opadła na rozklekotane krzesło. Parokrotnie zamrugowała.

Oprócz złota znajdowała się tam również brosza nieznajomej. Ogromny rubin migotał w blasku świec.

Dziewczyna zasłoniła dłonią usta. Spojrzała na drzwi, potem na



sufit, a na końcu na niewielką fortunę leżącą na jej łóżku. Nie mogła oderwać od niej oczu.

Jej matka stwierdziła kiedyś, że bogów już nie ma. Ale czy miała rację? A może tej nocy odwiedził ją jakiś bóg skryty w ciele młodej poobijanej kobiety? A może to ich odległe szeptu skłoniły nieznaną, by weszła w tamten zaułek? Yrene czuła, że nigdy nie pozna odpowiedzi na te pytania. I może o to właśnie chodziło.

„Obojętnie dokąd się udasz”.

Bez względu na to, czy o wszystkim zdecydowali bogowie, los czy zbieg okoliczności i ludzka życzliwość, otrzymała wielki dar. Ogromny. Świat na nią czekał. Stał przed nią otworem. Mogła udać się do Antyki, studiować w Torre Cesme, pójść wszędzie, gdzie sobie wymarzyła.

O ile znajdzie w sobie odwagę.

Yrene się uśmiechnęła.

Godzinę później Yrene Towers, niezatrzymywana przez nikogo, wyszła z gospody Pod Białą Świnia. Ani razu nie obejrzała się za siebie.

\*\*\*

Celaena, umyta i ubrana w nową tunikę, weszła na pokład statku godzinę przed świtem. Kręciło się jej w głowie po nieprzespanej nocy, ale była to wyłącznie jej wina. Właściwie nic się nie stało. Mogła teraz spać cały dzień. Mogła przespać całą przeprawę przez Zatokę Oro. Powinna zresztą tak zrobić, bo po lądowaniu w Yurpie czekała ją przynajmniej tygodniowa wędrówka przez zabójcze piaski do fortecy Niemego Mistrza i Milczących Zabójców.

Kapitan nie pytał o nic, gdy wcisnęła mu srebrną monetę w dłoń i udała się pod pokład do swej kajuty. Kaptur i liczne ostrza wystarczyły, by żeglarze schodzili jej z drogi. Musiała zacząć oszczędzać pieniądze, gdyż wiedziała, że będzie jeszcze trzeba wręczyć przynajmniej jedną srebrną monetę przed dotarciem na miejsce.

Wzdychając, weszła do kajuty – niewielkiej, ale czystej, z bulajem wychodzącym na zatokę opromienioną szarym blaskiem świtu. Zaryglowała za sobą drzwi i rzuciła się na niewielkie łóżko. Już obejrzała sobie Innish i nie czuła potrzeby żegnania się z tym miejscem.

Wychodząc z gospody, przeszła obok okropnie ciasnej komórki, którą Yrene nazywała swym pokojem. Gdy uzdrowicielka zajmowała się jej ramieniem, Celaena dokładnie przyjrzała się rozklekotanym meblom i spłowiałym kocom. Nie mogła pogodzić się z ubóstwem, w jakim mieszkała dziewczyna. I tak chciała zostawić Yrene trochę pieniędzy, choćby dlatego że karczmarz z pewnością potrafi z jej pensji koszt bandaży, ale niespodziewanie zatrzymała się przed drewnianymi drzwiami prowadzącymi do kuchni, za którymi barmanka prała swe ubranie, i nie mogła się od nich odwrócić. Nie mogła przestać myśleć o dziewczynie z brązowozłotymi oczami i karmelowymi oczami, która marzyła o karierze uzdrowicielki. Nie mogła przestać myśleć o tej zagubionej, bezbronnej istocie. Było ich teraz tak wiele – dzieci, które straciły wszystko przez Adarlan. Dzieci, które wyrastały na zabójców i barmanki, dzieci, których ojczyzny legły w gruzach i nie znały już miejsca zasługującego na miano domu.

Magia znikła lata temu, a bogowie nie żyli bądź nie słuchali już ludzkich błagań. Niemniej głęboko w sercu Celaena czuła delikatne szarpanie, zupełnie jakby ktoś pociągał za linki niewidzialnej sieci. Postanowiła, że i ona szarpnie, choćby po to, by ujrzeć, jak daleko poniosą się drgania.

Niemalże bez namysłu zdecydowała się na napisanie krótkiego liściku, po czym upchnęła większość swego majątku w sakwę, którą ułożyła na łóżku Yrene.

Na końcu – na pożegnanie – dołożyła do niej broszę od Arobynna. Zastanawiała się, czy dziewczyna ze spustoszonego Fenharrow nie będzie miała nic przeciwko broszy w barwach Adarlanu, ale cieszyła się, że się jej pozbywa. Miała nadzieję, że Yrene sprzeda klejnot za zącą sumkę, którą przecież był wart. Miała nadzieję, że prezent od zabójcy pokryje koszty kształcenia uzdrowicielki.

Może w istocie była to sprawka bogów. Może za tym zdarzeniem kryła się jakaś siła, której śmiertelnicy nie byli w stanie pojąć. A może Celaena postąpiła tak, żeby pomóc tej, którą sama nigdy nie będzie mogła się stać.

Yrene nadal prała swe zakrwawione ubranie w kuchni, gdy zabójczyni wyslizgnęła się z jej izdebki i opuściła gospodę.

Gdy szła po zamglonych ulicach w kierunku rozpadającego się doku, modliła się, by Yrene Towers okazała spryt i nie powiedziała

nikomu – a zwłaszcza gospodarzowi – o pieniądzech. Modliła się, by Yrene Towers pochwyciła szansę obiema rękami i wyruszyła ku wzniesionej z białych kamieni Antice. Modliła się, by kiedyś, za kilka lat, Yrene Towers wróciła na ten kontynent i być może uzdrowiła jakąś część tego zrujnowanego świata.

Uśmiechając się do siebie w zaciszu kajuty, Celaena umościła się na łóżku, naciągnęła sobie kaptur na głowę i skrzyżowała kostki. Gdy statek wpłynął na jaszczurkozielone fale zatoki, zabójczynie już smacznie spała.





SARAH J. MAAS

ZABÓJCZYNI  
*i Czerwona  
pustynia*

SZKLANY TRON  
OPOWIEŚĆ

II





Sarah J. Maas

# **ZABÓJCZYNI I CZERWONA PUSTYNYA**

przełożył Marcin Mortka



## Rozdział pierwszy

Cały świat gdzieś znikł, pozostał jedynie piasek i wiatr.

Taka myśl nawiedziła Celaenę Sardothien, gdy stała na szczycie karmazynowej wydmy i patrzyła w dal. Upał był przytłaczający, nawet pomimo wiatru. Ubranie przylegało do jej spoconego ciała, ale pot – wedle słów przewodnika nomady – był niezbędny. Czerwona Pustynia stawała się niebezpiecznym miejscem, dopiero gdy człowiek przestawał się pocić. Pot przypominał o tym, że należy pić. Jeśli upał nieoczekiwanie go osuszał, wędrowiec mógł ulec odwodnieniu.

Och, przekłety upał. Wdzierał się we wszystkie pory skóry, powodował ból mięśni oraz wściekłe pulsowanie w głowie. W porównaniu z nim lekkie gorąco w Zatoce Czaszek wydawało się wręcz błogosławieństwem. Celaena oddałaby wszystko za najłżejszy powiew chłodnego wiatru!

Stojący obok niej nomada wskazał dłonią w rękawiczce południowy zachód.

– Tam są sessiz suikast – powiedział.

Sessiz suikast. Milczący Zabójcy. Legendarny zakon, z którym miała ćwiczyć.

„Masz się nauczyć posłuszeństwa i dyscypliny” – rzekł Arobynn Hamel. Zapomniał dodać: W samym środku lata na Czerwonej Pustyni.

Wyprawa tutaj była karą. Dwa miesiące wcześniej Arobynn wysłał Celaenę oraz Sama Cortlanda do Zatoki Czaszek z tajemniczą misją. Tam odkryli, że ich zadaniem było właściwie pośrednictwo w handlu niewolnikami. Choć oboje byli zabójcami, nie spodobało im się to zlecenie i nie zważając na konsekwencje, uwolnili niewolników. Arobynn doprawdy nie mógł wymyślić dla niej gorszej kary, a sądziła, że dał już pokaz swoich możliwości. Sińce i skaleczenia, które pozostawił na jej twarzy miesiąc temu, wciąż się nie zagoiły.

Celaena skrzywiła się. Podciągnęła szal zasłaniający usta oraz nos, a potem zeszła z wydmy. Jej nogi grzęzły w piachu, ale i tak było to miłe, długo wyczekiwane urozmaicenie po wyczerpującej wędrówce



przez Śpiewające Piaski, gdzie pojękiwało i pomrukiwało każde ziarnko. Przez cały dzień zwracali uwagę tylko na własne kroki. Należało stąpać tak, by melodia piasku rozbrzmiewała rytmicznie. W przeciwnym razie – wedle słów nomady – podłoże mogło się przeistoczyć w trzęsawisko.

Zabójczyni zeszła z wydmy, ale zatrzymała się, gdy uświadomiła sobie, że nie słyszy kroków przewodnika.

– Nie idziesz dalej?

Mężczyzna wciąż stał na szczycie, wskazując horyzont.

– Trzy kilometry tam.

Słabo władał wspólnym, ale w miarę dobrze go rozumiała.

Ściągnęła szal zasłaniający usta i skrzywiła się, gdy niesione wiatrem ziarenka piasku zaczęły kąsać jej spoconą twarz.

– Zapłaciłam ci, abys mnie tam zaprowadził.

– Trzy kilometry – powtórzył nomada i poprawił wielki plecak. Opaloną twarz mężczyzny przesłaniała chusta, ale dziewczyna i tak widziała strach w jego oczach.

Tak, tak, sessiz suikast wzbudzali nabożny lęk w mieszkańcach pustyni. Znalezienie przewodnika, który zgodziłby się zaprowadzić Celaenę w pobliże ich fortecy, graniczyło z cudem, a mimo to się udało. Oczywiście proponowała im złoto, ale nawet suta zapłata nie poprawiała sytuacji. Nomadzi postrzegali sessiz suikast jako cienie śmierci i wszystko wskazywało na to, że jej przewodnik nie zrobi już ani kroku dalej.

Zabójczyni przyjrzała się zachodniemu horyzontowi. Nie widziała nic oprócz wydm i piasku układającego się na podobieństwo fal na targanym wiatrem morzu.

– Trzy kilometry – powtórzył nomada. – Oni cię znajdą.

Celaena odwróciła się, aby zadać kolejne pytanie, ale przewodnik już znikł po drugiej stronie diuny. Przekląła go i spróbowała przełknąć ślinę, ale się nie udało. W ustach czuła zbyt wielką suchość. Należało bezzwłocznie wyruszyć w drogę. Upał przybierał na sile i w przeciwnym razie musiałyby rozbić namiot, aby przeczekać morderczo gorące popołudnie.

Trzy kilometry. Ile czasu mogło zabrać pokonanie trzech kilometrów?

Pociągnęła łyk z niepokojąco lekkiego bukłaka, po czym na nowo

zasłoniła twarz oraz usta i ruszyła w drogę.

Jedynym odgłosem był świst wiatru przemykającego nad wydmami.

Kilka godzin później Celaena wyteżrzała całą siłę woli, aby powstrzymać się od skoku do sadzawki czy ukłęknięcia przy jednym z potoków płynących po posadzce. Nikt jak dotąd nie zaproponował jej wody. Człowiek prowadzący ją po krętych korytarzach fortecy z czerwonego kamienia najwyraźniej również nie miał takiego zamiaru.

Trzy kilometry? Miała wrażenie, że pokonała ich ponad trzydzieści. Już miała się zatrzymać, żeby rozstawić namiot, gdy wspięła się na szczyt kolejnej wydmy, a przed jej oczami rozkwitły bujne, zielone drzewa. Dwie ogromne diuny skrywały bowiem oazę, w której wzniesiono fortecę.

Potwornie chciało jej się pić, ale nie na darmo nazywała się Celaena Sardothien i była najsłynniejszą Zabójczynią Adarlanu. Musiała dbać o reputację.

Zachowywała czujność, gdy wchodzili do fortecy. Przyglądała się wyjściom oraz oknom i rejestrowała obecność wartowników. Po drodze minęli kilka placów ćwiczebnych, na których ludzie w każdym wieku i o wszystkich kolorach skóry ćwiczyli, walczyli lub siedzieli w ciszy, pogrążeni w medytacji. Potem wspięli się po wąskich schodach, które zaprowadziły ich do wnętrza wielkiego budynku. W cieniu klatki schodowej panował rozkoszny chłód, ale już po chwili znaleźli się w długim korytarzu, gdzie upał znów opadł na Celaenę niczym ciężki koc.

Jak na fortecę rzekomo bezszelestnych zabójców miejsce to było stosunkowo głośnie. Z sal ćwiczebnych dobiegał szczełk oręża i wszędzie słyhać było brzęczenie owadów uwijających się wokół drzew i krzewów, śpiew ptaków oraz plusk krystalicznie czystej wody, tryskającej w każdej komnacie i każdym korytarzu.

Przemierzyli kolejną galerię i dotarli do rzędu drzwi. Jej towarzysz – mężczyzna w średnim wieku z bliznami odcinającymi się od ciemnej skóry niczym kreski wyrysowane kredą – nie odzywał się ani słowem. Przeszli przez drzwi i znaleźli się w ogromnej komnacie. Wzdłuż ścian ciągnęły się pomalowane na niebiesko drewniane słupy, podtrzymujące balkoniki. Zabójczyni wystarczył jeden rzut oka, aby nabrać pewności, że w cieniach balkonów czyhały jakieś postacie. W półmroku między kolumnami kryły się kolejne. Nie miała pojęcia, kim

są ci ludzie, ale z pewnością doceniali jej wartość. Dobrze.

Podłoga była wyłożona zielonymi oraz błękitnymi płytkami ze szkła, które układały się w mozaikę. Wzór prowadził w kierunku podwyższenia, na którym – wśród palm w doniczkach – zasiadał na poduszkach człowiek odziany w białą szatę.

Niemy Mistrz.

Dziewczyna spodziewała się, że będzie to wiekowy starzec, ale Mistrz miał około pięćdziesiątki. Zadarła głowę, gdy zbliżyli się do podwyższenia. Nie miała pojęcia, czy mężczyzna w białej szacie od zawsze miał ciemną skórę, czy był to efekt długotrwałego przebywania na słońcu. Uśmiechnęła się lekko – w młodości przypuszczalnie był dość przystojny. Po plecach dziewczyny spływały krople potu. Mistrz nie miał żadnej widocznej broni, ale dwaj służący, wachlujący go gałęziami palmowymi, byli uzbrojeni po zęby. Towarzysz Celaeny zatrzymał się w bezpiecznej odległości i uklonił.

Zabójczyni poszła w jego ślady, a prostując się, zdjęła kaptur. Była pewna, że po dwóch tygodniach spędzonych na pustyni jej włosy są w opłakanym stanie, a do tego obrzydliwie przetłuszczone, ale przecież nie przybyła do twierdzy, aby urzekać kogokolwiek urodą.

Niemy Mistrz przyjrzał się jej uważnie, a potem skinął głową. Przewodnik trącił ją łokciem. Celaena odkaszlnęła i zrobiła krok do przodu.

Wiedziała, że mężczyzna nie odezwie się ani słowem. Powszechnie wiadomo było, że złożył śluby milczenia. Przedstawienie się było więc jej obowiązkiem. Pamiętała dobrze, co Arobynn nakazał jej powiedzieć. Nakazał? „Rozkazał” zabrzmiałoby lepiej. Tym razem nie było mowy o przebierankach, masce czy korzystaniu z fałszywych imion. Skoro udowodniła, że nie zależy jej na chronieniu interesów Arobynna, on sam również nie miał zamiaru jej ochraniać. Dziewczyna zastanawiała się przez długie tygodnie nad sposobem zamaskowania swojej tożsamości – nie chciała, żeby ci ludzie dowiedzieli się, kim jest, ale rozkazy Arobynna były jasne i klarowne. Dał jej miesiąc na to, aby zdobyła szacunek Niemego Mistrza, a następnie miała wrócić do Rifthold z napisanym przez niego listem pochwalnym. Żeby nie było wątpliwości, rekomendacje miały dotyczyć właśnie Celaeny Sardothien. W razie niepowodzenia powinna poszukać dla siebie nowego miasta, a najlepiej nowego kontynentu.

– Dziękuję za udzielenie mi audiencji, Mistrzu Milczących Zabójców – powiedziała, przeklinając w duchu sztywną formułkę. Położyła dłoń na sercu i opadła na kolana. – Jestem Celaena Sardothien, protegowana Arobynna Hamela, Króla Zabójców Północy.

Nie bez powodu nazwała Hamela Królem Zabójców Północy. Niemy Mistrz z pewnością nie byłby zadowolony, gdyby Arobynn obwołał się królem wszystkich zabójców. Dziewczyna nie miała pojęcia, czy ten tytuł wywarł na mężczyźnie jakiekolwiek wrażenie, gdyż jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Wyczuła jednak, że kilku ludzi kryjących się w cieniach przestąpiło z nogi na nogę.

– Mój przełożony przysłał mnie z błagalną prośbą o przyjęcie mnie na szkolenie – ciągnęła. Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Tak jakby potrzebowała szkolenia! Pochyliła głowę nisko, żeby Mistrz nie ujrzał wściekłości malującej się na jej twarzy. – Jestem do twojej dyspozycji – dodała i uniosła dłonie w poddańczym geście.

Żadnej reakcji.

Jej policzki sparzyło gorąco gorsze od upału pustyni. Nadal klęczała z pochyloną twarzą i uniesionymi dłońmi. Gdzieś zaszleściły szaty, a następnie rozległo się ledwie słyszalne echo kroków. W końcu ujrzała tuż przed sobą dwie bose, ciemne stopy.

Suchy palec uniósł jej podbródek, a Celaena uświadomiła sobie po chwili, że spogląda w morską zieleń oczu Mistrza. Nie ośmieliła się nawet drgnąć. Mężczyzna mógł złamać jej kark jednym ruchem.

„To test zaufania” – pomyślała.

Zmusiła się do tego, aby zachować całkowity bezruch. Skupiła się na rysach twarzy Mistrza, żeby nie myśleć o tym, jak bardzo była bezbronna. Na czole, tuż pod ciemnymi, krótko ostrzyżonymi włosami mężczyzny, kroplił się pot. Zabójczyni nie miała pojęcia, skąd pochodził Mistrz, choć skóra w kolorze orzecha laskowego sugerowała Eyllwe. Oczy w kształcie migdałów wskazywały jednak na pochodzenie z jednego z krajów leżących na odległym, południowym kontynencie. Jak on tu dotarł?

Dziewczyna napięła mięśnie, gdy długie palce mężczyzny odsunęły luźne kosmyki włosów, które wyswobodziły się z jej warkoczy. Mistrz zaczął przyglądać się żółknącym sińcom wokół jej oczu i na policzkach oraz wąskiemu, wygiętemu w łuk strupowi na kości policzkowej. Czy Arobynn powiadomił go o jej przybyciu? Czy napisał o okolicznościach

towarzyszących jej wyprawie? Mistrz nie wydawał się zaskoczony jej pojawieniem się.

Gdy mężczyzna spojrzał na pozostałości sińców po drugiej stronie twarzy, niespodziewanie zwęził oczy i zacisnął mocno usta. Celaena miała szczęście, że Arobynn wiedział, jak uderzać, żeby nie oszpecić jej twarzy na zawsze.

„Czy Sam również doszedł już do siebie?” – pomyślała z poczuciem winy. Nie widziała go w Twierdzy przez trzy dni po wielkim laniu, jakie sprawił jej Arobynn. Straciła przytomność, zanim zabrał się do chłopaka, a od chwili, gdy się zbudziła, aż do teraz świat zniekształcały wściekłość, smutek i nieprawdopodobne znużenie. Wydawało jej się, że śni na jawie.

Uspokoila bijące szybko serce, a Mistrz puścił jej podbródek i cofnął się. Gestem nakazał jej powstać. Zerwała się z radością, gdyż zaczynały ją już boleć kolana.

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo. Już chciała odpowiedzieć tym samym, gdy nagle strzelił palcami i czterech ukrytych wojowników rzuciło się na nią.

## Rozdział drugi

**N**ie byli uzbrojeni, ale ich zamiary były jasne. Pierwszy z nich, odziany w typowe dla tych stron obszerne szaty, złapał ją i wymierzył jej cios w twarz. Celaena wykonała unik, a potem złapała napastnika za nadgarstek oraz biceps i wykręciła mu ramię, aż mężczyzna jęknął z bólu. Zabójczyni cofnęła się i pchnęła przeciwnika na drugiego z atakujących z taką siłą, że obaj zwalili się na ziemię.

Odskoczyła i wylądowała tam, gdzie jeszcze przed chwilą stał jej towarzysz. Sprawnie uniknęła zderzenia z Mistrzem. Był to kolejny test, który miał na celu wykazać, od jakiego poziomu powinna rozpocząć szkolenie i czy była godna tego zaszczytu.

Oczywiście, że na niego zasługiwała. Przecież nazywała się Celaena Sardothien, niech szlag trafi bogów!

Trzeci mężczyzna wyciągnął z fałd beżowej tuniki dwa sztylety o ostrzach w kształcie półksiężyców i ruszył do ataku. Ubrana w obszerne szaty Celaena nie miała pełnej swobody ruchu i nie była w stanie uskoczyć należycie szybko, więc tylko wygięła się do tyłu, schodząc z drogi ostrzom zmierzającym ku jej twarzy. Aż zabolął ją kręgosłup, ale sztylety niegroźnie przecięły powietrze, odcinając jedynie kosmyk jej włosów. Dziewczyna padła na plecy i wykonała kopnięcie, posyłając mężczyznę na ziemię.

Czwarty napastnik pojawił się tuż za jej plecami. Zakrzywione ostrze błysnęło w jego dłoni, gdy wymierzył pchnięcie, aby przebić jej głowę. Zabójczyni przetoczyła się po ziemi, a wrogie ostrze uderzyło w kamień, krzesząc iskry.

Zanim zdołała zerwać się na nogi, przeciwnik znów uniósł broń. Celaena spostrzegła, że markuje cięcie przez jej lewy bok, ale w rzeczywistości chce uderzyć w prawy. Usunęła się płynnie, jakby tańcząc. Miecz napastnika nadal opadał, gdy zabójczyni błyskawicznie rozgniotła mu nos nasadą dłoni i uderzyła pięścią w żołądek. Mężczyzna padł na podłogę, brocząc krwią z nosa. Dziewczyna ciężko oddychała, a szybkie hausty powietrza raniły jej rozpalone gardło. Desperacko musiała się napić.

Żaden z czterech napastników na podłodze się nie ruszał. Na twarzy Mistrza pojawił się uśmiech, a wtedy pozostali zabójcy zbliżyli się do światła. Byli wśród nich zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Każdy z obecnych miał ciemną karnację, ale odmienne kolory włosów podpowiadały, że pochodzili ze wszystkich królestw kontynentu. Celaena pochyliła głowę, lecz nikt nie odwzajemnił gestu. Spojrzała na napastników, którzy podnosili się, chowali broń do pochew i znów kryli się w cieniu. Miała nadzieję, że nie wezmą sobie do serca porażki.

Raz jeszcze rozejrzała się dokoła, usiłując przeniknąć cienie wzrokiem i przygotować się na kolejny atak. Młoda kobieta, która stała w pobliżu, przyglądała się Celaenie uważnie, aż w końcu uśmiechnęła się do niej uśmiechem współspiskowca. Zabójczyni nie chciała okazywać jej nadmiernego zainteresowania, choć musiała przyznać, że rzadko zdarzało jej się widywać równie intrygujące osoby. Nie chodziło wcale o to, że nieznajoma miała włosy barwy wina i czerwono-brązowe oczy, jakich Celaena nigdy dotąd nie widziała. Nie, jej uwagę przyciągnęła w pierwszej chwili zbroja dziewczyny. Jej twórca wykonał tyle zdobień, że pancerz zapewne nie pełnił już swojej funkcji, ale nadal było to wspaniałe dzieło sztuki.

Prawy naramiennik ukształtowano na podobieństwo łba warczącego wilka. Również na nosalu hełmu, który nieznajoma trzymała pod pachą, tkwiła figurka skulonego zwierzęcia. Kolejny wilczy łeb wieńczył rękojeść jej miecza. Zbroja wyglądałaby komicznie na każdym wojowniku, ale ta dziewczyna była wyjątkiem. Celaena wyczuła w niej osobliwą, chłopięcą niewinność, przez co wydawała się jeszcze bardziej intrygująca.

Ponadto zabójczyni nie mogła zrozumieć, jakim cudem właścicielka owej zbroi jeszcze się w niej nie ugotowała.

Mistrz klepnął Celaenę w ramię, a potem skinął na opancerzoną dziewczynę. Nie zachęcał do walki – było to przyjazne zaproszenie. Zbroja nieznajomej pobrzękiwała, ale przeciwniczka stawiała kroki niemalże bezszelestnie.

Mistrz przekazał jej kilka informacji za pomocą gestów. Nieznajoma ukloniła się przed Celaeną, a potem znów obdarzyła ją krzywym uśmiechem.

– Jestem Ansel – powiedziała jasnym, rozbawionym głosem. Mówiła

z lekkim, ledwo wyczuwalnym akcentem, którego Celaena nie była w stanie rozpoznać. – Wygląda na to, że podczas twego pobytu w twierdzy będziemy dzielić pokój.

Mistrz znów zaczął gestykulować. Jego zrogowaciałe, pokryte bliznami dłonie wykonały serię znaków, które Ansel w jakiś sposób była w stanie odszyfrować.

– Jak długo masz zamiar tu pozostać?

Celaena zwalczyła ochotę, aby zmarszczyć brwi.

– Miesiąc – odpowiedziała, a potem ukloniła się Mistrzowi. – O ile będzie mi wolno.

Droga w jedną stronę trwała miesiąc. Oznaczało to, że do chwili jej powrotu w Rifthold upłyną trzy miesiące.

Mężczyzna ograniczył się do skinięcia głową i ruszył w stronę podwyższenia.

– To zaś oznacza, że możesz zostać – szepnęła Ansel i dotknęła ramienia Celaeny opancerzoną dłonią. Wyglądało na to, że nie wszyscy zabójcy ślubowali milczenie czy czuli potrzebę zachowania dystansu wobec innych. – Twój trening rozpocznie się jutro o świcie – dodała.

Mistrz opadł na poduszki, a Celaena z trudem powstrzymała westchnienie ulgi. Arobynn wmówił jej, że przekonanie mężczyzny, aby przyjął ją na trening, graniczy z cudem. Głupiec! Wysłał ją na pustynię, żeby cierpiała, ot co!

– Dziękuję – powiedziała do Mistrza. Przez cały czas czuła na sobie spojrzenia otaczających ją ludzi.

Mężczyzna skwitował jej podziękowanie machnięciem dłoni.

– Chodź – rzekła Ansel. Jej włosy połyskiwały w blasku słońca. – Zapewne chcesz się wykapać, zanim zabierzesz się do czegokolwiek innego. Ja na twoim miejscu nie myślałabym o niczym innym. – Uśmiechnęła się przy tych słowach. Wokół nosa i na policzkach dziewczyny zabłyśły piegi.

Celaena raz jeszcze przyjrzała się zdobnej zbroi nieznajomej, a potem wyszła w ślad za nią z sali.

– To najciekawsza propozycja, jaką słyszałam od paru tygodni – powiedziała z uśmiechem.

Idąc za Ansel przez korytarze fortecy, zabójczynie dotkliwie odczuwała brak długich sztyletów, które zazwyczaj nosiła przy pasku.



Odebrano je jej przy bramie wraz z mieczem i plecakiem. Dłonie dziewczyny zwisały luźno, ale była gotowa zareagować na każdy, najdrobniejszy nawet ruch przewodniczki. Nie wiedziała, czy Ansel zdaje sobie sprawę z jej gotowości do walki, ale szła swobodnie, machając ramionami, a jej zbroja pobrzękiwała miarowo.

Miała dzielić z nią pokój. Cóż za nieprzyjemna niespodzianka. Mieszkanie z Samem przez kilka dni było do zniesienia, ale z kimś całkowicie obcym? Zabójczyni Adarlanu przyglądała się Ansel kątem oka. Była nieco wyższa, ale ze względu na zbroję nie można było zauważyć innych szczegółów. Celaena nigdy nie spędzała czasu z dziewczynami, nie licząc kurtyzan, które Arobynn zapraszał do Twierdzy bądź zabierał do teatru, choć jej na ogół nie zależało na nawiązaniu z nimi kontaktu. W gildii Arobynna nie było innych zabójczyń, ale tu sytuacja wyglądała inaczej. Dziewczyna miała wrażenie, że kobiety dorównują liczebnością mężczyznom. W Twierdzy wszyscy ją znali, a tu była zaledwie jedną z wielu twarzy w tłumie.

Co więcej, Ansel mogła być od niej lepsza. Nie podobała jej się ta myśl.

– A więc – rzekła nagle przewodniczka, unosząc brwi – Celaeno Sardothien...

– Tak?

Ansel wzruszyła ramionami, choć zbroja mocno to utrudniała.

– Sądziłam, że okażesz się osobą bardziej... bardziej dramatyczną.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam – rzekła Celaena, choć w jej głosie nie było żalu.

Dziewczyna poprowadziła ją w górę po krótkich schodach, a potem weszła w długi korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się drzwi do kolejnych pokoi. Uwijały się tam dzieci uzbrojone w wiadra, miotły i mopy. Najmłodsze mogło mieć około ośmiu lat, a najstarsze około dwunastu.

– To akolici – powiedziała Ansel, widząc pytający wzrok Celaeny. – Sprząatanie pokoi starszych zabójców jest elementem ich treningu. Uczą się w ten sposób odpowiedzialności i pokory. Czy czegoś w tym stylu.

Mrugnęła do gapiącego się na nią dziecka. Celaena zauważyła, że wielu uczniów wpatruje się w Ansel, a w ich oczach maluje się podziw i szacunek. Uznała, że jej towarzyszka musi zajmować wysoką

pozycję. Jej nie zaszczycono ani jednym spojrzeniem. Zadarła wyżej podbródek.

– Ile miałaś lat, gdy tu dotarłaś? – spytała. Im więcej się dowie, tym lepiej.

– Dopiero co skończyłam trzynaście – odparła Ansel. – W ten sposób ominęły mnie najgorsze prace.

– A ile lat masz teraz?

– Próbujesz się jak najwięcej o mnie dowiedzieć, co?

Twarz Celaeny nie wyrażała żadnych emocji.

– Skończyłam osiemnaście. Ty również wyglądasz na ten wiek.

Celaena pokiwała głową. Z pewnością nie musiała przekazywać żadnych informacji na swój temat. Arobynn zabronił jej ukrywać tożsamość, ale nie oznaczało to, że musiała zdradzać jakiegokolwiek szczegóły. Co więcej, ona sama rozpoczęła szkolenie, gdy skończyła osiem lat, a więc miała kilka lat przewagi nad nową znajomą. Z pewnością nie było to bez znaczenia.

– Czy ćwiczenie pod okiem Mistrza spełniło twoje oczekiwania?

Ansel uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Nie wiem. Jestem tu od pięciu lat, a on jak dotąd nie zgodził się mnie uczyć osobiście. Zresztą przestało mi zależeć. Myślę, że jestem już całkiem dobra i bez jego pomocy.

„Bardzo dziwne – pomyślała Celaena. – Jak to możliwe, że osiągnęła taki status, nie ćwicząc z Mistrzem? Choć z drugiej strony wielu zabójców Arobynną nigdy nie było szkolonych przez niego osobiście”.

– Skąd pochodzisz? – spytała.

– Z Płaskich Krain.

Z Płaskich Krain? Gdzie, u licha, znajdowały się Płaskie Krainy?

– Ciągną się wzdłuż brzegów Zachodnich Pustkowi – odpowiedziała Ansel na niewypowiedziane na głos pytanie. – Kiedyś zwano te ziemie Wiedźmim Królestwem.

Celaena słyszała o Pustkowiach, ale nazwa Płaskie Krainy nigdy dotąd nie obijała jej się o uszy.

– Mój ojciec – ciągnęła Ansel – jest władcą Briarcliff. Wysłał mnie tu na szkolenie, abym, jak to określił, „wreszcie nauczyła się czegoś pożytecznego”. Czegoś pożytecznego! I pięćset lat by mi nie wystarczyło!

Celaena zachichotała wbrew sobie i raz jeszcze zerknęła ukradkiem na zbroję dziewczyny.

– Nie jest ci gorąco w tym pancerzu?

– Pewnie, że jest – przyznała Ansel i odrzuciła sięgające ramion włosy. – Ale musisz przyznać, że przykuwa uwagę. I przydaje się, gdy trzeba chodzić po twierdzy pełnej zabójców. Nie znam innego sposobu na zwrócenie na siebie uwagi.

– Skąd ją masz? – spytała Celaena, choć niespecjalnie ją to interesowało. Zbroja tego typu byłaby dla niej całkowicie bezużyteczna.

– Och, zrobiono ją dla mnie na zamówienie.

A więc Ansel miała pieniądze. I to sporo, skoro było ją stać na taką zbroję.

– Z wyjątkiem miecza. – Dziewczyna poklepała rękojeść uformowaną na podobieństwo wilka. – To własność mojego ojca. Podarował mi go w dniu naszego rozstania. Pomyślałam, że zamówię zbroję, która będzie do niego pasować. Wilk to symbol naszej rodziny.

Znalazły się w otwartym przejściu i pałace popołudniowe słońce uderzyło w nie z pełną siłą. Mimo to na twarzy Ansel nadal widniał serdeczny uśmiech. Jeśli w zbroi było jej niewygodnie, nie dawała tego po sobie poznać. Przyjrzała się bacznie przybyszce.

– Ilu ludzi zabiłaś?

Celaena niemalże się zachłysnęła, ale nadal zadzierała wysoko podbródek.

– To chyba nie twoje zmartwienie.

– Myślę, że bez problemu się tego dowiem. – Ansel zachichotała. – Ponura sława, która cię otacza, nie wzięła się znikąd.

To Arobynn zazwyczaj dbał o to, aby wieści trafiały do odpowiednich kanałów. Celaena, wykonawszy zlecenie, nie pozostawiała po sobie żadnych śladów. Zostawianie tropów wydawało jej się dość... dość tandetne.

– Ja bym chciała, żeby wszyscy ludzie na świecie wiedzieli, że to ja dokonałam zabójstwa – dodała Ansel.

Cóż, Celaenie w istocie zależało na tym, aby wszyscy na świecie wiedzieli, że jest najlepsza w swoim fachu, ale słuchając słów dziewczyny, odniosła wrażenie, że chodzi jej o coś zupełnie innego.

– Kto z was prezentuje się gorzej? – spytała niespodziewanie Ansel.

– Ty czy ten, kto ci to zrobił?

Celaena uświadomiła sobie, że dziewczyna ma na myśli gojące się sińce i rany na jej twarzy. Poczowała ucisk w żołądku. Zaczynała przyzwyczajać się do tego uczucia.

– Ja – powiedziała cicho.

Nie miała pojęcia, dlaczego się przyznała. Może powinna była zgrywać bohaterkę, ale czuła się zmęczona, a wspomnienie nagle zaczęło jej ciążyć.

– Czy to twój mistrz za tym stoi? – spytała Ansel.

Tym razem Celaena nie odpowiedziała ani słowem, a dziewczyna nie naciskała.

Dotarły na koniec przejścia i zeszły po spiralnych kamiennych schodach na pusty dziedziniec, gdzie w cieniu wysokich drzew daktylowych stały ławki i niewielkie drewniane stoliki. Ktoś zostawił na jednym z nich otwartą książkę. Celaena rzuciła na nią okiem, ale tytuł napisano w dziwnym, niezrozumiałym alfabecie, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Gdyby była tu sama, zatrzymałaby się i przekartkowała książkę, choćby po to, żeby zobaczyć słowa zapisane literami tak różnymi od jej znanych, ale Ansel szła, nie zatrzymując się, w kierunku pary rzeźbionych drewnianych drzwi.

– Oto łaźnie. To jedno z nielicznych miejsc, gdzie zachowanie ciszy jest obowiązkiem, a więc staraj się nie być za głośno. Nie pluskaj też zanadto. Niektórzy ze starszych zabójców wściekają się nawet o to. – Otworzyła drzwi. – Nie spiesz się. Dopilnuję, aby twoje rzeczy zostały przeniesione do naszego pokoju. Gdy się wykąpiesz, poproś któregoś z akolitów, żeby cię zaprowadził. Kolacja będzie dopiero za kilka godzin, do tego czasu wrócę do pokoju.

Celaena obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem. Nie przerażała jej myśl o tym, że Ansel czy ktokolwiek inny będzie zajmował się jej bronią oraz sprzętem zostawionym przy bramie. Nie miała nic do ukrycia, choć aż ją skręciło na myśl o strażnikach obmacujących jej bieliznę. Plotka o tym, że lubuje się w drogiej i bardzo delikatnej bieliźnie, mogła zaszkodzić jej reputacji, ale była skazana na łaskę swoich gospodarzy, a pozytywna rekomendacja zależała tylko i wyłącznie od jej dobrego zachowania.

Oraz pozytywnego nastawienia.

Powiedziała więc tylko:

– Dziękuję.

Następnie minęła Ansel i wkroczyła w kłęby pachnącej ziołami pary.

Do łaźni mieli dostęp wszyscy mieszkańcy fortecy, ale na szczęście część przeznaczona dla kobiet oddzielona była od przestrzeni dla mężczyzn, a o tej porze dnia była pusta.

Łażnie kryjące się za wyniosłymi palmami i drzewami daktylowymi, które uginały się pod ciężarem owoców, wyłożono płytkami w kolorze morskiej zieleni, takimi samymi, jakie tworzyły mozaikę w komnacie Mistrza. Chłód zapewniały białe płachty, rozwieszane na drągach wystających ze ścian budynku. Woda w niektórych oczkach wodnych parowała, w innych bulgotała, a w jeszcze innych parowała oraz bulgotała jednocześnie. Celaena wślizgnęła się do basenu, w którym woda była przejrzysta i chłodna, a jej powierzchnia nieporuszona.

Pamiętała ostrzeżenie przed łamaniem ciszy i powstrzymała jęk ulgi. Zanurzyła się pod wodę i pozostała tam do chwili, gdy jej płuca desperacko zaczęły dopominać się powietrza. Nigdy nie nauczyła się, czym jest skromność, ale na wszelki wypadek wołała nie wynurzać się całkowicie. Nie miało to oczywiście żadnego związku z tym, że jej zebra i ramiona były pokryte ustępującymi już sińcami. Na ich widok traciła panowanie nad sobą – czasami ogarniała ją wściekłość, kiedy indziej żal, a bywało, że i jedno, i drugie. Chciała być znów w Rifthold, dowiedzieć się, co się stało z Samem, wrócić do życia, które rozsypało się w ciągu kilku bolesnych chwil, ale obawiała się powrotu.

Tu, na skraju świata, owa pamiętna noc, wraz z Rifthold i wszystkimi jego mieszkańcami, wydawała się bardzo odległa.

Siedziała w wodzie do chwili, gdy skóra na jej dłoniach zaczęła się marszczyć.

Gdy trafiła do ich niewielkiego prostokątnego pokoju, nie zastała w nim swojej współlokatorki, ale zauważyła, że ktoś rozpakował jej dobytek. Nie licząc miecza, sztyletów, bielizny i kilku tunik, nie wzięła ze sobą wiele. Nawet nie pomyślała o tym, aby zabrać bardziej eleganckie rzeczy. Cieszyła się teraz z tego, widząc, z jaką łatwością piasek przeciera obszerne szaty, które kazał jej założyć przewodnik.

W pomieszczeniu znajdowały się dwa wąskie łóżka. Celaena dopiero

po chwili odgadła, które należało do Ansel. Na ścianie z czerwonego kamienia nad posłaniem współlokatorki nie było ozdób. Gdyby nie drobna żelazna figurka przedstawiająca wilka, stojąca na stoliku przy łóżku, oraz manekin wielkości człowieka, na którym dziewczyna zapewne wieszła swą zbroję, Celaena nie miałaby pojęcia, że dzieli z kimś pokój.

Przetrząśnięcie zawartości komody współlokatorki również w niczym jej nie pomogło. Znalazła w niej jedynie starannie złożone czerwone tuniki oraz czarne spodnie. Wyróżniało się wśród nich kilka białych tunik, które uszyto z noszonego powszechnie materiału. Nawet bielizna Ansel była niewyszukana i starannie złożona. Na bogów, kto składa swą bieliznę? Celaena przypomniała sobie własną ogromną garderobę, eksplodującą kolorami i różnorodnością wzorów oraz tkanin. Jej rzeczy tworzyły stosy, a droga bielizna kłębiła się w szufladzie.

Sam pewnie składał wszystkie rzeczy, choć niewykluczone, że musiał z tego na razie zrezygnować. Wszystko zależało od tego, w jakim stanie pozostawił go Arobynn. Król Zabójców nigdy by jej świadomie nie okaleczył, ale chłopak nie cieszył się tymi samymi przywilejami. Sama Cortlanda można było bez trudu zastąpić kimś innym.

Celaena odepchnęła od siebie tę myśl i umościła się wygodniej na łóżku. Cisza panująca w fortecy szybko ukołysała ją do snu.

*Nigdy dotąd nie widziała Arobynna tak wściekłego. Nigdy też nie była tak przerażona. Arobynn nie krzyczał ani nie przeklinał, lecz tylko znieruchomiał i zamilkł. O jego wściekłości świadczyły jedynie połyskujące srebrne oczy, emanujące śmiertelnie zimnym spokojem.*

*Chciała zerwać się z krzesła, gdy nagle Król Zabójców podniósł się zza ogromnego drewnianego biurka. Siedzący obok niej Sam wciągnął gwałtownie powietrze. Nie mogła się odezwać. Gdyby zaczęła mówić, zdradziłby ją drżący głos. Nie mogła sobie pozwolić na takie upokorzenie.*

*– Czy ty wiesz, ile pieniędzy przez ciebie straciłem? – spytał ją zimno Arobynn.*

*Dłonie Celaeny zaczęły się pocić.*

*„Warto było” – pomyślała.*

Warto było uwolnić dwustu niewolników. Bez względu na to, co się miało wydarzyć, wiedziała, że nigdy tego nie pożałuje.

– To nie jej wina! – wtrącił się Sam. Celaena smagnęła go wściekłym spojrzeniem, w którym kryło się ostrzeżenie. – Oboje uznaliśmy, że to...

– Nie kłam, Samie Cortland – warknął Arobynn. – Jesteś w to zamieszany tylko i wyłącznie dlatego, że ona tego chciała! Mogłeś pozwolić, żeby się naraziła na niebezpieczeństwo, lub jej pomóc!

Sam otworzył usta, aby zaprotestować, ale zamilkł, gdy Arobynn ostro gwizdnął przez zęby. Drzwi do jego gabinetu otworzyły się. Wesley, ochroniarz Króla, zajrzał do środka.

– Ściągnij Rybitwę, Mullina i Hardinga – powiedział Arobynn, nie spuszczać oczu z Celaeny.

To nie był dobry znak. Dziewczyna usiłowała nie okazywać żadnych emocji, ale mężczyzna nie przestawał się w nią wpatrywać. Żadne z dwójki winowajców nie odezwało się ani słowem. Mijała minuta za minutą. Celaena próbowała powstrzymać dreszcze.

W końcu do środka weszło trzech zabójców – uzbrojonych po zęby mężczyzn, których ciała składały się tylko i wyłącznie z mięśni.

– Zamknij drzwi – rzekł Arobynn do Hardinga, który wszedł jako ostatni, a potem spojrzął na pozostałych i rzekł: – Brać go.

Rybitwa i Mullin w jednej chwili podnieśli Sama z krzesła i wykrecili mu ramiona do tyłu. Harding stanął przed nimi i zacisnął pięść.

– Nie – szepnęła Celaena, patrząc w szeroko otwarte oczy chłopaka. Przecież Arobynn nie będzie aż tak okrutny! Przecież na pewno nie zmusi jej, aby patrzyła, jak zadaje ból Samowi. Czowała coraz większy ucisk w gardle.

Mimo to nadal wysoko zadzierła głowę. Nawet gdy Arobynn rzekł do niej cicho:

– Nie spodoba ci się to. I nigdy tego nie zapomnisz. Zresztą o to mi właśnie chodzi.

Dziewczyna odwróciła się do Hardinga i otworzyła usta, aby prosić go o litość dla Sama.

Wyczuła cios Arobynna na uderzenie serca przed eksplozją bólu.

Spadła z krzesła. Nim zdążyła się podnieść, Król Zabójców złapał ją za kołnierz i znów uderzył. Tym razem po raz pierwszy trafił w policzek. Świat zatańczył przed jej oczami. Trzeci cios był tak potężny,

*że najpierw poczuła gorącą krew, a dopiero po niej ból.*

*Sam coś krzychał, ale Arobynn nie przestawał bić. Celaena miała usta pełne krwi, lecz nie walczyła. Nie ośmieliłaby się stawić czoła mentorowi. Sam szarpał się z Rybitwą i Mullinem, ale ci trzymali go mocno, a Harding wyciągał ramię, aby w razie czego zablokować mu drogę.*

*Ciosy Arobynna trafiały w jej klatkę piersiową, szczękę i brzuch. Raziły jej twarz. Uderzał raz za razem, ale robił to starannie, na zimno, chcąc spowodować jak najwięcej bólu, ale nie wyrzucić jej trwałej krzywdy. Sam zaś wrzeszczał jakieś słowa, których nie słyszała, ogłuszona bólem.*

*Ostatnią rzeczą, którą zapamiętała, było poczucie winy, gdy zobaczyła własną krew ściekającą na drogi czerwony dywan Arobynna. Potem ujrzała ciemność, błogosławioną ciemność. Wraz z nią przyszła ulga na myśl o tym, że nie zobaczy, jak Król krzywdzi Sama.*



## Rozdział trzeci

Celaena ubrała się w najładniejszą tunikę spośród tych, które ze sobą wzięła. Nie było to nic wyjątkowego, ale połączenie ciemnego błękitu i złota sprawiało, że jej oczy nabierały turkusowej barwy. Posunęła się nawet do tego, że ozdobiła oczy makijażem, ale na skórę twarzy wolała niczego nie nakładać. Choć słońce zaszło, nadal panował upał i makijaż szybko by spłynął.

Ansel dotrzymała obietnicy i przysłała w porę, aby zabrać Celaenę na kolację. W drodze do jadalni bombardowała ją pytaniami o podróż. Na ogół mówiła normalnie, ale bywało, że zniżała głos do szeptu lub gestem dawała znać, że w tych miejscach nie należy zakłócać ciszy. Celaena nie miała pojęcia, dlaczego przy niektórych pokojach należało zachować milczenie, a przy innych nie, wszystkie bowiem wydawały się jej identyczne. Mimo drzemki nadal czuła się wykończona, w dodatku nie wiedziała, kiedy wolno jej mówić, a kiedy nie, więc odpowiadała krótko i zwięźle. Nie miała wielkiej ochoty na jedzenie. Nie miałyby nic przeciwko temu, aby po prostu przespać całą noc.

Zachowanie czujności w chwili wejścia do jadalni wiązało się z ogromnym wysiłkiem, ale mimo wyczerpania odruchowo przyjrzała się całemu pomieszczeniu. Do środka prowadziły trzy wejścia – ogromne drzwi, przez które weszły, oraz dwoje mniejszych dla służby po przeciwnej stronie. Wszędzie stały długie drewniane stoły, ciągnące się od ściany do ściany, a na ławach zasiadali ludzie w każdym wieku, pochodzący ze wszystkich stron świata. Było tu przynajmniej siedemdziesiąt osób. Nikt nawet nie spojrzał na Ansel i Celaenę zmierzające w stronę stołu blisko głównego wejścia. Jeśli ktoś zdawał sobie sprawę z tego, kim była, niewiele go to obchodziło. Dziewczyna usiłowała opanować grymas.

Ansel wślizgnęła się na wybrane miejsce przy stole i poklepała fragment ławy obok. Niektórzy z siedzących wokół zabójców toczyli ciche rozmowy, ale inni milczeli. Wielu uniosło głowy, aby przyrzeć się obcej dziewczynie.

Ansel machnęła dłonią w kierunku towarzyszki.

– Celaeno, oto wszyscy. Wszyscy, oto Celaena. Choć jestem pewna, że już dawno o wszystkim wiecie, plotkarze – rzuciła. Mówiła cicho, ale obecni dobrze ją usłyszeli, choć wielu rozmawiało. Brzęk naczyń i sztućców przycichł na moment.

Celaena przyjrzała się twarzom sąsiadów. Wszyscy najwyraźniej zerkali na nią z życzliwą ciekawością, a nawet lekkim rozbawieniem. Usiadła ostrożnie, zwracając uwagę na każdy swój ruch, i spojrzała na dania rozstawione na stole. Widziała półmiski smażonego, aromatycznego mięsa, naczynia pełne przyprawionego ryżu oraz daktyli i innych owoców, a do tego liczne dzbanki wody.

Ansel nałożyła sobie porcję. Jej zbroja połyskiwała w świetle padającym ze zdobnych szklanych latarni zawieszonych pod sufitem. Spojrzała na talerz Celaeny i również nałożyła jej nieco jedzenia.

– Zaczynij jeść, dobra? – szepnęła. – Świetnie smakuje i na pewno nie jest zatrute. – Aby podkreślić prawdziwość swych słów, włożyła do ust kawałek przysmażonej jagnięciny i zaczęła żuć. – Widzisz? – spytała. – Lord Berick pewnie chciałby nas pozabijać, ale dobrze wie, że trucizną nas nie załatwi. Jesteśmy na to zbyt dobrze wyszkoleni, no nie?

Zabójcy przy stole wyszczerzyli zęby.

– Kim jest lord Berick? – spytała Celaena, wpatrując się w jedzenie na talerzu.

Ansel skrzywiła się i nabrała nieco ryżu w kolorze szafranu.

– Miejscowy łotr. Choć dla niego to pewnie my jesteśmy łotrami. Wszystko zależy od tego, kto opowiada tę historię.

– Bez dwóch zdań to on jest łotrem – powiedział ciemnooki, kędzierzawy mężczyzna siedzący naprzeciwko Ansel. Był przystojny na swój sposób, ale jak na gust Celaeny za bardzo przypominał kapitana Rolfe'a, gdy się uśmiechał. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. – Bez względu na to, kto o tym opowiada.

– Cóż, właśnie zepsułeś mi opowieść, Mikhail – rzekła dziewczyna, ale uśmiechnęła się do niego szeroko.

Mężczyzna rzucił w Ansel winogronem, a ona bez trudu złapała owoc między zęby. Celaena nadal nie tknęła swego posiłku.

– Lord Berick – ciągnęła Ansel, nakładając jeszcze więcej jedzenia na talerz sąsiadki – włada miastem o nazwie Xandria i twierdzi, że ta część pustyni również do niego należy. Cała historia jest długa i

potwornie nudna. W skrócie: Berick od lat dybie na naszą śmierć. Król Adarlanu nałożył embargo na Czerwoną Pustynię po tym, jak Berick nie wysłał własnych wojsk do Eyllwe i nie pomógł w tłumieniu rebelii. Od tego momentu Berick pragnie powrócić do królewskich łask i z jakiegoś powodu wbił sobie do głowy, że w tym celu wystarczy pozabijać nas wszystkich i posłać głowę Niemego Mistrza do Adarlanu. – Ansel wzięła do ust kolejny kawałek mięsa i dodała: – Raz na jakiś czas ima się kolejnych sztuczek. Wysyła nam zmije w koszach albo żołnierzy przebranych za naszych ukochanych zagranicznych emisariuszy. – Wskazała przy tym stół na drugim końcu sali, przy którym siedzieli ludzie w egzotycznych strojach. – Kiedyś jego łucznicy zjawili się tu w środku nocy i usiłowali zasypać nas płonącymi strzałami. A dwa dni temu przyłapaliśmy jego inżynierów, którzy próbowali wykopać tunel i przebić się przez ścianę. Beznadziejny pomysł od samego początku.

Mikhail zachichotał.

– Jak dotąd nic mu się nie udało.

Usłyszawszy ich rozmowę, zabójca siedzący przy sąsiednim stole odwrócił się ku nim i uniośł palec do ust, aby ich uciszyć. Mikhail przepaszająco wzruszył ramionami.

„A więc milczenie nie jest tu konieczne, ale mile widziane” – pomyślała Celaena.

Ansel nalala wody sąsiadce, a potem sobie.

– Na tym chyba polega największy problem, gdy ktoś ma ochotę zaatakować doskonale strzeżoną fortecę pełną doświadczonych wojowników – powiedziała ciszej. – Trzeba nas przechytrzyć. Choć z drugiej strony Berick nadrabia brutalnością. Zabójcy, którzy wpadli w jego ręce, wrócili do nas w kawałkach. – Pokręciła głową. – Okrucieństwo go bawi.

– A Ansel wie o tym najlepiej – wtrącił Mikhail szeptem. – Miała bowiem przyjemność poznać go osobiście.

Celaena uniosła brew, a dziewczyna skrzywiła się.

– Tylko dlatego, że jestem z was najbardziej urocza. Mistrz czasem wysyła mnie do Xandrii na spotkanie z Berickiem, aby wynegocjować jakiś układ. Na szczęście nie ośmielił się dotąd pogwałcić warunków rozejmu, ale kiedyś pewnie zapłacę za to głową.

Mikhail przewrócił oczami i spojrzał na Celaenę.

– Ansel uwielbia dramatyczne wstawki.

– Oczywiście.

Celaena odpowiedziała słabym uśmiechem. Minęło kilka minut, a jej towarzyszka jak dotąd nie padła trupem, więc ugryzła kawałek mięsa i niemal jęknęła, czując smak cierpkich oraz ostrych przypraw. Bez wahania zabrała się do jedzenia. Ansel i Mikhail gawędzili cicho, a zabójczyni wykorzystała okazję i rozejrzała się.

Nie licząc rynków w Rifthold i statków niewolniczych w Zatoce Czaszek, nigdzie nie widziała ludzi pochodzących z tyłu różnych królestw i kontynentów. Choć większość z nich była wyszkolonymi zabójcami, w pomieszczeniu panowała atmosfera porozumienia, a nawet zabawy. Celaena zerknęła na zagranicznych emisariuszy wskazanych przez Ansel. Były wśród nich zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Wszyscy pochylali się nad jedzeniem i szeptali we własnym gronie, od czasu do czasu zerkając na zabójców.

– Aha – powiedziała cicho Ansel. – Właśnie się sprzeczą, któremu zaproponować stanowisko.

– Co takiego?

Mikhail pochylił się, żeby lepiej widzieć ambasadorów.

– Przybywają tu z zagranicznych dworów, aby proponować nam posady. Składają oferty zabójcom, którzy zrobią na nich największe wrażenie. Czasem chodzi o jedno zadanie, a czasem jest to posada na całe życie. Każdy z nas może odejść, jeśli sobie tego życzy, ale nie wszyscy chcemy wyjeżdżać.

– A wy?

– Nie, skądże – rzekła Ansel. – Gdybym związała się z jakimś obcym dworem, ojciec pogoniłby mnie z kijem aż na kraniec świata. Twierdzi, że to forma prostytucji.

Mikhail zaśmiał się pod nosem.

– A mnie się tu po prostu podoba. Gdy będę chciał wyjechać, dam Mistrzowi znać, że jestem do dyspozycji. Ale na razie... – Zerknął na Ansel, a Celaena mogłaby przysiąc, że na twarzy dziewczyny pojawił się lekki rumieniec. – Na razie mam inne powody, aby się stąd nie ruszać.

– Z jakich dworów przybywają ci emisariusze? – spytała.

– Nie są to państwa pod okupacją Adarlanu, jeśli o to ci chodzi. – Mikhail potarł jednodniowy zarost. – Nasz Mistrz doskonale zdaje

sobie sprawę z tego, że wszystkie kraje od Eyllwe po Terrasen to terytorium twego mistrza.

– Bez wątpienia – rzekła, choć nie wiedziała, dlaczego to powiedziała. Zważywszy na to, co zrobił jej Arobynn, nie powinna się poczuwać do bronięcia pozycji Zabójców Adarlanu. Ale z drugiej strony widok tych wszystkich osób zgromadzonych w jednym miejscu, dysponujących razem tak wielką siłą oraz wiedzą, i świadomość, że nie ośmielą się wdrzeć na terytorium Arobynna... Na jej terytorium...

Jadła w milczeniu, a Ansel, Mikhail i kilku innych rozmawiali cicho. Zabójcy składali śluby milczenia na tak długo, jak sobie życzyli. Niektórzy milczeli przez kilka tygodni, a inni przez lata. Ansel twierdziła, że kiedyś poprzysięgła milczeć przez miesiąc, ale poddała się po dwóch dniach. Zanadto lubiła gadać. Celaena bez trudu mogła w to uwierzyć.

Kilka osób porozumiewało się za pomocą gestów. Czasami udawało im się pojąć znaczenie tajemniczego znaku dopiero po kilku próbach, ale wyglądało na to, że Ansel i Mikhail bez trudu rozumieli tę mowę.

Celaena miała wrażenie, że ktoś zwrócił na nią uwagę. Po chwili odkryła, że przygląda się jej ciemnowłosa, przystojny mężczyzna, który siedział kilka miejsc dalej. Usiłowała zachować obojętny wyraz twarzy. Przygląda się? Nie, nieznajomy raczej obrzucał ją ukradkowymi spojrzeniami. Jego oczy w kolorze morskiej zieleni to zwracały się ku niej, to znów umykały ku towarzyszom. Nie otworzył ust ani razu – rozmawiał ze swymi sąsiadami za pomocą gestów. Kolejny milczek.

Ich spojrzenia spotkały się. Na opalonej twarzy nieznajomego pojawił się szeroki uśmiech, błysnęły oślepiająco jasne zęby. Cóż, z pewnością był bardzo pociągającym mężczyzną. Być może równie atrakcyjnym, jak Sam.

Sam... Czy kiedykolwiek wcześniej uznałaby go za atrakcyjnego? Gdyby się dowiedział, że go za takiego uważa, pękłby ze śmiechu.

Mężczyzna pochylił głowę w geście pozdrowienia, a potem odwrócił się do towarzyszy.

– To Ilias – szepnęła Ansel i pochyliła się bliżej, niż Celaena by sobie tego życzyła. Czy ta dziewczyna znała pojęcie przestrzeni osobistej? – Syn Mistrza!

To by wyjaśniało kolor oczu. Mistrza otaczała aura świętości, ale przecież nie musiał żyć w celibacie.

– Jestem zdziwiona tym, że wpadłaś mu w oko – drażniła się z nią Ansel. Mówiła na tyle cicho, że słyszeli ją tylko Mikhail oraz Celaena.  
– Zazwyczaj jest tak skupiony na medytacji, że nikogo nie dostrzega. Nawet ładnych dziewcząt.

Celaena uniosła brwi, ale zdusiła ostrą ripostę. Nie miała ochoty wysłuchiwać podobnych uwag.

– Znam go od lat, ale zawsze traktował mnie z góry – ciągnęła Ansel. – Ale może woli blondynki?

Mikhail parsknął.

– Przybyłam tu w innym celu – rzekła Celaena.

– Założę się, że w domu nie możesz się opędzić od wielbicieli.

– Nie dbam o to.

– Kłamiesz. – Ansel otworzyła szeroko usta.

Celaena upiła duży łyk wody. Dodano do niej kawałki cytryny i była nieprawdopodobnie smaczna.

– Nie. Serio mi nie zależy.

Towarzyszka obrzuciła ją spojrzeniem pełnym niedowierzania, a potem wróciła do rozmowy z Mikhailem. Celaena trącała jedzenie na talerzu. W gruncie rzeczy była romantyczną dziewczyną. Zdarzyło jej się już kilkakrotnie zainteresować kimś. Jej pierwszą miłością był Archer, młody kawaler do wynajęcia, z którym ćwiczyła przez kilka miesięcy, nim ukończyła trzynaście lat, a potem kochała się w Benie, nieżyjącym od niedawna zastępcy Arobynna. Była wówczas zbyt młoda, aby zrozumieć, że taki związek nie ma szans powodzenia.

Ośmieliła się zerknąć raz jeszcze na Iliasa, który śmiał się w milczeniu po tym, co powiedział jeden z jego towarzyszy. Pochlebiało jej, że uznał ją za godną uwagi. Od kary, jaką wymierzył jej Arobynn, rzadko spoglądała w lustro, a robiła to tylko po to, aby się upewnić, czy nie ma nic złamanego.

Jej zadumę przerwał głos Mikhaila:

– A więc – odezwał się, mierząc w nią widelcem – naprawdę zasłużyłaś sobie na to lanie, które sprawił ci mistrz?

Ansel obrzuciła go mrocznym spojrzeniem, a Celaena wyprostowała się. Wszyscy jej słuchali, nawet Ilias. Jego piękne oczy wpatrywały się w jej twarz, ale zabójczyni skupiła się na Mikhailu.

– Wszystko zależy od tego, kto opowiada historię – odpowiedziała. Ansel zachichotała.

– Jeśli usłyszysz tę opowieść z ust Arobynna Hamela, zapewne dowiesz się, że jak najbardziej sobie na nie zasłużyłam – ciągnęła Celaena. – Stracił przede mną mnóstwo pieniędzy, za które zapewne można by wznieść małe królestwo. Okazałam mu nieposłuszeństwo i brak szacunku, nie przejawiałam też ani cienia skruchy. – Zabójczyni nie spuszczała spojrzenia z Mikhaila. Uśmiech młodzieńca powoli gasł. – Ta sama historia zabrzmi nieco inaczej, gdy opowie ją dwustu niewolników, których oswobodziłam. Wtedy przypuszczalnie uznasz, że nie zasłużyłam na karę.

Nikt już się nie uśmiechał.

– Na bogów – szepnęła Ansel. Na kilka uderzeń serca nad ich stołem zapadła prawdziwa cisza.

Celaena powróciła do jedzenia. Nie miała już ochoty na rozmowy.

Stała w cieniu drzew daktylowych, które oddzielały oazę od piasków, i wpatrywała się w bezkresną pustynię.

– Powtórz to – powiedziała bez emocji do Ansel.

Po obiedzie spożytym wśród szeptów i spacerach po pogrążonej w całkowitej ciszy twierdzy dziwnie się czuła, mówiąc normalnym głosem.

Ansel, ubrana w białą tunikę, spodnie oraz buty owinięte paskami ze skóry wielbłąda, uśmiechnęła się lekko i obwiązała czerwone włosy białym szalem.

– Następna oaza leży w odległości pięciu kilometrów. Dystans ten trzeba pokonać biegiem.

Z tymi słowami wręczyła Celaenie dwa drewniane wiadra, które przyniosła ze sobą.

– Te są dla ciebie.

Zabójczyni uniosła brwi.

– Myślałam, że będę ćwiczyć z Mistrzem.

– Och, nie. Nie dziś. – Ansel podniosła własne wiadra. – Dla Mistrza to właśnie jest trening. Może i potrafisz położyć na łopatki czterech mężczyzn, ale nadal pachniesz jak północny wiatr. Gdy zaczniesz cuchnąć jak Czerwona Pustynia, wtedy Mistrz pofatyguje się, aby cię trenować.

– Przecież to śmieszne. Gdzie on jest? – spytała Celaena i spojrzała

na twierdzą wznoszącą się za nimi.

– Och, nie znajdziesz go. Najpierw musisz udowodnić, że zasługujesz na jego uwagę. Musisz pokazać, że jesteś gotowa porzucić wszystko, co wiesz, i wszystko, kim jesteś. Udowodnij, że zasługujesz na czas, który może ci poświęcić. Wtedy zaczną cię trenować. Cóż, tak mi przynajmniej powiedziano. – Mahoniowe oczy Ansel rozbłysły rozbawieniem. – Wiesz, ilu z nas czołgało się przed nim w pyle, błagając o choć jedną lekcję? Wybierając uczniów, Mistrz kieruje się tylko i wyłącznie własnym widzimisię. Któregoś dnia rano może wezwać na szkolenie jakiegoś akolity. Innego dnia wybierze kogoś takiego jak Mikhail. Ja wciąż czekam na swą kolej. Myślę, że nawet Ilias nie zna metody, wedle której działa jego ojciec.

Celaena nie tak to sobie wyobrażała.

– Ale przecież ja muszę od niego dostać list z rekomendacjami! Muszę zacząć trening pod jego okiem! Przybyłam tu tylko po to, żeby mnie trenował!

Ansel wzruszyła ramionami.

– Tak jak my wszyscy. Myślę, że najlepiej zrobisz, jeśli zaczniesz ćwiczyć ze mną, aż Mistrz zdecyduje, że jesteś godna jego uwagi. Mogę pomóc ci przyzwycząić się do rytmu naszego życia, aby wyglądało to tak, że zależy ci na nas, a nie na liście pochwalnym. Choć zapewne również w naszym gronie są tacy, którzy skrywają jakiś tajny zamysł.

Ansel mrugnęła okiem, a Celaena zmarszczyła brwi. Wpadanie w panikę nic jej teraz nie da. Musiała ułożyć logiczny plan działania. Może spróbuje później porozmawiać z Mistrzem? Może po prostu nie zrozumiał jej wczoraj. A na razie będzie chodzić w ślad za Ansel przez resztę dnia. Mistrz przyszedł wczoraj do wspólnej jadalni. Jeśli będzie trzeba, znajdzie go tam dziś w wieczorem.

Widząc brak sprzeciwu ze strony Celaeny, Ansel podniosła wiadro.

– To przeznaczone jest na podróż powrotną z oazy. Wierz mi, przyda ci się. A dzięki temu – pokazała jej drugie – zamienimy naszą wyprawę w koszmar.

– Po co to wszystko?

Ansel zawiesiła oba wiadra na drągu, a następnie ułożyła go sobie na ramionach.

– Bo jeśli zdołasz przebiec pięć kilometrów po wydmach Czerwonej



Pustyni, a potem wrócić, będziesz w stanie dokonać prawie wszystkiego.

– Przebiec? – Gardło Celaeny wyszło na samą myśl o tym.

Otoczający ich zabójcy, głównie dzieci oraz kilka osób nieco starszych od niej, ruszyli biegiem w stronę wydmy. Taszczone przez nich wiadra postukiwały.

– Nie mów mi tylko, że otoczona złą sławą Celaena Sardothien nie jest w stanie przebiec pięciu kilometrów!

– Jesteś tu od tylu lat. Naprawdę nadal masz na to ochotę?

Ansel wygięła głowę niczym kot przeciągający się w promieniach słońca.

– Oczywiście, że nie, ale biegając, utrzymuję formę. Myślisz, że mam takie nogi od urodzenia?

Celaena zacisnęła zęby, widząc szatański uśmiezek dziewczyny. Nigdy dotąd nie spotkała osoby, która by się tyle uśmiechała i mrugała.

Ansel zaczęła biec, zostawiając cień drzew daktylowych za sobą. Każdy jej krok wzbijał chmurę czerwonego pyłu. Zerknęła przez ramię.

– Idąc, zmarnujesz cały dzień i na pewno nie zrobisz na nikim wrażenia! – zawołała, a potem zasłoniła nos oraz twarz chustą i przyspieszyła.

Celaena nabrała tchu i w myślach przeklęła Arobynna od najgorszych, a potem nałożyła wiadra na drąg i rozpoczęła bieg.

Gdyby miała przebiec pięć kilometrów po płaskim terenie lub nawet po trawiastych wzgórzach, podołałaby zadaniu, ale wydmy były ogromne i trudne do pokonania. Już po pierwszym przebytych kilometrze musiała zwolnić. Jej płuca płonęły z wysiłku. Na szczęście odnalezienie drogi nie nastęczało szczególnych trudności, gdyż podążała po śladach wielu uczniów, którzy pokonali tę trasę przed nią.

Biegła w miejscach, gdzie było to możliwe, i szła tam, gdzie bieg stawał się zbyt trudny. Słońce wznosiło się coraz wyżej i niebawem miało się znaleźć w niebezpiecznym zenicie. Celaena wspięła się na wydmy i zeszła na dół. Robiła krok za krokiem. Przed oczami migotały jej czerwone plamki, a w głowie huczało.

Czerwony piasek migotał. Zabójczyni zarzuciła ręce na drąg. Jej usta zaczęły pękać, a język stał się kawałkiem ołowiu.

Z każdym krokiem odzywał się ból głowy, a słońce wznosiło się na niebie coraz wyżej...

„Jeszcze jedna wydma. Jeszcze tylko jedna wydma...”.

Tymczasem pokonała ich już tak wiele, a końca nie było widać. Brnęła z trudem przed siebie po śladach widocznych w piasku. A może omyłkowo podążała za niewłaściwą grupą?

Ledwie sformułowała tę myśl, gdy na wydmie przed nią pokazali się pierwsi zabójcy zmierzający z powrotem w stronę fortecy. W ich wiadrach nadal było mnóstwo wody.

Celaena zadarła wysoko głowę, gdy ją mijali, ale nie spojrzała żadnemu w oczy. Wielu z nich zresztą nawet nie zwróciło na nią uwagi, choć kilku omiotło ją współczującym spojrzeniem. Ich ubrania były mokre.

Wspięła się na wydnię tak stromą, że musiała pomagać sobie ręką, a gdy już miała zapaść się po kolana w piasku na szczycie, usłyszała plusk.

Niewielka oaza składająca się z drzew oraz sporego jeziora zasilanego przez migotliwy strumień znajdowała się w odległości zaledwie dwustu metrów.

Była Zabójczynią Adarlanu. Przynajmniej udało jej się pokonać połowę drogi.

Wielu adeptów pluskało się, kąpało lub po prostu schładzało nad brzegiem jeziora. Nikt się nie odzywał, a nieliczni, którzy musieli się porozumieć, wykorzystywali język gestów. Było to więc jedno z owych Absolutnie Cichych Miejsc. Dziewczyna dostrzegła Ansel, która stała po kostki w wodzie i wrzucała sobie daktyle do ust. Nikt nie zwrócił uwagi na Celaenę, a ta po raz pierwszy w życiu ucieszyła się z tego. Być może powinna była złamać nakazy Arobynna i przedstawić się zmyślnym imieniem.

Ansel dostrzegła ją i pomachała do niej ręką.

„Jeśli usłyszę choć słowo o tym, że jestem powolna...”.

Na szczęście dziewczyna podała jej tylko daktyla i nic nie powiedziała.

Celaena nie wzięła owocu. Usiłując opanować oddech, wchodziła coraz głębiej do chłodnej wody, aż całkiem się w niej zanurzyła.

W połowie drogi powrotnej do fortecy zabójczyni wypła zawartość jednego wiadra, a nim dotarła do wielkiej, rzucającej zbawczy cień

budowli z piaskowca, opróżniła drugie.

Podczas kolacji Ansel nawet nie wspomniała o tym, że powrót do twierdzy zajął nowej uczennicy mnóstwo czasu. Jasnowłosa adeptka poczekała bowiem w cieniu palm na nadejście popołudnia i przez cztery kilometry szła, zamiast biec. Dotarła do fortecy tuż przed zmierzchem. Cały dzień upłynął jej na „bieganiu”.

– Nie bądź taka ponura – szepnęła Ansel i nabrała na widelec odrobinę smakowitego, przyprawionego ryżu. Znów miała na sobie zbroję. – Wiesz, co się wydarzyło pierwszego dnia mojego pobytu w twierdzy?

Niektórzy zabójcy siedzący przy długim stole uśmiechnęli się ze zrozumieniem.

Ansel przełknęła ślinę i ułożyła ramiona na stole. Nawet na jej rękawicach starannie wygrawerowano motyw wilka.

– Podczas pierwszego biegu przewróciłam się i zemdlałam, nie pokonawszy nawet trzech kilometrów. Ilias znalazł mnie w drodze powrotnej i przytasczył do twierdzy. Niósł mnie jak dziecko, wyobrażasz sobie?

Ilias spojrzał Cellaenie w oczy i uśmiechnął się.

– Gdybym nie była tak bliska śmierci, zapewne zemdlałabym z wrażenia – zakończyła Ansel, a pozostali uśmiechnęli się szeroko. Kilku nawet zaśmiało się bezgłośnie.

Cellaena uświadomiła sobie zainteresowanie Iliasa i zarumieniła się. Napila się cytrynowej wody. Kolacja trwała, a rumieniec nie znikał, gdyż milczący zabójca nieprzerwanie obrzucał ją spojrzeniami.

Jego zainteresowanie z początku jej schlebiało, ale potem przypomniała sobie swój beznadziejny przemarsz przez pustynię oraz to, że nie udało jej się potrenować z Mistrzem. Jej zadowolenie z siebie zgasło.

Nie spuszczała oka z Mistrza, który spożywał kolację w samym środku pomieszczenia, bezpieczny wśród szeregów śmiertelnie groźnych zabójców. Siedział przy stole akolitów. Szeroko otwarte oczy młodzieńców zdradzały, że jego towarzystwo jest dla nich całkowicie nieoczekiwaną niespodzianką.

Cellaena czekała bez końca, aż mężczyzna skończy jeść i wstanie. Gdy się wreszcie podniósł, siląc się na swobodę, również zakończyła posiłek, życzyła wszystkim dobrej nocy i ruszyła ku wyjściu.

Odwróciwszy się, zauważyła, że Mikhail ujął pod stołem dłoń Ansel.

Dogoniła mentora, gdy ten wychodził z jadalni. Mieszkańcy fortecy nadal zajęci byli posiłkiem i oświetlone pochodniami korytarze świeciły pustkami. Dziewczyna stawiała głośno kroki, nie mając pewności, czy Mistrz doceniłby jej próby zachowania ciszy. Nie wiedziała też, w jaki sposób ma się do niego zwracać.

Mężczyzna zatrzymał się z szelestem białych szat i uśmiechnął się do niej lekko. Z bliska widziała jego podobieństwo do syna. Zauważyła również bladą obwódkę wokół jednego z palców – być może kiedyś nosił na nim obrączkę ślubną. Kim była matka Iliasa?

Oczywiście nie był to odpowiedni moment na takie pytania. Ansel kazała jej wyrzucić na Mistrzu jak najlepsze wrażenie. Miał uznać, że przybyszka naprawdę chce przebywać w fortecy. Być może milczenie było dobrym sposobem, ale w jaki sposób miała przekazać to, co chciała mu powiedzieć? Uśmiechnęła się najszerzej, jak umiała, choć jej serce biło jak szalone, a potem wykonała serię gestów. Usiłowała przedstawić swój bieg z wiadrami, a później zaczęła kręcić głową i marszczyć czoło, mając nadzieję, że mężczyzna odczyta to jako: „Przybyłam tu, aby ćwiczyć z tobą, a nie z innymi”.

Mistrz pokiwał głową, jakby o wszystkim wiedział. Celaena przełknęła ślinę. W ustach nadal czuła smak przypraw, które dodawano tu do jedzenia. Wskazała kilkakrotnie siebie i jego, a potem podeszła o krok bliżej, aby przekazać mu, że chce pracować tylko i wyłącznie z nim. Mogła okazać więcej emocji, mogła pozwolić, aby jej temperament i wyczerpanie wreszcie wzięły górę, ale... Ale musiała pamiętać o tym przeklętym liście!

Mężczyzna pokręcił głową.

Celaena zacisnęła mocno zęby i raz jeszcze wskazała jego i siebie.

Mistrz ponownie pokręcił głową i uniósł obie dłonie, jakby kazał jej zwolnić i czekać. Miała czekać, aż zacznie z nią trenować.

Powtórzyła jego gest i uniosła brew, jakby chciała powiedzieć: „Mam czekać na ciebie?”.

Pokiwał głową.

„Jak mam, u licha, spytać go, jak długo?”.

Rozłożyła dłonie w błagalnym geście, usiłując pokazać zagubienie, choć nie udało jej się do końca zamaskować irytacji. Przecież miała tu spędzić zaledwie miesiąc. Jak długo będzie musiała czekać?

Mistrz dobrze ją zrozumiał i wzruszył ramionami. Był to irytująco codzienny gest i Celaena zacisnęła zęby. A więc Ansel miała rację. Musiała czekać, aż po nią pośle. Mężczyzna obdarzył ją kolejnym uśmiechem i odwrócił się na pięcie, aby odejść. Zrobiła krok w jego kierunku, gotowa błagać, krzyżeć, zrobić cokolwiek, ale wtedy ktoś złapał ją za ramię.

Odwróciła się, odruchowo sięgając po sztylet, lecz wówczas ujrzała morską zieleń oczu Iliasa.

Pokręcił głową, patrząc to na plecy Mistrza, to na nią. Zabraniał jej iść za ojcem.

A więc może zainteresowanie Iliasa nie brało się z podziwu? Może po prostu jej nie ufał? Zresztą dlaczego miałyby być inaczej? Niełatwo jest darzyć zaufaniem kogoś z jej reputacją. Zapewne wyszedł w ślad za nią, gdy zauważył, że podąża za jego ojcem. Gdyby ich role się odwróciły i Ilias składałby wizytę w Rifthold, nigdy w życiu nie zostawiłaby go sam na sam z Arobynnem.

– Nie chcę go skrzywdzić – powiedziała łagodnym głosem, ale Ilias uśmiechnął się tylko lekko i uniósł brew, jakby pytał, czy można winić go za to, że próbuje osłonić swego ojca.

Powoli uwolnił jej ramię. Nie miał przy sobie broni, ale dziewczyna odniosła wrażenie, że jej nie potrzebuje. Był wysoki, wyższy nawet od Sama, barczysty, potężnie zbudowany, ale nie ociężały. Uśmiechnął się szerzej, wyciągając ku niej dłoń w geście powitania.

– Tak – rzekła, próbując opanować własny uśmiech. – Chyba nie przedstawiliśmy się sobie jak należy.

Ilias pokiwał głową i położył dłoń na sercu. Jego ręka upstrzona była niewielkimi wąskimi bliznami, które zdradzały, że przez długie lata trenował posługiwanie się ostrzami.

– Ty jesteś Ilias, a ja Celaena – rzekła dziewczyna i również ułożyła dłoń na piersi, a potem ujęła jego rękę i uścisnęła ją. – Miło mi cię poznać.

Jego oczy lśniły żywo w blasku pochodni, a dłoń była mocna i ciepła. Wypuściła jego palce z uścisku. Syn Niemego Mistrza i protegowana Króla Zabójców. Dziewczyna naraz uświadomiła sobie, że Ilias był jedynym człowiekiem w całej fortecy w czymkolwiek do niej podobnym. Jej królestwem było Rifthold, a Ilias rządził tutaj. Sposób poruszania się i spojrzenia jego towarzyszy, w których widziała

podziw i szacunek, zdradzały, że czuje się w fortecy swobodnie, zupełnie jakby powstała dla niego, a on nigdy nie musiał zastanawiać się, gdzie jest jego miejsce. Zabójczyni poczuła w sercu osobliwy rodzaj zazdrości.

Długie ciemne palce Iliasa niespodziewanie wykonały serię znaków, ale Celaena zaśmiała się cicho i mruknęła:

– Nie mam pojęcia, co chcesz mi powiedzieć.

Ilias spojrzał ku niebu i westchnął przez nos. Uniósł dłonie w powietrze, udając przegraną, a potem poklepał dziewczynę po ramieniu i podążył za ojcem, który zniknął już w korytarzu.

Droga do jej pokoju wiodła w przeciwnym kierunku, ale Celaena była przekonana, że syn Niemego Mistrza przez cały czas ją obserwuje, chcąc się upewnić, iż nie będzie próbować dotrzeć do jego ojca.

„Nie musisz się przejmować” – chciała zawołać przez ramię. Przecież nie była w stanie przebiec marnych dziesięciu kilometrów przez pustynię.

Wracając do kwatery, Celaena miała złe przeczucie, że jej tytuł Zabójczyni Adarlanu w takim miejscu nie ma większego znaczenia.

Tej samej nocy, gdy wraz z Ansel leżały już w łóżkach, w ciemnościach rozległ się szept jej towarzyszek:

– Jutro pójdzie ci lepiej. Nawet jeśli przebiegniesz tylko kawałek dalej, i tak będzie to postęp.

Łatwo jej było mówić. Ansel nie musiała dbać o opinię. Nie cieszyła się reputacją, która lada moment mogła prysnąć niczym bańka mydlana. Celaena wpatrywała się w sufit i niespodziewanie poczuła tęsknotę za domem. Żałowała, że nie ma z nią Sama. Gdyby tu był, ponieśliby porażkę we dwoje.

– A więc – powiedziała niespodziewanie, chcąc odciąć się od wszelkich przemyśleń, a zwłaszcza od tych na temat Sama. – Ty i Mikhail...

– Czy to aż tak oczywiste? – Ansel jęknęła. – Choć z drugiej strony raczej nie próbujemy tego ukryć. Cóż, może ja próbuję, ale Mikhail się nie stara. Nieźle się wkurzył, gdy się dowiedział, że nie mieszkam już sama.

– Od dawna jesteście razem?

Ansel milczała przez moment, a potem odpowiedziała:

– Odkąd skończyłam piętnaście lat.

Piętnaście! Mikhail miał dwadzieścia parę lat, a więc nawet jeśli ich związek zaczął się prawie trzy lata temu, nadal był o wiele od niej starszy. Celaena poczuła się niewyraźnie.

– Dziewczyny z Płaskich Krain wychodzą za mąż, gdy mają czternaście lat – dodała Ansel.

Zabójczyni aż się zakrztusiła. Nie mieściło jej się w głowie, że jako czternastolatka mogłaby zostać czyjąś żoną, a wkrótce po tym matką. Jej jedyną reakcją było krótkie: „Och!”.

W pokoju zapadło milczenie i Ansel wkrótce zasnęła. Celaena, nie mając nic innego do roboty, znów zaczęła myśleć o Samie. Upłynęło wiele tygodni, a ona wciąż nie wiedziała, jakim cudem się do niego tak przywiązała, co krzyczał, gdy Arobynn ją bił, i dlaczego ich mistrz uznał, że będzie potrzebował aż trzech zahartowanych zabójców, aby go powstrzymać.

## Rozdział czwarty

Celaena niechętnie to przyznawała, ale Ansel miała rację. Następnego dnia zabójczyni przebiegła dłuższy dystans. Pokonywana przez nią odległość z każdą kolejną próbą powiększała się, ale codzienny bieg do oazy zabierał jej tyle czasu, że nie była w stanie rozglądać się za Mistrzem. Choć z drugiej strony nie miała też prawa tego robić. Przecież to on miał po nią posłać. Jakby była byle służącą!

Udało jej się wygospodarować trochę czasu, aby po południu wziąć udział w ćwiczeniach wraz z Ansel, ale niewiele się tam nauczyła. Kilku starszych zabójców ustawiło odpowiednio jej dłonie oraz stopy i poprawiło postawę klepnięciami w brzuch i plecy. Czasami na treningach pojawiał się Ilias. Nigdy nie ćwiczył tuż przy niej, ale zawsze na tyle blisko, aby wiedziała, że jego obecność nie jest przypadkowa.

Podobnie jak Zabójcy Adarlanu, Milczący Zabójcy nie słynęli z żadnej konkretnej umiejętności. Wyróżniała ich tylko sztuka bezszelestnego poruszania się. Korzystali z mniej więcej tych samych rodzajów broni co ich towarzysze z Północy, choć ich łuki oraz ostrza różniły się nieco długością i kształtem. Obserwując milczących adeptów, Celaena dochodziła do wniosku, że w ich postępowaniu było też o wiele mniej okrucieństwa.

Arobynn preferował bezwzględność. Od najmłodszych lat nakłaniał ją i Sama do rywalizacji i wykorzystywania cudzych słabości w walce. Wpoił Celaenie przekonanie, że wszyscy poza nim i Benem są jej potencjalnymi wrogami. Mogła ich postrzegać jako sojuszników, lecz także przeciwników, których nie wolno było spuścić z oczu. Za żadną cenę nie powinna zdradzić przed nimi swych słabych punktów. Arobynn nagradzał brutalność i promował wykształcenie oraz kulturę. Wiedział, że słowa mogą okazać się równie groźne, jak stal.

Ale Milczący Zabójcy... Oni również mordowali ludzi, ale przy tym uczyli się od siebie i chętnie dzielili się wiedzą. Starsi wojownicy uśmiechali się, ucząc akolitów, a zahartowani zabójcy przekazywali sobie nawzajem techniki. Choć wszyscy byli rywalami, Celaena



odkryła, że łączy ich jakaś niewidzialna więź. Coś sprawiło, że ściągnęli do tego miejsca ze wszystkich krain na świecie. Zauważyła też, że wielu z nich było niemowami od urodzenia. Każdy krył w sobie wiele tajemnic, zupełnie jakby gdzieś w twierdzy znajdowały się odpowiedzi, których szukali.

Milczący Zabójcy poprawiali jej postawę i uczyli nowych sposobów kontrolowania oddechu, ale dziewczynę wciąż przepełniała irytacja, którą za wszelką cenę próbowała ukryć. Jej wiedza była ogromna – nie od parady była Zabójczynią Adarlanu – ale potrzebowała pochwalnego listu jako dowodu na szkolenie, które przeszła. Ćwiczący z nią zabójcy mogli jednak w każdej chwili zostać wezwani przez Niemego Mistrza w celu przedstawienia opinii na jej temat. Istniała też szansa, że jeśli da z siebie wszystko na treningach, Mistrz zwróci na nią uwagę.

Zdobędzie ten list. Nawet jeśli będzie musiała trzymać sztylet przy gardle mężczyzny, gdy ten będzie go pisał.

Lord Berick zaatakował piątego dnia jej pobytu w twierdzy, po zachodzie słońca. To była bezksiężycowa noc i Celaena nie miała pojęcia, w jaki sposób Milczący Zabójcy dostrzegli oddział złożony z około trzydziestu żołnierzy, skradający się wśród ciemnych wydm. Mikhail wpadł do ich pokoju i szeptem nakazał, aby udały się na mury. Dziewczyna miała nadzieję, że to kolejna sposobność, żeby wykazać się przed Mistrzem – do końca pobytu zostały tylko trzy tygodnie i dwa dni i powoli kończyły jej się pomysły. Niestety, Mistrz nawet nie pojawił się na murach, brakowało też wielu zabójców. Celaena podsłuchiwała rozmowę dwóch kobiet, z których jedna pytała, skąd Berick wiedział, że tej nocy fortecę opuści tak wielu konfratrów eskortujących zagranicznych emisariuszy do najbliższego portu. Trudno było uwierzyć w to, że atak był jedynie zbiegiem okoliczności.

Dziewczyna zastygła na parapecie, nałożyła strzałę na cięciwę i wyjrzała przez jeden z krenelaży. Ansel, która kuciała obok niej, również się wychyliła. Zabójcy kryli się wśród cieni na całej długości muru, wszyscy odziani w czerń i uzbrojeni w łuki. W samym centrum czuwał Ilias. Jego dłonie poruszały się żywo, gdy przekazywał rozkazy. Celaena miała wrażenie, że jest to język znaków stosowany przez żołnierzy, a nie gesty, którymi przedstawiało się mowę wspólną.

– Przygotuj strzałę – mruknęła Ansel i zanurzyła owiniętą

materiałem grot w niewielkiej miseczce oleju. – Gdy Ilias da sygnał, zapal ją od pochodni i strzelaj najszybciej, jak się da. Celuj w szczyt wydmy tuż przed żołnierzami.

Celaena zerknęła w ciemności czające się na zewnątrz fortecy. Gasząc pochodnie na murach, obrońcy zdradziliby, że wiedzą o napastnikach, a więc płonęły dalej, prawie uniemożliwiając celowanie. Mimo to na tle rozgwieżdżonego nieba widać było wrogie sylwetki. Około trzydziestu żołnierzy leżało na brzuchu w gotowości do działania. Co planowali? Chcieli napaść na zabójców, wymordować ich we śnie, spalić ich fortecę?

– Nie zabijemy ich? – odszepnęła Celaena.

Zważyła broń w dłoni. Łuki Milczących Zabójców były inne – krótsze, grubsze, trudniejsze do napięcia.

Ansel pokręciła głową i spojrzała na Iliasa.

– Nie, choć bardzo tego żałuję.

Celaenie nie spodobała się swoboda, z jaką jej towarzyszka wypowiedziała te słowa, ale dziewczyna ciągnęła:

– Nie możemy rozpętać otwartej wojny z lordem Berickiem. Musimy tylko wystraszyć tych ludzi. Mikhail i Ilias w zeszłym tygodniu zastawili tam pułapkę. Przeciągnęli wzdłuż szczytu wydmy linę, której koniec zanurzono w korycie z ropą.

Celaena zaczynała rozumieć, na co się zanosi. Umoczyła koniec strzały w naczyniu i starannie nasączyła szmatkę owijającą grot.

– Wzniesiemy wielką ścianę ognia – powiedziała i przyjrzała się szczytowi wydmy.

– Żebyś wiedziała. Otoczy całą fortecę! – Ansel wyprostowała się.

Celaena spojrzała przez ramię i ujrzała rękę Iliasa opadającą niczym maczeta.

Dziewczyny zerwały się błyskawicznie. Ansel zanurzyła grot w płomieniu pochodni na moment przed Celaeną i jako pierwsza wpadła na mury. Była szybka jak błyskawica.

Celaena niemalże upuściła łuk, gdy przesunęła strzałę nad płomieniami i poparzyła sobie palce. Ludzie lorda Bericka zaczęli krzyczeć. Przez trzask zapalanych grotów przebił się brzęk cięciw. Wróg rozpoczął ostrzał.

Zabójczyni była już jednak na murze. Napięła łuk tak mocno, że płonąca strzała znów poparzyła ją w rękę. Puściła cięciwę.

Pociski pomknęły w górę niczym lawica spadających gwiazd, coraz wyżej i wyżej, aż zaczęły opadać. Celaena jednakże nie miała okazji przyjrzeć się ścianie ognia, która eksplodowała między żołnierzami a fortem, gdyż szybko schowała się za murem i przycisnęła dłonie do uszu. Ansel obok niej zrobiła to samo.

Świat zalał blask bijący od ściany ognia, a ryk płomieni zagłuszył wrzaski ludzi Bericka. Z nieba spadły czarne strzały, odbijając się od kamieni muru. Dwóch lub trzech zabójców stęknęło, powstrzymując okrzyk bólu, ale Celaena nie podnosiła głowy i wstrzymywała oddech do chwili, gdy spadł ostatni wrogi pocisk.

Gdy nie było już słyhać nic poza stłumionymi jękami rannych i trzaskiem płomieni, zabójczyni ośmieliła się spojrzeć na Ansel. Oczy dziewczyny błyszczały.

– No – szepnęła. – Niezła zabawa, co?

Celaena wyszczerzyła zęby. Jej serce biło jak oszalałe.

– Tak! – odrzekła. Odwróciła się i ujrzała ludzi lorda Bericka, uciekających przez pustynię. – Nie da się ukryć.

Przed świtem, gdy dziewczyny wróciły już do pokoju, rozległo się ciche pukanie. Ansel zerwała się na równe nogi i uchyliła drzwi. Celaena dostrzegła, że w progu stał Mikhail, który wręczył jej towarzysze zapieczętowany pergamin.

– Masz udać się dziś do Xandrii i oddać mu to – powiedział.

Celaena ujrzała, że Ansel napięła mięśnie.

– Rozkaz Mistrza – dodał posłaniec.

Zabójczyni nie widziała twarzy dziewczyny, gdy ta przytakiwała, ale mogłaby przysiąc, że Mikhail musnął jej policzek przed odejściem. Ansel odetchnęła głęboko i zamknęła drzwi. W blasku wstającego dnia Celaena ujrzała, że jej współlokatorka trze oczy, aby się obudzić.

– Wybierzesz się ze mną?

Zabójczyni Adarlanu podniosła się na łokciach.

– Xandria leży dwa dni drogi stąd, prawda?

– Tak. Dwa dni drogi przez pustynię, gdzie można rozmawiać jedynie z samą sobą. Chyba że wolisz tu zostać, codziennie biegać i czekać niczym pies, aż Mistrz cię zauważy. Nasza wyprawa do Xandrii może pomóc mu w podjęciu decyzji. Z pewnością doceni to, że dokładasz wszelkich starań, aby twierdzy nie zagroziło niebezpieczeństwo.

Ansel mrugnęła do Celaeny, która przewróciła oczami.

Było to jednak logiczne rozumowanie. Czy istniał lepszy sposób na udowodnienie swojego oddania niż poświęcenie czterech dni cennego czasu na pomoc Milczącym Zabójcom? Podejmowała spore ryzyko, ale... ale misja wymagała sporej śmiałości i niewykluczone, że to przyciągnie uwagę Mistrza.

– A co będziemy robić w Xandrii?

– Tego dowiesz się niebawem.

Czerwonobrazowe oczy Ansel migotały łobuzersko. Celaena nie miała pojęcia, co czeka je na miejscu.

## Rozdział piąty

Celaena leżała na płaszczu, usiłując wyobrazić sobie, że piasek pod nią to jej miękki materac z Rifthold i że nie zagrażają jej żadne żywyoty czające się w sercu pustyni. Ostatnią rzeczą, o której marzyła, była pobudka ze skorpionem we włosach. Lub czymś jeszcze gorszym.

Przewróciła się na bok i wtuliła twarz w zagłębienie ramienia.

Celaena powstrzymała warknięcie. Przez cały dzień brnęły przez piaski. Zatrzymały się jedynie w południe, aby się przespać pod płaszczami i uniknąć morderczego żaru.

Obiad składający się z daktyli i chleba nie zaspokoił jej głodu, ale Ansel uparła się, żeby zabrały minimum bagażu. Powiedziała, że kupią więcej jedzenia po przybyciu na miejsce następnego dnia po południu. Celaena zaczęła narzekać, ale dziewczyna przerwała jej i kazała się cieszyć, że nie nadszedł jeszcze sezon burz piaskowych.

– Mam piasek dosłownie wszędzie – mruknęła Celaena i poruszyła się gwałtownie, gdy poczuła ziarenka ocierające się o jej ciało. Jak to możliwe, że piasek dostał się pod ubranie? Jej biała tunika oraz spodnie składały się z tylu warstw, że nie mogła nawet wymacać własnej skóry.

– Jesteś pewna, że nazywasz się Celaena Sardothien? Nie mogę uwierzyć, że tak narzekasz! Myślałam, że Celaena jest twardszą sztuką.

– J e s t e m twardą sztuką – powiedziała zabójczyni w ciemność. Jej słowa pochłonęły wydmy wznoszące się wokół. – Co nie oznacza, że niewygodny sprawiają mi przyjemność. Nie dziwi mnie jednak, że ktoś z Zachodnich Pustkowi uznaje je za luksus.

– A żebyś wiedziała. – Ansel zachichotała.

Celaena porzuciła drwiny, gdy poczuła nagłe zainteresowanie tematem.

– Czy twoje ojczyste ziemie w istocie są przeklęte, jak ludzie mówią?

– Cóż, Płaskie Krainy należały kiedyś do Wiedźmiego Królestwa. Przypuszczam, że na swój sposób są przeklęte. – Ansel westchnęła ciężko. – Pięćset lat temu, gdy rządziły tam Królowe Crochan, była to

niezwykle piękna kraina. Cóż, w każdym razie takie wrażenie sprawiają ruiny, od których aż się tam roi. Niemniej jednak trzy Klany Żelaznozębnych obaliły dynastię Crochan i wszystko zniszczyły.

– Żelaznozębnych?

Ansel syknęła cicho.

– Niektóre wiemy, jak te z dynastii Crochan, obdarzone były niezwykłą urodą, ale członkinie Klanów Żelaznozębnych miały za to żelazne zęby, ostre jak u ryby, choć o wiele groźniejsze były ich pazury, dzięki którym mogły cię wypatroszyć jednym cięciem.

Po plecach Celaeny przeszedł zimny dreszcz.

– Legenda głosi, że gdy Klany Żelaznozębnych obróciły królestwo w perzynę, ostatnia Królowa Crochan rzuciła czar, który nastawił krainę przeciwko wszystkim sługom Klanów. Ziemie przestały dawać plony, zwierzęta marniały i zdychały, a rzeki zamulały się. Teraz jest na szczęście inaczej. Kraina na powrót stała się żyzna po tym, jak Żelaznozębni powędrowali na wschód. Ku twojej ojczyźnie.

– A... a czy kiedykolwiek widziałas któregoś z tych Żelaznozębnych?

Ansel milczała przez moment, a potem powiedziała:

– Tak.

Celaena odwróciła się ku niej i podparła głowę dłonią.

Tymczasem Ansel ciągnęła dalej swą opowieść, wpatrując się w niebo:

– Gdy miałam osiem lat, a moja siostra jedenaście, wraz z naszą przyjaciółką Maddy wymknęłyśmy się z zamku. Kilka kilometrów dalej wznosiło się wysokie wzgórze, a na nim tkwiła samotna wieża strażnicza. Jej góra została zniszczona podczas wojen między wiedźmami, ale główna część była nietknięta. U dołu znajdowało się przejście ze sklepieniem łukowym, przez które było widać drugą część wzgórza. Jeden z chłopców stajennych powiedział mojej siostrze, że gdy spojrzy się przez owo przejście w noc przesilenia letniego, można wejrzeć w głąb innego świata.

Celaena poczuła, że włos jeży jej się na głowie.

– Weszłaś do środka?

– Nie – rzuciła Ansel. – Dotarłam prawie na szczyt wzgórza, ale byłam zbyt przerażona, aby podejść do wieży. Schowałam się za kamieniem, a moja siostra i Maddy poszły dalej same. Nie pamiętam, jak długo na nie czekałam, gdy nagle usłyszałam wrzaski. Nadbiegła

moja siostra. Złapała mnie za ramię i popędziłyśmy obie przed siebie. Dopiero gdy dotarłyśmy do zamku, dowiedziałam się, co się wydarzyło. Obie znalazły się w przejściu i ujrzały tam otwarte drzwi prowadzące do wnętrza wieży. W ciemnościach stała jednak staruszka z metalowymi zębami, która złapała Maddy i wciągnęła ją w górę po schodach.

Celaena aż się zachłysnęła.

– Maddy zaczęła wrzeszczeć, a moja siostra rzuciła się do ucieczki. W zamku opowiedziała o wszystkim ojcu i jego ludziom. Ci popędzili z odsieczą i przybyli na miejsce o świcie, ale nie znaleźli Maddy ani owej staruszki.

– Zginęła? – spytała szeptem Celaena.

– Znaleźli jednak coś – dodała cicho Ansel. – Przeszukali całą wieżę i na jednym z pięter odkryli dziecięce kości, białe jak śnieg i oskrobane do czysta.

– Na bogów...

– Ojciec sprzął nas później na kwaśne jabłko i przez sześć miesięcy tyrałyśmy w kuchni, ale wiedział, że dla mojej siostry największą karą będzie poczucie winy. Nigdy nie pozbyła się już tego dziwnego błysku w oczach, przez który wyglądała jak nawiedzona.

Celaena wzdrygnęła się.

– No to teraz na pewno nie zmrużę już oka.

– Nie martw się. – Ansel zaśmiała się i usiadła na swoim płaszczu. – Zdradzę ci cenny sekret. Jedynym sposobem na zabicie więdźmy jest odcięcie jej głowy. Poza tym nie wydaje mi się, aby Żelaznozębna miała jakiegokolwiek szanse w walce z nami.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – mruknęła Celaena.

– Oczywiście, że się nie mylę – rzekła Ansel. – Słyną z okrucieństwa, ale nie są niepokonane. Gdybym miała własną armię... Ba, gdybym miała dwudziestu Milczących Zabójców, wytępiłabym je wszystkie. Nie miałyby cienia szansy! – Uderzyła mocno pięścią w piasek. – Wiesz, ci zabójcy siedzą tu od wieków, ale czym oni się właściwie zajmują? Płaskie Krainy naprawdę by skorzystały, gdyby broniła ich armia zabójców! Ale ci siedzą w swojej oazie, cisi i zadumani, i od czasu do czasu sprzedają się jak dziwki obcym dworom. Gdybym to ja była Mistrzem, wykorzystałabym nasz potencjał, aby osiągnąć wielkość! Aby zdobyć chwałę! Chronilibyśmy

każde bezbronne królestwo!

– Jakie to szlachetne z twojej strony – rzekła Celaena. – Ansel z Briarcliff, obrońcy Królestwa!

Ansel tylko się zaśmiała i wkrótce zasnęła.

Celaena jednakże broniła się jeszcze jakiś czas przed snem. Nie potrafiła wyrzucić z umysłu wyobrażeń o tym, co wiedźma zrobiła z Maddy, gdy zaciągnęła ją w głąb wieży.

W Xandrii trwał dzień targowy i choć miasto od dawna obłożone było embargiem Adarlanu, wydawało się, że na ulicach aż roi się od handlarzy ze wszystkich królestw na kontynencie i nie tylko. Oferowali swe towary dosłownie wszędzie w tym niewielkim portowym mieście. Celaena widziała dokoła siebie przyprawy, klejnoty, ubrania i jedzenie. Część towarów sprzedawana była prosto z pomalowanych na jaskrawe kolory wozów, a inne rozkładano na kocach w zacienionych alkowach. Nic nie wskazywało na to, aby ktokolwiek wiedział o niefortunnym ataku na Milczących Zabójców dwie noce temu.

Zabójczynie trzymała się blisko Ansel. Czerwonowłosa dziewczyna przedzierała się przez tłum z nieświadomą gracją, której Celaena zazdrościła jej wbrew sobie. Ludzie wpadali na nią, zastępowali jej drogę bądź przeklinali za to, że pałęta im się pod nogami, ale ona nie traciła rezonu, a łobuzerski uśmiech na jej twarzy stawał się coraz szerszy. Wielu przechodniów zatrzymywało się i podziwiała jej czerwone włosy i oczy tej samej barwy, ale Ansel nie zwalniała. Przyciągała spojrzenia także bez zbroi. Celaena nie próbowała nawet myśleć o tym, jak niewielu ludzi zwracało na nią uwagę.

Panował upał i wielki ścisk. Zabójczynie Adarlanu była złana potem, gdy Ansel zatrzymała się na skraju suku.

– To potrwa kilka godzin – powiedziała i machnęła długą wypiełgnowaną dłonią w kierunku pałacu z piaskowca górującego nad tym niewielkim miastem. – Ten stary nudziarz gada bez końca. Może zrobisz jakieś zakupy?

– To ja nie wybieram się z tobą? – Celaena wyprostowała się.

– Do pałacu Bericka? Oczywiście, że nie. Przecież reprezentuję interesy Mistrza.

Zabójczynie poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Ansel klepnęła ją w ramię.



– Wierz mi, wolałabym spędzić ten dzień na suku, niż czekać w stajniach wśród ludzi Bericka przyglądających mi się lubieżnie. W przeciwieństwie do nas – uśmiechnęła się szeroko – ci nie mają stałego dostępu do łaźni.

Mówiąc te słowa, nie spuszczała wzroku z pałacu wznoszącego się w odległości paru przecznic. Czy denerwowała się, że się spóźni? A może bała się stawić Berickowi czoła w imieniu Mistrza? Wreszcie strzepnęła ostatnie okruchy czerwonego piasku z białego stroju i rzekła:

– Spotkajmy się przy tej fontannie o trzeciej. Spróbuj nie ściągnąć na siebie zbyt dużych problemów, dobrze?

Z tymi słowami zniknęła w tłumie. Jej czerwone włosy lśniły niczym rozżarzone węgle. Celaena zastanawiała się, czy nie udać się w ślad za nią. Była co prawda kimś z zewnątrz, ale czy przebyła całą tę drogę tylko po to, aby siedzieć teraz na ulicy? Cóż takiego miało być omawiane na tym spotkaniu, że nie wolno było jej w nim uczestniczyć? Zrobiła krok w stronę pałacu, ale przechodnie zaczęli ją trącać i szturchać, a z kramu jakiegoś handlarza zapachniało niebiańsko. Celaena złapała się na tym, że woli jednak iść za nosem.

Następne dwie godziny upłynęły jej na przyglądaniu się straganom. Była wściekła, że nie zabrała ze sobą więcej pieniędzy. W Rifthold miała otwarty rachunek we wszystkich ulubionych sklepach i nigdy nie musiała nosić ze sobą wielkich funduszy, nie licząc miedziaków i srebrników na łapówki i napiwki. A tutaj... Sakiewka ze srebrem, którą wzięła, stawała się coraz lżejsza.

Suk nie miał końca. Celaena szła po wijących się ulicach i uliczkach, schodziła po schodach i zagłębiała się w zasypane częściowo alejki, które zapewne wytyczono tysiące lat temu. Prastare drzwi otwierały się przed nią i zapraszały na niewielkie podwórza pełne handlarzy przyprawami. Innym razem wkraczała w zacienione dziedzińce, rozświetlone setkami lamp połyskujących niczym gwiazdy. Jak na miasto leżące na uboczu, Xandria tętniła życiem.

Celaena stała właśnie pod paskowaną markizą i przyglądała się towarom kupca z południowego kontynentu, zastanawiając się, czy stać ją na parę butów o zadartych czubkach oraz perfumy o zapachu lilii, które wyczuła w wozie pilnowanym przez białowłose panny. Dziewczęta utrzymywały, że były kapłankami Lani, bogini marzeń, a

także – jak się okazało – perfum. Musnęła szmaragdowy jedwab, którym obszyto delikatne buty. Jej palec wędrował wzdłuż noska, który zawijał się do środka. Takie obuwie bez wątpienia przyciągnęłoby uwagę w Rifthold. W całej stolicy nikt nie nosił takich cizemek, ale na brudnych ulicach miasta z łatwością by się zniszczyły.

Odstawiła je niechętnie, a sprzedawca uniósł brwi. Celaena pokręciła głową, a na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech. Mężczyzna podniósł siedem palców, pokazując, że spuszcza z ceny o jedną monetę. Zabójczyni przygryzła wargę.

– Sześć miedziaków?

Sprzedawca splunął na ziemię. Siedem. Nawet siedem było śmiesznie niską ceną.

Celaena rozejrzała się, a potem raz jeszcze spojrzała na piękne buty.

– Wróć po nie – skłamała, po czym obrzuciła je ostatnim, żalonym spojrzeniem i ruszyła w dalszą drogę.

Mężczyzna krzychał coś za nią w języku, którego nigdy dotąd nie słyszała, z pewnością proponując jej buty za sześć miedziaków, ale dziewczyna nadal szła przed siebie, choć wiele ją to kosztowało. Jej plecak i tak ważył wystarczająco dużo i buty stanowiłyby tylko dodatkowe obciążenie, nawet jeśli były śliczne, wyjątkowe i dość lekkie. Wzór, który wyszyto na całej ich długości, był delikatny i precyzyjny niczym wykaligrafowane zdanie... Przecież mogła je nosić pod dachem, a nie na ulicach, a wtedy...

Już miała się odwrócić i podejść do sprzedawcy, gdy dostrzegła coś lśniącego w cieniu pod rozporą łączącą budynki. Kilku wynajętych strażników otaczało wóz z plandeką, przed którym stał wysoki, szczupły mężczyzna i nachylał się nad stołem z towarami. Uwagi Celaeny nie przyciągnął jednakże ani ów mężczyzna, ani też wóz czy jego eskorta.

Zahipnotyzowało ją to, co znajdowało się na stole. Oszołomiona, wpatrywała się w towary i przeklinała w myślach brak pieniędzy.

Miała przed oczami pajęczy jedwab.

Słyszała wiele legend o czarnych pajakach rozmiarów koni, które żyły w lasach w Górach Ruhnn na Północy, gdzie rozpinały pajęczyny o ogromnej wartości. Niektórzy ludzie mówili, że oddawały przędzę w zamian za ludzkie mięso, inni utrzymywali, że pajaki ceniły sobie sny

oraz lata życia i przyjmowały jedno i drugie jako zapłatę. Ich nici były delikatne jak muślin, miłsze w dotyku od jedwabiu i mocniejsze od stali. Celaena zaś nigdy dotąd nie widziała ich w aż tak dużej ilości.

Pajęczy jedwab był tak wielką rzadkością, że jeśli ktoś chciał mieć go więcej, musiał zdobyć go samemu. Niemniej jednak widziała go teraz na własne oczy – metry surowej tkaniny, gotowej, aby coś z niej uszyć. Można by było za to kupić całe królestwo.

– Czy wiesz – odezwał się kupiec we wspólnej mowie na widok szeroko otwartych oczu Celaeny – że jesteś dziś pierwszą osobą, która w ogóle zdaje sobie sprawę, na co patrzy?

– Rozpoznałabym pajęczy jedwab, nawet gdybym była ślepa – odparła dziewczyna i podeszła do stołu, ale nie ośmieliła się dotknąć opalizującego materiału. – Co wy tu robicie? W Xandrii na pewno nie znajdziecie wielu nabywców.

Mężczyzna zachichotał. Był człowiekiem w średnim wieku. Miał krótko przycięte brązowe włosy i ciemnoniebieskie oczy, poważne i udręczone, choć w tej chwili lśniące rozbawieniem.

– Ja zaś mógłbym spytać, co dziewczyna z Północy porabia w Xandrii? – Zerknął na sztylety, które zabójczyni nosiła przy brązowym pasie zarzuconym na białe ubranie. – Nie dość, że z Północy, to jeszcze z tak piękną bronią.

Celaena uśmiechnęła się lekko.

– Masz bystre oko. Nic dziwnego, że sprzedajesz tak zacne towary.

– Robię, co mogę. – Handlarz zamarkował ukłon, a potem skinął, aby podeszła bliżej. – A więc, powiedz mi, dziewczyno z Północy, kiedy widziałas pajęczy jedwab?

Celaena zacisnęła pięści, aby opanować pokusę dotknięcia bezcennej tkaniny.

– Znałam pewną kurtyzanę w Rifthold, której szefowa miała chusteczkę z takiego jedwabiu. Podarował ją jej pewien niezmiernie bogaty klient.

Taka chusteczka kosztowała zapewne więcej, niż większość chłopów zarabiała przez całe życie.

– Królewski dar. Z pewnością była bardzo utalentowana.

– Nie zostaje się szefową najlepszego burdelu w Rifthold za piękne oczy.

Kupiec zaśmiał się cicho.

– Skoro więc utrzymujesz kontakty z najlepszymi kurtyzanami w Rifthold, cóż cię sprowadza na tę przeklętą pustynię na końcu świata?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– To i owo.

W półmroku pod markizą pajęczy jedwab połyskiwał niczym powierzchnia morza.

– Chciałabym się jednak dowiedzieć, jak tobie udało się zdobyć takie ilości tego towaru? Nabyłeś go czy sam znalazłeś czarne pająki?  
– spytała Celaena i musnęła palcem tkaninę.

– Sam się po niego udałem. Czy jeszcze chcesz coś wiedzieć? – Ciemnoniebieskie oczy kupca pomroczeniały. – W głębi Gór Ruhnn wszystko przypomina labirynt z mgieł i drzew. Poszukiwacz nie jest w stanie odnaleźć czarnych pająków. To one znajdują jego.

Celaena wepchnęła dłonie w kieszenie, aby opanować pragnienie dotknięcia pajęczego jedwabiu. Miała czyste palce, ale pod jej paznokciami nadal tkwiły ziarenka czerwonego piasku.

– A zatem co tu porabiasz?

– Statek, którym wracam na południowy kontynent, wyrusza dopiero za dwa dni, więc chciałem spróbować coś sprzedać. Xandria to może nie Rifthold, ale nigdy nie wiadomo, kto podejdzie do stoiska – odparł kupiec i mrugnął do niej. – Ile masz lat?

Dziewczyna zadarła głowę.

– Dwa tygodnie temu skończyłam siedemnaście.

Nigdy w życiu nie miała równie beznadziejnych urodzin! Była w połowie mozolnej wędrówki przez pustynię, a jej jedyne towarzystwo stanowił ów niesubordynowany przewodnik, który na wieść o urodzinach ograniczył się do poklepania jej po ramieniu. Tragedia.

– A więc nie jesteś wiele młodsza ode mnie – odparł kupiec.

Celaena zachichotała, ale urwała, gdy zauważyła, że na twarzy mężczyzny nie widać wesołości.

– A ty? Ile masz lat? – zapytała. Przecież ten człowiek musiał mieć przynajmniej czterdziestkę. Nie miała co do tego wątpliwości. Jego włosy były wolne od siwizny, ale skórę miał ogorzałą. Drgnęła więc, gdy powiedział:

– Dwadzieścia pięć. Wiem. Szokujące.

Pajęczy jedwab zafalował, uniesiony morską bryzą.

– Wszystko ma swoją cenę – ciągnął kupiec. – Oddałem dwadzieścia

lat życia za dwieście metrów pajęczego jedwabiu. Sądziłem, że odbiorą mi ostatnie lata, a nie całą młodość, ale zgodziłem się, nawet gdyby mnie ostrzegły.

Spojrzał na karawanę za swoimi plecami. Za taką ilość pajęczego jedwabiu mógł przeżyć resztę życia w dostatku.

– Dlaczego nie zabierzesz towaru do Rifthold?

– Bo widziałem już Rifthold. Byłem też w Orynth i Banjali. Chciałbym się dowiedzieć, co mogę dostać za dwieście metrów pajęczego jedwabiu za granicami imperium adarlańskiego.

– Czy możesz jakoś odzyskać utracone lata?

Kupiec machnął dłonią.

– Jadąc tutaj, okrążyłem góry od zachodu i spotkałem po drodze starą wiedźmę. Spytałem, czy może mi pomóc, a ona odrzekła, że to, co zostało oddane, jest już poza moim zasięgiem i tylko śmierć pająka, który pochłonął moje dwadzieścia lat, mogłaby mi je zwrócić. – Przyjrzał się dłoniom, na których wiek już odcisnął ślad. – Gdy dałem jej drugą monetę, zdradziła mi, że tylko wielki wojownik mógłby zgłodzić czarnego pająka. Największy wojownik na świecie. Choć zabójca z Północy być może również dałby mu radę.

– Skąd ty...

– Naprawdę sądzisz, że nikt nie wie o sessiz suikast? Czy istnieje jakiś inny powód, dla którego siedemnastoletnia dziewczyna uzbrojona w drogie sztylety włóczyłaby się tu bez eskorty? Tym bardziej dziewczyna, która obraca się w tak doborowym towarzystwie w Rifthold. Szpiegujesz dla lorda Bericka?

Celaena dołożyła wszelkich starań, aby ukryć zaskoczenie.

– Co takiego?

Kupiec wzdrygnął się i zerknął na pałac górujący nad miastem.

– Słyszałem od pewnego miejskiego strażnika o osobliwych stosunkach między Berickiem a niektórymi Milczącymi Zabójcami.

– Może – powiedziała wymijająco Celaena.

Kupiec pokiwał głową, straciwszy zainteresowanie tematem, ale dziewczyna postanowiła zapamiętać tę informację. Czy to możliwe, żeby niektórzy z Milczących Zabójców pracowali dla Bericka? Może dlatego Ansel tak nalegała, aby utrzymać spotkanie w tajemnicy. Może Mistrz nie chciał, żeby nazwiska ludzi podejrzewanych o zdradę wyszły na jaw.

– A więc? – spytał kupiec. – Odzyskasz moje utracone lata?

Celaena przygryzła wargę i myśli o szpiegach natychmiast umknęły. Podróż w głąb Gór Ruhn, aby zabić czarnego pająka? Cóż za wspaniała perspektywa! Bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak toczy walkę z ośmionogim potworem. No i więdźmy... Choć po wysłuchaniu opowieści Ansel spotkanie z więdźmą – zwłaszcza z Klanu Źelaznozębnych! – było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Przez ułamek sekundy żałowała, że nie ma przy niej Sama. Nawet gdyby powiedziała mu o tym spotkaniu, na pewno by jej nie uwierzył. Ale z drugiej strony, czy ktokolwiek jej w to uwierzył?

Kupiec ciągnął, jakby umiał czytać w jej myślach:

– Mogę sprawić, że zdobędziesz niewyobrażalne bogactwo.

– Już jestem bogata. I nie do wynajęcia przez najbliższych parę miesięcy.

– Ale ja i tak przynajmniej przez rok będę przebywał na południowym kontynencie – dodał mężczyzna.

Zabójczyni przyjrzała się twarzy handlarza i ujrzała błysk w jego oczach. Musiała na moment zapomnieć o chwale i przygodach. Człowiekowi, który oddał dwadzieścia lat życia za majątek, nie można było zaufać. Ale...

– Gdy znów zawitasz do Rifthold – powiedziała powoli – poszukaj Arobynna Hamela.

Mężczyzna otworzył szerzej oczy. Celaena była ciekawa, jak by zareagował na wieść o tym, kim ona jest.

– Arobynn będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć – dodała i odwróciła się od stołu.

– Ale ja nawet nie wiem, jak masz na imię!

Dziewczyna spojrzała przez ramię.

– Będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć – powtórzyła i ruszyła z powrotem w stronę stoiska z butami o wygiętych czubkach.

– Zaczekaj!

Zatrzymała się i ujrzała, że kupiec szuka czegoś wśród zwojów tuniki.

– Proszę – rzekł i postawił na stole zwykłe drewniane pudełko. – To dla ciebie. Żebyś nie zapomniała.

Celaena uchyliła wieko i aż zaparło jej dech w piersiach. W środku znajdował się kawałek pajęczego jedwabiu, nie większy niż piętnaście

centymetrów kwadratowych. Mogłaby kupić za niego dziesięć koni, ale nie sprzedałaby go za nic w świecie. Taki skarb przechodził w rodzinach z pokolenia na pokolenie, choć dziewczyna nie była w stanie sobie wyobrazić, że kiedykolwiek będzie miała dzieci.

– Żebym nie zapomniała o czym? – Celaena zatrzasnęła wieko i wsunęła szkatułkę do wewnętrznej kieszeni białej tuniki.

– O tym, że wszystko ma swą cenę. – Kupiec uśmiechnął się ze smutkiem.

Przez twarz dziewczyny przemknął grymas bólu.

– Wiem o tym – powiedziała i odeszła.

Skończyło się na tym, że kupiła buty, choć z trudem udało jej się przejść obok kapłanek sprzedających liliowe perfumy, które pachniały o wiele piękniej niż za pierwszym razem. Gdy miejscowe dzwony uderzyły trzy razy, usiadła na skraju fontanny, żując coś, co najprawdopodobniej było mieloną fasolą w ciepłej bułce. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Ansel spóźniła się piętnaście minut, ale nawet nie przeprosiła. Złapała towarzyszkę za rękę i pociągnęła ją przez wciąż zatłoczone uliczki. Jej piegowata twarz lśniła od potu.

– Co się dzieje? – spytała Celaena. – Coś się stało podczas spotkania?

– To nie twoja sprawa – odparła Ansel nieco cierpko, a potem dorzuciła: – Chodź za mną.

Niebawem obie przeskoczyły przez mur otaczający pałac Xandrii. Celaena domyśliła się, że lepiej nie zadawać żadnych pytań. Nie skierowały się w stronę głównego budynku, lecz zbliżyły się do stajni. Wyminęły wartowników i skryły się w cieniu.

– Mam nadzieję, że masz jakiś ważny powód – ostrzegła Celaena, gdy Ansel zbliżyła się do jednego z boksów.

– Och, mam, wierz mi – szepnęła dziewczyna i zatrzymała się przed jedną z furtek. Skinieniem zachęciła towarzyszkę, aby weszła do środka.

Celaena podeszła bliżej i zmarszczyła brwi.

– To przecież tylko koń – mruknęła, ale zrozumiała, że te słowa nie oddają prawdy.

– To koń z Asterionu! – odparła Ansel. Jej czerwonobrązowe oczy były szeroko otwarte.

Koń był czarny jak noc, a jego ciemne ślepia wwiercały się w oczy zabójczynie. Oczywiście nieraz słyszała o koniach z Asterionu, najstarszej rasie koni na Erilei. Wedle legend Fae stworzyły je z czterech wiatrów. Połączyły charakter i ducha wiatru północnego z siłą wiatru południowego, prędkością wschodniego i mądrością zachodniego. W ten sposób powstał wspaniały rumak o smukłym pysku i wysoko umieszczonym ogonie. Zabójczynie patrzyła właśnie na jednego z nich.

– Widziałaś kiedyś coś równie pięknego? – szepnęła Ansel. – Ma na imię Hisli.

Celaena pamiętała, że cenniejsze były asteriońskie klacze, gdyż konie dziedziczyły rodowód po matkach.

– Ten tu – Ansel wskazała kolejny boks – nosi imię Kasida. W języku ludu pustyni oznacza to: „ten, który pije wiatr”.

Imię to idealnie pasowało do Kasidy. Była to szczupła, pstrokata klacz z grzywą białą niczym piana morska i sierścią koloru chmury burzowej. Parskała i biła w ziemię przednimi kopytami, wpatrując się w Celaenę ślepiami, które wydawały się starsze od gór i wiatru. Dziewczyna pojęła nagle, dlaczego konie z Asterionu są warte swej wagi w złocie.

– Dotarły tu dzisiaj. Lord Berick nabył je od kupca zmierzającego do Banjali. – Ansel wślizgnęła się do boksu Hisli. Szeptala pieszczotliwie do klaczy, gładząc jej nozdrza. – Ma zamiar je wypróbować za jakieś pół godziny – dodała.

To by wyjaśniało fakt, że konie były osiodłane.

– No i? – szepnęła Celaena. Wyciągnęła dłoń, aby Kasida mogła ją powąchać. Klacz rozchyliła nozdrza z niechęcią, ale po chwili jej aksamitny nos połaskotał czubki palców zabójczynie.

– Później odda je w formie łapówki albo straci nimi zainteresowanie. Będą wówczas cierpieć zamknięte w stajni aż do śmierci. Lord Berick na ogół szybko nudzi się swymi zabawkami.

– Cóż za marnotrawstwo.

– W rzeczy samej – mruknęła Ansel.

Dziewczyna wciąż przebywała w boksie Hisli. Celaena zsunęła palce z pyska Kasidy i przechyliła się, aby sprawdzić, co robi jej towarzysza. Ansel gładziła czarny bok klaczy, a na jej twarzy malował się zachwyty.



Naraz odwróciła się.

– Dobrze jeździsz? – spytała.

– Oczywiście – odpowiedziała powoli Celaena.

– To dobrze.

Zabójczyni zdusiła okrzyk zaskoczenia, gdy Ansel otworzyła drzwi boksu i wyprowadziła Hisli na zewnątrz. Płynnie i szybko wskoczyła w siodło i złapała wodze w jedną dłoń.

– Bo zaraz czeka cię najostrzejsza jazda w życiu!

Z tymi słowami Ansel spięła Hisli do galopu i popędziła prosto na drzwi stajni.

Celaena nie miała czasu, aby uświadomić sobie, co robi. Bez namysłu otworzyła boks Kasidy, bezceremonialnie wyprowadziła klacz na zewnątrz i wskoczyła na siodło. Wymamrotała przekleństwo, wbiła pięty w boki zwierzęcia i popędziła przed siebie.

## Rozdział szósty

**S**trażnicy zorientowali się w sytuacji, dopiero gdy oba rumaki przemknęły obok nich z taką prędkością, że przypominały rozmazane plamy czerni i szarości. Złodziejki przejechały przez główną bramę w murze otaczającym pałac i zostawiły za sobą rozbrzmiewające echem okrzyki straży. Czerwone włosy Ansel lśniły niczym pochodnia. Klacze pędziły w kierunku bocznej bramy miasta, a ludzie uskakiwali im z drogi.

Celaena obejrzała się za siebie i dostrzegła trzech żołnierzy lorda, którzy dosiedli koni i pędzili za nimi, krzycząc.

Uciekinierki przemknęły przez kolejną bramę. Ich oczom ukazał się ocean czerwonych wydmy. Ansel pędziła przed siebie, jakby ścigała ją połowa piekła. Celaena mknęła za nią, ze wszystkich sił usiłując utrzymać się w siodle.

Kasida gnała niczym grzmot i skręcała niczym błyskawica. Była tak szybka, że oczy Celaeny łzawiły od wiatru. Żołnierze, którzy dosiadali zwykłych koni, szybko zostali w tyle, ale wciąż byli na tyle blisko, że stanowili potencjalne niebezpieczeństwo. Na bezmiarze pustyni Celaena nie miała wyboru. Musiała podążać za Ansel.

Trzymała się kurczowo grzywy Kasidy i na grzbiecie klaczy wspinała się na kolejne wydmy. Jechała to w górę, to w dół, aż całym jej światem stał się czerwony piasek oraz bezchmurne niebo, a jedynym dźwiękiem był tętent kopyt.

Ansel zwolniła, aby towarzyszka mogła ją dogonić. Jechały teraz razem po szerokim, płaskim wierzchołku wydmy.

– Czyś ty do reszty postradała rozum?! – krzyknęła wreszcie Celaena.

– Nie chcę wracać pieszo! Jedziemy na skróty! – odpowiedziała Ansel. Trzech żołnierzy wciąż pędziło za nimi.

Celaena zastanowiła się, czy nie wjechać w bok Hisli i nie zepchnąć Ansel na ziemię, tak by zajęli się nią strażnicy, ale dziewczyna wskazała coś nad czarną grzywą klaczy.

– Więcej życia, Sardothien!

W tej samej chwili wydmy rozstąpiły się i ukazały turkusowy bezmiar Zatoki Oro. Policzki Celaeny owionęło chłodne tchnienie nadmorskiej bryzy. Wystawiła twarz w stronę wiatru i niemalże jęknęła z rozkoszy.

Ansel wydała z siebie okrzyk i zjechała po zboczu ostatniej wydmy, a potem popędziła w stronę plaży i uderzających w nią fal. Celaena uśmiechnęła się wbrew sobie i pognąła w ślad za towarzyszką.

Kopyta Kasidy uderzyły w twarde, ubity czerwony piasek. Klacz zaczęła przyspieszać.

Wiatr szarpał ubraniem Celaeny i wyciągał pasma włosów z jej warkocza, a zabójczyni naraz uświadomiła sobie, że pędzi na asteriońskim rumaku po plaży na skraju Czerwonej Pustyni. Większość dziewcząt na całym świecie nigdy niczego takiego nie doświadczy. Ba, istniała niewielka nadzieja, że jej samej uda się to kiedykolwiek przeżyć ponownie. Przez jedną krótką chwilę nie liczyły się nic innego. Ogarnęła ją tak obezwładniająca rozkosz, że zadarła głowę ku niebu i wybuchnęła śmiechem.

Goniący ich żołnierze dotarli do plaży, ale huk fal niemalże pochłonął ich ostre okrzyki.

Ansel nagle skrzyła i popędziła ku wydmom oraz ogromnemu skalnemu muirowi, który wyrósł nieopodal. „Pustynna Ściana” – przypomniała sobie Celaena. Nie było mowy o pomyłce, gdyż studiowała mapy Opuszczonych Krajów od tygodni. Był to ogromny mur, który wyrósł prosto z ziemi i ciągnął się od wschodniego wybrzeża aż po czarne wydmy Południa. Oddzielał fortecę od Xandrii, ale pokonać go można było przez ogromną szczelinę znajdującą się mniej więcej pośrodku. Dotarcie do niej zajmowało jednak mnóstwo czasu i to z tego względu ich podróż była tak nieznośnie długa. Ale dziś...

– Szybciej, Kasido – szepnęła do końskiego ucha.

Klacz przyspieszyła, jakby zrozumiała jej słowa. Celaena wkrótce dogoniła Ansel i wspólnie pokonywały wydmy za wydmą, pędząc w stronę muru z czerwonej skały.

– Co ty wyprawiasz?! – zawołała do Ansel.

Dziewczyna obdarzyła ją łobuzerskim uśmiechem.

– Pokonamy tę ścianę. Czy konie asteriońskie byłyby takie cenne, gdyby nie umiały skakać?!

Celaena poczuła ucisk w gardle.

– Ty chyba żartujesz!

Ansel spojrzała przez ramię. Jej czerwone włosy falowały na wietrze.

– Będą nas ścigać aż pod bramy fortecy, jeśli obierzemy dłuższą drogę! Na zwykłych koniach nie są jednak w stanie wykonać długiego skoku!

Niespodziewanie pojawiło się wąskie przejście w murze. Ansel skierowała się w tę stronę. Jak mogła podjąć tak głupią, nierozważną decyzję, nie naradziwszy się wprzód z swoją towarzyszką?

– Miałaś to zaplanowane od początku! – wrzasnęła Celaena.

Strażnicy wciąż byli daleko, ale zabójczynie mogła już dostrzec ich broń. Mieli ze sobą długie łuki przymocowane do siodeł.

Ansel nie odpowiedziała. Pozwoliła Hisli pędzić przed siebie.

Celaena musiała wybrać między bezlitosnymi murami a pogonią. Byłaby w stanie poradzić sobie z żołnierzami w kilka sekund – musiałyby jedynie zwolnić, aby wyciągnąć sztylety – niemniej jednak ci dosiadali koni, co mogło znacznie utrudnić celowanie. Oznaczało to, że musiałyby się do nich zbliżyć, tym samym dając im możliwość wypuszczenia kilku strzał. Przypuszczalnie nie celowałyby w Kasidę, gdyż klacz była cenniejsza od nich wszystkich razem wziętych, ale Celaena nigdy w życiu nie naraziłaby tak cudownego zwierzęcia na niebezpieczeństwo. Poza tym nawet gdyby zabiła strażników, w niczym by jej to nie pomogło. Znalazłaby się sama na pustyni, gdyż Ansel najwidoczniej chciała za wszelką cenę pokonać mur. Celaena nie miała najmniejszej ochoty umrzeć z pragnienia.

Przeklinając siarczyście, wskoczyła w ślad za dziewczyną do szczeliny.

Kanion był tak wąski, że nogi zabójczynie ocierały się o wygładzone deszczem pomarańczowe ściany. Końskie kopyta dudniły niczym eksplodujące fajerwerki, a gdy prowadzący pościg żołnierze również wtargnęli do środka, kakofonia jeszcze przybrała na sile.

„Byłoby fajnie, gdyby Sam był tu ze mną” – uświadomiła sobie nagle Celaena.

Pewnie ciągle by marudził, ale nieraz udowodnił, że dobrze walczy. Ba, byłaby nawet gotowa przyznać, że doskonale mu to wychodzi.

Ansel machnęła ręką. Tunel skręcił nagle, ale czerwono-włosa

zabójczynie pokonała zakręt równie płynnie, jak strumień spływający po zboczu. Jadąca za nią Celaena trzymała się mocno, mając nadzieję, że jej koń wie, co robi.

W kanionie rozległ się świst cięciwy. Zabójczynie pochyliła się nisko nad głową Kasidy i w tej samej chwili od skały znajdującej się metr dalej odbiła się strzała. A więc mimo wszystko strzelają do koni! Tunel znów skręcił i dziewczyna znikła z pola ostrzału, ale ulga była krótkotrwała, gdyż jej oczom ukazał się długi, prosto biegnący odcinek, a za nim znajdowała się już tylko przepaść.

Przerażona Celaena otworzyła szeroko usta. Czeluść liczyła sobie z dziesięć metrów szerokości. Jej głębokości wołała nie znać.

Ansel gnała naprzód. Nagle napięła mięśnie, a Hisli odbiła się od krawędzi przepaści.

Płomienie słońca zaiskrzyły we włosach dziewczyny, gdy płynęła w powietrzu. Z jej ust wydarł się okrzyk pełen radości, który rozbrzmiał w całym kanionie. Sekundę później wylądowała na drugim brzegu, zaledwie kilka centymetrów od krawędzi.

Celaena nie była już w stanie wyhamować. Nie miała jak się zatrzymać. Gdyby spróbowała, razem z klaczą stoczyłyby się w przepaść. Zaczęła się więc modlić w myślach do wszystkich bogów razem i każdego z osobna. Kasida przyspieszyła, jakby i ona wiedziała, że tylko siły wyższe mogą je teraz ocalić.

Po chwili znalazły się na skraju urwiska, które opadało kilkadziesiąt metrów w dół. U jego podnóża płynęła rzeka. Kasida odbiła się i pomknęła w górę. Przez moment miały pod sobą jedynie pustkę i ze wszystkich stron otoczyła je śmierć.

Celaena mogła tylko trzymać się konia i czekać, aż runą z wrzaskiem na spotkanie okropnego końca. Nagle jednak ujrzała pod sobą twardą skałę. Złapała Kasidę jeszcze mocniej, a zwierzę wylądowało na wąskiej półce po drugiej stronie przepaści. Kopyta uderzyły w skałę z impetem, który przeszył całe ciało dziewczyny, ale klacz natychmiast pogalopowała przed siebie.

Po drugiej stronie czeluści ścigający ich żołnierze z trudem hamowali rozpędzone konie i przeklinali z pasją. Celaena cieszyła się, że nie zna ich języka.

Ansel wydała z siebie kolejny okrzyk triumfu, gdy wyjechały po drugiej stronie Pustynnej Ściany. Odwróciła się, żeby się upewnić, iż

Celaena jedzie tuż obok. Skierowały się przez wydmy na zachód. Chowające się za horyzontem słońce pomalowało cały świat na krwistoczerwono.

Gdy konie były już zbyt zmęczone, aby dalej biec, Ansel zatrzymała się na szczycie wydmy i spojrzała na towarzyszkę. Jej oczy wciąż iskrzyły się dziko.

– Czy to nie było wspaniałe? – spytała.

Celaena, która wciąż oddychała z trudem, nic nie powiedziała. Zamiast tego grzmotnęła Ansel w twarz z taką siłą, że ta spadła z konia i potoczyła się po piasku. Czerwonowłosa zabójczyni zacisnęła zęby i wybuchnęła śmiechem.

Choć mogły dotrzeć do fortecy przed północą, a Celaena bardzo chciała kontynuować podróż, Ansel uparła się, aby rozłożyć obozowisko na noc. Gdy z palących się szczap pozostały jedynie węgle, a konie drzemały niedaleko, dziewczyny ułożyły się na zboczu wydmy i wbiły wzrok w gwiazdy.

Celaena podłożyła dłonie pod głowę i oddychała głęboko, rozkoszując się wonnym nocnym powietrzem. Powoli opuszczało ją znużenie. Rzadko kiedy widywała tak jasno świecące gwiazdy, gdyż światła Rifthold tłumiły ich blask. Wiatr mknął nad wydmami, a piasek wzdychał.

– Wiesz, nigdy nie nauczyłam się nazw konstelacji – powiedziała cicho Ansel. – Choć nasze są pewnie inne. Mamy inne nazwy.

Dopiero po chwili Celaena uświadomiła sobie, że mówiąc „nasze”, Ansel nie ma na myśli Milczących Zabójców, lecz swoich rodaków z Zachodnich Pustkowi. Wskazała więc grupkę gwiazd po lewej.

– To Smok – powiedziała i nakreśliła jego kształt. – Widzisz głowę, łapy i ogon?

– Nie. – Ansel zachichotała.

Celaena trąciła ją łokciem i wskazała inną grupę.

– Oto Łabędź. Linie z boku to skrzydła, a ten łuk to szyja.

– A tamta konstelacja? – spytała Ansel.

– To Jeleń – szepnęła zabójczyni. – Władca Północy.

– Czemu nie ma jakiejś fajniejszej nazwy? A Łabędź i Smok?

Celaena parsknęła, wpatrując się w znajomy gwiazdozbiór.

– Bo nigdy nie zmienia lokalizacji. Bez względu na porę roku Jeleń zawsze jest w tym samym miejscu.

– Dlaczego?

Dziewczyna wzięła głęboki oddech.

– Aby ludzie z Terrasenu zawsze potrafili odnaleźć drogę do domu. Aby zawsze i wszędzie mogli spojrzeć w niebo i przekonać się, że Terrasen jest z nimi.

– Chcesz tam wrócić?

Celaena odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Ansel. Nigdy jej nie powiedziała, że stamtąd pochodzi.

– Mówisz o tym miejscu tak, jak mój ojciec kiedyś mawiał o naszych ziemiach – dodała dziewczyna.

Zabójczyni już chciała odpowiedzieć, gdy zwróciła uwagę na jedno słowo w jej zdaniu. „Kiedyś”.

Ansel nadal wpatrywała się w gwiazdy.

– Okłamałam Mistrza, gdy tu przybyłam – szepnęła, jakby się bała, że ktoś ją usłyszy na bezkresnej, bezludnej pustyni. Celaena znów spojrzała na niebo.

– Nie zostałam tu przysłana przez ojca – ciągnęła Ansel. – I nie ma żadnego Briarcliff ani też dworu w Briarcliff. Nie ma ich od pięciu lat.

Na usta Celaeny cisnęły się dziesiątki pytań, ale milczała, pozwalając dziewczynie mówić.

– Miałam dwanaście lat, kiedy lord Loch przejął wiele ziem wokół Briarcliff, a potem zażądał, abyśmy oddali mu hołd. Mieliśmy kłaniać się przed nim jak przed królem Płaskich Krain. Mój ojciec odmówił. Oznajmił, że na wschodzie pojawił się już jeden tyran, który podbija kraj za krajem, a my nie chcemy nikogo takiego na zachodzie.

Krew w żyłach Celaeny zamieniła się w lód. Wiedziała, co zaraz usłyszy.

– Dwa tygodnie później lord Loch wkroczył na nasze ziemie na czele swej armii. Zajmował nasze wsie, kradł dobytek, łapał ludzi w niewolę. Gdy dotarł do Briarcliff... – Ansel wciągnęła powietrze. Drżała. – Gdy dotarł do Briarcliff, byłam akurat w kuchni. Ujrzałam najeźdźców z okna i schowałam się w szafie. Ojciec i siostra byli na piętrze. Loch wszedł do kuchni, a jego ludzie ściągnęli ojca i siostrę przed jego oblicze. Nie ośmieliłam się nawet pisnąć. Loch zmusił mego ojca, by patrzył, jak... – Głos uwiązł jej w gardle, ale wypłynęły te słowa, jakby były trucizną: – Ojciec błagał go na kolanach, mimo to Loch zmusił go, by patrzył, jak podrzyna gardło mojej siostrze. Potem zabił

również jego i wymordował naszych służących, a ja tkwiłam w szafie i nie zrobiłam nic. Gdy odeszli, podeszłam do ciała ojca, wzięłam jego miecz i rzuciłam się do ucieczki. Biegłam, biegłam, aż wyczerpana dotarłam do podnóża Gór Białego Kłosa. Straciłam przytomność niedaleko ogniska rozpalonego przez jakąś wiedźmę z Klanu Żelaznozębnych. Mogła mnie zabić i pożreć, ale było mi już wszystko jedno. Nic mi się jednak nie stało. Powiedziała, że śmierć nie jest mi na razie pisana. Kazała mi wyruszyć na południe, do Milczących Zabójców z Czerwonej Pustyni, i... i tam miałam odnaleźć swoje przeznaczenie. Nakarmiła mnie, opatrzyła moje krwawiące stopy i obdarowała złotem, za które później zamówiłam zbroję, a potem wysłała mnie w drogę. – Ansel otarła oczy. – Od tej pory mieszkam wśród Milczących Zabójców i ćwiczę. Czekam, aż stanę się wystarczająco silna i szybka, aby wrócić do Briarcliff i odebrać to, co należy do mnie. Któregoś dnia wkroczę na dwór króla Locha i zapłacę mu za to, co zrobił mojej rodzinie. Mieczem mojego ojca.

Potarła dłonią rękę zwińcioną wilczym łbem.

– Ten miecz to jedyna rzecz, która mi pozostała. Nim więc odbiorę mu życie.

Celaena nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze. Uświadomiła to sobie, dopiero gdy spróbowała nabrać tchu. Chciała coś powiedzieć, ale czuła, że zwykle „przykro mi” nijak nie pasowało do sytuacji. Doznała w życiu podobnej straty i wiedziała, że słowa w żaden sposób nie pomogą.

Ansel odwróciła się powoli ku niej. Jej oczy połyskiwały srebrem. Delikatnie dotknęła kości policzkowej Celaeny, na której nadal widać było sińce.

– Jak ludzie mogą zdobyć się na takie potworności? Dlaczego jest to w ogóle możliwe?

– W końcu za to zapłacą! – Zabójczyni Adarlanu złapała Ansel za rękę. – Dopilnujemy tego, żeby zapłacili.

– Tak. – Dziewczyna znów spojrzała na gwiazdy. – Tak, dopilnujemy tego.



## Rozdział siódmy

Celaena i Ansel wiedziały, że ich krótka eskapada na asteriońskich rumakach pociągnie za sobą poważne konsekwencje. Zabójczyni Adarlanu miała nadzieję, że przynajmniej będą miały trochę czasu, aby rozpowiedzieć historyjkę o tym, jak weszły w posiadanie zwierząt. W bramie fortecy czekał na nich jednak Mikhail wraz z trzema innymi zabójcami i dziewczyna zrozumiała, że Mistrz w jakiś sposób dowiedział się już o ich wycynie.

Milczała, gdy wraz z Ansel, z pochylonymi głowami i wzrokiem wbitym w podłogę, uklękły przed podwyższeniem, na którym zwykle zasiadał ich mentor. Celaena pomyślała, że teraz już na pewno nie uda jej się nakłonić go, aby ją szkolił.

Komnata audiencyjna była dziś pusta i słychać było każdy krok nadchodzącego mężczyzny. Zabójczyni wiedziała, że Mistrz potrafi poruszać się bezszelestnie, jeśli tego pragnie. Chciał więc, aby jego nadejście wywołało w nich strach.

I udało mu się. Celaena ze strachem słuchała każdego kroku, a sińce na jej twarzy pulsowały wspomnieniem pięści Arobynna. Naraz przypomniała sobie ów dzień, w którym została ukarana. Wizja była tak wyraźna, że odnalazła w pamięci słowa, które Sam wykrzykiwał do Arobynna, gdy ten ją bił, słowa, które do tej pory przesłaniał ból.

„Zabiję cię!” – krzyczał chłopak raz za razem, jakby rzeczywiście nosił się z tym zamiarem.

Nieoczekiwane, wyraźne wspomnienie okazało się dla dziewczyny takim wstrząsem, że prawie zapomniała, gdzie się znajduje. Niespodziewanie kątem oka ujrzała jednak śnieżnobiałe szaty Mistrza i poczuła suchość w ustach.

– Chciałyśmy się tylko trochę zabawić – powiedziała cicho Ansel. – Możemy zwrócić konie.

Celaena, która nadal nie podniosła głowy, zerknęła ku dziewczynie. Jej towarzyszka wpatrywała się w górującego nad nimi mentora.

– Przepraszam – szepnęła Celaena, żałując, że nie potrafi przekazać tej myśli dłońmi. Cisza w tej sytuacji byłaby bardziej stosowna, ale

chciała, aby Mistrz usłyszał jej przeprosiny.

On zaś stał nieruchomo, a na jego twarzy malowała się dezaprobata.

Ansel jako pierwsza ugięła się pod jego spojrzeniem.

– Wiem, że to było głupie. – Westchnęła. – Ale nie ma się czym przejmować. Poradzę sobie z lordem Berickiem. Radzę sobie z nim od lat.

W jej słowach kryła się taka gorycz, że Celaena uniosła nieco brwi. Być może Ansel źle przyjęła wieść o tym, że Mistrz nie chce jej trenować. Nigdy co prawda nie współzawodniczyła z nią o uwagę mężczyzny, ale... Nie przybyła przecież do twierdzy, aby spędzić całe lata na mediacjach między lordem Berickiem a Mistrzem. Nie takiej chwały poszukiwała. Celaenie taka dola z pewnością nie przypadłaby do gustu.

Mentor poruszył się z szelestem szat. Zabójczyni Adarlanu wzdrygnęła się, gdy jego twarde, zrogowaciałe palce ujęły ją za podbródek. Uniósł jej głowę wysoko. Nie miała wyboru i musiała na niego spojrzeć. Na jego twarzy wciąż widniała dezaprobata. Dziewczyna znieruchomiała w oczekiwaniu na uderzenie, modląc się w duchu, aby nie zadał jej zbyt poważnych obrażeń. Tymczasem zielone oczy Mistrza zwęziły się nieco. Przechylił głowę i uśmiechnął się ze smutkiem, a potem puścił jej podbródek.

Na twarzy Celaeny wykwitły płonące rumieńce. Mężczyzna nie chciał jej uderzyć. Chciał jedynie, aby na niego spojrzała i opowiedziała mu własną wersję wydarzeń. Nie oznaczało to jednak, że nie będzie próbował ukarać jej w inny sposób. Jeśli wyrzuci Ansel za to, co zrobiły... Przecież ona musi tu pozostać i wyuczyć się wszystkiego, co zabójcy mogą jej przekazać. Ansel chciała zrobić coś ze swoim życiem. Miała cel, podczas gdy Celaena...

– To był mój pomysł – wypaliła. Jej słowa poniosły się echem po pustej komnacie. – Nie chciało mi się iść przez pustynię i przyszło mi do głowy, że przydałyby nam się konie. Gdy zobaczyłam te asteriońskie klacze... Pomyślałam sobie, że mogłybyśmy wrócić w wielkim stylu.

Uśmiechnęła się blado, a Mistrz uniosł brwi, patrząc to na jedną dziewczynę, to na drugą. Przez bardzo długą chwilę wpatrywał się w nie bez żadnej reakcji.

Trudno powiedzieć, co ujrzał na twarzy Ansel, ale nagle skinął głową. Czerwonowłosa zabójczyni ukłoniła się szybko.

– Nim wybierzesz dla nas karę... – Zerknęła na Celaenę, a potem znów na Mistrza. – Obie lubimy konie, a więc... czy możemy służyć w stajniach? Podczas porannej zmiany? Aż do wyjazdu Celaeny...

Ta o mały włos się nie zakrztusiła, ale zmusiła się do przybrania obojętnej miny. W oczach Mistrza zabłysnął cień rozbawienia. Przez moment zastanawiał się nad usłyszanymi słowami, a potem znów skinął głową. Ansel wypuściła powietrze.

– Dziękuję ci za pobłażliwość – powiedziała.

W odpowiedzi mężczyzna spojrział na drzwi za nimi. Był to znak, że mają odejść.

Ansel wstała, a Celaena poszła w jej ślady, lecz gdy się odwróciła, Mistrz złapał ją za rękę, a potem wykonał kilka gestów. Brwi przyglądającej się temu Ansel uniosły się. Mentor powtórzył wszystkie ruchy, ale tym razem wolniej, wskazując raz za razem Celaenę. Gdy czerwonowłosa zabójczyni wreszcie zrozumiała przekaz, odwróciła się do towarzyszki.

– Masz się stawić jutro przed zachodem słońca. Czeka cię pierwsza lekcja.

Celaena powstrzymała westchnienie ulgi i obdarzyła Mistrza szczerym uśmiechem. Ten uśmiechnął się lekko w odpowiedzi. Dziewczyna złożyła głęboki ukłon i promieniejąc, udała się w ślad za Ansel do stajni. Zostały jej jeszcze trzy tygodnie. Wystarczy więc czasu, aby zasłużyć sobie na list.

Nie wiedziała, co Mistrz ujrzał w jej twarzy. Nie wiedziała, na które słowa zwrócił uwagę, ale w jakiś sposób wreszcie zasłużyła sobie na jego zainteresowanie.

Okazało się, że nie będą odpowiedzialne jedynie za wybieranie widłami końskiego łajna. Skądże! Musiały wyczyścić boksy wszystkich czworonogów należących do fortecy. Borykały się z tym od śniadania aż do południa i mogły się tylko cieszyć z tego, że nie kazano im pracować po południu, kiedy upał jeszcze potęgował panujący w stajniach smród. Kolejną korzyścią było to, że nie musiały biec przez pustynię, choć po czterech godzinach przerzucania zwierzęcych odchodów Celaena oddałaby wiele za możliwość zamiany pracy na dziesięciokilometrowy bieg.

Choć nie mogła się doczekać, aż wreszcie wyjdzie ze stajni, widok słońca przesuwającego się po niebie sprawił, że poczuła niepokój. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać. Nawet Ansel nie wiedziała, co Mistrz może wymyślić. Po południu udały się na trening walki wręcz. Ćwiczyły ze sobą i z każdym innym zabójcą, który spacerował w cieniu dziedzińca. Gdy słońce wreszcie zawisło tuż nad horyzontem, Ansel uścisnęła ramię Celaeny i wskazała jej drogę do Mistrza.

Zabójczyni nie zastała jednak mężczyzny w komnacie audiencyjnej. Chwilę później wpadła na Iliasa, który uśmiechnął się jak zwykle i wskazał na dach. Pokonała kilka pięter po schodach, a potem wspięła się po drewnianej drabinie i przecisnęła przez otwór w suficie. Znalazła się na dachu fortecy.

Mistrz stał przy gzymsie i patrzył na pustynię. Dziewczyna odkaszlnęła, ale mężczyzna się nie odwrócił.

Dach miał zaledwie sześć metrów kwadratowych i był całkowicie płaski i pusty. Znajdował się na nim jedynie koszyk wpleciony z trzciny. Płonące pochodnie rzucały światło na podłoże.

Celaena odkaszlnęła raz jeszcze i Mistrz w końcu na nią spojrzał. Ukłoniła się, ale bynajmniej nie z obowiązku. Jakiś głos w sercu podpowiedział jej, że ten człowiek naprawdę zasługuje na szacunek. Mężczyzna skinął głową i wskazał kosz, zachęcając ją do jego otwarcia. Celaena zamaskowała sceptycyzm i podeszła do pojemnika w nadziei, że w środku znajdzie może jakąś piękną, nową broń. Zatrzymała się, gdy usłyszała syk.

Było to nieprzyjemne, ostrzegawcze syczenie, które bez wątpienia dochodziło z kosza.

Odwróciła się ku Mistrzowi, ale ten wskoczył na blankę i usiadł na niej, machając w powietrzu nogami. Znow zachęcił ją gestem do otwarcia pojemnika. Dłonie Celaeny pociły się, ale nabrała tchu i zerwała pokrywę.

W środku kuliła się czarna żmija, która na widok człowieka odsunęła głowę do tyłu i znow zasyczała.

Celaena odskoczyła. Chciała wdrapać się na blankę, ale Mistrz cmoknął cicho. Jego dłonie unosiły się i wiły, naśladując falowanie wody.

A może węża?

„Patrz na niego – zdawały się mówić. – Poruszaj się tak jak on”.

Dziewczyna znów spojrzała na kosz. Smukła czarna żmija przepęzła właśnie przez krawędź i już była na pokrytym płytkami dachu.

Serce waliło Celaenie w piersi. Ta żmija na pewno była jadowita. Musiała być! Wyglądała na jadowitą!

Żmija pełzła po dachu, a dziewczyna usuwała jej się z drogi. Nie ośmieliła się spuścić jej z oczu ani na chwilę. Sięgnęła po sztylet, ale Mistrz znów cmoknął. Zerknęła na niego i od razu wiedziała, co chce jej przekazać.

„Nie zabijaj jej. Przyswój sobie jej mądrość”.

Żmija pełzła bez wysiłku, leniwie. Smakowała wieczorne powietrze czarnym językiem. Celaena oddychała głęboko, żeby się uspokoić, i wpatrywała się w gada.

Od tej pory spędzała na dachu każdą noc. Przyglądała się żmii, naśladowała jej ruchy, przyswajała sobie ich rytm, aż nauczyła się poruszać tak jak ona. Uświadomiła sobie wówczas, że potrafi zmierzyć się z nią jak równa z równą. Potrafiła przewidzieć jej uderzenie i uderzyć tak samo szybko.

Następnie przez trzy dni zwiślała z krokwi stajni wraz z nietoperzami. Odkrycie ich atutów zajęło jej więcej czasu. Uczyła się od nich zachowywać tak cicho, aby nikt nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Próbowwała – podobnie jak one – całkowicie ignorować bodźce zewnętrzne, żeby skupić się jedynie na dźwiękach wydawanych przez zdobycz. Kolejne dwie noce spędziła w towarzystwie zajęcy na wydmach. Przyswajała sobie szybkość i zręczność, z jaką unikały kłów i szponów wroga. Odkryła też, że śpią na ziemi, żeby słyszeć zbliżającego się napastnika. Mistrz był przy niej przez cały czas. Nigdy nie powiedział ani słowa i ograniczał się jedynie do zwracania jej uwagi na sposób poruszania się zwierząt.

Czas upływał Celaenie szybko. Widywała Ansel jedynie podczas posiłków i przed południem, gdy wygarniały obornik. Po całej nocy spędzonej na bieganiu sprintem, zwisaniu z krokwi czy nauce chodzenia w bok (musiała przecież zrozumieć, o co chodzi krabom) zazwyczaj nie miała ochoty na rozmowę. Ansel jednakże wydawała się wesoła, wręcz radosna, a jej nastrój poprawiał się z dnia na dzień. Nie zdradzała powodów swojego stanu, ale jej pogoda ducha była zaraźliwa.

Codziennie po lekkim posiłku w połowie dnia Celaena kładła się do łóżka i drzemała aż do zachodu słońca. W jej snach pojawiały się węże, króliki i ćwierkające świerszcze pustynne. Czasami widywała Mikhaïla ćwiczącego akolitów lub natykała się na Iliasa medytującego w pustym pomieszczeniu, ale rzadko miała okazję, aby spędzić z nimi choć chwilę.

Lord Berick nie ponawiał prób zaatakowania fortecy. Celaena nie miała pojęcia, co Ansel powiedziała mu podczas spotkania w Xandrii ani co zawierał list od Mistrza, ale wyglądało na to, że przekaz odniósł swój skutek, nawet mimo kradzieży koni.

Zdarzały się jej chwile wytchnienia, wolne od pracy z Ansel oraz ćwiczeń pod okiem Mistrza. Myślała wówczas o Samie. Zastanawiała się nad tym, co krzyczał owej pamiętnej nocy. Groził Arobynnowi śmiercią za to, że ją krzywdził. Usiłowała rozgryźć tę tajemnicę i odkryć, które z wydarzeń w Zatoce Czaszek skłoniły Sama do wykrzyczenia takich rzeczy w twarz Królowi Zabójców, ale za każdym razem, gdy rozważania absorbowwały ją za bardzo, odpychała je daleko od siebie.

## Rozdział ósmy

Chcesz mi powiedzieć, że robisz to codziennie? – spytała Ansel. Oczy miała zamknięte, a brwi wysoko uniesione, podczas gdy Celaena rozprawiała róż na jej policzkach.

– Czasami dwa razy dziennie – odparła zabójczyni, a Ansel otworzyła jedno oko. Obie siedziały na łóżku, a między nimi leżały rozrzucone kosmetyki, niewielka część ogromnej kolekcji, którą Celaena zostawiła w Rifthold. – Nie dość, że przydaje mi się w pracy, to jeszcze jest przyjemne.

– Przyjemne? – Ansel otworzyła drugie oko. – Jak rozcieranie świniństwa na twarzy może być przyjemne?

Celaena odłożyła pudełeczko z różem.

– Jak się nie uspokoisz, narysuję ci wąsy.

Wargi dziewczyny drgnęły, ale posłusznie zamknęła oczy. Celaena zaś ujęła niewielki pojemnik z brązowym cieniem i naniosła odrobinę na powieki przyjaciółki.

– Cóż, to w końcu moje urodziny oraz Dzień Środka Lata – rzekła Ansel. Jej rzęsy trzepotały, łaskotane delikatnym pędzelkiem. – Tak rzadko mamy okazję się zabawić. Myślę, że powinnam ładnie wyglądać.

Ansel zawsze wyglądała ładnie – a nawet lepiej niż ładnie – ale Celaena nie musiała jej tego mówić.

– Wypadałoby. Przynajmniej nie cuchniesz już końskim łajnem.

Ansel zachichotała cicho. Jej oddech ogrzał dłonie Celaeny pracujące przy twarzy dziewczyny. Nie odzywała się potem przez kilka chwil, podczas gdy Zabójczyni Adarlanu dalej наносiła cienie. Znieruchomiała, gdy Celaena podkreślała jej oczy kredką i malowała rzęsy.

– W porządku – powiedziała w końcu Zabójczyni Adarlanu i odsunęła się, aby przyjrzeć się twarzy Ansel. – Otwórz oczy.

Dziewczyna rozchyliła powieki, ale Celaena zmarszczyła brwi.

– Co takiego?

Zabójczyni pokręciła głową.

- Będziesz musiała to zmyć.
- Dlaczego?
- Bo wyglądasz lepiej ode mnie.

Ansel uszczypnęła Celaenę w ramię, a ta ze śmiechem odwzajemniła się tym samym. Potem przypomniała sobie, że został jej jeszcze tylko jeden tydzień, krótki i bezlitosny. Jej serce ścisnął żal na myśl o wyjeździe. Jak dotąd nie ośmieliła się nawet poprosić Mistrza o list z rekomendacjami, ale problem leżał również gdzie indziej. Do tej pory nigdy nie miała przyjaciółki – ba, nigdy w ogóle nie miała żadnych przyjaciół! – i myśl o powrocie do Rifthold bez Ansel wydawała jej się trudna do przyjęcia.

Nigdy nie uczestniczyła w czymś takim jak festiwal Dnia Środka Lata. Spodziewała się muzyki, alkoholu i śmiechu, ale zamiast tego zabójcy zgromadzili się na największym dziedzińcu fortecy. Wszyscy, łącznie z Ansel, zachowywali całkowitą ciszę. Jedyнным źródłem światła był blask księżyca, w którym widać było palmy, kołyszące się na wietrze wzdłuż ścian dziedzińca.

Najdziwniejszym elementem święta był jednak taniec. Pomimo braku muzyki większość uczestników brała w nim udział. Niektóre pląsy wydawały się obce i egzotyczne, a inne znajome. Wszyscy się uśmiechali, ale nie licząc szelestu ubrań i szurania stóp, nie było słychać żadnych dźwięków.

Na szczęście było też wino. Celaena i Ansel znalazły dla siebie stolik w rogu i zaczęły się raczyć trunkiem do syta.

Celaena uwielbiała taniec i zabawę, ale wolałaby spędzić tę noc na ćwiczeniach pod okiem Mistrza. Pozostał jej tylko tydzień i chciała przebywać stale ze swoim mentorem. Mistrz nalegał jednak, aby poszła na zabawę, chyba tylko dlatego, że sam miał na to ochotę. Tańczył do rytmu, którego Celaena nie słyszała i nie potrafiła rozróżnić, i przypominał teraz dobrotliwego, niezdarnego dziadka, a nie jednego z najlepszych zabójców świata.

Zabójczynie pomyślała o Arobynnie, w którego ruchach krył się starannie wypracowany wdzięk oraz agresja. Król Zabójców tańczył tylko z nielicznymi, wybranymi przez siebie partnerkami, a jego uśmiech był ostry jak brzytwa.

Mikhail wciągnął Ansel w tłum tańczących. Czerwonowłosa zabójczynie z uśmiechem wirowała, podskakiwała i pląsała od jednego



partnera do drugiego, gdyż wszyscy zabójcy tańczyli teraz w tym samym, niesłyszalnym rytmie. Ansel przeżyła wielką tragedię, a mimo to potrafiła okazywać całkowitą beztroskę i wielką radość. Mikhail złapał ją teraz w ramiona i przechylił nisko, tak nisko, że dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

Mężczyzna naprawdę darzył Ansel sympatią. Celaena nie miała co do tego wątpliwości. Zawsze znajdował jakiś pretekst, aby jej dotknąć, zawsze się do niej uśmiechał i zawsze wpatrywał się w nią tak, jakby była jedyną osobą obecną w pomieszczeniu.

Celaena zakręciła kieliszkiem z winem. Szczerze powiedziawszy, czasami przyłapywała Sama na tym, że tak się w nią wpatrywał. Potem jednak mówił jakąś bzdurę albo próbował podważyć to, co powiedziała wcześniej, a ona besztala się w myślach za to, że w ogóle w ten sposób pomyślała.

Poczuła ucisk w żołądku. Co Arobynn zrobił z Samem tamtej nocy? Powinna się zapytać o niego, ale była wówczas tak przepełniona wściekłością... W rzeczywistości nie zdobyła się na odwagę, aby odszukać chłopaka, bo jeśli Arobynn skrzywdził go równie dotkliwie, jak ją, a nawet bardziej...

Wypiła resztę wina. W ciągu dwóch pierwszych dni po odzyskaniu przytomności wydała sporą część odłożonych pieniędzy na zakup mieszkania leżącego w sporej odległości od Twierdzy Zabójców. Nikomu o tym nie powiedziała, gdyż obawiała się, że podczas dalekiej podróży zmieni zdanie i postanowi wrócić do Twierdzy, ale z każdym kolejnym dniem spędzonym na Czerwonej Pustyni, z każdą lekcją udzieloną jej przez przyjaznego, łagodnego Mistrza była coraz bardziej przekonana, że wyprowadzi się od Arobynna. W głębi serca była nawet ciekawa jego reakcji. Oczywiście nadal była mu winna mnóstwo pieniędzy – zadbał o to, aby przez jakiś czas była z nim związana długami – ale nigdzie nie zapisano, że powinna u niego mieszkać. A jeśli kiedykolwiek jeszcze raz tknie ją choćby palcem...

Poprzysięgła w duchu, że jeśli Arobynn tknie ją bądź Sama choćby małym palcem, dopilnuje, żeby stracił całą rękę. Aż po łokieć.

Ktoś trącił ją w ramię. Celaena uniosła głowę znad pustego kielicha i ujrzała stojącego przed nią Iliasa. Przez ostatnich kilka dni widywała go rzadko. Wyjątkiem były posiłki, podczas których zerkał na nią i obdarzał cudownymi uśmiechami. Teraz podał jej dłoń.

Celaena zarumieniła się i pokręciła głową, próbując jak najlepiej przekazać mu, że nie zna tych tańców.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Jego oczy lśniły. Nadal wyciągał dłoń.

Przygryzła wargę i spojrzała znacząco na jego stopy. Ilias znów wzruszył ramionami, tym razem jakby chciał jej przekazać, że palce u nóg nie są dla niego aż tak ważne.

Celaena zerknęła na Mikhaila i Ansel wirujących dziko do rytmu, który słyszeli tylko oni dwoje. Ilias uniósł brew. „Więcej życia, Sardothien!” – zawołała Ansel tego dnia, kiedy ukradły konie. Może warto podążać za tą filozofią? Może zaczęłyby dzisiaj?

Z emfazą wzruszyła ramionami i ujęła dłoń mężczyzny, obdarzając go przy tym krzywym uśmiechem. Chciała przez to przekazać mu, że może zatańczyć z nim raz czy dwa.

Choć nie słyszeli muzyki, Ilias z łatwością prowadził ją w tańcu, a każdy jego krok był pewny i stabilny. Trudno było się od niego odwrócić, gdyż emanował wielką radością życia. Wpatrywał się w Celaenę tak intensywnie, aż zaczęła się zastanawiać, czy przez ostatnie dni śledził ją tylko i wyłącznie dlatego, że chciał chronić ojca.

Do późna w nocy tańczyli dzikie tańce, niemające nic wspólnego z walcami, których nauczyła się w Rifthold. Ilias trzymał się blisko nawet w chwilach, gdy zmieniała partnera, czekając na okazję, aby znów z nią tańczyć. Jego obecność była odurzająca w tym samym stopniu co ów dziwny taniec bez muzyki i utrzymywany przez wszystkich niesłyszalny rytm. Ich melodią były szumy wiatru i westchnienia pustyni. Dziewczyna nigdy nie była na tak dziwnej, a przy tym tak wspaniałej zabawie, i zaczynała się zastanawiać, czy przypadkiem nie śni.

Gdy księżyc zaczął się obniżać, Celaena postanowiła opuścić tańczących, próbując jak najlepiej przekazać im, że jest wykończona. Nie było to kłamstwo. Bolały ją stopy, a przez ostatnich kilka tygodni nie miała okazji się wyspać. Ilias próbował ją namówić na jeszcze jeden taniec, ale zręcznie wymknęła się z jego objęć. Pokręciła głową z uśmiechem. Ansel i Mikhail nadal tańczyli, tuląc się do siebie mocniej niż jakakolwiek inna para. Celaena nie chciała przeszkadzać przyjacielom i wymknęła się samotnie. Ilias udał się w ślad za nią.

Musiała przyznać, że serce biło jej szybko nie tylko z powodu

skończonego tańca. Mężczyzna szedł przy niej, bezszelestnie jak zwykle. Przełknęła ślinę.

Co by rzekł – o ile, oczywiście, mógłby się odezwać – gdyby wiedział, że Zabójczyni Adarlanu nigdy się z nikim nie całowała? Zabijała ludzi, uwalniała niewolników, kradła konie, ale nigdy nikogo nie pocałowała. Było w tym coś dziwnego, a nawet śmiesznego. Powinna była już zakosztować tej przyjemności, ale nigdy nie spotkała odpowiedniej osoby.

Przed drzwiami jej kwatery znaleźli się o wiele za szybko. Celaena nie dotknęła klamki. Spróbowała uspokoić oddech, a potem odwróciła się w stronę Iliasa.

Uśmiechał się. Może nie chciał wcale jej pocałować. Przecież jego pokój znajdował się w pobliżu.

– Cóż – powiedziała.

Po kilku godzinach ciszy słowo to zabrzmiało boleśnie głośno.

Rumieńce na jej policzkach zapłonęły niczym ognie. Ilias podszedł bliżej i otoczył ramieniem jej talię. Powstrzymała wzdrygnięcie.

„Pocałowanie go byłoby czymś tak prostym” – uświadomiła sobie, wpatrując się w niego.

Druga ręka mężczyzny otoczyła jej szyję. Pieszcząc jej szczękę kciukiem, delikatnie odchylił jej głowę do tyłu. Krew w jej żyłach aż huczała. Jej usta rozchyliły się, lecz gdy Ilias pochylił ku niej głowę, zeszywniała i cofnęła się.

Mężczyzna natychmiast zrobił krok w tył i zmarszczył brwi, zatroskany. Celaena chciała się wtopić w kamienie i zniknąć, ale zamiast tego z trudem przełknęła ślinę.

– Przepraszam – powiedziała ochryłym głosem, usiłując ukryć zażenowanie. – Ja... Ja nie mogę. Znaczy ja wyjeżdżam za tydzień. A... a ty tu mieszkasz. Ja zaś mieszkam w Rifthold, więc...

Wiedziała, że gada od rzeczy i powinna przestać. Czuła, że powinna się zamknąć raz na zawsze.

Jeśli Ilias wyczuł jej zażenowanie, nie dał tego po sobie poznać, lecz zwyczajnie pochylił głowę, uściśnął jej ramię i jak zwykle wzruszył ramionami, co Celaena odczytała jako: „Szkoda, że mieszkamy tysiące kilometrów od siebie. Ale czy naprawdę winisz mnie za to, że próbowałem?”.

Potem ruszył w stronę swojego pokoju. Pomachał do niej przyjaźnie

i wszedł do środka.

Celaena stała sama w korytarzu i patrzyła na cienie rzucane przez płomień pochodni. Nie odepchnęła Iliasa tylko i wyłącznie dlatego, że związek między nimi nie miał szans.

Nie. Przed pocałunkiem powstrzymała ją wspomnienie o Samie.

Ansel nie wróciła tej nocy do ich pokoju. Gdy następnego dnia rano weszła do stajni, potykając się i zataczając, wciąż miała na sobie to samo ubranie, które założyła na zabawę. Celaena mogła się tylko domyślić, że jej przyjaciółka przetańczyła całą noc lub spędziła ją z Mikhailem. Rumieniec na jej policzkach sugerował, że obie odpowiedzi są poprawne.

Dziewczyna zauważyła uśmiech na twarzy współlokatorki i spochmurniała.

– Nawet nie zaczynaj – burknęła.

Celaena nabrała na łopatę nieco obornika i wrzuciła go na wóz, który później miała zaciągnąć do ogrodu. Nawóz był wykorzystywany do użyźniania gleby.

– O co ci chodzi? – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Przecież nie chciałam niczego powiedzieć!

Ansel złapała łopatę opartą o drewnianą ścianę. Nieco dalej znajdowały się boksy Kasidy i Hisli.

– To dobrze. Bo już wystarczająco nasłuchiwałam się dzisiaj od innych.

Celaena stanęła w otwartej bramie i oparła się o łopatę.

– Nie martw się. Mikhail też się dziś nasłucha.

Ansel wyprostowała się, a jej oczy zaskakująco pociemniały.

– Nie, na pewno nie. Wszyscy jak zwykle pogratulują mu udanego podboju. – Westchnęła przeciągle przez nos. – A ja? Nabijają się ze mnie, aż tracę panowanie nad sobą. Zawsze to samo.

Pracowały w milczeniu, dopóki Celaena nie przerwała ciszy.

– Stroją sobie z ciebie żarty, a ty mimo wszystko chcesz być z Mikhailem?

Ansel znów wzruszyła ramionami i przerzuciła łopatę gnoju na wóz.

– Jest wspaniałym wojownikiem. Gdyby nie on, nie umiałabym nawet połowy tego, co umiem. Niech się nabijają, ile wlezie. Pod koniec dnia to właśnie on poświęca mi dodatkową uwagę podczas treningu.

Nie spodobało się to Celaenie, ale wolała nie komentować tych słów.

– A poza tym – Ansel zerknęła z ukosa na towarzyszkę – nie wszyscy potrafią z taką łatwością nakłonić Mistrza, aby zaczął nas ćwiczyć.

Celaena poczuła skurcz w żołądku. Czyżby dziewczyna była o to zazdrosna?

– Nie do końca wiem, dlaczego zmienił zdanie – rzekła.

– Serio? – odparła Ansel ostrym tonem. Celaena nigdy nie słyszała, aby jej przyjaciółka odzywała się w ten sposób, i z zaskoczeniem odkryła, że przestraszyło ją to. – Szlachetna, mądra, piękna zabójczyni z Północy, sama wielka Celaena Sardothien nie ma pojęcia, dlaczego Mistrz chce ją uczyć? Nie wie, że on również chciałby mieć swój wkład w kształtowanie jej wspaniałej przyszłości?

Gardło Celaeny było ściśnięte. Przekląła się w myślach za to, że z taką łatwością pozwoliła się zranić jej słowom. Była przekonana, że Mistrzem kierują inne powody, mimo to syknęła:

– Jasne, oto moja wspaniała przeszłość. Wybieram gnój w stajni. Godne zajęcie, nie ma co.

– Ale nada się dla dziewczyny z Płaskich Krain?

– Nie powiedziałam tego – wycodziła Celaena przez zęby. – Nie wmawiaj mi.

– Dlaczego nie? Przecież wiem, że tak myślisz, a ty wiesz, że mówię prawdę. Nie jestem na tyle dobra, aby Mistrz zaczął mnie szkolić. Zaczęłam się spotykać z Mikhailem, żeby poświęcał mi uwagę podczas ćwiczeń. Na pewno nie mam sławnego nazwiska, którym mogę się poszczycić.

– Jasne – odparła Celaena. – Tak, większość ludzi w Adarlanie zna moje imię. Boją się go. – Traciła panowanie nad sobą z oszałamiającą prędkością. – Ale ty... Chcesz poznać prawdę o sobie, Ansel? Nawet jeśli wrócisz do ojczyzny i osiągniesz to, czego pragniesz, nawet jeśli odzyskasz ojcowiznę, wszyscy machną na to ręką. Nikt nawet o tym nie usłyszy, bo nikomu poza tobą na tym nie zależy!

Pożałowała swych słów natychmiast po tym, jak je wypowiedziała. Ansel pobladła z wściekłości i zacisnęła mocno drżące usta. Odrzuciła łopatę. Celaena była przez moment przekonana, że czerwonowłosa zabójczyni rzuci się na nią, i nawet ugięła lekko kolana w oczekiwaniu na atak.

Ansel przeszła jednak tylko obok niej i rzuciła:  
– Jesteś tylko rozpuszczoną, samolubną suką.  
Z tymi słowami wyszła.

## Rozdział dziewiąty

**T**ej nocy Celaena nie mogła się skupić na lekcji z Mistrzem. Słowa Ansel dźwięczały jej w uszach przez cały dzień. Nie widziała przyjaciółki od paru godzin i bała się chwili, gdy będzie musiała wrócić do ich wspólnego pokoju i znów ją spotkać. Choć nie miała najmniejszej ochoty tego przyznać, w głębi serca czuła, że jej przyjaciółka ma rację. Była rozpuszczona i samolubna.

Mężczyzna strzelił palcami, a Celaena, która ponownie studiowała ruchy żmii, uniosła głowę. Choć wciąż naśladowała manewry gada, nie zauważyła, że ten powoli pełźnie ku niej.

Odskoczyła o metr i przywarła do ściany otaczającej mur, ale zatrzymała się, gdy poczuła dłoń Mistrza na swym ramieniu. Nakazał jej gestem zapomnieć o żmii i usiąść obok niego na jednej z blanek, które otaczały cały dach. Celaena, wdzięczna za chwilę przerwy, wskoczyła na kamienną konstrukcję, starając się nie spoglądać w dół. Nie bała się wysokości i miała świetny zmysł równowagi, ale siedzenie na skraju przepaści nie było zbyt przyjemne.

Mistrz uniósł brwi, jakby nakazywał jej mówić.

Dziewczyna wsunęła lewą stopę pod prawe udo, nie spuszczając oka ze żmii, która odpełzła w cień dachu.

Ale przecież jej kłótnia z Ansel była taka... Taka dziecinna! Przecież Mistrz Milczących Zabójców nie będzie chciał słuchać o jakiejś drobnej sprzeczce!

Wśród drzew otaczających twierdzę cykały cykady, a gdzieś w ogrodach odezwał się słowik. Mężczyzna kazał jej mówić... Ale o czym?

Nie miała nic do powiedzenia, więc przez chwilę siedzieli w milczeniu na blance. Cykady umilkły, księżyc oddalił się, a niebo zaczęło jaśnieć. Mówić... Miała mówić o tym, co ją prześladowało od wielu miesięcy, co nawiedzało każdą jej myśl, każdy sen, każdą chwilę. Mówić.

– Boję się wrócić do domu – powiedziała w końcu, wpatrując się w wydmy majaczące daleko za murami.

Było już na tyle widno, że dostrzegła unoszące się brwi Mistrza. „Dlaczego?”

– Bo wszystko będzie inne. Wszystko już jest inne. Myślę, że zaczęło się od kary, jaką wymierzył mi Arobynn, ale... ale jakaś część mnie myśli, że świat znów będzie taki sam jak wcześniej. Przed moją wyprawą do Zatoki Czaszek.

Twarz Mistrza była nieprzenikniona, ale jego oczy świeciły niczym szmaragdy. Kryło się w nich współczucie i smutek.

– Nie jestem pewna, czy chcę, żeby wszystko wyglądało tak jak wcześniej – przyznała. – I myślę... myślę, że tego chyba boję się najbardziej.

Mężczyzna uśmiechnął się, dodając jej odwagi, a potem rozciągnął mięśnie szyi, podniósł ramiona nad głowę i stanął na blance.

Celaena znieruchomiała, nie wiedząc, czy ma uczynić to samo.

Mistrz jednak nawet na nią nie spojrział. Rozpoczął ćwiczenia pełne gracji, eleganckie niczym taniec i śmiertelne jak ruchy żmii czającej się na dachu.

Zmija.

Przyglądając się mentorowi, Celaena dostrzegała każdą z umiejętności, które nabyła przez ostatnie dni. Widziała skupioną moc oraz szybkość, spryt i oszczędność ruchów.

Mistrz powtórzył cykl ćwiczeń. Wystarczyło jedno jego spojrzenie w kierunku zabójczyni, aby natychmiast wskoczyła na blankę w ślad za nim. Uważając, żeby nie stracić równowagi, powtórzyła wszystkie ruchy mężczyzny. Mięśnie podpowiadały jej, że wykonuje je prawidłowo. Uśmiechnęła się, gdyż noce spędzone na obserwacji przynosiły teraz skutek.

Łuk zatoczony ramieniem, po nim kolejny, wygięcie korpusu, prawidłowy rytm oddychania. Ruch za ruchem Celaena przeistaczała się w żmiję, aż zza horyzontu wyłoniło się słońce i zalało ich czerwonym światłem.

Ruch za ruchem, aż świat się oddalił. Była tylko ona i Mistrz, oddychający w tym samym rytmie, witający nowy dzień.

Godzinę po wschodzie słońca dziewczyna wróciła do swojej kwatery, przygotowana na kolejną kłótnię, ale odkryła, że Ansel już udała się do stajni. Poprzedniego dnia czerwonołosa zabójczyni zniknęła, pozostawiając jej całą robotę, więc Celaena zdecydowała, że odpłaci jej



pięknym za nadobne. Westchnęła z zadowoleniem i padła na łóżko.

Obudziło ją szarpanie za ramię i smród obornika.

– Mam nadzieję, że jest już popołudnie – mruknęła, przekręcając się na brzuch i kryjąc twarz w poduszkach.

Ansel zachichotała.

– Och, już prawie czas na kolację. A stajnia i boksy są w świetnym stanie, choć to raczej nie twoja zasługa.

– Wczoraj zostawiłaś wszystko na mojej głowie – wymamrotała Celaena.

– Tak, cóż... Przepraszam.

Celaena wyprostowała się i spojrzała na dziewczynę, która stała nad jej łóżkiem i wykręcała dłonie. Znów miała na sobie zdobny pancerz. Na jego widok Zabójczyni Adarlanu aż się skrzywiła – przypomniała sobie historię opowiedzianą przez przyjaciółkę.

Ansel założyła kosmyki czerwonych włosów za uszy.

– Nie powinnam była ci tego mówić. Nie jesteś rozpuszczona ani samolubna.

– Och, nie przejmuj się. Ja j e s t e m rozpuszczona i samolubna. I to jeszcze jak. – Celaena usiadła na łóżku, a przyjaciółka obdarzyła ją lekkim uśmiechem. – Ale ja też przepraszam za to, co powiedziałam. Wcale tak nie myślę.

Ansel pokiwała głową, a potem zerknęła na zamknięte drzwi, jakby spodziewała się, że ktoś za nimi stoi.

– Mam tu mnóstwo przyjaciół, ale ty jesteś jedyną prawdziwą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam. Przykro mi, że wyjeżdżasz.

– Zostało nam jeszcze pięć dni – rzekła Celaena.

Wiedziała, że czerwonowłosa wojowniczką jest bardzo lubiana. To, że czuła się nieco samotna, zaskoczyło ją oraz sprawiło, że poczuła ulgę.

Ansel znów zerknęła na drzwi. Czym się tak denerwowała?

– Zachowaj o mnie miłe wspomnienia, dobrze?

– Spróbuję. Ale to może być trudne.

Dziewczyna zaśmiała się cicho i ujęła dwa puchary stojące na stoliku przy oknie.

– Przyniosłam trochę wina – powiedziała. Podała jedno naczynie Celaenie, a potem uniosła własne. – Za dobre wspomnienia i rychłe odpokutowanie win.

– Za najstraszliwsze, najbardziej imponujące dziewczyny świata! –  
Zabójczynie Adarlanu uniosła puchar i upiła spory łyk trunku.

W tej samej chwili naszły ją dwie myśli.

Po pierwsze, oczy Ansel były pełne smutku, którego nie próbowała  
nawet ukryć.

Po drugie – co by wyjaśniało pierwsze – wino dziwnie smakowało.

Nie miała już czasu na zgadywanie, jaką truciznę jej podano.  
Usłyszała brzęk własnego naczynia spadającego na podłogę, a potem  
świat wokół zawirował i zalała ją czerń.

## Rozdział dziesiąty

**K**toś tłukł w kowadło bardzo blisko jej głowy, tak blisko, że fizycznie czuła każde uderzenie. Dźwięk przeszywał jej umysł i stopniowo wyrywał ją ze snu.

Zerwała się i usiadła. Nie było żadnego młota ani kowadła, a jedynie ogromny ból głowy. Nie znajdowała się już w fortecy zabójców – dokoła siebie widziała tylko bezkresne morze czerwonych wydm, a nad sobą łeb czuwającej Kasidy. Cóż, przynajmniej nadal żyła.

Przeklinając, zerwała się na równe nogi. Co planowała Ansel?

Księżyc świecił dość jasno i dziewczyna zorientowała się, że twierdza znikła za horyzontem. Cały jej dobytek znajdował się w jukach Kasidy, wszystko z wyjątkiem miecza. Przeszukiwała torby raz za razem, ale broni nigdzie nie było. Sięgnęła po jeden ze swoich długich sztyletów, ale zeszywniała, gdy jej dłoń natrafiła na rulon papieru zatknięty za pas.

Ktoś pozostawił przy niej również latarnię. Szybko rozpalila ogień i uklękła przy wątłym światełku, aby drżącymi dłońmi rozwinać papier.

Natychmiast rozpoznała niemalże nieczytelny charakter pisma Ansel. List nie był długi.

*Przykro mi, że tak to się kończy. Mistrz uznał, że lepiej pozwolić Ci odejść w ten sposób. Nie chciał okrywać Cię wstydem i kazać Ci wyjechać przy wszystkich. Kasida należy do Ciebie. W jukach znajdziesz list pochwalny napisany przez Mistrza. Wracaj do domu.*

*Będę za Tobą tęsknić,*

*Ansel*

Celaena przeczytała list trzykrotnie, aby mieć pewność, że niczego nie przeoczyła. Kazano jej odejść... Ale dlaczego? Przynajmniej miała list pochwalny, ale... Ale cóż takiego uczyniła, że chcieli jej się tak pospiesznie pozbyć? Dlaczego mieszkańcy twierdzy odurzili ją narkotykiem i porzucili na wydmach? Przecież pozostało jej zaledwie pięć dni! Czy Mistrz naprawdę nie mógł zaczekać?

Jej oczy płonęły. Analizowała wszystkie wydarzenia ostatnich kilku dni, szukając okoliczności, które mogłyby urazić Mistrza. Podniosła się i zaczęła szperać w jukach, aż odnalazła list pochwalny. Była to złożona na czworo kartka z woskową pieczęcią w kolorze morskiej zieleni.

„Odrobina próżności nie zawadzi” – pomyślała.

Jej palce zastygły nad pieczęcią. Gdyby ją złamała, Arobynn mógłby oskarżyć ją o sfałszowanie listu. A co, jeśli Mistrz napisał o niej same negatywne rzeczy? Ansel wspomniała jednak, że to list pochwalny, więc nie mógł zawierać nic złego. Zabójczyni wsunęła go z powrotem do juków.

Może Mistrz również sobie uzmysłowił, że Celaena jest zepsuta i samolubna. Może wszyscy z trudem ją znosili, a gdy dowiedzieli się o jej kłótni z Ansel, zadecydowali, że powinna się pakować. Nie zdziwiłoby jej to. W końcu mieszkańcy twierdzy dbali głównie o siebie i własne interesy. Cóż z tego, że przez chwilę czuła się jak jedna z nich? Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna miała wrażenie, że znalazła miejsce, które mogła potraktować jako własne; miejsce, w którym mogła nauczyć się czegoś więcej niż tylko sztuki oszukiwania i odbierania życia.

Pomyliła się jednak, a uświadomienie sobie tego faktu sprawiło jej więcej bólu niż cięgi Arobynna.

Jej usta drżały, ale wyprostowała się i przyjrzała nocnemu niebu. Odnalazła Jelenia oraz wiszącą nad nim gwiazdę, która pokazywała drogę na Północ. Westchnęła, zdmuchnęła latarnię, wskoczyła na Kasidę i odjechała w mrok nocy.

Kierowała się na Xandrię. Chciała znaleźć statek, którym popłynęłaby prosto do domu. Nie miała ochoty na podróż przez Śpiewające Piaski do Yurpy, gdzie zeszła na ląd podczas podróży na Południe. Nie dysponowała przewodnikiem, a więc właściwie nie miała wielkiego wyboru. Nie spieszyła się. Czasem zeskakiwała z siodła i szła obok Kasidy, która również wydawała się smutna po opuszczeniu Milczących Zabójców i ich luksusowych stajni.

Następnego dnia wznowiła podróż dopiero późnym popołudniem. Po pokonaniu kilku kilometrów usłyszała rytmiczne dudnienie, które stawało się coraz głośniejsze. Doszedł do tego szcęk metalu i ostre głosy. Dziewczyna wskoczyła na grzbiet klaczy i wjechała na wydmy.

W sporej odległości od siebie ujrzała maszerujący oddział, składający się przynajmniej z dwustu ludzi. Niektórzy nieśli czarnoczerwone sztandary. Byli to żołnierze lorda Bericka. Tworzyli długą kolumnę, wzdłuż której galopowali jeźdźcy. Celaena nigdy nie widziała Bericka, ale wystarczyło się przyjrzeć oddziałowi, aby nabrać pewności, że żadnego lorda w nim nie ma. Zapewne został na tyłach.

Ale dokąd oni zmierzali przez takie pustkowia? Nie było tu nic oprócz...

Celaenie zaschło w ustach. Oprócz... twierdzy zabójców.

Jeden z jeźdźców wstrzymał konia. Sierść jego czarnej klaczy lśniła od potu. Żołnierz wpatrywał się w zabójczynię. Dziewczyna miała na sobie długą białą szatę, która zakrywała wszystko z wyjątkiem oczu, i rozpoznanie jej graniczyło z cudem.

Nawet z takiej odległości dostrzegła u mężczyzny łuk i kołczan. Czy był dobrym strzelcem?

Nie ośmieliła się nawet drgnąć. Przyciągnięcie uwagi całego oddziału było doprawdy ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę. Wszyscy ludzie Bericka mieli ciężkie miecze, sztylety, tarcze i strzały. Z pewnością nie planowali przyjaznej wizyty. Nie w takiej liczbie.

Czy to z tego powodu Mistrz ją odesłał? Czy wiedział, że do tego dojdzie, i nie chciał, aby uwikłała się w ich konflikt?

Celaena pozdrowiła żołnierza skinieniem głowy i ruszyła w dalszą drogę ku Xandrii. Jeśli Mistrz nie chciał mieć z nią nic wspólnego, z pewnością nie musiała ich ostrzegać, tym bardziej że prawdopodobnie wiedział o wszystkim i miał fortecę pełną zabójców. Dwustu żołnierzy nie było w stanie sprostać siedemdziesięciu sessiz suikast.

Zabójcy dadzą sobie radę. Nie potrzebowali jej. Dali jej to wyraźnie do zrozumienia.

Mimo to odgłos stłumionych kroków Kasidy oddalającej się od fortecy był coraz trudniejszy do zniesienia.

Następnego dnia rano Xandria wydała jej się niezwykle cicha. Z początku Celaena myślała, że mieszkańcy czekają na wieść o wyniku starcia, ale szybko uświadomiła sobie, że w tym miejscu jest to całkiem normalne. Miasto wydawało się ciche dlatego, że wcześniej widziała je podczas dnia targowego. Wijące się wąskie uliczki, które wówczas przepełniał tłum handlarzy, teraz były puste. Leżały na nich tylko strzępy palmowych liści oraz zalegał piasek, który przesuwiał się

pod naporem ostrych wiatrów wiejących znad morza.

Celaena wykupiła miejsce na statku żeglującym do Amier. Był to najbliższy port w Melisande po drugiej stronie Zatoki Oro. Król Adarlanu nałożył embargo na statki z Xandrii przybywające do innych części jego państwa, a więc odległy, zapomniany port, taki jak Amier, był najlepszym wyborem. Stamtąd zabójczynie chciała wrócić do Rifthold na grzbiecie Kasidy. Liczyła na to, że uda jej się złapać łódź na rzece Avery, aby w ten sposób pokonać ostatni odcinek drogi powrotnej.

Statek miał wypłynąć dopiero podczas przyływu po południu i Celaena miała kilka godzin na spacer po mieście. Po sprzedawcy pajęczego jedwabiu, szewcu oraz kapłankach nie było ani śladu.

Dziewczyna martwiła się, że ktoś rozpozna jej klacz, ale jeszcze silniejsza była obawa, że zostanie skradziona pod jej nieobecność. Prowadziła więc rumaka tylnymi uliczkami, aż znalazła koryto z wodą, przy którym nikt się nie kręcił. Oparła się o mur z piaskowca, a klacz piła do syta. Czy ludzie lorda Bericka dotarli już do fortecy? Szli w takim tempie, że przypuszczalnie będą na miejscu w nocy bądź jutro wczesnym rankiem. Celaena miała nadzieję, że Mistrz będzie przygotowany i że uzupełnił ową łatwopalną substancję w ukrytym rowie. Czy odesłał ją dla jej dobra, czy może naprawdę nie zdawał sobie sprawy ze zbliżającego się zagrożenia?

Zerknęła na pałac górujący nad miastem. Berick nie towarzyszył swym ludziom. Jeśli przyniesie głowę Niemego Mistrza królowi Adarlanu, ten z pewnością zniesie embargo. Czy lord robił to dla swych ludzi, czy może dla siebie?

Ale Czerwona Pustynia również potrzebowała zabójców. Przecież emisariusze z obcych dworów przywozili pieniądze i ożywiali handel.

Berick wraz z Mistrzem z pewnością komunikowali się przez ostatnich kilka tygodni. Co poszło nie tak? W zeszłym tygodniu Ansel złożyła mu wizytę, ale nie wspominała o żadnych kłopotach. Wydawała się zresztą całkiem zadowolona.

Celaena nie miała pojęcia, dlaczego akurat w tym momencie po jej plecach przeszedł dreszcz. Nie wiedziała również, dlaczego nagle zaczęła grzebać w jukach w poszukiwaniu obu listów.

Gdyby Mistrz wiedział o ataku, przygotowywałby teraz obronę, a nie odsyłał Celaenę. Była przecież największą Zabójczynią Adarlanu.

Gdyby wiedział o dwustu ludziach szykujących się do ataku na twierdzę, zatrzymałby ją. W przeciwieństwie do Arobynna nie był dumnym człowiekiem. Darzył swych uczniów prawdziwą miłością, dbał o nich i troszczył się. Nigdy jednak nie ćwiczył Ansel. Dlaczego?

A skoro w fortecy mieszkało tylu ludzi, których kochał, czemu odesłał jedynie Celaenę? Dlaczego nie wysłał ich wszystkich?

Serce biło jej tak szybko, że aż się zachwiała. Rozdarła kopertę zawierającą list pochwalny.

W środku znalazła tylko czystą kartkę.

Odwróciła ją, ale po drugiej stronie również niczego nie było. Podniosła papier ku słońcu, ale nie dostrzegła żadnych śladów atramentu sympatycznego ani znaków wodnych. Przecież list był zapieczętowany... Na kopercie znajdowała się pieczęć Mistrza...

Ale kradzież sygnetu nie była niczym nadzwyczajnym! Sama z łatwością podwędziła sygnet kapitana Rolfe'a. Poza tym zauważyła białą obwódkę wokół palca Mistrza. Od dawna nie nosił pierścienia!

Ale skoro Ansel odurzyła ją i wręczyła dokument z pieczęcią Mistrza...

Nie, to było niemożliwe. I nie miało sensu. Dlaczego Ansel miałaby ją odesłać i udawać, że stoi za tym Mistrz? Chyba że...

Celaena spojrzała na pałac lorda Bericka. Chyba że odwiedzała lorda Bericka we własnych interesach, a nie Mistrza. Może wypełniała wolę Mistrza na początku, aby zdobyć jego zaufanie. Przywódca zabójców sądził, że dziewczyna naprawia stosunki między nim a Berickiem, a tymczasem czerwonołosa wojowniczką robiła coś dokładnie odwrotnego. Handlarz pajęczym jedwabiem wspomniał o szpiegu wśród zabójców. O szpiegu pracującym dla Bericka. Ale czemu miałaby to robić?

Celaena nie miała czasu do namysłu. Do twierdzy zbliżał się przecież silny oddział wroga. Mogła wprawdzie wypytać o wszystko lorda Bericka, ale to również zabrałoby mnóstwo cennego czasu.

Wróg dysponował dwustoma ludźmi. Jeden wojownik niewiele znaczył wobec takiej przewagi, ale przecież nie na darmo była Celaeną Sardothien. To musiało mieć jakieś znaczenie. To na pewno miało znaczenie.

Wskoczyła na grzbiet Kasidy i zawróciła w kierunku bram miasta.

– Zobaczmy, jaka jesteś szybka! – szepnęła do ucha klaczy i spięła

ją do galopu.



## Rozdział jedenasty

**K**asida pędziła wśród wydm niczym spadająca gwiazda na czerwonym niebie, a skok nad szczeliną w Ścianie ponownie okazał się dla niej równie łatwy, jak sus nad potokiem. Celaena zatrzymała się tylko na chwilę, aby zwierzę mogło odpocząć i napić się wody. Dziewczyna przepraszała klacz za to, że zmusza ją do takiego wysiłku, ale ta nie zwolniła ani na moment. Zachowywała się tak, jakby i ona zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji.

Jechały przez całą noc, aż nad wydmami rozkwitł karmazynowy świt, a na niebie pojawiły się dymy. Oczom Celaeny ukazała się forteca.

Tu i ówdzie płonęły ognie, słychać było okrzyki oraz szczęk broni. Zabójcy nie poddali się, choć mury zostały sforsowane. Na piasku przed bramą leżało kilka ciał, ale sama brama nie nosiła śladów ataku, zupełnie jakby ktoś nie zamknął jej na noc.

Przed ostatnią wydmą Celaena zeskoczyła z Kasidy, pozostawiając klaczy wolny wybór. Mogła podążyć za nią albo udać się tam, gdzie chciała. Zabójczyni przekradła się aż pod mur fortecy, zatrzymując się tylko po to, aby odebrać miecz jakiemuś martwemu żołnierzowi. Był to tani, źle wyważony oręż, ale wystarczająco ostry. Stłumiony stukot kopyt zdradził jej, że Kasida nadal trzymała się blisko niej, ale Celaena nie ośmieliła się ani na moment oderwać wzroku od sceny, która ukazała się jej oczom.

Za murami ujrzała bowiem kolejne ciała, zarówno żołnierzy, jak i zabójców. Nie ostał się tu nikt przy życiu, a przecinające plac niewielkie strumyki były czerwone od krwi. Idąc dalej, Celaena starała się nie spoglądać na twarze zabitych.

W kilku miejscach płonął ogień, a z kup popiołu buchał dym. Sterczące z nich zwęglone resztki strzał wypowiedziały dziewczynie, że fortecę ostrzelano płonącymi pociskami. Każdy krok zdawał się trwać wiecznie. Krzyki i szczęk oręża dobiegały z innych części twierdzy. Kto wygrywał? Na piasku leżało niewiele trupów, a więc jeśli tyłu żołnierzy wdarło się do środka, ktoś musiał ich wpuścić, do

czego zapewne doszło w nocy. Ile czasu upłynęło, zanim wartownicy zauważyli przekradających się napastników? A może straż została cichcem wyeliminowana, zanim zdołała podnieść alarm.

Stawiając krok za krokiem, Celaena zrozumiała, że powinna sobie zadać o wiele ważniejsze pytanie.

„Gdzie jest Mistrz?”

Przecież Berick pragnął tylko głowy Mistrza.

A Ansel...

Celaena nie chciała dokończyć tej myśli. Nie wyprawiłaby jej w drogę właśnie dlatego. Przecież ona nie mogła stać za tym wszystkim. Ale...

Zerwała się do biegu w kierunku sali audiencyjnej Mistrza, nie zwracając uwagi na hałas. Wszędzie widziała krew i zniszczenie. Mijała dziedzińce pełne żołnierzy i zabójców zwartych w walce na śmierć i życie.

Była już w połowie schodów prowadzących do sali Mistrza, gdy drogę przeciął jej jakiś żołnierz. Biegł ku niej z wyciągniętą bronią. Uniknęła ciosu wymierzonego w głowę, a sama cięła nisko, lecz głęboko. Jej sztylet wbił się w trzewia napastnika. W takich upałach żołnierze rezygnowali z noszenia metalowych zbroi, a ta skórzana nie była w stanie zatrzymać ostrza.

Celaena odskoczyła w bok, a żołnierz upadł z jękiem i potoczył się po schodach. Dziewczyna nie zaszczyciła go nawet jednym spojrzeniem i natychmiast zerwała się do biegu. Na piętrze panowała absolutna cisza.

Zabójczyni wstrzymała oddech i przypadła do otwartych drzwi sali. Dwustu żołnierzy miało zniszczyć fortecę i wywołać zamieszanie, a w tej sytuacji wszyscy mogli zapomnieć o Mistrzu i skupić się na walce. Nikt by wówczas nie strzegł przywódcy zabójców, ale przecież on nadal pozostawał Mistrzem! Czy Ansel naprawdę liczyła na to, że zdoła go pokonać?

Chyba że jego też otruła. Czy w innej sytuacji byłaby w stanie rozbroić go i pojmać?

Celaena wpadła przez otwarte drzwi i niemal potknęła się o ciało spoczywające na podłodze.

Był to Mikhail, który leżał na plecach z poderżniętym gardłem. Jego niewidzące oczy wpatrywały się w sufit wyłożony płytkami. Obok

niego próbował podnieść się Ilias, trzymając się za krwawiącą ranę na brzuchu. Celaena stłumiła okrzyk. Mężczyzna uniósł głowę, a z jego ust pociekła krew. Uklękła przy nim, ale wtedy młodzieniec wskazał dalszą część pomieszczenia przed nimi.

Tam znajdował się jego ojciec.

Mistrz leżał na szczycie podwyższenia. Miał otwarte oczy, jego szaty nie były poplamione krwią, ale nie ruszał się. Był pod wpływem narkotyku podanego mu przez Ansel.

Ta stała nad nim, zwrócona do Celaeny plecami. Mówiła coś cicho, pospiesznie, bez ładu i składu. W dłoni trzymała miecz ojca, skierowany zakrwawionym ostrzem ku podłodze. Mistrz spojrział na Celaenę, a potem na Iliasa. Jego oczy były pełne bólu. Własne cierpienie było mu obojętne, myślał tylko o swym wykrwawiającym się synu. Spojrział raz jeszcze na Celaenę, a jego oczy w kolorze morskiej zieleni wyrażały prośbę:

„Uratuj mego syna”.

Ansel nabrała tchu i uniosła miecz, chcąc odciąć Mistrzowi głowę.

Celaena miała tylko ułamek sekundy, aby złapać za sztylet. Zamachnęła się i wypuściła ostrze.

Sztylet trafił Ansel w przedramię, dokładnie tam, gdzie zabójczyni mierzyła. Czerwonowłosa wojowniczką krzyknęła i wypuściła oręż, który z brzękiem spadł na podłogę. Odwróciła się, pobladła, ściskając krwawiącą ranę, ale na widok Celaeny jej oczy zasnuł pozbawiony litości mrok. Sięgnęła po leżący na podłodze miecz.

Ale Celaena już biegła ku niej.

Ansel złapała za broń, doskoczyła do Mistrza, uniosła ostrze wysoko i opuściła je na jego szyję.

Zabójczyni Adarlanu zdołała wpaść na nią w ostatniej chwili. Obie z hukiem upadły na ziemię i przetoczyły się. Załopotwały szaty, zgrzytnęła stal. Celaena uniosła nogi i wymierzyła przeciwnicze potężnego kopniaka. Odrzuciła ją od siebie i zerwała się z podłogi.

Ansel również się podniosła i złapała obiema rękami za miecz. Nadal znajdowała się między Celaeną a sparaliżowanym Mistrzem. Krew z jej rozciętego ramienia kapała na podłogę.

Obie oddychały ciężko. Celaena opanowała zawrót głowy.

– Nie rób tego – szepnęła.

Ansel zaśmiała się cicho.

– Chyba kazałam ci wracać do domu.

Celaena wyciągnęła miecz. Żałowała, że nie dzierży prawdziwego ostrza jak Ansel zamiast tego kawałka złomu. Dłoń trzymająca broń zadrżała, gdy uświadomiła sobie, kto stoi między nią a Mistrzem. Nie był to jakiś nieznany żołnierz ani człowiek, którego zlecono jej zabić. Była to Ansel.

– Dlaczego? – spytała szeptem.

Dziewczyna przechyliła głowę i uniosła swój miecz nieco wyżej.

– Dlaczego? – powtórzyła.

Celaena nigdy nie widziała nic bardziej potwornego od nienawiści, która wykrzywiła oblicze czerwonowłosej wojowniczkę.

– Bo lord Berick obiecał mi tysiąc ludzi, z którymi odbiję Płaskie Krainy. Kradzież koni była pretekstem, którego potrzebował, żeby zaatakować fortecę. W zamian miałam jedynie zająć się wartownikami oraz zostawić wrota otwarte na całą noc. Aha, i przynieść mu to. – Wskazała mieczem Mistrza leżącego za nią. – Jego głowę. – Zmierzyła Celaenę od góry do dołu, a ta poczuła, że drży jeszcze mocniej. Znienawidziła się za tę reakcję. – Odłóż miecz, Celaeno.

Zabójczyni Adarlanu ani drgnęła.

– Idź do piekła.

Ansel zachichotała.

– Już tam byłam. Spędziłam w piekle trochę czasu jako dwunastolatka, pamiętasz? Kiedy wkroczę na Płaskie Krainy z ludźmi Bericka, dopilnuję, żeby król Loch również ujrzał fragment piekła. Ale najpierw...

Odwróciła się do Mistrza, a Celaena wciągnęła głośno powietrze.

– Nie – powiedziała.

Ansel była na tyle daleko, że mogła zabić Mistrza, zanim przeciwniczka zdołałaby ją powstrzymać.

– Odwróć wzrok, jeśli się boisz. – Dziewczyna podeszła bliżej do leżącego mentora.

– Jeśli go tkniesz, przebiję ci szyję mieczem – warknęła Celaena. Jej głos drżał i mrugnęła kilkakrotnie, aby pozbyć się wilgoci z oczu.

Ansel spojrzała przez ramię.

– Nie wydaje mi się – stwierdziła i podeszła jeszcze bliżej do sparaliżowanego mężczyzny.

Celaena cisnęła kolejnym podniesionym z podłogi sztyletem. Jego ostrze zarysowało bok zbroi Ansel, spadło z trzaskiem na podłogę i zatrzymało się przed podium.

Dziewczyna przystanąła i uśmiechnęła się słabo.

– Chybiłaś.

– Nie rób tego.

– Dlaczego?

Celaena położyła dłoń na sercu, a drugą ujęła mocno rękojeść miecza.

– Bo wiem, jak to jest – odparła i odważyła się podejść bliżej. – Bo znam ten rodzaj nienawiści, Ansel. Wiem, co czujesz. I wierz mi, nie tędy droga. Nie! – powiedziała głośniejszym głosem, wskazując fortecę, trupy i walczących. – Nie tędy droga.

– Zabójczynie mówi takie rzeczy! – parsknęła Ansel.

– Stałam się zabójczynią, ponieważ nie miałam wyboru. Ty jednak zawsze miałaś wybór. Nie zabijaj go.

Słowa te jednak miały inne znaczenie: „Nie prowokuj mnie. Nie chcę cię zabić”.

Ansel przymknęła powieki. Celaena uspokoiła nadgarstek, usiłując wybadać ciężar broni. Gdy czerwonowłosa wojowniczką znów otworzyła oczy, Zabójczynie Adarlanu nie znalazła w nich wiele z dziewczyny, którą tak polubiła przez ostatni miesiąc.

– Ci ludzie – powiedziała Ansel, unosząc wyżej miecz. – Ci ludzie wszystko niszczą.

– Wiem.

– Wiesz, a mimo to nic nie robisz! Jesteś niczym pies na łańcuchu swego mistrza! – Czerwonowłosa podeszła do niej, opuszczając broń.

Celaena prawie odetchnęła z ulgą, ale nie rozluźniła dłoni zaciśniętej na rękojeści miecza. Oddychała chrapliwie.

– Mogłabyś pojechać ze mną – ciągnęła Ansel i odsunęła kosmyk jej włosów. – Razem mogłybyśmy podbić Płaskie Krainy, a z ludźmi Bericka...

Musnęła dłonią jej policzek, a Celaena powstrzymała odruch cofnięcia się. Przeraziła ją zarówno jej bliskość, jak i słowa, które usłyszała.

– Stałabyś się moją prawą ręką. Razem odbiłybyśmy Płaskie Krainy.

– Nie mogę – odparła Celaena, choć wyraźnie ujrzała zamysł dziewczyny i musiała przyznać, że propozycja była kusząca.

Ansel cofnęła się.

– A cóż takiego szczególnego jest w Rifthold? Jak długo będziesz jeszcze kłaniać się przed tym łajdakiem?

– Nie mogę udać się z tobą i dobrze o tym wiesz. Weź swoje oddziały i wyjedź stąd.

Na twarzy Ansel malowały się najróżniejsze emocje – ból, wyparcie, wściekłość.

– A więc dobrze.

Celaena ledwie zdążyła odchylić głowę, aby uniknąć ukrytego sztyletu, który wystrzelił z nadgarstka przeciwniczki. Ostrze rozorało jej policzek i zalało jej szyję ciepłą krwią. Ugodziła ją w twarz! Ze wszystkich miejsc, w które mogła ją zranić, wybrała akurat twarz...

Ansel zamachnęła się mieczem tak celnie, że Celaena musiała wykonać salto do tyłu. Wylądowała na nogach, ale przeciwniczka była tak szybka, że Zabójczyni Adarlanu zdołała jedynie zablokować jej cios. Ich ostrza zwarły się.

Celaena zawirowała i odepchnęła wrogą stal. Zrobiła to z taką siłą, że Ansel potknęła się. Dziewczyna wykorzystała sposobność, aby odzyskać przewagę. Wyprowadzała uderzenie za uderzeniem, ale rywalka parowała każde z nich, a jej znakomity miecz z łatwością amortyzował ciosy.

Minęły podwyższenie z nieruchomym Mistrzem, a wtedy Celaena opadła na ziemię i cięła w nogę Ansel. Ta odskoczyła, unikając ciosu, a zabójczyni wykorzystała kilka cennych sekund, aby podnieść sztylet leżący na stopniach.

Gdy przeciwniczka cięła po raz kolejny, Celaena skrzyżowała ostrza miecza oraz sztyletu i pochwyciła w ten sposób jej klingę. Ansel znów się cicho roześmiała.

– Jak sobie wyobrażasz koniec tego starcia? – Naparła na ostrza dziewczyny. – A może walczymy na śmierć i życie?

Celaena stanęła pewniej na nogach. Nie miała pojęcia, że Ansel jest taka silna. Nigdy też nie wydawała się o tyle wyższa od niej. Jej zbroja również była problemem... Jak się przez nią przebić? Dostrzegła szczeliny tylko między pachą a żebrami oraz dokoła szyi.

– Ty mi powiedz – odparła. Krew z twarzy spływała jej po dekolcie.

– Wygląda na to, że wszystko sobie dobrze zaplanowałaś.

– Próbowałam cię ochronić. – Ansel znów napała na ostrza Celaeny, ale nie na tyle mocno, aby je rozerwać. – A ty i tak wróciłaś.

– Ochronić? Podałaś mi narkotyk i porzuciłaś na pustyni! – Zabójczyni odsłoniła zęby. Czuła się oszukana i zdradzona.

Zanim jednak zdołała przypuścić kolejny atak, Ansel uderzyła wolną dłonią. Jej pięść przemknęła nad skrzyżowanymi ostrzami i grzmotnęła Celaenę w czoło.

Głowa Sardothien odskoczyła do tyłu, a świat rozbłysnął jej przed oczami. Wylądowała na kolanach. Jej miecz i sztylet potoczyły się po podłodze.

Ansel przypadła do niej w jednej sekundzie. Zakrwawionym ramieniem przygniotła plecy rywalki, a ostrze trzymane w drugiej ręce przytknęła do jej zdrowego policzka.

– Podaj mi choć jeden powód, dla którego nie miałabym cię zabić tu i teraz? – szepnęła jej do ucha, odrzucając kopnięciem jej miecz. Upuszczony sztylet leżał w pobliżu, ale poza zasięgiem Celaeny.

Zabójczyni Adarlanu szarpała się, usiłując oddalić twarz od wrogiego ostrza.

– Och, ależ ty jesteś próżna – stwierdziła Ansel i wbiła czubek miecza w skórę Celaeny, która aż skrzywiła się z bólu. – Boisz się, że oszpecę ci twarz? – Czubek ostrza przesunął się w dół i wgryzł się w gardło dziewczyny. – O szyję też się tak boisz?

– Przestań.

– Nie chciałam, aby nasza przyjaźń tak się skończyła. Nie chciałam, żebyś brała w tym udział.

Celaena wierzyła w to. Gdyby Ansel chciała ją zabić, już dawno by to zrobiła. Gdyby chciała zabić Mistrza, też by to zrobiła. Przez cały czas miotała się między sadystyczną nienawiścią a żalem.

– Jesteś szalona – powiedziała Celaena.

Ansel parsknęła.

– Kto zabił Mikhaila? – dopytywała się zabójczyni. Chciała, żeby jej przeciwniczka nie przestawała mówić i skupiła się tylko na sobie. Porzucony sztylet leżał przecież w odległości zaledwie kilku metrów...

– Ja – przyznała Ansel. W jej głosie nie było już tyle zaciekłości co przed chwilą. Celaena leżała na brzuchu i nie widziała twarzy dziewczyny, ale była przekonana, że wypowiedziała te słowa z żalem.

– Gdy ludzie Bericka zaatakowali, zerwałam się, żeby dotrzeć do Mistrza jako pierwsza. Nawet nie przyszło mu do głowy, aby powąchać wodę w dzbanie, z którego pociągnął łyk. Mikhail domyślił się, co planuję, i wpadł do sali audiencyjnej, ale było już za późno. Mistrz napił się wody. A potem napatoczył się jeszcze Ilias.

Celaena spojrzała na Iliasa, który leżał na podłodze. Wciąż oddychał. Mistrz nie spuszczał wzroku z syna, a w jego szeroko otwartych oczach wciąż błyszczała prośba. Iliasowi groziło wykrwawienie i ktoś musiał opatrzyć jego ranę. Palce Mistrza drgały lekko i zataczały łuki.

– Ilu jeszcze zabiłaś? – spytała Celaena, próbując skupić uwagę Ansel na sobie. Mistrz wciąż wykonywał owe ruchy. Było to coś na kształt powolnego, osobliwego wicia się.

– Tylko tych. I trzech wartowników. Pozwoliłam żołnierzom załatwić resztę.

Palce Mistrza skręcały się i wiły niczym... niczym żmija.

Jedno uderzenie wystarczyłoby w zupełności. Tak jak robią to żmije.

Ansel była szybka, więc Celaena musiała być jeszcze szybsza.

– Wiesz co, Ansel? – szepnęła, przypominając sobie ruchy, które miała za moment wykonać.

Wyobraziła sobie, jak poruszają się jej mięśnie. Modliła się, aby się nie zawahać i zachować koncentrację.

Ansel przycisnęła czubek ostrza do gardła Celaeny.

– Co? – warknęła.

– Chcesz wiedzieć, czego nauczył mnie Mistrz podczas naszych lekcji?

Poczuła, jak Ansel sztywnieje. Pytanie całkiem wytrąciło ją z równowagi, a Celaena dokładnie tego potrzebowała.

– Tego!

Obróciła się gwałtownie i wbiła ramię w chronioną pancerzem klatkę piersiową dziewczyny. Poniósł się głuchy huk, a ostrze wbiło się głębiej w szyję zabójczynie, ale czerwonołosa wojowniczką straciła równowagę i zatoczyła się do tyłu. Sardothien uderzyła w palce Ansel z taką siłą, że ta upuściła miecz prosto w rękę rywalki.

W ułamku sekundy, niczym obracająca się żmija, przybyszka z Północy przygwoździła przeciwniczkę do ziemi. Miecz ojca Ansel



celował teraz w tył jej karku. Celaena wbiła jedno kolano w plecy dziewczyny, a drugie oparła o podłogę. Dopiero wtedy zorientowała się, że w pomieszczeniu panuje absolutna cisza. Z miejsca, gdzie ostrze miecza rozcięło skórę Ansel, ściekała już krew, czerwieńsza od jej włosów.

– Nie rób tego – szepnęła pokonana tym samym głosem, który Celaena słyszała tak często, dziewczęcym i beztroskim. Ale może to też był element maskarady?

Celaena wbiła ostrze głębiej i Ansel wciągnęła powietrze, zamykając przy tym oczy.

Zabójczyni Adarlanu zacisnęła dłoń na mieczu i uspokoiła oddech, aby krew w jej żyłach zastąpiła stal. Ansel powinna umrzeć za to, co zrobiła. Zasługiwała na śmierć, nie tylko ze względu na zabójców zabitych podczas ataku, lecz także żołnierzy, którzy oddali życie, realizując jej zamysły. Powinna umrzeć i za to, co zrobiła Celaenie, która mimo wszystko poczuła, że pęka jej serce. Wiedziała, że ją straci, bez względu na to, czy przebije jej szyję ostrzem miecza, czy też nie. Już ją straciła.

Ale może świat stracił Ansel już dawno temu?

– Czy ty kiedyś czułaś to naprawdę? – spytała drżącym głosem.

Dziewczyna otworzyła jedno oko, wpatrując się w odległą ścianę.

– Były takie chwile. Jak choćby ta, w której odesłałam cię z fortecy.

Celaena stłumiła szloch i nabrała tchu, chcąc się uspokoić. Powoli odsunęła ostrze od szyi Ansel.

Dziewczyna poruszyła się, ale znieruchomiała, gdy Celaena znów przycisnęła stal do jej skóry. Na zewnątrz rozległy się ochryple okrzyki triumfu, ale i troski oraz niepokoju. Zabójcy odparli atak. Kiedy tu dotrą? Gdy zobaczą Ansel i przekonają się, że to wszystko jej wina... Wtedy bez wahania ją zabiją.

– Masz pięć minut, żeby się spakować i opuścić fortecę – powiedziała cicho. – Bo za dwadzieścia minut wejdę na blankę i wypuszczę strzałę. Dobrze by było, gdybyś znalazła się wówczas poza moim zasięgiem, bo strzała wbije ci się dokładnie w szyję.

Celaena uniosła miecz. Ansel wstała powoli, ale nie uciekała. Zabójczyni Adarlanu zrozumiała, że przeciwniczka czeka na miecz ojca. Spojrzała na rękojeść przypominającą wilczy łeb i krew spływającą po ostrzu. Było to jedyne ogniwo łączące Ansel z ojcem,

rodziną i resztą szalonej nadziei płonącej w jej sercu.

Obróciła ostrze i podała Ansel rękojeść. Oczy wojowniczkę były szeroko otwarte i lśniące od łez. Otworzyła usta, ale Celaena przerwała jej, mówiąc:

– Wracaj do domu.

Twarz Ansel pobleadła. Wzięła miecz i wsunęła go do pochwy. Obdarzyła Celaenę jeszcze jednym spojrzeniem, a potem zerwała się do biegu. Przeskoczyła nad ciałem Mikhaila, jakby było zaledwie kupką popiołu.

A potem znikła.

## Rozdział dwunasty

Celaena podbiegła do Iliasa, który jęknął, gdy go dotknęła. Rana w jego brzuchu nadal krwawiła. Dziewczyna oderwała kilka pasków materiału od swojej tuniki, która również nasiąknęła krwią, i zaczęła wołać o pomoc, obwiązując obrażenia mężczyzny.

Zaszeleściły szaty na kamieniu. Celaena spojrzała przez ramię i ujrziała Mistrza, który usiłował podczołgać się do syna. Działanie narkotyku najwyraźniej ustępowało.

Po schodach wbiegło pięciu zakrwawionych zabójców. Pobledli i szeroko otwarli oczy na widok Mikhaila i Iliasa. Celaena zostawiła młodzieńca pod ich opieką i podbiegła do Mistrza.

– Nie ruszaj się – powiedziała i skrzywiła się, gdy krew z jej twarzy ściekła na jego białe szaty. – Możesz zrobić sobie krzywdę.

Rozejrzała się w poszukiwaniu podanego mu narkotyku i podbiegła do przewróconego pucharka z brązu. Kilkakrotnie powąchała naczynie i odkryła, że wino zaprawiono niewielką ilością glorielli, dość dużą, aby go unieruchomić, ale nie zabić. Ansel zapewne chciała, żeby był całkowicie bezwładny przed śmiercią. Chciała, żeby wiedział, kto go zdradził, i był przytomny, gdy będzie odcinać mu głowę. Jak to możliwe, że nie zauważył trucizny, zanim zaczął pić? Może wcale nie był aż taki pokorny? Może stał się arogancki i zaczął wierzyć, że w fortecy jest bezpieczny?

– Narkotyk wkrótce przestanie działać – powiedziała Mistrzowi, ale potrzebowała antidotum, aby przyspieszyć proces. Jeden z zabójców wybiegł na zewnątrz.

Celaena usiadła przy mentorze, przyciskając dłoń do ran na szyi. Zabójcy na drugim końcu sali wynieśli Iliasa, zatrzymując się po drodze przy Mistrzu, aby przekazać mu, że życiu jego syna nie zagraża już niebezpieczeństwo.

Dziewczyna niemalże jęknęła z ulgi, ale wyprostowała się, gdy wokół jej nadgarstka zacisnęła się lekko sucha, zrogowaciała dłoń. Spojrzała na Mistrza, a ten zerknął na drzwi. Przypominał jej o obietnicy, którą złożyła. Ansel miała dwadzieścia minut na

wydostanie się z zasięgu jej strzały.

Nadszedł czas.

Ansel zdążyła się już zamienić w ciemną plamę na horyzoncie, a Hisli galopowała, jakby demony podgryzały jej pęciny. Wojowniczką zmierzała na północny zachód, ku Śpiewającym Piaskom oraz wąskiemu pasowi śmiertelnie niebezpiecznej dżungli, która oddzielała Opuszczone Kraje od reszty kontynentu. Dalej leżały Zachodnie Pustkowia, a na nich Briarcliff.

Celaena stanęła na blankach, wyciągnęła strzałę z kołczanu i nałożyła ją na cięciwę. Ta zaskrzypiała, odciągana coraz dalej i dalej. Ręka trzymająca ją wyprostowała się.

Dziewczyna skupiła się na drobnej sylwetce dosiadającej ciemnego konia i wycelowała.

W ciszy, która ogarnęła fortecę, cięciwa brzęknęła niczym harfa żałobna.

Strzała wzbiła się wysoko, a potem zaczęła bezlitośnie opadać. Czerwone wydmy pod nią zlewały się w plamę. Ku plecom Ansel zmierzał skrawek skrzydlatego mroku zakończony stalą. Niósł szybko, krwawą śmierć.

Hisli machnęła ogonem w bok, a strzała zagrzebała się w piasku kilka centymetrów za jej tylnymi kopytami. Ansel jednakże nie ośmieliła się spojrzeć za siebie. Pędziła naprzód, nie zatrzymując się.

Celaena opuściła łuk i patrzyła, jak dziewczyna znika za horyzontem. Obiecała, że wypuści jedną strzałę.

Dała jej też dwadzieścia minut na ucieczkę.

Strzała poszybowała w dwudziestej pierwszej minucie.

Następnego dnia rano Mistrz wezwał Celaenę do swej komnaty. Mieli za sobą długą noc, ale trzeba było opatrzyć Iliasa, gdyż zadana mu rana znajdowała się niebezpiecznie blisko żywotnych organów. Wszyscy ludzie Bericka zostali zabici, a ich ciała jechały właśnie na wozach pod mury Xandrii, aby mu uświadomić, że względów króla Adarlanu należy szukać gdzieś indziej. Zginęło dwudziestu zabójców i twierdzę przeppełniła głucha, żałobna cisza.

Celaena usiadła na fantazyjnie rzeźbionym drewnianym krześle i patrzyła na Mistrza, który obserwował niebo za oknem. O mały włos nie spadła z krzesła, gdy zaczął mówić:

– Cieszę się, że nie zabiłaś Ansel – rzekł. Jego głos był ochrypły, a

akcent pełen naleciałości z języka, którego nigdy wcześniej nie słyszała. – Zastanawiałem się, kiedy podejmie decyzję, co zrobić ze swoim życiem.

– A więc wiedziałeś...

Mistrz odwrócił się od okna.

– Wiedziałem o tym od kilku lat. Zorientowałem się już kilka miesięcy po jej przyjeździe. Wysłałem człowieka do Płaskich Krain, by zasięgnął języka tam na miejscu. Rodzina nie pisała do niej żadnych listów i martwiłem się, że coś im się stało. – Usiadł naprzeciwko Celaeny. – Kilka miesięcy później wrócił posłaniec, który powiedział mi, że Briarcliff nie istnieje. Król tych ziem i jego najstarsza córka zostali bestialsko zamordowani przez miejscowego władcę, a młodsza córka, Ansel, zaginęła.

– Dlaczego nie porozmawiałeś z nią o tym? – Celaena dotknęła wąskiego strupa na policzku.

Wiedziała, że jeśli zajmie się raną odpowiednio, nie będzie żadnej blizny. Jeśli zaś taka powstanie, być może spróbuje odnaleźć Ansel i odpłacić jej pięknym za nadobne.

– Miałem nadzieję, że w końcu zaufa mi i wyzna prawdę. Musiałem dać jej szansę, choć była to ryzykowna decyzja. Miałem nadzieję, że zrozumie, jak stawić czoła własnemu cierpieniu, i nauczy się je znosić. – Uśmiechnął się ze smutkiem do Celaeny. – Jeśli nauczysz się znosić swój ból, będziesz w stanie przetrwać wszystko. Niektórzy ludzie wchłaniają cierpienie, przyzwyczajają się do niego, a nawet zaczynają je kochać. Inni pogrążają się w rozpacz lub jakoś o nim zapominają. Jeszcze inni przekuwają swój ból w gniew. Ansel zaś pozwoliła na to, aby jej ból przerodził się w nienawiść i pochłonął ją do tego stopnia, że stała się kimś innym, osobą, którą stać się na pewno nie chciała.

Celaena słuchała uważnie jego słów, ale postanowiła przemyśleć je kiedy indziej.

– Czy powiesz wszystkim o tym, co zrobiła?

– Nie. Po co mają się gniewać? Wielu z nich sądziło, że Ansel jest ich przyjaciółką. Coś we mnie nadal wierzy, że między nami też czasem tak było.

Celaena spojrzała na podłogę, zastanawiając się, co począć z bólem w sercu. Czy zamieni się w furję, jak mówił Mistrz, i będzie mogła dzięki temu przetrwać najgorsze czasy?

– Jestem bowiem pewien – wychrypiał – że Ansel nigdy nie miała nikogo tak bliskiego jak ty. Nigdy nie pozwoliła sobie na przyjaźń. Myślę, że odesłała cię tylko dlatego, że naprawdę jej na tobie zależało.

Usta Celaeny zadrżały. Znienawidziła się za to.

– Ból wcale nie staje się dzięki temu słabszy – powiedziała.

– Nie sądziłem, że tak się stanie. Myślę jednak, że pozostawisz w sercu Ansel trwałe ślady. Nie odebrałaś jej życia i oddałaś jej miecz ojca. Łatwo o tym nie zapomni. I może, gdy wykona kolejny krok ku odzyskaniu tytułu, wspomni zabójczynię z Północy i dobroć, której od niej zaznała. Być może w rezultacie pozostawi za sobą mniej trupów.

Mistrz podszedł do skrzyni, jakby dawał Celaenie czas na odzyskanie równowagi. Wyciągnął stamtąd list i wrócił do dziewczyny, która wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Gdy wręczysz ten papier swemu mentorowi, trzymaj wysoko uniesioną głowę.

Zabójczyni wzięła do ręki dokument. Zawierał rekomendacje, na które pracowała od miesiąca. W obliczu tego, co się wydarzyło, wydawały się jednak pozbawione większego znaczenia.

– Czemu się do mnie odezwałeś? Sądzę, że śluby milczenia są na zawsze.

Mistrz wzruszył ramionami.

– Ludzie chyba tak myślą, ale, o ile dobrze pamiętam, nigdy oficjalnie takich ślubów nie złożyłem. Nie odzywam się przez większość czasu i przyzwyczałem się do tego tak bardzo, że często zapominam o umiejętności mówienia. Są jednak chwile, gdy gestami niczego nie wyjaśnisz i słowa są niezbędne.

Celaena pokiwała głową, usiłując ze wszystkich sił ukryć zaskoczenie. Mistrz dodał po chwili:

– Jeśli zechcesz kiedyś opuścić Północ, zawsze znajdziesz tu dom. Przysięgam, że zimowe miesiące są tu o wiele łagodniejsze od letnich. A mój syn również się ucieszy, jeśli powrócisz.

Zachichotał, a Celaena zarumieniła się. Mistrz ujął jej rękę.

– Wyjedziesz jutro w towarzystwie kilku moich ludzi.

– Dlaczego?

– Będą potrzebni do zaprowadzenia wozów do Xandrii. Wiem, że jesteś nadal związana kontraktem ze swoim mistrzem i musisz mu oddać mnóstwo pieniędzy, zanim rozpoczniesz własne życie. Najpierw

zmusił cię do zaciągnięcia ogromnego długu, a teraz zmusza cię do spłacenia go.

Uścisnął jej dłoń i podszedł do jednego z trzech kufrów ustawionych pod ścianą.

– Za to, że ocaliłaś mi życie i pozwoliłaś jej odejść.

Otworzył wszystkie trzy kufry.

Blask słońca odbity od zgromadzonego w nich złota mienił się na ścianach niczym światło na tafli wody. Tyle pieniędzy... A do tego kawałek pajęczego jedwabiu podarowany jej przez owego kupca! Celaena nie była w stanie wyobrazić sobie możliwości, które dawało takie bogactwo. Cóż, na pewno nie teraz.

– Przekaż swemu mistrzowi list oraz te skarby. I powiedz mu, że na Czerwonej Pustyni nie bijemy naszych uczniów.

Na twarz Celaeny wolno wypłynął uśmiech. Oczy ją szczypały.

– To da się zrobić.

Spojrzała przez otwarte okno na roztaczający się za nim świat. Po raz pierwszy od bardzo dawna usłyszała pieśń północnego wiatru wzywającego ją do domu. I już nie czuła strachu.







SARAH J. MAAS

ZABÓJCZYNI

*i podziemny  
świat*

SZKLANY TRON  
OPowieść

III





Sarah J. Maas

# ZABÓJCZYNI I PODZIEMNY ŚWIAT

przełożył Marcin Mortka



## Rozdział pierwszy

**W** ogromnej, przypominającej jaskinię sali głównej Twierdzy Zabójców panowała cisza. Celaena Sardothien bezszelestnie sunęła po marmurowej posadzce, ściskając list w dłoni. Przy ogromnych drzwiach z dębowego drewna powitał ją jedynie odźwierny, który wziął od niej mokry od deszczu płaszcz, a dostrzegłszy krzywy uśmiech dziewczyny, postanowił, że lepiej nie odzywać się ani słowem.

Drzwi do gabinetu Arobynna Hamela, znajdujące się po przeciwnej stronie sali, były zatrzaśnięte, ale zabójczyni wiedziała, że Arobynn przebywa w środku. Na zewnątrz stał bowiem na straży jego służący Wesley. W ciemnych oczach nie było ani śladu emocji, gdy patrzył na zbliżającą się Celaenę. Nie był zabójcą, ale dziewczyna była pewna, że nie nosił tyłu sztyletów dla ozdoby i w razie potrzeby potrafił z nich zrobić użytek z perfekcyjną skutecznością.

Nie miała również wątpliwości, że Arobynn ma swoich ludzi przy każdej bramie miasta. Wiedziała, że poinformowano go o jej powrocie w chwili, gdy znalazła się na jego ulicach. Mokre, zabłocone buty zostawiały ślady, gdy szła w stronę drzwi gabinetu. I Wesleya.

Od pamiętnej nocy, gdy Arobynn pobił Celaenę do nieprzytomności, upłynęły trzy miesiące. Ukarzał ją w ten sposób za udaremnienie jego umowy handlowej z Władcą Piratów, kapitanem Rolfem, dzięki której Arobynn chciał się wzbogacić na sprzedaży niewolników. Trzy miesiące upłynęły również od chwili, gdy wysłał ją na Czerwoną Pustynię, gdzie miała nauczyć się posłuszeństwa i dyscypliny, a także zasłużyć na aprobatę Niemego Mistrza Milczących Zabójców.

List, który ściskała w dłoni, był dowodem na to, że jej się powiodło. Świadectwem, że Arobynn nie zdołał jej owej nocy złamać.

Nie mogła się doczekać miny, którą z pewnością zrobi, gdy będzie mu wręczać pismo. Ciekawe też, jak zareaguje na trzy kufry ze złotem, które ze sobą przywiozła. W tej chwili wnoszono je do jej pokoju. W kilku słowach mogła mu wyjaśnić, że dług został już spłacony i mogła opuścić Twierdzę, by wprowadzić się do kupionego niedawno mieszkania. Mogła mu powiedzieć, że wreszcie się od niego

uwolniła.

Wesley zastąpił jej drogę. Miał mniej więcej tyle lat co Arobynn, a cienkie blizny na twarzy i dłoniach zdradzały, że życie u boku Króla Zabójców nie było łatwe. Dziewczyna przypuszczała, że jego strój zakrywał więcej szram, być może potworniejszych.

– Jest zajęty – powiedział Wesley.

Jego dłonie zwisały luźno, gotowe w każdej sekundzie sięgnąć po broń. Celaena może i była protegowaną Arobynna, ale Wesley nigdy nie taił, że jeśli kiedykolwiek stanie się zagrożeniem dla jego mistrza, zgładzi ją bez wahania. I bez walki z nim Celaena podejrzewała, że przyboczny Króla byłby ciekawym przeciwnikiem. Przypuszczała, że właśnie z tego powodu ćwiczy na osobności i trzyma swą przeszłość w tajemnicy. Wesley miał świadomość, że im mniej Celaena o nim wiedziała, tym większą miałby przewagę podczas ich ewentualnego starcia. Wesley mądrze to zaplanował, a jego strategia pochlebiała jej.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Wesley – powiedziała i uśmiechnęła się promiennie.

Napiął mięśnie, ale nie zatrzymał jej, gdy minęła go i otworzyła drzwi do gabinetu Arobynna.

Król Zabójców siedział przy pięknie zdobionym biurku i pochylał się nad stosami papierów. Celaena nawet się nie przywitała. Podeszła do biurka i cisnęła list na lśniący, drewniany blat. Otworzyła usta, gotowa zabrać głos, ale Arobynn jedynie uniósł palec, uśmiechnął się lekko i powrócił do studiowania dokumentu. Wesley zatrzasnęła za nią drzwi.

Zabójczyni zamarła. Arobynn przewrócił stronę, nadal pochłonięty lekturą, i wykonał ledwie zauważalny gest dłonią.

„Siadaj”.

Nadal skupiony na czytaniu dokumentu, Arobynn podniósł list od Niemego Mistrza i ułożył go na najbliższym stosiku. Dziewczyna mrugnęła raz, a potem drugi. Król nawet na nią nie spojrział. Wciąż czytał. Przekaz był jasny. Miała czekać, aż skończy. Do tego momentu, nawet gdyby zaczęła wrzeszczeć ze wszystkich sił, nie zarejestruje jej obecności.

Tak więc Celaena usiadła.

Krople deszczu uderzały o okna gabinetu. Mijały sekundy, potem minuty. Cisza pochłonięła jej plan wygłoszenia dumnego

przemówienia, tu i ówdzie zaakcentowanego zamaszystymi gestami. Arobynn najpierw zapoznał się z treścią trzech innych dokumentów, zanim w ogóle ujął list od Niemego Mistrza.

A gdy go czytał, Celaena nie mogła myśleć o niczym innym niż o chwili, gdy po raz ostatni siedziała na tym krześle.

Spojrzała na drogi, czerwony dywan pod swoimi stopami. Ktoś wykonał świetną robotę, czyszcząc wszystkie plamy krwi. Ile krwi na dywanie należało do niej, a ile spłynęło z ran Sama Cortlanda, jej rywala, a zarazem współspiskowca w planie zniweczenia układów Arobynna? Nadal nie miała pojęcia, co Arobynn z nim zrobił tej nocy. Jak dotąd nigdzie nie widziała Sama, ale z drugiej strony nie spotkała też żadnego innego zabójcy, który mieszkał w Twierdzy. A więc może Sam był teraz czymś zajęty? Miała wielką nadzieję, że tak. Oznaczałoby to, że przynajmniej żyje.

Arobynn w końcu spojrzał na nią i odłożył na bok list Niemego Mistrza, jakby był to jedynie niewiele znaczący świstek. Celaena siedziała prosto z dumnie zadartym podbródkiem, wytrzymując badawcze spojrzenie srebrnych oczu Króla. Ten taksował wzrokiem jej ciało cal po calu, aż zatrzymał się na wąskiej, różowej bliźnie z boku szyi, tuż obok szczęki i ucha.

– Cóż – rzekł w końcu. – Myślałem, że się bardziej opalisz.

Miała ochotę wybuchnąć śmiechem, ale panowała nad emocjami.

– Nosilaam szaty zakrywające całe ciało – wyjaśniła.

Jej słowa zabrzmiały ciszej i słabiej, niż chciała. Były to pierwsze słowa, które wypowiedziała do niego od chwili, gdy pobił ją do nieprzytomności. Nie to chciała mu rzec.

– Aha – odparł.

Obracał złoty pierścień na palcu wskazującym.

Wciągnęła powietrze przez nos, przypominając sobie wszystko to, co tak bardzo pragnęła mu powiedzieć przez ostatnich kilka miesięcy i podczas podróży powrotnej do Rifthold. Wystarczyłoby kilka zdań. Wystarczyłaby krótka mowa i góra złota, by na zawsze zakończyć okres ponad ośmiu lat u jego boku.

Gotowała się, by zacząć, ale Arobynn ją wyprzedził.

– Przepraszam – rzekł.

Przygotowana mowa znów uleciała w niepamięć.

Przestał bawić się pierścieniem i patrzył jej teraz intensywnie w

oczy.

– Gdybym mógł coś zrobić, by nigdy nie doszło do tej pamiętnej nocy, Celaeno, nie zawahałbym się – rzekł i pochylił się nad krawędzią biurka.

Zacisnął dłonie w pięści. Gdy dziewczyna widziała je po raz ostatni, były zbrukane jej własną krwią.

– Przykro mi – powtórzył Arobynn.

Był starszy od niej o jakieś dwadzieścia lat, ale choć rude włosy tu i ówdzie przyprószyła siwizna, jego twarz nadal była młoda. Szlachetne, ostre rysy, błyszczące szare oczy... Być może nie był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznała, ale z pewnością najbardziej pociągającym.

– Każdego dnia – mówił. – Każdego dnia po twoim wyjeździe udawałem się do świątyni Divy, by błagać o wybaczenie.

Wyobrazenie Króla Zabójców, klękającego przed posągiem bogini pokuty, było dość zabawne i Celaena parsknęłaby szyderczo, gdyby nie surowość jego słów. Czy to możliwe, że on naprawdę żałował tego, co zrobił?

– Nie powinienem był ulegać emocjom. Nie powinienem był cię odesłać.

– To dlaczego po mnie nie posłałeś? – wypaliła bez zastanowienia.

Arobynn przymknął lekko powieki. Przez jego twarz przemknął ledwie zauważalny grymas. Celaena przypuszczała, że na większy pokaz uczuć Król Zabójców nigdy by sobie nie pozwolił.

– Przypuszczalnie wyruszyłabyś w drogę powrotną, nim którykolwiek z posłańców by cię znalazł. Zabrałoby im to sporo czasu.

Zacisnęła szczęki. Łatwa wymówka.

Arobynn odczytał gniew i niedowierzanie w jej oczach.

– Pozwól, że ci to wynagrodzę – rzekł.

Podniósł się z obitego skórą krzesła i obszedł biurko. Dzięki długim nogom i latom treningu poruszał się z niewymuszoną gracją. Złapał pudełko leżące na skraju biurka i przyklęknął przed nią. Ich twarze znalazły się na tej samej wysokości. Już zapomniała, jaki był wysoki.

Wręczył jej dar. Wyłożona masą perłową szkatułka była dziełem sztuki sama w sobie, ale Celaena bez emocji patrzyła, jak Arobynn unosi wieko.

Szmaragdowozielona brosza zamigotała w szarym blasku popołudnia.

Była przepiękna i z pewnością wykonał ją wspaniały artysta. Celaena w myślach odruchowo dobrała do niej odpowiednie suknie i tuniki. Kupił ją dla niej, bo znał jej garderobę i gust. Wiedział o niej wszystko. Tylko Arobynn znał całą prawdę o niej. On i nikt inny na świecie.

– To dla ciebie – rzekł. – Pierwszy z wielu.

Bacznie śledziła wszystkie jego ruchy i błyskawicznie przygotowała się na najgorsze, gdy uniósł dłoń i ostrożnie dotknął jej twarzy. Przesunął palec od jej skroni aż po wypukłość kości policzkowej.

– Przepraszam – szepnął raz jeszcze, a Celaena spojrzała mu w oczy.

Nigdy oficjalnie nie określił swej roli w jej życiu. Nigdy nie nazwał się jej ojcem, bratem czy kochankiem. Cóż, na pewno nie kochankiem, choć być może doszłoby między nimi do romansu, gdyby Celaena miała inną naturę, a Arobynn wychował ją w odmienny sposób. Kochał ją jak członka rodziny, a mimo to stawiał ją w bardzo niebezpiecznych sytuacjach. Wychowywał ją i kształcił, ale jednocześnie odebrał jej niewinność w chwili, gdy zlecił jej pierwsze zabójstwo. Dał jej wszystko, ale jednocześnie wszystko odebrał. Łatwiej byłoby jej zliczyć gwiazdy na niebie niż określić uczucia wobec Króla Zabójców.

Celaena odwróciła twarz, a Arobynn wstał. Oparł się o krawędź biurka i uśmiechał do niej blado.

– Mam jeszcze jeden dar, jeśli go zechcesz.

Tak długo marzyła o tym, by go opuścić i spłacić wszystkie długi... Dlaczego nie mogła otworzyć ust i po prostu wyrzucić tego z siebie?

– Benzo Doneval przybywa do Rifthold – rzekł Arobynn.

Celaena przechyliła głowę. Słyszała co nieco o Donevalu, który był niezwykle potężnym i wpływowym człowiekiem interesu z Melisande. Ten leżący na południowym zachodzie kraj niedawno został podbity przez Adarlan.

– Dlaczego? – spytała cicho i ostrożnie.

– Jedzie w wielkim konwoju, który Leighfer Bardingale prowadzi do stolicy. Leighfer to dobra przyjaciółka byłej królowej Melisande, która ubłagała ją, by pojechała do Rifthold i poprosiła króla o łaskę.

Celaena przypomniała sobie, że w Melisande, w przeciwieństwie do wielu innych podbitych królestw, oszczędzono rodzinę królewską.



Władcy tego kraju oddali swe korony w ręce króla Adarlanu i poprzysięgli wierność jemu i jego zwycięskim armiom. Dziewczyna nie miała pojęcia, co jest gorsze – szybkie ścięcie czy poddanie się woli króla.

– Wygląda na to – ciągnął Arobynn – że zadaniem owego konwoju będzie zademonstrowanie, co Melisande ma do zaoferowania, jeśli chodzi o kulturę, dobra i bogactwa. Chcą w ten sposób przekonać króla do wyrażenia zgody na wybudowanie drogi i wyasygnowanie odpowiednich materiałów na ten cel. Zważywszy na to, że była królowa Melisande jest w chwili obecnej jedynie figurantką, przyznam, że podziwiam jej ambicję, a także tupet.

Celaena przygryzła wargę, wyobrażając sobie mapę kontynentu.

– Droga łącząca Melisande z Fenharrow i Adarlanem?

Przez wiele lat kontakty handlowe z Melisande były utrudnione ze względu na położenie geograficzne królestwa. Otoczone niemalże nieprzebytymi górami oraz bezmiarem Dębowej Puszczy państwo było skazane na korzystanie z portów morskich. Trakt handlowy mógł to zmienić. Trakt mógł sprawić, że Melisande wzbogaci się i nabierze znaczenia.

Arobynn pokiwał głową.

– Konwój spędzi tu tydzień. Zaplanowano rozmaite przyjęcia oraz targi, a za trzy dni odbędzie się gala ku czci Jesiennej Równonocy. Być może, jeśli obywatelom Rifthold przypadną do gustu przywiezione towary, król potraktuje delegację poważnie.

– A co takiego Doneval ma wspólnego z tą drogą?

Arobynn wzruszył ramionami.

– Ma omówić układy handlowe w Rifthold i przypuszczalnie podważyć pozycję swej byłej żony Leighfer. Chce również dogadać jedną konkretną umowę. Na jego nieszczęście jest ona również ważna dla Leighfer. Do tego stopnia, że postanowiła się Donevala pozbyć.

Celaena uniosła brwi. Arobynn wymówił słowo: „dar”.

– Doneval przewozi niezwykle ważne dokumenty – powiedział Król Zabójców tak cicho, że bębnienie deszczu o szyby niemalże zagłuszyło jego słowa. – Twoim zadaniem będzie nie tylko wyeliminowanie Donevala. Będziesz musiała również je przejąć.

– Co to za dokumenty?

Srebrne oczy Arobynna rozbłysły.

– Doneval chce rozbudować handel niewolnikami, opierając się na jakimś pośredniku w Rifthold. Jeśli trakt zostanie zaaprobowany i zbudowany, pragnie wzbogacić się na imporcie i eksporcie niewolników jako pierwszy w Melisande. Owe dokumenty najprawdopodobniej zawierają dowody na to, że niektórzy wpływowi Melisandczycy w Adarlanie są temu przeciwni. Zważywszy na wysiłki, jakie podejmuje król Adarlanu w celu ukarania tych, którzy krytykują jego posunięcia... Cóż, wiedza o tym, kto nie zgadza się z jego polityką w kwestii niewolników, tym bardziej że oponenci przypuszczalnie planują ich uwolnienie, może być dla króla niezwykle ważna. Doneval oraz jego nowy partner w interesach w Rifthold zamierzają szantażować tych ludzi i zmusić ich, by zmienili zdanie. Chcą, by przestali mnożyć przeszkody i zainwestowali w rozbudowę handlu niewolnikami w Melisande. Jeśli odmówią, Leighfer jest przekonana, że jej były mąż zanieś listę królowi.

Celaena z trudem przełknęła ślinę. Czy Arobynn próbował właśnie zaproponować jej rozejm? Czy jego słowa oznaczały, że zmienił zdanie w sprawie handlu niewolnikami i wybaczył jej to, co zrobiła w Zatoce Czaszek?

Ale na samą myśl, że miałyby się znów wplątać w tego typu sprawy, robiło jej się niedobrze.

– No i o co chodzi z tą Bardingale? – spytała ostrożnie. – Dlaczego zostaliśmy wynajęci, by zabić Donevala?

– Ponieważ Leighfer nie wierzy w niewolnictwo i chce chronić ludzi, których nazwiska znalazły się na liście, tych samych ludzi, którzy przygotowują się, by podjąć konieczne kroki w celu ograniczenia niewolnictwa w Melisande. Ba, chyba są nawet gotowi, by przemycić ich gdzieś, gdzie odzyskają wolność.

Arobynn mówił o Leighfer Bardingale tak, jakby znał ją osobiście. Jakby byli czymś więcej niż tylko partnerami w interesach.

– A ów wspólnik Donevala w Rifthold? Któż to taki? – zapytała.

Przed wyrażeniem zgody musiała poznać każdy aspekt sprawy i dobrze się zastanowić.

– Leighfer nie ma pojęcia. Jej źródła nie były w stanie odnaleźć nazwiska w szyfrowanej korespondencji Donevala. Ustaliła tylko to, że Doneval przekaże dokumenty wspólnikowi za sześć dni w wynajmowanym przez niego domu. Nie wie, jakie dokumenty zostaną

przyniesione przez owego współnika, ale jest gotowa się założyć, że to lista wysoko sytuowanych przeciwników niewolnictwa w Rifthold. Mówi, że do wymiany dojdzie w jakimś zacisznym pokoju w domu, przypuszczalnie w niewielkim gabinecie na piętrze lub innym pomieszczeniu tego typu. Nie ma co do tego wątpliwości.

Celaena zaczyna się domyślać, o co chodzi w tym zamieszaniu. Doneval został praktycznie podany jej na tacy. Musiała się jedynie dowiedzieć, kiedy ma dojść do spotkania, przejrzeć jego ochronę i znaleźć sposób, by się przez nią prześlizgnąć.

– A więc nie chodzi tylko o to, by zdmuchnąć Donevala. Mam również poczekać na koniec wymiany i przejąć zarówno jego listę, jak i wszystkie dokumenty przyniesione przez owego współnika?

Arobynn uśmiechnął się lekko.

– A co z owym współnikiem? Jego też mam załatwić?

Usta Króla Zabójców stały się cienką kreską.

– Nie wiemy, z kim Doneval prowadzi interesy, a więc jak dotąd nie było mowy o kolejnych zleceniach. Ale dano mi wyraźnie do zrozumienia, że Leighfer oraz jej sprzymierzeńcy życzą sobie, by ten człowiek również zginął. Niewykluczone, że zapłacą ci wówczas więcej.

Dziewczyna przyjrzała się szmaragdowej broszy leżącej na kolanie.

– A ile w ogóle dostanę?

– Niezwykle dużo – odparł. Usłyszała rozbawienie w jego głosie, ale skupiła całą uwagę na wspaniałej, zielonej ozdobie. – A ja nie wezmę działki. Możesz zatrzymać wszystko.

Uniosła głowę, słysząc te słowa. W jego oczach błysnęła prośba. Może naprawdę było mu przykro z powodu tego, co zrobił. Niewykluczone, że wziął to zlecenie wyłącznie ze względu na nią – by na swój sposób pokazać jej, że zrozumiał, dlaczego uwolniła tych niewolników w Zatoce Czaszek.

– Trzeba założyć, że Doneval jest dobrze strzeżony?

– Bardzo dobrze. – Arobynn wziął jakiś list z biurka za sobą. – Czeka z zawarciem umowy do dnia po zabawach w całym mieście, by nazajutrz móc pośpiesznie wrócić do domu.

Celaena zerknęła na sufit, jakby była w stanie przeniknąć wzrokiem drewniane belki i zajrzeć do swego pokoju na piętrze, gdzie stały teraz kufry ze skarbami. Nie potrzebowała właściwie pieniędzy, ale wiedziała, że po spłaceniu długów Arobynnowi nie zostanie jej

wiele. Co więcej, to zadanie nie miało polegać wyłącznie na zabijaniu. Pomoże w ten sposób innym ludziom. Ilu niewolników straci życie, jeśli Celaena nie załatwi Donevala razem z tym drugim i nie odzyska owych cennych dokumentów?

Arobynn znów do niej podszedł. Wstała z krzesła, a wtedy on odsunął jej włosy z twarzy.

– Tęskniłem za tobą – rzekł.

Rozłożył ramiona, ale nie podszedł bliżej, by ją objąć. Niemy Mistrz powiedział jej, że każdy człowiek inaczej radzi sobie z bólem. Niektórzy usiłują go utopić, inni zaczynają go kochać, a jeszcze inni pozwalają, by przekształcił się w furię. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia uwolniła dwustu niewolników z Zatoki Czaszek, ale zdradziła w ten sposób Arobynna. Być może wyrządzenie jej krzywdy było dla niego jedynym sposobem na uporanie się z bólem.

Jego czynu nie można było w żaden sposób usprawiedliwić, ale Celaena wiedziała, że Arobynn był dla niej wszystkim. Ich wspólną przeszłość, mroczną, zagmatwaną oraz pełną tajemnic, wykuło coś więcej niż tylko złoto. Gdyby go opuściła, gdyby spłaciła swe długi i nigdy go już nie ujrzała...

Cofnęła się o krok, a Arobynn po prostu opuścił ramiona, jakby jej gest nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

– Przemyśle sobie to wszystko – powiedziała.

Nie było to kłamstwo. Zawsze zastanawiała się, czy przyjąć zlecenie. Arobynn zresztą sam ją do tego zachęcał.

– Przepraszam – powtórzył.

Celaena obrzuciła go kolejnym długim spojrzeniem, a potem wyszła.

Jej zmęczenie wzięło górę w chwili, gdy rozpoczęła wędrówkę po wypolerowanych marmurowych stopniach wielkich schodów. Miała za sobą miesiąc ciężkiej podróży, a wcześniej cztery tygodnie wyczerpującego treningu i rozterek. Za każdym razem, gdy widziała bliźnię na szyi, dotykała jej, a nawet muskała o nią ubraniem, serce Celaeny przeszywał ból wywołany zdradą Ansel. Z początku wierzyła, że znalazła prawdziwą, serdeczną przyjaciółkę na całe życie, ale okazało się, że jej żądza zemsty przewyższała wszelkie inne pragnienia. Mimo to Celaena miała nadzieję, że Ansel mogła wreszcie zmierzyć się z koszmarem, który prześladował ją od tak dawna.

Minął ją jakiś służący, który uklonił się, odwracając wzrok. Wszyscy

ludzie pracujący w Twierdzy wiedzieli mniej więcej, kim była, ale za zdradzenie tego sekretu groziła śmierć. Teraz jednak, gdy wszyscy Milczący Zabójcy bez trudu mogli ją zidentyfikować, nie miało to już większego sensu.

Celaena z trudem nabrała tchu i przeczesła dłonią włosy. Przed wjazdem do miasta zatrzymała się w gospodzie tuż pod Rifthold, by się wykąpać, wyprać brudne ubrania i nałożyć nieco kosmetyków. Nie chciała wkroczyć do Twierdzy, wyglądając jak szczur z rynsztoka, ale nadal czuła się brudna.

Minęła salony na piętrze i uniosła brwi, gdy usłyszała dobiegającą ze środka muzykę pianina i śmiech ludzi. Skoro Arobynn miał gości, to dlaczego przesiadywał w swoim gabinecie i tak ciężko pracował w chwili jej przybycia?

Celaena mocno zwarła szczęki. Po co zmusił ją do czekania, aż skończy pracę? Cóż to za nonsens?

Zacisnęła pięści. Już miała się odwrócić i zbiec po schodach, by oznajmić Arobynnowi, że nie stanowi już jego własności i opuszcza go na dobre, gdy ktoś wyszedł na korytarz.

Zamarła, gdy ujrzała Sama Cortlanda.

Stał jak wryty z szeroko otwartymi brązowymi oczami. Z zauważalnym wysiłkiem zamknął drzwi do toalety, z której wychodził, i ruszył w jej kierunku. Minął aksamitne zasłony, opadające od sufitu aż po podłogę, obrazy na ścianach, z każdym krokiem był coraz bliżej. Celaena zaś stała nieruchomo i uważnie taksowała jego ciało, póki nie zatrzymał się kilka metrów przed nią.

Nie brakowało mu żadnej kończyny. Nie utykał i nic nie wskazywało na to, że cokolwiek mu dolega. Jego kasztanowe włosy były nieco dłuższe, ale było mu w takiej fryzurze do twarzy. Był też wspaniale opalony, jakby spędził całe lato na słońcu. Czyżby Arobynn w ogóle go nie ukarał?

– Wróciłaś – stwierdził w końcu Sam, jak gdyby nie wierzył, że Celaena stoi przed nim.

Zabójczyni uniosła podbródek i wepchnęła dłonie w kieszenie.

– Najwyraźniej.

Sam przechylił nieco głowę i spytał:

– Jak było na pustyni?

Nigdzie nie widziała ani śladu draśnięcia. Rany na jej twarzy też

się przecież zagoiły, ale...

– Gorąco – odparła.

Sam zachichotał cicho.

Bynajmniej nie złościła się o to, że nic mu się nie stało. Wręcz przeciwnie, przepelniała ją taka ulga, że gotowa była zwrócić zawartość żołądka. Po prostu nigdy nie przyszło jej do głowy, że na jego widok zrobi się jej tak... Tak dziwnie. Czy po tym, co przeszła z Ansel, mogła szczerze przyznać, że nadal mu ufa?

Zza otwartych drzwi, prowadzących do salonu, dobiegł przenikliwy, kobiecy śmiech. Jak to możliwe, że miała aż tyle pytań i tak niewiele do powiedzenia?

Wzrok Sama ześlizgnął się w dół na jej szyję. Jego brwi ściągnęły się na chwilę, gdy ujrzał nową bliznę.

– Co się stało?

– Ktoś trzymał mnie na ostrzu miecza.

Jego oczy pociemniały, ale Celaena nie miała ochoty przytaczać tej długiej, nieszczęsnej historii. Nie chciała rozmawiać o Ansel, a już na pewno nie miała ochoty mówić o tym, co się wydarzyło tej nocy po ich powrocie znad Zatoki Czaszek.

– Zostałaś ranna? – spytał cicho Sam i podszedł o krok.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że zapewne wyobraził sobie o wiele mroczniejsze i bardziej niebezpieczne okoliczności niż te, w których się znalazła.

– Nie – rzekła. – Nie w tym sensie.

– A więc o co chodzi? – Sam przyglądał się jej o wiele uważniej.

Wpatrywał się w niemal niewidoczną białą linię biegnącą przez jej policzek – kolejną pamiątkę po Ansel – w jej dłonie, we wszystko. Jego szczupłe, umięśnione ciało wydawało się spięte. Klatka piersiowa zabójcy sprawiała wrażenie szerszej niż przed wyjazdem Celaeny.

– Pilnuj swego nosa – odparła.

– Powiedz mi, co się stało – wycedził.

Obdarzyła go jednym z tych drobnych uśmieszków, których tak bardzo nienawidził. Od wydarzeń nad Zatoką Czaszek nie układało się między nimi źle, ale po tylu latach znęcania się nad nim nie bardzo wiedziała, jak ma odszukać w sobie nic porozumienia, którą niedawno nawiązali.

– A niby dlaczego miałabym ci cokolwiek opowiadać?

– Ponieważ – syknął, zbliżając się o kolejny krok – gdy się ostatni raz spotkaliśmy, Celaeno, leżałaś nieprzytomna na dywanie Arobynna tak zakrwawiona, że nie widziałem twojej cholernej twarzy!

Stał teraz tak blisko, że mogła go dotknąć. O okna w korytarzu nadal tłukł deszcz, co mgliście przypominało jej, że naokoło nadal istniał świat.

– Opowiedz – powtórzył.

„Zabiję cię!” – wrzeszczał Sam do Króla Zabójców, gdy ten ją bił. Wywrzaskiwał to ze wszystkich sił. Trudna do sprecyzowania więź, która powstała między nią i Samem, nie pękła podczas tych straszliwych chwil. Sam nie był już lojalny wobec Króla. Wybrał ją. Chciał stać przy niej i walczyć o nią, a to odróżniało go od Ansel. Sam mógł ją zranić bądź zdradzić w wielu sytuacjach, ale nigdy żadnej z nich nie wykorzystał.

W kąciку jej ust pojawił się lekki uśmiech. Tęskniła za nim. Widząc wyraz jej twarzy, Sam skrzywił się, nieco zdumiony. Celaena przełknęła ślinę, czując narastającą ochotę, by powiedzieć „Tęskniłam za tobą”, gdy nagle drzwi do salonu stanęły otworem.

– Sam! – zawołała jakaś ciemnowłosa, zielonooka kobieta, wciąż roześmiana. – O, tu jesteś...

Nagle dostrzegła Celaenę. Zabójczyni rozpoznała ją i uśmiech znikł jej z twarzy.

Na uroczym obliczu kobiety pojawił się koci uśmiech, a potem wyslizgnęła się na korytarz i podeszła do nich. Celaena bacznie się jej przyglądała, rejestrując wzrokiem ruchy jej bioder, szlachetne ułożenie dłoni i elegancką, głęboko wyciętą suknię, odsłaniającą bujny biust.

– Celaena – zagruchała i zatrzymała się tuż obok Sama, zbyt blisko jak na zwykłą znajomość.

Sam przyjrzał się obu dziewczynom czujnie.

– Lysandra – odparła zabójczyni, naśladowując jej ton.

Poznały się, gdy miały po dziesięć lat, a przez następne siedem nie było ani jednego dnia, w którym Celaena nie miałaby ochoty walnąć jej w twarz cegłą, wypchnąć z okna albo zastosować którąkolwiek z wielu sztuczek pokazanych jej przez Arobynna.

Nie pomogło jej wcale to, że sam Arobynn finansowo wsparł rozwój Lysandry od zwykłej ulicznej sieroty do jednej z najsłynniejszych

kurtyzan w historii Rifthold. Przyjaźnił się z jej madame i od lat dbał o jej dobro. Lysandra oraz jej madame były jedynymi kurtyzanami, które wiedziały, że dziewczyna, zwana przez niego „siostrzenicą”, była tak naprawdę jego protegowaną. Celaena nigdy się nie dowiedziała, dlaczego Arobynn im to wyjawiał, ale za każdym razem, gdy skarżyła się Królowi, że Lysandra może zdradzić jej tożsamość, wydawał się pewien, że ta tego nie uczyni. Zabójczyni raczej w to nie wierzyła, ale być może ostrzeżenie Króla Zabójców wystarczyło, by wygadana, pyskata Lysandra wolała trzymać język za zębami.

– Myślałam, że się spakowałaś i wyjechałaś na pustynię – powiedziała Lysandra i otaksowała wzrokiem strój Celaeny. Ta podziękowała w duchu Wyrdowi za to, że przebrała się w tawernie. – Czy to możliwe, że lato w tym roku minęło tak szybko? Cóż, tak to już bywa, gdy ktoś bawi się tak dobrze...

Celaenę ogarnął śmiertelnie niebezpieczny spokój. Zaatakowała kiedyś Lysandrę, gdy obie miały po trzynaście lat. Kurtyzana wyrwała zabójczyni z ręki piękny, koronkowy wachlarz. Ich starcie zwieńczyło wspólne stoczenie się po schodach, a Celaena w ramach kary musiała spędzić noc w lochach Twierdzy. W trakcie walki udało jej się bowiem wyrwać rywalce wachlarz i zrobić nim kilka pręg na jej twarzy.

Usiłowała nie zwracać uwagi na niewielką odległość dzielącą Lysandrę od Sama. Zawsze zachowywał się uprzejmie wobec kurtyzan, a te wprost go uwielbiały. Matka Sama była niegdyś jedną z nich i poprosiła Arobynna, który również był jej patronem, by zajął się synkiem. Sam miał zaledwie sześć lat, gdy jego matka została zamordowana przez zazdrosnego klienta. Celaena skrzyżowała ramiona.

– Czy powinno mnie w ogóle obchodzić to, co tu robisz?

Lysandra obdarzyła ją uśmiechem dla wtajemniczonych.

– Och, Arobynn – mruknęła takim tonem, jakby był to jeden z jej najbliższych przyjaciół – wydał niewielkie przyjęcie, by uświetnić naszą nadchodzącą Aukcję.

„Jasne”.

– Zaprosił twych przyszłych klientów tutaj?

– Skądże znowu. – Lysandra zachichotała. – To przyjęcie tylko dla mnie i dziewcząt. No i oczywiście Clarisse.

Imię jej madame Lysandra również wykorzystywała jako broń.



Słowo to kruszyło zdecydowanie, pozwalało przejąć inicjatywę i szeptało: „Jestem o wiele ważniejsza od ciebie. Mam większe znaczenie. Ja jestem wszystkim, a ty niczym”.

– Cudownie – odparła Celaena.

Sam nadal nie powiedział ani słowa.

Lysandra uniosła podbródek i z pogardą zerknęła na nos Celaeny, tu i ówdzie obsypany delikatnymi piegami.

– Aukcja odbędzie się za sześć dni. Spodziewają się, że pobiję wszelkie rekordy.

Celaena widziała już Aukcje kilku młodych kurtyzan. Szkolono je do czasu, gdy kończyły siedemnaście lat, a potem ich dziewictwo trafiało do tego, kto zaoferował największą sumę.

– Sam był niezwykle pomocny w przygotowaniach do mojej Aukcji – rzekła Lysandra i ułożyła kształtną dłoń na jego ramieniu.

Celaena z zaskoczeniem skonstatowała, że chłopak ma ogromną ochotę oderwać jej dłoń przy nadgarstku. To, że współczuła kurtyzantom i solidaryzowała się z nimi, nie oznaczało, że ma się z nimi przyjaźnić!

Sam odkaszlnął i wyprostował się.

– Nie pomogłem aż tak bardzo. Arobynn chciał tylko mieć pewność, że zamówiono wszystko to, co należy.

– Ważnych klientów trzeba rozpieszczać – szczebiotała Lysandra. – Bardzo chciałabym ci powiedzieć, kogo zaproszono, ale Clarisse by mnie zabiła. Przyjęcie jest supertajne i nie dla byle kogo.

Celaena miała już dosyć. Czuła, że jeśli usłyszy jeszcze jedno słowo z ust kurtyzany, to rzuci się jej do gardła. Przechyliła głowę i zacisnęła pięści. Sam rozpoznał jej wyraz twarzy i strząsnął dłoń Lysandry.

– Wracaj na przyjęcie – polecił.

Lysandra obdarzyła Celaenę kolejnym ze swoich uśmiechów, a potem, wciąż rozpromieniona, spojrzała na Sama.

– A kiedy ty wracasz? – spytała, wydymając czerwone usteczka.

„Dość, dość, dość”.

Celaena odwróciła się na pięcie.

– Baw się dobrze – rzuciła przez ramię. – Towarzystwo masz przecież na poziomie.

– Celaeno – odezwał się Sam.

Zabójczyni nie miała jednak zamiaru się odwracać, nawet po tym, jak usłyszała chichot Lysandry i kilka wyszeptanych przez nią słów, nawet mimo tego, że pragnęła tylko złapać za sztylet i rzucić nim z całej siły w sam środek niezwykle pięknej twarzy Lysandry.

„Od zawsze jej nienawidziłam – powtórzyła w myślach. – Zawsze. To, że dotykała Sama i mówiła do niego w ten sposób, niczego nie zmieniało. Ale...”.

Dziewictwo Lysandry było nie do podważenia – nie było innej opcji – ale istnieje wiele innych rzeczy, które mogła robić. Rzeczy, które mogła robić z Samem...

Było jej niedobrze, czuła się wściekła i wzgardzona. Wpadła do sypialni i trzasnęła drzwiami tak mocno, że zalane deszczem szyby zadrżały.

## Rozdział drugi

Następnego dnia również padało. Celaena, przebudzona przez grzmot pioruna, ujrzała służącego, który stawiał długą, pięknie udekorowaną szkatułkę na jej toalecie. Odpakowywała podarunek, popijając poranną herbatę. Nie spieszyła się – bawiła się turkusową wstążką, udając ze wszystkich sił, że nie jest w ogóle zainteresowana tym, co Arobynn jej przesłał. Nie miała zamiaru mu wybaczyć i jak dotąd żaden z nadesłanych przez niego prezentów nie wpłynął na jej postanowienie. Nie mogła jednak opanować pisku radości, gdy wreszcie otworzyła szkatułkę i ujrzała w środku dwa złote grzebienie, migoczące w powietrzu. Były kunsztownie wykonane, a kształtem przypominały rybnie płetwy. Każdy ostry koniec wieńczył drobny szafir.

Prawie zrzuciła tacę ze śniadaniem, gdy poderwała się od stołu przy oknie i podbiegła do toaletki z palisandru. Zręcznymi dłońmi wsunęła jeden z grzebieni we włosy, a potem zrobiła to samo z drugim. Rozpromieniła się na widok swego odbicia w lustrze. Wyglądała egzotycznie, czarująco, wręcz władczo.

Arobynn może i był draniem, może i inwestował w karierę Lysandry, ale miał cholernie dobry gust. Och, wspaniale czuła się znów w cywilizowanym miejscu, gdzie czekały na nią piękne stroje, buty, klejnoty, kosmetyki i wszystkie inne luksusy, bez których musiała się obyć przez całe lato!

Celaena przyjrzała się końcówkom włosów i zmarszczyła brwi. Jej zmarszczka pogłębiła się, gdy zwróciła uwagę na dłonie, a przede wszystkim połamane paznokcie i zaniedbane skórki. Syknęła cicho i spojrzała na okna ciągnące się wzdłuż jednej ze ścian jej wspaniałej sypialni. Nadeszła wczesna jesień, a to oznaczało deszcze przez dobrych kilka tygodni.

Chmury wisiały nisko i zaczął ulewny deszcz, ale mimo to widziała miasto, lśniące w szarym świetle. Obserwowała blade, stłoczone blisko siebie kamienice, połączone szerokimi ulicami biegnącymi od alabastrowych murów miejskich aż po doki we wschodnich

dzielnicach, od tętniącego życiem centrum aż po zbiorowisko rozpadających się budynków w slumsach na południowym krańcu, gdzie rzeka Avery skręcała w głąb lądu. Nawet zielone dachy każdego budynku wydawały się powleczone srebrem. Nad miastem górował szklany zamek, którego górne wieże skryła mgła.

Konwój z Melisande nie mógł wybrać lepszej pory na wizytę. Mało kto będzie miał ochotę na uliczny festiwal w nieubłaganym deszczu.

Celaena powoli wyciągnęła grzebienie z włosów. Zeszłego wieczoru jadła z Arobynnem kolację. Powiedział jej wtedy, że konwój przybędzie dziś. Nadal nie odpowiedziała, czy zgodzi się zabić Donevala za pięć dni, a on nie naciskał. Był uprzejmy i wytworny. Osobiście podawał do stołu i przemawiał do niej łagodnym głosem, jakby była przestraszonym zwierzątkiem.

Spojrzała raz jeszcze na swoje paznokcie i włosy. Zapuszczone, dzikie zwierzątko.

Wstała i podeszła do garderoby. Później zdecyduje, co zrobić z Donevałem i jego sprawą. Na razie miała ochotę na odrobinę luksusu i nawet deszcz nie mógł jej w tym przeszkodzić.

W jej ulubionym zakładzie kosmetycznym powitano ją z otwartymi ramionami, ale wkrótce rozległy się okrzyki przerażenia na widok jej włosów i paznokci.

– A te brwi! – wydziwiał fryzjer. – Czy nie mogła pani regulować brwi podczas podróży?

Celaena wyszła stamtąd pół dnia później. Z przyciętymi, lśniąco błyszczącymi włosami i błyszczącymi paznokciami ruszyła przed siebie po zalanych deszczem ulicach miasta.

Choć nadal padało, wielu ludzi zgromadziło się, by obejrzeć przyjazd ogromnego konwoju z Melisande. Dziewczyna zatrzymała się pod markizą kwiaciarni, tuż obok właściciela sklepu, który stał na progu i przyglądał się wspaniałej procesji. Pochód wił się po szerokiej ulicy łączącej zachodnią bramę miasta z wrotami do zamku.

Widziała wśród nich zonglerów i połykaczy ognia, których zadanie było bardzo utrudnione przez ulewę. Dostrzegła też tancerki w szarawarach przemoczonych aż po kolana, a za nimi szereg Bardzo-Ważnych-i-Bogatych-Ludzi, którzy chowali się pod płaszczami i wcale nie wydawali się tak wysocy, jak to sobie wyobraziła.

Celaena wsunęła zdrętwiałe dłonie do kieszeni tuniki. Obok

przejeżdżały pomalowane na jaskrawe barwy wozy, ale wszystkie miały drzwi i okna szczelnie pozamykane, co oznaczało, że zabójczyni może już odwrócić się i ruszyć w drogę powrotną do Twierdzy.

Melisande słynęła bowiem z rzemieślników artystów – ludzi o zręcznych dłoniach, którzy potrafili tworzyć zmyślne cacka. Konstruowali zegary tak precyzyjne, że mógłbyś przysiąc, że są obdarzone życiem, instrumenty muzyczne wydające dźwięki tak czyste i piękne, że potrafiły złamać ci serce, i zabawki tak cudowne, że trudno było uwierzyć w zniknięcie całej magii. Skoro wozy zawierające wszystkie te cudeńka były pozamykane, oglądanie przemarszu przemoczonych, żałośnie wyglądających ludzi miało się z celem.

Tłumy ludzi nadal płynęły po głównej arterii miasta i Celaena zapuściła się w wąskie, wijące uliczki, by uniknąć ścisku. Zastanawiała się, czy Sam również przybył, by obejrzeć paradę, i czy towarzyszyła mu Lysandra. Nie wierzyła już w niewzruszoną lojalność Sama. Jak szybko po jej wyjeździe on i Lysandra stali się tak bliskimi przyjaciółmi?

Wyobraziła sobie, jak wypruwa mu flaki, i nastrój natychmiast jej się poprawił. Wyglądało na to, że Sam równie łatwo jak Arobynn pada ofiarą pięknych buzi. Nie miała pojęcia, dlaczego przyszło jej do głowy, że z Samem będzie inaczej. Skrzywiła się i przyspieszyła kroku. Skrzyżowała ramiona i zgarbiła się, próbując ochronić się przed zamarzającym deszczem.

Po dwudziestu minutach, ociekając wodą, szła po marmurowej posadzce wielkiej sali Twierdzy. Po upływie jeszcze jednej weszła do gabinetu Arobynna, zostawiając mokre plamy na dywanie, i oznajmiła mu, że załatwi Donevala wraz z jego współnikami i przejmie wszelkie dokumenty związane z handlem niewolnikami.

Następnego dnia rano Celaena obejrzała się w lustrze, jednocześnie krzywiąc się i uśmiechając. Miała na sobie czarny strój zakrywający całe ciało. Uszyto go z materiału grubego niczym skóra, ale pozbawionego połysku. Przypominał pancerz, z tym wyjątkiem, że przylegał do ciała i nie wykonano go z metalu. Dziewczyna czuła ciężar broni schowanej tak zmyślnie, że nikt nie domyśliłby się jej obecności, nawet gdyby ją poklepał. Na próbę machnęła ramionami.

– Ostrożnie – powiedział niski człowiek stojący przed nią. Miał szeroko otwarte oczy. – Zaraz mi głowę utniesz!

Arobynn, który stał za nimi oparty o krytą boazerią ścianę sali ćwiczebnej, zachichotał. Nie zadawała żadnych pytań, kiedy ją wezwał, a potem polecił po prostu, by założyła ów czarny strój i dopasowane do niego, wyściełane buty.

– Żeby dobrać broni – rzekł pomysłodawca, robiąc krok w tył – musisz machnąć ramieniem w dół i przekrzywić nadgarstek.

Zademonstrował gest chudą ręką, a Celaena powtórzyła ruch.

Uśmiechnęła się, gdy wąskie ostrze wystrzeliło z ukrytego w przedramieniu schowka. Sztylet był przymocowany na stałe do rękawa i dziewczyna czuła się, jakby miała krótki miecz przyspawany do ramienia. Machnęła drugim barkiem w podobny sposób i uwolniła drugie ostrze. Odpowiadał za to jakiś wewnętrzny mechanizm, genialne połączenie sprężyn i dźwigni. Klingi zaświstały, gdy kilkakrotnie przecięła nimi powietrze. Były dobrze wykonane i zabójczynie aż uniosła brwi z podziwem.

– Jak je schować?

– Ach, to trochę trudniejsze – rzekł wynalazca. – Unieś nadgarstek i wciśnij ten niewielki przycisk. To powinno uruchomić odpowiedni mechanizm... O, widzisz.

Ostrze wsunęło się do środka. Celaena kilkakrotnie uwolniła je i schowała.

Miała się rozprawić z Donevalem i jego współnikiem za kilka dni. Wystarczy więc czasu, by przetestować ów kombinezon. Zdąży też przejrzeć ochronę i dowiedzieć się, kiedy dojdzie do spotkania, tym bardziej że wiedziała już, iż nastąpi ono w gabinecie.

W końcu spojrzała na Arobynna.

– Ile to kosztuje?

Król Zabójców odepchnął się od ściany.

– To prezent. Buty też.

Dziewczyna uderzyła czubkiem buta o pokrytą kafelkami podłogę, czując, że podeszwa jest porowata, a jej krawędzie ostre. Idealnie nadawały się do wspinaczki. Wynalazca dodał, że owcze futro, którym wyłożono je od środka, zapewni odpowiednie ciepło stopom, nawet jeśli buty zostaną całkowicie przemoczone. Zabójczynie nigdy dotąd nie słyszała o takich kombinezonach. Dzięki wynalazkom mogła całkiem zmienić sposób wykonywania misji, choć oczywiście wcale ich nie potrzebowała. Ale przecież nazywała się Celaena Sardothien, niech

bogowie będą przekłęci! Czyż nie zasługiwała na najlepszy sprzęt? Gdy będzie miała taki strój, nikt nigdy nie podważy jej pozycji! Nigdy! A jeśli ktoś się ośmieli, to cóż... Niech go Wyrd ma w opiece.

Wynalazca chciał raz jeszcze sprawdzić jej wymiary, choć te, które dostarczył mu Arobynn, zgadzały się prawie idealnie. Dziewczyna zgodziła się i uniosła ramiona. Przybysz mierzył ją, a ona wypytywała go z uprzejmości o podróż z Melisande i o rzeczy, które miał zamiar tu sprzedać. Powiedział, że jest mistrzem konstruktorem i specjalizuje się w tworzeniu przedmiotów powszechnie uważanych za niemożliwe. Ów kombinezon na przykład był jednocześnie zbroją i zbrojownią, a przy tym był bardzo lekki, dzięki czemu nosiło się go wygodnie.

Celaena spojrzała przez ramię na Arobynna, który przysłuchiwał się rozmowie z rozbawionym wyrazem twarzy.

– Chcesz taki zamówić?

– Jasne. Sam też. Najlepsi z moich ludzi zasługują na najlepszy sprzęt.

Zauważyła, że nie użył słowa „zabójców”, ale konstruktor nie dał po sobie poznać, że wie, czym się zajmują. Celaena jednakże nie mogła opanować zaskoczenia.

– Nigdy nie dajesz prezentów Samowi.

Arobynn wzruszył ramionami, skubiąc wypielegnowany paznokieć.

– Och, Sam zapłaci za swój kombinezon. Nie mogę przecież pozwolić na to, by drugi z moich najlepszych ludzi chodził bezbronny, prawda?

Tym razem udało jej się częściowo ukryć szok. Taki kombinezon z pewnością kosztował fortunę. Wykonanie musiało zabrać mnóstwo czasu, a same materiały też nie były za darmo. Arobynn bez wątpienia zlecił ich wykonanie zaraz po wysłaniu jej na Czerwoną Pustynię. Może naprawdę miał wyrzuty sumienia po tym, co się wydarzyło. Ale dlaczego zmuszał Sama, by go kupił?

Zegar wybił jedenastą, a Arobynn odetchnął.

– Mam spotkanie – rzekł i skinął upierścienioną dłonią na wynalazcę. – Zostaw rachunek memu służącemu, gdy już skończysz.

Mistrz skinął głową, nie przestając mierzyć Celaeny, a Arobynn ruszył w stronę dziewczyny. Każdy jego krok był pełen gracji, zupełnie jakby tańczył, a nie szedł. Pocałował ją w czubek głowy.

– Cieszę się, że wróciłaś – wyszeptał w jej włosy, a potem wyszedł z pomieszczenia, pogwizdując.

Mistrz uklęknął, by z niewytłumaczalnych powodów zmierzyć odległość między kolanem a czubkiem buta. Celaena odkaszlnęła i zaczęła chwilę, aż nabrała pewności, że Arobynn znalazł się poza zasięgiem słuchu.

– Czy mógłbyś umieścić kawałek pajęczego jedwabiu w którymś z tych kombinezonów? Jest niewielki i chciałabym, by zakrywał serce.

Pokazała mu skrawek wielkość chusteczki, którą podarował jej kupiec w pustynnym mieście Xandria.

Pajęczy jedwab był niemalże mitycznym materiałem wykonywanym przez czarne pająki wielkości konia. Stanowił ogromną rzadkość i zdobywali go tylko ci, którzy mieli odwagę osobiście zmierzyć się z pająkami. Zapłatą zaś nie było złoto. Pająki pożyły bowiem rzeczy takich jak marzenia, sny, wspomnienia i dusze. Poznany przez Celaenę kupiec oddał dwadzieścia lat życia za dwieście jardów jedwabiu. Po długiej, osobliwej rozmowie, jaką odbyli na ulicy Xandrii, otrzymała od niego niewielką chusteczkę. Miała jej przypominać, że wszystko ma swoją cenę.

Mistrz uniósł krzaczaste brwi.

– Eee... Chyba tak. Od środka czy od zewnątrz? – spytał, ale natychmiast sam odpowiedział na swoje pytanie. – Gdybym przyszył ją na zewnątrz, kombinezon utraciłby swój walor. Nie byłby bowiem idealnie czarny. Ten materiał może jednak zatrzymać każde ostrze, a przy tych rozmiarach idealnie zakryje serce. Och, ile ja bym dał za dziesięć jardów pajęczego jedwabiu! Jesteś niezwykła, moja droga!

– Będę, pod warunkiem, że jedwab zasłoni mi serce. – Uśmiechnęła się w zamyśleniu.

Rozstała się z mistrzem w korytarzu. Jej ubiór miał być gotowy na pojutrze.

Nie zdziwiła się, gdy wychodząc, wpadła na Sama. Widziała przecież manekina noszącego jego kombinezon w sali treningowej. Młodzieniec otaksował jej strój. Miała pobiec do swej komnaty, przebrać się i zanieść kombinezon mistrzowi, by ten wprowadził poprawki.

– Nieźle – rzekł Sam.

Celaena chciała oprzeć dłonie na biodrach, ale powstrzymała odruch. Przypomniała sobie, że musi uważać na siebie, dopóki nie nauczy się poruszać w nowym odzieniu. W przeciwnym razie może



przez przypadek kogoś przekłuć.

– Kolejny prezent? – spytał młodzieniec.

– A przeszkadza ci to?

Nie widziała go wczoraj przez cały dzień, ale sama również stroniła od towarzystwa. Bynajmniej nie próbowała go unikać, ale przeczuwała, że będzie przy nim Lysandra, a jej akurat nie miała najmniejszej ochoty oglądać. Dziwiło ją jednak to, że nie zajmował się teraz żadnym zleceniem. Większość zabójców wypełniała różne zadania z dala od Twierdzy bądź miała tyle pracy, że rzadko przebywali w domu. Sam jednakże najwyraźniej włączył się beczynnie po Twierdzy lub pomagał Lysandrze i jej madame.

Młodzieniec założył ramiona na piersi. Jego koszula była tak obcisła, że dziewczyna wyraźnie widziała mięśnie grające pod skórą.

– Skądże. Dziwi mnie tylko to, że je przyjmujesz. Jak możesz mu wybaczyć to, co ci zrobił?

– Wybaczyć? To nie ja skaczę wokół Lysandry, uczestniczę w przyjęciach i zajmuję się... Cholera, nie mam nawet pojęcia, czym się zajmowałeś przez całe lato!

– Myślisz, że sprawiło mi to przyjemność? – warknął cicho Sam.

– To nie ciebie wysłano na Czerwoną Pustynię!

– Wierz mi, wolałbym trafić tysiąc mil stąd!

– Nie wierzę ci. A niby czemu miałabym ci uwierzyć w cokolwiek?

– O czym ty gadasz? – Sam zmarszczył brwi.

– O niczym. Nie twoja sprawa. Nie chcę o tym rozmawiać, a już w ogóle nie chcę rozmawiać z tobą, Samie Cortland.

– A więc nie krępuj się! – wydyszał Sam. – Wczołgaj się do biura Arobynna i porozmawiaj z nim! Niech ci kupuje prezenty, gładzi po główce i oferuje najlepiej płatne misje. Szybko się pokapuje, ile kosztuje twoje wybaczenie. Przecież ty...

Odepchnęła go.

– Nie waż się mnie osądzać. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej.

Na twarzy Sama drgnął jakiś mięsień.

– W porządku. W końcu ty i tak nie słuchasz głosu rozsądku. Celaena Sardothien i Arobynn Hamel, nierozłączna dwójka, wpatrzeni w siebie aż do końca świata. Reszta z nas równie dobrze mogłaby być niewidzialna.

– Mówisz, jakbyś był zazdrosny. To ciekawe, bo tobie nikt nie

odebrał trzech miesięcy lata. Co się takiego wydarzyło, co? Nie udało ci się go przekonać, że to ty powinieneś być jego faworytem? Czyżby Arobynn doszedł do wniosku, że się nie nadajesz?

Sam nachylił się ku niej tak szybko, że z trudem zwalczyła odruch odskoczenia do tyłu.

– Nie masz pojęcia, co się wydarzyło tego lata. Błędego pojęcia, Celaeno.

– No i dobrze, bo mam to gdzieś.

Jego oczy były otwarte tak szeroko, że zaczęła się zastanawiać, czy nieświadomie go nie uderzyła. W końcu cofnął się, a dziewczyna przemknęła obok niego. Zatrzymała się jednak, gdy usłyszała jego słowa:

– Chcesz wiedzieć, czego zażądałem w zamian za wybaczenie Arobynnowi, Celaeno?

Odwróciła się powoli. Nadchodził deszcz i korytarz był pełen cieni oraz plam światła. Sam stał tak nieruchomo, że mógł być posągiem.

– Chciałem, by przysiągł, że już nigdy więcej nie tknie cię nawet palcem. Powiedziałem, że wybaczę mu, jeśli mi to obieca.

Zabójczyni pożałowała, że nie uderzył jej w brzuch, gdyż taki cios zapewne zabolalby mniej. Przeczuwała, że zaraz osunie się ze wstydu na kolana, a więc odwróciła się i odeszła.

Nie chciała już nigdy z nim rozmawiać. Jak mogła teraz spojrzeć mu w oczy? Zmusił Arobynna do złożenia przysięgi, by ją chronić. Nie miała pojęcia, jakimi słowami wyrazić jednocześnie wdzięczność i winę. O wiele łatwiej byłoby go znienawidzić... Byłoby też o wiele łatwiej, gdyby zrzucił na nią całą winę za karę wymierzoną mu przez Arobynna. Powiedziała mu tyle okrutnych rzeczy... Czy zdoła go kiedyś za nie przeprosić?

Arobynn zajrzał do niej po lunchu i przykazał, by służba przygotowała jej suknię. Dowiedział się bowiem, że Doneval wybierał się tego wieczoru do teatru i dobrze by było, by również się tam udała. Do wymiany miało dojść już za cztery dni.

Przygotowała już plan śledzenia Donevala, ale nie była aż tak dumna, by odrzucić propozycję Arobynna. Przyglądając się przyszłej ofierze z łoży w teatrze, mogła dowiedzieć się, z kim rozmawia, kto przy nim siedzi i kto go pilnuje. Poza tym rzadko miała okazję ujrzeć pokaz tańców klasycznych z pełną orkiestrą. Takiej propozycji nie

można było odrzucić. Arobynn nie powiedział jej jednak, kto uda się do teatru wraz z nią.

Dowiedziała się tego, gdy wspięła się do powozu Króla i ujrzała Sama oraz Lysandrę w środku. Arobynn wyjaśnił, że do Aukcji pozostały jedynie cztery dni i młoda kurtyzana musiała pokazywać się najczęściej, jak tylko mogła. Sam zaś był jej ochroniarzem.

Celaena opadła na siedzenie obok młodzieńca i zerknęła na niego ukradkiem. Przyglądał jej się uważnie. Był spięty, jakby oczekiwał, że lada moment zacznie z niego kpić. Czy mogłaby jednak z niego zadrwić po tym, co dla niej zrobił? Naprawdę uważał, że jest tak okrutna? Celaenie zrobiło się przykro i opuściła wzrok. Siedząca naprzeciwko niej Lysandra uśmiechnęła się do zabójczyni i wsunęła rękę pod ramię Arobynna.

## Rozdział trzeci

Dwóch służących powitało Arobynna w jego osobistej łoży. Odebrali od nich przemoczone płaszcze i wręczyli im kieliszki z szampanem. Natychmiast zjawił się jakiś znajomy Króla, by się przywitać. Arobynn, Sam i Lysandra pozostali w obitym aksamitem przedpokoju, pogrążeni w rozmowie, a Celaena, która nie miała ochoty patrzeć na kurtyzanę, testującą na obcym potencjał swego flirtu, odsunęła karmazynową kotarę i zajęła to samo miejsce co zawsze, jak najbliżej sceny.

Łoża Arobynna usytuowana była z boku ogromnej sali, ale tak blisko środka, że nic nie ograniczało widoku na scenę oraz stanowisko orkiestry. Lepszy widok oferowały jedynie położone w samym centrum Królewskie Łoże, które były całkowicie puste. Celaena przypatrzyła im się i nie ujrzała żywego ducha. Ogromna szkoda.

Przyjrzała się pozostałym łóżom i rzędom miejsc na parterze. Obserwowała skrzące się brylanty, jedwabne suknie oraz mieniące się kieliszki z szampanem i wsłuchiwała się w szmer rozmów. W żadnym innym miejscu nie czuła się taka szczęśliwa jak w tym teatrze. Uwielbiała czerwone aksamitne poduszki, szklane kandelabry i połączoną kopułę dachu wysoko, wysoko nad nimi. Czy to przypadek zdecydował o tym, że teatr powstał w samym centrum miasta, zaledwie dwadzieścia minut pieszo od Twierdzy Zabójców, czy może ktoś to zaplanował? Wiedziała, że niełatwo będzie jej przyzwyczaić się do nowego mieszkania, które leżało dwa razy dalej od teatru, ale nie wzbraniała się przed tą ofiarą. O ile, rzecz jasna, znajdzie kiedyś odpowiedni moment, by powiedzieć Arobynnowi, że spłaca dług i się wyprowadza. Ale zrobi to. Wkrótce.

Wyczuła, że Król nadchodzi, jak zwykle zdecydowany i pewny siebie, po czym wyprostowała się, gdy nachylił się nad jej ramieniem.

– Doneval siedzi na wprost nas – szepnął. Jego oddech ogrzewał jej skórę. – Trzecia łoża od sceny, drugi rząd.

Natychmiast zlokalizowała człowieka, którego miała zabić. Był to wysoki mężczyzna w średnim wieku, z jasnymi włosami i opaloną

skórą. Nie należał do zabójczo przystojnych, ale nie budził obrzydzenia. Nie było w nim nic szczególnego z wyjątkiem fioletowej tuniki, która nawet z tej odległości wydawała się droga.

W łoży siedziało jeszcze kilku innych ludzi. Przy kotarze rozdzielającej łożę stała wysoka, elegancka kobieta koło trzydziestki, wokół której kłębił się tłum mężczyzn. Nosiła się jak arystokratka, choć jej połyskliwych ciemnych włosów nie zdobił żaden diadem.

– To Leighfer Bardingale – mruknął Arobynn, patrząc w tym samym kierunku.

Była żona Donevala i zleceniodawczyni Celaeny.

– Ich małżeństwo zostało zaaranżowane. Jej marzyło się jego bogactwo, a jemu podobała się jej młodość. Gdy okazało się, że nie mogą mieć dzieci i wyszły na jaw jego... jego mniej mile widziane zachowania, Leighfer zdołała się od niego uwolnić. Jest wciąż młoda, ale o wiele bogatsza.

Bardingale doprawdy mądrze postępowała, udając, że wciąż łączy ją przyjazne stosunki z byłym mężem. Nikt nie będzie jej podejrzewał, gdy zamach się powiedzie. Choć robiła wrażenie eleganckiej, uprzejmej damy, Celaena wiedziała, że ma serce z lodowatej stali. Przeczuwała też, że tę kobietę cechuje niewzruszona lojalność wobec przyjaciół i sojuszników oraz troska o poszanowanie praw wszystkich ludzi. Wystarczyło raz na nią spojrzeć, by od razu zacząć ją podziwiać.

– A ci ludzie wokół nich? – zapytała Celaena.

Przez szparę w kotarze za plecami Donevala widziała trzech barczystych mężczyzn w ciemnoszarych strojach. Wyglądali na ochroniarzy.

– Ich przyjaciele i inwestorzy. Bardingale i Donevala wciąż łączy wspólne interesy. Ta trójka za nimi to ich strażnicy.

Celaena pokiwała głową i zapewne zadałaby kolejne pytanie, ale do łoży weszli Sam z Lysandrą, żegnając się ze znajomym Arobynna. W galerii było sześć wolnych miejsc – trzy wzdłuż balustrady i trzy za nimi. Lysandra, ku przerażeniu Celaeny, usiadła obok niej. Mężczyźni spoczęli za nimi.

– Och, spójrz, ilu tu ludzi! – rzekła kurtyzana.

Miała na sobie suknię w kolorze błękitnego lodu z głębokim dekoltem, który bynajmniej nie krył jej biustu, gdy nachyliła się nad balustradą. Wymieniała jedno ważne nazwisko za drugim, ale

Celaena nie słuchała. Wyczuwała obecność Sama za swoimi plecami, wiedziała, że jego spojrzenie skupione jest na skrywającej scenę kurtynie ze złotego aksamitu. Pomyślała, że powinna mu coś powiedzieć – przeprosić, podziękować lub choć... lub rzucić jakieś miłe słowo. Miała wrażenie, że jest spięty, jakby i on chciał coś rzec. Skądś dobiegł dźwięk gongu, wzywający publiczność do zajęcia miejsc.

„Teraz albo nigdy” – pomyślała zabójczyni.

Nie miała pojęcia, dlaczego serce wali jej tak mocno, ale bez chwili zastanowienia odwróciła się, obrzuciła go spojrzeniem i powiedziała:

– Ładnie wyglądasz.

Sam uniósł brwi, a dziewczyna na powrót rozsiadła się wygodnie i wbiła wzrok w kurtynę. Wyglądał o wiele lepiej niż tylko „ładnie”, ale... Cóż, chociaż udało jej się powiedzieć coś miłego. Przynajmniej spróbowała. Niemniej jednak wcale nie poczuła się lepiej.

Celaena złożyła dłonie na kolanie, zakrytym materiałem krwistoczerwonej sukni, która nie była wycięta tak głęboko jak Lysandry, ale miała wąskie rękawy i odsłonięte ramiona, dzięki czemu czuła się obnażona przed Samem. Pochyliła się i zarzuciła włosy na jedno ramię.

Oczywiście nie po to, by ukryć bliznę na szyi.

Doneval rozparł się w fotelu i patrzył na scenę. Jak to możliwe, by człowiek, który wyglądał na tak znudzonego i nieporadnego, mógł być odpowiedzialny nie tylko za wiele istnień ludzkich, ale za cały swój kraj? Jak to możliwe, że siedział teraz wygodnie w teatrze, a nie zwieszał głowę ze wstydem za krzywdę, którą miał zamiar wyrządzić rodakom i pochwyconym niewolnikom? Każdy z ludzi otaczających Bardingale ucałował ją w oba policzki i skierował się do własnej łoży. Trzech dryblasów strzegących Donevala przyglądało się bardzo, bardzo uważnie. Nie byli to więc znudzeni, leniwi ochroniarze. Celaena zmarszczyła brwi.

Żyrandole zostały podciągnięte ku sufitowi kopuły i wygaszone. Publiczność uciszyła się, gdy popłynęły pierwsze takty muzyki. W ciemnościach zabójczyni nie była w stanie dojrzeć Donevala.

Dłoń Sama musnęła jej ramię. O mały włos nie zerwała się na równe nogi, gdy ten przysunął usta do jej ucha i szepnął:

– Ty też wyglądasz wspaniale. Choć założę się, że już o tym wiesz.

Och, co do tego nie było wątpliwości.

Celaena odwróciła głowę, by smagnąć go wrogim spojrzeniem, i odkryła, że Sam uśmiecha się wesoło.

Powstrzymała ochotę, by odpowiedzieć uśmiechem. Znów spojrzała na scenę. Orkiestra budowała tło muzyczne do spektaklu. Muzyka tworzyła świat cieni oraz mgieł, świat, w którym w ciemnościach przed świtem pojawiały się stworzenia i mity.

Celaena znieruchomiała, gdy złocista kurtyna zaczęła się rozdzielać. Wszystko, co wiedziała i czym była, stało się nieistotne. Muzyka całkiem ją pochłonęła.

Musiała przyznać, że taniec był urzekający, a opowiedziana w nim historia o księciu próbującym uratować ukochaną i złapanym przezeń sprytnym ptaku, który miał w tym dopomóc, również przypadła jej do gustu, ale nic nie mogło się równać z muzyką.

Czy istniało coś piękniejszego? Czy coś mogło ranić w bardziej wyrafinowany sposób? Zaciskała dłonie na poręczach fotela i wbijała paznokcie w aksamit, a muzyka nabierała tempa i porywała ją ze sobą.

Każde uderzenie w bęben, każdy trel wygrany na flecie i każdy pomruk rogu prześlizgiwały się po jej skórze i kościach. Muzyka rozdzierała ją i składała na powrót, by znów ją rozszarpać.

Wkrótce nastąpił punkt kulminacyjny, kompilacja wszystkich dźwięków, które najbardziej kochała, potężniejących, narastających, aż zdawać się mogło, że ich echo będzie rozbrzmiewać po wieczność. Gdy finalna nuta wybrzmiała, z ust Celaeny wyrwał się jęk, a w oczach pojawiły się łzy. Nie obchodziło jej, czy ktoś to widzi.

A potem nastąpiła cisza.

Cisza była najgorszą rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszała, gdyż niespodziewanie przypomniła jej o rzeczywistości. Ekspłodował aplauz. Dziewczyna zerwała się na równe nogi i płacząc, biła brawo, aż rozboleły ją dłonie.

Lysandra pochyliła się ku niej.

– Nie wiedziałem, że masz w sobie choć cień ludzkich uczuć, Celaeno – szepnęła. – Poza tym nie sądzę, by to przedstawienie było aż tak dobre.

Sam złapał oparcie krzesła Lysandry.

– Zamknij się! – warknął.

Arobynn syknął, by ich ostrzec, ale Celaena nadal biła brawo.

Wstawiennictwo Sama sprawiło jej nieco przyjemności. Owacje trwały przez dłuższą chwilę. Tancerze raz za razem wychodzili zza kurtyny, by ukłonić się widowni, i za każdym razem obsypywał ich deszcz kwiatów. Celaena nadal klaskała, choć jej łzy już wyschły, a widzowie zaczęli się zbierać.

Gdy przypomniała sobie o łożu Donewała, była już pusta.

Arobynn, Sam i Lysandra wyszli na długo przed nią. W końcu Celaena przestała bić brawo, ale nadal stała i wpatrywała się w scenę zasłoniętą kurtyną oraz w orkiestrę pakującą instrumenty.

Opuściła teatr jako ostatnia.

Tego wieczoru w Twierdzy wyprawiono inne przyjęcie – dla Lysandry, jej madame oraz artystów, filozofów i pisarzy, którzy teraz przyciągali uwagę Arobynna. Na szczęście odbywało się w jednym z salonów, ale śmiechy i muzykę słychać było na całym drugim piętrze. Gdy wracali powozem do Twierdzy, Arobynn poprosił Celaenę, by do nich dołączyła, ale zabójczyni nie miała ochoty oglądać Lysandry rozpieszczanej przez Arobynna, Sama i resztę gości. Powiedziała więc, że jest zmęczona i ma ochotę położyć się spać.

Nie była jednak w ogóle zmęczona. Może wyczerpana emocjonalnie, ale nie zmęczona. Była dopiero dziesiąta trzydzieści, a na myśl o zdjęciu sukni i wpełznięciu do łóżka chciało jej się śmiać. Przecież była Zabójczynią Adarlanu! Wyzwalała niewolników, kradła asteriońskie konie i zdobyła szacunek Niemego Mistrza. Na pewno mogła zrobić coś lepszego od pójścia do łóżka o tak wczesnej godzinie.

Wślizgnęła się więc do jednego z pokojów muzycznych, gdzie było na tyle cicho, że od czasu do czasu słyszała jedynie wybuchy śmiechu. Pozostali zabójcy byli na przyjęciu bądź wypełniali zlecenia. Jedynym odgłosem był szelest jej sukni, gdy siadała przy pianinie i odchyłała klapę. Nauczyła się grać z polecenia Arobynna, któremu zależało, by perfekcyjnie opanowała choć jedną umiejętność niewiązącą się z zabijaniem. Miała wówczas dziesięć lat, ale natychmiast zakochała się w muzyce. Nie brała już lekcji, ale grała w każdej wolnej chwili.

Muzyka z teatru wciąż rozbrzmiewała w jej głowie. Raz za razem słyszała te same melodie i nuty. Czuła, jak błędzą nadal gdzieś w jej umyśle, w rytmie uderzeń serca. Oddałaby wszystko, by móc usłyszeć tę muzykę raz jeszcze!

Zagrała kilka dźwięków jedną dłonią, zmarszczyła brwi, inaczej



ułożyła palce i spróbowała raz jeszcze, próbując odegrać muzykę pobrzmiwającą w jej głowie. Powoli melodia zaczynała brzmieć jak należy.

Potrafiła jednakże zagrać jedynie kilka taktów, a miała do dyspozycji tylko pianino, a nie całą orkiestrę. Uderzyła w klawisze mocniej, próbując wyczuć takt. Była już bardzo blisko, ale melodia wciąż nie brzmiała idealnie. Nie pamiętała jej już tak dobrze. Nie czuła tej muzyki tak intensywnie jak zaledwie godzinę temu.

Próbowała jeszcze przez kilka minut, aż w końcu się zniecierpliwiła, zatrzasnęła klapę i wyszła z pokoju. Sam stał na korytarzu i opierał się o ścianę. Czyżby przez cały czas podsłuchiwał, jak zмага się z pianinem?

– Blisko, ale nie do końca to samo, co? – spytał.

Celaena spojrzała na niego z niechęcią i ruszyła do sypialni, choć nie miała ochoty siedzieć samotnie przez cały wieczór.

– Pewnie szlag cię trafia, że nie możesz zagrać tej melodii dokładnie tak, jak ją zapamiętałaś – powiedział Sam, który ruszył za nią. Ciemny błękit jego tuniki sprawiał, że skóra połyskiwała mu złotem.

– Tak tylko sobie pogrywałam – odparła. – Przecież wiesz, że nie mogę być najlepsza we wszystkim. To byłoby nie w porządku wobec innych, no nie?

Gdzieś w korytarzu ktoś grał wesołą melodię w bawialni. Sam przygryzł wargę.

– Dlaczego nie udałaś się w ślad za Donevalem po przedstawieniu? Czyż nie zostały ci tylko cztery dni?

Dziewczyna nie była zdziwiona tym, że Sam wie o wszystkim. Jej misje zazwyczaj nie były otoczone aż tak wielką tajemnicą. Zatrzymała się, wciąż marząc o tym, by raz jeszcze usłyszeć muzykę z przedstawienia.

– Niektóre sprawy są ważniejsze od śmierci.

– Wiem – rzekł Sam.

Jego oczy zamigotały.

Nie spuszczał z niej wzroku, a dziewczyna z trudem poskromiła odruch wiercenia się. Wiedziała, że chciał w ten sposób dać jej coś do zrozumienia, ale nie domyślała się, po co.

– Dlaczego pomagasz Lysandrze?

Nie miała pojęcia, czemu zadała to pytanie.

– Wiesz, ona nie jest aż tak zepsuta. – Sam zmarszczył brwi. – Na osobności jest... cóż, sympatyczniejsza. Nie odgryź mi głowy za to, co powiem, ale pamiętaj, że choć szydzisz z jej profesji, nie wybrała jej sama. Podobnie jak my.

Pokręcił głową.

– Chce tylko przyciągnąć twoją uwagę. Chce, byś zauważyła jej istnienie.

Zabójczynie zacisnęła szczęki. A więc spędził z nią mnóstwo czasu i odkrył w niej dobro? Oczywiście, jakżeby inaczej.

– Niespecjalnie interesuje mnie to, czego ona chce. Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego jej pomagasz?

– Bo Arobynn mi kazał. – Sam wzruszył ramionami. – A ja nie mam ochoty, by znów obić mi głowę, a więc nie kwestionuję poleceń.

– Tobie też wyrządził taką krzywdę?

Sam zaśmiał się cicho. Otworzył usta, by odpowiedzieć, ale pojawił się służący dźwigający tacę z butelkami wina. Byłoby lepiej, gdyby dokonczyli tę rozmowę w jakimś pokoju, gdzie trudniej było ich podsłuchać, ale na samą myśl o znalezieniu się z nim w jednym pomieszczeniu puls Celaeny gwałtownie przyspieszył.

– Byłem nieprzytomny przez dobry dzień, a przez trzy następne co rusz traciłem przytomność – odparł, gdy znów zostali sami.

Zabójczynie zakłęła wściekle pod nosem.

– Ciebie wysłał na Czerwoną Pustynię – ciągnął młodzieniec cichym głosem. – Moja kara polegała na tym, że musiałem się przyglądać, jak cię bije.

– Dlaczego?

Było to kolejne pytanie, którego nie chciała zadawać.

Sam podszedł do niej. Stał teraz tak blisko, że widziała złote nici w jego tunice.

– Po tym, przez co przeszliśmy w Zatoce Czaszek, powinnaś znać odpowiedź.

Celaena naraz uświadomiła sobie, że chyba nie chce poznać tej odpowiedzi.

– Weźmiesz udział w Aukcji Lysandry?

Sam wybuchł śmiechem.

– W Aukcji? Celaeno, ja nie mam pieniędzy! Zebrałem trochę oszczędności, ale wszystko pójdzie na spłacenie długu u Arobynna!

Nawet gdybym chciał...

– A chcesz?

Młodzieniec uśmiechnął się leniwie.

– A dlaczego chcesz się tego dowiedzieć?

– Bo zastanawiam się, czy Arobynn, bijąc cię, nie poprzestawiał ci w głowie.

– Boisz się, że mogłem przeżyć z nią letni romans? – zapytał Sam, nadal z tym samym nieznośnym uśmiechem.

Mogła przeorać mu twarz paznokciami, ale postanowiła chwycić za inną broń.

– Mam nadzieję, że tak. Bo ja bawiłam się znakomicie tego lata.

Jego uśmiech przygasł.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Dziewczyna strzepnęła niewidzialny pyłek z sukni.

– Powiedzmy, że syn Niemego Mistrza okazał się o wiele miłszy od innych Milczących Zabójców.

Nie było to do końca kłamstwo. Ilias przecież próbował ją pocałować, a jej podobało się to, że poświęca jej uwagę, ale nie chciała, by ich znajomość przerodziła się w romans.

Twarcz Sama zbladła. Jej słowa osiągnęły cel, choć nie poczuła takiej satysfakcji, jakiej się spodziewała. Na widok emocjonalnej reakcji Sama poczuła się... Och, po co w ogóle wspominała o Iliasie?

Cóż, doskonale wiedziała, dlaczego to zrobiła. Młodzieniec zaczął się odwracać, ale złapała go za rękę.

– Pomóż mi z Donevalem – wypaliła. Nie potrzebowała co prawda jego asysty, ale nie miała pojęcia, jak może się odwdzięczyć za to, co dla niej zrobił. – Ja... Ja oddam ci połowę pieniędzy!

– Zatrzymaj forszę – parsknął. – Nie potrzebuję jej. Wystarczy mi, że pokrzyżuję plany kolejnego handlarza niewolników.

Przyglądał jej się przez chwilę, uśmiechając się krzywo.

– Naprawdę potrzebujesz mojej pomocy?

– Tak – powiedziała, choć jej słowa były nieco zduszone.

Sam wpatrywał się w jej oczy, szukając jakichkolwiek oznak drwiny. Celaena przeklęła się w myślach za to, że tak bardzo jej nie ufał.

W końcu pokiwał głową.

– Jutro zabierzemy się do pracy. Najpierw obejrzymy sobie jego

dom, chyba że już to zrobiłaś.

Celaena pokręciła głową.

– Dobra, przyjdę do ciebie po śniadaniu.

Zabójczynie skinęła głową. Nie chciała, by odchodził, chciała powiedzieć mu o wiele więcej, ale miała ściśnięte gardło, zbyt przepełnione niewypowiedzianymi słowami. Zaczęła się odwracać.

– Celaeno?

Spojrzała na niego, czerwona suknia aż zawirowała. Jej oczy zabłyśły, gdy znów uśmiechnął się krzywo.

– Tęskniłem za tobą tego lata.

Śmiało odwzajemniła jego spojrzenie i uśmiechając się, powiedziała:

– Straszny z ciebie lebiega, Samie Cortland, ale muszę przyznać, że też mi ciebie brakowało.

Zachichotał, wbił ręce w kieszenie i udał się na przyjęcie.

## Rozdział czwarty

Nadeszło popołudnie kolejnego dnia. Celaena, kucająca w cieniu gargulca, zmieniała pozycję, by ulżyć ścierpniętym nogom. Zazwyczaj wolała nosić maskę, ale przy takim deszczu niewiele by przez nią widziała. Bez maski czuła się jednak mało komfortowo.

Mokre kamienie były śliskie i każdy ruch wymagał ostrożności. Sześć godzin. Siedziała na tym dachu od sześciu godzin, wpatrując się w dwupiętrowy dom po drugiej stronie ulicy, wynajęty przez Donevala na czas pobytu w Rifthold. Wznosił się niedaleko najmodniejszej ulicy stolicy i jak na miejscowe warunki był ogromny. Zbudowany z solidnego, białego kamienia, przykryty zielonymi, glinianymi dachówkami i zaopatrzony w pięknie wykonane drzwi oraz parapety, nie różnił się niczym od innych bogatych domów w mieście. Trawnik przed nim był starannie przystrzyżony, a służba pomimo deszczu uwijała się gorączkowo, znosząc jedzenie, kwiaty i inne potrzebne rzeczy.

To było jej pierwsze spostrzeżenie – przez cały dzień ludzie wchodzili do środka i wychodzili na zewnątrz. Liczni strażnicy uważnie przyglądali się jednak twarzom służących, co niektórych z nich przerażało do granic.

Czyjeś buty zaszurały na gzymsie. Sam, który przyglądał się kamienicy z drugiej strony, zwinnie wślizgnął się w cień rzucony przez gargulca.

– Strażnik na każdym rogu – mruknęła do niego Celaena. – Trzech przy głównych drzwiach, dwóch przy bramie. Ilu z tyłu?

– Po jednym z każdej strony domu, a do tego trzech przy stajniach. Ponadto nie przypominają tanich zbirów do wynajęcia. Wyeliminujemy ich czy spróbujemy przedostać się niepostrzeżenie obok nich?

– Wolałabym ich nie zabijać – przyznała. – Ale nie wiem, czy uda nam się wkraść do środka, nie przyciągając ich uwagi. Zmieniają się co dwie godziny, a ci, którzy mają wolne, wchodzą do domu.

– Donevala nadal nie ma?

Celaena przytaknęła i przysunęła się bliżej niego. Oczywiście po to, by ogrzać się nieco po czasie spędzonym w zamarzającym deszczu. Udawała, że nie zauważyła, iż zrobił to samo.

– Nie wrócił.

Doneval wyjechał niecałą godzinę temu, osłaniany przez człowieka przypominającego giganta wyciosanego z granitu. Ochroniarz obejrzał powóz, sprawdził woźnicę i lokaja, a potem przytrzymał drzwi, aż Doneval znalazł się w środku. Sam wślizgnął się za swoim mocodawcą. Najwidoczniej Doneval zdawał sobie sprawę z tego, że jego lista sympatyków niewolnictwa była niezwykle pożądanym i wartościowym dokumentem. Celaena rzadko widywała tak szczelną ochronę.

Bardzo skrupulatnie obejrzelili zarówno dom, jak i okolicę. Zwrócili uwagę na wszystko – kamienie, z których wzniesiono budynek, zabezpieczenie okien, strukturę dachu, a także odległość między nim a dachami sąsiednich kamienic. Choć deszcz ograniczał widoczność, dziewczyna dojrzała przez okno na drugim piętrze, że ciągnie się za nim długi korytarz. Kilku służących wyszło z pokoi, niosąc prześcieradła i koce. A więc były to sypialnie. Cztery sypialnie. Tuż przy klatce schodowej, mniej więcej w połowie korytarza, znajdował się schowek. Padające tam światło sugerowało, że główne schody są imponującej wielkości i wyposażone w okna, podobnie jak te w Twierdzy Zabójców. Nie było więc szansy na znalezienie tam kryjówki, chyba że znajdą przejścia dla służby.

Dopisało im jednak szczęście, gdyż Celaena wypatrzyła służącego z naręczem popołudniowych gazet, wchodzącego do jednego z pokoi na drugim piętrze. Kilka minut później w ślad za nim weszła pokojówka z wiadrem i narzędziami do czyszczenia kominków, a potem służący wniósł coś, co wyglądało na butelkę wina. Nie zauważyła, by ktokolwiek zmieniał tam pościel, a więc bacznie śledzili wszystkich, którzy odwiedzali ten pokój.

Nie mieli wątpliwości, że to ów gabinet, wspomniany przez Arobynna. Doneval przypuszczalnie miał oficjalne biuro na pierwszym piętrze, ale nic dziwnego, że wolał przenieść ciemne interesy do bardziej ukrytej części wynajmowanej kamienicy. To miało sens. Wciąż jednak musieli dowiedzieć się, o której spotkanie miało się odbyć.

– O, wrócił – syknął Sam.

Podjechał powóz Donevala. Ze środka wyskoczył ogromny ochroniarz, rozejrzał się uważnie dookoła i dał znać mocoodawcy, że ten może wysiadać. Bogacz popędził do domu. Celaena miała przeczucie, że jego pośpiech był spowodowany czymś więcej niż tylko ulewą. Oboje z Samem znów skryli się w cieniu.

– Dokąd się udał? – spytał Sam. – Masz jakiś pomysł?

Zabójczynie wzruszyła ramionami. Być może jego zniknięcie miało jakiś związek z wyprawianym przez byłą żonę przyjęciem z okazji Jesiennej Równonocy, które miało się odbyć tego wieczoru. Być może jego uwagę absorbował festiwal uliczny, organizowany przez Melisande w śródmieściu. Klęczeli z Samem tak blisko siebie, że czuła ciepło rozlewające się wzdłuż boku.

– Nie mam. Ale szlachetnych intencji bym się nie dopatrywała.

Sam zaśmiał się cicho, nadal wpatrzony w dom. Milczeli przez kilka minut, aż wreszcie powiedział:

– A więc syn Niemego Mistrza...

Celaena niemalże jęknęła.

– Jak blisko byliście? – dokończył.

Nie spuszczał wzroku z kamienicy, choć dziewczyna zauważyła, że zacisnęła pięści.

„Powiedz mu prawdę, idiotko!”

– Nic się nie wydarzyło. Trochę sobie flirtowaliśmy z Iliasem, ale... Ale do niczego nie doszło.

– Cóż – rzekł po chwili Sam. – Między mną a Lysandrą też do niczego nie doszło. I nie dojdzie. Nigdy.

– Serio myślisz, że mnie to obchodzi? – odparła.

Tym razem to ona nie spuszczała wzroku z domu.

Młodzieniec trącił ją ramieniem.

– No, przyszło mi do głowy, że skoro jesteśmy przyjaciółmi, to chciałabyś to wiedzieć.

Celaena cieszyła się w duchu, że kaptur zasłonił jej zalaną gorącym rumieńcem twarz.

– Chyba wolałam te czasy, gdy chciałeś mnie zabić.

– Ja chyba też. Może życie było wówczas ciekawsze. Zacząłem się jednak zastanawiać nad czymś innym. Skoro ci pomagam, to czy zostanę twoim zastępcą, gdy staniesz na czele Gildii Zabójców? A

może oznacza to tylko tyle, iż będę mógł się chwalić, że słynna Celaena Sardothien wreszcie uznała mnie za godnego siebie?

Uderzyła go łokciem.

– Oznacza to tylko tyle, że masz się zamknąć i uważać na dom.

Uśmiechnęli się do siebie i znów powrócili do obserwacji, aż zaczęło zmierzchać. Chmury tego dnia wisiały bardzo nisko, przez co oboje odnieśli wrażenie, że zachód słońca nastąpił wyjątkowo wcześnie. Niespodziewanie pojawił się ochroniarz. Nigdzie nie widzieli Donevala, ale olbrzym skinął na strażników, przez chwilę rozmawiał z nimi cicho, a potem wyszedł na ulicę.

– Ma jakąś sprawę do załatwienia? – zastanawiała się Celaena.

Sam skinął głową w jego kierunku, dając dziewczynie do zrozumienia, że powinni udać się w ślad za nim.

– Dobry pomysł.

Zesztywniałe kolana Celaeny zaprotestowały, gdy powoli, ostrożnie wynurzyła się z cienia rzucanego przez gargulca. Nie spuszczać oka z najbliższych strażników, złapała skraj dachu i wciągnęła się na górę. Sam zrobił to samo.

Żałowała, że nie ma butów zrobionych przez mistrza wynalazcę, ale te miała dostać z powrotem dopiero jutro. Jej czarne obuwie ze skóry, choć miękkie i godne zaufania, nie trzymało się aż tak dobrze śliskiej powierzchni. Mimo to nisko pochyłona biegła wzdłuż krawędzi dachu, śledząc wzrokiem olbrzymiego ochroniarza idącego ulicą na dole. Na szczęście skręcił w boczną uliczkę, a sąsiednia kamienica była na tyle blisko, że zabójczyni bez trudu zdołała przeskoczyć na jej dach. Buty ześlizgnęły się, ale dłonie w rękawiczkach pochwyciły kamienną, zieloną dachówkę. Sam wylądował perfekcyjnie tuż obok, a Celaena, ku swemu zdziwieniu, nie odgryzła mu głowy, gdy złapał ją za płaszcz i pomógł wstać.

Ochroniarz dalej szedł uliczką. Śledzili go z dachów, niewidocznym cieniem w gęstniejącym mroku. W końcu wszedł na szeroką ulicę, gdzie budynki były zbyt odległe od siebie na skok. Sam i Celaena ześlizgnęli się po rynnie. Ich buty miękko uderzyły o ziemię. Ramię w ramię ruszyli w ślad za ściganym. Szli zwykłym tempem, niczym dwoje mieszkańców stolicy mających coś do załatwienia i chcących jak najszybciej znaleźć się pod dachem.

Wypatrzenie ochroniarza w tłumie nie nastęczało trudności, nawet



gdy znaleźli się na głównej ulicy miasta. Ludzie uskakiwali mu z drogi. Organizowany przez Melisande uliczny festiwal ku czci Jesiennej Równonocy trwał w najlepsze i mimo deszczu zeszło się wielu ludzi. Celaena oraz Sam podążali w ślad za ochroniarzem jeszcze przez kilka przecznic i ulic. Ten odwrócił się jedynie raz, ale dostrzegł jedynie dwoje przechodniów w płaszczach, chroniących się przed deszczem pod ścianą.

Uliczki, rynsztoki i kanały były niemalże zapchane odpadkami i nieczystościami pozostawionymi przez ogromny konwój z Melisande oraz pomniejsze, zakończone już festiwale uliczne. Celaena usłyszała tu i ówdzie, że służby miejskie zamknęły niektóre kanały, chcąc napełnić je deszczówką. Rzekomo mieli otworzyć tamy dziś wieczorem, by zebrane za nimi wody spłukały śmieci do rzeki Avery. Najwidoczniej robili to już wielokrotnie, gdyż w przeciwnym razie odpadki zaczęłyby gnić i cuchnąć jeszcze bardziej. Celaena jednak postanowiła, że nim otworzą tamy, ona będzie wysoko, wysoko nad ulicami. Nie miała ochoty brodzić po wezbranych wodach.

Ochroniarz w końcu wszedł do knajpy w rozpadającym się budynku w slumsach. Czekali na niego po drugiej stronie ulicy. Widzieli przez popękane okno, jak siedzi przy barze i wypija kufel za kuflem. Celaena gorzko żałowała, że musi tu stać i nie może wziąć udziału w festiwalu.

– Cóż, jeśli ma słabość do alkoholu, być może zdołamy to jakoś wykorzystać przeciwko niemu – zauważył Sam.

Zabójczyni pokiwała głową, ale nie powiedziała ani słowa. Sam spojrzął w kierunku szklanego zamku, którego wieże spowiła mgła.

– Zastanawiam się, czy Bardingale i reszcie uda się przekonać króla do sfinansowania budowy drogi – powiedział. – Ciekawe, czy jej w ogóle na tym zależy, skoro jak najdłużej chce utrzymać handel niewolnikami z dala od Melisande.

– Przed wszystkim oznacza to, że pokłada w nas całkowite zaufanie – odparła Celaena.

Nie odezwała się już ani słowem i Sam zamilkł. Minęła godzina. Przez cały ten czas ochroniarz nie rozmawiał z nikim. Zapłacił za wszystko jedną sztuką srebra i skierował się do domu Donewała. Choć wypił mnóstwo piwa, szedł równym krokiem. Śledzący go zabójcy dotarli do kamienicy wraz z nim. Celaena była już nieprawdopodobnie

znużona, a do tego trzęsa się z zimna i zastanawiała się, czy zdrętwiałe palce nie podpadały jej od stóp.

Z rogu ulicy patrzyli, jak gigant wchodzi po frontowych schodach. To, że nie wybrał tylnego wyjścia, oznaczało, że cieszył się sporym uznaniem. Zabójcom udało się zdobyć trochę informacji, ale podczas dwudziestominutowej drogi do Twierdzy dziewczyna czuła, że ponieśli kompletną porażkę. Sam również się nie odzywał, a na odchodnym powiedział, że zobaczą się za kilka godzin.

Tej nocy miało się odbyć przyjęcie z okazji Jesiennej Równonocy, a wymiana dokumentów wypadła za trzy dni. Nie udało im się wiele dowiedzieć i dziewczyna doszła do wniosku, że będzie musiała bardziej się postarać, by znaleźć sposób na podejście ofiary. Być może „podarunek” Arobynna okazał się przekleństwem?

Co za strata.

Spędziła godzinę w wannie i dolewała gorącej wody, aż nabrała pewności, że nie zostało jej dla nikogo więcej. Arobynn osobiście zlecił budowę instalacji doprowadzającej wodę, która kosztowała tyle samo co cała kamienica, ale Celaena była mu za to dozgonnie wdzięczna.

Gdy przegnała już zimno ze swych kości, założyła czarny szlafrok z jedwabiu, podarowany jej przez Arobynna tego poranka. Był to kolejny prezent od niego, ale nadal nie miała ochoty mu wybaczyć. Poczłapała do sypialni. Służący rozpalili w kominku i dziewczyna już miała się przebrać na przyjęcie, gdy zauważyła stos dokumentów leżący na łóżku.

Przewiązano je czerwonym sznurkiem. Przeszył ją dreszcz, gdy wzięła kartkę leżącą na samej górze.

„Postaraj się nie poplamić ich łzami. Trzeba było wręczyć sporo łapówek, by je zdobyć”.

Przewróciła oczami, gdyby nie wiedziała, na co patrzy.

Był to zapis nutowy muzyki, którą słyszała zeszłej nocy! Zawierał wszystkie nuty, których nadal nie mogła wyrzucić z głowy, choć minął cały dzień. Spojrzała raz jeszcze na liścik. Nie było to eleganckie pismo Arobynna, ale pospieszne bazgroły Sama. Jak on znalazł czas, by to zdobyć? Zapewne wyszedł zaraz po ich powrocie.

Opadła na łóżko i przekartkowała zeszyt. Przedstawienie było wystawiane dopiero od kilku tygodni i muzyka nie była jeszcze w obiegu. Zresztą sprzedawano zapis nutowy tylko tych dzieł, które

okazały się sukcesem, a na to trzeba było czekać miesiące, a nawet lata.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Wyprawione przez Leighfer Bardingale przyjęcie z okazji Jesiennej Równonocy odbywało się w domu na brzegu rzeki. Pomimo deszczu panował na nim taki ścisk, że Celaena ledwie była w stanie pochwalić się swą wspaniałą błękitno--złotą suknią czy grzebieniami w kształcie rybich płetw wsuniętymi w upięte wysoko włosy. Pojawił się tu każdy mieszkaniec Rifthold, który cieszył się jakimś uznaniem. Brakowało tylko wysoko urodzonych, choć Celaena miała wrażenie, że ujrzała kilku arystokratów w tłumie wystrojonych gości.

Sala balowa była ogromna. Wysoki sufit obwieszono różnobarwnymi papierowymi latarniami wszystkich kształtów i rozmiarów. Kolumny wspierające jeden z boków sali opleciono wieńcami, a stoły uginały się od potraw i dekoracji. Na huśtawkach zawieszonych pod sufitem kołysały się młode dziewczęta, strojne jedynie w gorsety i koronki, a wino podawali półnadzy młodzieńcy ze zdobnymi białymi kołnierzami.

Celaena dorastała w Rifthold i uczestniczyła w wielu ekstrawaganckich przyjęciach. Wkradała się na imprezy organizowane przez obcych dygnitarzy i miejscową szlachtę. Widziała tyle wspaniałości, że doszła do wniosku, iż nic więcej już jej nie zaskoczy, lecz to przyjęcie przyćmiewało wszystkie inne.

Muzykę zapewniała niewielka orkiestra z dwiema śpiewaczkami – identycznymi, ciemnowłosymi bliźniaczkami, które natura obdarzyła niebiańskimi głosami. Ludzie w całej sali kołysali się do rytmu, a śpiew przyciągał coraz to nowe osoby na parkiet.

Celaena z Samem u boku zeszła po schodach do sali. Z lewej siedł Arobynn, a jego srebrne oczy lustrowały tłum. Wszyscy troje rozpromienili się, gdy u dołu schodów powitała ich gospodyni przyjęcia. Arobynn, odziany w tunikę koloru grafitowego, ukłonił się wytwornie i ucałował Bardingale w dłoń.

Kobieta przyglądała mu się ciemnymi, mądrymi oczami. Jej czerwone usta ozdobił łaskawy uśmiech.

– Leighfer – Arobynn odezwał się łagodnym, schlebiającym głosem i odwrócił się nieco, by wskazać Celaenę. – Pozwól, że ci przedstawię moją siostrzenicę Dianę oraz wychowanka Sama.

Siostrzenicę. Hamel zawsze opowiadał tę samą bajeczkę, gdy wspólnie uczestniczyli w balach i przyjęciach. Sam uklonił się, a Celaena dygnęła. Błysk w oczach Bardingale zdradził, iż doskonale zdaje sobie sprawę z braku pokrewieństwa między zabójczynią a Królem Zabójców. Dziewczyna powstrzymała odruch zmarszczenia brwi. Nie lubiła spotykać się twarzą w twarz z klientami. Wolą, by to Arobynn załatwiał te sprawy.

– Jestem oczarowana – rzekła Bardingale, a potem dygnęła przed Samem. – Oboje są uroczy, Arobynnie.

Było to piękne, acz pozbawione większego znaczenia zdanie, wypowiedziane przez kogoś, kto zwykł posługiwać się takimi sformułowaniami dla własnych celów.

– Przejdziemy się? – spytała Leighfer.

Arobynn podał jej ramię, ale nim oboje wtopili się w tłum, odwrócił się i obdarzył Celaenę zawadiackim uśmiechem.

– Postarajcie się nie wpaść w wielkie tarapaty.

Potem znikli wśród gości. Sam i Celaena nadal stali u dołu schodów.

– Co teraz? – mruknął Sam, patrząc w ślad za Bardingale. Miał na sobie ciemnozieloną tunikę, przez co w jego brązowych oczach połyskiwały szmaragdowe plamki. – Zauważyłaś gdzieś Donevala?

Przybyli na przyjęcie głównie po to, by się dowiedzieć, z kim Doneval trzymał, ilu strażników przywiódł i czy wyglądał na zdenerwowanego. Do wymiany dokumentów miało dojść za trzy dni w jego gabinecie na piętrze. Ale o której? Tego jednego zabójcy musiła się dowiedzieć w pierwszej kolejności. Dzisiejszego wieczoru zaś miała jedyną okazję, by się do niego zbliżyć.

– Stoi przy trzeciej kolumnie – powiedziała, wpatrując się w tłum.

W cieniu rzucanym przez kolumny ustawiono niewielkie platformy otoczone czarnymi zasłonami z aksamitu. Były to prywatne saloniki przeznaczone dla najważniejszych gości Bardingale. Celaena dostrzegła Donevala, gdy ten zmierzał w stronę jednej z nich. Zwalisty ochroniarz nie odstępował go ani na krok. Gdy tylko Doneval opadł na pluszowe poduszki, cztery ubrane w gorsety dziewczęta z uśmiechami przyklejonymi do twarzy zsunęły się i rozsiadły obok niego.

– Ależ mu miło – stwierdził Sam. – Ciekawe, ile Clarisse spodziewa się zarobić na tym przyjęciu.

To wyjaśniało, skąd się wzięły owe dziewczęta. Celaena miała jedynie nadzieję, że nie natknie się nigdzie na Lysandrę.

Jeden z przystojnych służących podał Donevalowi i kurtyzanom kieliszki perlistego szampana. Ochroniarz stojący przy zasłonach upił łyk, a potem skinieniem głowy potwierdził, że alkohol nadaje się do spożycia. Doneval, który otoczył ramieniem nagie barki siedzącej obok niego dziewczyny, nie podziękował ani służącemu, ani ochroniarzowi, a potem przycisnął usta do szyi kurtyzany. Celaena wydeła usta. Dziewczyna miała najwyżej dwadzieścia lat.

„Nic dziwnego, że ten człowiek zainteresował się handlem niewolnikami i że jest gotów zniszczyć swych przeciwników, by osiągnąć sukces” – pomyślała.

– Mam wrażenie, że przez jakiś czas stamtąd nie wyjdzie – powiedziała.

Gdy spojrzała na niego, odkryła, że ten marszczy brwi. Zawsze współczuł kurtyzanom, a ich klientelę darzył wielką nienawiścią. Cóż, jego matka przecież zginęła tragiczną śmiercią. Być może dlatego tolerował nieznośną Lysandrę oraz jej nudne, głupawe towarzyski.

Jakiś zataczający się mężczyzna prawie na nią wpadł, ale Celaena w porę go zauważyła i ustąpiła mu z drogi.

– Co za wariactwo – mruknęła i spojrzała na dziewczęta na huśtawkach, bujające się nad głowami zebranych.

Wyginały plecy tak bardzo, że ich piersi cudem nie wyskakiwały z gorsetów.

– Nie jestem w stanie sobie nawet wyobrazić, ile Bardingale wydała na to przyjęcie – rzekł Sam.

Stał tak blisko, że jego oddech pieścił szyję zabójczynie. Celaenę zresztą interesowało coś innego – ile organizatorka przyjęcia wydała na to, by odwrócić uwagę Donevala. Skoro wynajęła Celaenę w celu zniszczenia interesu Donevala i odzyskania dokumentów, najwyraźniej nie liczyła się z kosztami. Być może jednak chodziło jej o coś więcej. Być może Bardingale chciała położyć kres dekadenskiemu stylowi życia byłego męża i Celaena nie mogła jej za to winić.

Wyłożona poduszkami alkowa Donevala miała mu zapewnić intymność, ale bogacz najwyraźniej chciał zostać zauważony. Liczba butelek szampana stojących na niskim stoliku tuż przed nim sugerowała, że nie ma najmniejszej ochoty nigdzie się ruszać. Zależało

mu na tym, by inni do niego podchodzili, i bez wątpienia chciał czuć się potężny. Uwielbiał cześć, którą go otaczano, i cechował go niezły tupet, skoro figlował z kurtyzanami na przyjęciu urządzonym przez byłą żonę. Celaena doszła to wniosku, że to podłe i okrutne zachowanie, ale nie wiedziała, czy uda jej się to jakoś wykorzystać.

Wyglądało na to, że Doneval rzadko rozmawia z innymi mężczyznami. Ale z drugiej strony skąd pewność, że jego współnik to nie współniczka? Albo kurtyzana?

Doneval ślinił się na szyi dziewczyny po drugiej stronie, a jego dłonie błądziły po jej nagim udzie. Ale jeśli przybysz miał umowę z jakąś kurtyzaną, po co miałby czekać jeszcze trzy dni do wymiany dokumentów? Na pewno więc nie była to żadna z dziewcząt Clarisse ani też ona sama.

– Sądziś, że spotka się dziś ze współnikiem? – spytał Sam.

Celaena odwróciła się do niego.

– Nie. Wydaje mi się, że nie jest aż tak głupi, by prowadzić tu interesy z kimkolwiek. No, może z wyjątkiem Clarisse.

Twarz Sama pociemniała.

Cóż, skoro Doneval lubił kobiece towarzystwo, być może uda się to jakoś wykorzystać, by znaleźć się bliżej niego, prawda? Celaena zaczęła przeciskać się przez tłum.

– Co ty wyczyniasz? – spytał Sam, który usiłował za nią nadążyć.

Zmierzyła go ostrym spojrzeniem, rozpychając ludzi na boki.

– Nie idź za mną – powiedziała, ale jej głos był łagodny. – Chcę coś sprawdzić. Zostań tu. Znajdę cię później.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem pokiwał głową.

Celaena wciągnęła powietrze przez nos, a potem weszła po stopniach prosto do alkowy, w której zasiadał Doneval.

## Rozdział piąty

Cztery kurtyzany zauważyły ją, ale Celaena nie spuszczała wzroku z Donevala, który oderwał się od szyi obdarzanej wdziękami dziewczyny i spojrział na nią. Jego ochroniarz zachował czujność, ale nie zatrzymał jej. Co za idiota. Zmusiła się do lekkiego uśmiechu, gdy Doneval zaczął taksować ją wzrokiem od góry do dołu. Z tego właśnie względu zdecydowała się na założenie sukni z głębszym dekoltem niż zazwyczaj. Zrobiło jej się niedobrze, ale podeszła bliżej, aż od sofy bogacza dzielił ją tylko stolik, a potem dygnęła nisko, z wdziękiem.

– Mój panie – odezwała się ponętnie.

Doneval nie był bynajmniej arystokratą, ale zaliczał się do ludzi, którym podobają się wymyślne tytuły, nawet jeśli na nie nie zasłużyli.

– Czy mogę ci w czymś pomóc? – spytał, przyglądając się jej sukni, która zakrywała ciało bardziej niż stroje obecnych kurtyzan, ale czasami to, czego się nie widzi, okazuje się o wiele bardziej kuszące.

– Och, przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała i przechyliła lekko głowę, by odbiło się w niej światło latarni. Dobrze wiedziała, które z jej cech mężczyźni zauważali najszybciej i cenili najbardziej. – Ale mój wuj, który trudni się handlem, wychwalał cię tak bardzo, że ja...

Spojrzała na kurtyzany, jakby dopiero teraz zarejestrowała ich obecność. Zachowała się jak dobra, przyzwoita dziewczyna, która zrozumiała, gdzie się znalazła, i usiłowała ukryć zażenowanie.

Doneval najwyraźniej zauważył jej dyskomfort i wyprostował się, zdejmując dłoń z uda dziewczyny siedzącej obok niego. Kurtyzany również nieco zeszywniały i patrzyły na nią z jawną wrogością. Uśmiechnęłyby się, gdyby nie to, że miała do odegrania ważną rolę.

– Mów, kochanie – rzekł Doneval, patrząc jej prosto w oczy.

To wszystko było doprawdy zbyt proste.

Przygryzła wargę i opuściła głowę, skromna i zawstydzona.

– Mojego wuja dopadła dziś choroba i nie mógł przyjść, ale miał ogromną ochotę się z panem spotkać. Pomyślałam, że przyjdę i przedstawię się w jego imieniu, ale jest mi tak ogromnie przykro, że

przeszkodziłam.

Chciała się odwrócić, licząc uderzenia serca, gdy...

– Nie, skądże – odezwał się Doneval. – Z przyjemnością poznam waszą rodzinę. Jak masz na imię, moja droga?

Znów spojrzała na niego, stając tak, by jej błękitnozłote oczy rozbłyły blaskiem świateł.

– Dianna Brackyn. Mój wuj to Erick Brackyn – powiedziała i zerknęła na kurtyzany, usiłując wyglądać jak zaniepokojona, niewinna panna z dobrego domu. – Ale ja naprawdę nie chcę przeszkadzać.

Doneval nadal nie spuszczał z niej wzroku.

– Jeśli nie uzna pan tego za impertynencję, czy moglibyśmy pana odwiedzić? Nie jutro ani też za dwa dni, gdyż mój wuj jest zajęty jakimiś układami z dworem w Fenharrow, ale na przykład jeszcze jeden dzień później. To znaczy za trzy dni.

Zaśmiała się powabnie.

– W żadnym wypadku nie byłaby to impertynencja – zaszcebiotał Doneval i pochylił się.

Dwór Fenharrow słynął z przepychu. Wzmianka o nim okazała się słusznym pomysłem.

– W rzeczy samej podziwiam twą przebojowość – ciągnął bogacz. – Niewielu mężczyzn, a tym bardziej młodych kobiet, odważyłoby się do mnie podejść.

Celaena miała ochotę przewrócić oczami, ale jedynie zatrzepotała powiekami.

– Och, dziękuję, milordzie. Która godzina odpowiadałaby panu najbardziej?

– Ach – rzekł Doneval. – Wieczór mam już zajęty.

Był całkowicie rozluźniony, a w jego oczach Celaena nie dostrzegła ani śladu niepokoju.

– Ale możemy umówić się na śniadanie bądź obiad – dodał z coraz szerszym uśmiechem.

Zabójczyni westchnęła dramatycznie.

– Och, nie... Obawiam się, że jestem już umówiona. A co powie pan na herbatę po południu? Wspomniał pan wieczór, ale może znajdzie pan chwilę wcześniej? Możemy też się spotkać w teatrze tego wieczoru.



Zamilkł i Celaena zaczęła się zastanawiać, czy aby nie nabrał podejrzeń, ale zamrugła i ściągnęła łopatki, przez co jej piersi wysunęły się bardziej zza dekoltu. Niejednokrotnie wykorzystywała tę sztuczkę i wiedziała, że zawsze może na niej polegać.

– Tak, herbata to świetny pomysł – powiedział w końcu. – Ale po kolacji również udam się do teatru.

Zabójczynie uśmiechnęła się radośnie.

– Przyłącz się pan do nas w naszej łoży? Mój wuj będzie gościł dwóch przedstawicieli dworu z Fenharrow, ale jestem przekonana, że będzie zaszczycony pańską obecnością.

Doneval przechylił głowę i dziewczyna niemalże widziała zimne, wyrachowane myśli, kłębiące się w jego głowie.

„No, dalej – ponagliła go w myślach. – Łap przynętę. Nie skusisz się na kontakt z bogatym człowiekiem interesów i dworem Fenharrow?”.

– Będę zachwycony – rzekł Doneval i obdarzył ją uśmiechem, który cuchnął wyuczonym wdziękiem.

– Jestem pewna, że dysponuje pan godnym powozem, ale bylibyśmy zaszczytzeni, gdyby skorzystał pan z naszego. Może odbierzemy pana po kolacji?

– Obawiam się, że jestem umówiony na dość późną porę. Nie chcę, byście spóźnili się do teatru.

– Och, to przecież żaden problem. Na którą się pan umówił? Czy może raczej: o której pan kończy? To chyba bardziej odpowiednie pytanie!

Zachichotała. Jej oczy rozbłysły, jakby była zaciekawiona, co człowiek pokroju Donewała chciałby pokazać młodej, niedoświadczonej dziewczynie. Ten pochylił się jeszcze bardziej. Celaena miała ochotę podrapać się w miejscach, które musnął wzrokiem, pogrążony w seksualnych wyobrażeniach.

– Kolacja zabierze około godziny – wybełkotał. – Może mniej. Chciałem po prostu przekazać coś ze starym znajomym. Może umówimy się na ósmą trzydzieści?

Jej uśmiech, tym razem szczery, stał się jeszcze szerszy. A więc wymiana nastąpi po siódmej trzydzieści! Czy to możliwe, by Doneval był tak głupi i tak arogancki? Zasłużył na śmierć choćby ze względu na swą nieodpowiedzialność! Przecież wywiodła go w pole dziewczyna o wiele młodsza od niego.

– Och, tak! – zawołała. – Oczywiście!

Przez chwilę trajkotała jeszcze o tym, czym się zajmuje wuj i jak dobrze idą jego interesy, a potem dygnęła ponownie, dając mu drugą szansę na obejrzenie dekoltu, i odeszła. Kurtyzany nadal wpatrywały się w nią ze złością, ale Celaena wyczuwała przede wszystkim głodne spojrzenie Donevala. Nadal udając skromniutką, naiwną dziewczynę, podeszła do stołu z jedzeniem. Wkrótce zasłonili ją inni goście i bogacz z Melisande w końcu musiał zrezygnować z dalszej obserwacji. Celaena westchnęła z ulgą. Tak, poszło jak z płatka. Nakładała sobie na talerz porcje, od zapachu których ciekła jej ślinka – pieczone mięso dzika, jagody z kremem, ciasto czekoladowe na ciepło...

Kilka kroków dalej stała Leighfer Bardingale i wpatrywała się w nią. Ciemne oczy wysokiej kobiety były niezwykle smutne i pełne współczucia. A może żałowała, że wynajęła Celaenę, by ta wyeliminowała jej byłego męża. Naraz ruszyła ku dziewczynie i otarła się o jej suknię w drodze do stołu z jedzeniem, ale zabójczynie nie nawiązała rozmowy. Nie obchodziło jej, co Arobynn opowiedział jej o niej, choć chciałyby wiedzieć, jakimi perfumami skropiła się Bardingale. Zapach przypominał jaśmin oraz wanilię.

Niespodziewanie stanął przy niej Sam, który jak zwykle podszedł bezszelestnie niczym duch.

– Masz to, czego chciałaś? – spytał, idąc za Celaeną, która nakładała sobie kolejne porcje.

Leighfer wzięła nieco jagód z kremem i znikła w tłumie.

Zabójczynie uśmiechnęła się i spojrzała na alkowę, gdzie Doneval na powrót zainteresował się wynajętym towarzystwem. Odłożyła talerz na stół.

– Pewnie. Wygląda na to, że jest zajęty wieczorem o siódmej trzydzieści.

– No to mamy czas spotkania – rzekł Sam.

– Ano mamy. – Celaena odwróciła się ku niemu z triumfalnym uśmiechem, ale Sam wpatrywał się teraz w Donevala. Zmarszczka na czole pogłębiała się, gdy widział, jak obłapia dziewczęta dookoła siebie.

Muzyka stała się żywsza, a głosy bliźniaczek wzbiły się nad nią, połączone w niezwykłej harmonii.

– A teraz, skoro mam to, po co tu przyszłam, chcę zatańczyć –

rzekła Celaena. – Dopijaj szampana, Sam. Tej nocy nie będziemy broczyć dłoni krwią.

Tańczyła bez końca. Piękni młodzieńcy z Melisande zgromadzili się wokół platformy, na której stały śpiewaczki, a Celaena była coraz bliżej nich. Butelki z szampanem przechodziły z rąk do rąk, kieliszki unosiły się do ust. Zabójczynie pociągnęła łyk z każdego.

Około północy wytworna, uporządkowana muzyka taneczna ustąpiła miejsca szalonym, zmysłowemu dźwiękom i zabójczynie klaskała oraz tupała do rytmu. Melisandczycy wokół niej wili się i wirowali. Na tym parkiecie Celaena wreszcie odnalazła muzykę i taniec, które idealnie wyrażały dzikość, beztroskę i nieśmiertelność młodości.

Doneval nadal siedział na swoich poduszkach i osuszał butelkę za butelką. Ani razu nie spojrzał w jej kierunku. Bez względu na to, co pomyślał sobie o Diannie Brackyn, zdążył już wszystko zapomnieć. I dobrze.

Po jej ciele spływał pot, ale mimo to odrzuciła głowę do tyłu i uniosła ramiona, rozkoszując się rytmem. Jedna z kurtyzan na huśtawkach przemknęła tak nisko, że ich palce zetknęły się na moment. Dotyk przeszył ją prądem. Przyjęcie zamieniło się w przedstawienie, orgię i festiwal u stóp ołtarza szaleństwa. Celaena była gotowa złożyć się na nim w ofierze.

Muzyka znów się zmieniła. Gwałtownie uderzały bębny, a nad ich dudnieniem unosiły się przerywane, niespokojne dźwięki wyśpiewywane przez bliźniaczki. Sam trzymał się w pewnej odległości – tańczył w pojedynkę i od czasu do czasu uwalniał się od jakiejś dziewczyny, która dostrzegała jego piękną twarz i usiłowała zagarnąć go dla siebie. Celaena kryła uśmiech, patrząc, jak uprzejmie, ale stanowczo mówi dziewczynie, by poszukała kogoś innego.

Wielu starszych uczestników już dawno wyszło, oddając parkiet młodemu i pięknemu. Celaena skupiła na moment uwagę i dostrzegła Donevala, a potem Arobynna siedzącego z Bardingale w innej alkwie. Towarzyszyło im kilku innych ludzi. Mimo wielu kieliszków na stole zauważyła ich zmarszczone brwi oraz zaciśnięte mocno usta. Wyglądało na to, że Bardingale bawi się w zupełnie inny sposób niż jej były mąż, który bez skrępowania hulał na jej koszt. Ile siły musiała w sobie znaleźć, by pogodzić się z tym, że zamordowanie eksmałżonka to

jedyna pozostała opcja? A może to nie siła, ale słabość?

Zegar wybił trzecią. Trzecią? Minęło aż tyle czasu? Uwagę dziewczyny przyciągnął ruch przy ogromnych drzwiach na szczycie schodów. Stało tam czterech młodych ludzi w maskach zasłaniających twarze. Wpatrywali się w tłum. Natychmiast uświadomiła sobie, że przewodzi im ciemnowłosy młodzieniec, a bogate stroje oraz maski zdradzają ich szlachetne urodzenie. Przypuszczalnie patrzyła na arystokratów, którzy ulotnili się z oficjalnego przyjęcia, by zakosztować uroków nocnego życia w Rifthold.

Zamaskowani obcy zeszli dumnym krokiem po schodach. Jeden z nich trzymał się blisko ciemnowłosego młodzieńca. Był uzbrojony w miecz, a napięcie widoczne w jego sylwetce sugerowało, że nie ma wielkiej ochoty tu przebywać. Arystokrata uśmiechał się jednakże, schodząc w tłum. Na bogów! Nawet maska nie ukrywała jego urody.

Nieznajomy znajdował się po drugiej stronie sali. Celaena tańczyła, wpatrzona w niego, a on niespodziewanie wyczuł jej obecność. Ich spojrzenia się spotkały. Zabójczyni uśmiechnęła się, a potem celowo odwróciła się ku śpiewaczkom. Jej taniec stał się nieco spokojniejszy i bardziej zapraszający. Dostrzegła zmarszczkę na czole Sama, ale wzruszyła ramionami.

Zamaskowany nieznajomy znalazł się przy niej w ciągu kilku minut. Uśmiech na twarzy Celaeny sugerował, że doskonale wie, gdzie ten się przez cały czas znajduje. Niebawem męska dłoń otoczyła jej talię.

– Niezłe przyjęcie – szepnął jej nieznajomy do ucha. Odwróciła się i ujrzała szafirowe oczy. – Jesteś z Melisande?

Celaena kołysała się do rytmu.

– Może.

Uśmiechnął się szerzej. Zabójczyni miała wielką ochotę zerwać mu maskę z twarzy. Młodzi arystokraci, którzy zabrnęli tu o tej porze, z pewnością nie mieli czystych intencji. Ale z drugiej strony przecież ona też miała prawo się zabawić, prawda?

– Jak masz na imię? – spytał, przekrzykując muzykę.

Celaena pochyliła się ku niemu.

– Mam na imię Wiatr – szepnęła. – I Deszcz. Oraz Kości i Pył. Moje imię to skrawek dawno zapomnianej pieśni.

Nieznajomy zachichotał. Był to cichy, lecz piękny dźwięk.

Zabójczyni wiedziała, że wypła zbyt dużo alkoholu i traci czujność, ale czuła się tak młoda i tak szczęśliwa, iż może się bawić w stolicy całego świata, że nie mogła się opanować.

– Nie mam imienia – prychnęła. – Jestem tą, kim każą mi być strażnicy mego przeznaczenia.

Złapał ją za nadgarstek i musnął kciukiem w miejscu, gdzie skóra była najwrażliwsza.

– Pozwól, że przez jeden czy dwa tańce będę zwał cię Moją.

Celaena uśmiechnęła się, ale wtedy wyrosła między nimi wysoka, potężnie zbudowana postać. Był to Sam, który oderwał dłoń szlachcica od jej ręki.

– Ona nie jest tu sama – warknął.

Jego twarz znalazła się blisko maski młodzieńca. Przyjaciel arystokraty natychmiast pojawił się za jego plecami. Jego brązowe oczy wpatrywały się w Sama.

Celaena złapała przyjaciela za łokieć.

– Dość tego – ostrzegła go.

Nieznajomy otaksował Sama wzrokiem od góry do dołu, a potem uniósł dłonie.

– Mój błąd – powiedział, a potem mrugnął do dziewczyny i znikł w tłumie.

Jego uzbrojony towarzysz nie odstępował go nawet na krok. Zabójczyni zaś odwróciła się gwałtownie, by spojrzeć na Sama.

– Co to, do cholery, miało oznaczać?

– Jesteś pijana – oznajmił Sam. Stał tak blisko, że ocierała się o jego pierś. – A on to wiedział.

– No i?

W tej samej chwili jakiś roztańczony człowiek uderzył Celaenę w plecy. Ta przewróciłaby się, gdyby Sam w porę nie złapał ją w tali.

– Podziękujesz mi rano.

– To, że pracujemy ze sobą, wcale nie oznacza, że nie potrafię o siebie zadbać.

– Zabiorę cię do domu.

Zabójczyni spojrzała na alkowy. Doneval zasnął na ramieniu kurtyzany wyglądającej na bardzo znudzoną. Arobynn i Bardingale nadal byli pogrążeni w rozmowie.

– Nie – rzekła. – Nie potrzebuję eskorty. Pójdę do domu, gdy będę

miała ochotę.

Wyślizgnęła się z jego uścisku i uderzyła w bark kogoś stojącego za nią. Ten przeprosił i odsunął się.

– Poza tym – Celaena nie była w stanie opanować słów podsuwanych przez idiotyczną, bezsensowną zazdrość, która nagle nią zawładnęła – czy ty aby nie powinienes teraz być z Lysandrą czy kimś innym do wynajęcia?

– Ja nie chcę być z Lysandrą ani nikim do wynajęcia! – wycedził Sam przez zaciśnięte zęby. Złapał ją za rękę. – A ty jesteś przeklętą idiotką, skoro tego nie dostrzegasz.

Zabójczyni odtrąciła go.

– Jestem tym, kim jestem, i jest mi obojętne, co o mnie myślisz.

Może kiedyś Sam mógłby w to uwierzyć, ale teraz...

– Cóż, ale ja przejmuję się tym, co myślisz o mnie. Przejmuję się tym tak bardzo, że zostałem na tym okropnym przyjęciu wyłącznie dla ciebie. Przejmuję się do tego stopnia, że pójdę na tysiąc podobnych, by móc cieszyć się tymi nielicznymi chwilami, gdy patrzysz na mnie z góry, jakbym liczył się mniej od brudu pod twymi butami.

Jej gniew nagle przygasł, gdy usłyszała te słowa. Przełknęła ślinę. Kręciło jej się w głowie.

– Mamy wystarczająco dużo roboty z Donevalem. Nie chcę jeszcze kłócić się z tobą.

Miała ochotę przetrzeć oczy, ale przypomniała sobie o makijażu i westchnęła.

– A czy nie możemy po prostu... Po prostu dobrze się razem bawić?

Sam wzruszył ramionami, ale w jego ciemnych oczach nadal widać było ponury blask.

– Jeśli chcesz zatańczyć z tym człowiekiem, to proszę bardzo.

– Nie o to mi chodzi.

– A więc o co?

Zaczęła wyłamywać palce, ale opanowała się.

– Posłuchaj – zaczęła. Muzyka była tak głośna, że nie słyszała nawet własnych myśli. – Ja... Sam, ja nie potrafię być twoją przyjaciółką. Nie wiem, jak to się robi. Nie wiem, czy w ogóle mogę się jeszcze z kimkolwiek przyjaźnić. Czy... Czy możemy pogadać o tym jutro?

Powoli pokręcił głową, ale uśmiechnął się, choć w jego oczach nie

było śladu wesołości.

– Pewnie. O ile jutro będziesz coś w ogóle pamiętać – rzekł z wymuszoną beztróską.

Celaena spróbowała się uśmiechnąć, a Sam wskazał podbródkiem tańczących.

– Dobra, potańczmy. Porozmawiamy rano.

Podszedł bliżej, jakby chciał ucałować ją w policzek, ale się rozmyślił i zamiast tego ścisnął jej ramię. Zabójczyni nie wiedziała, czy ma się czuć rozczarowana, czy nie.

Potem Sam znikł w tłumie. Celaena śledziła go wzrokiem do chwili, gdy jakaś młoda kobieta wciągnęła go do kręgu tańczących dziewcząt, a potem znów pochwyciła ją magia tańca.

Z dachu jej nowego mieszkania widać było rzekę Avery. Celaena siedziała na murku, który biegł wzdłuż skraju dachu, i machała nogami w powietrzu. Kamień był zimny i wilgotny, mimo że deszcz przestał padać, a ostre wiatry rozpędziły chmury. Na jaśniejącym niebie gasły gwiazdy.

Zza horyzontu wyłoniło się słońce, zalewając światłem wijącą się rzekę, która natychmiast przekształciła się w pasmo żywego złota.

W stolicy obudziło się życie. Kominy wydmuchiwały dym z pierwszych rozpalonych tego dnia ogni, rybacy pokrzykiwali do siebie w leżących niedaleko dokach, a po ulicach biegały dzieci z wiązkami chrustu, porannymi gazetami czy wiadrami wody. Szklany zamek za jej plecami migotał w promieniach świtu.

Celaena nie odwiedziła nowego mieszkania od czasu powrotu z pustyni i przez kilka minut spacerowała po przestronnych pokojach znajdujących się na górnych piętrach magazynu. Nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, że kupi mieszkanie akurat tutaj. Magazyn wypełniony był butelkami z atramentem – towarem mało atrakcyjnym dla potencjalnego złodzieja. To miejsce należało tylko do niej. Czy może raczej miało należeć. Najpierw musiała powiedzieć Arobynnowi, że go opuszcza. A zrobi to natychmiast po zabiciu Donevala. Lub niedługo po tym. Może.

Wciągnęła w płuca wilgotne powietrze poranka, pozwalając, by wypełniło jej całe ciało. Tutaj, na skraju dachu, czuła się cudownie nieistotna. Miała wrażenie, że jest niezauważalną plamką w bezmiarze miasta, ale z drugiej strony czuła, że stolica należy do niej i

tylko na nią czeka.

Tak, przyjęcie było wspaniałe, ale świat się na nim nie kończył. Gdzieś czekały rzeczy większe, piękniejsze, bardziej prawdziwe. Przyszłość należała do niej, a umocnić ją mogły trzy kufry złota ukryte w jej pokoju. Mogła zrobić ze swoim życiem, co tylko przyszłoby jej do głowy.

Celaena odchyliła do tyłu głowę, wchłaniała odgłosy porannego miasta, patrzyła na jego budzenie się po nocy i naraz przeszło ją radosne przeświadczenie, że ono zawsze będzie jej strzegło.



## Rozdział szósty

**P**przed wielkim przyjęciem Celaena zapomniała podziękować Samowi za przyniesione jej nuty. Postanowiła więc, że zrobi to po porannej zaprawie. Okazało się jednak, że w sali treningowej ćwiczy kilku innych zabójców, a dziewczyna nie miała zamiaru wspominać komukolwiek z nich o prezencie. Byli starsi od niej i z pewnością zrozumieliby to na opak, choć zabójczynie niewiele się tym przejmowała. Nie zależało jej na zawarciu znajomości z którymkolwiek z nich, a oni robili wszystko, by trzymać się od niej z daleka. Poza tym wypła poprzedniej nocy za dużo i nie wyspała się, przez co dokuczał jej ból głowy i nie była w stanie nawet należycie się wysławić.

Trenowała do południa, a jej instruktor był pod wrażeniem nowych technik poruszania się, których wyuczyła się na Czerwonej Pustyni. Czowała na sobie wzrok Sama, który ćwiczył kilka stanowisk dalej. Usiłowała nie patrzeć na jego nagą, lśniąca od potu klatkę piersiową, gdy ten rozpedził się i wykonał salto w powietrzu, lądując niemalże bezgłośnie na ziemi. Na Wyrda, ależ on był szybki! Z pewnością również spędził całe lato na trenowaniu.

– Milady – zakaszła instruktor.

Odwróciła się i smagnęła go spojrzeniem, które ostrzegało przed jakimikolwiek komentarzami. Wychyliła się do tyłu i zrobiła mostek, a potem bez trudu stanęła na rękach. Opadła w przykłąku, a gdy podniosła oczy, ujrzała nadchodzącego Sama. Zatrzymał się tuż przed nią i stanowczym ruchem głowy zasugerował instruktorowi, by znalazł sobie jakieś inne miejsce. Ten spełnił polecenie bez wahania.

– On mi pomagał – powiedziała Celaena.

Jej mięśnie drżały – pomimo niewyspania trenowała bardzo ostro, co oczywiście nie było związane z tym, że nie miała ochoty spędzić z Samem ani chwili sam na sam w sali.

– Jest tutaj codziennie. Nie sądzę, byś przeoczyła coś ważnego – odparł Sam.

Zabójczynie wpatrywała się w jego twarz. Widziała go już bez koszuli

– ba, w trakcie szkolenia widywała wszystkich zabójców w różnych stopniach neglizżu – ale teraz czuła się jakoś inaczej.

– A więc – odezwała się – włamujemy się dziś wieczór do domu Donevala?

Mówiła cicho, gdyż nie lubiła dzielić się sekretami z innymi zabójcami. Kiedyś miała w zwyczaju opowiadać o wszystkim Benowi, ale ten już dawno nie żył.

– Skoro znamy czas spotkania, powinniśmy się wkraść do gabinetu na piętrze i dowiedzieć się, jakie dokumenty Doneval tam trzyma i ile ich jest, nim podzieli się nimi ze swoim wspólnikiem.

Tego dnia świeciło słońce, co oznaczało, że śledzenie i obserwacja za dnia nie będą możliwe.

Sam zmarszczył brwi i przeczesał dłonią włosy.

– Nie mogę. Chcę ci pomóc, ale nie jestem w stanie. Lysandra ma próbę przed Aukcją, a ja muszę zapewnić ochronę. Możemy się spotkać później, jeśli będziesz chciała na mnie poczekać.

– Nie. Pójdę tam sama. To nie powinno być aż takie trudne.

Celaena ruszyła ku wyjściu. Sam szedł obok niej.

– To niebezpieczne.

– Sam, uwolniłam dwustu niewolników w Zatoce Czaszek i pokonałam Rolfe’a. Myślę, że dam sobie radę.

Zmierzali w stronę głównego wyjścia z Twierdzy.

– Ale dokonałaś tego z moją pomocą. Może przyjdę na miejsce po próbie i zobaczę, czy mogę się na coś przydać, co?

Zabójczyni poklepała go po ramieniu. Jego skóra była mokra od potu.

– Rób, co chcesz, ale mam wrażenie, że wtedy będzie już po wszystkim. Ale rano opowiem ci, jak było – dodała zalotnie, zatrzymując się na dole wielkich schodów.

Sam złapał dziewczynę za dłoń.

– Proszę cię, uważaj na siebie. Przyjrzyj się tym dokumentom i uciekaj. Mamy jeszcze dwa dni zapasu. Jeśli zadanie okaże się zbyt niebezpieczne, możemy spróbować jutro. Nie narażaj się na zbyteczne niebezpieczeństwo.

Wrota do Twierdzy rozchyliły się. Sam puścił rękę Celaeny i odwrócił się. Jego oczom ukazały się wchodzące do środka Lysandra oraz Clarisse.

Młoda kurtyzana oblała się rumieńcem, a jej zielone oczy zamigotały.

– Och, Sam – zawołała i podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami.

Celaena najeżyła się, a Sam uprzejmie ujął smukłe palce Lysandry. Spojrzenie, jakim go obrzuciła – a zwłaszcza jego naga pierś – zdradzało, że po Aukcji, kiedy to już będzie mogła spać, z kim sobie zażyczy, na pewno odnajdzie Sama. Zresztą trudno było jej się dziwić.

– Kolejny lunch z Arobynnem? – spytał zabójca, ale Lysandra nie puszczała jego dłoni.

Madame Clarisse ukłoniła się Celaenie zdawkowo i minęła ją, kierując się prosto w stronę biura Arobynna. Wpływowa burdelmama i Król Zabójców przyjaźnili się od bardzo dawna. Celaena widywała Clarisse od początku nauki w Twierdzy, ale ta nigdy nie była zainteresowana dłuższą rozmową z młodą zabójczynią.

– Nie, skąd. Przyszliśmy na herbatę. Arobynn obiecał mi srebrną zastawę – odparła Lysandra. Celaena miała wrażenie, że słowa te skierowane są do niej. – Musisz do nas dołączyć, Sam.

W innej sytuacji zabójczynie odgryzłaby kurtyzanie głowę za obrazę. Lysandra wciąż nie puściła Sama.

Ten, jakby wyczuł myśli Celaeny, oswobodził dłonie.

– Ja... – zaczął.

– Powinieneś tam pójść – rzekła zabójczynie. Lysandra patrzyła to na niego, to na nią. – Ja i tak mam robotę do wykonania. W moim przypadku nie wystarczy leżeć na plecach przez cały dzień, by coś osiągnąć.

Nie była to szczególnie wyszukana obelga, ale oczy Lysandry zapłonęły gniewem. Celaena obdarzyła ją lodowatym uśmiechem. Przecież nie zależało jej na tym, żeby ciągnąć rozmowę z Samem, zaprosić go, by posłuchał muzyki odtwarzanej ze zdobytego dla niej zapisu nutowego czy choćby spędzić nim chwilę dłużej, niż to było konieczne.

Sam przełknął ślinę i powiedział:

– Zjedz ze mną lunch, Celaeno.

Lysandra cmoknęła z niezadowolaniem i odeszła, mrużąc:

– Lunch z nią? Też mi pomysł.

– Jestem zajęta – odparła zabójczynie. Nie było to kłamstwo. Wciąż

musiała dopracować plan włamania się do kamienicy. – Idź, zabaw się – powiedziała i ruchem podbródka wskazała Lysandrę, oddalającą się w stronę salonu.

Nie interesował jej jego wybór. Odwróciła się i odeszła do swego pokoju, patrząc na marmurowe podłogi, aksamitne zasłony oraz pozłacany sufit.

Kamienica Donewała była niestrzeżona. Celaena nie miała pojęcia, dokąd się udał – sądząc po stroju, najprawdopodobniej do teatru bądź na przyjęcie – ale zabrał ze sobą kilku strażników. Nie zauważyła wśród nich owego ogromnego ochroniarza, który być może miał wolny wieczór. Mimo to paru zbrojnych nadal patrolowało okolicę i trzeba było liczyć się z tym, że ktoś jest w środku.

Po zachodzie słońca zaczęło padać. Celaenę zirykowało to, że przemoczy swój nowy, czarny kombinezon, ale deszcz pomógł jej w pracy, nawet jeśli musiała zrezygnować z ograniczającej widoczność maski. Na szczęście skąpani w deszczu strażnicy nawet nie zwrócili na nią uwagi, gdy przemknęła za ich plecami. Drugie piętro było stosunkowo wysoko, ale w pokoju panowały ciemności, a okno można było bez trudu otworzyć. Znała już rozmieszczenie wszystkich pokoi. Jeśli się nie myliła – a nie dopuszczała nawet takiej myśli – za oknem znajdował się ten gabinet, w którym miało dojść do wymiany.

Nasłuchując ostrożnie, odczekała, aż strażnik spojrzy w innym kierunku, a potem zaczęła się wspinać. Jej nowe buty bez trudu znajdowały oparcie na ścianie, a palce bez przeszkód wyszukiwały szczeliny.

Kombinezon ważył nieco więcej od noszonego zazwyczaj stroju, ale dzięki ostrzom wbudowanym w rękawice nie musiała dodatkowo obciążać się mieczem na plecach i sztyletami przy pasie. Ba, w butach zamontowano dwa dodatkowe ostrza! Przeczuwała, że z tego prezentu od Arobyna nieraz zrobi dobry użytek.

Deszcz miał swoje dobre i złe strony. Maskował jej sylwetkę i zagłuszał kroki, ale tłumił również wszelkie inne odgłosy i Celaena musiała mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Na szczęście zza rogu nie wyłonił się nowy strażnik. Opłacało się podjąć dodatkowe ryzyko. Skoro już wiedziała, o której odbędzie się spotkanie, powinna zebrać jak najwięcej informacji o samych dokumentach. Musiała się

dowiedzieć, ile stron liczyły i gdzie były przetrzymywane. Po kilku chwilach siedziała już na parapecie. Strażnik nawet nie uniósł głowy. Prawdziwy profesjonalista, jasne.

Zajrzała do środka i ujrzała ciemny pusty pokój, biurko zasłane papierami i nic poza tym. Nie sądziła, by Doneval był aż takim głupcem i zostawił listy na widoku, ale...

Celaena wyciągnęła z buta wąski nóż. Jego ostrze błysnęło, gdy wsuwała je do wąskiej szczeliny między oknami. Wystarczyło ustawić je pod odpowiednim kątem, pchnąć dwa razy, przekreślić i...

Otworzyła część okna, modląc się, by zawiasy nie okazały się zbyt głośne. Jeden z nich zaskrzypiał cichutko, ale drugie skrzydło udało się otworzyć bezgłośnie. Wślizgnęła się do pomieszczenia. Jej buty nie wydawały żadnych dźwięków na zdobnym dywanie. Ostrożnie, wstrzymując oddech, zamknęła oba skrzydła okna.

Wyczuła zagrożenie na ułamek sekundy przed atakiem.

## Rozdział siódmy

Celaena zawirowała i pochyliła się, a drugi nóż z jej buta błyskawicznie znalazł się w jej dłoni. Strażnik zwałił się na ziemię z jękiem. Atakowała jak żmija wedle technik, których wyuczyła się na Czerwonej Pustyni. Jej dłoń zbryzgała gorącą krew, gdy wyszarpnęła ostrze z uda napastnika. Inny strażnik zamachnął się na nią mieczem. W porę skrzyżowała noże, zablokowała jego ostrze i kopnęła go prosto w żołądek. Zatoczył się w tył, ale nie zdążył uciec przed kolejnym ciosem zabójczyni, który odebrał mu przytomność. Tej sztuczki również nauczył ją Niemy Mistrz, gdy studiowała ruchy zwierząt pustynnych. W pokoju panował mrok, ale wstrząs powiedział jej, że strażnik padł na ziemię.

Byli jednak inni. Naliczyła jeszcze trzech, którzy posapywali, usiłując ją otoczyć, gdy niespodziewanie ktoś złapał ją od tyłu. Poczowała mocne uderzenie w tył głowy, a potem przyciśnięto jej coś mokrego i cuchnącego do twarzy.

Zapadła ciemność.

Celaena zbudziła się, ale nie otworzyła oczu. Oddychała równo i miarowo, a jej nozdrza wypełnił stęchły smród. Skądś dobiegał rechot męskich głosów oraz bulgot wody. Nie poruszała się, choć czuła sznury mocujące ją do krzesła i wodę sięgającą do łydek. Znalazła się w kanałach.

Ktoś szedł, rozbryzgując wodę, która obmyła jej kolana.

– Myślę, że śpi – powiedział ktoś niskim głosem.

Czyjaś ogromna dłoń uderzyła ją w policzek. Z trudem otworzyła piekące oczy i ujrzała toporne oblicze ogromnego ochroniarza Donevala.

– Cześć, słodziutka. – Uśmiechnął się. – Pewnie myślałaś, że cię nie zauważyliśmy, gdy nas szpiegowałaś przez ostatnich kilka dni, co? Jesteś niezła, ale nie niewidzialna.

Czterech innych stało przy żelaznych drzwiach, za którymi widziała jeszcze jedno przejście, a dalej schody prowadzące ku górze. Najprawdopodobniej znalazła się w piwnicy pod kamienicą. Niektóre

starsze domy w Rifthold dysponowały podobnymi przejściami, przez które uciekano podczas wojen, wprowadzano okrytych złą sławą gości czy po prostu wynoszono odpadki. Szczelne, podwójne drzwi chroniły dom przed zalaniem. Wiele lat temu zbudowali je zdolni rzemieślnicy, którzy nakładali na progi czary zatrzymujące wodę.

– W tym domu jest wiele pokojów, do których można by się włamać – rzekł ochroniarz. – Dlaczego wybrałaś akurat ten na piętrze? No i gdzie się podział twój przyjaciel?

Celaena uśmiechnęła się krzywo, nie przestając rozglądać się po olbrzymiej, podziemnej komnacie. Poziom wody się zwiększał. Nie chciała wiedzieć, co się w niej unosiło.

– Najpierw przesłuchanie, potem tortury, a na końcu śmierć? – spytała. – Czy pomyliłam kolejność?

Ochroniarz uśmiechnął się do niej.

– Spryziula. Lubię takie.

Miał chropowaty akcent, ale mówił zrozumiale. Wsparł dłonie na oparciach krzesła. Celaena, mocno przywiązana do oparcia, mogła jedynie obrócić głowę.

– Kto cię przysłał?

Serce biło jej dziko, ale nie przestawała się uśmiechać. Już dawno opanowała sztukę wytrzymywania tortur.

– A dlaczego przyszło ci do głowy, że ktoś mógłby mnie przysłać? Czy dziewczyna nie może działać na własny rachunek?

Drewniane krzesło zaskrzypiało pod ciężarem olbrzyma, gdy ten pochylił się ku zabójczyni. Ich nosy niemal się zetknęły, a Celaena usiłowała nie wdychać gorącego powietrza bijącego z jego ust.

– A czy istnieje jakiś konkretny powód, dla którego taka mała suka jak ty miałaby się włamywać do tego domu? Nie wydaje mi się, by interesowały cię klejnoty czy złoto.

Zabójczyni rozchyliła nozdrza, ale postanowiła na razie powstrzymać się od działania. Musiała najpierw spróbować wyciągnąć od ochroniarza jakieś informacje.

– Jeśli chcesz mnie torturować – wysyczała – to lepiej bierz się do roboty. Niezbyt podoba mi się ten zapach.

Mężczyzna odsunął się, ale jego uśmiech nie osłabł.

– Ale my nie mamy zamiaru cię torturować! Wiesz, ilu szpiegów, zabójców i złodziei próbowało załatwić Donevala? Już dawno

wyrośliśmy z zadawania pytań. Nie chcesz mówić, to nie. Potrafimy sobie radzić z takimi szumowinami jak ty.

– Philip – odezwał się jeden ze strażników i wskazał ostrzem miecza ciemny tunel ścieku. – Musimy się zbierać.

– Dobra – rzekł Philip i odwrócił się do Celaeny. – Posłuchaj, tak sobie myślę, że jeśli ktoś był na tyle głupi, by cię tu wysłać, zapewne uznał, że w przyszłości obejdzie się bez ciebie. Myślę też, że nikt nie będzie cię szukał, gdy zaleją kanały. Nawet twój przyjaciel. Zresztą większość ludzi już trzyma się z daleka od ulic. Wy, przybysze ze stolicy, nie przepadacie za brudzeniem sobie stóp, co?

Serce zabójczyni zabiło mocniej, ale nadal patrzyła mu prosto w oczy.

– Szkoda, że nie załatwią wszystkich śmieci – powiedziała, trzepocząc powiekami.

– Nie – rzekł ochroniarz. – Ale załatwią ciebie. Ciekawe, czy twoje zwłoki wypłyną z wodami rzeki, czy może szczury całkiem je pożrą.

Philip poklepał ją po policzku tak mocno, że aż ją zapiekło. W tej samej chwili, jakby kanały go usłyszały, z ciemności dobiegł plusk płynącej wody.

„Och, nie. Tylko nie to”.

Ochroniarz, brodząc przez ściek, dotarł do miejsca, gdzie stali strażnicy. Celaena patrzyła, jak wychodzą przez drugie drzwi, a potem wstępują na schody.

– Miłej kąpieli! – oznajmił Philip i zatrzasnął żelazne drzwi.

Ciemność i woda. Jej oczy szybko przystosowały się do mroku rozpraszanego jedynie przez blade światło latarni ulicznej przenikające przez kratę wysoko nad nią. Poziom wody szybko rósł i błyskawicznie sięgnął jej kolan.

Zabójczyni zakłęta wściekle i szarpnęła za więzy, ale liny wrzynały się w jej skórę. Naraz przypomniała sobie o wbudowanych ostrzach. To, że Philip ich nie odkrył, najlepiej świadczyło o kunszcie wynalazcy. Przecież przeszukali ją z całą pewnością. Więzy jednakże były zbyt ciasne, by udało jej się uwolnić ostrza.

Przekreśliła nadgarstki, usiłując wywalczyć choć odrobinę przestrzeni, by móc wyzwolić broń. Woda kotłowała się już wokół jej talii. Tama zapewne została zbudowana po drugiej stronie miasta. Za kilka minut ta część zostanie całkowicie zalana.



Lina trzymała mocno, ale dziewczyna szarpnęła nadgarstkiem tak, jak pokazał jej mistrz konstruktor. Kilkakrotnie powtórzyła ruch, aż ostrze wystrzeliło z brzękiem. Dłoń dziewczyny przeszył ból. Zakląła z pasją – sama się zraniła tym przeklętym ukrytym ostrzem! Na szczęście cięcie nie było szczególnie głębokie.

Natychmiast zabrała się do przecinania lin. Ramiona bolały, gdy wykręcała je ze wszystkich sił, by móc zbliżyć ostrze do więzów. Oprawcy powinni byli zakuć ją w kajdany.

Któraś z lin puściła tak niespodziewanie, że o mały włos wpadłaby twarzą naprzód do pieniającej się wody. W dwa uderzenia serca uwolniła się z pozostałych, a potem, krzywiąc się, wsunęła dłonie do brudnej wody, by przeciąć więzy wokół kostek.

Gdy wstała, woda sięgała jej do ud. Była zimna, lodowato zimna. Czowała, że bez przerwy coś się o nią ociera, gdy brnęła ku drzwiom. Prąd był bardzo silny i z trudem utrzymywała równowagę. Nurt porwał całe stada szczurów, których przerażone piski niknęły w huku rozpędzonego strumienia. W końcu wspięła się na kamienne stopnie, ale woda już tam sięgała. Próbowwała nacisnąć żelazną klamkę, lecz odkryła, że drzwi są zamknięte na klucz. Usiłowała przesunąć ostrze wzdłuż progów, ale nic to nie dało. Drzwi były tak szczelne, że nic nie było w stanie przez nie przeniknąć.

Znalazła się w pułapce.

Spojrzała na ciągnący się daleko kanał. Z góry ściekały strugi deszczu, ale światła docierało tyle, by ujrzeć półokrągłe ściany. Na pewno gdzieś była jakaś drabinka wiodąca na górę. Na pewno.

Nigdzie żadnej nie widziała, a kraty znajdowały się tak wysoko, że sięgnęłaby ich dopiero po wypełnieniu całego kanału wodą. Prąd był jednakże tak silny, że zapewne by ją porwał.

– Myśl – szepnęła. – Myśl, myśl.

Poziom wody narastał. Fale otaczały już jej kostki.

Uspokoila oddech. Panika nic by jej nie dała.

„Myśl”.

Przyjrzała się kanałowi. Gdzieś może była drabina, ale pewnie dalej. To oznaczało, że musiałaby stawić czoła nurtowi oraz ciemnościom.

Woda bez końca napływała z drugiej strony miasta. Dziewczyna spojrzała na prawo. Nawet jeśli nie natrafi na kratę, mogła spróbować

dotrzeć do Avery. Szanse były znikome, ale lepiej było spróbować niż czekać beczynn timer na śmierć.

Celaena schowała ostrza i wskoczyła do cuchnącej, oleistej wody.

Żołądek podszedł jej do gardła, ale zmobilizowała się i powstrzymała od wymiotów.

„Przecież nie płynę przez nieczystości całej stolicy – powtarzała w myślach. – Nie płynę przez rojącą się od szczurów breję. Nie zginę tu”.

Prąd okazał się silniejszy, niż się spodziewała, ale i tak stawiała mu czoła. Krata przemknęła jej nad głową, wciąż za wysoko, by jej sięgnąć. Zaraz, a tam, po prawej? W połowie wysokości muru, nadal kilka stóp nad poziomem wody, znajdowało się wejście do niewielkiego tunelu. Było to wejście dla pojedynczego robotnika. Z krawędzi ściekała deszczówka, co oznaczało, że ten tunel na pewno prowadzi do ulicy.

Rzuciła się ku niemu. Wyteęzała wszystkie siły, nie chcąc, by porwał ją prąd, i udało się. Uderzyła w ścianę i przywarła do niej. Wejście do tunelu znajdowało się wysoko i zabójczynie skazana była na wspinaczkę. Wbijała obolałe palce to tu, to tam, aż wreszcie znalazła szczelinę. Zwalczyła przeszywający ból i zdołała wślizgnąć się do tunelu.

Był tak ciasny, że musiała leżeć płasko na brzuchu, a do tego pełen błota i diabli wiedzą czego jeszcze, ale daleko, daleko przed sobą dostrzegła światło latarni. A więc tunel rzeczywiście biegł w górę i kończył się na ulicy. Za jej plecami kanał wypełniał się coraz bardziej, a ryk wody był niemalże ogłuszający. Wiedziała, że jeśli się nie pospieszy, znajdzie się w pułapce.

Sufit był tak nisko, że musiała trzymać głowę tuż nad podłożem, niemalże nurzając twarz w cuchnącym błocie. Wyciągnęła ramiona i rozpoczęła czołganinę się, wpatrzona w światło.

Woda wdarła się do tunelu. Najpierw omyła jej stopy, potem nogi, brzuch i w końcu twarz. Pełzła coraz szybciej. Nie potrzebowała światła, by wiedzieć, że jej dłonie są całe poranione. W skaleczeniach znalazło się mnóstwo skalnych okruchów, które paliły żywym ogniem.

„Naprzód – powtarzała sobie z każdym ruchem ramion i każdym odepchnięciem się. – Naprzód, naprzód, naprzód”.

Gdyby nie to słowo, zaczęłaby wrzeszczeć. Nie chciała tego robić. Wrzask oznaczał bowiem, że poddaje się śmierci.

Poziom wody w tunelu osiągnął wysokość kilku cali, gdy wreszcie dotarła do miejsca, w którym ruszał pionowo ku górze. Niemalże rozpląkała się na widok drabiny. Od powierzchni dzieliło ją kilkanaście stop. Przez okrągłe otwory w wielkiej pokrywie widziała blask górujących nad nią lamp ulicznych. Zapomniała o bólu poranionych dłoni – pomknęła po szczeblach przerdzewiałej drabiny, mając nadzieję, że ta nie złamie się lub nie odpadnie. Woda wypełniała już komin. Uniesione przez nią odpadki wirowały tuż pod jej nogami.

Zabójczynie błyskawicznie wspięła się na samą górę i pozwoliła sobie na lekki uśmieszek, gdy naparła na okrągłą pokrywę.

Ta jednak ani drgnęła.

Dziewczyna rozstawiła stopy na niepewnej drabinie i pchnęła obiema dłońmi, ale pokrywa nadal tkwiła na miejscu. Celaena stanęła więc na najwyższym szczeblu i z całej siły naparła plecami. Nadal nic. Nie usłyszała nawet najcichszego chrobotu metalu sugerującego, że pokrywa drgnęła choć o włos. Przypuszczalnie zardzewiała do tego stopnia, że nie można jej było poruszyć. Dziewczyna tłukła o nią pięściami, aż coś pękło jej w dłoni. Zamroczył ją ból, a przed oczami zatańczyły iskry. Sprawdziła, czy nie złamała żadnej kości, a potem znów zaczęła tłuc. Nic. Nadal nic!

Woda była już blisko. Brudna piana unosiła się tuż pod jej stopami, mogłaby się nachylić i jej dotknąć.

Rzuciła się na pokrywę po raz ostatni. Wciąż bez rezultatu.

Skoro ludzie umknęli z ulic na czas urządzonej przez władze powodzi... Deszczówka zalała jej usta, oczy i nos. Waliła o metal, modląc się, by ktoś usłyszał jej krzyki w szumie ulewy i huku rozpędzonej wody. Woda pochłonęła jej buty. Dziewczyna wepchnęła zakrwawione palce w otwory w pokrywie i zaczęła wrzeszczeć.

Wrzeszczała, aż jej płuca stanęły w ogniu. Wołała o pomoc, błagała, by ją ktokolwiek usłyszał. I wtedy...

– Celaena? – krzyknął ktoś niedaleko.

Zabójczynie zaszlochała, gdy rozpoznała głos Sama, prawie całkiem stłumiony przez szum deszczu i ryk wody przewalającej się pod nią. Powiedział, że przyjdzie jej pomoc po przyjęciu urzędzonym dla Lysandry. Zapewne szedł w stronę kamienicy Donevala bądź wracał z niej. Wcisnęła palce jeszcze dalej, a drugą dłonią tłukła o metal.

– Tu! W kanale!

Usłyszała tupot stóp, a potem...

– Na bogów!

W jednym z otworów pojawiła się twarz Sama.

– Szukam cię od dwudziestu minut! – oznajmił. – Poczekaj!

Jego mocne palce wślizgnęły się w otwory. Dziewczyna widziała, jak bieleją z wysiłku, a jego twarz purpurowieje. Zaklął wściekle.

Woda obmywała już jej łydki.

– Wyciągnij mnie stąd!

– Pchaj! – sapnął.

Sam ciągnął pokrywę, a Celaena pchała od dołu, ale metalowy dysk dalej opierał się ich wysiłkom. Mimo to próbowali raz za razem. Woda sięgnęła już po kolana dziewczyny. Szczęściem w nieszczęściu było jedynie to, że znajdowali się zbyt daleko od domu Donewała, by ktokolwiek mógł ich usłyszeć.

– Wejdz jak najwyżej – parsknął Sam.

Celaena już znajdowała się na najwyższym stopniu, ale nie powiedziała ani słowa. Dostrzegła błysk noża i usłyszała, jak wgryza się gdzieś w metalową szczelinę. Najwidoczniej próbował wykorzystać ostrze w charakterze dźwigni.

– Pchaj z drugiej strony.

Celaena naparła. Ciemna woda omywała jej uda.

Nóż pękł na pół.

Sam znów zaklął wściekle i zaczął szarpać pokrywę.

– No, dalej – szeptał bardziej do siebie niż do niej. – Dalej!

Woda sięgnęła najpierw do jej talii, a potem klatki piersiowej. Deszcz nadal ściekał przez otwory, oślepiając ją i ogłuszając.

– Sam – odezwała się.

– Robię, co mogę!

– Sam – powtórzyła.

– Nie – warknął młodzieniec, usłyszawszy jej ton. – Nie!

Wtedy zaczął wołać o pomoc. Celaena przycisnęła twarz do jednej z dziur. Nie mieli co liczyć na pomoc, która przyjdzie w porę.

Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad tym, jaką śmiercią zginie, ale utonięcie chyba jej odpowiadało. W jej ojczystej krainie Terrasenie płynęła rzeka, która dziewięć lat temu prawie odebrała jej życie, i naraz Celaena odniosła wrażenie, że układ, który zawarła z bogami

tamtej nocy, wreszcie dobiegł końca. W ten czy inny sposób woda kiedyś ją zabierze. To była jedynie kwestia czasu.

– Proszę cię! – błagał Sam. Tłukł w pokrywę i szarpał za nią, a potem spróbował podważyć ją kolejnym sztyletem. – Proszę, nie rób tego.

Wiedziała, że nie mówi do niej. Woda obmyła jej szyję.

– Proszę – jęknął Sam.

Ich palce się zetknęły.

Celaenie pozostał tylko jeden oddech. Pora na ostatnie słowa.

– Zabierz moje ciało do Terrasenu, Sam – szepnęła, a potem zachłysnęła się i pogrążyła w wodzie.

## Rozdział ósmy

**O**ddychaj! – wrzeszczał ktoś i tłukł ją w klatkę piersiową. –  
Oddychaj!

Niespodziewanie Celaenę przeszył skurcz i zwróciła całą wodę z żołądka na bruk, a potem chwycił ją kaszel tak gwałtowny, że jej ciałem targnęły konwulsje.

– Na bogów – jęknął Sam.

Zabójczyni uniosła załzawione oczy i ujrzała, że klęczy obok niej ze zwieszoną głową. Zaciskał dłonie na kolanach. Za nim stały dwie kobiety, które spoglądały po sobie z ulgą, ale i zdziwieniem. Jedna z nich trzymała łom. Nieopodal leżała pokrywa kanału, a z otworu buchała woda.

Zabójczyni znów zwymiotowała.

Po powrocie do Twierdzy wykąpała się trzy razy z rzędu, a jadła tylko po to, by znów zwymiotować i oczyścić ciało ze wszystkich śladów obrzydliwości, których się nałykała. Zanurzyła swe podrapane, poranione dłonie w kadzi ze środkiem odkażającym. Paliło jak diabli, ale dziewczyna zdusiła krzyk i w milczeniu rozkoszowała się działaniem medykamentu wypalającego wszystko, co znalazło się w brudnej wodzie. Uświadomiwszy sobie, że to łagodzi jej torsje, poleciała, by napełniono odkażaczem całą wannę, a potem do niej wskoczyła.

Miała wrażenie, że już nigdy nie poczuje się czysta. Nawet po czwartej kąpeli, która nastąpiła zaraz po wymyciu się środkiem dezynfekującym, nadal miała wrażenie, że pokrywa ją warstwa mułu. Arobynn pocieszał ją i przymilał się, ale kazała mu wyjść. Wyrzuciła za drzwi wszystkich. Obiecała sobie, że rankiem wykąpie się jeszcze dwa razy, a potem wczołgała się na łóżko.

Rozległo się pukanie do drzwi. Już chciała warknąć, że chce być sama, ale do środka wsunęła się głowa Sama. Choć minęła północ, młodzieniec nadal był przytomny i czujny.

– O, nie śpisz – powiedział i wślizgnął się do środka, nie czekając na pozwolenie.

Nie potrzebował go zresztą. Uratował jej życie. Celaena wiedziała,

że nigdy nie spłaci tego długu.

W drodze powrotnej do Twierdzy Sam opowiedział jej, że po próbie Aukcji Lysandry udał się do kamienicy Donevala, by sprawdzić, czy dziewczyna rzeczywiście nie potrzebuje pomocy. W domu panowała cisza, ale jego uwagę zwróciło dziwne zachowanie ochrony. Zbrojni mianowicie śmiali się z jakiegoś zdarzenia. Przeszukiwał sąsiednie ulice, chcąc zdobyć jakąkolwiek wskazówkę, gdy usłyszał jej krzyki.

Celaena, która wciąż leżała na łóżku, spojrzała na niego:

– Po co tu przyszedłeś?

Człowiek, który uratował jej życie, zasługiwał na miłsze powitanie, ale przecież Celaena zawsze wierzyła, że jest lepsza od Sama. Tymczasem to on ją ocalił! Czy mogła dalej twierdzić, że jest najlepszą zabójczynią, skoro ktoś inny uratował jej życie? Naraz zapragnęła uderzyć go pięścią.

Sam jednakże uśmiechnął się lekko.

– Chciałem spytać, czy skończyłaś kąpiele. Nie ma już gorącej wody.

– Nie oczekujesz chyba, że za to przeproszę. – Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Czy tobie w ogóle zdarza się kogoś przeprosić?

W blasku świec jego przystojna twarz wydawała się gładka jak aksamit i kusząca.

– Mogłeś mnie zostawić na pastwę losu. – Zadumała się. – Wciąż się zastanawiam, dlaczego nie zacząłeś tańczyć z radości, gdy ujrzałeś mnie w potrzasku.

Jego cichy śmiech przeszył jej ciało. Niespodziewanie zrobiło jej się cieplej.

– Nikt nie zasługuje na tak potworną śmierć, Celaeno. Nawet ty. Poza tym sądziłem, że etap zacieklej rywalizacji mamy już za sobą.

Zabójczyni przełknęła ślinę, ale nie mogła oderwać wzroku od Sama.

– Dziękuję za uratowanie mi życia.

Uniósł brwi. Powiedziała już to samo w drodze powrotnej, ale były to wówczas ciche, wyszeptane w pośpiechu słowa. Tym razem zabrzmiały inaczej. Celaenę bolały dłonie, a zwłaszcza połamane paznokcie, ale mimo to sięgnęła po jego dłoń.

– I... I jeszcze chciałam cię przeprosić.

Zmusiła się, by na niego spojrzeć, choć na twarzy Sama pojawiło się

niedowierzenie.

– Przepraszam cię za to, że wciągnęłam cię w tę aferę w Zatoce Czaszek. I za to, co ci zrobił Arobynn.

– Ach – odparł młodzieniec, jakby nagle odgadł jakąś wielką zagadkę.

Spojrzał na ich dłonie, a wtedy Celaena szybko go puściła. Zapadła pełna napięcia cisza. Jego twarz nigdy dotąd nie wydawała się taka piękna. Dziewczyna uniosła głowę i ujrzała, że Sam wpatruje się w bliznę na jej szyi. Wiedziała, że podłużne, wąskie znamię kiedyś zniknie.

– Miała na imię Ansel – powiedziała ze ściśniętym gardłem. – Była moją przyjaciółką.

Sam powoli usiadł na jej łóżku, a wtedy Celaena uznała, że czas podzielić się wspomnieniami z Czerwonej Pustyni.

Młodzieniec zadawał pytania tylko wtedy, kiedy czegoś nie rozumiał. Gdy zegar wybił pierwszą, Celaena kończyła opowieść o ostatniej strzale przeznaczonej dla Ansel. Mówiła o tym, jak z bólem serca dała przyjaciółce dodatkową minutę, nim wypuściła strzałę, która bez wątpienia by ją zabiła. Gdy zamilkła, oczy Sama lśniły smutkiem i podziwem.

– I tak wyglądało moje lato – dodała, wzruszając ramionami. – Wspaniała przygoda, czyż nie?

W odpowiedzi Sam wyciągnął rękę i pogładził bliznę na jej szyi, jakby mógł ją w ten sposób usunąć.

– Przykro mi – powiedział.

Celaena wiedziała, że to prawda.

– Mnie też – mruknęła.

Naraz przypomniała sobie, jak niewiele zakrywa jej koszula nocna, i szybko zmieniła pozycję. Sam, jak gdyby również to dostrzegł, cofnął rękę i odkaszlnął.

– Cóż – rzekła. – Wygląda na to, że nasze zadanie nieco się skomplikowało.

– Tak? A niby dlaczego?

Zabójczynie próbowała powstrzymać rumieniec, wywołany jego dotykiem, i uśmiechnęła się krzywo. Ów Philip nie miał bladego pojęcia, kogo próbował wyeliminować, i nie zdawał sobie sprawy z tego, ile bólu go czeka. Próba utopienia zabójczynie Adarlanu w ścieku



nikomu nie ujdzie na sucho.

– Bo lista ludzi do zabicia wydłużyła się o jedną osobę – wyjaśniła.

## Rozdział dziewiąty

Celaena spała do południa, zgodnie z obietnicą wykąpała się dwa razy, a potem udała się do gabinetu Arobynna. Zastała go z filiżanką herbaty w rękach.

– Dziwię się, że wyszłaś z wanny – rzekł.

Opowieść o miesiącach spędzonych na Czerwonej Pustyni przypomniła Celaenie o tym, co osiągnęła, i dlaczego tak bardzo chciała wrócić latem do domu. Po tym, w co wpakował ją Arobynn, nie miała powodu, by okazywać mu jakiegokolwiek względy. Celaena uśmiechnęła się więc do Króla Zabójców i otworzyła drzwi dla czekających na zewnątrz służących. Ci wnieśli trzy ciężkie kufry, jeden po drugim.

– Czy wolno mi o cokolwiek zapytać? – Arobynn masował skronie.

Służący wybiegli na zewnątrz, a Celaena zatrzasnęła za nimi drzwi. Bez słowa otworzyła wieka. Złoto rozbłysło w blasku południowego słońca.

Dziewczyna odwróciła się w stronę Arobynna, wspominając chwilę, gdy siedziała na dachu po przyjęciu. Twarz Króla była nieprzenikniona.

– To chyba wystarczy, by spłacić dług – powiedziała, zmuszając się do uśmiechu. – Aż nadto.

Arobynn nadal siedział. Dziewczyna przełknęła ślinę, gdyż nagle zrobiło jej się niedobrze. Skąd przyszło jej do głowy, że to dobry pomysł?

– Chciałabym nadal z tobą pracować – powiedziała ostrożnie.

Arobynn kiedyś już patrzył na nią w ten sposób – owej nocy, gdy ją pobił.

– Ale nie jestem już twoją własnością – dodała.

Srebrne oczy Arobynna omiotły kufry, a potem spoczęły na niej. Król wpatrywał się w jej nieruchomą postać przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, a potem uśmiechnął się nieco zasmucony.

– Żałuję, że ten dzień nadszedł. Czy możesz mnie za to winić?

Celaena niemal odetchnęła z ulgą.

– Nie żartowałam. Naprawdę chcę z tobą pracować.

Zrozumiała, że nie może mu powiedzieć o swoim mieszkaniu ani o tym, że się wyprowadza. Jeszcze nie. Krok po kroku. Dziś spłaci dług. Być może za kilka tygodni powie mu, że odchodzi. Może nie będzie w ogóle miał nic przeciwko temu, że znalazła sobie własne miejsce.

– Praca z tobą zawsze będzie dla mnie przyjemnością – rzekł, ale nadal nie wstawał. Upił łyk herbaty. – Czy chcę wiedzieć, skąd pochodzą te pieniądze?

Dziewczyna przypomniała sobie o bliźnie na szyi i rzekła:

– Od Niemego Mistrza. To zapłata za uratowanie życia.

Arobynn wziął gazetę do ręki.

– Przyjmij więc gratulacje – powiedział i przyjrzał jej się znad gazety. – Jesteś teraz wolna.

Zabójczynie próbowała powstrzymać uśmiech. Być może nie była wolna w dosłownym znaczeniu tego słowa, ale przynajmniej Arobynn nie będzie już mógł zmuszać jej do niczego, wykorzystując argument długu. Na razie wystarczyło jej to w zupełności.

– Powodzenia z Donevałem jutro wieczorem – dodał. – Daj znać, jeśli będziesz potrzebowała pomocy.

– O ile nie każesz sobie za to zapłacić – rzekła rozpromieniona.

Arobynn nie odpowiedział uśmiechem na uśmiech i odłożył gazetę.

– Nigdy bym tego nie zrobił.

W jego oczach błysnęło coś podobnego do bólu.

Walcząc z narastającą potrzebą przeproszenia Króla, zabójczynie bez słowa wyszła z pokoju.

Droga do sypialni zabrała jej wiele czasu. Oczekiwała, że będzie podskakiwać z radości po wręczeniu mu pieniędzy. Sądziła, iż będzie kroczyć z dumną po Twierdzy, ale jego wzrok sprawił, że w jednej chwili całe złoto wydało jej się bezwartościowe.

Cóż za wspaniały początek nowego etapu w życiu.

Celaena nie miała najmniejszego zamiaru wchodzić ponownie do ohydneho kanału, ale wróciła tam tego dnia po południu. Tunelem wciąż płynęła rzeka, ale wąski chodnik, ciągnący się wzdłuż ściany, był suchy, choć z góry wciąż ściekał deszcz.

Sam wkroczył do jej sypialni godzinę wcześniej, przebrany i gotowy, by podjąć obserwację domu Donewała. Teraz w milczeniu skradał się

za nią. Zbliżali się do żelaznych drzwi, które Celaena tak dobrze pamiętała. Położyła pochodnię przy drzwiach i przesunęła dłonią po zardzewiałej, wysłużonej powierzchni.

– Tędy wślizgniemy się jutro do środka – powiedziała. Bulgot podziemnego strumienia niemalże zagłuszył jej słowa. – Od frontu kamienica jest teraz zbyt dobrze strzeżona.

Sam przesunął palec wzdłuż szczeliny między drzwiami a progiem.

– Najpierw trzeba by było w jakiś sposób ściągnąć tu taran – oznajmił.

Celaena zmierzyła go mrocznym spojrzeniem.

– Można zapukać.

– Jestem pewien, że ochrona by to doceniła! – zaśmiał się cicho Sam. – Może nawet zaprosiliby nas na kufelek? Oczywiście zaraz po naszpikowaniu strzałami.

Poklepał się po płaskim brzuchu. Miał na sobie kombinezon, który Arobynn kazał mu kupić, i dziewczyna nie mogła nie zauważyć, że znakomicie uwydatniał jego figurę. Próbowwała nie przyglądać się Samowi zbyt uważnie.

– A więc te drzwi odpadają – mruknęła, znów przesuwając wzdłuż nich dłonią. – Chyba że odkryjemy, którądy służba wynosi śmieci.

– Wolałbym na tym nie polegać – odparł Sam, nadal przyglądając się drzwiom. – Służba może wyrzucać śmieci, gdzie jej się żywnie spodoba.

Dziewczyna zakłęta i rozejrzała się dookoła. Paskudne miejsce na śmierć. Miała wielką nadzieję, że jutro natknie się na Philipa. Ten arogancki dupek nie miał pojęcia, co go czeka. Zrozumie to dopiero, gdy zabójczyni stanie tuż przed nim. Nie domyślił się przecież nawet, że to ona podeszła do Donevala na przyjęciu.

Uśmiechnęła się. Czy istniał lepszy sposób dorwania Philipa niż wkradnięcie się do kamienicy przez drzwi, które on sam jej pokazał?

– No to jedno z nas będzie musiało przesiedzieć tu kilka godzin – szepnęła nadal wpatrzona w drzwi. – By wyrzucić śmieci, trzeba przejść kilka kroków. – Jej uśmiech stawał się coraz szerszy. – Jestem pewna, że człowiekowi taszczącemu wiadro z nieczystościami nawet nie przyjdzie do głowy, by się odwrócić.

W blasku pochodni ujrzała zęby uśmiechającego się Sama. Chłopak powiedział:

– Będą też na tyle zajęci, że ktoś z nas zdoła się wślizgnąć do piwnicy i znaleźć tam dobrą kryjówkę, gdzie zaczeka do siódmej trzydzieści.

– Niezłe zaskoczenie czeka ich jutro, gdy odkryją, że drzwi są nadal zamknięte.

– Myślę, że to będzie najmniejsza z niespodzianek, jakie ich jutro czekają.

Dziewczyna uniosła pochodnię.

– Zgadza się – powiedziała.

Oboje szli przez chwilę po chodniku, aż odnaleźli wyjście w ciemnej alejce, oddalone od domu na tyle, by nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Niestety, od Twierdzy dzielił ich spory kawałek.

– Podobno dziś rano spłacałaś Arobynna – rzekł Sam wpatrzony w ciemne kamienie pod nogami. Nadal mówił cichym głosem. – Jakie to uczucie być wolną?

Celaena spojrzała na niego.

– Nieszczerze, jeśli mam być szczerą.

– Dziwię się, że przyjął pieniądze bez awantury.

Zabójczyni nie powiedziała ani słowa. Pogrążony w półmroku Sam oddychał nierówno.

– Istnieje spora szansa, że wyjadę – szepnął.

Celaena prawie się potknęła.

– Masz wyjechać?

Sam uciekał wzrokiem.

– Wybieram się do Eyllwe. Do Banjali, jeśli chodzi o ścisłość.

– Masz zlecenie?

Arobynn rozsyłał swoich zabójców po całym kontynencie, ale dziewczyna wyczuła w głosie Sama coś osobliwego.

– Nie. Wyjeżdżam na zawsze.

– Dlaczego? – Jej głos stał się piskliwy.

Sam odwrócił się i spojrzał jej w twarz.

– A co mnie wiąże z tym miejscem? Arobynn już wspominał, że dobrze będzie zdobyć mocny przyczółek na południu.

– Arobynn – zasyczała. Z trudem udało jej się nie podnieść głosu. – Rozmawiałeś z nim o tym?

Sam wzruszył lekko ramionami.

– Nieoficjalnie. Nie dostałem rozkazu ani nic w tym stylu.

– Ale... Ale Banjali leży tysiąc mil stąd!  
– Jasne, lecz Rifthold należy do ciebie i Arobynna. Ja zawsze będę tylko alternatywą.

– Wolałabym być alternatywą w Rifthold niż przywódcą zabójców w Banjali.

Była wściekła, że nie może krzyżeć. Miała ochotę rąbnąć czyjąś głową o ścianę lub rozszarpać kanał gołymi rękami.

– Wyjeżdżam pod koniec miesiąca – rzekł Sam, nadal spokojny.

– Ale to za dwa tygodnie!

– Czy istnieją jakiegokolwiek względy, dla których powinienem tu zostać?

– Tak! – szepnęła. – Tak, istnieją!

Nie odpowiedział.

– Nie możesz wyjechać.

– Podaj powód.

– Bo będzie mi cię brakować, do cholery! – syknęła, rozrzucając ramiona. – Bo jeśli znikniesz na zawsze, to nic nie będzie miało już sensu!

– Co nie będzie miało sensu? – spytał Sam.

Jak to możliwe, że był taki spokojny, gdy ona traciła panowanie nad sobą.

– To, co zrobiliśmy w Zatoce Czaszek! Nuty, które mi przyniosłeś! I to, że przebaczyłeś Arobynnowi pod warunkiem, że mnie ponownie nie skrzywdzi.

– Powiedziałaś, że nie interesuje cię moje zdanie. Nie obchodzi cię to, co robię. Nie przejęłabyś się również moją śmiercią, jeśli się nie mylę.

– Kłamałam i ty dobrze o tym wiesz, głupi draniu!

Sam zaśmiał się cicho.

– Chcesz wiedzieć, jak spędziłem to lato? – spytał.

Dziewczyna ucichła, a Sam przeczesał dłonią brązowe włosy.

– Każdego dnia od rana do wieczora walczyłem z pokusą, by poderznąć gardło Arobynnowi. A on wiedział, że chcę go zabić.

„Zabiję cię!” – wrzeszczał do Arobynna owej pamiętnej nocy.

– Gdy przebudziłem się po owym sławetnym laniu, uświadomiłem sobie, że muszę wyjechać. Gdybym pozostał, zabiłbym go. Ale nie mogłem się do tego zmusić.

Zabójczyni przyglądała się jego twarzy.

– Postanowiłem zaczekać do twego powrotu. Musiałem najpierw mieć pewność, że nic ci nie jest.

Oddychanie stało się dla niej trudne, bardzo trudne.

– On o tym również wiedział i postanowił to wykorzystać – ciągnął Sam. – Zamiast rekomendować mnie do zadań, przydzielił mnie do pomocy Lysandrze i Clarisse. Zmusił mnie, bym towarzyszył im podczas pikników i przyjęć. Przerodziło się to w grę między nami, zupełnie jakby chciał sprawdzić, ile ścierwa zniosę, nim stracę panowanie nad sobą. Obaj wiedzieliśmy jednakże, że przewaga zawsze będzie po jego stronie, gdyż miał ciebie. A mimo to każdego dnia modliłem się, byś wróciła cała i zdrowa. Ba, miałem nadzieję, że wrócisz i zemścisz się za to, co ci zrobił.

Tymczasem tak się nie stało. Wróciła i pozwoliła Arobynnowi obsypać się darami.

– Teraz wiem, że nic ci się nie stało i spłaciłaś swój dług. Nie mogę więc zostać w Rifthold. Wyrządził nam zbyt wiele zła.

Celaena wiedziała, że to samolubne i okropne, ale szepnęła:

– Proszę, nie wyjeżdżaj.

Sam oddychał nierówno.

– Dasz sobie radę beze mnie. Zawsze dawałaś.

Może kiedyś, ale teraz?

– Jak mogę cię przekonać, byś został?

– Nie możesz.

Celaena odrzuciła pochodnię.

– Chcesz, bym cię błagała, tak?

– Nie. Nigdy.

– A więc powiedz...

– Co jeszcze mogę ci powiedzieć? – wybuchł. Jego szept był ochrypły i wściekły. – Już ci wszystko powiedziałem! Powiedziałem ci, że jeśli zostanę tutaj i będę musiał żyć z Arobynnem, złamię mu kark!

– Ale dlaczego? Dlaczego nie możesz odpuścić?

Złapał ją za ramiona i potrząsnął nią.

– Ponieważ cię kocham.

Zabójczyni otworzyła szeroko usta.

– Kocham cię – powtórzył i znów nią potrząsnął. – Od lat. A on cię skrzywdził i zmusił mnie do przyglądania się kaźni, bo od dawna

zdawał sobie z tego sprawę. Ale gdybyś miała wybrać, wybrałabyś Arobynna, a ja tego nie zniosę!

Jedynym słyszalnym odgłosem były ich nierówne oddechy na tle plusku podziemnej rzeki.

– Jesteś przeklętym idiotą! – szepnęła Celaena, łapiąc go za materiał tuniki. – Jesteś kretynem, osłem i przeklętym idiotą!

Sam wyglądał, jakby został uderzony, ale dziewczyna nie przerywała. Ujęła jego twarz i dodała:

– Bo wybrałabym ciebie.

I pocałowała go.



## Rozdział dziesiąty

Nigdy wcześniej się nie całowała. Gdy ich usta się spotkały, a Sam otoczył ramionami jej talię i przyciągnął ją do siebie, odkryła, że nie ma pojęcia, dlaczego tak długo z tym zwlekała. Jego usta były ciepłe i miękkie, a ciało cudownie twarde i mocne. Wsunęła palce w jedwabiste, brązowe włosy, ale oddała mu inicjatywę i pozwoliła, by rozchylił jej usta. Sama pamiętała tylko o tym, by oddychać.

Gdy ich języki się musnęły, Celaena poczuła, że wzbiera w niej taka moc, że aż zrobiło się jej słabo. Chciała więcej. Chciała go całego.

Ścisnęła go najmocniej, jak umiała, całowała najszybciej, jak potrafiła. W jej gardle narastał pomruk pożądania, tak intensywnego, że czuła je w całym ciele. Spływało coraz niżej.

Przycisnęła go do ściany. Jego dłonie wędrowały po całych plecach zabójczynie, wzdłuż jej boków, po biodrach. Chciała się napawać tym uczuciem, chciała zrzucić górę kombinezonu i poczuć jego twarde dłonie na nagiej skórze. Intensywność pożądania całkiem zawróciła jej w głowie.

Zapomniała o kanałach. Zapomniała o Donevalu, Philipie i Arobynnie.

Usta Sama wędrowały teraz wzdłuż jej szyi. Musnęły miejsce za uszami i Celaena wstrzymała oddech.

Zapomniała o całym świecie.

Gdy wyszli na ulicę, zapadł już zmrok. Oboje mieli zmierzwiene włosy i obrzmiałe usta. Sam nie puszczał jej dłoni przez całą długą drogę do Twierdzy, a kiedy dotarli na miejsce, Celaena przykazała służbie, by przynieśli obiad dla nich do jej komnaty. Choć spędzili tej nocy wiele czasu razem i bynajmniej nie marnowali go na rozmowy, pozostali w ubraniach. Tego dnia nastąpiło wystarczająco dużo zmian w jej życiu i nie miała ochoty na kolejną rewolucję.

Ale to, do czego doszło w kanałach...

Celaena leżała z otwartymi oczami długo po wyjściu Sama i wpatrywała się w ciemność.

Kochał ją. Od lat. I wycierpiał dla niej tak dużo.

Nie miała pojęcia, dlaczego to robił. Nigdy nie była dla niego miła i na każdą uprzejmość z jego strony reagowała pogardliwym parsknięciem. A jej uczucia wobec niego?

Cóż, nie kochała go od lat. Przed wyprawą do Zatoki Czaszek zabiłaby go bez większych skrępowań.

Ale teraz? Nie, nie mogła o tym teraz myśleć. Jutro też nie, ponieważ musieli wdrzeć się do domu Donevala. Zadanie było ryzykowne, ale opłacalne. Nie mogła zrezygnować z zarobku – niebawem musiała zacząć się utrzymywać sama. Nie mogła też pozwolić na to, by ten łajdak Doneval uruchomił handel niewolnikami bądź szantażował tych, którzy ośmielili się mu sprzeciwić.

Modliła się tylko o to, by nic nie stało się Samowi.

W ciszy swej sypialni złożyła solenną obietnicę księżycowi, że jeśli Sam zostanie ranny, żadna siła na świecie nie powstrzyma jej przed wymordowaniem wszystkich, którzy będą za to odpowiedzialni.

Następnego dnia po lunchu Celaena zeszła do kanałów i zamarła w cieniu za drzwiami do piwnicy. Sam również czał się w tunelu, niemalże niewidzialny w swym kombinezonie.

W kamienicy dobiegał końca posiłek, co oznaczało, że Celaena będzie niebawem miała dobrą okazję, by wślizgnąć się do środka. Minęła już godzina i każdy odgłos powiększał napięcie, które nie opuszczało jej od świtu. Wiedziała, że musi być szybka, cicha i bezlitosna. Jeden błąd, jeden okrzyk, jeden brakujący służący i wszystko pójdzie na marne.

Ktoś musiał zejść na dół, by wyrzucić odpadki. Zabójczyni wyciągnęła niewielki zegarek z kieszeni kombinezonu. Ostrożnie potarła zapałkę o draskę, by zerknąć na tarczę. Minęła druga. W ciągu następnych pięciu godzin musiała się wkraść do gabinetu Donevala i tam poczekać na spotkanie. Była gotowa się założyć, że bogacz wcześniej tam nie zajrzy. Ludzie jego pokroju witali gości przy drzwiach i prowadzili przez wystawne korytarze, napawając się ich minami.

Nagle Celaena usłyszała zgrzyt zawiasów pierwszych, wewnętrznych drzwi, a potem kroki i sapnięcia. Miała doświadczenie w rozpoznawaniu odgłosów i wiedziała, że nadchodzi jedna służąca. Zdmuchnęła zapałkę.

Przywarła do ściany w chwili, gdy służąca przekręciła klucz w

zamku i pchnęła ciężkie drzwi. Nie słyszała żadnych innych kroków. Kobieta z trudem wlokła wiadro z nieczystościami. Była sama, a piwnica za nią również wyglądała na pustą.

Służąca była zbyt zajęta taszczeniem i opróżnianiem wiadra, by choć spojrzeć na cienie za drzwiami. Celaena przemknęła bez trudu za jej plecami, przebiegła przez oba wejścia i zniknęła w piwnicy, nim rozległ się plusk wylewanego wiadra.

Biegając ku najciemniejszemu zakątkowi ogromnej, słabo oświetlonej piwnicy, Celaena rejestrowała jak najwięcej szczegółów. Niezliczone beczki z winem i półki ciężkie od jedzenia i wszelakich dóbr ze wszystkich zakamarków Erilei. Schody idące ku górze. Ani śladu służby. Odgłosy na piętrze, przypuszczalnie dobiegające z kuchni.

Zewnętrzne drzwi zostały zatrzaśnięte, a potem zazgrzytał klucz w zamku, ale Celaena już kucała za ogromną beczką wina. Po chwili drugie drzwi również zostały zamknięte. Zabójczyni zakryła twarz gładką, czarną maską i narzuciła kaptur na włosy. Rozległ się odgłos czyichś kroków i ciche posapywanie. Służąca pięła się z powrotem do kuchni na górze, a pałak rozkołysanego wiadra poskrzypywał. Kobieta przeszła tuż obok ukrytej zabójczyni, nucąc do siebie.

Gdy kroki ucichły, Celaena wypuściła powietrze z płuc, a potem uśmiechnęła się do siebie. Gdyby Philip był mądrzejszy, poderznąłby jej gardło. Postanowiła, że nim go zabije, spróbuje mu opowiedzieć o tym, jak się dostała do domu.

Nabrawszy pewności, że służąca nie wróci z kolejnym wiadrem, Celaena popędziła ku schodom prowadzącym z powrotem do kanałów. Szybka niczym królik z Czerwonej Pustyni odemknęła najpierw pierwsze, potem drugie drzwi. Sam miał wślizgnąć się do środka dopiero tuż przed spotkaniem i wywołać pożar, by przyciągnąć uwagę domowników. Gdyby ktoś odkrył, że drzwi zostały otwarte, mógłby rzucić winę na służącą wyrzucającą śmieci.

Celaena ostrożnie przymknęła obie pary drzwi, uważając, by się nie zatrzasnęły, a potem powróciła do swej kryjówki za beczkami.

Rozpoczęło się oczekiwanie.

O siódmej wyszła z piwnicy. Lada moment do środka powinien się wślizgnąć Sam z oliwą i pochodniami. Ogromna ilość zebranego tu alkoholu miała zakończyć sprawę. Celaena modliła się, by zdołał

uciec, nim pożar rozsadzi piwnicę na kawałki.

Zabójczyni musiała więc pospiesznie znaleźć się na piętrze, a tam poszukać nowej kryjówki. Pożar miał wybuchnąć dokładnie o siódmej trzydzięci. Wiedziała, że niektórzy strażnicy zostaną natychmiast wezwani na dół, co oznaczało, że ochrona Donewała i jego współnika zostanie osłabiona.

Służący zasiedli właśnie do kolacji w podziemnej kuchni, a ich śmiechy sugerowały, że nie mają pojęcia o spotkaniu, do którego miało dojść trzy piętra nad ich głowami. Zabójczyni przekradła się obok drzwi kuchennych. W swym kombinezonie, płaszczu i masce była zaledwie cieniem na tle jasnych, kamiennych ścian. Wstrzymując oddech, wbiegła po wąskich, spiralnych schodach dla służby.

Dzięki kombinezonowi o wiele łatwiej było jej sięgnąć po broń. Wysunęła długi sztylet z ukrytej klapy w bucie i wyjrzała na korytarz na piętrze.

Drewniane drzwi były wszędzie pozamykane. Nigdzie nie widziała straży, służących ani domowników Donewała. Weszła na korytarz wyłożony drewnianymi płytkami. Gdzie, u licha, podzieli się strażnicy? Zabójczyni poruszała się szybko niczym kot. Przypadła do drzwi gabinetu Donewała. W środku nie paliło się żadne światło. Nie widziała cieni stóp, nie słyszała żadnych dźwięków.

Drzwi były zamknięte na klucz, co nie stanowiło wielkiego problemu. Dziewczyna schowała sztylet i wyciągnęła dwa wąskie druciki. Wsunęła je do dziurki od klucza i manipulowała nimi przez moment, aż usłyszała głośnie kliknięcie.

Błyskawicznie znalazła się w środku i zamknęła drzwi. Otoczyła ją aksamitna ciemność. Zapaliła zapałkę. W środku nie było nikogo. Marszcząc brwi, Celaena wyciągnęła zegarek kieszonkowy i sprawdziła godzinę.

Wciąż miała wystarczająco dużo czasu, by się rozejrzeć.

Zabójczyni zgasiła zapałkę i podbiegła do zalanych deszczem okien, by zaciągnąć zasłony. Potem podeszła do ogromnego biurka z drewna dębowego i zapaliła stojącą na nim lampkę oliwną, ale maksymalnie skróciła knot. Wąty, niebieskawy płomyk nie dawał wiele światła. Pospiesznie przejrzała papiery na biurku. Gazety, zwykła korespondencja, rachunki, listy wydatków...

Otworzyła wszystkie szuflady w biurku. Wszędzie mniej więcej to

samo. Gdzie były te dokumenty?

Dziewczyna zdusiła wściekle przekleństwo i zakryła usta dłonią. Obróciła się w miejscu. W pokoju, oprócz fotela, znajdowały się jeszcze szafa oraz kufer. Przeszukała oba meble, ale nie znalazła niczego poza niezapisanym papierem i atramentem. Wytężyła słuch, ale nikt nie nadchodził.

Przyjrzała się książkom w biblioteczkach i stuknęła palcem w każdy grzbiet, by sprawdzić, czy nie są puste w środku, gdy nagle...

Drewniany panel zaskrzypiał pod jej stopami. W jednej chwili opadła na kolana i zaczęła stukać w ciemne, wypolerowane drewno. Po chwili usłyszała głuchy dźwięk.

Serce biło jej jak szalone. Ostrożnie wsunęła sztylet między panele i podważyła jeden z nich do góry. Pod spodem ujrzała stosik papierów.

Wyciągnęła je na zewnątrz, wstawiła panel na miejsce i podbiegła do biurka, gdzie rozłożyła dokumenty. Chciała jedynie rzucić na nie okiem, by się przekonać, czy natrafiła na właściwe. Trzęsącymi się rękami przerzucała kartkę za kartką. Widziała mapy z czerwonymi krzyżykami w losowych miejscach, tabele z liczbami i nazwiskami... Tak, same listy nazwisk oraz zaznaczone miejsca! Miasta, miasteczka, lasy i góry, a wszystko w Melisande.

Okazało się, że wśród dokumentów oprócz list nazwisk Melisandczyków przeciwnych procederowi znajdują się również mapy z zaznaczonymi kryjówkami dla uwolnionych niewolników, z których mieli oni być przetrzucani na wolność. Gdyby te informacje zostały ujawnione, wszyscy ci ludzie zostaliby straceni bądź trafili do niewoli.

I ten przeklęty łajdak Doneval chciał je wykorzystać, by zmusić ich do poparcia handlu niewolnikami. W razie odmowy przekazałby je królowi.

Celaena zebrała dokumenty. Nie miała zamiaru pozwolić na to Donevalowi. Nigdy.

Zrobiła krok w kierunku kryjówki pod panelem, kiedy usłyszała głosy.

## Rozdział jedenasty

**W** okamgnieniu zgasła lampę i rozsunęła zasłony. Przeklinając cicho, wsunęła dokumenty za pazuchę kombinezonu i schowała się w szafie. Wiedziała, że Doneval i jego partner niemalże od razu zorientują się, że cenne papiery zniknęły, ale nie przejmowała się tym. Miała dokładnie to, czego potrzebowała – Donevala oraz jego współnika w tym samym pomieszczeniu, z dala od straży. Lada minuta w piwnicy miał wybuchnąć pożar. Dziewczyna liczyła na to, że przyciągnie uwagę większości ochrony i nastąpi to, zanim Doneval odkryje zniknięcie papierów. Nie domknęła szafy, by móc wyglądać na zewnątrz.

Drzwi do gabinetu stanęły otworem.

– Brandy? – odezwał się Doneval.

Pytanie było skierowane do człowieka w płaszczu z kapturem, który wszedł w ślad za nim.

– Nie – rzekł obcy i zdjął kaptur.

Był średniego wzrostu i niczym się nie wyróżniał, z wyjątkiem opalonej twarzy i wysokich kości policzkowych. Kim był?

– Chcesz mieć to z głowy? – zachichotał Doneval, ale jego śmiech nie zabrzmiał do końca szczerze.

– Żebyś wiedział – odparł spokojnie tamten. Rozejrzył się po pokoju, a Celaena nie odważyła się ani drgnąć, ani nawet odetchnąć, gdy jego błękitne oczy omiotły szafę. – Moi partnerzy zaczną mnie szukać za trzydzieści minut.

– Uporamy się w dziesięć. Ja zresztą i tak wybieram się do teatru. Będzie tam pewna młoda dama, z którą bardzo chciałbym się spotkać – ciągnął Doneval z wdziękiem typowym dla człowieka interesu. – Rozumiem, że twoi współnicy potrafią działać szybko i udzielą mi odpowiedzi przed świtem.

– Tak. Najpierw jednak pokaż mi te dokumenty. Muszę wiedzieć, co oferujesz.

– Jasne, jasne – rzekł Doneval i napił się nalanej sobie brandy.

Dłonie i twarz Celaeny pokryła warstewka potu.

– Mieszkaś tu czy jesteś przejazdem? – spytał bogacz, a gdy nie doczekał się odpowiedzi, rzekł z krzywym uśmiechem: – W każdym razie mam nadzieję, że już zajrzałeś do madame Clarisse. Nigdy dotąd nie widziałem tak ładnych dziewcząt.

Nieznajomy spojrzał na Donevala z nieskrywanym obrzydzeniem. Celaena na jego miejscu zareagowałaby identycznie.

– Nie przepadasz za pogawędkami, co? – zakpił bogacz, odstawił szklanę i podszedł do kryjówki.

Jego dłonie lekko drżały, co oznaczało, że gadanina wynikała ze zdenerwowania. Jak to możliwe, by taki człowiek zdobył delikatne i ważne informacje?

Doneval uklęknął przy luźnym panelu i zdjął go, a potem zaklął.

Celaena wysunęła ostrze z pochewki w kombinezonie i w okamgnieniu wyskoczyła z szafy. Doneval zginął jedno uderzenie serca później, dźgnięty z ogromną siłą w kark. Z rany buchnęła krew, a zabójczyni błyskawicznie odwróciła się ku drugiemu z obecnych, który krzyknął.

Domem wstrząsnęła eksplozja tak silna, że zabójczyni na chwilę straciła równowagę.

Do cholery, cóż Sam wysadził w powietrze?

Nieznajomy bez wahania wykorzystał sposobność i wypadł na korytarz. Poruszał się z imponującą prędkością niczym człowiek, który biega przez całe życie.

Celaena natychmiast przesadziła próg. Znad schodów napływał już dym. Skoczyła w ślad za nieznajomym i wpadła prosto na ochroniarza Philipa.

Odskoczyła, gdy ten ciął mieczem, chcąc trafić ją w twarz. Nieznajomy nadal uciekał. Obejrzał się przez ramię, a potem zbiegł w dół po schodach.

– Coś ty zrobiła? – parsknął Philip, zauważywszy krew na jej ostrzu.

Od razu wiedział, z kim ma do czynienia – przypuszczalnie był równie spostrzegawczy jak ona albo rozpoznał kombinezon.

Dziewczyna uwolniła drugie ostrze.

– Z drogi! – warknęła.

Słowa, zniekształcone przez maskę, były stłumione i ochryple, jakby wypowiedział je demon, a nie młoda kobieta. Przecięła mieczami

powietrze ze złowieszczym świstem.

– Rozszarpie cię na kawałki! – wycharczał Philip.

– Spróbuj szczęścia.

Oblicze ochroniarza wykrzywiła furia, gdy rzucił się do ataku.

Zablokowała pierwszy cios lewym ostrzem. Uderzenie ochroniarza było tak silne, że ramię zabójczynie przeszył ból. Chciała przeszyć go prawym mieczem na wylot, ale Philip w ostatniej chwili zdołał uskoczyć. Zadał kolejne przemyślane pchnięcie prosto w jej żebra, ale się wywinęła.

Naparł na jej ostrza. Z bliska widziała, że jego broń jest doskonałej jakości.

– Chciałam, żeby nasze spotkanie potrwało nieco dłużej – syknęła Celaena. – Ale myślę, że zakończę je szybko. Twoja śmierć będzie o wiele lżejsza od tej, którą chciałeś mi zafundować.

Philip odepchnął ją z dzikim rykiem.

– Nie masz pojęcia, co zrobiłaś!

Dziewczyna znów przecięła powietrze mieczami.

– Ależ ja doskonale wiem, co zrobiłam. I wiem też, co jeszcze mam do zrobienia.

Philip rzucił się do ataku, ale korytarz był zbyt wąski, a jego cięcie zbyt chaotyczne. Bez trudu prześlizgnęła się pod klingą. Krew ochroniarza ubrudziła jej dłoń w rękawiczce. Ostrze zgrzytnęło o kość, gdy wyszarpywała je z ciała ochroniarza.

Philip otworzył szeroko oczy i zatoczył się do tyłu, ściskając sięgającą serca ranę między żebrami.

– Ty idiotko – szepnęła, osuwając się na ziemię. – Wynajęła cię Leighfer?

Zabójczynie nie powiedziała ani słowa. Ochroniarz oddychał z coraz większym trudem, a na jego ustach pojawiły się krwawe pęcherzyki.

– Doneval... – rzeził Philip. – On kochał ojczyznę... – Z trudem wciągnął powietrze. W jego oczach nienawiść mieszała się z żalem. – O niczym nie wiesz.

I odszedł.

– Może – stwierdziła, patrząc na trupa. – Ale na razie wiem tyle, ile trzeba.

Akcja zabrała jej niecałe dwie minuty. Już było po wszystkim.

Kamienica płonęła, a więc nie było czasu do stracenia. Celaena



ogłuszyła dwóch strażników, zbiegając ze schodów, a potem rozbroiła trzech kolejnych i przeskoczyła nad żelaznym płotem okalającym dom. Wylądowała na bruku stolicy.

Gdzie, u licha, podział się ów nieznajomy?

Nie było tu ulic prowadzących w stronę rzeki, a więc nie pobiegł na lewo. Musiał więc skręcić w prawo albo pobiec ulicą prosto. Nie, pierwsza opcja odpadała – gdyby udał się w prawo, szybko znalazłby się na głównej ulicy miasta zamieszkaney przez bogatych obywateli. Celaena pognała więc przed siebie.

Biegła tak szybko, że ledwie mogła złapać oddech. Miecze brzęknęły, wsuwając się do ukrytych pochew.

Nikt jej nie zauważył. Większość ludzi gnała w stronę płomieni, które strzelały ku niebu nad domem Donevala. Co się stało z Samem?

Zauważyła nieznajomego, który pędził uliczką w stronę Avery. Prawie go przeoczyła, gdyż właśnie skręcał w przecznicę. Mówił coś o wspólnikach – czyżby chciał teraz do nich dotrzeć? Czyżby był tak głupi?

Pędziła po kałużach, rozbryzgując wodę. Przeskakiwała nad stertami odpadków i oparła się o ścianę budynku, by ułatwić sobie ostry skręt w ślad za ściganym. Niespodziewanie znalazła się w ślepym zaułku.

Ścigany usiłował wspiąć się po ceglanym murze na końcu uliczki. Nigdzie dookoła nie było widać żadnych drzwi, a okna znajdowały się zbyt wysoko.

Celaena wysunęła oba miecze. Nie biegła już, ale skradała się czujnie. Mężczyzna podskoczył raz jeszcze, próbując dosięgnąć szczyt muru, ale nie udało mu się i spadł na bruk. Leżąc, obrócił się ku niej z trudem. Jego oczy rozbłysły, gdy sięgnął w głąb znoszonej kurtki i wyciągnął plik dokumentów. Cóż takiego przyniósł Donevalowi? Ich oficjalną umowę handlową?

– Idź do diabła! – parsknął.

W jego dłoni zapłonęła zapalka. Papiery stanęły w ogniu, a mężczyzna odrzucił je od siebie, a potem błyskawicznie wyciągnął jakąś fiolkę z kieszeni i połknął jej zawartość.

Zabójczyni skoczyła ku niemu, ale było już za późno. Mężczyzna zeszytniał i umarł, nim zdążyła złapać go za ubranie. Miał zamknięte oczy, lecz na jego obliczu nadal malowała się wściekłość.

Odszedł na dobre. Ale dlaczego? Czy można popełnić samobójstwo tylko ze względu na fiasko jakiejś umowy handlowej?

Celaena puściła go i zerwała się na równe nogi. Błyskawicznie zdeptała płomienie pożerające dokumenty, choć połowa zdążyła już spłonąć. Uklękała na wilgotnym bruku i uniosła nadpalone kartki, by przeczytać ich treść w blasku księżyca. Cóż takiego znajdowało się w dokumentach, za które nieznajomy człowiek postanowił zginąć?

To nie była tylko i wyłącznie umowa handlowa. Trzymane przez nią dokumenty zawierały listy nazwisk, liczby i lokalizacje kryjówek, podobnie jak papiery, które trzymała za pazuchą. Różnica polegała na tym, że wymienione w nich miejsca znajdowały się w Adarlanie, a niektóre aż pod granicą z Terrasenem na północy.

Spojrzała ostro na ciało. To nie miało sensu! Dlaczego ów człowiek zabił się, by zataić te informacje przed nią, skoro był gotów podzielić się nimi z Donevalem i wykorzystać dla zysku? Poczowała otępienie.

„O niczym nie wiesz” – powiedział Philip.

Naraz zrozumiała, że ogromny ochroniarz miał rację. Ile wiedział Arobynn? Słowa Philipa rozbrzmiewały raz za razem w jej głowie. To nie miało sensu. Coś było nie tak.

Nikt jej nie mówił, że te dokumenty tak bardzo obciążą ludzi, którzy zostali w nich wymienieni. Drżącymi rękami dźwignęła trupa do pozycji siedzącej, by nie leżał twarzą na brudnej ziemi. Dlaczego poświęcił życie, by te informacje nie wyszły na jaw? Może był szlachetny, niewykluczone, że był głupi, ale nie mogła go tak zostawić. Nachyliła się i wyprostowała jego kołnierz.

Potem podniosła nadpalone kartki, spaliła je do końca i odczekała, aż zostanie z nich zaledwie kupka popiołu. Nic innego nie mogła zrobić.

Zastała Sama skulonego pod ścianą w innej uliczce. Klęczał i oddychał z trudem, przyciskając dłoń do klatki piersiowej. Natychmiast do niego podbiegła.

– Jesteś ranny? – spytała, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu nadbiegających strażników.

Łuna za ich plecami była coraz szersza. Miała nadzieję, że służbie udało się w porę uciec.

– Nic mi nie jest – wyrzeźił Sam, ale Celaena ujrzała w świetle księżyca ranę na jego ramieniu. – Ochrona zauważyła mnie w piwnicy

i wypuścili kilka strzał.

Złapał materiał kombinezonu na wysokości piersi.

– Jedna trafiła mnie prosto w serce. Myślałem, że już po mnie, ale strzała po prostu się odbiła. Nie dotknęła nawet skóry.

Rozpiął kombinezon, a w środku zamigotało coś opalizującego.

– Pajęczy jedwab – wymamrotał z szeroko otwartymi oczami.

Celaena uśmiechnęła się ponuro i ściągnęła maskę.

– Nic dziwnego, że ten cholerny kombinezon tyle kosztował! – stwierdził Sam i zaśmiał się z trudem.

Dziewczyna nie miała ochoty zdradzać mu prawdy.

Sam odnalazł wzrokiem jej twarz.

– Po wszystkim? – spytał.

Nachyliła się i musnęła jego usta swoimi.

– Po wszystkim – szepnęła, nie przerywając pocałunku.

## Rozdział dwunasty

**D**eszczowe chmury odpłynęły, a słońce zaczęło wstawać, gdy Celaena wkroczyła do gabinetu Arobynna i zatrzymała się przed jego biurkiem. Jego służący Wesley nawet nie próbował jej zatrzymać. Zamknął jedynie drzwi i stanął na zewnątrz na straży.

– Wspólnik Donevala spalił swe dokumenty, nim zdążyłam je przeczytać – powiedziała zabójczynie w ramach powitania. – Potem wypił truciznę.

Zeszłej nocy wsunęła mu dokumenty Donevala do sypialni przez szparę w drzwiach, ale postanowiła poczekać z wyjaśnieniami do rana.

Arobynn uniósł wzrok znad księgi rachunkowej. Na jego twarzy nie było widać emocji.

– Doszło do tego przed tym, jak spaliłaś dom Donevala, czy później? Zabójczynie założyła ramiona.

– A cóż to za różnica?

Arobynn spojrział na okno i czyste niebo.

– Dziś rano posłałem dokumenty do Leighfer. Czy przejrzałaś je, nim wsunęłaś je do mojej sypialni?

– Oczywiście! – parsknęła dziewczyna. – Po zabiciu Donevala miałam sporo czasu, by usiąść, napić się herbaty i poczytać. Wyrażanie sobie drogi na zewnątrz mogło przecież poczekać.

Arobynn nadal się nie uśmiechał.

– Nigdy dotąd nie pozostawiłaś po sobie takiego bajzlu.

– Przynajmniej ludzie uznają, że Doneval zginął w pożarze.

Król trzasnął dłońmi w blat biurka.

– Nie mamy jego ciała. Skąd pewność, że zginął?

Zabójczynie zdusiła pokusę, by cofnąć się lub drgnąć.

– On nie żyje.

Srebrne oczy Arobynna stwardniały.

– Nie otrzymasz pieniędzy za tę robotę. Jestem pewien, że Leighfer nie zapłaci ani grosza. Chciała dostać ciało oraz dokumenty obu wspólników, a ja otrzymałem tylko jedną rzecz z trzech.

Dziewczyna rozchyliła nozdrza.

– W porządku. Sojusznicy Bardingale są przynajmniej bezpieczni, a Doneval nie zacznie handlować niewolnikami.

Nie mogła powiedzieć, że wśród zdobytych dokumentów nie znalazła umowy handlowej. Oznaczałoby to bowiem, że je przeczytała.

Arobynn zaśmiał się cicho.

– Nie połapałaś się w tym jeszcze, co?

Celaena poczuła ucisk w gardle, a Arobynn rozparł się na krześle.

– Szczerze powiedziawszy, spodziewałem się po tobie czegoś więcej. Żebyś po tylu latach szkolenia nie mogła poskładać do kupy faktów?

– Mów, o co chodzi! – warknęła Celaena.

– Nie było żadnej umowy handlowej – oznajmił Arobynn, a w jego srebrnych oczach zapłonął triumf. – A przynajmniej nie między Donevałem i jego wspólnikiem w Rifthold. Negocjacje w sprawie handlu niewolnikami odbyły się w szklanym zamku. Jedną stroną był król, a drugą Leighfer. Był to koronny argument, dzięki któremu chciała przekonać króla do budowy drogi.

Celaena nie okazywała żadnych emocji i nadal stała nieruchomo. Ów człowiek, który wypił truciznę, nie chciał wcale wymienić się dokumentami, by sprzedać przeciwników niewolnictwa. On i Doneval chcieli...

„On kochał ojczyznę” – powiedział Philip.

Doneval chciał stworzyć system kryjówek i zbudować siatkę wrogów niewolnictwa w całym imperium. Może i miał paskudne nawyki, ale chciał pomagać niewolnikom.

Ona zaś go zabiła.

Co więcej, przekazała dokumenty Bardingale, której wcale nie zależało na powstrzymaniu niewolnictwa. Ba, wręcz przeciwnie. Chciała w ten sposób zarobić! Co więcej, wraz z Arobynnem obmyślili doskonale kłamstwo, by namówić Celaenę do współpracy.

Król nadal się uśmiechał.

– Leighfer już zatroszczyła się o bezpieczeństwo dokumentów Donewała. Jeśli chcesz poczuć się lepiej, to wiedz, że nie odda ich królowi, przynajmniej na razie. Najpierw chce porozmawiać z ludźmi figurującymi na liście i przekonać ich, by wsparli jej przedsięwzięcie. Jeśli odmówią, dokumenty być może trafią do szklanego zamku.

Celaena ze wszystkich sił powstrzymywała drżenie.

– Czy to kara za Zatokę Czaszek?

Arobynn przyglądał się jej uważnie.

– Żałuję, że cię pobiłem, Celaeno, ale wciąż pamiętam, że zniweczyłaś umowę, która okazałaby się dla nas niezwykle korzystna.

Dla nas. Zupełnie jakby była częścią tego obrzydliwego bałaganu.

– Może i uwolniłaś się ode mnie, ale nie powinnaś zapominać, kim jestem i do czego jestem zdolny.

– Nie zapomnę tego do końca życia – oznajmiła zabójczyni i odwróciła się na pięcie.

Ruszyła ku drzwiom, ale zatrzymała się.

– Wczoraj sprzedałam Kasidę Leighfer Bardingale – powiedziała.

Odwiedziła posiadłość Bardingale rankiem tego samego dnia, kiedy chciała wkraść się do kamienicy Donewała. Kobieta z radością kupiła asteriońskiego rumaka. Ani słowem nie wspomniała o rychłej śmierci byłego męża. A zeszłej nocy, już po zabójstwie, Celaena siedziała przez dłuższą chwilę i wpatrywała się w podpis pod umową sprzedaży, jak idiotka ciesząc się, że zwierzę trafiło w ręce dobrej kobiety.

– No i? – spytał Arobynn. – A co mnie obchodzi twój koń?

Celaena wbiła w niego twarde spojrzenie. Miała dosyć brutalnych starć o pozycję, miała dosyć oszustw i bólu.

– Pieniądze niedługo trafią do twego sejfu w banku.

Nie powiedział ani słowa.

– Z tą chwilą dług Sama wobec ciebie jest spłacony – powiedziała. Coraz silniejsze wstyd i rozpacz odsunęły się, przegnane niewielkim płomykiem triumfu. – Staje się wolnym człowiekiem aż po kres swych dni.

Arobynn wpatrywał się w nią przez chwilę, aż wzruszył ramionami.

– To chyba dobrze.

Dziewczyna naraz zrozumiała, że Król Zabójców szykuje się do zadania ostatniego ciosu. Wiedziała, że powinna uciekać, a tymczasem stała w miejscu jak idiotka i słuchała tego, co ma jej do powiedzenia.

– Bo wydałem już całą forszę od ciebie na Aukcji Lysandry zeszłej nocy. Mam pustki w sejfie.

Minęła dłuższa chwila, nim pojęła jego słowa. Za pieniądze, które zdobyła z takim poświęceniem, kupił dziewictwo Lysandry.

– Wyprowadzam się – szepnęła.

Arobynn wpatrywał się w nią, a na jego okrutnych ustach pojawił się uśmiezek.

– Kupiłam mieszkanie i wprowadzam się tam. Jeszcze dzisiaj.

Uśmiech zabójcy był coraz szerszy.

– Odwiedzaj nas raz na jakiś czas, Celaeno.

Dziewczyna przygryzła wargę, by ta nie zaczęła drzeć.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Arobynn znów wzruszył ramionami.

– A dlaczego nie miałbym spędzić kilku miłych chwil z Lysandrą po tym, jak przez lata inwestowałem w jej karierę? A zresztą, co cię obchodzi to, co ja robię z moimi pieniędzmi? Z tego, co słyszałem, masz teraz Sama. Oboje jesteście wolni ode mnie.

Celaena nie zdziwiła się, że o wszystkim już wiedział. Oczywiście próbował też jej wmówić, że wszystko to jest jej winą. Ale dlaczego obsypywał ją podarunkami, a potem wrobił w intrygę? Dlaczego oszukał ją w sprawie Donevala, a później uświadomił jej popełniony błąd? Dlaczego uratował jej życie siedem lat temu, a teraz traktował w ten sposób?

Wydał jej pieniądze na noc z Lysandrą, dobrze wiedząc, że Celaena jej nienawidzi. Chciał ją upokorzyć. Kilka miesięcy temu z pewnością by mu się udało. Taka zdrada całkiem by ją zniszczyła. A teraz? Cóż, bolało, ale teraz, gdy Doneval, Philip i inni zostali już przez nią zgładzeni, dokumenty znalazły się w ręku Bardingale, a u jej boku wiernie stał Sam, złośliwy, podstępny cios Arobynna właściwie chybił.

– Oczekaj długą, bardzo długą chwilę, zanim zaczniesz mnie szukać – powiedziała. – Bo jeśli się pospieszysz, mogę cię zabić, Arobynn.

Król Zabójców machnął dłonią.

– Nie mogę się doczekać naszego starcia!

Celaena wyszła. W drzwiach o mały włos zderzyłaby się z trzema wysokimi mężczyznami wchodzącymi do środka. Spojrzeli na jej twarz i wymamrotali przeprosiny. Zignorowała zarówno ich, jak i mroczne spojrzenie Wesleya. Nie interesowały jej już sprawy Arobynna. Odzyskała własne życie.

Jej obcasy stuknęły na marmurowej posadzce, gdy zmierzała w stronę wyjścia. Naraz ktoś ziewnął głośno i Celaena ujrzała Lysandrę opartą o poręcz schodów. Miała na sobie koszulę nocną z białego jedwabiu, ledwie zakrywającą bardziej intymne części ciała.

– Już pewnie słyszałaś o wszystkim, ale na wszelki wypadek

powiem ci, że dano za mnie rekordową cenę – mruknęła powabnie kurtyzana i wygięła się, prezentując swe wdzięki. – Dziękuję ci za to. Możesz być pewna, że twoje złoto zostało bardzo dobrze spożytkowane.

Celaena zamarła i odwróciła się powoli. Lysandra uśmiechała się z pogardą.

Zabójczyni niespodziewanie wyciągnęła sztylet i cisnęła nim z całej siły. Ostrze przecięło powietrze i wbiło się w drewnianą balustradę o włos od twarzy Lysandry.

Kurtyzana zaczęła wrzeszczeć, ale Celaena po prostu odwróciła się i wyszła przez frontowe drzwi. Przemierzyła trawnik przed Twierdzą i szła, szła przed siebie, aż pochłonął ją zgiełk stolicy.

Celaena siedziała na skraju dachu i wpatrywała się w panoramę miasta. Konwój z Melisande już wyjechał, a wraz z nim zniknęły ostatnie deszczowe chmury. Niektórzy przybysze przywdziali czerń, by uczcić śmierć Donevala. Leighfer Bardingale przemierzyła główną ulicę miasta na roztańczonej Kasidzie. W przeciwieństwie do żałobników założyła szafranowożółte szaty i uśmiechała się szeroko. Oczywiście powodem było to, że król Adarlanu zgodził się przydzielić jej fundusze i środki na budowę drogi. Celaena zastanawiała się, czy nie udać się w ślad za nią i nie odpłacić jej za oszustwo. Mogłaby wówczas również odebrać Kasidę.

Postanowiła jednak, że tego nie zrobi. Została oszukana raz i tyle wystarczyło. Nie chciała zostać wplątana w tę zagmatwaną sieć. Arobynn dał jej przecież wyraźnie do zrozumienia, że nigdy nie wygra.

Chcąc odpędzić nieprzyjemne myśli, Celaena przez cały dzień wysyłała służących do Twierdzy, by odzyskać należące do niej ubrania, książki i biżuterię. Popołudniowe słońce zalewało świat złocistym światłem i wszystkie zielone dachy lśniły.

– Byłem pewien, że cię tu zastanę – rzekł Sam, idąc w stronę murku ciągnącego się wzdłuż krawędzi dachu. Spojrzał na panoramę i dodał: – Niezły widok. Nie dziwię się, że postanowiłaś się tu wprowadzić.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko i odwróciła głowę, by na niego spojrzeć. Sam stał za nią i delikatnie wsunął dłoń w jej włosy. Przechyliła głowę, ciesząc się jego dotykiem.

– Wiem o wszystkim. O Donevalu i Lysandrze – mruknął Sam. – Nigdy nie sądziłem, że upadnie tak nisko i wykorzysta forszę w ten sposób. Przykro mi.



– Ale ja z tego skorzystałam. – Dziewczyna znów wpatrywała się w panoramę. – Gdyby nie jego zachowanie, nigdy nie zdecydowałabym się na wyprowadzkę.

Sam pokiwał głową.

– Tylko że... Tylko że ja zostawiłem swój dobytek w twoim salonie. Nie masz nic przeciwko?

– Później znajdziemy miejsce na wszystko – odparła.

Sam zamilkł.

– A więc jesteśmy wolni – rzekł w końcu.

Celaena odwróciła się. Brązowe oczy Sama błyszczały.

– Słyszałem również, że spłaciłaś mój dług – wykrztusił. – Sprzedałaś swego rumaka...

– Nie miałam wyboru. – Dziewczyna wstała. – Nie mogłam cię pozostawić we władzy tego człowieka.

– Celaeno – wymówił jej imię, jakby to była pieszczota, otoczył ramieniem w talii, a potem dotknął czołem jej czoła. – Jak ci się za to odpłacę?

Dziewczyna zamknęła oczy.

– Nie musisz.

Sam musnął ustami jej usta.

– Kocham cię – szepnął. – I nie chcę, by od tej pory cokolwiek nas rozdzieliło. Udam się wszędzie tam, gdzie ty, nawet jeśli będę musiał zejść do piekła. Nigdy cię nie opuszczę. Przenigdy.

W odpowiedzi Celaena przytuliła się i pocałowała go namiętnie.

Za nimi zachodziło słońce, zamieniając stolicę w labirynt karmazynowego światła i cieni.



A dark silhouette of a woman with long, flowing hair, holding a sword. The background is a gradient of green and yellow, with a textured, torn-paper edge.

SARAH J. MAAS

ZABÓJCZYNI  
*i imperium*  
*Adarlamu*

SZKLANY TRON  
OPowieść

IV





Sarah J. Maas

# ZABÓJCZYNI I IMPERIUM ADARLANU

przełożył Marcin Mortka



## Później

Skulona w kącie więziennego furgonu Celaena Sardothien przyglądała się grze plamek światła na ścianie. Drzewa z żółknącymi i czerwieniejącymi liśćmi wydawały się spoglądać na nią przez zakratowane okienko.

Dziewczyna oparła głowę o zbutwiałą, drewnianą ścianę i wsłuchiwała się w poskrzypywanie osi, brzęk łańcuchów krępujących jej kostki i nadgarstki oraz pogawędki eskortujących ją od dwóch dni strażników przerywane od czasu do czasu wybuchem śmiechu.

Była świadoma tych odgłosów, ale słyszała je jak przez głuszącą wszystkie dźwięki zasłonę spowijającą niczym koc i tłumiącą wszelkie doznania. Wiedziała, że jest spragniona, głodna, a jej palce drętwieją z zimna, ale każde z tych wrażeń było dalekie i prawie do niej nie docierało.

Furgon podskoczył na koleinie tak gwałtownie, że Celaena uderzyła głową o ścianę. Nawet ból wydawał się odległy.

Plamki światła przypominały płatki padającego śniegu.

Lub drobinki popiołu.

Popiołu pozostałego po spalonym świecie, którego ruiny otaczały ją dookoła. Celaena czuła posmak martwego świata na spękanych ustach i odrętwiałym języku.

Lubiła tę ciszę. Dzięki niej nie słyszała pytania najgorszego ze wszystkich – czy sama na siebie ściągnęła ten los?

Furgon przejeżdżał teraz pod drzewami o wyjątkowo gęstych koronach, które całkiem przesłoniły światło. Na chwilę krótką jak myśl cisza rozstąpiła się, a wtedy owo pytanie wślizgnęło się do jej głowy, wniknęło w jej skórę, oddech i kości.

W ciemności wszystko sobie przypomniwała.

# Rozdział pierwszy

## Jedenaście dni wcześniej

Celaena Sardothien czekała na tę noc od roku. Siedziała na drewnianym pomoście ciągnącym się wzdłuż ściany połączonych kopuł Teatru Królewskiego i chłoneła muzykę graną przez orkiestrę rozmieszczoną daleko poniżej. Machając nogami w powietrzu, oparła podbródek o ramiona ułożone na balustradzie.

Muzycy na scenie siedzieli w półkrygu. Wypełniali teatr dźwiękami tak wspaniałymi, że Celaena zapominała o oddychaniu. Przez ostatnie cztery lata słuchała tej symfonii czterokrotnie, ale zawsze przychodziła do teatru w towarzystwie Arobynna. Był to ich coroczny jesienny rytuał.

Wiedziała, że nie powinna tego robić, ale przyjrzała się prywatnej łoży, w której zasiadała jeszcze miesiąc temu.

Arobynn Hamel zaprosił tam Lysandrę. Czyżby zrobił to z czystej złościwości? Doskonale wiedział, że ta noc jest dla Celaeny niezmiernie ważna. Pamiętał, że każdego roku nie mogła się wprost jej doczekać. Choć Celaena nie chciała przyjść do teatru z nim – ba, nie chciała już mieć z nim nic wspólnego! – Arobynn zabrał na przedstawienie Lysandrę, zupełnie jakby ta noc nie miała dla niego żadnego znaczenia.

Nawet z tej wysokości widziała Króla Zabójców trzymającego młodą kurtyzanę za rękę. Jego noga opierała się o jej różową suknię. Minał miesiąc, odkąd wygrał na aukcji dziewictwo Lysandry, a wyglądało na to, że miał ją na wyłączność. Niewykluczone, iż był to wynik umowy zawartej z jej szefową – mógł zatrzymać Lysandrę, póki się nią nie znudzi.

Celaena nie wiedziała, czy należy Lysandrze współczuć, czy nie.

Na powrót zwróciła uwagę na scenę. Nie miała pojęcia, dlaczego tu przyszła. Nie wiedziała, dlaczego powiedziała Samowi, iż ma „plany” i nie może się z nim spotkać na obiedzie w ich ulubionej knajpce.

Przez ostatni miesiąc nie widziała się z Arobynnem i nie miała

nawet na to ochoty, ale to była jej ulubiona symfonia, muzyka tak wspaniała, że nauczyła się grać znaczną jej część na pianinie, by móc łatwiej znieść czas oczekiwania na kolejny występ.

Trzeci akt dobiegł końca i rozległy się ogłuszające brawa. Muzycy czekali, aż owacje ucichną, by rozpocząć radosne allegro prowadzące do finału.

Korzyścią płynącą z tego, że oglądała występ z tak wysoka, było to, iż nie musiała martwić się o strój i udawać, że dobrze się czuje w skrzącym klejnotami tłumie. Bez trudu wślizgnęła się przez okno dachowe i nikt ani razu nie uniósł głowy ku odzianej na czarno postaci niemalże zasłoniętej przez kryształowe kandelabry.

Tu mogła robić to, na co miała ochotę. Mogła oprzeć podbródek na ramieniu, machać nogami do rytmu albo nawet zerwać się i zatańczyć, jeśli taki był jej kaprys. I co z tego, że nie siedzi już w ulubionej łoży z fotelami obitymi czerwonym miękkim aksamitem i wypolerowanymi drewnianymi balustradami?

Muzyka wypełniała teatr i każda kolejna nuta wydawała się cudowniejsza od poprzedniej.

Opuszczenie Arobynna było jej wyborem. Spłaciła zarówno dług swój, jak i Sama, a następnie się wyniosła. Porzuciła życie protegowanej Arobynna Hamela. Był to jej świadomy wybór i nie żałowała go. Została przecież tak okrutnie przez niego zdradzona! Upokorzył ją i okłamał, a za pieniądze, które zarobiła, przelewając krew, kupił sobie prawo do rozprawienia Lysandry.

Nadal uważała się za Zabójczynię Adarlanu, ale zastanawiała się, jak długo Arobynn pozwoli jej zachować ów tytuł. Zapewne wkrótce wybierze kogoś innego na jej miejsce, choć tak naprawdę nikt nie był w stanie jej zastąpić. Bez względu na to, czy należała do Arobynna, czy też nie, była najlepsza i zawsze miała taka pozostać.

Nieprawdaz?

Zamrugła, uświadomiwszy sobie, że z jakichś powodów przestała już słyszeć muzykę. Wiedziała, że powinna zmienić miejsce i usiąść tam, gdzie kandelabry zasłonią Arobynna i Lysandrę. Podniosła się z siedzeniem obolałym od twardego drewna. Zrobiła krok – deska ugięła się pod jej czarnym butem – ale się zatrzymała. Muzyka była odgrywana perfekcyjnie co do nuty, ale mimo to Celaena odniosła wrażenie, że panuje w niej chaos. Choć potrafiłaby zagrać ją z



pamięci, niespodziewanie wydawało jej się, że nigdy wcześniej jej nie słyszała. A może jej wewnętrzne poczucie rytmu uległo zaburzeniu?

Spojrzała ponownie na dobrze znaną sobie lożę. Arobynn z wdziękiem unosił ramię i otoczył nim oparcie krzesła Lysandry. To kiedyś było jej miejsce, znajdowało się ono najbliżej sceny.

Mimo to nie żałowała. Była wolna, podobnie jak Sam, a Arobynn... Zrobił wszystko, co mógł, by ją zranić i złamać. Celaena wyrzekła się jedynie paru luksusów, co stanowiło niewysoką cenę za życie z dala od kontrolującego ją władcy.

Muzyka nabierała tempa. Zbliżała się do punktu kulminacyjnego i Celaena uświadomiła sobie, że idzie przez wir dźwięków nie ku innemu miejscu, lecz w stronę niewielkich drzwi prowadzących na dach. Muzyka grzmiała, każdy dźwięk atakował jej skórę niczym podmuch powietrza. Dziewczyna narzuciła kaptur i wyslizgnęła się prosto w noc.

Dochodziła jedenasta, gdy otworzyła kluczem drzwi swego mieszkania i wciągnęła w płuca zapachy, do których już się przyzwyczaiła. Przez ostatni miesiąc była zajęta urządzaniem nowego domu, przestronnego mieszkania ukrytego nad magazynem w ubogiej dzielnicy. Dzieliła je z Samem, który od dłuższego czasu próbował dokładać się do kosztów utrzymania, lecz dziewczyna ignorowała jego wysiłki. Nie dość, że nie potrzebowała jego pieniędzy, to jeszcze po raz pierwszy w życiu miała coś, co od początku do końca należało do niej. Bardzo zależało jej na Samie, ale ta kwestia była dla niej ważna.

Wślizgnęła się do środka i rozejrzała po salonie. Po lewej stał stół jadalny z błyszczącego dębu otoczony ośmioma obitymi krzesłami, a po prawej wielka czerwona kanapa, dwa fotele i niska ława. Ogień w kominku wygasł.

To zdradziło jej wszystko. Sama nie było w domu.

Celaena mogłaby udać się do przyległej kuchni i tam zjeść resztę wiśniowej tarty, która pozostała z lunchu Sama. Mogłaby zrzucić buty i ułożyć się przed wysokimi oknami, by podziwiać oszałamiającą panoramę stolicy. Mogłaby zrobić tysiące rzeczy, gdyby nie ujrzała niewielkiej kartki leżącej na stoliku obok drzwi wejściowych. Rozpoznała pismo Sama.

„Musiałem wyjść. Nie czekaj”.

Celaena zgmiotła kartkę w rękę. Doskonale wiedziała, dokąd się

udał i dlaczego nie chciał, by na niego czekała.

Pogrążona we śnie nie ujrzałaby bowiem krwi i siniaków, gdy Sam wtoczyłby się do środka.

Zakłęła wściekle i rzuciła kartkę na ziemię, a potem wyszła z mieszkania, zatraskując drzwi za sobą.

W Rifthold istniało tylko jedno miejsce, w którym zawsze można było spotkać największe męty miasta. Zwano je Kryptami.

Na stosunkowo spokojnej ulicy w slumsach Celaena rzuciła kilka monet oprychom stojącym przed żelaznymi drzwiami i weszła do środka przybytku. Zalała ją fala smrodu i gorąca, ale mimo to Celaena przemierzała kolejne podziemne sale z maską chłodnego spokoju na twarzy. Wystarczyło jedno spojrzenie na tłum zgromadzony wokół głównej areny i od razu wiedziała, kto wywołuje taki entuzjazm.

Schodziła pewnym krokiem po kamiennych stopniach przygotowana na to, by w każdej chwili sięgnąć po miecz bądź sztylety zatknięte za pasem wokół bioder. Wielu ludzi zabrałoby tu jeszcze więcej broni, ale Celaena знаła to miejsce i wiedziała, czego się spodziewać po typowej klienteli. Potrafiła się o siebie zatroszczyć, ale mimo to założyła kaptur rzucający cień na jej twarz. W miejscu takim jak to młoda kobieta musiała na siebie uważać, tym bardziej że wielu mężczyzn przychodziło tu właśnie dla płci przeciwnej.

Dotarła na sam dół wąskich schodów, a tam z całą mocą uderzył w nią smród niemytych ciał, stęchłego piwa i jeszcze gorszych rzeczy. Wystarczyło, by zrobiło się jej niedobrze i by ucieszyła się, że niczego ostatnio nie jadła.

Przecisnęła się między ludźmi zgromadzonymi wokół głównej areny, usiłując nie patrzeć na znajdujące się po obu stronach pokoje pełne kobiet i dziewcząt, którym w życiu się nie poszczęściło i nie zostały sprzedane do luksusowych burdeli tak jak Lysandra. Czasami w chwilach skrajnego przygnębienia Celaena zastanawiała się, czy i jej nie przypadłby w udziale ten los, gdyby nie przygarnął jej Arobynn. Ciekawiło ją, czy ujrzałaby siebie, gdyby spojrzała którejs z prostytutek w oczy.

Przepchnęła się na skraj areny umieszczonej we wgłębieniu gotowa błyskawicznie zareagować, gdyby ktoś sięgnął po jej sakiewkę bądź któreś ze wspianiałych ostrzy. Oparła się o drewnianą balustradę i spojrzała w dół.

Sam poruszał się tak szybko, że olbrzym, z którym walczył, nie miał najmniejszych szans. Chłopak unikał morderczych ciosów z wdziękiem częściowo wrodzonym, a częściowo wyuczonym w trakcie wielu lat treningów w Twierdzy Zabójców. Obaj walczący nie mieli koszul i pierś Sama błyszczała od potu i krwi. Celaena natychmiast zauważyła, że nie była to jego krew – jedynymi obrażeniami, jakie odniósł, była rozcięta warga i siniak na policzku.

Przeciwnik znów rzucił się do ataku, próbując ściągnąć Sama na wysypaną piaskiem podłogę, ale ten zawirował, uskoczył olbrzymowi z drogi i uderzył go piętą w plecy. Mężczyzna upadł z taką siłą, że brudna, kamienna podłoga aż zadrżała. Tłum wiwatował.

Sam mógłby pozbawić go przytomności w ułamku sekundy. Mógłby złamać mu kark lub zakończyć walkę na setki sposobów, ale półdziki błysk satysfakcji, który Celaena ujrzała w jego oczach, zdradzał, że bawił się z przeciwnikiem. Przypuszczalnie pozwolił mu, by uderzył go raz czy drugi w twarz, aby starcie wydawało się bardziej realne i wyrównane.

Walka w Kryptach nie sprowadzała się jednakże do wyeliminowania przeciwnika – trzeba było zamienić ją w przedstawienie. Widzowie naokoło szaleli z radości, co oznaczało, że Sam spełnił pokładane w nim nadzieje. Krew, którą był zbryzgany, świadczyła zaś o tym, że mężczyzna leżący na piasku nie był jego pierwszym przeciwnikiem.

Celaena warknęła głucho. W Kryptach obowiązywała tylko jedna zasada – nie wolno stosować broni podczas walki. Niemniej jednak pięścią również można było nieźle oberwać.

Olbrzym dźwignął się na nogi, ale Sam miał już dość czekania. Jego przeciwnik nie zdążył nawet unieść ramion. Sam wykonał półobrót i kopnął go w twarz z taką siłą, że Celaena usłyszała uderzenie mimo wycia tłumów. Człowiek zatoczył się, bryzgając krwią, a Sam grzmotnął go pięścią w brzuch. Uderzony pochylił się, ale wtedy został trafiony kolaniem w nos. Jego głowa odskoczyła do góry. Zatoczył się do tyłu.

Widzowie wrzeszczeli dziko, gdy pięść Sama pokryta krwią i piaskiem grzmotnęła przeciwnika w odsłoniętą twarz. Celaena wiedziała, że to koniec walki.

Olbrzym osunął się na piasek i znieruchomiał.

Zdyszany Sam uniósł zakrwawione ramiona ku publiczności.

Ludzie wrzeszczeli tak głośno, że Celaena bała się o bębunki w uszach. Zacisnęła zęby, gdy sędzia wkroczył na piasek i ogłosił Sama zwycięzcą.

To nie była uczciwa walka. Nie było człowieka, który mógłby pokonać Sama. Dziewczyna miała ochotę zeskoczyć na dół i sama rzucić mu wyzwanie. Ech, to byłaby walka, o której w Kryptach długo by mówiono.

Zacisnęła dłoń na własnym ramieniu. Od chwili rozstania z Arobynnem nie otrzymała żadnego zlecenia i choć ćwiczyli z Samem ze wszystkich sił... Ech, ochota, by zeskoczyć na dół, była nie do opanowania. Na jej twarzy pojawił się zły uśmiech.

Wtedy dostrzegł ją Sam nadal napawający się chwilą tryumfu. Nie przestawał się uśmiechać, choć w jego brązowych oczach pojawił się błysk niezadowolenia.

Wskazała głową wyjście. Ten zdawkowy gest powiedział mu wszystko. Zrozumiał, że ma odebrać wygraną i spotkać się z nią na ulicy, chyba że chce, by sama wskoczyła na arenę.

Wtedy zaczęłyby się prawdziwa walka.

– Nic nie mówisz – rzekł Sam, gdy szli bocznymi uliczkami w stronę domu. – Mam się tym cieszyć czy martwić?

Celaena przestąpiła kałużę deszczówki lub moczu.

– Zastanawiam się, jak się z tobą rozmówić, by przy tym nie wrzeszczeć.

Sam parsknął i dziewczyna zacisnęła zęby. U jego boku pobrzękiwała sakiewka. Choć założył kaptur, nadal widziała jego rozciętą wargę. Zacisnęła dłonie.

– Obiecałeś, że już tam nie wrócisz.

Sam wpatrywał się w wąską uliczkę przed nimi. Nigdy nie tracił czujności. Zawsze szukał śladów zagrożeń.

– Niczego nie obiecywałem. Powiedziałem tylko, że o tym pomyślę.

– Ludzie tam giną! – wypaliła głośniejszym głosem, niż zamierzała. Jej słowa odbiły się echem od ścian domów.

– Gina, bo są głupcami szukającymi chwały, a nie wyszkolonymi zabójcami.

– Ale wciąż dochodzi do wypadków. Każdy z tych ludzi mógłby przemycić nóż.

Sam parsknął ochryplym śmiechem pełnym typowej dla mężczyzny arogancji.

– Tak nisko oceniasz moje umiejętności?

Skęcili w kolejną uliczkę i minęli słabo oświetloną tawernę, przed którą kilkoro ludzi paliło fajki. Celaena odczekała, aż znajdą się wystarczająco daleko, a potem odezwała się:

– Nie ma sensu narażać życia dla kilku monet.

– Przydadzą się każde pieniądze – rzekł cicho Sam.

– Mamy pieniądze.

To prawda, mieli ich jeszcze trochę, choć z każdym dniem coraz mniej.

– Kiedyś się skończą, tym bardziej że możemy nie dostać żadnych zleceń, a twój styl życia nie sprzyja oszczędzaniu.

– Mój? – syknęła, ale w głębi duszy wiedziała, że Sam ma rację.

Kochała luksus, piękne stroje, pyszne jedzenie i wspaniałe meble. Zbytki, którymi otaczała się w Twierdzy Zabójców, uznawała za coś oczywistego. Być może Arobynn zapisywał wszystkie wydatki, na które go narażała, ale nigdy nie kazał jej zwracać pieniędzy za jedzenie, służbę czy korzystanie z powozów. Teraz była skazana na siebie i wszystko się zmieniło.

– Walki w Kryptach są łatwe – ciągnął Sam. – W ciągu dwóch godzin mogę zarobić sporo forsy.

– Krypty to kupa cuchnącego gówna! – parsknęła Celaena. – Stać nas na o wiele więcej! Możemy zarobić pieniądze gdzie indziej!

Nie wiedziała, gdzie ani też jak, ale na pewno istniało coś lepszego od walk w Kryptach.

Sam zatrzymał się i złapał ją za ramię.

– A może wyjedźmy z Rifthold?

Kaptur przesłaniał jej twarz, ale mimo to uniosła brwi ze zdumienia.

– Co nas tu trzyma?

Nic. Wszystko.

Nie wiedząc, jak odpowiedzieć, Celaena strząsnęła jego ramię i ruszyła przed siebie.

Co za idiotyczny pomysł, doprawdy. Opuścić Rifthold? I dokąd mieliby niby się udać? Bzdura.

Doszli do magazynu i szybko wspięli się po rozklekotanych

schodach na drugie piętro. Celaena bez słowa zrzuciła płaszcz oraz buty, zapaliła kilka świec i udała się do kuchni, by zjeść kawałek chleba posmarowany masłem. Nie powiedziała też nic, gdy Sam wszedł do pokoju kąpielowego i się umył. Bieżąca woda była luksusem, który kosztował poprzedniego właściciela fortunę, a dla Celaeny udogodnienie to było najważniejsze przy wyborze mieszkania. Takie wygody powszechne w stolicy rzadko spotykało się poza jej granicami. Bez czego jeszcze musiałyby się obejść, gdyby opuścili Rifthold?

Wciąż się nad tym zastanawiała, gdy Sam wszedł do kuchni. Zmył z siebie wszelkie ślady krwi i piasku. Dolną wargę miał wciąż spuchniętą, na policzku widniał siniak, a jego kłykcie były odarte ze skóry, ale prócz tego był cały i zdrow.

Opadł na jedno z krzeseł przy niewielkim stole kuchennym i ukroił sobie pajdę.

Kupowanie jedzenia zabierało Celaenie więcej czasu, niż jej się wydawało, i zastanawiała się już nad wynajęciem służącego, ale... Ale to wiązało się z kolejnymi kosztami. Wszystko kosztowało.

Sam ugryzł kawałek, nalał sobie szklankę wody z dzbanka stojącego na dębowym stole i rozparł się na krześle. Siedział tyłem do okna nad zlewem, przez które widać było migotliwe światła stolicy i górujący nad nią szklany zamek.

– Odezdziesz się jeszcze kiedyś do mnie?

Celaena obrzuciła go wrogim spojrzeniem.

– Przeprowadzki są kosztowne. Gdybyśmy mieli wyprowadzić się z Rifthold, potrzebowalibyśmy więcej pieniędzy, by móc żyć z czegoś, jeśli nie dostaniemy od razu zleceń. – Celaena się zastanowiła. – Każde z nas musiałyby wykonać jedno zadanie – powiedziała. – Nie jestem już protegowaną Arobynna, ale nadal mam tytuł Zabójczyni Adarlanu, a ty... Cóż, ty to ty.

Sam spojrział na nią ponuro, a Celaena uśmiechnęła się szeroko wbrew sobie.

– Po jednej robocie – powtórzyła. – I możemy się stąd wynosić. Może gdzie indziej byłoby taniej i udałoby nam się żyć bezpieczniej.

– Istnieje jeszcze jedno rozwiązanie. Możemy po prostu powiedzieć: „Niech to wszystko szlag trafi” i wyjechać.

– Nie chcę zrezygnować ze wszystkiego, co mam, i żyć potem w

nędzy. Jeśli mamy opuścić Rifthold, zrobimy to po mojemu.

Sam skrzyżował ramiona na swojej szerokiej piersi.

– Ciągłe powtarzasz: „jeśli”. A jaką mamy opcję?

Żadnej. Wszystkie.

Dziewczyna nabrała tchu.

– W jaki sposób mamy wyrobić sobie reputację w nowym mieście bez wsparcia Arobynna?

Oczy Sama błysnęły tryumfem. Dziewczyna opanowała irytację. Nie powiedziała wprost, iż ma zamiar się wynieść z Rifthold, ale to pytanie było najlepszym potwierdzeniem.

Nim Sam zdołał cokolwiek powiedzieć, Celaena dodała:

– Dorastaliśmy w Rifthold, a mimo to przez ostatni miesiąc nie udało nam się znaleźć żadnej roboty. To Arobynn zawsze zajmował się tymi sprawami.

– Celowo nikogo do tego nie dopuszczał – warknął Sam. – Myślę, że damy sobie z tym radę. Nie będziemy potrzebować jego pomocy. Przeprowadzka oznacza również opuszczenie Gildii. Nie mam zamiaru płacić im należności do końca życia. Nie mam też zamiaru mieć nic wspólnego z tym draniem.

– Ale przecież wiesz, że potrzebujemy jego błogosławieństwa. Musimy jakoś się... Jakoś się dogadać. Musimy go przekonać, by pozwolił nam bez przeszkód opuścić Gildię.

Słowa te z trudem przeszły jej przez gardło, ale zdołała je wyartykułować.

Sam poderwał się z krzesła.

– Czy mam ci przypomnieć, co nam zrobił? Co tobie zrobił? Sama dobrze wiesz, że nie możemy znaleźć żadnej roboty właśnie z powodu Arobynna. To on rozpuścił wieść o tym, że nie wolno wchodzić z nami w układy.

– To prawda. A będzie jeszcze gorzej. Gildia Zabójców ukarze nas za to, że ją opuściliśmy i zaczęliśmy działać gdzie indziej bez zgody Arobynna.

Miał rację. Póki spłacali długi Arobynnowi, nadal należeli do Gildii i byli zobowiązani płacić jej co roku należności. Każdy zabójca w Gildii odpowiadał przed Arobynnem i był mu posłuszny. Celaena i Sam przynajmniej raz zostali wysłani, by odnaleźć członków Gildii, którzy zaczęli pracować na własny rachunek, odmówili płacenia należności

bądź złamali którąś ze świętych zasad. Wszyscy próbowali się ukryć, ale ich odnalezienie było jedynie kwestią czasu, a konsekwencje nie należały do przyjemnych.

Celaena i Sam dostarczyli Arobynnowi i Gildii mnóstwo pieniędzy i przyczynili się do utrwalenia jej ponurej reputacji, przez co ich decyzje i rozwój kariery były ściśle nadzorowane. Byli dla Gildii ważni. Pomimo spłacenia długów wciąż potrzebowali oficjalnej zgody na opuszczenie jej szeregów. Jeśli dopisze im szczęście, będą musieli tylko uiścić odpowiednią opłatę. Jeśli nie, cóż... Była to bardzo niebezpieczna prośba.

– Jeśli więc nie chcesz, żeby cię znaleziono gdzieś z podejrzanym gardłem – dokończyła dziewczyna – musimy zdobyć zgodę Arobynna. Skoro kieruje tobą taki pośpiech, spotkamy się z nim jutro.

Sam zacisnął usta.

– Nie będę się przed nim płaszczyl.

– Ja też nie.

Celaena podeszła do zlewu i oparła się o niego obiema rękami, patrząc przez okno. Rifthold. Czy naprawdę jest w stanie zostawić to miasto za sobą? Bywało, że go nienawidziła, ale... Ale to było jej miasto. Miała je opuścić i zacząć wszystko na nowo gdzie indziej... Czy była na to gotowa?

Usłyszała za sobą kroki na drewnianej podłodze. Ciepły oddech musnął jej szyję, a jej talię otoczyły ramiona Sama. Oparł podbródek między jej szyją i ramieniem. Oboje spoglądali na miasto.

– Ja po prostu chcę być z tobą – szepnęła. – Mniejsza o to, dokąd się udamy. Chcę tylko tego jednego.

Dziewczyna zamknęła oczy i przechyliła głowę do tyłu, opierając się o niego. Pachniał lawendowym mydłem – jej własnym, niezmiernie drogim mydłem lawendowym. Przecież prosiła, by nigdy więcej go nie używał. Przypuszczalnie nie miał pojęcia, o które mydło wówczas jej chodziło. Musiała chyba zacząć chować swe ulubione kosmetyki i zostawiać dla niego coś niedrogię. Z pewnością nie zauważy różnicy.

– Przepraszam, że poszedłem do Krypt – wyszeptał i pocałował ją za uchem.

Po jej karku przebiegł dreszcz. Choć od miesiąca dzielili sypialnię, nie przekroczyli jeszcze ostatniej granicy intymności. Chciała tego, a on z całą pewnością również o tym marzył, ale tyle rzeczy ostatnio się



zmieniło... Coś tak ważnego dla nich obojga mogło jeszcze trochę poczekać, co bynajmniej nie przeszkadzało im w cieszeniu się własną bliskością.

Sam pocałował ją w ucho i lekko ugryzł płatek uszny. Serce Celaeny zabiło szybciej.

– Nawet nie myśl, że pocałunkiem skłonisz mnie, bym przyjęła twe przeprosiny – mruknęła, przechylając głowę, by ułatwić mu dostęp.

Zachichotał, a jego oddech znów omiół jej szyję.

– Warto było spróbować.

– Jeśli raz jeszcze pójdziesz do Krypt, sama wskoczę na arenę i stłukę cię do nieprzytomności – powiedziała.

Sam nadal lekko przygryzał jej ucho, ale wyczuła jego uśmiech.

– Proszę bardzo.

Ugryzł ją, nie boleśnie, ale na tyle mocno, by wiedziała, że już jej nie słucha. Celaena odwróciła się w jego ramionach i zmierzyła go groźnym spojrzeniem. Jego piękną twarz opromieniała poświata nad miastem, a oczy nigdy nie wydawały się ciemniejsze.

– I znów korzystałeś z mojego mydła. Jeśli zrobisz to raz jeszcze...

Wtedy usta Sama odnalazły jej wargi. Celaena zamilkła na dłuższą chwilę. Trwali spleceni w uścisku, ale nad ich głowami wisiało pytanie bez odpowiedzi, którego żadne z nich nie odważyło się wypowiedzieć na głos.

Czy Arobynn Hamel pozwoli im odejść?

## Rozdział drugi

Gdy Celaena i Sam weszli do Twierdzy Zabójców następnego dnia rano, odnieśli wrażenie, że nic się nie zmieniło. Przy drzwiach przywitał ich ten sam drżący służący, który zaraz umknął, a przed gabinetem Arobynna jak zwykle stał jego przyboczny Wesley.

Oboje podeszli bliżej. Celaena wykorzystywała każdą sekundę, by przyglądać się szczegółom. Wesley miał dwa ostrza przytroczone do pleców, kolejne u boku, a do tego dwa sztylety przy pasie. Coś połyskiwało przy bucie, co przypuszczalnie zdradzało obecność kolejnego noża. Spojrzenie Wesleya było uważne i czujne. Nie było w nim wyczerpania ani choroby, co mogłaby wykorzystać jako swą przewagę, gdyby doszło do walki.

Sam jednakże po prostu podszedł do ochroniarza i wyciągnął dłoń.

– Miło cię widzieć, Wesley – rzekł, choć przez całą drogę do Twierdzy nie powiedział ani słowa.

Wesley uścisnął jego dłoń i uśmiechnął się lekko.

– Powiedziałbym, że nieźle wyglądasz, ale ten siniak mówi swoje – oznajmił i spojrzał na Celaenę.

Ta uniosła podbródek i zachnęła się.

– Ty zaś wyglądasz mniej więcej tak samo – powiedział.

W jego oczach błysnęło wyzwanie. Nigdy za nią nie przepadał i nigdy nawet nie starał się być dla niej miły, zupełnie jakby przewidywał, że Celaena i Arobynn kiedyś znajdą się po przeciwnych stronach, a on, Wesley, stanie się pierwszą linią obrony.

Dziewczyna minęła go.

– A ty wciąż wyglądasz jak osioł – powiedziała słodko i otworzyła drzwi do gabinetu.

Sam burknął jakieś przeprosiny, ale Celaena była już w środku. Arobynn na nich czekał.

Król Zabójców siedział ze splecionymi dłońmi i się uśmiechał. Wesley zamknął drzwi za Samem, a wtedy oboje usiedli na krzesłach przed ogromnym biurkiem.

Ściągnięta twarz Sama zdradziła jej, że on również wspominał

chwilę, kiedy oboje znaleźli się tu w środku. Tej nocy Arobynn pobił ich oboje do nieprzytomności. Tej nocy Sam ostatecznie odrzucił lojalność wobec Króla i zagroził mu, że zabije go za krzywdę, jaką wyrządził Celaenie. To tej nocy wszystko się zmieniło.

Arobynn uśmiechnął się szerzej. Był to wyćwiczony, elegancki odruch, który udawał życzliwość.

– Ogromnie się cieszę, że oboje dobrze się miewacie – rzekł. – Ale czy ja chcę wiedzieć, co was sprowadza do domu?

Do domu? To nie był już jej dom i Arobynn zdawał sobie z tego sprawę. To słowo stało się kolejną bronią.

Sam najeżył się, ale Celaena wychyliła się do przodu. Uzgodnili, że to ona będzie mówić, gdyż Sam łatwo tracił panowanie nad sobą w towarzystwie Arobynna.

– Mamy dla ciebie propozycję – rzekła, zachowując absolutny spokój.

Pamiętała wszystkie zdrady Arobynna i niedobrze jej się robiło, gdy musiała stawać twarzą w twarz z tym człowiekiem. Gdy wyszła z jego gabinetu miesiąc temu, poprzysięgła, że zabije go, gdy raz jeszcze jej się narzuci. A Arobynn, co ciekawe, przez ostatni miesiąc nawet nie próbował się zbliżyć.

– Doprawdy? – Król rozparł się na krześle.

– Wyjeżdżamy z Rifthold – rzekła ze spokojem. – Chcielibyśmy również opuścić Gildię. Chętnie założylibyśmy własny interes w jakimś innym mieście na kontynencie, oczywiście o wiele skromniejszy od Gildii. Mamy na myśli prywatny interes tylko dla nas dwojga, byśmy mogli związać koniec z końcem.

Potrzebowała jego zgody, ale nie miała zamiaru się płaszczyć.

Arobynn przeniósł wzrok na Sama. Zmrużył nieco srebrne oczy, gdy ujrzał jego rozciętą wargę.

– Kłótnia między kochankami?

– Nieporozumienie – odparła Celaena, wyprzedzając ripostę Sama.

Arobynn oczywiście nie miał zamiaru natychmiast udzielić odpowiedzi. Sam zacisnął dłonie na drewnianej poręczy.

– Aha – odparł Arobynn, nadal uśmiechnięty, wciąż elegancki i śmiertelnie niebezpieczny. – A gdzie teraz mieszkacie? Mam nadzieję, że to miłe miejsce. Nie chciałbym, by moi najlepsi zabójcy żyli w nędzy.

A więc najpierw zmusi ich do gry w wymianę uprzejmości, a potem łaskawie zadecyduje, czy chce odpowiedzieć na ich pytanie.

Sam zeszywniał. Celaena czuła, że z trudem poskromił wściekłość w chwili, gdy Arobynn nazwał ich swoimi zabójcami. Znów po mistrzowsku wbił im szpilę. Dziewczyna stłumiła własną złość.

– Dobrze się trzymasz, Arobynn – powiedziała.

Skoro nie chciał odpowiedzieć na ich pytanie, ona nie miała zamiaru odpowiadać na jego, tym bardziej że dotyczyło miejsca ich zamieszkania.

Król Zabójców machnął ręką i rozparł się w fotelu.

– Twierdza wydaje się bez was pusta.

Powiedział to z ogromnym przekonaniem, jakby oboje z Samem opuścili Twierdzę tylko po to, by zrobić mu na złość. Przez moment zastanawiała się nawet, czy wyrzekł te słowa na serio. Być może zapomniał, co jej zrobił i jak potraktował Sama.

– A teraz mówisz, że chcecie się wyprowadzić ze stolicy i opuścić Gildię...

Twarz Arobynna była nieprzenikniona. Celaena oddychała rytmicznie i panowała nad emocjami. Znów nie odpowiedział.

Naraz uniosła wyżej podbródek.

– A więc Gildia zgodzi się, byśmy wyjechali?

Każde słowo wydawało się tańczyć na ostrzu noża. Oczy Króla zamigotały.

– Wolno się wam wyprowadzić.

Wyprowadzić. Ani słowa o opuszczeniu Gildii. Celaena otworzyła usta, by zażądać doprecyzowania, ale nagle przerwał jej Sam:

– Odpowiedz nam, do cholery! – warknął poblady z gniewu, odsłaniając zęby.

Arobynn spojrział na niego z tak zabójczym uśmiechem, iż Celaena z trudem powstrzymała chęć sięgnięcia po sztylet.

– Właśnie to uczyniłem. Możecie zrobić, co wam się żywnie podoba.

Tylko sekundy dzieliły ich od prawdziwej eksplozji furii Sama. Celaena wiedziała, że gdy rzuci się na Arobynna, wszystko przepadnie. Król uśmiechnął się szerzej, a Sam opuścił dłonie. Jego palce znalazły się niebezpiecznie blisko rękojeści miecza i sztyletów.

„Jasna cholera”.

– Możemy zaoferować pewną sumę za wystąpienie z Gildii –

wtrącała dziewczyna, gotowa zrobić wszystko, by tylko uniknąć bijatyki.

Na bogów, miała wielką ochotę na walkę, ale nie taką! Nie z Arobynnem! Na szczęście zarówno on, jak i Sam odwrócili się ku niej, gdy wymieniła kwotę. – Tyle możemy dać za zgodę na opuszczenie Gildii i rozpoczęcie działalności gdzie indziej.

Arobynn spoglądał na nią przez moment, który rozciągnął się w wieczność, a potem przedstawił własną propozycję.

– Oszalałeś? – Sam zerwał się na równe nogi.

Celaena była na to zbyt wstrząśnięta. Tyle pieniędzy... Arobynn z pewnością dowiedział się, jaką kwotę miała w banku. Gdyby bowiem zapłaciła wymienioną przez niego sumę, jej oszczędności stopniałyby do zera. Byliby wówczas skazani na mizerne zarobki Sama oraz na kwotę za mieszkanie, którego sprzedaż zresztą mogłaby być bardzo trudna z powodu nietypowego położenia.

Zaproponowała inną, niższą sumę, ale Arobynn pokręcił głową i wbił spojrzenie w Sama.

– Jesteście moimi najlepszymi ludźmi – rzekł ze spokojem, który doprowadzał do szału. – Jeśli odejdziecie, Gildia utraci źródło zysku oraz ucierpi jej reputacja. Muszę wziąć to pod uwagę. Przedstawiam wam hojną ofertę.

– Hojną! – syknął Sam.

Celaena z trudem panowała nad sobą, ale mimo to uniosła podbródek. Mogła wymieniać niższe kwoty do woli, ale nie miała wątpliwości, że Arobynn wybrał tę sumę celowo i na pewno się nie ugnie. Jego propozycja była ostatnim policzkiem wymierzonym w twarz, ostatnim obróceniem noża w ranie. Chciał ją ukarać, i tyle.

– Zgadzam się – powiedziała i uśmiechnęła się blado. Sam gwałtownie obrócił ku niej głowę, ale dziewczyna nie spuszczała oczu z wypiełgnowanej twarzy Arobynna. – Zlecę natychmiastowy przelew, a potem wyjeżdżamy. Rozumiem, że ani ty, ani Gildia nie będziecie mi się już naprzykrzać, tak?

Wstała z przeświadczeniem, że musi się stąd wynieść. Powrót do Twierdzy był wielkim błędem, ale nie chciała, by Arobynn wiedział, że wygrał kolejną rundę. Wepchnęła dłonie do kieszeni, by nie widział, że zaczęły drżeć.

Król się uśmiechnął. Dziewczyna zdała sobie sprawę z tego, że on

już o tym wie.

– Zgoda.

– Nie masz prawa zgadzać się na jego propozycję! – krzyczał Sam. Był tak wściekły, że ludzie na ulicy uskakiwali mu z drogi. – Nie masz prawa! Nie spytałaś mnie o zdanie! Nawet się nie targowałaś!

Celaena spoglądała w witryny mijanych sklepów. Lubiła dzielnicę handlową Rifthold, kochała czyste chodniki z rzędami drzew i główną ulicę prowadzącą do marmurowych schodów Teatru Królewskiego. Mogła tu znaleźć dosłownie wszystko, od butów, przez perfumy i biżuterię, po wspaniałą broń.

– Jeśli zapłacimy mu pełną kwotę, będziemy musieli znaleźć jakieś zlecenie przed wyjazdem.

„Jeśli m y...” – pomyślała. A na głos podkreśliła: – To j a za to płacę!

– Akurat!

– To moje pieniądze i mogę zrobić z nimi wszystko, co zechcę.

– Spłaciłaś dług zarówno swój, jak i mój. Nie pozwolę ci już wydać nawet miedziaka. Możemy znaleźć sposób, by się wymigać od płacenia Arobynnowi.

Przeszli obok zatłoczonego wejścia do znanej herbaciarni, w której rozmawiały ze sobą pięknie odziane kobiety, ciesząc się ciepłym, jesiennym słońcem.

– Przeszkadza ci to, że Arobynn zażądał tyle forsy, czy może to, że to ja płacę?

Sam zatrzymał się w pół kroku. Nie obrzucił kobiet w herbaciarni ani jednym spojrzeniem, ale te z pewnością wpatrywały się w niego. Nawet rozwścieczony do granic wyglądał czarująco. Był też zanadto wzburzony, by zauważyć, że wybrał sobie niewłaściwie miejsce na wszczynanie awantur.

Celaena złapała go za rękę i pociągnęła za sobą. Czuła na sobie spojrzenia kobiet i nie mogła opanować uśmiechu zadowolenia. Z pewnością widziały jej ciemnoniebieską tunikę z szykownym, złotym haftem na klapach oraz mankietach, jej idealnie dopasowane spodnie w kolorze kości słoniowej oraz wykonane z miękkiej skóry brązowe buty po kolana. Wiele kobiet, zwłaszcza zamożnych bądź pochodzących z arystokratycznych rodów, preferowało suknie i nieszczęsne gorsety, ale tuniki i spodnie były również powszechne i z pewnością ubranie Celaeny zdobyło właśnie uznanie żeńskiej części

klienteli herbaciarni.

– Przeszkadza mi to, że muszę grać w jego gierki! – wycedził Sam przez zęby. – Mam ich dość i prędeż poderżnę mu gardło, niż zapłacę tyle forsy.

– A więc jesteś durniem. Jeśli wyjedziemy z Rifthold w złych stosunkach, nigdzie już nie zdołamy założyć interesu, chyba że chciałbyś zmienić zawód. Gdyby zaś udało nam się znaleźć jakieś uczciwe zatrudnienie, do końca swoich dni zastanawiałabym się, kiedy pojawi się wysłannik Gildii i zażąda należnych mu pieniędzy. Innymi słowy, jeśli będę musiała dać Arobynnowi ostatniego miedziaka, by zapewnić sobie spokojny sen przez resztę życia, zrobię to bez wahania.

Dotarli do ogromnego skrzyżowania w sercu dzielnicy handlowej, gdzie wznosiła się kopia Teatru Królewskiego. Ulice zatłoczone były końmi, wozami i ludźmi.

– Jaką wyznaczymy granicę? – spytał cicho Sam. – Kiedy powiemy „dość”?

– To ostatni raz.

Sam parsknął pogardliwym śmiechem.

– Jasne.

Skręcił w jedną z bocznych uliczek i udał się w kierunku przeciwnym do domu.

– Gdzie idziesz? – spytała.

– Muszę uporządkować myśli – rzucił Sam przez ramię. – Zobaczymy się w domu.

Patrzyła, jak szedł po zatłoczonej ulicy, aż znikł w tłumie. Wtedy sama ruszyła przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd dojdzie. Minęła schody prowadzące do Teatru Królewskiego i szła dalej, nie zatrzymując się. Sklepy i sprzedawcy zlewali się w jedno. Trwał przepiękny dzień jesienny – powietrze było chłodne, ale słońce grzało miło.

Sam nie był pozbawiony racji, ale to ona wciągnęła go w ten bałagan. To ona pierwsza sprzeciwiła się woli Arobynna w Zatoce Czaszek. Sam utrzymywał, że kocha się w niej od lat, ale gdyby zachowała dystans przez ostatnie miesiące, nie znaleźliby się w tej sytuacji. Gdyby była mądrzejsza, złamałaby mu serce i pozwoliła pozostać z Arobynnem. O wiele lepiej by było, gdyby zaczął ją

nienawidzić, teraz bowiem czuła się za niego odpowiedzialna i przerażała ją ta świadomość.

Nigdy dotąd na nikim tak bardzo jej nie zależało. Zrujnowała mu karierę, nad którą pracował przez całe życie, i była teraz gotowa oddać wszystkie pieniądze, by mógł przynajmniej być wolny. Nie mogła jednakże wyłuszczyć mu, że zapłaciła za wszystko, ponieważ czuła się winna. Znienawidziłby ją za to.

Celaena zatrzymała się i uświadomiła sobie, że stoi na przeciwnym końcu szerokiej alei, a po drugiej stronie ulicy widzi bramę prowadzącą do szklanego zamku. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że przeszła taki dystans. A może była aż tak zamyślona? Zazwyczaj niechętnie zbliżała się do królewskiej siedziby.

Za dobrze strzeżoną żelazną bramą znajdowała się długa, okolona drzewami ścieżka, która prowadziła do samego zamczyska. Celaena przechyliła głowę, by przyjrzeć się wieżom muskającym niebo. Ich dachy migotały w przedpołudniowym słońcu. Szklana struktura została wzniesiona na szczycie kamiennego zamku i stanowiła ukoronowanie rozwoju imperium Adarlanu.

Nienawidziła go.

Nawet stąd widziała ludzi uwijających się wokół zamku – strażników w mundurach, damy w obszernych sukniach, służących w liberjach. Cóż za życie prowadzili w cieniu króla?

Uniosła wzrok ku najwyższej wieży z szarego kamienia wyposażonej w niewielki balkonik zarośnięty bluszczem. Nietrudno było sobie wyobrazić, że ci, którzy tam mieszkają, nie mają żadnych zmartwień.

Niemniej jednak wewnątrz tego błyszczącego budynku codziennie zapadały decyzje, które zmieniały bieg historii Erilei. To właśnie tam wyjęto spod prawa magię. Tam postanowiono wybudować obozy pracy takie jak Calaculla czy Endovier. Tam mieszkał morderca tytułujący się królem, człowiek, którego bała się najbardziej ze wszystkich na świecie. Tak jak Krypty stanowiły serce świata podziemnego Rifthold, szklany zamek był duszą imperium Adarlanu.

Odniosła wrażenie, że ogromna bestia ze szkła, kamienia i żelaza przygląda się jej. Wobec jej wielkości kłopoty z Samem i Arobynnem wydawały się nieistotne. Celaena pomyślała sobie, że jest jedynie komarem pobzykującym przed rozwartą paszczą potwora gotowego



pochłonać cały świat.

Ogarnął ją podmuch chłodnego wiatru, wyrywając kosmyki włosów z jej warkocza. Nie powinna była tak bardzo zbliżyć się do zamku, nawet jeśli szansa na spotkanie króla była znikoma. Na samą myśl o nim ogarniał ją lęk, a jedyną pociechą było to, że większość ludzi z podbitych przez niego obszarów przypuszczalnie podzielała jej zdanie. Jego inwazja na Terrasen dziewięć lat temu okazała się szybka i brutalna – tak brutalna, że Celaenie robiło się niedobrze na wspomnienie okrucieństw, którymi umacniał swoje rządy.

Drżąc na całym ciele, dziewczyna zawróciła i udała się do domu.

Sam nie wrócił aż do kolacji

Celaena leżała rozparta na kanapie przed huczącym ogniem i czytała książkę. Młodzieniec zamknął drzwi za sobą i wkroczył do salonu. Jego twarz zasłaniał kaptur, a rękojeść miecza przytroczonego do pleców połyskiwała w blasku ognia. Dziewczyna zauważyła matowy połysk rękawic z grubej wyszywanej skóry, w których kryły się dodatkowe sztylety. W ruchach Sama kryła się niewysłowiona precyzja i drapieżność. Dziewczyna aż zamrugała. Czasami łatwo jej było zapomnieć, że młody człowiek, z którym dzieliła mieszkanie, był również świetnie wyszkolonym, bezlitosnym zabójcą.

– Znalazłem klienta – oznajmił i zdjął kaptur.

Oparł się o drzwi z ramionami założonymi na szerokiej piersi.

Celaena zatrzasnęła książkę i odłożyła ją na kanapę.

– Serio?

Brązowe oczy Sama błyszczały, choć twarz pozostawała nieprzenikniona.

– Zapłacą. Sporo zapłacą. Ponadto chcą, by wiadomość o zleceniu nie dotarła do uszu członków Gildii. Dla ciebie również jest kontrakt.

– Kto jest klientem?

– Nie wiem. Człowiek, z którym rozmawiałem, nosił kaptur i niczym niewyróżniające się ubranie. Mógł występować w czyimś imieniu.

– Dlaczego chcą ominąć Gildię? – Celaena ułożyła łokcie na oparciu kanapy.

Odległość między nią i Samem wydawała się zbyt wielka, zanadto przepełniona światłem.

– Bo chcą, bym zabił Ioana Jayne'a i jego zastępcę Rourke'a

Farrana.

Celaena wbiła w niego wzrok.

– Ioana Jayne’a – powtórzyła. – Szefa największej organizacji przestępczej w Rifthold.

Sam pokiwał głową.

Celaena poczuła narastający ból głowy.

– Jest zbyt dobrze strzeżony – rzekła. – A Farran... Ten człowiek to psychopata! To sadysta!

Sam wyprostował się i podszedł do niej.

– Powiedziałaś, że potrzebujemy pieniędzy na przeprowadzkę do innego miasta. Skoro chcesz spłacić Gildię, potrzeba nam ich jeszcze więcej. Jeśli nie chcesz skończyć na okradaniu domów, sugeruję, byśmy to wzięli.

Dziewczyna musiała przechylić głowę, by na niego spojrzeć.

– Jayne jest niebezpieczny.

– No to całe szczęście, że jesteśmy najlepsi w tym fachu, no nie? – odparł Sam, uśmiechając się do niej leniwie, choć wyczuła w nim napięcie.

– Powinniśmy poszukać innych zleceń. Na pewno jeszcze coś się znajdzie.

– Skąd ta pewność? Poza tym nikt nie zapłaci aż tyle.

Sam wymienił kwotę i Celaena aż uniosła brwi. Tak, taka suma pozwoliłaby na bardzo wygodne życie gdziekolwiek indziej.

– Na pewno nie wiesz, kim jest zleceniodawca?

– Szukasz sposobu, by się z tego wykręcić?

– Chcę mieć pewność, że wyjdziemy z tego cało – parsknęła. – Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, ilu ludzi próbowało załatwić Jayne’a i Farrana? Wiesz, ilu z nich żyje?

Sam przeczesał dłonią włosy.

– Chcesz być ze mną?

– Co?

– Chcesz być ze mną?

– Tak.

W istocie w tej chwili nie pragnęła niczego innego.

Na ustach Sama pojawił się lekki uśmiech.

– To wykonajmy tę robotę. Spłacimy należności w Rifthold, a potem urządzimy się gdzie indziej. Gdybyś tylko sobie tego zażyczyła,

wyjechałbym jeszcze dzisiaj, nie zostawiając Arobynnowi i Gildii ani grosza, ale masz rację. Nie chcę oglądać się przez ramię przez resztę życia. Musimy pożegnać się z Rifthold raz na zawsze. Chcę, byśmy mogli żyć spokojnie.

Celaena poczuła ucisk w gardle i spojrzała na ogień. Sam podniósł jej podbródek palcem i zmusił, by spojrzała na niego.

– Załatwisz wraz ze mną Jayne’a i Farrana?

Był taki przystojny... Miał wszystko to, czego pragnęła, wszystko, co miała nadzieję przeżyć. Dlaczego dopiero teraz to odkryła? Dlaczego tak długo go nienawidziła?

– Zastanowię się – burknęła.

Nie była to bynajmniej poza. Naprawdę musiała tę kwestię przemyśleć, zwłaszcza że ich celem mieli być Jayne oraz Farran.

Sam uśmiechnął się szerzej i pochylił się, by musnąć ustami jej skroń.

– Zawsze lepiej usłyszeć coś takiego niż „nie”.

Ich oddechy się połączyły.

– Przepraszam cię za to, co dziś powiedziałam.

– Przeprosiny od Celaeny Sardothien? – Jego oczy błyszczały. – Czy ja śnię?

Dziewczyna skrzywiła się, ale wtedy Sam ją pocałował. Zarzuciła mu ramiona na szyję i rozchyliła usta. Mruknęła z rozkoszą, gdy spotkały się ich języki. Jej dłonie natrafiły na sprzączki przytrzymujące miecz na plecach. Oręż z łoskotem spadł na drewnianą podłogę. Sam znów spojrzał jej w oczy. To wystarczyło, by przycisnęła go jeszcze mocniej do siebie. Całował ją powoli, wręcz leniwie, jakby miał to robić przez całe życie.

Podobała jej się taka perspektywa. I to bardzo.

Wsunął jedno ramię pod jej kolana, drugim otoczył jej plecy i podniósł ją jednym płynnym ruchem. Celaena nigdy by się do tego nie przyznała, ale niemalże omdlała.

Zaniósł ją do sypialni i łagodnie ułożył na łóżku. Cofnął się tylko po to, by ściągnąć śmiertcionośne rękawice, a następnie buty, płaszcz, kaftan i koszulę. Celaena patrzyła na jego złocistą skórę i muskularną klatkę piersiową poznaczoną tu i ówdzie bliznami. Jej serce biło tak szybko, że ledwie była w stanie oddychać.

Należał do niej. Ten wspaniały, potężny mężczyzna był jej.

Wargi Sama znów odnalazły jej usta. Jego zręczne dłonie badały każdy cal jej ciała, gładziły ją i pieściły, aż odkryła, że leży na plecach, a Sam opiera się na przedramionach i całuje jej szyję. Aż się wygięła, gdy musnął jej pierś i zaczął rozpinąć tunikę. Nie chciała wiedzieć, gdzie się tego wszystkiego nauczył, gdyż jeśliby kiedykolwiek poznała imiona tych dziewczyn...

Oddech jej zamarł, gdy Sam odpiął ostatni guzik. Spojrzał na jej ciało. Oddychała nierówno. Posunęli się dalej w grze miłosnej niż kiedykolwiek, a teraz ujrzała pytanie wypisane w jego oczach i w każdym calu jego ciała.

– Nie dziś – szepnęła. Jej policzki płonęły. – Jeszcze nie.

– Nie spieszy mi się – odparł i trącił nosem jej ramię.

– Chodzi o to, że... – Na bogów, powinna przestać gadać! Nie musiała się przecież tłumaczyć, a on nie nalegał, ale... – Wiesz, to wydarzy się tylko raz i chcę się cieszyć każdą sekundą.

Dobrze wiedział, co oznacza słowo „to”. Miała na myśli ich związek, ową tworzącą się więź niezniszczalną i nieustępliwą, która powodowała, że cały jej świat obracał się w jego stronę, nieuchronnie zmierzał ku niemu. Nie było rzeczy, która przerażałaby ją bardziej.

– Mogę zaczekać – rzekł ochryple i pocałował ją w kość policzkową.

– Mamy całe życie.

Może miał rację. Życie u jego boku było skarbem wartym każdej ceny.

## Rozdział trzeci

**D**o ich pokoju wkradł się świt i wypełnił go złocistym światłem. Włosy Sama lśniły niczym brąz. Wsparta na łokciu Celaena patrzyła, jak śpi.

Jego naga pierś wciąż była opalona, co oznaczało, że spędził wiele dni na treningu na którymś z zewnętrznych dziedzińców Twierdzy lub być może na brzegu Avery. Barki i ramiona pokrywały najróżniejsze blizny, niekiedy wąskie i równe, a miejscami grubsze i poszarpane. Jego życie wypełniły ćwiczenia oraz walka. Ciało Sama było mapą przygód i doświadczeń, a przy tym również dowodem na to, jak wyglądało dorastanie pod okiem Arobynna Hamela.

Przesunęła palec po jego kręgosłupie. Nie chciała, by na jego ciele pojawiła się kolejna blizna. Nie chciała, by prowadził takie życie. Zasługiwał na coś lepszego.

Nie mogli porzucić zabijania zaraz po przeprowadzce – musieli się przecież z czegoś utrzymać, ale może kiedyś w odległej przyszłości...

Odsunęła włosy z oczu. Któregoś dnia oboje odłożą miecze, sztylety i strzały. Pożegnanie z Rifthold i Gildią było pierwszym krokiem w tym kierunku, nawet jeśli będą musieli pracować jako zabójcy przez następnych kilka lat.

Sam otworzył oczy. Zauważył, że się mu przygląda, i uśmiechnął się do niej sennie.

Kolejna myśl uderzyła ją z siłą pięści trafiającej w brzuch. Tak, dla niego mogłaby porzucić karierę Zabójczyni Adarlanu. Dla niego mogłaby pożegnać się z majątkiem i sławą.

Sam otoczył ramieniem jej nagą talię i przyciągnął dziewczynę do siebie. Trącił nosem jej szyję i wciągnął w nozdrza jej zapach.

– Załatwmy Jayne’a i Farrana – powiedziała cicho.

Sam, wciąż wtulony w jej ciało, mruknął coś, co oznaczało, że nie obudził się do końca, a Jayne i Farran nie przyszli mu nawet do głowy. Wbiła paznokcie w jego plecy. Młodzieniec burknął z niezadowoleniem, ale nadal się nie przebudził.

– Najpierw załatwimy Farrana, by osłabić strukturę. Próba

załatwienia obu naraz będzie zbyt ryzykowna. Zbyt wiele rzeczy może pójść nie tak. Jeśli zabijemy Farrana w pierwszej kolejności, ochrona Jayne'a zostanie postawiona w stan gotowości, ale i tak zapanuje chaos. Wtedy zaatakujemy po raz drugi i zabijemy Jayne'a.

To był dobry plan. Podobał się jej. Potrzebowali jedynie kilku dni na rozpracowanie ochrony Farrana i znalezienie luki.

Sam wymamrotał coś, co zabrzmiało jak: „Dobra, jak sobie życzysz, ale daj mi jeszcze pospać”.

Celaena spojrzała na sufit i się uśmiechnęła.

Po śniadaniu dziewczyna udała się do banku i zleciła umówiony przelew na rachunek Arobynna, co obojgu zepsuło humor. Resztę dnia spędzili na zbieraniu informacji o Ioanie Jaynie. Był szefem największej organizacji przestępczej w Rifthold, co oznaczało, że otaczał się silną ochroną i wszędzie miał swoich ludzi. Szpiegowali dla niego ulicznicy, pracowały dlań prostytutki w Kryptach, barman, kupcy, a nawet kilku strażników.

Wszyscy wiedzieli, gdzie mieszkał. Była to ogromna, trzypiętrowa budowla z białego kamienia stojąca przy jednej z najpiękniejszych ulic w Rifthold. Miejsca tego strzeżono tak pilnie, że myszkowanie w jego pobliżu było bardzo ryzykowne. Wystarczyło zatrzymać się na chwilę, by przyciągnąć uwagę któregoś z zamaskowanych ochroniarzy włóczących się po ulicy.

To, że Jayne miał dom na tej ulicy, zakrawało na nonsens, gdyż jego sąsiadami byli zamożni kupcy i pomniejsi arystokraci. Czy oni w ogóle zdawali sobie sprawę z tego, kto mieszkał tuż obok nich? Czy wiedzieli, jakie zło czaiło się pod dachem krytym szmaragdową dachówką?

Celaena i Sam udawali młodą, piękną parę dobrze ubranych ludzi, którzy rozkoszowali się porannym spacerem w centrum stolicy. Gdy przechodzili obok posiadłości, dopisało im szczęście. Farran, zastępca Jayne'a, wyszedł przez frontowe drzwi i skierował się do czarnego powozu.

Celaena poczuła, jak otaczające ją ramię Sama sztywnieje. Patrzył przed siebie, nie ośmielając się obrzucić Farrana zbyt długim spojrzeniem – ktoś mógł zauważyć jego zainteresowanie. Celaena jednakże, udając, że zauważyła zerwany szew w zielonej tunice, zdołała spojrzeć kilkakrotnie.

Słyszała wiele o Farranie, jak prawie każdy. Był jedynym człowiekiem, którego ponura sława przerastała jej własną.

Farran, który liczył sobie prawie trzydzieści lat, był wysokim barczystym mężczyzną. Urodził się i został porzucony na ulicach Rifthold. Zaczął szpiegować dla Jayne'a jako ulicznik i przez lata osiągał coraz wyższą pozycję wśród przybocznych gangstera, zostawiając za sobą stosy trupów. Wreszcie został mianowanym jego zastępcą. Był teraz przystojnym mężczyzną z lśniącymi, gładko przyczesanymi czarnymi włosami, odzianym w elegancki szary strój. Trudno było uwierzyć, iż ten sam człowiek kiedyś włóczył się po ulicach wraz z bandą podobnych sobie bezwzględnych sierot.

Gdy schodził do powozu stojącego przed posiadłością, Celaena zauważyła, że Farran porusza się bardzo płynnie i pewnie stawia kroki, a jego postać emanuje siłą. Choć byli po drugiej stronie ulicy, dostrzegła również, że jego ciemne oczy lśniły, a na bladej twarzy widniał uśmiech, od którego przeszywały ją dreszcze.

Wiedziała, że ciała, które Farran pozostawiał za sobą, często były niekompletne. Pnąc się po szczeblach przestępczej kariery, wykształcił w sobie zamiłowanie do sadystycznych tortur. Dzięki temu zasłużył na miejsce u boku Jayne'a i trzymał z dala rywali.

Farran wskoczył do powozu tak płynnie, że jego dobrze skrojone ubranie ledwie się poruszyło. Powóz ruszył ulicą i skręcił.

Celaena spojrzała w ślad za nim i odkryła, że Farran wyjrzał przez okno.

Spoglądał na nią.

Sam udawał, że niczego nie dostrzega. Celaena zachowała całkowicie obojętną minę typową dla dobrze urodzonej damy, która nie ma bladego pojęcia, że przyglądający się jej mężczyzna ma najczarniejsze serce w całym imperium.

Farran obdarzył ją uśmiechem, w którym nie było nic ludzkiego.

Być może to właśnie dlatego ich klient oferował fortunę za pozbycie się obu złoczyńców.

Pochyliła skromnie głowę, udając zażenowaną jego atencją.

Uśmiech Farrana stał się szerszy, ale jego powóz na szczęście znikł wśród innych.

Sam wypuścił powietrze.

– Cieszę się, że jego załatwimy w pierwszej kolejności.

Mroczna część jej duszy zapragnęła czegoś innego. Chciała zobaczyć, jak ów koci uśmiech Farrana znika na wieść o tym, że Celaena Sardothien zabiła Jayne'a. Jednakże Sam miał rację. Nie zdołałaby zmrużyć oka, gdyby najpierw zabili Jayne'a. Farran z pewnością wykorzystaliby wszelkie środki i metody, by ich dopaść.

Spacerując ulicami wokół posiadłości Jayne'a, powoli zatoczyli koło.

– Najłatwiej będzie załatwić Farrana, gdy ten będzie gdzieś zmierzał – rzekła Celaena świadoma tego, ilu ludzi może im się teraz przyglądać. – Ten dom jest zbyt dobrze strzeżony.

– Rozejrzę się – rzekł Sam. – Pewnie zabierze mi to jakieś dwa dni.

– Tobie? Zabierze t o b i e?

– Pomyślałem sobie, że chcesz być zapamiętana jako ta, która zabiła Jayne'a. Ja więc zajmę się Farranem.

– Dlaczego nie zrobimy tego razem?

Uśmiech Sama przygasł.

– Bo chcę, byś trzymała się z dala tak długo, jak to możliwe.

– To, że jesteśmy razem, nie oznacza, że stałam się mażącą się niedołągą.

– Tego nie powiedziałem. Ale czy możesz winić mnie o to, że usiłuję trzymać ukochaną dziewczynę z dala od człowieka pokroju Farrana? A zanim zaczniesz przechwalać się swymi osiągnięciami, przypomnij sobie, iż wiem, ilu ludzi zabiłaś, i pamiętam, jakie grosze zarobiłaś. Ja znalazłem tego klienta, a więc zrobimy wszystko po mojemu.

Gdyby wszędzie nie roilo się od szpiegów Farrana, Celaena zapewne walnęłaby go w twarz.

– Jak śmiesz...

– Farran to potwór – rzekł Sam, nie patrząc na nią. – Sama tak powiedziałaś. Nie życzę sobie, byś wpadła w jego ręce, jeśli coś pójdzie nie tak.

– Razem nie będziemy bezpieczniejsi?

Sam zacisnął szczęki, aż zadrżał jakiś mięsień.

– Nie chcę, byś się o mnie troszczyła, Celaeno.

– Chodzi o pieniądze? Bo to ja za wszystko płacę?

– Chodzi o to, że to ja jestem odpowiedzialny za zlecenie, a ty nie zawsze przestrzegasz zasad.

– Daj mi chociaż prowadzić obserwację z dachu – poprosiła.

Mogła pozwolić mu zająć się Farranem. Mogła ustąpić mu miejsca.



Przecież przed chwilą sama doszła do wniosku, iż kiedyś mogłaby zrzec się tytułu Zabójczyni Adarlanu. Niech Sam zdobywa sławę.

– Żadnych dachów – odparł młodzieniec. – Będiesz w drugiej części miasta, jak najdalej ode mnie.

– Wiesz, jak głupio to brzmi, prawda?

– Przeszedłem takie samo szkolenie jak ty, Celaeno.

Mogła się upierać. Mogła ciągnąć kłótnię, aż by ustąpił, ale ujrzała w jego oczach błysk goryczy. Nie widziała go od wielu miesięcy, od Zatoki Czaszek, gdzie przecież byli wrogami. Sam zawsze musiał się przyglądać, jak Celaena zdobywa sławę, i musiał brać na siebie wszystkie zlecenia, na które ona nie miała ochoty. Zakrawało to na bzdurę, zważywszy na to, jak bardzo był utalentowany.

O ile zadawanie komuś śmierci można było nazwać talentem.

Lubiła się puszyć i nazywać Zabójczynią Adarlanu, ale wobec Sama taka arogancja wydawała się czasami okrucieństwem.

Przyszło jej to z wielkim trudem, ale zmusiła się, by trącić Sama w ramię i rzec:

– Dobra. Załatw Farrana samodzielnie, ale to ja zajmę się Jayne'em i wtedy będziemy działać po mojemu.

Celaena co tydzień chodziła na lekcje tańca do pani Florine, która szkoliła również wszystkie tancerki w Teatrze Królewskim. Zostawiła więc Sama, by ten dokończył zwiad, a sama udała się do prywatnego studia nauczycielki.

Cztery godziny później spocona, obolała i całkiem wyczerpana wracała do domu przez miasto. Znała surową panią Florine od dziecka, gdyż uczyła ona wszystkich zabójców Arobynna najnowszych popularnych tańców. Celaena jednakże lubiła brać u niej dodatkowe lekcje, gdyż przepadała za wdziękiem tańców klasycznych. Zawsze wydawało jej się, że jej surowa nauczycielka ledwie ją znosiła, ale ku szczeremu zdumieniu Celaeny po jej odejściu od Arobynna nauczycielka nie zażądała ani grosza za kolejne lekcje.

Po przeprowadzce będzie musiała znaleźć inną instruktorkę, a także studio z porządnym pianistą.

Koniecznie musi się też przenieść do miasta, w którym znajduje się biblioteka. Wielka, wspaniała biblioteka albo przynajmniej księgarnia z mądrym sprzedawcą, który zawsze będzie umiał zaspokoić jej głód czytelniczy.

W tym mieście nie może też zabraknąć zanego sklepu z odzieżą. I z perfumami. Z biżuterią. Ze słodyczami.

Ledwie powłócząc nogami, dotarła po drewnianych schodach do swego mieszkania nad magazynem. Czowała się zupełnie pozbawiona sił, a winę za brak energii zrzuciła na lekcję. Pani Florine była bardzo surową, wymagającą nauczycielką. Nie tolerowała niewłaściwej postawy czy błędnego ułożenia nadgarstków. Zawsze stawiała Celaenie najwyższe wymagania, choć przez ostatnie dwadzieścia minut lekcji przymknęła oko na jej zachowanie i pozwoliła poprosić pianistę o zagranie ulubionej melodii dziewczyny. Przez resztę zajęć tańczyła sama, pogrążona w dzikiej ekstazie. Celaena nie miała już pianina do dyspozycji, więc pani Florine pozwalała jej też zostać po lekcji i poćwiczyć grę.

Zamyślona zabójczyni uświadomiła sobie, że dotarła na piętro i stoi przed srebrzystozielonymi drzwiami.

Była w stanie wyjechać z Rifthold. Jeśli miała w ten sposób uwolnić się od Arobynna, mogła pozostawić za sobą wszystko, co kochała. W innych miastach na kontynencie również znajdowały się biblioteki, księgarnie i wspaniałe sklepy z ubraniami. Być może nie były tak wspaniałe jak te w stolicy i być może serce miasta będzie wybijać inny, nieznany jej rytm, ale dla Sama mogła zrobić wszystko.

Westchnąwszy, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Na kanapie siedział Arobynn Hamel.

– Witaj, kochanie – rzekł z uśmiechem.

## Rozdział czwarty

Celaena weszła do kuchni i naląła sobie filiżankę herbaty, usiłując uspokoić drżenie rąk. Jak on znalazł jej mieszkanie? Pewnie wypytał służących, którzy pomogli przynieść jej rzeczy. Jego widok wstrząsnął nią do głębi. Jak długo tu siedział? Czy przetrząsnął jej dobytek?

Naląła drugą filiżankę dla niespodziewanego gościa i zniosła obie do salonu. Arobynn założył nogę na nogę i ułożył ramiona na oparciach kanapy. Wyglądało na to, że czuje się tu całkiem swobodnie.

Bez słowa podała mu filiżankę i usiadła w fotelu. Ogień w kominku dawno zgasł, ale dzień był tak ciepły, że Sam otworzył okna przed wyjściem. Do środka wpadał lekki powiew wiatru znad Avery, poruszał zasłonami z fioletowego aksamitu i trącał jej włosy. Wiedziała, że tego zapachu też jej będzie brakować.

Arobynn upił łyk, a potem przyjrzał się zawartości filiżanki.

– Komu mogę podziękować za tak wyrafinowany gust, jeśli chodzi o herbatę?

– Mnie. Ale to chyba już wiesz.

– Hmm... – Arobynn upił kolejny łyk. – Tak, chyba to już wiedziałem.

Blask popołudniowego słońca sprawił, że jego szare oczy lśniły niczym miedź.

– Nie wiedziałem tylko tego, że wraz z Samem uznacie, że pozbycie się Ioana Jayne’a i Rourke’a Farrana to dobry pomysł.

Nic dziwnego, że o wszystkim wiedział.

– To nie twoja sprawa. Nasz klient nie chciał wchodzić w układy z Gildią, a my z Samem już do niej nie należymy. Przesłałam ci pieniądze.

– Ioan Jayne – powtórzył Arobynn, jakby dziewczyna nie znała tego nazwiska. – I o a n J a y n e. Czy ty oszalałaś?!

Dziewczyna zacisnęła szczęki.

– Nie widzę powodu, dla którego miałabym ufać twoim radom.

– Nawet ja nie porwałbym się na Jayne’a. – Spojrzenie Arobynna płonęło. – A od lat zastanawiam się, jak posłać tego człowieka do

grobu.

– Nie mam ochoty na kolejne gierki. – Celaena odstawiła filizankę i wstała. – Zjeżdżaj.

Arobynn wpatrywał się w nią, jakby była rozkapryszonym dzieckiem.

– Jayne nie bez powodu od lat jest niekwestionowanym królem świata przestępczego Rifthold. Farran zaś to jego zastępca również dlatego, że sobie na to zasłużył. Może i jesteś doskonała w swym fachu, Celaeno, ale nie jesteś niezwyciężona.

Dziewczyna założyła ręce na piersi.

– Gdybym go zabiła, moja sława prześcignęłaby twoją. Czy to dlatego próbujesz mnie odwieść od tego zamiaru?

Arobynn zerwał się na równe nogi i spojrzał na nią z góry.

– Próbuję na ciebie wpłynąć dlatego, że Jayne i Farran są śmiertelnie niebezpieczni, ty głupia, niewdzięczna dziewczucho! Gdyby jakiś klient zaoferował mi sam zamek ze szkła, nie podjąłbym się tego zadania!

Celaena rozchyliła nozdrza.

– Jak mam uwierzyć w choć jedno twe słowo po tym, co mi zrobiłeś? Jej dłoń była bardzo blisko sztyletu.

Arobynn patrzył jej w oczy, ale zachowywał czujność. Był świadom każdego jej ruchu i nie musiał przyglądać się jej dłoniom, by o nich wiedzieć.

– Wyjdź stąd – warknęła.

Arobynn uśmiechnął się lekko i rozejrzał po mieszkaniu z udawaną troską.

– Powiedz mi jeszcze jedno, Celaeno. Ufasz Samowi?

– A cóż to za pytanie?!

Arobynn wsunął dłonie do kieszeni srebrnej tuniki.

– A powiedziałaś mu prawdę o tym, skąd pochodzisz? Mam wrażenie, że chętnie by się tego dowiedział, być może zanim poświęci ci resztę życia.

Dziewczyna skupiła się na rytmicznym oddechu i raz jeszcze wskazała drzwi.

– Wyjdź.

Arobynn wzruszył ramionami i machnął dłonią, jakby lekceważył zadane właśnie pytanie, a potem ruszył ku drzwiom frontowym. Nie

spuszczała z niego oczu. Śledziła każdy krok i każde poruszenie ramion, rejestrowała każdy przedmiot, na który spojrzał. W końcu oparł dłoń na mosiężnej klamce, lecz odwrócił się ku niej. Jego oczy – srebrzyste oczy, które przypuszczalnie miały ją prześladować przez resztę życia – lśniły jasno.

– To, co ci zrobiłem, jest bez znaczenia. Ja naprawdę cię kocham, Celaeno.

Poczuła się, jakby ktoś uderzył ją kamieniem w głowę. Nigdy nie powiedział jej niczego takiego. Nigdy.

Zapadła długa chwila ciszy.

Grdyka Arobyinna uniosła się i opadła, gdy przełykał ślinę.

– Robię to, co robię, ponieważ się boję. I dlatego, że nie wiem, jak wyrazić to, co czuję.

Wymówił te słowa tak cicho, że ledwie je usłyszała.

– Wyrzuciłem ci krzywdę, bo byłem zły, że wybrałaś Sama.

Czy to mówił Król Zabójców? A może ojciec? Lub kochanek, który nigdy nie wyznał miłości? Starannie pielęgnowana maska Arobyinna znikła, a w jego pięknych oczach błysnął ból, który mu zadała.

– Zostań ze mną – szepnął. – Zostań w Rifthold.

Celaena z trudem przełknęła ślinę.

– Wyjeżdżam.

– Nie – szepnął. – Nie wyjeżdżaj.

„Nie”.

To właśnie mu powiedziała owej pamiętnej nocy, gdy ją zmaltretował. Zanim uderzył ją po raz pierwszy, gdy jeszcze sądziła, że zamiast niej pobije Sama. Wtedy zaczął ją okładać tak mocno, że straciła przytomność. Następnie zabrał się do katowania Sama.

„Nie”.

To powiedziała Ansel na pustyni, gdy Celaena przytknęła jej ostrze miecza do szyi. Zdrada tej, którą uważała za przyjaciółkę, wywołała ból tak silny, iż zabójczyni była gotowa odebrać jej życie. Niemniej jednak bladło to w porównaniu z tym, co zrobił Arobyinn, gdy wmanewrował ją w zabójstwo Donewała, człowieka, który mógł uwolnić tysiące niewolników.

Wykorzystywał słowa niczym łańcuchy, chcąc na powrót ją spętać. Miał przecież tyle okazji, by wyznać jej miłość, i doskonale wiedział, jak bardzo pragnęła usłyszeć te słowa. Niemniej jednak powstrzymał

się do chwili, gdy mógł je wykorzystać jako broń. Teraz miała Sama, który powiedział to samo, nie spodziewając się niczego w zamian; Sama kochającego ją ze względów, których nadal nie rozumiała...

Celaena przechyliła głowę, ostrzegając go, że nadal jest gotowa do ataku.

– Wynoś się.

Arobynn spojrzał na nią po raz ostatni, kiwnął powoli głową i wyszedł.

Tawerna Czarny Łabędź była zatłoczona jak zwykle. Celaena siedziała z Samem przy stole na środku sali pełnej ludzi, ale nie miała szczególnej ochoty na potrawkę z wołowiny leżącą na talerzu przed nią. Nie była też w nastroju do rozmowy, choć Sam przedstawił jej wszystkie informacje zdobyte na temat Farrana i Jayne'a. Nie powiedziała mu nic o niespodziewanej wizycie Arobynna.

Kilka młodych kobiet przy stoliku obok chichotało głośno i rozprawiało o wakacjach, które następcą tronu spędzał na wybrzeżu soriańskim. Prześcigały się w zapewnieniach, ile by zrobiłby, by móc dołączyć do księcia i jego przystojnych przyjaciół, aż Celaena w pewnym momencie chciała rzucić w nie łyżką.

Podobne zachowania nie uchodziły jednak w Czarnym Łabędziu. Ludzie przychodzili tu, by podjeść, posłuchać dobrej muzyki i nacieszyć się towarzystwem. Nie dochodziło tu do bójek, nie ubijano ciemnych interesów i z całą pewnością nigdzie nie było prostytutek. Być może dlatego przychodzili tu na obiad niemalże co wieczór. Było tu niezwykle spokojnie.

Kolejne miejsce, za którym miała tęsknić.

Gdy po obiedzie przyszedli do domu, mieszkanie wydawało jej się dziwnie obce. Włamanie Arobynna zniszczyło więź, którą czuła z tym miejscem. Celaena udała się prosto do sypialni i zapaliła kilka świec. Chciała, by ten dzień dobiegł końca. Chciała załatwić obu gangsterów, a potem wyjechać.

Sam stanął w drzwiach.

– Nigdy dotąd nie byłaś taka cicha – rzekł.

Dziewczyna spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad komodą. Blizna na policzku, którą wyniosła z walki z Ansel, już znikła, a ta na szyi również bladła.

– Jestem zmęczona – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Zacząła odpinać guziki, ale jej dłonie wydawały się dziwnie niezdarne. Czy to dlatego Arobynn ją odwiedził? Czy włamał się do jej mieszkania, bo wiedział, jak bardzo nią to wstrząśnie? Wyprostowała się gwałtownie. Myśl ta wzburzyła ją tak bardzo, że miała ochotę roztrzaskać lustro.

– Coś się stało?

Złapała ostatni guzik, ale się zatrzymała. Odwróciła się ku Samowi i zmierzyła go wzrokiem. Czy naprawdę mogła mu powiedzieć o wszystkim?

– Porozmawiaj ze mną – rzekł.

W jego brązowych oczach widziała jedynie troskę. Nie było tam złożonych gier czy dwulicowości.

– Wyznaj mi swe najgłębiej skrywane sekrety – powiedziała cicho.

Sam zmrużył oczy, ale przeszedł przez próg i usiadł na skraju łóżka. Zmierzył włosy.

– Jedynym sekretem, który noszę w sobie przez całe życie, jest to, że cię kocham – rzekł po chwili i uśmiechnął się lekko. – Myślałem, że to jedyna tajemnica, którą zabiorę do grobu.

Jego oczy były pełne światła. Ich piękno niemalże odebrało jej dech.

Nagle zorientowała się, że podchodzi do niego, opiera jedną dłoń o jego policzek, a drugą zanurza w jego włosy. Odwrócił głowę, by ucałować jej dłoń, jakby nie przejmował się tym, że tylekroć była zboczona krwią. Znowu spojrzeli sobie w oczy.

– A co ty skrywasz?

Pokój nagle stał się bardzo mały, a powietrze gęste. Dziewczyna zamknęła oczy. Odpowiedź okazała się trudniejsza, niż sądziła, ale po dłuższej chwili udało jej się wyznać prawdę. Była ona przecież zawsze tuż przy niej. Szeptala do niej we śnie i pojawiała się z każdym oddechem. Była mrocznym koszmarem, przed którym nie mogła uciec.

– W głębi duszy – szepnęła – jestem tchórzem.

Sam uniósł brwi.

– Jestem tchórzem – powtórzyła. – Boję się. Boję się przez cały czas. Zawsze.

Wysunął jej dłoń z własnych włosów i ucałował koniuszki palców.

– Ja też się boję – szepnął wtulony w jej skórę. – Powiedzieć ci coś zabawnego? Za każdym razem, gdy ogarnia mnie przerażenie, powtarzam sobie: „Nazywam się Sam Cortland i wcale się nie boję”.

Robię to od lat.

Tym razem to Celaena uniosła brwi.

– I działa?

Zaśmiał się, całując jej palce.

– Czasami tak, czasami nie. Na ogół jednak czuję się wówczas trochę lepiej albo przynajmniej mogę trochę się z siebie pośmiać.

Nie o takim strachu mówiła, ale...

– Niezłe to – stwierdziła.

Sam splótł palce z palcami Celaeny i pociągnął ją na swe kolano.

– Niezła to jesteś ty – szepnął, a dziewczyna pozwoliła mu się całować, by znów zapomnieć o mrocznym przekleństwie, które zawsze miało ją prześladować.



## Rozdział piąty

**R**ourke Farran był bardzo zajęтым człowiekiem. Celaena oraz Sam zaczęli się następnego dnia o świcie w uliczce niedaleko posiadłości Jayne'a. Oboje mieli na sobie niewyróżniające się ubranie oraz płaszcze z obszernymi kapturami, które maskowały ich twarze. Widzieli, jak Farran wyrusza na długo przed wschodem słońca. Śledzili jego powóz przez całe miasto i przyglądali mu się za każdym razem, gdy się zatrzymał. Cudem wydawało się to, że ten człowiek w ogóle miał kiedy folgować sadystycznym skłonnościom, gdyż dogłądanie interesów Jayne'a zabierało mu sporo czasu.

Wszędzie jeździł tym samym czarnym powozem, co było kolejnym dowodem na jego arogancję. Stawał się przecież w ten sposób łatwym celem. W przeciwieństwie do Donevala, który nie poruszał się nigdzie bez eskorty, Farran najwyraźniej celowo obywatł się bez obstawy, rzucając wyzwanie każdemu, kto tylko był gotów je podjąć.

Zabójcy śledzili go w drodze do banku, restauracji i tawern stanowiących własność Jayne'a, do burdeli i sklepów z towarami czarnorynkowymi, skrytymi w nędznych, rozsypujących się uliczkach, a potem znów do banku. Farran kilkakrotnie zatrzymał się też w domu Jayne'a. Ku zaskoczeniu Celaeny odwiedził również księgarnię – bynajmniej nie po to, by zastraszyć właściciela czy odebrać haracz, lecz by kupić książki.

Z jakiegoś powodu obudziło to w niej złość, która przybrała na sile po tym, jak zignorowawszy protesty Sama, zakradła się do księgarni i wykorzystwała chwilę nieuwagi właściciela, by sprawdzić, co kupił Farran. Otóż nie były to pozycje o torturach czy zabijaniu. Nie, skądże. Gangster kupił kilka książek przygodowych, i to takich, które jej również się podobały! Trudno Celaenie było pogodzić się z tym, że Farran czyta coś takiego. Wydawało jej się to wręcz niesmaczne.

Dzień minął i nie dowiedzieli się niczego poza tym, że Farran nie przejmował się swoim bezpieczeństwem. Sam nie powinien mieć problemów z wykończeniem go następnego wieczoru.

Kiedy złociste słońce minęło zenit i rozpoczęło się późne popołudnie,

Farran zatrzymał powóz przed niewyróżniającymi się żelaznymi drzwiami, które prowadziły do Krypt. Celaena i Sam śledzili go wzrokiem z końca ulicy, udając, że zmywają brud z butów przy kraniku z wodą.

– Nie dziwi mnie to, że Jayne jest właścicielem Krypt – szepnął Sam.

Woda pluskała głośno.

Celaena miała ochotę spojrzeć mu z wyrzutem w oczy, ale przeszkodził jej w tym kaptur.

– Teraz już wiesz, czemu się tak wściekałam o twoje walki? Jesteś na tyle ważnym człowiekiem, że gdybyś kiedykolwiek popadł w konflikt z ludźmi Jayne’a, ba, wystarczyłoby ich wkurzyć!, Farran osobiście pofatygowałby się, by ci wymierzyć karę.

– Dałbym sobie z nim radę – parsknął Sam.

Celaena przewróciła oczami.

– Nie sądziłam jednakże, że Farran pojawi się z wizytą. Za brudno tu nawet jak na niego.

– Zajrzymy do środka?

Na ulicy panował spokój. Krypty ożywały dopiero w nocy, a teraz, za dnia, nie było tu nikogo z wyjątkiem kilku zataczających się pijaczków i pół tuzina strażników. Wejście do Krypt w ślad za Farranem wydawało się ryzykowne, ale... Skoro Farrana otaczała jeszcze gorsza sława od jej sławy, dobrze byłoby mu się przyjrzeć, nim Sam zakończy jego życie.

– Chodźmy – rzekła.

Błysnęły srebrne monety wręczone najpierw strażnikowi na zewnątrz, a potem innemu w środku. Zbiry nie zadawały żadnych pytań, nie przyszło im nawet do głowy, by zażądać odłożenia broni czy ściągnięcia kapturów. Klientela Krypt życzyła sobie dyskrecji podczas korzystania z mrocznych uciech lokalu.

Celaena dostrzegła Farrana z góry schodów. Gangster siedział przy jednym z poobijanych, popalonych stołów i rozmawiał z człowiekiem, w którym dziewczyna rozpoznała Helmsona, mistrza ceremonii podczas walk. W sali było wielu ludzi jedzących nieduże posiłki, ale wszyscy trzymali się z dala od Farrana. Areny na tyłach sali były puste i ciche. Niewolnicy w pocie czoła usiłowali zetrzeć zakrzepłą krew przed rozpoczęciem kolejnego wieczoru.

Celaena usiłowała nie patrzeć na ich kajdany i zniszczone, upokorzone ciała. Nie miała pojęcia, skąd pochodzili. Nie wiedziała, czy byli jeńcami wojennymi, czy może zostali wzięci do niewoli podczas podboju ich ojczyzny. Zastanawiała się, czy lepiej było im wylądować tutaj, czy może w tak okrutnym obozie pracy jak Endovier. Oba miejsca wydawały się podobnymi wersjami piekła na ziemi.

Krypty zazwyczaj zatłoczone wieczorami dziś wydawały się niemalże opustoszałe. Nawet prostytutki typowo urzędujące w otwartych alkowach ciągnących się wzdłuż boków ogromnej sali próbowały odpoczywać. Wiele dziewcząt spało, tuląc się do siebie na wąskich pryzkach zasłoniętych wyświechtanymi firankami dającymi złudzenie prywatności.

Celaena miała ogromną ochotę spalić to miejsce, a potem rozgłosić, że Zabójczyni Adarlanu nie ma zamiaru tolerować podobnych rzeczy. A może zdąży to zrobić po wyeliminowaniu Farrana i Jayne'a? Taka zemsta wzmocniłaby legendę Celaeny Sardothien i byłaby ostatnią szansą, by ludzie zapamiętali ją na zawsze.

Sam trzymał się blisko niej, gdy zeszli na dół. Ruszyli w stronę baru skrytego wśród cieni. Stał za nim wychudzony człowiek, który udawał, że czyści drewniany blat, ale w rzeczywistości nie mógł oderwać wodnistych oczu od Farrana.

– Dwa piwa – warknął Sam, a Celaena brzęknęła srebrną monetą o blat, co natychmiast zwróciło uwagę nalewającego.

Wręczyła mu o wiele za dużą kwotę, a w smukłych, pokrytych strupami dłoniach barmana pieniądz znikł błyskawicznie.

W Kryptach nadal było wystarczająco dużo ludzi, by Celaena i Sam nie rzucali się w oczy. Byli tu głównie pijacy, którzy nigdy stąd nie wychodzili, oraz ludzie, którym najwidoczniej podobało się przyglądanie się takiemu otoczeniu podczas jedzenia. Celaena i Sam udawali, że piją. Śledzili Farrana.

Na stole obok gangstera i przysadzistego mistrza ceremonii spoczywała zamknięta drewniana skrzynka. Celaena nie miała wątpliwości, że wypełnia ją utarg z dnia poprzedniego. Farran przyglądał się Helmsonowi z kocim zaangażowaniem, najwyraźniej zapomniawszy o skrzynce. Wyglądało to jak zaproszenie do zabawy.

– Wkurzyłyby się, gdybym ukradła mu tę skrzynkę? – zastanawiała się Celaena.

– Nawet o tym nie myśl!

– Maruda.

Rozmowa między Farranem i Helmsonem szybko dobiegła końca, ale gangster, zamiast udać się schodami ku wyjściu, skierował się do ciągu alków. Przeszedł obok każdej z nich, a siedzące w środku dziewczęta prostowały się i sztywniały. Śpiące były pospiesznie budzone i wszelkie ślady snu natychmiast znikwały z ich twarzy. Farran przyglądał im się bacznie i wygłaszał jakieś komentarze do człowieka idącego za nim. Helmson kiwał głową, kłaniał się i wywarkiwał rozkazy do dziewczyn.

Celaena i Sam siedzieli daleko, a mimo to widzieli przerażenie na ich twarzach.

Udawanie niezainteresowanych przychodziło parze zabójców z wielkim trudem. Farran przeszedł całą długość sali i rozpoczął inspekcję dziwek po drugiej stronie. Gdy skończył, zerknął na Helmsona przez ramię i pokiwał głową.

Ten odetchnął, najprawdopodobniej z ulgą, ale niespodziewanie pobladł i umknął chyłkiem, gdy Farran strzelił palcami, zwracając na siebie uwagę wartownika przy niewielkich drzwiach. Te stanęły otworem, a inny strażnik wywlókł na zewnątrz brudnego, zakutego w kajdany, muskularnego mężczyznę. Więzień wydawał się na pół martwy, ale na widok Farrana ożył i zaczął go błagać o litość, próbując wyszarpnąć się z uchwytu.

Trudno było dosłyszeć jego słowa, ale Celaena już po chwili wiedziała, o co chodzi. Mężczyzna walczył w Kryptach, ale nie potrafił spłacić długu zaciągniętego u Jayne'a. Co więcej, próbował go oszukać i wymigać się od płacenia. Obiecywał teraz, że spłaci dług z odsetkami. Farran uśmiechał się i pozwalał mu na chaotyczny wywód, aż człowiekowi zabrakło tchu. Wtedy Farran wskazał drzwi częściowo zasłonięte przez poszarpaną kotarę. Uśmiechnął się szerzej, gdy strażnik powlókł ku nim nieprzestającego błagać więźnia. Drzwi zostały otwarte i Celaena dostrzegła fragment klatki schodowej prowadzącej w dół.

Farran nawet nie spojrzał na innych gości przybytku po kryjomu przyglądających się scenie. Wstał i wprowadził wartownika z więźniem do środka, a następnie zatrzasnął drzwi. Za nimi czekała sprawiedliwość – taka, jaką preferował Jayne.

Pięć minut później Krypty przeszył wrzask.

Był bardziej zwierzęcy niż ludzki. Celaena słyszała już takie wrzaski. Widziała w Twierdzy wielu torturowanych ludzi i wiedziała, kiedy ludzie tak krzyczą. Oznaczało to, że ich cierpienia dopiero się zaczęły. W trakcie tortur ofiary zdzierały sobie struny głosowe i potrafiły później wydawać jedynie ochryple jęki.

Dziewczyna zacisnęła zęby z taką siłą, że szczęki ją zabolowały. Barman machnął do minstrela w kącie, a ci natychmiast zaczęli grać, by zagłuszyć ryki mordowanego człowieka. Te jednakże wciąż przenikały kamienną podłogę. Celaena wiedziała, że Farran nie zabije go od razu. Nie, temu człowiekowi przyjemność sprawiało samo cierpienie.

– Pora na nas – powiedziała, widząc, jak mocno Sam zaciska dłoń na kuflu.

– Nie możemy po prostu...

– Możemy – ucięła ostro. – Wierz mi, ja też chciałabym wpaść tam na dół, ale to miejsce zostało zaprojektowane jako pułapka, a ja nie mam zamiaru ginąć ani tutaj, ani teraz.

Sam nadal wpatrywał się w drzwi.

– Gdy nadejdzie odpowiednia chwila – dodała, kładąc mu dłoń na ramieniu – dołożysz wszelkich starań, by za to zapłacił.

Sam odwrócił się ku niej. Cienie wewnątrz kaptura skrywały jego twarz, ale potrafiła wyczytać agresję z reakcji jego ciała.

– Zapłaci za wszystko! – warknął.

Celaena zauważyła wówczas, że niektóre dziewczyny płaczą, inne drżą, a jeszcze inne wpatrują się w przestrzeń niewidzącymi oczami. Tak, Farran był tu nieraz i wykorzystywał ów pokój, by wykonać brudną robotę dla Jayne'a. Przypominał w ten sposób wszystkim, by nie próbowali rozgniewać władcy podziemnego świata. Ile okropności widziały lub przynajmniej słyszały te dziewczęta?

Gdy Celaena i Sam wyszli z Krypt, z podziemi wciąż dochodziły wrzaski.

Planowała powrót do domu, ale Sam namówił ją, by udali się do publicznego parku położonego wzdłuż brzegu Avery przy zamożnej dzielnicy. Spacerowali przez jakiś czas po wysypanych żwirem ścieżkach, aż Sam usiadł ciężko na ławce i spojrzał na nurt rzeki. Ściągnął kaptur i potarł twarz wielkimi dłońmi.

– My nie jesteśmy tacy – wyszeptał przez palce.

Celaena spojrzała na niego, a potem usiadła obok. Wiedziała dokładnie, o co mu chodzi. Ta sama myśl pulsowała jej w głowie przez cały czas. Szkolono ich w sztuce zabijania, okaleczania i torturowania. Wiedziała, jak obłupić człowieka ze skóry tak, by przy tym nie umarł. Wiedziała, co zrobić, by człowiek utrzymał przytomność podczas długich godzin przesłuchania. Wiedziała, jak zadać ból tak, by ofiara nie wykrwawiła się na śmierć.

Arobynn uczył jej tej sztuki wedle niezwykle sprytnej metody. Sprowadzał najgorsze typy ludzkie – gwałcicieli, morderców czy zwykłych zabójców mordujących niewinne osoby – a potem zmuszał do zapoznania się ze wszystkimi informacjami, które zgromadził na ich temat. Kazał jej czytać o ich przeszłości, aż dziewczynę ogarniała furia i marzyła tylko o tym, by zadać im ból. Przekuwał jej gniew w śmiercionośną broń, a ona mu na to pozwalała.

Przed wydarzeniami w Zatoce Czaszek robiła wszystko, co jej kazał, i rzadko kiedy kwestionowała jego polecenia. Udawała, że ma jakiś kodeks moralny. Okłamywała samą siebie i twierdziła, że skoro torturowanie nie sprawia jej przyjemności, nie jest z nią źle, ale... Ale wciąż pamiętała ową komnatę w podziemiach Twierdzy i krew spływającą po pochyłej podłodze do otworu odpływowego.

– Nie możemy być tacy jak oni – rzekł Sam.

Ujęła jego dłonie i odsunęła je od jego twarzy.

– Nie jesteśmy tacy jak Farran. Wiemy, jak torturować, ale nie czerpiemy z tego przyjemności. Na tym polega różnica.

Sam spoglądał na łagodny nurt Avery zmierzającej ku morzu. Jego brązowe oczy były zamglone.

– Nigdy nie protestowaliśmy, gdy Arobynn kazał nam torturować.

– Nie mieliśmy wyboru. Teraz go mamy.

Po opuszczeniu Rifthold już nigdy nie będą musieli podejmować takich decyzji. Będą mogli wówczas stworzyć własny kodeks moralny.

Sam zwrócił oczy w jej stronę. W jego spojrzeniu widać było bezbrzeżną udrękę.

– Ale zawsze w głębi serca cieszyłem się, gdy zły człowiek dostawał to, na co zasługiwał.

– Ja też – szepnęła. – Tak, ja też się cieszyłam. My jednakże znamy granicę i pozostajemy po jednej stronie. Ludzie tacy jak Farran granic

nie uznają.

Nie byli tacy jak Farran. Sam nie był taki jak Farran. Celaena była o tym przekonana. Sam nigdy nie stanie się kimś takim. Nigdy też nie będzie taki jak ona. Czasami się zastanawiała, czy on w ogóle zdaje sobie sprawę, jak bardzo mroczna i okrutna potrafiła się stać ona, Celaena Sardothien.

Sam oparł głowę o jej ramię.

– Myślisz, że po śmierci zostaniemy ukarani za to, co robiliśmy za życia?

Dziewczyna spojrzała na przeciwny brzeg rzeki, gdzie wznosiły się zaniedbane domy i doki.

– Myślę, że po śmierci bogowie nie będą mieli pojęcia, co z nami począć – odparła.

Sam zerknął na nią, a w jego oczach błysnęło rozbawienie.

Celaena uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi i świat przez ułamek sekundy wydawał się taki, jak należy.

Ostrzony sztylet zgrzytał, a przez dłonie pracującej Celaeny przechodziły drżenia. Sam siedział na podłodze nieopodal niej i wodził palcami po mapie miasta, studiując rozkład ulic. Ogień w kominku rzucał naokoło rozedrgane cienie i przepędzał chłód nocy.

Powrócili do Krypt i ujrzeli Farrana wsiadającego ponownie do powozu. Śledzili go przez resztę popołudnia, jak ponownie udaje się do banku i innych miejsc, między innymi do domu Jayne'a. Celaena pozostawiła Sama i przez dwie godziny próbowała dowiedzieć się jak najwięcej o szefie Farrana. Chciała raz jeszcze przyjrzeć się kamienicy i sprawdzić, dokąd gangster chadza. Przez te dwie godziny nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Jayne w ogóle nie wyszedł z domu i Celaena ograniczyła się do zlokalizowania na ulicy jego tajnych ochroniarzy.

Sam chciał zabić Farrana w następną noc. Ustalili, że największe szanse na powodzenie ataku zyskają w chwili, gdy ofiara będzie w powozie w drodze z domu Jayne'a do któregoś z miejsc, gdzie prowadził interesy. Cały dzień jeżdżenia po mieście z pewnością zmęczy Farrana i łatwiej będzie go można zaskoczyć. Nim się zorientuje, co się dzieje, ujrzy własną krew.

Sam miał włożyć strój zaprojektowany dla niego przez wynalazcę z Melisande, który sam w sobie był istnym arsenałem. W rękawy

wbudowano wysuwane ostrza, buty skonstruowano tak, by pomagały podczas wspinaczki, a dzięki staraniom Celaeny serce Sama zasłaniał niemożliwy do przebicia skrawek pajęczego jedwabiu.

Celaena oczywiście miała własny kombinezon, ale nie korzystała z niego często. Mistrz z Melisande powrócił już do siebie i gdyby trzeba było któryś z ich kombinezonów naprawić, nikt w Rifthold nie potrafiłby się tym zająć. Zlecenie zabójstwa Farrana było jednakże jedną z tych sytuacji, w których opłacało się mieć na sobie strój od wynalazcy z Melisande. Sam dodatkowo chciał zabrać kilka noży i sztyletów, które Celaena właśnie ostrzyła. Zbadała stopień naostrzenia na własnej dłoni i uśmiechnęła się ponuro, czując ukłucie bólu.

– Można nim ciąć powietrze – powiedziała, wsunęła sztylet do pochewki i odłożyła go na bok.

– Cóż – rzekł Sam, nie odrywając oczu od mapy. – Miejmy nadzieję, że nie będę musiał się zbliżyć, by zrobić z niego użytek.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Sam wypuści jedynie cztery strzały – pierwsze dwie miały wyeliminować woźnicę oraz służącego, a trzecia zabić Farrana. Dzięki czwartej miał się upewnić, że gangster naprawdę nie żyje.

Celaena rozpoczęła ostrzenie kolejnego sztyletu.

– Układasz plan ucieczki? – spytała, wskazując mapę ruchem podbródka.

– Zaplanowałem już wiele – rzekł Sam i przysunął mapę bliżej.

Ustanawiając dom Jayne'a punktem centralnym, Sam wybrał kilka miejsc, z których mógł wypuścić strzały. Z każdego z nich wybiegały dziesiątki dróg ucieczki.

– Przypomnij mi raz jeszcze, dlaczego w tym nie uczestniczę? – spytała.

Sztylet w jej rękach brzęknął przeciągle.

– Bo będziesz się pakować.

– Pakować? – Celaena na moment zapomniała o sztylecie.

Sam na powrót zwrócił uwagę na mapę. Po chwili powiedział bardzo ostrożnie:

– Zarezerwowałem nam miejsce na statku płynącym na południowy kontynent. Ruszamy za pięć dni.

– Na południowy kontynent.



Sam pokiwał głową wciąż wpatrzony w mapę.

– Jeśli mamy wyrwać się z Rifthold, trzeba będzie opuścić cały kontynent.

– Nie to ustaliliśmy. Mieliśmy się przenieść do innego miasta na tym kontynencie. Na tym! A co zrobimy, jeśli na południu działa jakaś inna Gildia Zabójców?

– Wtedy postaramy się do nich przyłączyć.

– Nie mam zamiaru płaszczyć się przed jakąś bezsensowną gildią i podlegać rozkazom byle zabójcy, który ma o sobie wysokie mniemanie!

Sam przyjrzał się jej.

– Problemem jest odległość czy twoja zraniona duma?

– Jedno i drugie! – Dziewczyna z trzaskiem odłożyła sztylet i osełkę na dywan. – Miałam ochotę przenieść się do miasta takiego jak Banjali, Bellhaven czy Anielle, a nie na całkiem nowy kontynent! Przecież my mało co wiemy o tym miejscu! Nie na tym opierał się nasz plan!

– Przynajmniej znajdziemy się poza zasięgiem imperium Adarlanu.

– Mam gdzie imperium!

Sam wyprostował się i wsparł się na dłoniach.

– A może przyznaj po prostu, że chodzi o Arobynna?

– Nie. Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Ponieważ jeśli przeniesiemy się na inny kontynent, Arobynn nigdy nas nie znajdzie, a ty chyba nie jesteś w pełni na to gotowa.

– Mój układ z Arobynnem...

– No właśnie? Co z nim? Zakończył się? Czy to dlatego nie powiedziałaś mi o jego wczorajszej wizycie?

Jej serce zamarło.

– Zatrzymał mnie dziś na ulicy, gdy śledziłaś Jayne'a – ciągnął Sam. – Wydawał się zaskoczony tym, że nie wspomniałaś o jego wizycie. Opowiedział mi również o tym, co się naprawdę wydarzyło, gdy znalazł cię półmartwą na brzegu rzeki, gdy byliśmy jeszcze dziećmi.

Sam wychylił się ku niej. Ich twarze niemalże się stykały.

– I wiesz, co mu powiedziałem?

Celaena czuła jego gorący oddech.

– Że nic mnie to nie obchodzi. On jednakże nadal próbował mnie zwieść i odebrać mi wiarę w ciebie. Po jego odejściu udałem się prosto

do doków i opłaciłem rejs na pierwszym statku, który mógłby nas zabrać z tego przeklętego kontynentu. Jak najdalej od Arobynna, bo ten człowiek nigdy nie da nam spokoju, nawet gdy wystąpimy z Gildii.

Dziewczyna przełknęła ślinę.

– Powiedział ci wszystko? O tym... O tym, skąd pochodzę?

Sam zapewne dostrzegł coś w jej oczach, gdyż nagle pokręcił głową, a jego ramiona opadły.

– Celaeno, gdy będziesz gotowa, by powiedzieć mi prawdę, zrobisz to. Ja zaś, bez względu na to, kiedy ten dzień nastąpi, będę zaszczycony tym, że ufasz mi aż tak bardzo. Do tego czasu jednakże nie jest to moja sprawa. Arobynna również nie. To wyłącznie twój problem.

Celaena oparła czoło o jego własne. Napięcie w ich ciałach nagle zaczęło mijać.

– Co zrobimy, jeśli przeprowadzka na południowy kontynent okaże się błędem?

– Wtedy przeniesiemy się gdzie indziej. Będziemy wędrować, aż natrafimy na miejsce, które jest nam przeznaczone.

Dziewczyna zamknęła oczy i nabrała tchu, by się uspokoić.

– Będziesz się ze mnie śmiał, jeśli ci powiem, że się boję?

– Nie – odparł cicho. – Nigdy.

– Może powinnam wypróbować twoją sztuczkę. – Dziewczyna znów nabrała tchu. – Nazywam się Celaena Sardothien i nie będę się bać.

Sam roześmiał się wówczas. Jego oddech musnął jej wargi.

– Myślę, że powinnaś to powiedzieć z większym przekonaniem.

Otworzyła oczy i ujrzała, że się jej przygląda. Na twarzy młodzieńca widziała mieszaninę dumy, podziwu i uczucia tak otwartego, że naraz ujrzała ów odległy kraj, który miałby stać się ich domem, ujrzała oczekującą ich przyszłość i ów błysk nadziei na obiecane szczęście, którego zawsze obawiała się pragnąć. Nawet jeśli ów południowy kontynent był wielką zmianą w ich planach... Cóż, Sam miał rację. Nowy kontynent to nowy początek.

– Kocham cię – rzekł Sam.

Celaena otoczyła go ramionami i przytuliła mocno, wdychając jego zapach.

– Nienawidzę pakowania – mruknęła.

## Rozdział szósty

Następnego nocy Celaena nie mogła się oprzeć wrażeniu, że zegar na kominku się zatrzymał. Nie było innego wytłumaczenia, gdyż nigdy dotąd w jej życiu minuta nie trwała tak długo.

Od dwóch godzin usiłowała czytać, ale nie mogła się skupić. Nie przykuł jej uwagi nawet skrajnie grzeszny romans. Nie frapowały jej karty, odłożyła atlas, z którego próbowała się dowiedzieć czegoś o południowym kontynencie, nie smakowały jej słodycze, które ukryła przed Samem w kuchni. Oczywiście miała segregować rzeczy, które chciała spakować. Gdy zaczęła narzekać, że to ciężkie, niewdzięczne zadanie, Sam posunął się do wywleczenia z szaf wszystkich kufrów podróży. Potem stwierdził, że nie ma zamiaru podróżować z tuzinami par butów, i poradził, by kazała je sobie przysłać po znalezieniu nowego domu. Po tym wszystkim najmądrzej było po prostu wyjść. Udał się więc, by zabić Farrana.

Nie miała pojęcia, dlaczego nie mogła zabrać się do pakowania. Przecież dziś rano rozmawiała już z handlarzem nieruchomości. Powiedział jej, że trudno będzie sprzedać takie mieszkanie, ale dziewczyna oznajmiła, że się jej nie spieszy, i obiecała, że skontaktuje się z nim po znalezieniu nowego domu.

Nowego domu.

Celaena westchnęła, gdy drgnęła wskazówka. Minęła cała minuta.

Farran miał bardzo chaotyczny plan dnia, w związku z tym należało liczyć się z tym, że Sam będzie musiał czekać kilka godzin, aż wyjdzie z domu. A może już wykonał zadanie i musi się gdzieś przyczaić, by nikt nie trafił tu w ślad za nim?

Celaena upewniła się, że sztylet wciąż leży obok niej na kanapie, a potem po raz setny tego wieczoru rozejrzała się wokół siebie, sprawdzając, czy ukryta broń nadal znajduje się we właściwym miejscu.

Nie miała zamiaru sprawdzać, jak Sam sobie radzi. Chciał wykonać to zadanie samodzielnie. Poza tym mógł być teraz wszędzie.

Kufry leżały przy oknie.

Może powinna zabrać się do pakowania. Po załatwieniu Jayne'a będą musieli jak najszybciej wejść na pokład statku. Oczywiście chciała, by cały świat dowiedział się, że to Celaena Sardothien stoi za zabójstwem, ale wyjazd z Rifthold był w jej najlepszym interesie.

Wyjazd, nie ucieczka.

Wskazówka znów drgnęła. Upłynęła kolejna minuta.

Celaena podniosła się z jękiem i podeszła do biblioteczki. Zaczęła zdejmować książki i układać je w najbliższym pustym kufrze. Wiedziała, że tymczasem musi pozostawić meble oraz większość butów, ale nic nie zmusiłoby jej do przeprowadzki bez wszystkich książek.

Zegar wybił jedenastą i Celaena wyszła na ulicę, mając na sobie kombinezon z Melisande, a pod ręką spory arsenał innej broni.

Sam już dawno powinien był wrócić. Co prawda ustalili, że rozpocznie go szukać dopiero o północy, ale być może wpadł w jakieś tarapaty i dziewczyna nie miała zamiaru czekać ani minuty dłużej.

Myśl o tym, że coś zagraża Samowi, zmroziła ją, więc rzuciła się biegiem w stronę domu Jayne'a.

W slumsach panowała cisza, ale nie było w niej nic niecodziennego. Celaena czuła na sobie spojrzenia dziwek, bosonogich uliczników i ludzi, którzy próbowali zarobić kilka uczciwych miedziaków, ale ci widzieli jedynie rozpuźzony cień. Wyteęzała słuch, chcąc pochwycić jakiegokolwiek strzępy rozmowy bądź plotki o śmierci Farrana, ale nie usłyszała niczego ważnego.

Zwolniła i zaczęła się skradać. Jej kroki były niemalże niesłyszalne na bruku, Zbliżała się do zamożnej dzielnicy, gdzie wznosił się dom Jayne'a. Na ulicach widziała kilka zamożnych par najprawdopodobniej wracających z teatru, ale ani śladu zamieszania. W zasadzie nie powinno jej to dziwić, bo gdyby Farran został zabity, Jayne z pewnością chciałby utrzymać to jak najdłużej w tajemnicy.

Obeszła całą dzielnicę, sprawdzając wszystkie miejsca, w których Sam wyznaczył kryjówki. Nigdzie nie widziała śladów krwi ani walki. Odważyła się nawet przejść po drugiej stronie ulicy, przy której stał dom Jayne'a. Posiadłość była jasno oświetlona i wydawała się niemalże radosna. Wszyscy strażnicy stali na stanowiskach i wydawali się niemalże znudzeni.

Być może Sam dowiedział się, że Farran nie wychodzi tego wieczoru

z domu. Być może po prostu minęła się z nim w drodze. Nie będzie zadowolony, gdy się dowie, że wyszła go szukać, ale przecież dla niej zrobiłby to samo.

Celaena westchnęła i popędziła do domu.

## Rozdział siódmy

**S**ama nie było w domu.

Zegar na kominku wskazywał pierwszą w nocy.

Celaena stała przed kominkiem, w którym dopalały się szczapy drewna, i wpatrywała się w zegar, zastanawiając się, czy przypadkiem nie odczytała błędnie godziny. Ten jednakże tykał beztrąsko. Dziewczyna wyciągnęła zegarek kieszonkowy, ale on również wskazywał pierwszą. Potem dwie po pierwszej. Następnie pięć...

Dorzuciła drewna, odpięła miecz i sztylety, ale kombinezonu na wszelki wypadek nie zdejmowała.

Gdy zegar wybił drugą w nocy, uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu chodzi tam i z powrotem przed kominkiem.

Sam zaraz wróci do domu.

Lada chwila.

Ciche uderzenie zegara wyrwało ją ze snu. Nie miała pojęcia jak i kiedy zasnęła na kanapie. Była czwarta.

Czwarta.

Postanowiła, że zaraz znów uda się na poszukiwania. Może Sam postanowił spędzić noc w Twierdzy Zabójców? Wydawało się to mało prawdopodobne, ale przypuszczalnie była to najbezpieczniejsza kryjówka po zgładzeniu Rourke'a Farrana.

Celaena zamknęła oczy.

Jej oczy piekły, oślepięte blaskiem świtu. Dziewczyna pospiesznie pokonała slumsy, a potem zapuściła się do zamożnej dzielnicy. Przyjrzała się każdemu kamieniowi, każdej ciemnej uliczce, każdemu dachowi. Wszędzie szukała choćby najmniejszego śladu Sama.

Potem udała się nad rzekę.

Bała się nawet głośno odetchnąć. Wędrowała wzdłuż brzegu rzeki okalającej dzielnicę biedoty. Rozglądała się za jakimkolwiek śladem po Farranie lub... lub...

Lub...

Nie odważyła się dokończyć tej myśli, choć zrobiło jej się niedobrze, gdy przeszukiwała brzegi, doki i ścieki.

Na pewno czeka w domu. Potem ją zbeszta, wyśmieję i wyciąuję.  
Potem ona załatwi w nocy Jayne'a, wejdą na statek i odpłyną.

Będzie czekał w domu.

Będzie w domu.

W domu.

Nastało południe.

Nie mogła w to uwierzyć, ale to nie była pomyłka. Jej zegarek był odpowiednio nakręcony i od lat ani razu nie pokazał niewłaściwej godziny.

Szła po schodach. Jej nogi wydawały się raz lekkie, a uderzenie serca później ciężkie jak z ołowiu. Obiecała sobie, że zajrzy do środka tylko na moment, by się przekonać, czy wrócił.

W powietrzu wisiała ogłuszająca cisza potężna niczym spieniona fala, z którą ścigała się od wielu godzin. Wiedziała, że gdy cisza wreszcie na nią spadnie, wszystko ulegnie zmianie.

Stała przed drzwiami i wbiła w nie wzrok.

Były uchylone.

Z jej ust wyrwał się zduszony jęk. Nawet nie zauważyła, kiedy otworzyła drzwi na oścież i wpadła do środka. Chciała na niego nawrzeszczeć. Chciała go wyciąować. I znowu wrzeszczeć. Wrzeszczeć aż do utraty tchu. Jak on śmiał...

Na kanapie siedział Arobynn Hamel.

Celaena zatrzymała się jak wryta.

Król Zabójców podniósł się powoli. Dziewczyna ujrzała wyraz jego oczu i wiedziała, co usłyszy, kiedy ten otworzy usta.

– Przykro mi – szepnął.

Wtedy cisza spadła na nią.

## Rozdział ósmy

Nieświadoma tego, co robi, podeszła do kominka.

– Uznali, że nadal mieszka w Twierdzy – rzekł Arobynn. Nadal mówił tym okropnym szeptem. – Podrzucili go jako ostrzeżenie.

Zdjęła zegar z półki nad kominkiem.

– Celaeno – szepnął Arobynn.

Zabójczyni z furią cisnęła zegarem o przeciwległą ścianę. Rozbił się z trzaskiem, a jego kawałki potłukły zastawę ustawioną na stoliku pod ścianą i roztrąciły srebrny serwis do herbaty, który kupiła dla siebie.

– Celaeno – powtórzył Arobynn.

Dziewczyna wpatrywała się w zniszczony zegar i potrzaskane talerze. Cisza nie miała końca. Wiedziała, że koniec nigdy nie nastąpi, zawsze będzie tylko początek.

– Chcę zobaczyć jego ciało.

Nie była pewna, czy głos, który wydobył się z jej ust, należał do niej.

– Nie – rzekł łagodnie Arobynn.

Celaena odwróciła się ku niemu.

– Chcę ujrzeć ciało! – warknęła, odsłaniając zęby.

Arobynn pokręcił głową. Jego srebrne oczy były szeroko otwarte.

– Nie, nie chcesz.

Musiała się stąd ruszyć. Musiała gdzieś pójść, bo jeśli tego nie zrobi... Jeśli choćby usiadzie...

Wyszła na zewnątrz i ruszyła w dół po schodach.

Ulice wyglądały tak jak zawsze, niebo było czyste, a jej włosy mierzwiły podmuchy wiatru znad Avery. Musiała gdzieś pójść. Może... Może przynieśli ciało kogoś innego. Może Arobynn się pomylił. Może kłamał.

Wiedziała, że idzie za nią. Trzymał się kilka kroków z tyłu, gdy szła przez miasto. Zauważyła również, że po drodze dołączył do nich Wesley, który zawsze strzegł Arobynna i nigdy nie tracił czujności. Co chwilę spowijała ją cisza. Czasami znikwała i wtedy Celaena słyszała rżenie mijającego ją konia, wołanie ulicznika czy śmiech dzieci.



Czasami nie słyszała nic.

To był błąd.

Nawet nie spojrzała na zabójców strzegących żelaznych bram Twierdzy, na dozorcę, który otworzył przed nią wielkie, podwójne drzwi, ani na innych zabójców, którzy kręcili się blisko głównego wejścia i obrzucali ją spojrzzeniami pełnymi wściekłości i żalu.

Zwolniła, by pozwolić Arobynnowi i eskortującemu go Wesleyowi zaprowadzić ją na miejsce.

Znów otoczyła ją cisza, a wraz z nią zewsząd dopadły ją myśli. Tak, Arobynn z pewnością się mylił. Wkrótce dowie się, gdzie trzymają Sama – gdzie go ukrywają – a potem zrobi wszystko, by go uwolnić. Następnie wyrznie ich wszystkich.

Arobynn zszedł z nią kamiennymi schodami na końcu holu. Prowadziły one do piwnic, lochów i tajnego pokoju narad.

Buty szorowały o kamienne stopnie. Arobynn szedł przed nią. Wesley trzymał się z tyłu.

Dotarli na sam dół, a potem szli wąskim, ciemnym korytarzem. Zmierzali do drzwi znajdujących się niedaleko wejścia do lochów. Celaena wiedziała, co się za nimi kryje. Tam trzymano ciała członków Gildii, zanim je... Nie, to na pewno było nieporozumienie.

Arobynn wyjął brzęczący pęk i wsunął właściwy klucz do zamka, ale zawahał się przed otwarciem drzwi.

– Proszę, Celaeno. Lepiej na to nie patrz.

Odepchnęła go i wcisnęła się do środka.

Niewielki kwadratowy pokój oświetlony był dwiema pochodniami. W środku było jasno na tyle, by ujrzeć...

Ujrzeć...

Krok po kroku zbliżała się do ciała na stole. Nie wiedziała, na co najpierw patrzeć.

Na powykęcane palce? Na poparzenia czy precyzyjnie wycięte rany na ciele? Na twarz, tak dobrze sobie znaną, choć zrobiono wszystko, by nie udało się jej rozpoznać?

Ziemia zakółysała się pod jej stopami, ale udało się jej powstrzymać przed upadkiem. Podeszła do stołu i przyjrzała się nagiemu, okaleczonemu ciału, które było dla niej...

Które było dla niej...

Farran się nie spieszył. Twarz Sama, choć okaleczona, nie

zdradzała jednak ani bólu, ani rozpaczy.

Czy to był jakiś sen? A może mimo wszystko trafiła do piekła? Nie mogła przecież żyć w świecie, w którym Samowi wyrządzono tak wielką krzywdę. Nie mogła pogodzić się z tym, że przez całą noc biegała jak idiotka, gdy on cierpiał torturowany przez Farrana, który wyrwał mu oczy i...

Celaena zwymiotowała na podłogę.

Kroki. Dłonie Arobyinna na jej ramionach. Jego ręce wokół jej talii, odciągające ją do tyłu.

Nie żył.

Sam nie żył.

Nie mogła go pozostawić w tym ciemnym, zimnym pomieszczeniu.

Wyrwała się z objęć Arobyinna. Bez słów odpięła płaszcz i nakryła nim Sama, zasłaniając zadane mu z takim rozmysłem rany. Wspięła się na drewniany stół i ułożyła się wokół niego, otaczając go ramieniem i przytulając mocno.

Ciało nadal emanowało tym samym zapachem co zawsze. Wyczuwała też woń taniego mydła, którego musiał używać, bo zabrała mu swoje lawendowe.

Celaena ukryła twarz w jego zimnym sztywnym ramieniu. Wtedy wyczuła osobliwą, nieprzyjemną, pizmową woń, tak bardzo niepasującą do niego, że o mały włos znów by zwymiotowała. Zapach bił z jego złotobrzowych włosów i jego zmiażdżonych, sinych ust.

Nie miała zamiaru go opuścić.

Oddalające się kroki. Potem trzask zamykanych drzwi.

Celaena zamknęła oczy. Nie opuści go.

Nie opuści.

## Rozdział dziewiąty

Celaena obudziła się w łóżku, które kiedyś należało do niej, ale wcale już tego nie czuła. Czegoś zabrakło w jej świecie, czegoś ważnego. Odpędziła sen i po dłuższej chwili przypomniała sobie, co uległo zmianie.

Mogłaby pomyśleć, że to początek zwykłego dnia w Twierdzy, że nadal jest protegowaną Arobynna, że nadal rywalizuje z Samem i przez resztę życia będzie się cieszyć z tytułu Zabójczyni Adarlanu. Uwierzyłaby w to, gdyby nie uświadomiła sobie, że z jej ulubionych przedmiotów w sypialni pozostało niewiele. Większość znajdowała się w jej mieszkaniu po drugiej stronie miasta.

Sam nie żył.

Rzeczywistość otoczyła ją i całkowicie pochłonęła.

Nie wstała z łóżka.

Wiedziała, że czas płynie, gdyż światło powoli przesunęło się na ścianach. Wiedziała, że świat nadal istnieje, obojętny na śmierć młodego mężczyzny, nieświadomy, że on w ogóle istniał, oddychał i kochał ją. Nienawidziła świata za to, że nadal trwał. Przyszło jej do głowy, że jeśli nigdy nie wstanie z łóżka i nie wyjdzie z tego pokoju, może nie będzie musiała trwać wraz z nim.

Wspomnienie twarzy Sama zaczęło się powoli zacierać. Czy jego oczy były bardziej złote, czy bardziej brązowe? Nie pamiętała i nie miała już szans na to, by się tego dowiedzieć.

Już nigdy nie ujrzy jego warg. Nigdy nie usłyszy jego śmiechu. Nigdy nie usłyszy, jak wymawia jej imię tak, jakby oznaczało coś szczególnego, coś o wiele ważniejszego niż tytuł Zabójczyni Adarlanu.

Nie chciała wkraczać do świata, w którym już go nie było. Patrzyła więc na przesuwające się światło i nie obchodziło jej to, że świat trwał bez niej.

Trzech mężczyzn rozmawiało szeptem po drugiej stronie drzwi. Celaena otworzyła oczy i odkryła, że musiała zasnąć. W pokoju zapanowały ciemności, a na zewnątrz migotały światła miasta.

– Jayne i Farran będą się spodziewać odwetu – powiedział jeden z

ludzi. Był to Harding, jeden z bardziej uzdolnionych zabójców i jej zaciekle rywal.

– Ich ochrona będzie postawiona w stan gotowości – rzekł Rybitwa, starszy zabójca.

– No to załatwimy ochronę, wykorzystamy zamieszanie i wykończymy Jayne’a i Farrana – odezwał się trzeci. Był to Arobynn.

Celaena z trudem przypominała sobie, że wyniósł ją z ciemnego pokoju cuchnącego śmiercią i ułożył w łóżku, ale nie wiedziała, czy nastąpiło to godzinę, rok, czy sto lat temu.

Stłumione odpowiedzi Rybitwy i Hardinga, a potem...

– Uderzymy dziś – warknął Arobynn. – Farran mieszka w tym domu. Jeśli dobrze to zaplanujemy, zabijemy ich obu w pościeli.

– Wejście na drugie piętro to nie bułka z masłem – sprzeciwił mu się Harding. – Dom jest strzeżony od zewnątrz. Jeśli nie uda nam się wdrzeć od frontu, możemy spróbować dostać się do środka przez okienko na drugim piętrze. Można tam wskoczyć z dachu sąsiedniego domu.

– Taki skok może się bardzo źle skończyć – zaprotestował Rybitwa.

– Dość – przeciął rozmowę Arobynn. – To ja zadecyduję, w jaki sposób się wdrzemy. Reszta ma być gotowa w trzy godziny. Ruszamy o północy. I przekaz, by nikt nie pisnął ani słowa! Ktoś musiał powiadomić Farrana, skoro ten zastawił pułapkę na Sama. Nie mówcie o niczym nawet własnym służącym.

Celaena usłyszała pomruki aprobaty, a potem kroki oddalających się zabójców. Gdy w zamku zazgrzytał klucz, zamknęła oczy i uspokoiła oddech. Rozpoznała równy, emanujący pewnością siebie krok Króla Zabójców. Wyczuła jego zapach, gdy stanął przy łóżku, by się jej przyjrzeć. Poczowała jego długie palce gładzące jej włosy, a potem policzek.

Potem usłyszała, jak zamyka drzwi i odchodzi. Otworzyła oczy. Emanacja miasta była dość jasna i ujrzała, że na drzwiach założono nowy zamek otwierany tylko z zewnątrz.

Została zamknięta.

Nie chcieli, by poszła z nimi? Nie chcieli, by wzięła udział w zemście za każdy torturowany cal ciała Sama? Za każdą sekundę bólu?

Farran był mistrzem tortur, a trzymał Sama przez całą noc.

Celaena usiadła. Kręciło jej się w głowie. Nie pamiętała, kiedy

ostatni raz coś zjadła, ale jedzenie mogło poczekać. Wszystko mogło poczekać.

Bo za trzy godziny Arobynn i jego zabójcy mieli rozpocząć akcję odwetową. Mieli obrabować ją z jej prawa do zemsty i z satysfakcji, jaką przyniesie jej zamordowanie Farrana, Jayne'a i każdego, kto stanie jej na drodze. Nie miała zamiaru im na to pozwolić.

Podkraǳła się do drzwi i upewniła, że zostały zamknięte na klucz. Arobynn dobrze ją znał. Wiedział, że kiedy otrząśnie się z rozpacz, zacznie działać.

Próby rozbicia zamka były z góry skazane na niepowodzenie. Nawet gdyby jej się udało, wiedziała, że na zewnątrz czuwał przynajmniej jeden zabójca. Musiała więc skorzystać z okna.

Okno nie było zamknięte, ale znajdowała się na drugim piętrze i wysokość była przerażająca. Gdy spała, ktoś ściągnął z niej kombinezon i przebrał ją w koszulę nocną. Przetrzaśnięła komodę w poszukiwaniu kombinezonu – buty przecież zaprojektowano, by pomagały we wspinaczce – ale znalazła jedynie dwie czarne tuniki, spodnie w tym samym kolorze i zwykłe czarne buty. To wystarczy. Nie bez powodu zaślubiła sobie na miano Zabójczyni Adarlanu.

Nie widziała żadnej broni, ale długie lata życia w tym pokoju wreszcie miały się na coś przydać. Powoli, ostrożnie podniosła dwa panele, za którymi dawno temu ukryła cztery sztylety. Zatknęła dwa z nich za pasem, a pozostałe wsunęła do butów. Potem wyciągnęła dwa identyczne miecze, które schowała wśród drewnianych elementów łóżka, gdy miała czternaście lat. Ani sztylety, ani miecze nie były dobrej jakości, ale dziś musiały wystarczyć.

Przypięła broń, splotła włosy, poprawiła płaszcz i narzuciła kaptur na głowę.

Najpierw zabije Jayne'a, a potem zawlecze Farrana w jakieś miejsce, gdzie będzie mogła zająć się nim odpowiednio długo. Może nawet przez kilka dni. Kiedy już spłaci dług, a ból Farrana przestanie jej sprawiać przyjemność, pochowa Sama i wyśle go w podróż w zaświaty ze świadomością, że został pomszczony.

Uchyliła okno i rozejrzała się po dziedzińcu. Mokry od rosy bruk połyskiwał w blasku lamp, a strażnicy przy bramie byli skupieni na pilnowaniu ulicy.

Dobrze.

To było jej polowanie i jej zemsta. Tylko jej.

We wnętrzościach Celaeny płonął czarny ogień, który rozchodził się po całym ciele. Wskoczyła na parapet i wyslizgnęła się na zewnątrz.

Jej palce odnalazły szczelinę między dużymi, białymi kamieniami. Nie spuszczać oka ze strażników przy odległej bramie, zeszła po ścianie domu na sam dół. Nikt jej nie zauważył, nikt nawet na nią nie spojrział. W Twierdzy panowała cisza, lecz była to cisza przed burzą, którą mieli rozpętać Arobynn i jego zabójcy z chwilą rozpoczęcia polowania.

Wylądowała miękko, buty niemalże bezgłośnie zetknęły się z mokrym brukiem. Strażnicy byli tak skupieni na obserwacji ulicy, że nawet nie zauważyli, gdy ruszyła w stronę płotu niedaleko stajni.

Przemykanie się wśród cieni było dla niej równie łatwe jak oddychanie. Niespodziewanie ktoś złapał ją za ramię i cisnął o ścianę stajni. Dziewczyna w okamgnieniu wyciągnęła sztylet.

Twarz Wesleya była wykrzywiona furją. Zęby połyskiwały w ciemnościach.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – szepnął i zacisnął mocniej ręce na jej ramionach, nie zważając na to, że zabójczyni przytknęła mu sztylet do gardła.

– Zejdź mi z drogi! – wycharczała, ledwie rozpoznając swój głos. – Arobynn nie ma prawa mnie zamykać!

– Nie mam na myśli Arobynna! Rusz głową, Celaeno!

Jakaś część jej osobowości – ta, która znikła w chwili, gdy roztrzaskała zegar – uświadomiła sobie, że od tej chwili nikt nie zwrócił się do niej po imieniu.

– Zejdź mi z drogi! – powtórzyła i mocniej przycisnęła sztylet do szyi Wesleya.

– Wiem, że chcesz się zemścić – wydyszał. – Ja też, za to, co on zrobił Samowi. Dobrze cię znam...

Machnęła sztyletem. Wesley odskoczył w ostatniej chwili i ostrze zamiast jego szyi przecięło powietrze.

– Czy ty niczego nie rozumiesz? – spytał błagalnym tonem. Jego oczy połyskiwały. – To przecież...

W sercu Celaeny eksplodował ogień. Zawirowała, wykorzystując technikę, której latem nauczyła się od Niemego Mistrza, i wyrznęła

Wesleya głowicą sztyletu w głowę. Osunął się na ziemię, a Celaena rzuciła się do biegu, nim znieruchomiał. Przeskoczyła nad nim i znikła w ciemnościach.

Była ogniem. Była ciemnością. Była pyłem, krwią i cieniem.

Pędziła ulicą. Mroczny ogień pochłonał jej myśli i uczucia, pozostawiając jedynie wściekłość i świadomość zemsty. Każdy krok był szybszy od poprzedniego.

Skrecała w kolejne uliczki i przeskakiwała mury.

Wyrznie ich wszystkich.

Biegła coraz szybciej, zbliżając się do owej pięknej kamienicy przy cichej ulicy, chcąc dopaść dwóch ludzi, którzy rozszarpali jej świat na strzępy.

Musiała jedynie dopaść Jayne'a i Farrana. Reszta się nie liczyła. Arobynn powiedział, że obaj będą spali. Oznaczało to, że musiała się przedrzeć przez straż przy bramie, drzwiach wejściowych i na pierwszym piętrze, nie licząc tych, którzy z pewnością będą stali przy ich sypialniach.

Na szczęście istniał łatwiejszy sposób, bezpieczniejszy, który nie wymagał budzenia Farrana i Jayne'a, do czego by doszło, gdyby straż przy drzwiach podniosła alarm. Harding mówił coś o oknie na drugim piętrze, przez które można było wskoczyć do środka. Harding doskonale skakał, ale ona była lepsza od niego.

Po minięciu kilku ulic wspięła się na dach najbliższego domu i podjęła bieg. Bez trudu przeskakiwała z jednego dachu na drugi.

Przez ostatnie dni przechodziła obok domu Jayne'a wiele razy i zapamiętała, że uliczki oddzielające go od sąsiednich budynków liczą sobie około piętnastu stóp szerokości.

Przypomniała sobie, że na drugim piętrze w istocie znajduje się okno wychodzące na którąś z bocznych uliczek. Nie miała pojęcia, w którą stronę się otwierało. Wystarczało jej to, że tą drogą dostanie się do środka bez zwracania uwagi ochrony na pierwszym piętrze.

Szmaragdowy dach domu Jayne'a zamigotał. Celaena wyhamowała. Miała przed sobą szeroki, płaski odcinek dachu, a potem całą szerokość ulicy. Jeśli się rozpędzi i dobrze obliczy skok, wpadnie przez okno do środka. Okno było szeroko otwarte, ale zasłonyzasłony uniemożliwiały zajrzenie do środka.

Zaslepiła ją nienawiść, ale ćwiczony przez lata instynkt dał o sobie

znać i dziewczyna odruchowo przyjrzała się sąsiednim dachom. Dlaczego Jayne nie rozstawił strażników na dachach okolicznych domów? Ze względu na arogancję czy głupotę? Ci na ulicy nawet na nią nie spojrzeli.

Celaena odwiązała płaszcz i pozwoliła mu miękko opaść na dach. Nie chciała, by o coś zahaczył. Nie miała zamiaru umierać, nim wykończy Jayne'a i Farrana.

Stała na szczycie trzypiętrowej kamienicy i spoglądała na okno na drugim piętrze po drugiej stronie ulicy. Oszacowała dystans i szybkość spadania, upewniła się, czy jej miecze są należycie przypięte. Okno było szerokie, ale nie mogła dopuścić do tego, by broń zawadziła o ramę okienną. Cofnęła się, by móc się należycie rozpędzić.

Gdzieś na tym piętrze spali Jayne oraz Farran. Gdzieś w tym domu obaj zabili Sama.

Może po zamordowaniu ich obu rozwali cały dom na kawałki, cegła po cegle?

Uśmiechnęła się. Podobał jej się ten pomysł.

Potem nabrała tchu i rzuciła się do biegu.

Dach liczył nie więcej niż pięćdziesiąt stóp. Po przebiegnięciu tego dystansu miała się odbić i wylądować w przeciwległym oknie lub roztrzaskać się na ulicy.

Rozpędzała się.

Czterdzieści stóp.

Nie było tu miejsca na błąd. Nie było miejsca na strach czy smutek, nie było miejsca na nic poza oślepiającą furją i gochłodnym, gobezlitosnym wyrachowaniem.

Trzydzieści stóp.

Pędziła jak strzała.

Dwadzieścia.

Dziesięć.

Widziała już ulicę. Przepaść wydawała się większa, niż sobie to wyobrażała.

Pięć.

Nie pozostało w niej nic, co skłoniłoby ją do zmiany decyzji.

Skoczyła.



## Rozdział dziesiąty

**Z**imny pocałunek nocnego powietrza na twarzy, błysk lamp ulicznych odbijający się od mokrego bruku, blask księżyca na szybach okna, ku któremu zmierzała, dłonie sięgające już po sztylety...

Pochyliła głowę i napięła mięśnie. Wpadła do środka, zrywając zasłony, uderzyła o podłogę i się przetoczyła.

W ułamku sekundy uświadomiła sobie, że znalazła się w samym środku licznego spotkania. Było to niewielkie pomieszczenie z kwadratowym stołem, przy którym siedzieli Jayne, Farran i kilku innych ludzi. Tuzin strażników już formował najeżony bronią szereg zasłaniający jej ofiary.

Zasłony były tak grube, że przesłoniły światło w pokoju, przez co wyglądał on na ciemny i opuszczony. Niezła sztuczka.

Dla Celaeny nie miało to jednak znaczenia. Była pewna, że i tak ich pozabija. Jeszcze na ziemi cisnęła wyszarpniętymi z butów sztyletami. Uśmiechnęła się złowieszczo, słysząc jęki umierających strażników. Zaświstało powietrze przecinane jej mieczami.

Pierwszy z ochroniarzy gangsterów rzucił się do ataku i umarł ułamek sekundy później, gdy klinga miecza przebiła jego serce. Każdy człowiek między nią i Farranem był jedynie przeszkodą bądź bronią, tarczą lub pułapką.

Zawirowała, tnąc kolejnego człowieka. Zauważyła obu gangsterów – Jayne zerwał się i rozdziawił usta, ale Farran nadal siedział przy stole i uśmiechał się, a jego ciemne oczy błyszczały. Uśmiech dziewczyny stał się jeszcze bardziej mroczny.

Wepchnęła ostrze miecza w pierś strażnika i sięgnęła po trzeci sztylet.

Jayne nadal się gapił, gdy nóż wbił się w jego szyję aż po rękojeść.

W pokoju rozpętało się istne pandemonium. Drzwi stanęły otworem i do środka wpadło jeszcze więcej ochroniarzy. Celaena wyszarpnęła miecz z piersi strażnika. Przecież od chwili, gdy wpadła przez otwarte okno, minęło ledwie dziesięć sekund. Czyżby czekali w pogotowiu?

Dwóch ludzi rzuciło się na nią. Miecze zabójczynie zamigotały,

rozbryzgując krew.

Pomieszczenie nie było duże. Od Farrana, który nadal siedział i przyglądał się jej z dzikim zachwytem, dzieliło ją może dwadzieścia stóp.

Padło jeszcze trzech strażników.

Ktoś cisnął w nią sztyletem. Odtrąciła go mieczem. Trafiony klingą sztylet zawirował i wbił się w nogę innego strażnika. Nie planowała tego, ot, szczęśliwy zbieg okoliczności.

Padło dwóch kolejnych strażników.

Od stołu – i siedzącego po drugiej stronie Farrana – dzieliło ją zaledwie kilka kroków. Nawet nie spojrzał na ciało Jayne'a który osunął się na blat obok niego.

Z korytarza wciąż wbiegali strażnicy, ale ci mieli na twarzach dziwne czarne maski ze szklanymi oczodołami. Niektórzy z nich przesłonili sobie usta tkaniną.

Wtedy zaczął wydobywać się dym i ktoś zatrzasnął drzwi. Celaena wypatroszyła kolejnego strażnika i zerknęła na Farrana – w porę, by ujrzeć, że i on nasuwa maskę.

Dym pachniał w charakterystyczny sposób. Znała ów zapach. W ten sposób pachniało ciało Sama.

Ktoś zamknął okno, odcinając dopływ świeżego powietrza. Dym kłębił się wszędzie.

Oczy ją piekły, ale mimo to sięgnęła po ostatni sztylet, ten, który miał utknąć w czaszce Farrana.

Świat zachwiał się gwałtownie.

„Nie”.

Nie wiedziała, czy powiedziała to słowo, czy tylko je pomyślała, ale rozbrzmiało ono echem w ciemności, która rozwarła się, by ją pochłonąć.

Kolejny strażnik z maską skoczył, by ją pochwycić. Wyprostowała się i wbiła miecz w jego bok. Krew zbryzgała jej dłoń, ale nie puściła miecza. Nadal trzymała też sztylet, który uniosła do rzutu, celując w głowę Farrana.

Dym jednakże wdzierał się we wszystkie pory jej ciała, wnikał do płuc, oplatał mięśnie. Chciała napiąć mięśnie do rzutu, ale jej ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz, a świat przesłoniła mgła.

Zatoczyła się, wypuszczając sztylet. Kolejny z ochroniarzy

zamachnął się mieczem, ale chybił i odciął jedynie końcówkę warkocza. Włosy rozsypały się, tworząc złocistą falę. Celaena padała na ziemię powoli, bardzo powoli. Farran nadal się uśmiechał.

Kolejny strażnik uderzył ją pięścią w brzuch i wybił jej powietrze z płuc. Cofnęła się bezwładnie, a wtedy inna pięść, twarda niczym granit, uderzyła ją w twarz. Posypały się następne ciosy – w szczękę, plecy, żebra. Było ich tyle i padały tak szybko, że ból nie mógł nadążyć. Osuwała się, nadal wdychając dym.

Czekali na nią. Owo okno zapraszająco otwarte tak szeroko, ów dym, maski... Każdy szczegół był elementem planu. Wpadła prosto w zasadzkę.

Pograżała się w mroku.

– Nikt nie ma prawa jej tknąć – odezwał się jakiś mężczyzna spokojnym, znudzonym głosem. – Ma być żywa.

Kilka silnych dłoni obszukało jej ciało, zabierając ukrytą broń, a potem posadziło ją i oparło o ścianę. Do pokoju wpadło świeże powietrze, ale Celaena prawie wcale go nie poczuła. Jej zdrętwiałą twarz przeszło mrowienie.

Niczego nie czuła. Nie mogła się poruszyć. Była całkiem sparaliżowana.

Udało jej się otworzyć oczy. Ujrzała klęczącego przed nią Farrana, który nadal uśmiechał się niczym kot. Dym umknął już na zewnątrz i gangster ściągnął maskę.

– Witaj, Celaeno – mruknął.

Ktoś ją zdradził. Nie Arobynn. Za bardzo nienawidził Jayne'a i Farrana. Najprawdopodobniej zdradził ją ktoś należący do Gildii, Ktoś, kto najbardziej skorzystałby na jej śmierci. Na pewno nie Arobynn.

Ciemnoszare ubranie Farrana było nieskazitelnie czyste.

– Czekałem na to spotkanie od paru lat, wiesz? – rzekł. Mówił radosnym głosem, jakby nie widział stosów trupów dookoła. – Szczerze powiedziawszy – ciągnął, pozerając wzrokiem każdy cal jej ciała.

Celaenie zrobiło się niedobrze od jego spojrzenia.

– Szczerze powiedziawszy, jestem tobą rozczarowany. Wpadłaś prosto w pułapkę. Nie przemyślałaś dobrze tej interwencji, prawda? – Farran uśmiechnął się znów. – Zawsze trzeba się liczyć z potęgą

miłości. A może chodziło ci o zemstę?

Nie mogła ruszyć nawet palcem. Nawet mrugnięcie przychodziło jej z trudem.

– Nie martw się. Odrętwienie wywołane gloriellą już powoli mija, choć upłynie przynajmniej sześć godzin, nim będziesz mogła na powrót chodzić. Przynajmniej, podkreślam. Tyle to mniej więcej trwało w przypadku twego towarzysza po tym, jak go złapałem. Gloriella to skuteczne narzędzie. Unieruchamia ludzi bez konieczności stosowania kajdan, dzięki czemu tortury stają się dla mnie o wiele przyjemniejsze, nawet jeśli ofiara nie potrafi wrzeszczeć.

Na bogów, gloriella. Ta sama trucizna, którą Ansel dodała do kadzidła, by unieruchomić Niemego Mistrza. Farran jakoś złapał Sama, przywłókł go tutaj, otumanił dymem i... teraz zamierzał torturować ją. Potrafiła znieść wielki ból, choć wiedziała, że w pewnym momencie pęknie. Widziała rany Sama i pamiętała, do jakich okrucieństw Farran potrafi się posunąć. Przypomniała sobie ciało ukochanego. Gdyby nadal panowała nad własnym, rozerwałaby Farranowi gardło zębami.

Jej jedyną nadzieją było to, że Arobynn wraz z resztą zabójców miał wkrótce zaatakować. To, że przypuszczalnie zdradził ją ktoś z Gildii, nie miało znaczenia. Gdy Arobynn zobaczy, co Farran zaczął jej robić, utrzyma go przy życiu tylko po to, by ona sama mogła go wypatroszyć. Nie miała zamiaru się z tym spieszyć.

Farran odsunął jej włosy z oczu i założył je za uszy. Tę dłoń też zmiażdżył tak samo, jak Farran metodycznie zmiażdżył dłońe Sama. Za plecami gangstera ochrona wywlekała ciała zabitych przez nią ludzi. Nikt nie tknął ciała Jayne'a wciąż leżącego na stole.

– Jesteś naprawdę piękna – mruknął Farran.

Musnął palcem jej policzek, a potem szczękę.

Wściekłość dziewczyny przekształciła się w żywą istotę miotającą się w jej wnętrzu zaciekle walczącą o najmniejszą nawet szansę na uwolnienie.

– Już wiem, czemu Arobynn trzymał cię jako pupilkę tak długo. – Jego palec znalazł się niżej i przesunął po jej szyi. – Ile ty właściwie masz lat?

Zabójczynie wiedziała, że Farran właściwie nie oczekuje odpowiedzi. Spojrzała w jego ciemne głodne oczy. Nie będzie go błagać o litość.

Skoro ma umrzeć, umrze z godnością, wciąż drżąc z wściekłości. Może... może przytrafi się jej szansa, by go zamordować.

– Kusi mnie, by zatrzymać cię dla siebie – rzekł Farran i musnął kciukiem jej usta. – Może zamiast cię oddać, powinienem zabrać cię na dół i... – Pokręcił głową. – Cóż, ale przecież nie tak się umówiłem, prawda?

W jej głowie pojawiły się dziesiątki pytań, ale język wciąż się opierał. Dziewczyna nie mogła nawet otworzyć ust.

– Umierasz z ciekawości, co? Chciałabyś się dowiedzieć, o jaką umowę chodzi? Zaraz, ciekawe, czy pamiętam wszystkie szczegóły... Zabijamy Sama Cortlanda – recytował Farran. – Wtedy ty wpadasz w szal, wdzierasz się tutaj, zabijasz Jayne’a – ruchem głowy wskazał ogromne ciało na stole – a ja zajmuję jego miejsce.

Muskał jej szyję. Zmysłowa pieszczota obiecywała nieskończone tortury. Z każdą sekundą odrętwienie nieco ustępowało, ale Celaena nadal nie panowała nad własnym ciałem.

– Szkoda, że musisz wziąć na siebie winę za śmierć Jayne’a. Król będzie zachwycony takim darem.

Król. Farran nie miał zamiaru jej torturować ani zabić. Chciał ją oddać królowi, by ten odwrócił wzrok od jego działalności. Celaena mogła znieść ból i wytrzymać tortury, których zapowiedź widziała w oczach Farrana, ale król... Odepchnęła tę myśl. Nie mogła teraz o tym myśleć.

Musiała się stąd wydostać.

Farran zapewne dostrzegł panikę w jej oczach, gdyż uśmiechnął się i zacisnął dłoń na jej szyi. Wyostrzone paznokcie nakłuły jej skórę.

– Nie bój się, Celaeno – szepnął jej do ucha, wbijając paznokcie głębiej. – Jeśli król pozwoli ci żyć, będę twoim dłużnikiem po wsze czasy. Przecież włożyłaś władzę w moje ręce.

Na jej ustach zamarło jedno pytanie, ale nie była w stanie go wyartykułować, choć próbowała ze wszystkich sił.

Kto?

Kto zdradził ją tak podle? Mogła zrozumieć to, że ludzie jej nienawidzili, ale Sama? Przecież wszyscy uwielbiali Sama, nawet Wesley...

Wesley. Próbował jej coś powiedzieć, a na jego twarzy nie było rozdrażnienia, ale żal i wściekłość, skierowane nie na nią, lecz na

kogoś innego. Czyżby Arobynn posłał Wesleya, by ten ją ostrzegł? Harding, ów zabójca, który mówił o oknie, zawsze zazdrościł jej pozycji dziedziczki Arobynna. Co więcej, przekazał jej szczegółowe informacje o tym, którędy się włamać... Tak, to z pewnością on. Może Wesley domyślił się prawdy w chwili, gdy Celaena wydostawała się z Twierdzy. Istniało jeszcze jedno wyjaśnienie, ale o nim nie mogła nawet myśleć.

Farran cofnął się i rozluźnił ścisk na jej gardle.

– Bardzo żałuję, że nie będę mógł się z tobą ani chwili pobawić, ale obiecałem, że nie wyrządę ci krzywdy.

Przechylił nieco głowę i przyjrzał się obrażeniom, które już odniosła.

– Myślę, że kilka stłuczonych żeber i rozciętą wargę da się jakoś wytłumaczyć.

Wyciągnął zegarek z kieszeni.

– Niestety już jedenasta. Czas zarówno na ciebie, jak i na mnie.

Jedenasta. Arobynn i reszta wyruszą dopiero za godzinę, a Harding, jeśli w istocie jest zdrajcą, zrobi wszystko, by ich opóźnić. Czy Arobynn ma jakiejkolwiek szanse, by wyciągnąć ją z królewskich lochów? Czy kiedykolwiek uda jej się wyrwać na wolność, gdy ustąpią efekty działania glorielli?

Farran nadal patrzył jej prosto w oczy, promieniejąc z zachwyty. A potem bez ostrzeżenia uderzył ją z rozmachem w twarz.

Celaena najpierw usłyszała uderzenie, a potem poczuła piekący ból, na szczęście niezbyt dokuczliwy. Była wdzięczna za odretwienie, tym bardziej że w jej ustach natychmiast rozlał się żelazisty smak krwi.

Farran z gracją podniósł się z przykłąku.

– To za plamy krwi na dywanie.

Jej głowa była odwrócona na bok, ale mimo to udało jej się zmierzyć gangstera wściekłym spojrzeniem. Farran wygładził szarą tunikę i pochylił się, by wyprostować jej głowę. Na usta znów powrócił uśmiech.

– Cudownie by się nad tobą pracowało – oznajmił i wyszedł z pokoju, gestem dając znać trzem wysokim, dobrze ubranym mężczyznom. Z pewnością nie byli to zwykli ochroniarze. Gdzieś tę trójkę już widziała, choć nie mogła sobie w tej chwili przypomnieć gdzie.

Jeden z nich podszedł bliżej, uśmiechając się szeroko mimo śladów

rzezi wszędzie dookoła. Celaena zdążyła zauważyć głowicę jego miecza, ale nie mogła nic poradzić. Mężczyzna uderzył ją w głowę i świat zalała ciemność.

## Rozdział jedenasty

Celaena obudziła się z pulsującym bólem głowy.

Nie otwierała oczu, pozwalając, by inne zmysły zbadały otoczenie, nim zdradzi światu, że się przebudziła. Nie miała pojęcia, gdzie się znalazła. Wiedziała tylko, że to ciche, wilgotne i zimne miejsce, cuchnące pleśnią i nieczystościami.

Zanim otworzyła oczy, była pewna trzech rzeczy.

Po pierwsze, minęło przynajmniej sześć godzin, gdyż mogła poruszyć palcami rąk i nóg. To wystarczyło, by wiedzieć, że odebrano jej całą broń.

Po drugie, skoro upłynęło przynajmniej sześć godzin, a Arobynn i reszta jej nie odbili, znajdowała się w lochach zamkowych lub gdzieś pod domem Jayne'a, gdzie czekała na przewiezienie w inne miejsce.

Po trzecie, Sam nadal był martwy, a jej wściekłość stała się elementem gry tak podłej i brutalnej, że nie potrafiła zmusić swej obolałej głowy, by to zrozumiała.

Sam nadal był martwy. Ona zaś znalazła się w jakimś lochu.

Otworzyła oczy i przekonała się, że się nie myli. Leżała w celi na nadgniłym sienniku wypełnionym słomą, przykuta łańcuchami do ściany. Ciężkie kajdany mocowały jej kostki do podłogi. Łańcuchy były na tyle długie, że mogła podejść do brudnego kubła w rogu i się tam załatwić.

To było pierwsze upokorzenie, które musiała znieść.

Opróżniwszy pęcherz, rozejrzała się po celi. Nie miała żadnych okien ani szczelin między żelaznymi drzwiami i progami. Niczego też nie słyszała – z zewnątrz nie dobiegał żaden odgłos. Mogła być wszędzie – nadal pod domem Jayne'a, w zamkowych lochach, w miejskim więzieniu, gdziekolwiek...

Miała wyschnięte usta, a język był sztywny jak kołek. Oddałaby wszystko za kubek wody, która zmyłaby smak krwi. Była również rozpaczliwie głodna, a pulsujący ból głowy rozsadzał jej czaszkę.

Została zdradzona przez Hardinga lub kogoś jego pokroju, przez człowieka, który skorzysta na jej zniknięciu na zawsze, bez nadziei na



powrót. A Arobynn nadal jej nie ocalił.

Ale na pewno jeszcze ją znajdzie. Musi ją znaleźć.

Sprawdziła dokładnie łańcuchy – przyjrzała się ich mocowaniom do ściany i podłogi, obejrzała każde ogniwo, ostukała zamki. Wszystko mocne i solidne. Obadała każdy kamień w celi w poszukiwaniu takiego, który może posłużyć jako broń. Nie znalazła niczego. Z jej włosów wyciągnięto szpilki, przez co musiała zapomnieć o próbie otwarcia zamka. Guziki czarnej tuniki były zbyt małe, by mogły się do czegokolwiek przydać.

Gdyby strażnik wszedł do celi, być może zdołałaby wykorzystać łańcuchy. Mogłaby go udusić, pozbawić przytomności lub przetrzymać jako zakładnika, aż ktoś by ją uwolnił.

Może...

Zazgrzytały zawiasy otwieranych drzwi i w progu stanął jakiś człowiek. Za nim weszło trzech innych.

Miał na sobie czarną tunikę obszytą złotą nicią. Jeśli był zaskoczony tym, że się zbudziła, nie dał tego po sobie poznać.

Straż królewska.

A więc znalazła się w lochach zamkowych.

Strażnik stojący na progu położył tacę z jedzeniem na podłodze i pchnął ją ku niej. Dziewczyna zauważyła wodę, chleb i kawałek sera.

– Obiad – rzekł nowo przybyły.

Ani on, ani nikt z jego towarzyszy nie wszedł do celi. Zdawali sobie sprawę z zagrożenia.

Celaena spojrzała na tacę. Obiad. Jak długo tu siedzi? Czy rzeczywiście minął niemal cały dzień, a Arobynn nadal jej nie odbił? Przecież na pewno znalazł Wesleya, a ten opowiedział mu o ich spotkaniu. Bez wątplenia wiedział, co się z nią stało.

Strażnik przyglądał się jej. Celaena uniosła głowę.

– Z tych lochów nie da się uciec – rzekł. – A te łańcuchy wykonano z adarlańskiej stali.

Wpatrywała się w niego. Był w średnim wieku, może miał czterdzieści lat. Nie nosił żadnej broni, co było kolejnym środkiem ostrożności. Zazwyczaj strażnicy królewscy rozpoczynali służbę jako młodzi mężczyźni, a kończyli, gdy byli zbyt starzy, by walczyć. Oznaczało to, że ów człowiek miał za sobą wiele lat ćwiczeń i treningów. Było zbyt ciemno, by przyrzeć się pozostałym trzem, ale

Celaena była przekonana, że nie posłaliby do niej żóltodziobów.

Starszy strażnik być może miał na celu zniechęcić ją do prób wyrwania się na wolność, ale najprawdopodobniej miał rację. Nikt nigdy nie wydostał się z zamkowych lochów i nikt nigdy do nich niezauważony nie przeniknął.

Skoro upłynął cały dzień, a Arobynn do tej pory jej nie uwolnił, ona również się stąd nie wydostanie. Skoro zdrajca znalazł sposób na oszukanie jednocześnie jej, Sama i Arobynna, z pewnością utrzyma miejsce jej pobytu w tajemnicy przed Królem Zabójców.

Zresztą po śmierci Sama w świecie nie było już nic, o co warto byłoby walczyć. Świat Zabójczyni Adarlanu powoli się rozsypywał. Dziewczyna, która rzuciła wyzwanie władcy piratów i całej jego wyspie, która ukradła asteriońskiego rumaka i gnała na nim po plaży na skraju Czerwonej Pustyni, która siedziała na dachu i patrzyła na słońce wstające znad Avery, dziewczyna, w której tętniło życie, znikła na zawsze.

Straciła wszystko, a Arobynn nie przybywał.

Zawiodła.

Co gorsza, zawiodła Sama. Nie zabiła nawet człowieka, który w tak okrutny sposób odebrał mu życie.

Strażnik przestąpił z nogi na nogę. Zabójczyni uświadomiła sobie, że gapi się na niego.

– Jedzenie jest czyste – powiedział żołnierz, wyszedł z celi i zatrzaskał drzwi.

Celaena wypija wodę i zjadła tyle chleba oraz sera, ile była w stanie. Nie wiedziała, czy jedzenie jest pozbawione smaku, czy może utraciła ten zmysł. Każdy kęs smakował jak popiół.

Gdy skończyła, kopnęła tacę w stronę drzwi. Nie obchodziło jej to, że mogłaby ją wykorzystać w charakterze broni bądź dzięki niej zwabić strażników, by podeszli bliżej.

Bo stąd nie dało się wyjść, a Sam nie żył.

Celaena oparła czoło o zimną, wilgotną ścianę. Nie dopilnuje już jego pochówku. Nawet to jej się nie udało.

Gdy znów nastąpiła straszliwa cisza, Celaena powitała ją z otwartymi ramionami.

Strażnicy byli gadułami. Rozmawiali o wydarzeniach sportowych, o kobietach, o ruchach armii Adarlanu, a przede wszystkim o niej.

Czasami fragment ich rozmowy przenikał przez ścianę ciszy i na moment przykuwał jej uwagę, lecz po chwili znów dawała się porwać bezbrzeżnemu morzu apatii.

– Kapitan się wścieknie, gdy się dowie, że proces odbył się bez niego.

– No i dobrze. Po co się wybierał z księciem na soryjskie wybrzeże? Chichoty.

– Słyszałem, że wraca co koń wyskoczy do Rifthold.

– Po co? Proces ma być jutro. Nawet na egzekucję nie zdąży.

– Myślicie, że to serio Celaena Sardothien?

– Mam wrażenie, że jest w wieku mojej córki.

– Lepiej z nikim o tym nie gadać. Król obiecał, że zachłoscze nas na śmierć, jeśli piśniemy choć słowo.

– Trudno sobie wyobrazić, że to ona. Czytaliście listę jej ofiar? Nie ma końca!

– Myślicie, że pomieszało jej się w głowie? Niby spogląda na ciebie, ale tak naprawdę to patrzy na wskroś, no nie?

– Założę się, że ktoś po prostu ma beknąć za śmierć Jayne'a. Pewnie pochwycili jakąś małą, która ma udawać Sardothien.

Pozostali parsknęli.

– Przecież król ma to gdzieś. A jeśli nie będzie chciała mówić? Jej wina, że jest niewinna.

– Nie sądzę, by to była Celaena Sardothien.

– Słyszałem, że proces i egzekucja mają być tajne. Król nie chce, by ktokolwiek ją widział.

– Wspaniale. I tak oto król odebrał nam widowisko.

– Ciekawe, czy ją zetną, czy powieszą?

## Rozdział dwunasty

Czas mknął. Lochy, zgniła słoma, zimne kamienie, na których wsparła policzek, gadanina straży, chleb, ser i woda. Potem weszło kilku strażników, niektórzy z wycelowanymi kuszami, inni z dłońmi na rękojeściach mieczy. Znów minęły dwa dni. Rzucono w nią jakąś szmatą i wstawiono wiadro z wodą. Kazali jej doprowadzić się do porządku, gdyż czekał ją proces. Posłuchała. Nie protestowała, gdy straż założyła jej nowe kajdany, w których mogła chodzić. Poprowadzono ją przez ciemny, zimny korytarz, w którym rozbrzmiewały echa odległych jęków, a potem weszli po schodach. Przez zakratowane okna przenikały oślepiające, bezlitosne promienie słońca. Szli w górę, aż dotarli do pokoju o ścianach z kamienia i podłodze z wypolerowanego drewna.

Drewniane krzesło było gładkie i wygodne. Wciąż bolała ją głowa oraz miejsca, na które spadły razy ludzi Farrana.

Pomieszczenie było spore, ale skromnie urządzone. Krzesło, na które ją pchnięto, znajdowało się w samym środku, w bezpiecznej odległości od ogromnego stołu, za którym siedziało dwunastu przyglądających się jej ludzi.

Celaena nie była zainteresowana ich imionami ani rolą, którą mieli odegrać. Czuła natomiast ich spojrzenia. Wszyscy ludzie w pokoju – zarówno mężczyźni przy stole, jak i dziesiątki strażników – nie spuszczała z niej oczu.

Powieszenie bądź ścięcie. Dziewczyna poczuła ścisk w gardle.

Walka nie miała sensu. Przynajmniej nie teraz.

Zasłużyła sobie na to z tysięcy powodów. Nie powinna dać się przekonać Samowi. Nie powinna była pozwolić mu na to, by samemu próbował zgładzić Farrana. To była jej wina. I tylko jej. To ona rozpętała to wszystko tego feralnego dnia w Zatoce Czaszek, kiedy to postanowiła sprzeciwić się rozkazom Arobynna.

Otworzyły się niewielkie drzwi z tyłu sali. Wszyscy mężczyźni przy stole się podnieśli.

Załomotały ciężkie buty. Strażnicy prostowali się i salutowali.

Zjawił się król Adarlanu.

Nie chciała na niego patrzeć. Niech zrobi z nią, co chce. Gdyby spojrzała mu w oczy, resztki jej spokoju rozpadłyby się w pył. Lepiej było więc odczuwać pustkę niż drzeć ze strachu przez rzeźnikiem, który zniszczył tak wielkie pałace Erilei. Lepiej było umrzeć obojętną i odrętwiałą. Nie miała ochoty błagać o litość.

Król odsunął dla siebie krzesło i zasiadł. W ślad za nim usiedli ludzie przy stole.

Zapadła cisza.

Drewniana podłoga była tak wypolerowana, że widziała w niej odbicie zawieszzonego wysoko żelaznego kandelabru.

Rozległ się cichy chichot przypominający zgrzytanie kości o kamień. Zabójczyni nie patrzyła na króla, ale wyczuwała jego ogrom. Czuła kłębiącą się wokół niego ciemność.

– Dopiero teraz uwierzyłem w plotki – rzekł król. – Wygląda na to, że strażnicy nie kłamali w kwestii twego wieku.

Miała ochotę zasłonić uszy, by nie słyszeć tego straszliwego głosu.

– Ile masz lat?

Nie odpowiedziała. Sam nie żył i nie mogła nic na to poradzić. Nawet walka, nawet skrajna wściekłość nie przywróciłyby go do życia.

– Rourke Farran przetrzymał cię ciut za długo czy może okazujesz mi nieposłuszeństwo?

Przypomniała sobie twarz Farrana, od której nie mogła odwrócić oczu, szyderczą, uśmiechniętą okrutnie.

– Dobrze więc – rzekł król. W pomieszczeniu zapadła śmiertelna cisza przerywana jedynie szelestem papierów. – Czy zaprzeczasz, że nazywasz się Celaena Sardothien? Jeśli się nie odezwiesz, uznamy twe milczenie za akceptację.

Milczała.

– Radco Rensel, proszę przedstawić zarzuty.

Któryś z mężczyzn odkaslnął i zaczął czytać:

– Celaeno Sardothien, jesteś winna śmierci następujących ludzi.

Litania odebranych przez nią żywotów była długa. Miała wrażenie, że słucha brutalnej historii życia dziewczyny, która odeszła. Arobynn zawsze dokładał wszelkich starań, by świat się dowiedział, że to ona stoi za zabójstwami. Po każdej udanej akcji rozpuszczał wiadomość swoimi sekretnymi kanałami. Jej działalność, dzięki której zasłużyła

sobie na miano Zabójczyni Adarlanu, miała teraz przypieczętować jej los.

Gdy lista dobiegła końca, radca Rensel zapytał:

– Czy sprzeciwiasz się któremuś z zarzutów?

Oddychała powoli, bardzo powoli.

– Dziewczę – rzekł w końcu radca nieco piskliwym głosem. – Brak odpowiedzi z twojej strony zostanie odebrany jako sygnał, że nie zaprzeczasz. Rozumiesz mnie?

Nie chciało jej się nawet kiwnąć głową. I tak było po wszystkim.

– A więc podejmę decyzję co do kary, jaka cię spotka – warknął król.

Rozległy się szepty, zaszeleściły papiery, ktoś zakaszłał. Światło na podłodze zamigotało. Strażnicy w pomieszczeniu nie spuszczaali z niej oczu, trzymając broń w pogotowiu.

Ktoś wstał i ruszył w jej kierunku. Kroki dudniły, szcęknęła wymierzana w nią broń. Rozpoznała te kroki.

– Spójrz na mnie – rozkazał król.

Celaena wpatrywała się we własne buty.

– Spójrz na mnie.

Przecież teraz nie miało to już żadnego znaczenia, nieprawdaż? I tak zniszczył większość Erilei. Zniszczył też kawałek jej samej, nawet o tym nie wiedząc.

– Spójrz na mnie!

Celaena uniosła głowę i spojrzała na króla Adarlanu.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Te czarne oczy były gotowe pożreć cały świat, a twarz wydawała się surowa i ogorzała. Nosił u pasa miecz, którego imię wszyscy znali, i miał na sobie wspaniałą tunikę oraz płaszcz podbity futrem. Jego skroni nie zdobiła korona.

Musiała się stąd wyrwać. Musiała uciec z tego pokoju jak najdalej od niego.

Musiała uciec.

– Czy masz jakieś ostatnie życzenie, nim ogłoszę wyrok? – spytał.

Jego oczy nadal przebijały się przez wszelkie bariery, jakie udawało jej się wznieść. Wciąż czuła smród dymu, który zatruł wszystkie ulice Terrasenu dziewięć lat temu, nadal czuła odór skwierczących ciał i słyszała krzyki obrońców ginących od mieczy króla i jego ludzi, niszczących ostatnie punkty oporu i ostatnie ślady magii.

Nie odpowiedziała. Król zawrócił i podszedł do stołu.

Musiała się stąd wyrwać. Na zawsze. W jej sercu znów zapłonął bezczelny, głupi płomień, który na moment zamienił ją w tę dziewczynę, którą kiedyś była.

– Mam życzenie – odezwała się.

Jej głos, dawno nieużywany, był zachrypnięty.

Król zatrzymał się i spojrzał na nią przez ramię.

Celaena uśmiechnęła się do niego. Znów była dziką, złośliwą dziewczyną.

– Nie bawcie się ze mną.

Nie była to prośba, lecz raczej wyzwanie. Strażnicy i członkowie rady królewskiej poruszyli się niespokojnie. Niektórzy zaczęli mamrotać między sobą.

Król zmrużył nieco oczy i odpowiedział uśmiechem. Była to jedna z najgorszych rzeczy, jakie w życiu widziała.

– Dlaczego? – zapytał, odwracając się ku niej.

Ów zuchwały, głupi ogień zgasł.

– Jeśli prosisz o łatwą śmierć, Celaeno Sardothien, próżne twe nadzieje. Nim umrzesz, musisz się należycie wycierpieć.

Jej świat zakołysał się na ostrzu noża i zaczął się osuwać.

– Skazuję cię na siedmiokrotną karę dożywocia w kopalni soli w Endovier.

Jej krew zamieniła się w lód. Doradcy króla spojrzeli po sobie z niedowierzaniem. Wszystko wskazywało na to, że nikt z nimi tej opcji nie przedyskutował.

– Nadzorcy zostaną poinstruowani, by utrzymać cię przy życiu jak najdłużej, abyś mogła się nacieszyć szczególnym rodzajem cierpień, jakich można doznać jedynie w Endovier.

Endovier.

Potem król się odwrócił.

Endovier.

Ludzie zaczęli wstawać. Król rozkazał, by umieszczono ją w pierwszym wozie, który wyjedzie z miasta. Potem kilku strażników złapało ją za ramiona, a inni wycelowali w nią kusze. Została niemalże wywleczona z sali.

Endovier.

Znów wtrącono ją do lochu. Nie wiedziała, czy spędziła tam kilka minut, godzin, czy cały dzień. Później pojawili się kolejni strażnicy i

poprowadzili ją po schodach ku wciąż oślepiającemu słońcu.

Endovier.

Nowe kajdany. Ciemne wnętrza wozu więziennego. Zgrzyt kluczy w wielu zamkach. Stukot kopyt wielu koni, zarówno tych ciągnących wóz, jak i stanowiących eskortę.

W drzwiach umieszczono niewielkie okienko. Widziała przez nie stolicę i tak dobrze znane sobie uliczki, widziała ludzi, którzy uwijali się we własnych sprawach i gapili się na dobrze strzeżony wóz. Nikogo nie obchodziło, kto może być w środku. Dostrzegła w oddali złocistą kopułę Teatru Królewskiego, wyczuła rześki smak wiatru znad Avery, widziała szmaragdowe dachy i białe fasady kamienic.

Mijali je o wiele za szybko.

Przejechali obok Twierdzy Zabójców, gdzie tak bardzo ćwiczyła, tak bardzo krwawiła i tak wiele straciła. Tam leżało ciało Sama wciąż czekające na pochówek.

Gra dobiegła końca. Przegrała.

Zbliżali się do wyniosłych, alabastrowych murów miasta. Bramy zostały szeroko otwarte, by przepuścić ich wielki orszak.

Gdy wyjechali poza granice miasta, Celaena Sardothien usiadła w kącie wozu i nie podniosła się przez resztę podróży.

Na jednym z wielu szmaragdowych dachów Rifthold stali Rourke Farran i Arobynn Hamel. Patrzyli na wóz więzienny wyjeżdżający pod eskortą z miasta. Chłodny powiew wiatru znad Avery mierzwił im włosy.

– A więc Endovier – zadumał się Farran. Jego ciemne oczy nadal wpatrywały się w wóz. – Zaskakujące zakończenie. Sądziłem, że zamierzałeś ją odbić w wielkim stylu w chwili, gdy kat podniesie topór.

Król Zabójców nie powiedział ani słowa.

– A więc nie masz zamiaru ścigać konwoju?

– Oczywiście, że nie – rzekł Arobynn, przyglądając się nowemu władcy świata przestępczego Rifthold. Poznali się właśnie na tym dachu. Farran szpiegował wtedy jedną z kochanek Jayne'a, a Arobynn... Cóż, Farran nigdy się nie dowiedział, czego Hamel szukał na dachach stolicy w środku nocy.

– Przecież moglibyście ją uwolnić bez najmniejszego trudu w dowolnej chwili – ciągnął Rourke. – Atak na konwój jest o wiele



bezpieczniejszą akcją niż ta, którą początkowo zaplanowałeś, choć przyznaję, że posłanie jej do Endovier ciekawi mnie o wiele bardziej.

– Gdyby interesowało mnie twoje zdanie, Farran, zapytałbym o to.

Farran uśmiechnął się powoli.

– Dobrze by było, gdybyś sobie przemyślał to, jak się do mnie teraz zwracasz.

– Dobrze by było, gdybyś sobie przypomniał, kto ci przekazał władzę.

Farran zachichotał i na długą chwilę zapadła cisza.

– Skoro chciałeś, by odcierpiała swoje, powinienesz być mi ją zostawić. Już po kilku minutach błagałaby, byś ją ocalił. Mało co sprawiłoby mi więcej przyjemności.

Arobynn pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, w jakim rynsztoku dorosłeś, Farran, ale musiał być gorszy od samego piekła.

Farran obrzucił nowego sojusznika lśniącem spojrzeniem.

– A żebyś wiedział. – rzekł. – Dlaczego to zrobiłeś? – spytał po kolejnej chwili ciszy.

Arobynn znów skupił uwagę na wozie, który był już tylko małą plamką wśród wzgórz otaczających Rifthold.

– Bo nie lubię dzielić się własnością – odpowiedział.

## Później

Celaena siedziała w wozie od dwóch dni i przyglądała się plamom światła tańczącym na ścianie. Wstawała tylko po to, by się wypróżnić bądź wziąć podsuwane jej jedzenie.

Uwierzyła w to, że może kochać Sama i nie ponieść za to kary. Tymczasem kupiec handlujący pajęczym jedwabiem powiedział jej kiedyś, że wszystko ma swoją cenę. Nie pomylił się.

Do wnętrza wozu znów wpadły promienie słońca i wypełniły go słabym blaskiem. Wyprawa do kopalni soli w Endovier trwała dwa tygodnie. Z każdą przebytą milą oddalali się coraz bardziej na północ i powietrze stawało się coraz zimniejsze.

Zdarzało się, że zasypiała, choć nie widziała większej różnicy między snami i rzeczywistością. Często budziły ją dreszcze wstrząsające całym ciałem. Straż nie zapewniła jej żadnej ochrony przed chłodem.

Dwa tygodnie w tym ciemnym, cuchnącym wozie, w którym za jedyne towarzystwo służyły jej cienie i plamy światła na ścianach oraz wisząca nad nią cisza. Dwa tygodnie, a potem Endovier.

Oderwała głowę od ściany.

Narastający strach rozpędził ciszę.

Nikt nie wychodził żywy z Endovier. Większość więźniów nie przeżywała nawet miesiąca. Wieziono ją do obozu śmierci.

Jej odrętwiałe palce zaczęły drżeć. Przyciągnęła kolana bliżej klatki piersiowej i oparła na nich brodę.

Cienie i światło nadal tańczyły na ścianach.

Podkscytowane szepty, szelest pospiesznych kroków na zeschniętej trawie, blask księżyca wpadający przez okno.

Nie miała pojęcia, jak udało jej się wstać i podejść do okienka. Jej dawno nieprostowane nogi były przecież zeszywniałe i obolałe.

Strażnicy stali na skraju polany, na której rozbito obóz na noc, i wpatrywali się w gęstwinę drzew. Już pierwszego dnia przekroczyli granicę Dębowej Puszczy. Celaena wiedziała, że przez następne dwa tygodnie podróży na północ będą widzieć jedynie drzewa.

Blask księżyca przeszywał mgłę kłębiącą się nad zasłanym liśćmi mchem. Długie cienie drzew przypominały czające się upiory.

Wśród kolczastych zarośli stał biały jelen.

Celaena zapomniała o oddychaniu. Zacisnęła dłonie na kratkach okna. Zwierzę patrzyło na nich, a jego wspaniałe poroże wydawało się mienić w blasku księżyca niczym wieńce z bielutkiej kości słoniowej.

– Na bogów – szepnął któryś ze strażników.

Jeleń zwrócił ogromną głowę ku wozowi i jego malutkiemu okienku.

Władca Północy.

„Aby ludzie z Terrasenu zawsze potrafili odnaleźć drogę do domu – powiedziała kiedyś Ansel, gdy leżały pod gołym niebem i przyglądały się konstelacji Jelenia. – Aby zawsze i wszędzie mogli spojrzeć w niebo i przekonać się, że Terrasen jest z nimi”.

Wokół nozdrzy jelenia unosiły się kłęby ciepłej pary.

Celaena pochyliła głowę, choć nie spuszczała z niego oczu. Konstelacja czuwała nad nią od tylu lat.

„Aby ludzie z Terrasenu zawsze potrafili odnaleźć drogę do domu...”.

W otaczającej ją ciszy pojawił się wyłom, który rozszerzał się z każdą chwilą. Głębokie, bezdenne oczy jelenia patrzyły na nią.

Ujrzała przebłysk dawno zniszczonego świata, królestwa leżącego w ruinach. Ów jelen nie powinien tu być. Nie powinien przebywać tak daleko od domu i tak blisko stolicy Adarlanu. Jak to możliwe, że umknął myśliwym wysłanym dziewięć lat temu przez króla z zadaniem wymordowania wszystkich świętych białych jeleni z Terrasenu?

Zakrawało to na cud, ale jelen stał przed nią i mienił się niczym pochodnia w blasku księżyca.

Stał przed nią.

Patrzyli na siebie.

Celaena poczuła gorące łzy na policzkach i uświadomiła sobie, że płacze.

Potem usłyszała skrzypnięcia napinanych ściąg, odgłos, którego nie mogła pomylić z żadnym innym.

Jeleń, jej Władca Północy, jej pochodnia wśród mroku, nawet nie drgnął.

Z jej ust wyrwał się ochryply okrzyk, który strzaskał ciszę:

– Uciekaj!

Jeleń nadal się w nią wpatrywał.

Dziewczyna tłukła pięściami w ścianę wozu.

– Niech cię szlag, uciekaj!

Jeleń odwrócił się i rzucił do biegu. Przypominał jasną błyskawicę przemykającą między drzewami.

Brzęknęły cięciwy, zaświstały strzały. Żadna nie trafiła.

Strażnicy zakleli, a wóz zakołysał się, gdy jeden z nich kopnął go z wściekłością. Celaena odsunęła się od okna i cofała się, aż natrafiła na ścianę i osunęła na kolana.

Cisza znikła na dobre. Czuła teraz ból zeszywniałych nóg i ran zadanych jej przez ludzi Farrana, czuła pieczenie nadgarstków i kostek otartych przez żelazne kajdany. Ponad wszystko czuła jednak bezdenną wyrwę w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się Sam.

Wieziono ją do Endovier. Miała stać się niewolnicą w kopalni soli.

Pochłaniał ją strach, zimny i żarłoczny.

## Początek

Celaena Sardothien uświadomiła sobie, że docierają na miejsce, gdy dwa tygodnie później drzewa Dębowej Puszczy ustąpiły miejsca szarej, pofałdowanej równinie, a na horyzoncie zamajaczyły poszarpane góry. Od świtu leżała na podłodze i raz już zwymiotowała. Nie mogła się zmusić, by powstać.

Z oddali dobiegły nowe odgłosy: krzyki i suchy trzask bicza.

Endovier.

Nie była gotowa.

Drzewa zostały z tyłu i światło stało się jaśniejsze. Cieszyła się w duchu, że Sam nie może oglądać jej w takim stanie.

Porwał ją płacz tak gwałtowny, że przycisnęła pięść do ust, by nikt jej nie usłyszał.

Nigdy nie będzie na to gotowa. Nigdy nie będzie gotowa na Endovier i świat bez Sama.

Do środka wpadł podmuch wiatru, rozpędzając zapachy nagromadzone w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Na moment przestała drzeć. Znała smak tego wiatru.

Znała jego chłód, rozpoznała ledwie wyczuwalną woń sosen i śniegu, przypomniała sobie góry, które go zrodziły. To był północny wiatr, wiatr z Terrasenu.

Zrozumiała, że musi wstać.

Świerki, śnieg i leniwe, złociste lato. Miasto świateł i muzyki w cieniu Gór Staghorn. Musi wstać. W przeciwnym razie zostanie pokonana, zanim w ogóle wejdzie do Endovier.

Wóz zwolnił. Koła dudniły na nierównej nawierzchni. Strzelał bicz.

– Nazywam się Celaena Sardothien... – szepnęła w deski podłogi, ale jej wargi drżały tak bardzo, że nie dokończyła.

Ktoś gdzieś zaczął wrzeszczeć. Światło na ścianach zmieniało się i zabójczynie wiedziała, że zbliżają się do jakiegoś ogromnego muru.

– Nazywam się Celaena Sardothien... – spróbowała raz jeszcze. Oddychała nierówno.

Podmuch przerodził się w silny powiew. Zamknęła oczy i pozwoliła,

by porwał popioły martwego świata. Martwej dziewczyny. Wkrótce nie było już nic oprócz czegoś nowego, wciąż mieniacego się czerwienią niczym świeżo uformowana stal.

Celaena otworzyła oczy.

Wejdzie do Endovier. Wejdzie do Piekła. I nie załamie się.

Wsparła dłonie na podłodze i przysunęła kolana bliżej.

Wciąż oddychała. Przeżyła śmierć Sama i uniknęła egzekucji. Przetrwa również niewolę.

Celaena wstała, zwróciła się w stronę okna i wbiła wzrok w rosnący kamienny mur.

Utuli Sama w swym sercu. Niech trwa w nim i oświetla jej najczarniejsze dni. Będzie wówczas wspominać chwile, gdy była kochana, a świat postrzegała tylko jako zbiór możliwości. Bez względu na to, co jej zrobią, tego jednego nigdy jej nie zabiorą.

Nie podda się.

A któregoś dnia... Któregoś dnia, nawet jeśli miałyby to zabrać jej całe życie, dowie się, kto ją zdradził. Dowie się, kto zdradził Sama. Celaena otarła łzy, gdy wóz znalazł się w cieniu tunelu pod murem. Zewsząd dobiegały krzyki, trzask biczów oraz szczęk łańcuchów. Napięła mięśnie, wychwytyjąc wszelkie szczegóły.

Mimo to się wyprostowała.

– Nazywam się Celaena Sardothien – szepnęła. – I nie będę się bać.

Wóz wyjechał z tunelu i się zatrzymał.

Celaena uniosła głowę.

Drzwi zostały otwarte na oścież, a do środka wtargnęło szare światło. Strażnicy, zamazane cienie pośród blasku, sięgnęli po nią. Pozwoliła, by ją złapali i wyciągnęli z wozu.

„Nie będę się bać”.

Celaena Sardothien uniosła głowę i wkroczyła do kopalni soli w Endovier.

Sarah J. Maas

**ZABÓJCZYNI I KSIĘŻNICZKA**

tłum. nieoficjalne

Zimowy dzień był na tyle ciepły, że Celaena Sardothien nie męczyła się z rękawiczkami, jadąc do Rifthold.

Księżniczka Nehemia była jednak bardzo nieszczęśliwa. Mimo to, zaproponowała Celaenie wypad na zakupy do najmodniejszej alei stolicy.

Podróż wozem sprawiała jedynie, że dzień mija szybciej, powiedziała księżniczka. A odkąd zdecydowały się spędzić ten dzień wyłącznie w swoim towarzystwie, młoda kobieta bardzo chciała, by w ten sposób jak najszybciej go zakończyć.

Więc spacerowały po Rifthold, ubrane najcieniej jak się dało, a jednocześnie ciepło, jednocześnie nie wyróżniając się z tłumu. Wykorzystywały czas na chodzenie przez miasto, choć zawarły niepisaną umowę, by trzymać się z dala od doków, magazynów bądź jakichkolwiek innych miejsc, gdzie mogły być żywym dowodem brutalnego podboju prowadzonego przez Adarlan.

Po spędzeniu roku czasu jako niewolnik nie była szczególnie skłonna do zatapiania się w rozmowie o niewoli, wojnie i ogólnej okropności na świecie. Zabójczyni była więcej niż szczęśliwa trzymając się głównych, czystych ulic, gdzie mogły być dwoma kobietami chcącymi wydać nieprzyzwoite sumy pieniędzy.

Nehemia zwiedziła już większość miasta i nie lubiła większości z tego, co zobaczyła, ale pozwalała Celaenie na przejazd obok królewskiego Teatru, wyjście do jej ulubionych piekarni i sklepów ze słodyczami, na wizyty w kilku księgarniach.

Nic więc dziwnego, że w chwili, gdy dotarły do Kavilla, najlepszego projektanta ubrań w Rifthold, Celaena wydała już sporą część swojego miesięcznego wynagrodzenia za pracę jako królewska Obrończyni.

Był to kolejny temat, którego zgodziły się unikać tego dnia.

Dwie młode kobiety zatrzymały się przed sklepem, a Celaena przebiegła wzrokiem po połączanej ramie okalającej szkło. Na wystawie stały dwie sukienki – jedna była w kolorze błękitnym, brzegi materiału miała połączane, a rękawy zakończone turkusową koronką; druga została uszyta z czerwonego aksamitu, długie rękawy



zakończone były ciemną koronką.

– Kavill. – Nehemia przeczytała szyld kołyszący się na wietrze napływającym od rzeki Avery. Księżniczka zmarszczyła brwi, patrząc na Celaenę. – Jest dość... wymyślny – powiedziała w Eyllwe.

Istotnie, za szklaną wystawą Celaena widziała grupkę dobrze ubranych kobiet oferujących porady klientkom szukających potencjalnego towaru do zakupu.

Celaena ukryła grymas niezadowolenia.

Były umówione na prywatną wizytę. Nie tylko dla bezpieczeństwa księżniczki, której osobista straż wlokła się za nimi, lecz także aby pomóc Nehemii – która nienawidziła zakupów, przebierania się i innych "przydatnych" rzeczy – przejść przez to łatwiej.

– Myślę, że jesteśmy kilka minut wcześniej – powiedziała Celaena. Nehemia nadal marszczyła brwi. – Możemy wstąpić do herbaciarni, jeśli chcesz i...

– Nie, nie. Ręce mi zamarzają – powiedziała, zaciskając ręce okryte rękawiczkami w pięści.

Wejdzmy po prostu do środka i poczekajmy.

Minął miesiąc, odkąd Celaena została mianowana królewską Obrończynią – miesiąc, podczas którego musiała zmierzyć się z trudami pozycji, którą zajmowała – lecz w jakiś sposób myśl o wejściu do Kavilla ze zirytowaną Nehemią sprawiła, że Celaena zdenerwowała się. Było jej już żal samego Lee Kavilla... i innych ludzi będących w środku.

– Tylko pamiętaj – powiedziała Celaena w języku Eyllwe, gdy Nehemia skierowała się ku pomalowanym na zielono drzwiom. – Jestem Lillian Gordaina i jestem po prostu...

– Szlachcianką, wiem – dokończyła Nehemia, nie patrząc na nią i weszła do środka.

Celaena podążyła za księżniczką, kiwając głową dwóm strażnikom Nehemii, gdy zajmowali stanowiska: jeden stanął przed sklepem, a drugi ruszył na tyły budynku, by pilnować tylnych drzwi.

Gdyby coś się zaczęło dziać, nikt nie wejdzie do środka i ze środka nie wyjdzie.

Zapach lawendy i mięty w sklepie Kavilla był jednocześnie znajomy i nieznany. Znany z czasów, gdy Celaena Sardothien mieszkała w Rifthold, a to był jej ulubiony projektant. Zapomniany przez rok, który

spędziła w Endovier i miesiące, w czasie których mieszkała w szklanym zamku. Wszystko to sprawiło, że wszystko z przeszłości było w jakiś sposób dziwne i nieznanne.

Lee Kavill, którego Celaena odwiedziła już dwukrotnie, odkąd stała się królewską Obrończynią, stał w otoczeniu kobiet przed przebieralnią ze zwykłym skórzanym notesem pod pachą i szklanym piórem w ręku.

Kavill, mężczyzna po czterdziestce, był przyzwoity, ubierał się w prostotę i elegancją, choć jego sklep oferował sporo ekstrawaganckich strojów. Był spokojny. Nie nieśmiały, lecz spokojny. Zrównoważony. Nie denerwował się i nie pchał, miał też oko artysty znajdującego się na kolorach, fasonach i zmieniających się trendach.

Te oczy otworzyły się nieco szerzej na ich widok, biegnąc od grupki kobiet do jego stanowiska.

Nehemia zatrzymała się tuż przy drzwiach, ale Celaena zrobiła jeszcze kilka kroków po czerwonym dywanie. Kavill podszedł do nich, a zabójczyni uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

– Jesteśmy trochę wcześniej – powiedziała na powitanie – ale będziemy bardziej niż szczęśliwe mogąc poczekać. – Wskazała głową na zielono–złotą, okrągłą kanapę – miejsce to było zazwyczaj zajmowane przez czekające damy, mężów klientek i znudzone dzieci.

Kavill uściśnął im dłonie z uśmiechem. Jego palce były zrogowaciałe tak samo jak jej, lecz odciski i blizny powstały wskutek wieloletniego pracowania igłami i szpilkami, a nie ostrzem.

– Marta powiedziała, że pierwsza prywatna klientka będzie ważna, ale nie miałem pojęcia, że doczekam się takiego zaszczytu. – Gdy skończył, spojrzał na Nehemię i skłonił się. – Jesteście jak najbardziej mile widziane.

Oczywiście rozpoznał księżniczkę. Choć łatwo było Celaenie to zauważyć, nie dało się ukryć, kim jest Nehemia. Nie ze względu na jej ciemno–kremową skórę, lecz dlatego, że Nehemia nosiła się jak księżniczka.

Bez względu na to, gdzie szły i jak się ubierały, Nehemia zawsze wysoko unosiła głowę i miała ten błysk w oku, które od razy mówiły, że w jej żyłach płynie królewska krew. Tak jakby zawsze nosiła niewidzialną koronę.

Celaena wciąż nie była pewna, czy zazdrościła tego księżniczce czy

wręcz przeciwnie czuła litość.

Nehemia skinęła płytko głową – okazała Kavillovi tyle szacunku, na ile zasłużył, jeśli nie więcej, biorąc pod uwagę, że pochodził z chłopskiej rodziny i dorobił się takiej pozycji.

– Mogę zaoferować moje biuro, byście mogli poczekać, jeśli wolicie – powiedział cicho Kavill, zwłaszcza, że niektóre kobiety stojące przy przebieralni zaczęły już przyglądać się nowo przybyłym. – To nie powinno zająć więcej niż kilka minut.

Ten jeden krok, który zrobił w ich stronę zdemaskował go – wyjawiał to, co próbował przed nimi ukryć. Celaena mogła udawać, że Nehemia również tego nie zauważyła.

Dziewczyna mogła być z Fenharrow lub Eyllwe z jej opaloną skórą, ale wokół nadgarstka znajdowały się dwie złote bransolety – kajdanki – które naznaczały ją jako niewolnicę. Złote, pozbawione łańcucha kajdanki, które okalały jej nadgarstki – nigdy nie zostaną rozerwane.

– Możemy pójść gdzie indziej – powiedziała Celaena łagodnie.

Nehemia tylko wpatrywała się w niewolnicę, w jej zmieszany wyraz twarzy. Była porządnie ubrana i wyglądała na dobrze odżywioną, ale kajdanki, tak przerażająco piękne, lśniące w ciepłym świetle... Księżniczka patrzyła się teraz na nie, ale niewolnica spuściła wzrok. Nawet się nie obróciła w ich kierunku.

Celaena potarła własny nadgarstek, cień złudzenia bólu przebiegł przez blizny, które oznaczały jej własne kajdany – żelazo i zadrapania – które kiedyś nosiła. Celaena położyła dłoń na łokciu Nehemii.

– Możemy...

– Nie – powiedziała Nehemia, odwracając się od dziewczyny i obdarzając Kavilla bladym uśmiechem. – Możemy poczekać. Proszę, wracajcie do swojej pracy – powiedziała do niego i usiadła na kanapie.

Celaena powoli usiadła obok, a Nehemia błysnęła swym najradośniejszym uśmiechem. Kiedy wyruszyły w podróż, uzgodniły, że dzisiejszy dzień będzie tylko zabawą – Nehemia pozwoli się Celaenie wystroić. Dzisiaj były tylko dwiema zwykłymi, bezgranicznie szczęśliwymi dziewczynami, które opuściły mury zamku, aby zrobić zakupy.

Celaena odwzajemniła się najpiękniejszym ze swoich uśmiechów.

Kavill powrócił do swoich klientów, łagodnie mówiąca Marta przysłała, aby zabrać ich płaszcze i rękawiczki, a zastąpiła je herbatą z

jaśminu i kilkoma gazetami.

– Taka służba – powiedziała Nehemia, kiedy Marta wymknęła się, aby czuwać nad potrzebami klientów i pomóc Kavillovi w zdejmowaniu miar.

Księżniczka przebiegła wzrokiem po złożonych ścianach, regałach z projektami sukien, wystawach biżuterii, butów, kapeluszy i parasoli.

– Jeśli sprawi to, że poczujesz się lepiej, to zrezygnował on kilkakrotnie z pozycji królewskiego krawca.

Nehemia uniosła zadbane brwi, złota biżuteria, którą założyła, lśniła w świetle szklanych kinkietów w kształcie lilii.

– Nie chcę być... wymagająca – powiedziała Nehemia we wspólnym języku, jakikolwiek ślad jej fałszywego, silnego akcentu znikł. Akcent, jak Celaena się dowiedziała, był tylko po to, by zwodzić dworzan – aby przekonać ich, że jest ociężała umysłowo i sprawić, że będą przy niej swobodniej rozmawiać, myśląc, że nie rozumie. Ale Nehemia mówiła lepiej od najbardziej wykształconych. I wykorzystywała zgromadzoną wiedzę, aby odkryć jakiegokolwiek ciekawostki, którymi mogła manipulować, by pomóc swemu zniewolonemu ludowi.

To dlatego najpierw poszły na zakupy: aby znaleźć suknię, którą królowa Georgina zaakceptuje – suknię, która umożliwi Nehemii spoufalenie się z królową i jej kręgiem, aby zobaczyć, czy jest w stanie pomóc Eyllwe zdobywając przychylność żony króla Adarlanu.

– Po prostu dobrze się bawmy – powiedziała Celaena, biorąc długi łyk herbaty jaśminowej, prawie jęcząc przez jej doskonałość, a następnie poprawiła fałdy leśno-zielonej sukni. Została ona wykonana właśnie tym sklepie – fakt, który Kavill z pewnością już zauważył.

Pięć innych klientek rzuciło tylko kilka ciekawskich spojrzeń, zanim w końcu opuściły sklep w lawinie futer, rękawiczek ze skóry kozłowej i jęków na temat niekończącej się zimy.

Niewolnica nigdy nie uniosła wzroku i Celaena mogła przysiąc, że ręka Nehemii drgnęła, kiedy przechodziła obok – jakby księżniczka rozważała, czy sięgnąć do dziewczyny, a następnie rozmyśliła się. Kiedy w końcu wyszli, Marta zasłoniła kotarami przednie szyby, zapaliła jeszcze kilka kinkietów i zaprowadziła je do jedwabnych kanap znajdujących się przed kurtynami przebieralni.

Kavill przyniósł im kolejny ozdobny dzbanek herbaty jaśminowej, a następnie uzupełnił ich kubki. Po tym jak Celaena wyjaśniła, że

Nehemia potrzebuje co najmniej czterech sukienek, w tym dwóch balowych i żeby wszystkie pasowały do mody adarlańskiej elity, Kavill skrzyżował ręce za plecami i zaczął chodzić po pomieszczeniu, pytając o kolory i tkaniny, które Nehemia preferuje lub nienawidzi, o jej odczucia wobec głębokich lub płytkich dekoltów, jak wielkiej swobody ruchu pragnie i tak dalej, dopóki Celaena nie zaczęła się zastanawiać, czy Nehemia nie ma dość. Ale księżniczka tylko uśmiechała się do smukłego mężczyzny, odpowiadając mu z grubym, kulawym akcentem, którego używała wobec wszystkich z wyjątkiem Celaeny. A potem cierpliwie przesiedziała prezentację kolorów, tkanin, koralików i ściągów.

Dopiero kiedy Kavill i Marta poszli na zaplecze – aby przynieść niebieską suknię identyczną do tej na wystawie – księżniczka sposepniała nieznacznie.

– Sądzę, że wolałbym, gdyby królewski krawiec coś mi przyniósł – powiedziała cicho. – To jest to, czym naprawdę...lubisz się zajmować?

Celaena skrzywiła się, ale jej usta wygięły się w uśmiechu.

– Kiedy mam do tego nastrój, tak. – A teraz, kiedy miała złoto króla wypalające jej dziurę w torebce, byłaby bardziej niż szczęśliwa, mogąc wydać większość. – Zawsze lubiłam ładne rzeczy – sukienki, biżuterię, buty... Przypuszczam, że łatwo odrzucić to jako niepoważne, ale z sukni takich jak te, Kavill czyni dzieło sztuki. To sztuka, matematyka i ekonomia.

Nehemia uniosła brwi, a Celaena wzruszyła ramionami, ale spojrzała w stronę czerwonej, aksamitnej sukienki na wystawie.

– Ta suknia na wystawie – pomyśl o tym, jak Kavill musiał najpierw wymyślić projekt, a następnie zdjąć wymiary, aby prawidłowo dopasować obraz w swojej głowie, następnie znaleźć odpowiedniego dostawcę doskonałego, czerwonego aksamitu i czarnej koronki. Pomyśl o tym, skąd ten aksamit i koronka pochodzą – aksamit z portu w Meah, koronka z Melisande, nici, które trzymają wszystko razem z prządki w Fenharrow. Pomyśl, skąd pochodzą czerwone i czarne barwniki – pomyśl o wszystkich ludziach i miejscach, którzy przyczynili się do powstania tej sukni. To jak mapa kontynentu i każda część opowiada historię i... – Celaena urwała i prychnęła. – Cóż, odłóżmy mapę i historię na bok, choć suknia jest ładna jak cholera.

Nehemia zaśmiała się cicho.

– Myślę, że zaczynam rozumieć. Choć myślę, iż chodzi także o to, że chcesz wyglądać lepiej od wszystkich, moja przyjaciółko.

Celaena zaśmiała się.

– Szkoda, że nie mogę temu zaprzeczyć.

Nehemia uśmiechnęła się.

– Nie przejmuj się. To dlatego cię lubię.

Serce Celaeny zacisnęło się, uśmiech był coraz szerszy.

Kavill i Marta wrócili chwilę później, a niewolnica poprowadziła Nehemię do szatni, aby mogła przymierzyć niebieską suknię.

Rozebranie Nehemii i ubranie w nową suknię zajmie kilka minut, więc Celaena zaczęła oglądać suknie porozstawiane po sklepie.

Wpadła jej w oczy lawendowa suknia obszyta białą koronką, więc zatrzymała się, by dotknąć jedwabiu.

– Taki wspaniały kolor – mruknęła, bardziej do siebie niż do Kavilla, ale podszedł do niej.

– Idealnie wyeksponowałyby kolor twojej skóry – zauważył, podnosząc rękaw trzy-czwarte. Mógłbym je uszyć do pełnej długości, gdybyś zechciała.

Zauważyła, że patrzy na jej rękę, a konkretnie na blizny na jej nadgarstkach pozostawione po kajdanach w Endovier.

W zamku nie musiała udawać szlachcianki, a już na pewno nie wstydziała się swoich blizn, ale... przyciągały uwagę. I pytania.

Rękawy i wysoko zabudowany tył sukien zwykle ukrywały najgorsze ślady pozostawione przez Endovier i dziesięć lat treningów jako zabójczyni – tylko po to, by unikać pytań. Albo litościwych spojrzeń.

– Pomyślę o tym – powiedziała i podeszła do czerwonej sukni z aksamitu stojącej na wystawie.

Znała Kavilla na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie będzie pytał o blizny, bez względu na to, co może podejrzewać.

Zawsze zastanawiała się, czy gdyby wiedział kim i czym naprawdę jest – co myślał o jej relacjach z rudowłosym mężczyzną, który jej tu towarzyszył, chętnie nazywając ją jego najbardziej utalentowaną uczennicą.

Ale Arobynn nie był już częścią jej życia, a gdy przybyła tu jako królewska Obrończyni pierwszy raz, nie pytał o niego. Nie pytał też,

gdzie była. Dlatego właśnie zdecydowała się przyprowadzić do niego Nehemię. Kavill nie plotkował.

Ale czy próbował zapobiec temu, by zobaczyły niewolnicę ze względu na Nehemię, czy samego siebie? Nie chciała wiedzieć.

Nehemia wyszła z przebieralni krzywiąc się, ale Celaena uśmiechnęła się promiennie. Nawet Kavill wydał okrzyk aprobaty.

– No, niech mnie diabli wezmą – powiedziała Celaena, kładąc rękę na biodrze, po tym jak gestem nakazała Nehemii obrócić się. – Jeśli jej nie kupisz, nigdy ci tego nie wybaczę.

– Jest... inna – powiedziała Nehemia we wspólnym języku, ponownie stając twarzą w stronę Celaeny. – Być może coś bardziej subtelnego...

– Nonsens – ucięła Celaena, przeganiając Martę, aby osobiście poprawić sukienkę. – Założysz ją na następny bal królewski i sprawisz, że wszyscy mężczyźni będą ciebie pragnąć. – Rzuciła znaczące spojrzenie w kierunku dużego biustu Nehemii. – I nie waz się zakrywać góry szalem.

Nehemia zachichotała i przeszła na eyllwiański.

– Nigdy nie śmiem sprzeciwić się twojemu bezpośredniemu rozkazowi.

Celaena uśmiechnęła się i odparła we wspólnym języku:

– Dobrze. Zatem weźmiemy jedną – zwróciła się do Kavilla i Marty, którzy stali cicho kilka stóp dalej, robiąc notatki o pomiarach w notesie mężczyzny. – Jakies przemyślenia na temat najbardziej pasującej biżuterii?

Kavill otworzył usta, ale Nehemia mu przerwała używając eyllwiańskiego:

– Mam biżuterię z Eyllwe.

– Nie sądzę, by pasowała.

Nehemia wyprostowała się nieco i przemówiła, wciąż po eyllwiańsku:

– Chciałabym, aby część mnie wciąż przypominała ludziom skąd pochodzę.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę.

Celaena pomyślała o nocy, podczas której Nehemia przysłała do jej pokoju, po tym, jak dowiedziała się o masakrze na pięciuset eyllwiańskich rebeliantach. Jak księżniczka opłakiwała swoich ludzi,

ich bezradność, ich zniewolony świat. Świat, o który Nehemia walczy – dlatego chciała kupić te sukienki i grać rolę powierniczki królowej.

Być może Nehemia pomyślała o tym samym, ponieważ wypuściła długi oddech i powiedziała:

– Może masz rację, Elentyia.

Celaena wątpiła, by Kavill lub Marta zwrócili uwagę na imię, którym zwróciła się do niej księżniczka – niemniej jednak spojrzała na nich. Tylko patrzyli, ich twarze nie wyrażały żadnych emocji z wyjątkiem uprzejmości.

Chcąc dostać biżuterię i akcesoria, by móc je ocenić, Nehemia zwróciła się do nich ze swoim perfekcyjnie udawanym akcentem:

– Pokażcie mi biżuterię.

I tak po prostu zrobili kolejny pokaz. Tym razem była to prezentacja naszyjników, kolczyków i bransoletek, następnie rękawiczek, broszek i ozdób do włosów. A kiedy zadecydowali, co prezentuje się najlepiej, księżniczka to przymierzyła, po czym przebrała się w kolejną suknię. I kolejną i kolejną.

Zegar wybił czwartą, kiedy wybrały suknie, biżuterię i akcesoria dla Nehemii. Marta już dawno wyniosła parujące filiżanki herbaty dla strażników księżniczki czekających na zewnątrz. Wróciła blada i nieco wstrząśnięta, ale przynajmniej filiżanki były puste.

Strażnicy Nehemii nie byli rozmownymi typami – i mieli w sobie coś zabójczego.

Księżniczka wsuwała do ust ciasteczka, podczas gdy Celaena znowu spacerowała po sklepie, oglądając różne sukienki. Miała już zamówioną liliową i koronkową, a od kiedy Kavill pobrał jej najnowsze wymiary, nie zawracała sobie głowy przymierzaniem, jedynie przykładała je do ciała, upewniając się, że naprawdę pasuje jej materiał i kolor.

Zatrzymała się przed suknią z czerwonego aksamitu znajdującą się na wystawie i przebiegła palcami wzdłuż spódnicy. Nie było w niej ani halki, ani gorsetu – właściwie nigdy nie widziała sukni takiej jak ta. Nawet nie słyszała o takiej bez pleców, pokrytych jedynie koronką w kolorze północnej czerni oraz z głębokim dekoltem tworzącym stanik. Pozostawia trochę wyobraźni – i na pewno przyciąga spojrzenie.

– Powinnaś ją przymierzyć – powiedziała Nehemia po eyllwiańsku, kończąc swoje pralinkowe ciasteczko. – Patrzysz na nią pożądlwie



przez cały dzień.

Celaena obejrzała się przez ramię wysoko unosząc brwi – Jest... nieco odważna. Ludzie będą oburzeni.

Księżniczka uśmiechnęła się.

– Więc komu by bardziej pasowało ją nosić?

Celaena poczuła, że również się uśmiecha.

– Istotnie, kto?

Tak więc, po pięciu minutach Celaena ubrała się w wzór sukni z wystawy i stanęła przed trzema pochyłymi lustrami.

Odważna i skandaliczna to mało powiedziane.

Nehemia zagwizdała z uznaniem, siedząc na kanapie.

– Kapitan nie będzie wiedział co ze sobą zrobić.

Celaena rzuciła jej spojrzenie przez ramię.

– Nie interesuje mnie on. – Choć niemal mogła wyobrazić sobie minę Chaola na widok tej sukni: zaciśnięte usta, szeroko otwarte oczy, nieco zdziwienia i na pewno złość. Niemal słyszała, jak robi jej przytyki o tym, że królewska Obrończyni wydaje ogromne sumy pieniędzy na nie więcej niż skrawek płótna, że musi zachować reputację, ponieważ pracuje teraz dla króla... Och, powinna kupić sukienkę nawet tylko po to, by wkurzyć Chaola.

Nehemia podeszła do Celaeny i stanęła obok na małej platformie.

– Jaka historię opowiada ci ta sukienka? – zapytała księżniczka w języku Eyllwe.

Celaena miała już otworzyć usta, ale wtedy zauważyła, gdzie wpatruje się Nehemia: odsłonięte plecy. Czarna koronka doskonale ukrywała jej blizny, ale z tej odległości łatwo było zobaczyć kryjące się pod spodem zmasakrowane ciało.

Ich spojrzenia się spotkały, a Celaena przerzucając się na eyllwiański powiedziała:

– Myślisz, że powinnam je zakryć?

Nehemia ponownie skupiła się na bliznach ukrytych pod czarną koronką. Po chwili powiedziała:

– Nie. – Celaena odwróciła się do lustra, ale Nehemia odezwała się ponownie, jej głos brzmiał za spokojnie: – Jak często myślisz o nich... o Endovier?

Celaena spotkała w lustrze swoje własne spojrzenie, ujrzała twarz, która jak Kavilla, zdawała się znana i zapomniana.

– Każdego dnia. O każdej porze.

To była prawda, której nie wyznała nikomu... może nawet sobie – do tej chwili.

– Czy uwolniłabyś ich gdybyś mogła?

Celaena odwróciła gwałtownie głowę w stronę księżniczki.

– Co to za pytanie? Oczywiście, że tak.

Obiecywały – obie obiecywały tego ranka – że nie będą poruszać takich tematów. A Celaena doskonale wiedziała, w jakim kierunku podążyła ta rozmowa: do tego, że Nehemia zacznie mówić o niewoli, imperium, o potrzebie wzywania ludzi do walki.

Kavill i Marta robili wszystko, by wyglądać na zajętych, krzątając się przy frontowych drzwiach.

Kavill uniósł wzrok znad notesu, a gdy ich spojrzenia się spotkały, zdała sobie sprawę, że on wie.

Wiedział dokładnie, kim jest, możliwe, że zawsze wiedział. Nie wiedziała, dlaczego, ale sprawiło to, że była... smutna. Zaskakująco, absurdalnie smutna.

Spojrzała na księżniczkę, która posłała jej wymuszony uśmiech.

– Nie powinnam była o tym wspominać – powiedziała Nehemia. – Dzisiejszy dzień miałyśmy przeznaczyć na zabawę – na bycie normalnymi młodymi kobietami.

Z jakiegoś powodu, patrzenie na ten wymuszony uśmiech sprawiało, że ból w jej piersi pogłębiał się nieco.

Nehemia podeszła do drzwi, aby powiedzieć, że jest gotowa – żeby znaleźli wóz.

Słońce opadało coraz niżej, a wraz z nim spadała temperatura, przez co Celaenie i Nehemii nie uśmiechało się wracanie do domu piechotą.

Celaena stała przy wypolerowanej, drewnianej ladzie, podając wskazówki, w jaki sposób i gdzie dostarczyć nowe ubrania Nehemii i zapłaciła za własne zakupy. Postanowiła wziąć też czerwoną suknię z aksamitu, z całą jej śmiałością i skandalicznością. Choćby dlatego, że niekupienie jej wpędzało ją w pewnego rodzaju poczucie porażki, straty, którą odczuwała za każdym razem, gdy myślała o stroju.

Wyjęła z torebki ostatnią złotą monetę i położyła ją na ladzie, za którą stał Kavill, licząc.

– Czerwona aksamitna suknia powinna być gotowa w ciągu dwóch

tygodni – powiedział, zabierając ostatnią złotą monetę. – Czy masz jakąś specjalną okazję na myśli?

Wzruszyła ramionami, spoglądając na Nehemię, która stała przy drzwiach, wyglądając na ogromnie nieszczęśliwą na myśl o mrozie. Celaena również nie była zbyt chętna do opuszczenia ciepłego sklepu. Powinna była wziąć cieplejszy płaszcz i rękawiczki.

– Jestem pewna, że zanim nadejdzie lato, nadarzy się okazja, bym założyła tę sukienkę.

Kavill skinął głową i zamknął grubą księgę.

– Daj mi znać, jeśli spowoduje omdlenia lub wywoła zamieszki.

Zaśmiała się pod nosem i odwróciła się, wpychając ręce do kieszeni, modląc się, by w drodze do domu nie poodpadały jej palce.

– Proszę – powiedział Kavill, a gdy się odwróciła, zobaczyła, że trzyma parę gołębio szarych, zamszowych rękawiczek. – Weź je do domu. Za bycie wieloletnią wierną klientką. – Nałożył na twarz maskę spokoju i uprzejmości, ale jego oczy błyszczały jasno. – I prezent – za rok, który spędziłaś bez jakichkolwiek rękawiczek.

Teraz już nie miała żadnych wątpliwości. Wiedział kim i czym jest, wiedział, gdzie spędziła ostatni rok – wiedział jakimi pieniędzmi płaci za jego suknie.

Nie mogła znaleźć słów – żadne nie były w stanie wyrazić wdzięczności za jego uprzejmość i dobroć, więc skinęła tylko głową, wzięła rękawiczki i wyszła.

W powozie nie było o wiele cieplej niż na zewnątrz. Celaena i Nehemia siedziały blisko siebie, klnąc siarczyście i twórczo na niekończącą się zimę.

Ostatnia z wulgarnych wiązanek Nehemii sprawiła, że Celaena zaczęła wyć ze śmiechu, tak głośno, że jeden ze strażników zapukał dwukrotnie w dach wozu, by zapytać, czy wszystko w porządku.

Nehemia uderzyła trzy razy na znak, że jest dobrze, ale Celaena śmiała się dotąd, aż rozbolał ją brzuch.

Gdy znów zapadła cisza, spojrzała na swoją przyjaciółkę i otarła łzy, które płynęły z jej oczu ze śmiechu.

– Zapłaciłabym sporą sumkę, by zobaczyć, jak mówisz to przy królowej Georginii.

Nehemia zachichotała, ale uśmiech, który pojawił się na jej ustach nie dosięgnął oczu.

– Dziękuję ci, Elentiya za to, że mi dzisiaj pomogłaś. Ja... potrzebowałam sukienek. I musiałam się choć na chwilę wyrwać z zamku.

Celaena spoważniała i skinęła głową.

Przejechały przez najbogatszą dzielnicę, alabastrowe i szmaragdowe dachy domów pokryte były lodem i błyszcząły w świetle latarni.

– Dziękuję ci za udawanie. Chociaż na jeden dzień.

Czuła na sobie spojrzenie Nehemii, ale nie odrywała wzroku od mokrych ulic, śliskich przez stopiony śnieg teraz zmieniający się w lód.

Po chwili Celaena zapytała:

– Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, co by było, gdybyśmy naprawdę były zwykłymi ludźmi?

Księżniczka przygryzła wargę.

– Czasami.

– Czy kiedykolwiek chciałaś taka być? Mam na myśli zwyczajna.

Nehemia milczała przez długą chwilę, jej spojrzenie stało się rozmyte, jakby ujrzała jakieś dalekie ziemie i żywe, falujące od wysokiej temperatury powietrze.

– Jest to moje najbardziej samolubne życzenie i marzenie – by być normalną, zwyczajną, wolną od obowiązków.

Nie wiedziała, że wstrzymuje oddech, nie zdawała sobie sprawy, jak ważne dla niej była odpowiedź Nehemii, jak ważne było to, by usłyszeć te słowa.

Celaena westchnęła.

– A nawet przez jeden dzień nie możemy udawać, że jesteśmy wolne od tych obowiązków.

– Przepraszam – powiedziała cicho Nehemia.

– Za co przepraszasz? To był głupi przytyk z mojej strony.

– Chciałabym, byś mogła mieć normalnego przyjaciela – nie księżniczkę czy kapitana albo syna króla. Lecz normalnego przyjaciela wiodącego dobre, spokojne życie.

– Nie interesuje mnie przyjaźnienie się z normalnymi ludźmi. Nawet, gdybym była zwyczajną dziewczyną, nie chciałabym żyć w otoczeniu zwykłych ludzi. Nie, wolałabym księżniczki rebeliantki, synów królów i kapitanów w wiecznie złym humorze, prostytutki i

złodziei, codziennie. I zawsze wybrałabym ciebie spośród tysiąca zwyczajnych dziewczyn.

Uśmiech Nehemii drżał – to wystarczało, by odwrócić się do okna, zanim poczuła klucie w oczach.

Powóz skręcił w kolejną aleję, a ich oczom ukazał się szklany zamek emanując na tle nocnego nieba zielonkawą, migotliwą poświatą.

– Cieszę się, że nie jesteśmy zwyczajne, Elentiya – Nehemia uśmiechnęła się w ciemności powozu. – Gdyby tak wyglądała sytuacja, byłoby strasznie nudno.

Celaena uśmiechnęła się.

– Niesamowicie nudno.

– I, cokolwiek to znaczy, wybrałabym cię spośród tysiąca zwykłych i niezwykłych przyjaciół. Myślę, że nawet, gdybyśmy spotkały się na ulicy, nawet gdybym zobaczyła cię tylko w przelocie, wiedziałabym, kim jesteś.

Celaena przechyliła głowę na bok.

– Zabójczynią?

Ciemne oczy Nehemii błyszczały, gdy kręciła głową.

– Siostrą mego serca.

Celaena musiała się odwrócić. Gdy w końcu się odwróciła, nie wiedziała, kto chwycił kogo, ale chwilę później jej ręka spoczywała w mocnym uścisku dłoni Nehemii.

– Myślę, że ja także bym wiedziała – powiedziała cicho Celaena i oparła się o ramię przyjaciółki.

Obie uśmiechały się lekko, gdy jechały przez ciche miasto do mającego przed nimi szklanego zamku.

Sarah J. Maas

**ZABÓJCZYNI I KAPITAN**

tłum. nieoficjalne

**K**apitan Straży czekał na nią przy bramie zamku ze szkła.

Celaena Sardothien, najlepsza zabójczyni w Erilei, a teraz także królewska Obrończyni nie zadawała sobie trudu, by pośpieszyć czarną klacz, jadąc ulicami Rifthold. Nawet po miesiącu podróży do i z podnóży gór Ararat, choć była na wpół przemarznięta i pokryta brudem setek przebytych dróg, nie starała się jak najszybciej dojechać do ostatecznego celu.

Nie była zaskoczona, widząc Chaola stojącego na szczycie wzgórza, nad którym wznosił się zamek – nie zaskoczył jej widok pół tuzina strażników starających się udawać, że nie obserwują każdego jej ruchu, albo że nie dają sobie znać, iż wróciła. Zauważyła, że jego mężczyźni stacjonowali w całym mieście: u bram murów, na rogach ulic, na dachach, każdy wypatrujący oznak jej powrotu.

Chaol wyglądał tak, jak wtedy, gdy wyjeżdżała: czarno złoty mundur i wypolerowana głowica miecza w kształcie orła błyszczały w świetle południowego słońca.

Teraz przynajmniej używał swojego miecza. Po zabiciu Kaina podczas pojedynku, nie nosił go przez kilka tygodni, gdy leczyła odniesione w walce rany. Gdy miesiąc temu wyjeżdżała, wciąż używał innego ostrza. Wciąż miał w brązowych oczach ten dziwny cień.

Lecz cień ten zniknął, gdy spojrzała na niego spod czarnego kaptura płaszcza. Stał po prostu z ramionami skrzyżowanymi na szerokiej piersi ze znajomym grymasem na twarzy.

Mlasnęła językiem i zsiadła z konia, rzucając wodze jednemu ze strażników, gdy odwracała się do kapitana.

– Co... żadnych kwiatów?

Jeszcze bardziej zmarszczy brwi. Uśmiechnęła się szeroko.

To była jej pierwsza misja, pierwszy test zaufania i prawdziwych umiejętności.

Celaena wskazała brodą na jedną z sakw przytroczoną do siodła. Zużyta skórę wypełniała masywna bryła.

– Myślisz, że kiedy mi da cel godny moich umiejętności?

Chaol rzucił okiem na wypchaną torbę, a następnie znowu spojrzał

na nią z jeszcze bardziej zmarszczonymi brwiami.

– Spóźniłaś się trzy dni.

Wzruszyła ramionami i nie czekając na jego pozwolenie, ruszyła pochyłą ścieżką w kierunku zamku. Nie, nie potrzebowała już, jako królewska Obrończyni, żadnego pozwolenia.

Mimo to Chaol zeszywniał.

Zaśmiała się pod nosem.

– Spróbuj wybrać się do podnóża gór Ararat w środku zimy to zobaczymy, czy wrócisz na czas. Mało co nie straciłam z zimna palców u rąk i stóp. – Skopiowała wyraz jego twarzy. – Nie chcesz nawet wiedzieć, jak udało mi się utrzymać ciepło.

Nic. Nawet cienia uśmiechu.

Westchnęła i spojrzała w niebo.

– Będę katowana, łamana na kole, czy po prostu będę musiała się stawić po południu na królewski sąd?

Nie zareagował na to, jedynie zrównał z nią krok.

– Nie jestem jedynym, któremu będziesz się tłumaczyć.

Rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

– Martwiłeś się, że nie wrócę? – Gdy nie odpowiedział, kontynuował: – Ile czasu miało minąć, zanim wysłałbyś za mną swoje psy, żeby mnie zdjęły?

Tym razem spojrzał na nią, jego złotobrzazowe oczy pałały zaciętością.

– Tydzień. Dawałem ci tydzień, zanim wysłałbym swoich ludzi, by zbierali informacje. Ale miałaś szczęście – wieści o śmierci sir Carlina dotarły do nas dość szybko po tym... jak się nim zajęłaś.

Zabiła go. Poderżnęła gardło i odcięła głowę. Wrzuciła jego ciało do rzeki Ararat.

Obserwowała go w milczeniu, dając mu to powiedzieć, ale on już patrzył w inną stronę.

Byli w połowie drogi, gdy odezwał się cicho:

– Odniosłaś jakieś obrażenia?

Prychnęła.

– Zabijanie ludzi w ich łóżkach nie wiąże się z dużym ryzykiem.

Jego oczy zwęziły się.

I choć wiedziała, że nie powinna, dodała:

– Bądź nadwyreżaniem honoru. Właśnie to masz na myśli, prawda?



Mięśnie jego szczęki napięły się.

– Wiem, co się wiąże z twoim stanowiskiem.

Ale ona wciąż zastanawiała się, czy w jakiś sposób zapomniał, aż do teraz, jak bal Yulemas i walka z Kainem sprawiły, iż myślał, że jest kimś innym, kimś nieszkodliwym. Wilkiem bez kłów.

Im bliżej byli zamku, tym robiło się ciszej.

– Przypuszczam, iż Jego Królewska Mość wie, że tu jestem?

– Chce się natychmiast z tobą spotkać. I zabrać twój... dowód.

Zrobiła minę.

– Wiedziałam, że chce głowy, ale... Chce ją zobaczyć na spotkaniu?

Kto tam będzie?

– A jakie to ma dla ciebie znaczenie?

Wzruszyła ramionami. Każdy szczegół tego spotkania był problemem, zwłaszcza ze zbyt bystrych oczami Chaola i jego zdolnością wykrywania każdego najmniejszego jej kłamstwa.

– Chcę wiedzieć, jak bardzo mogę być szczerą.

– Przed królem? Chcesz znowu skończyć w kopalni?

Posłała mu słodki uśmiech.

– Oto jestem, myśląc, że mogłam się z nim zaprzyjaźnić.

Błysnął zębami.

– Nie myśl nawet...

– Miesiąc mnie nie ma, a ty znowu bierzesz mnie na poważnie?

Znowu do tego wracamy?

Nie zdawała sobie sprawy, jak głęboko to pytanie go dotknęło, dopóki się nie zatrzymał.

Przez moment patrzyli po prostu na siebie, a przez tę chwilę przypomniała sobie dzień po pojedynku, gdy trzymał ją w ramionach – nie kapitan trzymający zabójczynię czy przyjaciel trzymający przyjaciółkę, lecz mężczyzna trzymający kobietę...

Czy gdyby spróbowała go przytulić teraz to odepchnąłby ją? Nie chciała wiedzieć – nie miała dość odwagi, by spróbować. I nie miała odwagi zastanawiać się, dlaczego tego chciała.

– Ufam ci. – Tylko tyle powiedział.

– I to dlatego rozsyłasz ludzi po mieście, żeby mnie szpiegowali?

– Rozesłałem ludzi po mieście – powiedział przez zaciśnięte zęby – bo chciałem mieć szansę dorwać cię pierwszy. Aby się upewnić, że wszystko jest w porządku.

Zamrugła i przechyliła głowę.

Szukał jej, nie szpiegował. Tak dużo czasu minęło, odkąd komuś zależało na tyle, by jej szukać.

Musiała kilka razy przełknąć ślinę, zanim odpowiedziała.

– Oczywiście, że wszystko ze mną w porządku. – Głupia odpowiedź, ale on znowu ruszył. Podążyła za nim, mrugając, gdy oślepiło ją światło odbijające się od topniejącego śniegu. – Ale gdyby nie było w porządku – odważyła się zapytać – co byś zrobił?

Wzruszył potężnymi ramionami.

– To nie ma teraz znaczenia.

– Zaspokój moją ciekawość.

Nie patrzył na nią, gdy mówił:

– Zrobiłbym to, co byłoby konieczne.

Zazgrzytała zębami.

– Przestań być taki ostrożny.

– Nie rozumiem, w jaki sposób ta wiedza sprawiłaby jakąkolwiek różnicę. Czowała, jak falują jej nozdrza, ale trzymała buzię na kłódkę.

W porządku.

Dotarli do głównych wrót zamku. Standardowy zgiełk dworzan, urzędników i strażników został wykurzony z dworu przez lodowate dni. Spojrzała na wyższe wieże, a jej żołądek skręcił się na myśl o wspinaczce po tych wszystkich schodach do sali spotkań.

Tak wiele zależało od tego spotkania – tak wiele, iż nie miała odwagi o tym myśleć. A zwłaszcza przy Chaolu, który czytał z jej twarzy z niezrównaną łatwością.

Uśmiechnęła się więc, zanim zdążył dostrzec wyraz jej twarzy, w którym łatwo było dojrzeć wątpliwości i strach.

Absolutna pewność siebie i arogancja; jej najlepsza tarcza i ulubiona maska.

– Mam nadzieję, że Jego Królewska Mość przygotował na czas przesłuchania przyzwoity posiłek, bo jestem potwornie głodna.

– Uważaj co mówisz, bo w przeciwnym razie jedynym, co zjesz, będą gorące węgle.

– Naprawdę robisz ludziom coś takiego?

Jego oczy zwęziły się.

– Za jaką osobę ty mnie masz?

– Jesteś Kapitanem Straży najpotężniejszego człowieka na świecie.

Wyrd wie, jak straszne rzeczy robiłeś ludziom.

– Musisz się denerwować jak diabli, skoro uciekasz się do szydzenia ze mnie.

Nie pozwoliła tym słowom wstrząsnąć nią, nie pozwoliła pojawić się uśmiechowi, na dała sobie się puszyć czy zatrzymać choć na chwilę. Lecz zatrzymała się przed szerokimi, pięknymi schodami prowadzącymi do zamku.

Najlepsze kłamstwa to te zmieszane z prawdą – dadzą mu wierzyć w to, w co będzie chciał.

– Znasz moją przeszłość z Jego Królewską Mością. – Przecież to on prowadził ją na spotkanie z królem pierwszego dnia zawodów. Widział jej panikę na myśl o spotkaniu z władcą, widział, jak blednie.

Nie ulegało wątpliwości, że pomyśleli o tym samym. Jego wzrok złagodniał, gdy kładł rękę na jej ramieniu.

– Po prostu bądź... uprzejma. Uległa.

– No, to jest godne mnie wyzwanie.

Uśmiechnął się lekko.

– Jeśli dobrze się zachowasz, poproszę, żeby podczas naszego obiadu przyniesiono do twoich komnat ciasto czekoladowo-orzechowe.

– Nasz obiad?

Patrzył na nią z dystansem, ale uśmiechnął się szerzej.

– Chyba, że masz kogoś innego z kim chciałabyś zjeść?

Przygryzła wewnętrzną stronę policzka, patrząc w stronę kamiennej wieży – tej, w której mieszkał Dorian. Pamiętała każde słowo, które powiedziała następcy tronu tego dnia, gdy skończyła to, co było między nimi i to trzymało go od niej z daleka.

A więc nie – nie było nikogo innego, z kim mogłaby dziś zjeść obiad, nawet Nehemia.

– Myślę, że mogłabym zjeść z tobą obiad – powiedziała.

Nie mogła nic poradzić na to, że zastanawiała się, czy jego uśmiech był pełen rozbawienia czy czegoś innego. Ale siła tego uśmiechu była w stanie zatrzymać świat.

– Tęskniłam za tobą – przyznała.

Jego uśmiech przygasł i znowu zaczął się w nią wpatrywać – z pytaniem, jakby coś kalkulował, zastanawiał się. Czekwała, aż się rozejrzy, by przyjrzeć się chodzącym dookoła ludziom i by znaleźć najlepszą odpowiedź, ale on po prostu na nią patrzył. Tak, jakby dla

niego świat też się zatrzymał.

A potem zaśmiał się pod nosem, bardziej do siebie niż do niej i powiedział:

– Cholernie tu było bez ciebie nudno.

Roześmiała się i weszła po schodach do zamku. I choć nie przytuliła go ani on nie zaoferował jej ramienia, szli nieco bliżej siebie, kierując się do sali spotkań.

Przekład: Marcin Mortka  
Redakcja: *Zabójczyni* – Katarzyna Derdulska  
Korekta: Agnieszka Jędrzejczak-Sprycha, Marcin Grabski, Ilona Siwak

Jacket illustrations © 2014 by Talexi

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12  
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-3783-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**virtualo**